

Felix Gilman

Gromowładny

(Thunderer)

Przetłóżył Robert Waliś

Dedykowane Sarah

Podziękowania

Dziękuję wszystkim w wydawnictwie Bantam Spectra, a w szczególności mojej redaktorce Juliet Ulman oraz Howardowi Morhaimowi i Katie Menick. Dziękuję także mojej rodzinie za wsparcie i cierpliwość; jak również Billowi Thompsonowi, którego komentarze umożliwiły znaczne ulepszenie niniejszej książki, a dobre rady i pomoc znacząco przyczyniły się do jej wydania.

Rozdział 1

Przybył do miasta pod koniec lata, przez morze; wychylał się nad surowym dziobem okrętu, przeczesując wzrokiem horyzont, i nerwowo przesuwiał w chudych palcach koraliki z łusek i kości. Pokonał pół świata, by tu dotrzeć.

Niebo nad Zatoką skrzyło się białymi mewami, które nurkowały i krążyły pomiędzy błękitnym niebem a morzem, żerując na pracy przystani. Ptaki stanowiły pierwszy zwiastun miasta, tak jasny i pełen życia, że podnosiły go na duchu.

– Zaraz będziemy w mieście, panie Roon. – Kapitan z uśmiechem poklepał go po plecach, prezentując brązowe, niekompletne uzębienie. – W zasadzie już jesteśmy. Ptaki to też miasto, prawda? Trochę przestraszony?

Tak naprawdę jego imię brzmiało Arjun, zdążył jednak przywyknąć do tego, że je przekręcano, choć było mu wstyd, że na to pozwalał. Odpowiedział słabym uśmiechem.

– Raczej pełen nadziei – odrzekł, lecz kapitan już się odwrócił i zaczął rytmicznie wykrzykiwać polecenia w marynarskim żargonie do niewielkiej załogi, która składała się z jego ciemnoskórych braci i synów.

Na horyzoncie stopniowo pojawiał się zarys miasta: plamy dachów, delikatny tabaczkowy szraf mostów i iglic. Obraz poruszał się i powoli nabierał kształtów,

lekką zamazany za sprawą rozedrganego powietrza oraz mnogości elementów. W tle wznosiła się olbrzymia góra, odległy błękitny bohomas. Fetysz z łusek i kości szeleścił na knykciach. W myślach Arjun układał list do swoich Matek i Ojców: „Nareszcie zaczynamy. Miasto jest szkatułką z szyfrem, którą trzeba otworzyć. Pozwólcie, że Wam je opiszę... ”. Jednakże na razie nie potrafił.

W każdym miejscu, które odwiedził podczas podróży, słyszał opowieści o Ararat. Uważał je za echa miasta; tak został wychowany. W niektórych miejscach miasto uznawano za błogosławione. W innych twierdzono, że jest nawiedzone. W jednej z wiosek, pośród wzgórz i sosen, spędził zimę z Amą, córką lekarza; błagała go, by został lub zawrócił. Kiedy stopniały śniegi i musiał wyruszyć w dalszą drogę, podarowała mu amulet, delikatnie zaciskając na nim jego palce. Obiecała, że będzie go chronił. Wykonał go jej ojciec.

Być może amulet rzeczywiście miał jakąś moc, Arjun jednak przybył do miasta, by szukać bogów, a nie się przed nimi ukrywać. Wypuścił przedmiot z palców. Amulet przez chwilę unosił się na jasnej pianie, po czym zniknął pod kadłubem statku.

Okręt skrzypieniem i stukaniem wtórował pracy załogi.

Z powierzchni wody uniosła się połyskująca mgiełka. Marynarze zgubili rytm. Kapitan krzyknął. Arjun odwrócił się i zobaczył, jak jeden z przysadzistych wilków morskich wskazuje na niebo z okrzykiem zachwyty, a inny odchyła głowę i wydaje z siebie

gardłowy jęk. „Spójrzcie w górę”.

* * *

Nadlatuje od strony słońca wiszącego wysoko nad Zatoką, schodzi ostrym łukiem nad wodę, rozkłada szerokie skrzydła: na pierwszy rzut oka przypomina chmurę, która pojawia się na czystym niebie i przecina firmament niczym biała chorągiew. Lecz nagle staje się olbrzymim ptakiem, który mknie naprzód. Powoli porusza wielkimi białymi płaszczyznami skrzydeł. Coś tak wielkiego nie powinno być w stanie wznieść się w powietrze, on jednak wydaje się pozbawiony wagi. Za sobą pozostawia ekstatycznie rozedrgane światło słońca.

Gdy tak szybuje ponad wodą, gromadzą się wokół niego ptaki z Zatoki, okrążając go z bezgranicznym trzepoczącym uwielbieniem. Zawraca swobodnie po łuku, a pod nim zadziwione ryby wyskakują z wody, na chwilę zawisając w powietrzu. Ptasie Bóstwo przynosi ze sobą dary lotu i wolności. Nie rzuca cienia.

Ptak mknie ponad Zatoką w stronę pradawnego miasta. Tutaj czeka jaskrawo pomalowana barkentyna, podskakująca na wodzie daleko od brzegu. Z pokładu zostaje wystrzelona czerwona raca. Po chwili odpowiada jej druga, która wznosi się ponad nabrzeżem, a następnie kolejna, w głębi miasta. Kiedy Ptak przelatuje nad łodzią, jej żagle wydymają się od nagłego podmuchu i barkentyna rusza w pogoń za bogiem; niestety, pomimo uzyskanej

prędkości, jest to beznadziejny pościg.

Przed nabrzeżem unosi się gęsty, stale zmieniający kształty labirynt łodzi. Pod skrzydłami Ptaka rozlega się aplauz żagli, z których każdy na chwilę wypełnia się powietrzem. W dole rozlega się gwar: okrzyki radości, wrzaski, zaklęcia i przekleństwa. Gwałtownie wprawione w ruch statki dryfują na oślep po zatłoczonej przystani.

Załoga portu walczy o odzyskanie kontroli. Wieść o powrocie Ptaka już się rozniosła, a oni są doskonale przygotowani. Gabinet hrabiny Ilony opublikował listę „Zasad i przepisów dla statków w przystani Ar-Mouth na wypadek powrotu Olbrzymiego Ptaka, niech będzie chwała", którą jej ludzie od kilku tygodni rozwieszają we wszystkich zajazdach, noclegowniach, barkach wycieczkowych, targowiskach i kościołach w porcie. Potem markiz Mensonge, gerent Stross End, oraz tuzin innych lordów, urażeni do żywego tą bezczelnością – Wszak jakim prawem Ilona uzurpuje sobie jurysdykcję nad portem? Jak ona śmie? – rozkazali rozwieszać ich własne przepisy, przy okazji zdzierając lub zaklejając konkurencyjne rozporządzenia.

Nastały ciężkie tygodnie dla gospodarzy w okolicach portu. Każdy z wielkich szlachciców w mieście pragnie widzieć na ścianie za barem wyłącznie swoją własną listę zasad, niezbędna jest stała gotowość do błyskawicznej zamiany plakatu hrabiny na listę rozporządzeń gerenta – jeżeli jego ludzie akurat pojawią się w drzwiach – bądź odwrotnie. Oczywiście gospodarze są do tego

przyzwyczajeni. Miejscy szlachcice są niezwykle zawistni i jest ich cholernie wielu.

Dokerzy i tak są przygotowani na swój własny sposób. Starzy marynarze pamiętają ostatnie pojawienie się Ptaka nad miastem oraz tego skutki.

W żaden jednak sposób nie da się sprawić, by powrót olbrzymiego Ptaka był całkowicie bezpieczny. Przystań jest pełna zagranicznych statków, z których wiele nie zostało ostrzeżonych i reaguje z opóźnieniem. Statki zderzają się ze swoimi sąsiadami przy wtórze bolesnego chrzęstu kadłubów.

W samym środku kłębowiska jednostek rusza z miejsca potężny czarny kształt „Nieustraszonego”. Olbrzym zrywa liny, którymi był przywiązany do okolicznych statków, i rozpoczyna powolną ucieczkę w stronę morza. Nikt nie wie, jak go powstrzymać. Statek płynie wprost na elegancką barkentyne z Akashu. Marynarze na obu pokładach krzyczą i bezsilnie wymachują rękami. Jeden z pasażerów na akashyckim statku mocuje się z karabinem skałkowym, po czym oddaje bezsensowny strzał w kadłub „Nieustraszonego”.

Ptak już opuścił przystań, kierując się wzdłuż rzeki Urgos. Sunie w powietrzu pomiędzy budynkami parlamentów i antyparlamentów, które odciskają swoje marmurowe piętno nad brzegami rzeki: dziwną i toporną mieszanką kolorów i form, kształtów i stylów, łagodnych krzywizn i kanciastych słupów oraz frontonów, ornamentów sąsiadujących z architektoniczną prostotą.

Przez wieki budowle te stopniowo przywykły do siebie nawzajem, a wszystkie bez wyjątku przybrudził dym miasta. Rozciąga się ono z dala od rzeki, wznosząc się bez końca ku północy aż po błękitne zbocza góry Ar. Słońce lśni na miedzianych i mosiężnych kopułach, stalowych dźwigarach, białych kamiennych iglicach – tysiącach świątyń i kolejnych tysiącach budowli, które być może nimi są. Możliwe, że wszystko tutaj jest święte. Z tej wysokości wszystko lśni. Pył w powietrzu nad pradawnym miastem mieni się w słońcu i wznoszącym wietrze. W powietrzu czuć elektryczność. Miasto jest gotowe do przemiany i przebudowy.

Ptak oddala się od rzeki Urgos i okrąża iglicę seminarium Monana, które wznosi się samotnie na błotnistym terenie nad brzegiem. Chmura gołębi gwałtownie startuje z postrzępionej iglicy i dołącza do krążącego chóru morskiego ptactwa. Barwne jazgotliwe stado ściga obiekt swego uwielbienia, który odbija na zachód ku potężnym magazynom w Okręgu Barbarii.

Procesja rac zaalarmowała już większą część miasta. Porzuciwszy południowe posiłki, ludzie wspinają się na kwadratowe dachy magazynów. Pracownicy portu mieszają się z bohemą z artystycznych poddaszy. Kiedy Ptak przelatuje, niewielki lecz wciąż rosnący w siłę tłum wiwatuje i puszcza się szalonym biegiem w ślad za bóstwem, zatrzymując się dopiero na krawędzi dachu. Kilka osób rzuca w kierunku Ptaka dary: kawałki białego sukna i jedwabiu.

Niezliczeni malarze postanawiają uchwycić podobiznę Ptaka. Będzie to sprawdzian ich talentu. Nie są w stanie dostrzec szczegółów – zanim oko zdąży się na nich skupić, Ptak odlatuje. Wiadomo, że jest olbrzymi, lecz nie sposób ocenić jak bardzo. Wydaje się, że jest niewyobrażalnie daleko, nawet gdy z hukiem przelatuje tuż nad głowami – być może znajduje się znacznie dalej i jest większy niż się wydaje. Później nawet nie będzie można jednoznacznie stwierdzić, do jakiego należał gatunku. Niektórzy widzą burzę jasnych piór, inni tylko dostojny ruch skrzydeł. Pozostaje prawie wyłącznie odczucie swobodnej, niepowstrzymanej prędkości. Tuzin umysłów wymyśla nowe abstrakcyjne szkoły malarstwa, by uchwycić tę chwilę.

Jednak dachy już stały się oliwkowo-białym malowidłem, pokrytym impastem z ptasich głów. Jeden z artystów, młody człowiek imieniem Mochai, później powie po pijaku do swej kochanki Olimpi, wkrótce przed tym jak ona porzuci go dla kogoś mniej wymagającego, że „bogowie są tym, co pozostawiają miastu. Czyż nie tak mawia Holbach? Że właśnie to stanowi ich prawdziwą istotę? Dlatego tak go przedstawię!". Po czym wyjdzie na dachy z dłutem w dłoni, by odłupywać kawałki materiału, którym wysmaruje płótna. Będzie musiał stoczyć o niego walkę z ulicznikami zbierającymi towar dla handlarzy fekaliami oraz z wyznawcami Ptaka, którzy zapragną palić odchody na prywatnych ołtarzykach na poddaszu; w końcu banda młodzieńców z ogolonymi głowami,

ubranych w białe szaty, powie mu, że jego malowidła wykonane za pomocą gówna są bluźniercze i obsceniczne, po czym spali jego wystawę. Ale to oczywiście wydarzy się znacznie później, a Ptak jest tutaj w tej chwili.

Ptak nie ma kościoła: jego interwencje w mieście są zbyt rzadkie i nieprzewidywalne; zresztą stanowi całkowitą antytezę porządku i zorganizowania. Pomimo tego garstka ekscentrycznych samozwańczych wiernych ubranych w uprząże z płótna lnianego, jedwabiu i balsy zbiera siły wśród nielicznych gapiów, by w chwili pojawienia się bóstwa pobiec ku szczelinie pomiędzy dachami, rozłożyć domowej roboty skrzydła i skoczyć. Kiedy przelatuje nad nimi Ptak, ich skrzydła na chwilę przejmują jego moc i wierni wznoszą się, by do niego dołączyć, płacząc z radości i przerażenia. Ci, którzy nie trafiają we właściwy moment, spadają i roztrzaskują się o ziemię w alejkach. Tam na dole miasto nie jest lśniące i zwiewne, lecz twarde, posiniaczone i śmierdzące.

* * *

Jack Sheppard stoi na dachu Domu Barbotina i napina mięśnie nóg. Ręce ma zajęte pracą, ale jego umysł i oczy obserwują niebo.

– No dalej – mruczy. – Dalej. Przyleć.

Pod jego stopami znajduje się niewyobrażalnie ciężka, pozbawiona okien bryła żelaza i kamienia. Jest pod nią pogrzebany już od zbyt dawna. Zbliża się krytyczny

moment, punkt podparcia, który pozwoli mu się oderwać od ziemi i wzbić w niebo. Jack czuje, że to się właśnie zaczyna. A może tak mu się tylko wydaje? Wciąż jest taki młody. (Ma piętnaście, szesnaście lat? Nie jest pewien).

Ma bladą twarz o ostrych, nieco szurzych rysach, tak jak wszyscy, którzy dorastali w Domu. Przywykł do bardzo szerokiego otwierania oczu, by widzieć cokolwiek w mrocznych korytarzach, więc w tych rzadkich chwilach, gdy wychodzi na światło dnia – tak jak teraz, kiedy pracuje na dachu jako członek grupy zajmującej się praniem – krzywi się, co sprawia, że wygląda na twardszego i groźniejszego niż jest w rzeczywistości. Podobnie jak wielu ludzi, którzy dorastali, pracując w przędzalniach jedwabiu w Domu, stracił jeden z palców, a nosi także inne blizny. Jest ubrany w szarą wełnianą marynarkę, która w letnim upale wywołuje swędzenie. Na głowę włożył czapkę.

Stoi na szczycie Domu Barbotina, który mieści się przy ulicy Plessy'ego na granicy między Okręgiem Barbarii a Czwartym Okręgiem. Inne domy poprawcze w mieście wyglądają jak zwykłe więzienia, ten przypomina grobowiec lub żelazną szkatułkę z szyfrem, której mechanizmu nie da się otworzyć. Gęsto nitowane spizowe panele pokrywają ściany z betonu i kamienia, w ponury sposób pieczętując wszystkie okna. W środku nie ma lamp, pochodni ani nawet świec, gdyż zdesperowane dzieci mogłyby wykorzystać ogień w charakterze broni. Poza tym, jak wyjaśniają Mistrzowie, to jest Dom Tybru –

ogień jest tutaj świętością, a chłopcy nie są go godni. W każdym kącie kryją się nagromadzone przez pokolenia warstwy kurzu. W przędzalniach jedwabiu pracuje się w mroku. To monotonne i niebezpieczne zajęcie, a Jack ma go serdecznie dość.

Dom stoi z dala od sąsiednich budynków; otaczają go ogrodzenia z drutem kolczastym. Wygląda na projekt szaleńca, a Jack, który zna jego historię, wie, że tak jest w istocie. Jeszcze żaden chłopiec stąd nie uciekł.

Jack przyczepia klamerkami do sznura brudnoszare prześcieradło, gdy nagle czuje, że materiał zaczyna mu się wyrywać z rąk. Jest gotowy; zaplanował i wywalczył sobie obecność na dachu właśnie w tej chwili. Kiedy widzi czerwoną racę, wie, co ona oznacza.

W stercie prania w koszyku znajduje się jedno specjalne prześcieradło. Jack chwytą pranie i napina mięśnie.

Jeżeli się myli, nie będzie miał kolejnej szansy – spędzi tutaj następne cztery, może pięć lat, po czym wyrzucą go wyczerpanego z powrotem na ulicę. Nie myśli o tym, że może przypłacić tę próbę życiem. Nie zastanawia się także, co zrobi na zewnątrz, jeśli zdoła się uwolnić.

Puszcza się szalonym biegiem ku krawędzi dachu. Przeskakuje ponad Carswellem, który klęczy pokornie na ziemi, składając szare marynarki z sukna. Przebija się przez rząd białych prześcieradeł, przez chwilę wspominając komediantów z rewii w Pałacu, którzy w czasach jego dzieciństwa, zanim trafił do Domu, przebijali

się przez aksamitną kurtynę, wypadając na scenę zalaną miedzianym światłem. Zaczyna się śmiać. To jest przedstawienie.

– Paaanieee i panooowieeee! – woła.

Pan Tar podrywa się na nogi.

– Co to ma znaczyć?! – krzyczy. – Zatrzymać tego chłopca!

Hutton, który próbuje wkraść się w łaski Tara, chwytając Jacka za rękę. Starszy chłopak mógłby z łatwością go przytrzymać, gdyby naprawdę się przyłożył, ale nie ma pojęcia, jak zdesperowany jest Jack, więc głupio się odwraca i z uśmiechem spogląda na swojego Mistrza, czekając na pochwałę. Po chwili zatacza się do tyłu, trzymając się za pogryzione, zakrwawione ucho. Jack okrąża komin i zeskakuje na pokrytą płytkami pochyłość niższego dachu. Na chwilę się zatrzymuje. Kiedy do krawędzi podbiega kolejny chłopiec, Jack podważa dachówkę i rzuca nią w głowę prześladowcy. Z okrzykiem triumfu ciska w ślad za dachówką swoją czapkę z szorstkiego materiału.

Nerwowo rozgląda się po niebie. Niczego tam nie dostrzega, nawet najmniejszej kropki.

– O, nie. No, dalej. Dalej. Przyleć.

Kiedy nadchodzi ta chwila, wszystko dzieje się jednocześnie, zapierając dech w piersiach. Stada gołębi, gawronów, głuptaków i mew przetaczają się z impetem nad dachem i rozsypują po niebie. Trudno w to uwierzyć, lecz wśród nich krążą ludzie. W samym środku, w

centrum uwagi, szybuje Ptak.

Jack wytrząsa pranie z kosza i wyciąga ze sterty jedno z prześcieradeł. Kiedyś było równie szare i poplamione jak wszystkie pozostałe prześcieradła w Domu Barbotina, jednak Jack ukradł trochę barwników do jedwabiu i wybielił materiał. Uważa to za ważny gest. Do prześcieradła są przyszyte ukradzione jedwabne szmatki i włókna. Szybko i niedbale zrzuca marynarkę. Pod nią ma koszulę, którą również wybielił oraz ozdobił ukradzionymi długimi, jaskrawymi jedwabnymi nitkami. Owija ramiona prześcieradłem. Wygląda komicznie i żałośnie niczym ptak nietot.

Pan Tar już się zgramolił na pochyłość. Jack macha do niego ręką i biegnie w stronę krawędzi. Na chwilę traci równowagę na stromym dachu, gdy pod jego stopami pęka płytki, ale wyrównuje krok. Stawia stopę na orygnowaniu pod okapem i wybija się w powietrze, rozpościerając ręce.

Udało się, niech będzie chwała, udało się. Choć nie do końca. Jego magia jest prymitywna i prowizoryczna: musiał się zadowolić tymi materiałami, do których miał dostęp. Wyobrażał sobie, że wzięci jak ptak, jak Ptak. Zamiast tego przez chwilę ma wrażenie, że uwolnił się z więzów grawitacji i może kroczyć w powietrzu, odbijając się coraz wyżej, pięknie i z wdziękiem, jednak zaraz potem grawitacja powraca niczym cios w plecy, który wytrąca go z równowagi. Jack spada i zdziera sobie kolana. Ogląda się z rozpaczą. Ale niech będzie chwała!

Jest na sąsiednim dachu, oddzielony od Domu Barbotina szeroką szczeliną. Za jego plecami pan Tar stoi na czworakach przy krawędzi dachu Domu. Jedną ręką niepewnie przytrzymuje się rynny, a w drugiej ściska ozdobione jedwabiem prześcieradło, talizman Jacka, który spadł chłopcu z pleców.

Jack stoi na pustym dachu kolejnego magazynu. W kanciastej ceglanej nadbudówce w rogu znajdują się drzwi. Niestety, są zamknięte. Nie ma innej drogi na dół. Tar wrzeszczy i dmucha w gwizdek. Z Domu również dobiegają okrzyki. Wkrótce pościg wtargnie do tego budynku.

Jack podbiega do krawędzi i spogląda ponad otchłanią na następny dach. Tam widzi kolejne drzwi, tym razem otwarte i podparte cegłą. Grupa kobiet stoi na dachu i macha na pożegnanie odlatującemu Ptakowi i jego stadu. Jedna z dziewcząt odwraca się i widzi biegnącego Jacka. Klaszcze, podekscytowana.

Nie uda mu się do niej przedostać. Musi pokonać całą szerokość ulicy, a od ziemi dzieli go wysokość trzech pięter. Stracił prowizoryczne skrzydła. Ptak znika w oddali, wznosząc się ponad skarpą, która oddziela Shutlow od Mass How, i wszystko znów staje się bardzo ciężkie. Rytuał został zaburzony. Nie pozostała żadna moc, której można by zaczerpnąć.

Trudno, niech to Płomień pochłonie. Jack podbiega do krawędzi, zamyka oczy, wyciąga ręce, chwytając ostatnie nitki możliwości unoszące się w powietrzu, po czym

skacze, modląc się w duchu.

* * *

– Jakże przyjemnie wiedzieć, pani, że on się zbliża. Otrzymać dowód na prawdziwość własnych twierdzeń. Nigdy nie widziałem czegoś równie pięknego jak te race. Skłamałbym, gdybym powiedział, że moja pewność siebie była niewzruszona.

Hrabina Ilona unosi brew, cienką czarną kreskę narysowaną na twarzy o ostrych rysach, pomalowanej na porcelanowobiały kolor nad pozłacanym kołnierzykiem, który zdobią spinki wysadzone klejnotami. Gruba warstwa farby czyni hrabinę niemal wiecznie młodą. Nikt nie ośmieliłby się temu zaprzeczyć.

– Wydawał się pan pewny siebie. Mam nadzieję, że tak rzeczywiście było, profesorze. Zaufałam panu.

Holbach uśmiecha się beznamiętnie i przeklina sam siebie.

– Tak mi się tylko powiedziało, o pani. Pozwoliłem sobie na niewinny żarcik. Moje przewidywania były bardzo dokładne. Nigdy nie dopuściłbym, by pani się w ten sposób, eem, odsłoniła, gdybym nie miał całkowitej pewności...

– Odsłoniła? Czy moja pozycja jest aż tak niepewna, profesorze?

Holbach mamrocze słowa usprawiedliwienia – nie chciałem powiedzieć aha oczywiście nie eem nie och z

pewnością nie – oraz pokornie się garbi, po czym, prosząc o wybaczenie, oddała się, by nadzorować ostateczne przygotowania. Odziany w aksamit lokaj podtrzymuje jego ramię, gdy mężczyzna schodzi z podestu na trawę. Profesor nagradza służącego uśmiechem wdzięczności, w którym jest pewność siebie, lecz – Holbach jest tego pewien – nie ma ani krztyny protekcyjności. Rusza w poprzek Wrzosowiska, przyglądając się ludziom, którzy stoją przed nim w szeregu.

Holbach to człowiek gładki, pulchny i sympatyczny – uczony, wróżbita i dworzanin – człowiek interesu w statecznym wieku. Powinien zatem wiedzieć, jak nie należy rozmawiać z miejskimi magnatami. Czuje, że opanowuje go podniecenie, za sprawą którego, hm, do aksamitu jego pochlebstw przyczepiają się, ach tak, ostre rzepy. Nie, to fatalna metafora, wręcz koszmar, stać go na więcej. Powiedzmy...

Holbach zatrzymuje się przed człowiekiem, który stoi w środku szeregu i poci się z wysiłku, trzymając linę. Profesor wygładza zmarszczki na ramionach jego złocistej jedwabnej szaty i dzięki temu wyrównuje srebrną lamówkę. Mężczyzna porusza się, wystraszony, ale nie puszcza liny. Ludzie hrabiny wiedzą, co jest dla nich dobre.

– Nie, nie, wszystko w porządku. Nie przejmuj się. Oczywiście hrabina docenia twój wysiłek. Dobra robota.

Podest hrabiny stoi na skraju Zachodniej Łąki Wrzosowiska Chwały, na porośniętym krzewami,

zacienionym terenie obok Wdowiej Altany. W kierunku wschodnim rozciąga się trawnik, który łagodnie opada aż do brzegu rzeki. Przed podestem stoją dwa szeregi mężczyzn ubranych w złote szaty. Każdy z nich trzyma obiema rękami linę. W środku unosi się olbrzymi balon. Napełniona gazem kula, pozszywana z lazurowych i srebrzystych kawałków materiału, próbuje wyrwać im się z rąk.

Podnieśli ją godzinę temu. Dziarski kapitan Arlandes, duma armii hrabiny, w znakomitym stylu prowadzi ludzi do walki z grawitacją: siedzi na grzbiecie czarnego rumaka bojowego, odziany w szafirowo-niebieski mundur galowy obszyty złotem i obwieszony złotymi orderami. Jedną dłoń – naznaczoną bliznami, które otrzymał podczas pojedynków – opiera na głowicy złotej szabli i wykrzykuje rozkazy do żołnierzy, którzy boją się hrabiny, lecz kochają Arlandesa.

Honor zostania pierwszą pasażerką balonu przypadł młodej żonie Arlandesa, Lucii – zarówno Arlandes, jak i Holbach są niezastąpieni na ziemi, natomiast hrabina nie wyraziła takiej chęci.

Teraz Lucia zgrabnie siedzi na wiklinowej podłodze kosza, ubrana w zwiewną koronkową sukienkę. Razem z nią w koszu znajdują się orzeł, papuga, kogut oraz kaczka, wszystkie z podciętymi skrzydłami. Ptaki zostały starannie wybrane, gdyż stanowią integralną część rytuału. Lucia jest jedynie pasażerką, ozdobą; jak to określił Holbach: tą częścią mechanizmu, która nie spełnia

żadnego zadania. To może nie brzmi zbyt delikatnie, nie zostało jednak powiedziane w złej wierze.

– Być może, panie profesorze – zaproponowała – spróbuję uspokajać zwierzęta.

Holbach się zgodził, lecz z udawanym entuzjazmem. Podczas wcześniejszych kontrolowanych doświadczeń ptaki zachowywały się w rozpaczliwy sposób i niebezpiecznie było ich dotykać lub je głaskać, a urok osobisty Lucii raczej nie może tego zmienić. Jej samej oczy lśniły z podekscytowania; była urzeczona honorem, który ją spotkał, czekającą ją przygodą oraz zmianą, której ma pomóc dokonać w mieście.

– Cichutko, skarbie – uspokajała kaczkę, kiedy Arlandes pomagał jej wejść do kosza. – Pan profesor jest bardzo mądry. Wkrótce będziesz wolna.

Odrobinę się zaczerwieniła, zawstydzona tym, że mówi do ptaków, jednak Arlandes pocałował ją w rękę, a Holbach obdarzył wystudiowanym uśmiechem, który w zamierzeniu miał być ojcowski, lecz nie niestosowny. Potem balon uniósł się w powietrze i Lucia znikła im z oczu.

* * *

Po obu stronach mężczyzn w złocistych szatach stoją dwie kolumny strzelców, którzy mają za zadanie trzymać tłum w ryzach. W mieście od rana panuje nastrój oczekiwania, podsycany przekazywanymi szeptem

plotkami o powrocie Ptaka. Gdy pojawiła się wieść o tym, że hrabina Ilona realizuje jakiś tajemniczy projekt na Wrzosowisku, garstka ciekawskich przybyła, by na to popatrzeć. A kiedy cudowna wypełniona powietrzem kula wzbiła się w powietrze, zbiegły się tłumy gapiów.

Wydaje się, że przybyło tutaj całe miasto; ludzie tłoczą się na Wrzosowisku i blokują okoliczne wąskie uliczki. Mieszkańcy nie pamiętają, kiedy ostatnio nad miastem pojawił się balon. Powozy stają porzucone na ulicach, a dzieci wspinają się na ich dachy, by lepiej widzieć. Szorstkie ubrania robotników ocierają się o aksamitne szaty. Krążą butelki. Tysiąc par butów zmienia zielone trawniki w czarne błoto. A wśród tłumu krążą agenci gerenta, przewodniczącego Cimentiego oraz pozostałych niezliczonych rywali Ilony i podejrzliwie się wszystkiemu przypatrują.

Holbach maszeruje wzdłuż szeregu żołnierzy. Na tę okazję włożył oficjalny strój: frak z grubego czerwonego aksamitu ze złotymi guzikami oraz ciężką perukę z kręconymi włosami. Lekko się poci pod ubraniem pod wpływem letniego słońca, zdenerwowania oraz gorąca bijącego od tłumu. Wie, że ludzie są przekonani, że mają do czynienia z czymś innym od zwyczajowych atrakcji: bogów, duchów i potworów, które na co dzień grają na strunach miasta. To jest maszyna. Zbudowały ją ludzkie ręce i wzniosły w powietrze w konkretnym, przebiegłym celu. Zdolność lotu pod kontrolą człowieka. Jakie inne moce – myśli tłum – przypisują sobie ci ludzie? Balon

staje się jeszcze piękniejszy dzięki delikatnej atmosferze bluźnierstwa.

A ja przecież mówiłem prawdę, myśli Holbach, hrabina rzeczywiście się odsłoniła. Jeżeli dzisiejsze przedsięwzięcie zakończy się sukcesem, ludzie ich pokochają, będą wysławiać ich triumf pod niebiosa, ale jeśli poniosą porażkę, to pomimo tego przedstawienia, tłum zapomni, jak wspaniały był balon, i zapamięta jedynie ich klęskę. Hrabina nie przeżyje takiego upokorzenia.

Holbach także się odsłonił, nie mniej niż ona. Jest naukowcem i musi dbać o reputację. A jednak zdecydował się napisać coś, co mogło narazić ją na szwank. Nie przyszło mu to z łatwością.

Dziewiętnaście lat temu opublikował swoją *Krytykę*, pierwszą monografię na temat Ptaka, która przyniosła mu sławę. W tym roku zaś, w ciężkim technicznym artykule, który spotkał się z dużym zainteresowaniem – co napawa Holbacha dumą, gdyż chciałby w sobie widzieć dziecko ludu – pokusił się o przewidzenie daty powrotu Ptaka. Odniósł się przy tym do złożonego nagromadzenia znaków obserwowanych w mieście – chaotycznego, organicznego splotu niemal nieskończonej liczby nici możliwości. Moda na jedwab; nowy wers, który pojawił się w starym dziecięcym wierszyku, „ptak macha skrzydłami/wysoko nad nami”; szaleństwo na punkcie heraldycznych wzorów z udziałem ptaków, które zapanowało wśród nowych arystokratów; niezwykły

sukces Orła i Zimorodka przy ulicy Toulmina; dzień, w którym wszystkie brudne i zdeformowane gołębie z Targowiska Kanker zostały zastąpione przez białe gołębice; pewne ściennie malowidła, które pojawiły się w różnych punktach miasta, oraz wiele innych, mniej oczywistych znaków. Oraz oczywiście sny o lataniu, także jego własne.

„To właśnie w takich znakach objawia się symbioza pomiędzy naszym miastem a jego bogami”, napisał kiedyś w jednym z haseł w Atlasie. „Bogowie kształtują miasto, miasto kształtuje bogów, a między nimi powstaje nasze życie”.

Zbieranie materiałów było trudne. Od ostatniego pojawienia się Ptaka minęły dziesięciolecia, a podzielone i nieuporządkowane miasto nigdy nie radziło sobie z prowadzeniem archiwów. Poza tym Ararat wręcz kipi od bóstw; łatwo byłoby przypisać Ptakowi znak, który stanowił na przykład zwiastun Klucza, boga wolności, albo Monana, boga silnego wiatru i otwartego nieba. Jednakże pomimo niepewności Holbach odważył się określić datę powrotu Ptaka. Przypadła ona na dzisiejszy dzień. Teraz jego rywale krążą wkoło, licząc na to, że się pomylił.

W prywatnej rozmowie Holbach zapoznał hrabinę Ilonę ze swoim planem. Dzisiejsze przedsięwzięcie jest potwornie kosztowne, więc profesor potrzebował potężnego mecenasa, by jego marzenie mogło się spełnić.

Jeżeli pomylił się w swoich przypuszczeniach, to po

tym wszystkim hrabina z pewnością nie pozostawi go przy życiu. On jednak wie, że nie popełnił błędu. Wyczuł powrót Ptaka jeszcze zanim w niebo wystrzeliła pierwsza raca. Ptak już gdzieś tam jest, a miasto przypomina olbrzymie koło, które za chwilę ma się przekręcić. Dzięki odpowiedniej dźwigni, część tej mocy może zostać zaprzężona do pracy, umożliwiając dokonanie zmian. Mapy mogą zostać nakreślone na nowo.

Holbach już minął szeregi żołnierzy odzianych w długie szaty. Na żelaznej ławce ktoś zostawił egzemplarz jakiejś gazety dużego formatu.

Holbach lekko przekrzywia głowę i widzi, że to „Wartownik”. Usiłuje przeczytać nagłówek. One często stanowią znak; przemawia przez nie miasto. Podmuch wiatru marszczy kartki. Potem jeszcze silniejszy podmuch porywa gazetę i rzuca Holbachowi na twarz. Profesor widzi słowa „Ptak”, „dzisiaj”, „przyleci” oraz znak zapytania, po czym gazeta owija mu się wokół głowy, brudząc go tuszem, a on gwałtownie ją odrzuca. Jest tutaj, myśli. Oczywiście powinien być teraz na podeście. Rusza na swoje miejsce, sapiąc i czerwieniejąc na twarzy.

* * *

Ptak nadlatuje z południowego zachodu. Okrąża ciemnobrązową wieżę Parlamentu Mass How, ostro skręca, jakby ze złością, po czym odbija na północ i wznosi się nad Wzgórze Domu Cere. Skręt jest zbyt

gwałtowny dla wielu podążających za Ptakiem ludzi. Przerażeni, pozostają sami w powietrzu. Namiastki skrzydeł, pozbawione podtrzymującej je mocy Ptaka, stają się żalną zabawką i ludzie ponownie padają ofiarą grawitacji.

Obojętny Ptak znów zwalnia i łagodnie wspina się nad Wzgórze, którego każdy centymetr szpeci gruba skorupa zrosniętych budynków. Tam, gdzie na przestrzeni lat domy nie zostały po prostu złączone w jedną strukturę, budowniczywie zakryli niegdyś otwarte place i ulice wielkimi płachtami szarej ceraty, wciskającej się między kopuły i szczyty niczym odwieczna pajęczyna. Pośród niej wznoszą się wysokie, poskręcane iglice. Brzydkie kosy wylatują ze swoich kryjówek na iglicach i przyłączają się do stada. Ceratowe całuny Domu Cere trzepoczą na wietrze i wpuszczają snopy światła w ukryty pod nimi mrok.

* * *

Niebo nad Wrzosowiskiem jest teraz pełne łopoczących skrzydeł. Tłum wrzeszczy i wiwatuje. Drzewa eksplodują ptactwem. Wróble i gołębie, trzepocząc skrzydłami, wzbijają się w powietrze i dołączają do Ptaka. Małe jaskrawo upierzone kanarki śmigają na obrzeżach stada. Wielki biały Ptak szybuje nad Wrzosowiskiem, zbliżając się do ludzi hrabiny.

Holbach wdrapuje się na podest i zasapany woła:

– Już... tu jest! Co wy... robicie? Biała! No... dalej!

Służący podnosi białą flagę. Na ten sygnał odziani w białe szaty mężczyźni ciągną za liny holownicze i puszczają się biegiem w stronę rzeki, żłobiąc ciężkimi butami bruzdy w trawniku. (Komitet do spraw Parków i Ogrodów wpadnie w szal, martwi się przez chwilę absurdalnie Holbach). Liny naprężają się i balon rusza z miejsca, pochylając się i chybcząc.

Dzisiejsze przedsięwzięcie łączy w sobie praktykę religijną i naukę. Wymaga zarówno odpowiedniej ceremonii, jak i precyzji. Holbach liczy pod nosem, po czym skrzeczy:

– Niebieska!

W górę wędruje niebieska flaga i ruszają dwa kolejne rzędy odzianych w biel mężczyzn, ciągnąc za sobą latawce i wyprzedzając poprzedników.

– Złota! – krzyczy Holbach i na Wrzosowisku od strony rzeki rozlega się trzask i syk, po czym pojawia się chmura cuchnącego dymu. Kolejna raca wzbija się w niebo i wybucha, leniwie rozrzucając lśniące gwiazdy. Zespół Holbacha przygotował ją w taki sposób, by naśladowała zarys sylwetki pikującego smoka. Na tle jasnoblękitnego południowego nieba kształt jest nieokreślony, sugestywny, niczym upiorny powidok. Kolejny fajerwerk, a po nim jeszcze jeden; wpuszczają na niebo procesję widmowych stworzeń: łabędzia, ćmę, nietoperza, sowę – wszystkie w wyblakłych pastelowych barwach, zielonkawe, wrzosowe, koralowe. Kwartet u podnóża

podestu zaczyna grać z zapalem opus 131 Barnave'a (*Poranek Orła*). Tłum szaleńczo wiwatuje na cześć każdej nowej atrakcji, nieważne, na czym ona polega.

Ptak powoli zakręca po łuku w stronę balonu, jakby zaciekawiony tym jaskrawym i niezgrabnym konkurentem. Potem nagle przyśpiesza, zmieniając się w kreskę przecinającą niebo. Balon podskakuje i ludzie hrabiny tracą grunt pod nogami, wypuszczając liny z poparzonych i zakrwawionych dłoni. Lucia piszczy. Ptak przelatuje obok balonu, który na chwilę znika w pierzastej chmurze podążającej za bóstwem. Częściowo przesłonięty przez stado, balon wygląda, jakby wywracał na lewą stronę i na moment staje się parą olbrzymich skrzydeł, dwudziestoma metrami błękitnej tafty, która rozwija się na wietrze. Skrzydła uderzają tylko raz, po czym tkanina powoli opada na ziemię, wijąc się w powietrzu niczym dym. Kosz również spada, lecz znacznie szybciej. Niewielka ptasia menażeria ucieka z niego, prezentując uzdrowione skrzydła, i dołącza do boskiego stada.

Mężczyźni z latawcami docierają do rzeki, gdzie flotylla niewielkich łodzi tłoczy się przy czarnym drewnianym molo. Przywiązują liny do dziobów i ruf czekających jednostek, a następnie odpychają je od nabrzeża. Łodzie wypływają na środek rzeki, ciągnąc za sobą latawce, które lekko wznoszą się w powietrze, po czym zaczynają miotać się i nurkować pod wpływem entuzjastycznych podmuchów wiatru.

Na środku rzeki stoi fregata „Gromowładny”, chluba

niewielkiej floty hrabiny i weteran dziesięcioletniej kampanii prowadzonej przeciwko piratom na drugim końcu Morza Spokojnego (a czasami także przeciwko flotom rywali hrabiny, w okolicznościach, których najbezpieczniej nie pamiętać). Na statku znajdują się trzydzieści dwa długie działa, a na pokładach nerwowo czeka ponad stuosobowa załoga: nie jest to największy okręt we flotach Ararat, ale słynie z szybkości i gracji, a te odgrywają istotną rolę w eksperymencie Holbacha. Z dziobu wychyla się świeżo odmalowana rzeźba amazonki, która jest odziana w długą szatę i trzyma w obu dłoniach błyskawice. Drewno poniżej galionu ma intensywny, ciemny kolor.

Przed świtem ludzie hrabiny sprowadzili bez wielkiej pompy statek z otwartego morza i popłynęli rzeką Urgos w głąb miasta, spychając na bok barki ze śmieciami oraz węglem. Rzeka jest szeroka i głęboka, jednak okręt wojenny to kolos, przypominający lewiatana z otchłani, który próbuje wdrzeć się na ląd.

Usunęli żagle. Holbach nadzorował pracę z dziobówki, obserwując walący się wokół niego z hałasem las masztów i takielunku – załoga pokrzykiwała, przeklinała i wyęczała siły. Holbach krzywił się, patrząc, jak piękna maszyna jest rozrywana na części. Potem jego zespół wniósł na pokład drugi, większy balon, wlokąc po trapie sflaczałą powłokę, wyglądem przypominającą meduzę: teraz w miejscu głównego masztu spoczywa sterta złocistego materiału, która czeka na napełnienie

powietrzem i życiem.

Holbach próbował wyjaśnić wszystko sceptycznie nastawionemu Arlandesowi, gdy stali na ogołoconym pokładzie:

– Oczywiście, że balon nie uniesie statku, nie sam z siebie; musiałby być, och, jakieś sto razy większy; jednak stanowi znak, który Ptak rozpozna.

Arlandes uniósł brew. Miał rozpraszająco piękne niebieskie oczy.

– Uważa pan, że bóg zrobi to, co mu pan rozkaże, profesorze?

Holbach wzruszył pulchnymi ramionami i odwrócił wzrok od jego oczu i lodowatego uśmiechu.

– Tak. Tak i nie. Okręt jest znakiem, tak jak fajerwerki, latawce i cała reszta. Niech go pan potraktuje... cóż, jako olbrzymią, jaskrawą latającą kopułę katedry, która zostanie napełniona błogosławieństwem Ptaka. To zadziała, kapitanie.

Bogowie, mam nadzieję, że to prawda. Za późno już, by się tym martwić. Nadchodzi długo oczekiwany moment; po chwili jest już po wszystkim i Holbach widzi, jak Ptak przelatuje nad rzeką i szybuje na północ w stronę Faugere i Wzgórza Kapturów. Hrabina chwyta go za ramię elegancką, kościstą dłonią i mocno ją zaciska. Ma bardzo ostre paznokcie.

Holbach patrzy. Wszystko idzie jak z płatka. Złocista powłoka, jeszcze przed chwilą sflaczała, napina się i unosi z pokładu „Gromowładnego”. Balon się napełnia. Grube

liny (niewidoczne z tej odległości), które mocują balon do dziobu i rufy, zaraz się naprężą. Marynarze kłębią się na pokładach niczym małe czarne mrówki.

Nagle w powietrze wznosi się kilka niewielkich spiczastych latawców, niepewnie nabierając wysokości, zatrzymując się i miotając. Pośród nich w niebo wzbija się także „Gromowładny”.

Jego kadłub sięga pod powierzchnię wody głębiej niż przypuszczał Holbach. Statek powoli się wynurza, a rzeka unosi się wraz z nim w długim pocałunku, po czym opada strumieniami deszczu. Okręt pnie się po niebie na tle budynków stojących na prawym brzegu – wyżej niż kopuła Akademii Hoffmana, wyżej niż dzwonnica Świątyni Pełzającego Kamienia, wreszcie wyżej niż zardzewiałe dźwigi, które wznoszą się ponad magazynem Braci Brattle. Jest potężny, nawet z tej odległości, a wektor jego ruchu jest tak nieprawdopodobny, że przez chwilę Holbachowi zdaje się, że statek się nie porusza, a to miasto i błękitne niebo opadają coraz niżej i zostają w tyle. Profesor chwyta się relingu, by odzyskać równowagę.

Zaczyna liczyć.

– Jeden, dwa, trzy... – Ptak odleciał. Okręt, wbrew rozsądkowi, pozostaje w powietrzu – ... sześćdziesiąt jeden... – Wciąż leci, z każdą chwilą coraz bardziej zaprzeczając prawom logiki. Nagi kadłub przypomina groteskowo rozdęty czarny brzuch. Wydaje się kompletnie nie na miejscu w swoim nowym żywiole, a

jednak wisi w powietrzu, nic sobie z tego nie robiąc. – Sto dwadzieścia. – Ludzie w łodziach z latawcami rzucają liny na pokład „Gromowładnego”. Załoga fregaty mocuje je wokół okrętu, zmieniając satelicką flotę w koronę zawieszoną nad miastem. „Gromowładny” triumfalnie wznosi się nad Wrzosowiskiem. Oddaje kilka przerażająco głośnych salw z dział.

Tłum wiwatuje, wrzeszczy i tupie, zagłuszając nawet wystrzały. Holbach klaszcze i uśmiecha się, uśmiecha, uśmiecha. Jego eksperyment się powiódł. Wszystkie szalone gesty, znaki i zwiastuny, balony i fajerwerki – które Holbach uznaje za naukę, a tłum za religijną praktykę – pozwoliły uwięzić dar Ptaka w kadłubie „Gromowładnego”. Teraz okręt już nigdy nie będzie musiał lądować. Jeszcze nikt nigdy czegoś takiego nie dokonał.

Ale teraz do głosu dochodzi polityka; Holbach musi sięgnąć po inną dziedzinę nauki, jeśli chce wykorzystać tę chwilę dla własnych celów. Dlatego skacze po podeście, ściskając dłonie wszystkim zgromadzonym, gratulując im i sobie.

– Doskonała robota... Pana wkład był nieoceniony, panie ministrze... Mam nadzieję, że możemy liczyć na wsparcie podczas realizacji kolejnych przedsięwzięć, Eminencjo...

Podczas gdy dumni jak pawie dworzanie stroszą piórka, hrabina podchodzi do krawędzi podestu. Jej biała twarz nie wyraża żadnych emocji. Służący zaprowadzają

krzykiem porządek; kiedy dziennikarze „Ery”, „Herolda” i „Inteligenta” gromadzą się u jej stóp, wylewa na nich potok zapewnień z lekką nutą groźby: „Oto dar dla miasta, który będzie wykorzystywany wyłącznie w służbie całego Ararat” – zapewnia. A także: „Ten okręt jest aktem czci, żywą świątynią Ptaka, nie ma w nim niczego bluźnierczego ani czarnoksięskiego, a podobne sugestie byłyby wielce nieodpowiedzialne, dlatego mam nadzieję, że się nie pojawią... ”.

Za jej plecami kapitan Arlandes wpatruje się w poskręcane szczątki spoczywające na środku Zachodniej Łąki: rozpruty wiklinowy kosz i niewielką nieruchomą postać w białej sukience. Z jakiegoś powodu kapitan wyjął szablę z pochwy i teraz trzyma ją w lekko drżącej dłoni.

Pochód chwały Holbacha doprowadza go przed oblicze Arlandesa; profesor wyciąga dłoń.

– Brawo, kapitanie. Zapewne nie może się pan doczekać przejęcia dowództwa nad swoją nową jednostką?

Arlandes nie podaje mu ręki. Jest jak skamieniały. Holbach również stoi bez ruchu, z wyciągniętą dłonią, a z jego twarzy powoli znika niezręczny uśmiech.

* * *

Wydaje się, że upływ czasu oraz grawitacja ulegają zawieszeniu. Potem Jack ciężko ląduje na szorstkiej

ceglanej powierzchni, opierając się na dłoniach i stopach. Nie ma pojęcia, co pomogło mu przekroczyć otchłań. A jednak znalazł się po drugiej stronie.

Jedna z kobiet podchodzi do niego z wyciągniętą dłonią. Może chce mu pomóc, a może go przytrzymać. Jack pluje jej w twarz, warczy i kłapie zębami. Kiedy dziewczyna się cofa, on rzuca się do drzwi, a potem zbiega po schodach, przemyka między rzędami grzechoczących krosien, wydostaje się na zewnątrz przez wybite okno i znika w alejce.

* * *

Ptak szybuje na północ. Pod nim miasto stopniowo wznosi się raz ze zboczami góry Ar. Stado, które podążało za bóstwem, już się rozproszyło. Srebrzysto-niebieska wstążka rzeki kieruje się na zachód. Aby dotrzeć tak daleko śladem jej biegu, trzeba by poświęcić wiele dni, a podróż wymagałaby przebycia wielu niebezpiecznych części miasta. Po drodze można by napotkać innych bogów i zapomnieć, dokąd się zmierza; nie wszystkie siły, które działają w mieście, są równie łagodne jak Ptak, a największy respekt należy odczuwać przed samą rzeką.

Tutaj cuchnące uliczki i targowiska gęsto oplatają labirynt olbrzymich kamiennych ścian, które wzniesiono w pradawnych czasach. Ptak powoli zawraca, po czym siada na wysokim kruszejącym łuku na złączeniu dwóch ścian. Składa skrzydła i przestępuje z nogi na nogę,

odłupując pazurami kawałki kamienia. Przypomina teraz zwykłego ptaka – prawdziwego, a nie tylko jego cień. Płaskie pióra mają matowy kolor kamienia; olbrzymie żółte oczy są pozbawione wyrazu.

Ptak zużył już niemal całą swoją moc. Rozrzucił swe dary nad miastem, czasami zmuszany do tego przez tajemną naukę, a czasami zgodnie z własną wolą. Wprowadził zmiany w materii miasta, w jego świętej i niestabilnej topografii; zmiany, które kartografowie i badacze będą wychwytywać na przestrzeni kolejnych tygodni: delikatnie zmienił bieg rzeki, kształtując nowe zgrabne zakręty; wzniósł śmiały grzebień wież nad wzgórzami. Co nie mniej ważne, ustanowił nowe granice terytoriów dla miejskiego ptactwa. Nie jest ani zadowolony, ani niezadowolony ze swojej pracy. Jest już gotowy, by wyruszyć dalej, otworzyć drogę prowadzącą do kolejnej części miasta, zacząć od nowa.

Pochyla się niespiesznie, wyciągając i skręcając szyję. Rozluźnia się, a następnie powoli sztywnieje, sięgając ku przeciwległej ścianie. Po chwili już nie jest ptakiem, lecz stromym łukiem przyporowym z żółtego kamienia. Ostatnim malutkim znakiem na mapie miasta.

Bóstwo opuszcza Ararat. Lato ustępuje miejsca jesieni. Zaczyna padać słaby zimny deszcz.

Rozdział 2

W nigdy nieopublikowanym czwartym wydaniu niesławnego Atlasu Nicolasa Maine'a miasto Ararat zostałyby opisane w następujący sposób:

„ARARAT: Święte miasto, wielki, stale realizowany projekt bogów, miasto tysiąca władców; ale to już wiecie. To wszystko, co widzicie ze swojego okna, a także wiele rzeczy, które pozostają poza waszym polem widzenia, oraz jeszcze więcej takich, które zostały przed wami w okrutny sposób zakryte. Wszystko, co zostało tutaj zapisane, uprzednio zapisano na jego ulicach, lecz dopiero tutaj nadajemy tej wiedzy znaczenie i ją porządkujemy.

Wszystko, co w jednym miejscu jest prawdą o Ararat, w innym stanowi kłamstwo. Na kolejnych i poprzednich stronach próbujemy oddać miastu sprawiedliwość, apelujemy jednak o pobłażliwość dla naszych błędów. A jeżeli prawda wzbudza w was gniew, to nie jest nam przykro”.

Ów opis, sporządzony częściowo przez Holbacha, a częściowo przez dramaturga Liancourta, był oczywiście żartem, Ararat bowiem stanowiło temat całego Atlasu i nawet jego liczne tomy nie były w stanie oddać złożoności miasta: było to równie absurdalne jak próba opisania samego Atlasu w jednym z jego haseł.

Miejscy poeci i kapłani, filary świata biznesu oraz pochlebcy władców, uderzali w mniej ambiwalentne tony. „Oto Ararat”, głosili: „Błogosławione, nawiedzone Ararat! Pierwsze pośród miast, serce i wierzchołek świata; niewyobrażalnie stare, lecz przebudowujące się milion razy dziennie. Kamienie, cegły i żelazo, ciało i sny, które splatają się razem, rozdzielają i ponownie splatają na skrzyżowaniach ścieżek tysiąca bóstw: gdzie znaczenia skraplają się w materię miasta, lśniąca i dumna. Jakże blada i wątła wydaje się reszta świata w porównaniu z Ararat! Niech każdy, kto może, głosi jego chwałę”. Jednak na nabrzeżu, na Przystani Giesa, Arjun siedział na swoim bagażu w padającym deszczu, pomiędzy żonglującym klaunem, który namalował sobie na twarzy rozmazaną farbą wzór węzowych łusek, a dwoma śmierdzącymi rybnymi straganami, i pytał sam siebie, co on, do kurwy nędzy, używając prymitywnego i drażniącego przekleństwa, które poznał na morzu i znienawidził, ale które w tej sytuacji wydawało się jak najbardziej na miejscu, a więc: co on, do kurwy nędzy, tutaj robi?

Jego misja pchnęła go za morze i na drugi koniec świata, doszedł jednak do wniosku, że ani razu w ciągu swej długiej podróży nie pozwolił sobie na dokładne przyjrzenie się istocie zadania, które go czeka, i nie zastanawiał się nad tym, jak bardzo jest ono niejasne i nieprecyzyjnie określone. Wreszcie znalazł się w mieście i powinien zabrać się do dzieła, ale nie miał pojęcia jak. A

co, jeśli się mylę? Jeśli jego tutaj po prostu nie ma? – myślał. Miał niewiele pieniędzy i nie wiedział, gdzie ma się zatrzymać.

Ludzie, którzy mijali go w wielkim pędzie, potrącali, wrzeszczeli na niego i próbowali mu coś sprzedać, w większości byli jasnoskórzy; czasem wręcz nienaturalnie bladzi. Mieszkańcy miasta nie mieli wystarczająco dużo kontaktu ze słońcem. Inni byli ciemnoskórzy lub przynajmniej przybrudzeni. Złocisto-brązowa karnacja Arjuna wydawała się unikatową i spotykała się z ciekawskimi, a nawet wrogimi spojrzeniami, na które reagował uprzejmym uśmiechem i coraz większym przygnębieniem.

Wkrótce deszcz przegonił klauna. Arjun schował się pod zieloną markizą, wyjął z torby pióro i rozwinął arkusz. Ułożył go na okładce egzemplarza *Technik* Girolama i zaczął pisać: „Ojcowie, Matki, przybyłem do miasta pod koniec lata, przez morze, przynosząc nasze nadzieje”.

* * *

Podobnie jak Ararat, miasteczko Gad rozciągało się w cieniu gór, daleko na południu, niemal na drugim krańcu świata. Jego gospodarstwa rolne stały na kamienistym gruncie pod ciemnym mchem i fioletowymi wrzosami. Powietrze w Gad było czyste i zimne. Dźwięk niósł się tam bardzo daleko. Być może właśnie dlatego pierwsi

osadnicy byli w stanie usłyszeć Głos.

Dom Chóru był jedynym dużym budynkiem w Gad i w promieniu kilku mil. Stał w samym środku miasteczka. Kształtem przypominał koło przykryte płytką kopułą. Na znakach rumbowych wznosiły się cztery iglice. Piąta wyrastała ze środka kopuły i przewyższała pozo stałe wysokością. Jej ściany zostały zbudowane z ciemnego górskiego kamienia, na którym wyrzeźbiono ponure i abstrakcyjne posrebrzane wzory. Do wnętrza wypełnionych kontemplacyjną ciszą wpadało przez duże okna górskie światło.

Miasteczko Gad zbudowano na zboczu wzgórza, tak że przekrzywione słomiano-gliniane dachy domów wyglądały, jakby z nabożną czcią kłaniały się Domowi Chóru. Uliczki były wąskie i poplątane, na najszerszej z nich z trudem mieściły się wozy, które przyjeżdżały z gospodarstw. Inne pojazdy się tam nie pojawiały. W Gad znajdowało się tylko jedno targowisko, które nie nosiło nazwy.

Gad nie miało w górach żadnych sąsiadów. Na ciepłe i hałaśliwe równiny wiodła z miasteczka tylko jedna droga. W zimie była ona nieprzejezdna, a latem mieszkańcy Gad handlowali z miastami na równinach, posyłając niewielkie nadwyżki produktów na wozach zaprzężonych w woły.

Czasem razem z wozami na równiny udawał się któryś z Chórzystów. Brudne, zapijaczone miasteczka hodowców bydła bywały niebezpieczne, ale Chórzystów nikt nie zaczepiał – każdemu idiocie, który choćby

dotknął ich czarnych szat, rychło zostałyby wymierzona sprawiedliwość, a przynajmniej to, co za nią uchodziło w tym gorącym i hałaśliwym świecie. Miasteczka chętnie przyjmowały Chórzystów, ceniąc ich lekarstwa, umiejętność obchodzenia się ze zwierzętami oraz cierpliwość w zażegnaniu sporów; przede wszystkim jednak ludzie z równin – których codzienne życie było surowe, ciężkie i praktyczne – pragnęli usłyszeć pieśń Chórzystów i dzięki niej doświadczyć bliskości świętego Głosu z Gad.

Na pustkowiu na obrzeżach miasta bądź na polanie w mrocznym lesie Chórzysta – a częściej Chórzystka – śpiewał, dopóki noc nie zapadła nad równinami, po czym niepostrzeżenie się oddalał. O świcie czekał w tym samym miejscu, siedząc na ziemi ze skrzyżowanymi nogami, otoczony czarną szatą układającą się wokół jego stóp, czekając na dzieci z miasteczka. Sprawdzał je przez cały dzień, pomagając nieśmiałym malcom improwizować niezgrabne dyszkanty na bazie jego *cantus planus*. Uważnie wsłuchiwał się w ich głosy, podczas gdy zdenerwowani rodzice czekali w domach. Najczęściej pakował się i opuszczał miasto samotnie. Tylko nieliczne dzieci miały dar pieśni; te zabierał ze sobą.

* * *

Arjun był bardzo mały, kiedy Matka Abayla przesłuchała go i sprowadziła do Gad. Wkrótce zapomniał

o swoim poprzednim życiu, nie licząc kilku rozproszonych obrazów. Pamiętał konie, krowy, dźwięki pianina, które przebijały się przez ciepłą, monotonna, rozedrganą muzykę sitarów, oraz pijany rytm bębenków, w jakimś pomieszczeniu pełnym wysokich, wirujących nóg odzianych w zakurzoną brązową skórę oraz jasne koronki i jedwabie; zapach kurzu, krów i taniego rumu. Niewiele więcej. Chórzyści z pogardą odnosili się do takich instrumentów, jednakże, kiedy Arjun komponował, wyobrażał sobie tamto tanie pianino, chłopskie bębenki i monotony sitar, a wspomnienie to naznaczało jego muzykę dudniącą energią odróżniającą ją od dzieł innych uczniów. Poza tymi chwilami nigdy się nie zastanawiał, jak mogło wyglądać jego życie, zanim trafił do Gad.

Pozwolili mu zachować imię, które otrzymał przy urodzeniu. Dodali do niego słowo *Dvanda*, oznaczające czynność wzmacniania akordów poprzez ich podwajanie i powtarzanie, lecz wybrali je ze względu na brzmienie, nie znaczenie – w ten sposób podczas wyśpiewywania listy uczniów stał się *Arjunem Dvandą*. To lepiej pasowało do metrum.

* * *

Arjun przeszedł wczesną mutację. Jego głos nie stał się przez to nieprzyjemny, a jedynie przeciętny i odrobinę płaski. Wystarczająco dobry, by ryczeć przyśpiewki podczas wiejskich biesiad na równinach, a prawdę

mówiąc lepszy niż u najznakomitszych śpiewaków w innych częściach świata, jednak niewystarczająco dobry jak na potrzeby Chóru. Chór istniał po to, by odzwierciedlać brzmienie Głosu. Temu zadaniu mogli podołać tylko śpiewacy o najczystszej barwie. Chłopcy, którzy nie spełniali pokładanych w nich oczekiwań, byli w atmosferze smutku odsyłani na równiny.

Arjunowi pozwolono zostać ze względu na niezwykle talent kompozytorski. To było jego najwcześniejsze prawdziwe wspomnienie: siedział w wyłożonym lakierowanymi panelami gabinecie Matki Abelii, która objaśniała mu jego sytuację wspólnie z Matką Jessicą i Ojcem Julah. Dali mu wybór: mógł zostać lub opuścić Dom Chóru i udać się do Gad, gdzie znalazłby dach nad głową. Był bardzo mały i siedział na twardym drewnianym krześle. Matki i Ojcowie nie byli okrutni, chyba że za okrucieństwo uznamy stawianie dziecka przed takim wyborem. Za to byli bardzo uczciwi.

Arjun postanowił zostać. Kiedy Chór ćwiczył w południe, pozwalano mu odgrywać małe role, pod warunkiem, że stawał obok śpiewaków o silniejszych głosach. Kiedy Chór śpiewał o zmroku w holu w środkowej iglicy, monotonnie i rytmicznie adorując Głos, pozwalano mu stać w zewnętrznych kręgach, gdzie mniej utalentowani uczniowie słuchali w milczeniu.

Rozgoryczony Arjun rozwijał inne talenty.

Chórzyści byli mistrzami wielu delikatnych sztuk. Jedną ze szkół wchodzących w skład Chóru

specjalizowała się w mechanice, jej warsztaty mieściły się w południowej iglicy. Budowano tam precyzyjne zegary i zmyślne zabawki – nakręcanego chodzącego człowieka, tancerkę, która padała na ziemię, po czym znów się prostowała, ścigające się konie o sprytnie zaprojektowanych kopytach, którymi nigdy nie dotykały namalowanej trawy. Na równinach mieszkał wielki wódz, będący przyjacielem Gad; posłał do Chóru dwóch synów oraz córkę, ale sam nigdy nie zawitał w góry. Zbudowano dla niego dioramę przedstawiającą Gad, na której małe blaszane figurki krążyły po torach wokół Domu Chóru, przemieszczając się misterną siecią wyrzeźbionych uliczek. Poza tym, mieszkańcy równin domagali się pozytywek, a Chórzyści spełniali ich prośby, choć uważali, że urządzenia te jedynie brzęczą i fałszują.

W ogrodach i szklarniach wokół Domu Chóru kolejna szkoła zajmowała się ziołami, lekami i przyprawami. Inni Chórzyści w tunelach warzyli piwo oraz wyrabiali rum i wysokoprocentowe trunki. Kolejni wytwarzali instrumenty muzyczne, z których większość zachowywali dla siebie; ludzie z równin nie potrzebowali bardziej wyszukanych instrumentów. Arjun zajął się komponowaniem. Każdy uczeń od czasu do czasu miał za zadanie coś skomponować – był to sposób na zbliżenie się do pieśni Głosu – jednak Arjun robił to ciągle, w sposób obsesyjny. Kiedy skończył czternaście lat, jego biurko w bibliotece było wypchane gęsto zapisanymi notatnikami. Nakłaniał pozostałych uczniów do odtwarzania jego dzieł.

Kompozycje z czasem stawały się trudniejsze i bardziej zawile. Inni uczniowie mieli takie silne i czyste głosy. Arjun był pozbawiony tej łaski. Czuł się niezręcznie i cierpiał.

* * *

Został przeniesiony z zewnętrznego kręgu uczniów do drugiego kręgu. Dzięki temu stał się, jak mu powiedziano, dokładniejszym echem Głosu; z czasem miał się do niego coraz bardziej przybliżać, aż do osiągnięcia idealnego współbrzmienia. Zaczęto mu proponować drobne role w pieśni w mniej ważne dni ceremonialnego kalendarza. Do jego nazwiska dodano przydomek *Atyava* i przeniesiono go do kwatery we wschodniej iglicy.

* * *

W gabinecie Ojca Julah wysoko we wschodniej iglicy Arjun odkrył swój niezwykły talent językowy.

Udał się tam, by omówić z nauczycielem pewien problem, który napotkał podczas komponowania nowego dzieła. Czarnobrody Julah cierpliwie wysłuchał zdolnego dziecka, siedząc ze złączonymi palcami i opuszczoną głową. Kiedy Arjun skończył, Julah przez chwilę się zastanawiał, po czym zaczął przeszukiwać półki.

– Mam. *Zasady* Ojca Nayarena. Kiedy byłem w twoim wieku, stanowiły podstawę kanonu lektur. Weź tę książkę

i przeczytaj drugi rozdział. A oprócz tego... aha!

Podniósł tom oprawiony w czerwoną skórę – na przedniej i tylnej stronie okładki widniał wizerunek cienkiego wijącego się smoka, wykonany za pomocą złotej folii. Julah otworzył książkę na chybił trafił i pokazał ją Arjunowi. Zamiast znajomych liter strony wypełniały rzędy – nie, kolumny – misternych wzorów. Przypominały schematy mechanizmów Ojca Aniasa, nuty albo poskręcane korzenie roślin.

– To akaszycki. Nie znam autora. Książkę rzekomo napisał Smok Deszcz Płatków z Niebiańskiego Parlamentu, ale podejrzewam, że pióro trzymała raczej ludzka dłoń. Zagadnienie – tak je nazwijmy – z którym zмага się autor, w pewnym sensie przypomina twój problem. Oczywiście nie potrafisz odczytać treści, ale ja tak, choć nie w takim stopniu, w jakim bym chciał. Pozwól, że ci przeczytam. „*Gakusei*” – to oznacza uczniów – „słuchajcie...”.

Arjun wrócił następnego dnia, a potem kolejnego, by słuchać, jak Julah czyta księgę. Szło im to wolno, ponieważ Arjun chciał poznać akaszycki odpowiednik każdego słowa, które wypowiadał nauczyciel. A gdy skończyli, chłopiec znalazł inne akaszyckie dzieła. Znalazł także słowniki oraz podręczniki gramatologii i zaczął samodzielnie uczyć się języka.

Na przestrzeni wieków, w starym budynku zgromadzono olbrzymi i zadziwiająco zróżnicowany księgozbiór, rozrzucony między gabinetami Chórzystów,

skarbcami, magazynami i pracowniami. Arjun przeczesywał półki i dokopywał się do ukrytych skarbnic dziwnych słów. Uczył się z nadnaturalną szybkością. To był po prostu inny rodzaj muzyki, a muzykę łatwo było przyswajać pośród ech Głosu. W ciągu roku Arjun opanował akaszycki i zaczął się uczyć tuwarskiego oraz języka mali.

Nikt, nawet Ojciec Julah, nie potrafił zaprezentować mu wymowy większości słów, więc chłopiec musiał zgadywać. Wyszukiwał dawne zbiory poezji i starał się odkrywać wymowę dziwnych samogłosek na podstawie rymów i miary wierszowej. Siedząc samotnie w swoim pokoju, ćwiczył rozmowy w tuzinie języków. Przywiązywał ogromną wagę do brzmienia. Niestety, przestał komponować i prawie nigdy nie śpiewał.

* * *

Kiedy skończył piętnaście lat, uciekł, podążając za dziewczyną. Później nawet nie pamiętał, dlaczego to zrobił. Nie potrafił także przypomnieć sobie jej twarzy.

Tsuritsa pochodziła spoza miasta. Jej rodzina przyjechała na wozach, by kupić mechaniczne zabawki, które później zamierzali sprzedać na równinach. Zatrzymali się na przedmieściach Gad, na skrawku ziemi zbyt kamienistym, by cokolwiek na nim uprawiać, i zostali tam przez tydzień. Wieczorami palili ognisko.

Tsuritsa była o rok lub dwa lata starsza od Arjuna.

Nosiła czerwoną sukienkę, miała czarne oczy i zadziwiająco bladą skórę. Arjun przyszedł popatrzeć, jak dziewczyna tańczy wokół ogniska ze swoimi braćmi. Towarzyszyło mu dwóch innych chłopców. Usiadł ze skrzyżowanymi nogami na granicy światła. Po chwili Tsuritsa przestała tańczyć i wzięła od brata skrzypce, na których zaczęła akompaniować pozostałym tancerzom. Arjun został na swoim miejscu, podczas gdy jego koledzy się oddalili.

Kiedy Tsuritsa skończyła, Arjun zawołał z cienia:

– Zaburzasz strukturę muzyki! Na końcu emocje powinny się nasilać, a ty pozwalasz im umrzeć. Nie wiem, czy znasz fachowe słownictwo, ale mogę ci pomóc grać lepiej.

Jej brat kazał mu spadać, jednak Arjun cierpliwie czekał, dopóki dziewczyna nie odpowiedziała.

– Dobrze. Pokaż mi, chórzysto.

W ciągu następnych kilku tygodni pozwoliła nauczyć się kilku sztuczek ze skrzypcami; podczas tych lekcji Arjun stał za jej plecami i trzymał swoje dłonie na jej dłoniach. Sama nauczyła go kilku słów ze swojej podróźniczej gwary, a także pozwoliła zdjąć z siebie połataną i brudną sukienkę na polach poza miastem i obozowiskiem.

Kiedy jej rodzina odjechała, Arjun podążył za nimi pieszo. Nie pamiętał, kiedy podjął tę decyzję; gdy później się nad tym zastanawiał, przypominał sobie wrażenie zamknięcia, tonięcia, wygrzebywania się z kłębowiska

roślin oraz przeraźliwe pragnienie ucieczki. Nie mógł nadażyć za wozami i nie zabrał ze sobą wystarczająco dużo jedzenia i wody. Służący Chóru odnaleźli go kilka dni później obok drogi, pod płotem jednego z gospodarstw, na wpół zamarzniętego.

Leżał w łóżku, trawiony gorączką. Wydawało mu się, że rośliny chwytają go i wciągają z powrotem pod wodę. W cieniach pełzających poza granicą blasku świecy widział zielone kołyszące się liście. Jego ciało było bezwładne. Oddech rwał się i buntował. Przyszłość była czarną rzeką. Nienawidził każdej cząstki siebie, swojego ciała, tego pokoju i świata, a także swego pozbawionego wdzięku głosu, a choć był wyczerpany i wyprany z emocji, jego nienawiść była bardzo drobiazgowa.

Zielarze postarali się, by gorączka go nie zabiła. Pewnego jasnego poranka powiedzieli mu, że wkrótce wydobrzeje. A kiedy już stanie na nogi, będzie gotowy, by wspiąć się po schodach wewnątrz środkowej iglicy i znaleźć się sam na sam z Głosem.

* * *

Chór nie znał historii swoich początków. Chórzyści znakomicie posługiwali się rękami i głosem, lecz nie interesowała ich własna przeszłość. Uważali się za ponadczasowych.

Dzieci wymyślały różne opowieści, wyobrażając sobie samotnego pasterza kóz, który, szukając zaginionego

zwierzęcia, szedł wąską górską ścieżką pomiędzy skałami, aż natrafił na srebrzysty strumień, a gdy chciał się z niego napić, nagle znieruchomiał z wyciągniętą dłonią, gdyż ze strumienia dobiegła go boska pieśń bez słów. Albo wielkiego wodza z równin, bądź wyśmiewanego chłopca nawiedzanego przez sny o muzyce, który poprowadził swój lud do jej źródeł. Właśnie coś takiego mogło się wydarzyć.

Głos nosił także wiele innych imion; czasami nazywano go Wielką Muzyką lub Akordem Akordów albo Przeczystym Dźwiękiem Złotej Piszczalki bądź Ostatecznym, Siedmiokrotnym, Tysiącrotnym lub Ustawicznym Echem. W parze z mnogością imion szła niezwykła prostota natury bóstwa, co świadczyło o niedoskonałości ludzi, którzy nadawali mu imiona, a nie o niedoskonałości samego boga. Arjun zawsze używał określenia Głos. Dlaczego nie? W końcu bóstwo do niego przemawiało.

Chórzyści, zgodnie z nauką Matek i Ojców, byli echem Głosu. Poświęcali życie na niesienie jego echa do Gad oraz na równiny. Na korytarzach Domu Chóru bądź na ulicach miasteczka czasami można było usłyszeć maleńki czysty fragment Głosu, jakby niesiony wiatrem lub rozwijający się w ciszy ludzkiego serca.

(Wiele lat później, gdy leżeli razem w łóżku w jej mieszkaniu na Hebanowych Polach, Arjun próbował opisać to Olimpiii: „Rozmawiasz z kimś, kto stoi obok ciebie, a nagle ten ktoś go słyszy, choć ty nie jesteś w

stanie. Przekrzywia głowę i milknie z uśmiechem na ustach. Albo zaczyna płakać pod wpływem odczuwanej ulgi. A czasami jedno i drugie. W takiej sytuacji czekaliśmy, aż to minie: wiedzieliśmy na czym to polega. To było bardzo ważne. Chyba nie potrafię lepiej tego wyjaśnić". Nie rozumiała, a on nie miał jej tego za złe).

Taka sporadyczna i odbita obecność bóstwa nawiedzała całe Gad, ale tylko w jednym miejscu Głos rozbrzmiewał nieprzerwanie i czysto: wysoko na środkowej iglicy, ponad salą, w której Chór śpiewał o zmroku. Kiedy któryś z uczniów był gotów, by zostać wywyższonym, Głos przekazywał zakamuflowaną wiadomość Chórzystom, a ci przyprowadzali do niego wskazanego chłopca.

Arjun powinien być dumny, jednak gorączka wypaliła go emocjonalnie. Kiedy dwa dni później Matka Abayla i Ojciec Julah przyszli po niego o świcie, poszedł z nimi w milczeniu.

Poprowadzili Arjuna w górę krętych schodów w środkowej iglicy. Chłopiec nadal chwiał się na nogach. Dotarli do okrągłej sali, gdzie wieczorem miał się zebrać Chór.

Schody pięły się po łuku wzdłuż ścian sali, sięgając aż do krokwi. Obok schodów, w ciemności wisiały srebrne dzwonki, wznosząc się dostojnie po spirali. Najcięższe i najgłębiej brzmiące dzwony, zwane Wołami, wisiały najniżej; dzwonki na samym szczycie były delikatne niczym srebrzyste ptaszki. Ojciec Julah strzepnął kurz z najwyższego dzwonka, a wtedy drżący dźwięk pomknął w

dół spirali, opadając po oktawach w ciemność. Matka Abayla cmoknęła z dezaprobatą i zawstydzony Julah spuścił brodate oblicze.

Kobieta otworzyła drzwi w cieniu pod okapem i przeszli przez mroczne poddasze. Na jego końcu znajdowały się kręte schody z kutego żelaza, które prowadziły na dach. Na szczycie schodów Arjun otworzył wąż i wspiał się do Komnaty.

Pomieszczenie mieściło się na wierzchołku iglicy; nie można go było dostrzec z ziemi. Arjun z zaskoczeniem stwierdził, że jest zbudowane ze szkła. Przezroczyste tafle opierały się na czarnych żelaznych dźwigarach i słupach oraz rozporkach z ciemnego drewna. Niebo miało bladoszary kolor świtu.

Arjun usiadł ze skrzyżowanymi nogami i czekał. Nie słyszał żadnej muzyki, tylko dobiegające zewsząd ciche trzeszczenie szkła, żelaza i drewna. Wiatr świstał w szczelinach. Pomieszczenie lekko, niemal niezauważalnie się chwiało na wierzchołku iglicy.

Chłopak siedział w ciszy, słuchając trzeszczenia napiętego drewna. Na granicy słyszalności rozlegało się skrzypienie szklanych tafli, przeciągły pisk, który towarzyszył rozciąganiu, kurczeniu i kołysaniu się konstrukcji na wietrze. W umyśle Arjuna panowały jasność i pustka.

Długo koncentrował się na trzeszczeniu drewna, jednak ten dźwięk był pozbawiony znaczenia i kształtu. Dlatego Arjun skupił się także na szumie wiatru. Obydwa dźwięki

spokojnie się sobie przeciwstawiały. Pojawiało się w nich echo melodii, a także zaczątek rytmu, oba tak wolne i ciche, że niewprawione ucho nigdy by ich nie wykryło.

Spuścił głowę i ponownie rozszerzył zakres uwagi, obejmując nią także odgłosy szkła i żelaza, a potem ciche dźwięki kamienia; następnie również odgłosy ptaków na zewnątrz, dźwięki budynku, ciche ścieżki Chórzystów, odgłosy miasta i rzeki. Szukał kształtu, porządku w przepływającym szeleście.

Znalazł go na samej krawędzi skupienia. Muzyka była niezwykle cicha, powolna i prosta. Dochodziła ze ścian i z nieba, a także skądś dalej. Rozległa istota delikatnie sięgała do wnętrza Komnaty. Kiedy Arjun wychodził jej naprzeciw, mógł jej dotknąć. Przemieniała wszystkie dźwięki, w które wkraczała; grała nieprawdopodobnie piękną muzykę na strunach Komnaty i kopule świata. Arjun czuł, jak wycofują się lepkie liście roślin. Czuł się czysty. Było mu smutno, ale miał w sobie wielkie pokłady dobra i siły. Głos szeptał do niego i go podtrzymywał.

Wieczorem zszedł z wierzchołka iglicy, a jego policzki były pokryte wyschniętymi łzami. Matka Abayla i Ojciec Julah pomogli mu, z szacunkiem przytrzymując go za chude ręce i zamykając drzwi.

Następnego dnia Arjun zrobił sobie tonsurę i włożył czarną szatę. Przeniósł się do gabinetu czeladnika na pierwszym piętrze. Wiezorami przyjmował uczniów, których nauczał języków. Niektórzy byli w jego wieku lub starsi. Żaden nie dorównywał mu talentem, jednak Arjun

starał się być cierpliwy i uprzejmy. Przez długi czas czuł się pogodzony ze wszystkim i był z tego zadowolony.

* * *

Arjun nie był ostatnią osobą, która usłyszała Głos, ale po nim udało się to niewielu osobom. W kolejnych miesiącach bóstwo wezwało tylko dwójkę uczniów, dwoje dziewcząt nieco starszych od Arjuna. Potem już nikt więcej nie został wywyższony.

Nikt nie wiedział dokładnie, kiedy Głos zaczął się wycofywać. To skomplikowało sprawy. Cztery miesiące po wizycie Arjuna w Komnacie Ojciec Pulli wrócił stamtąd zmieszany i wystraszony, po czym wyznał Matce Abayli, że nasłuchiwał przez cały dzień, ale niczego nie usłyszał. Matki i Ojcowie zebrali się, by przedyskutować problem. Byli bardzo zmartwieni. Czy Ojciec Pulli był zbyt niecierpliwy? Czy coś go rozproszyło? Dali mu odczuć, że go kochają i chcą mu pomóc.

Później zdali sobie sprawę, że Ojciec Pulli z pewnością nie był jedynym, który wrócił z Komnaty, nie usłyszawszy Głosu, ale jako pierwszy się do tego przyznał. Przypomnieli sobie, jak wielu z ich kolegów sprawiało wrażenie nieobecnych, poirytowanych i zagubionych. Jak wielu ich okłamywało, być może całymi tygodniami? Matka Kinnaka, po powrocie z Komnaty utrzymywała, że usłyszała Głos, choć nikomu innemu się to nie udało, ale twierdziła, że zanikał, gubił się, zmieniał

w zwykły hałas. Nikt nie wiedział, czy można jej wierzyć.

Nie dało się tego długo ukrywać przed uczniami. Strach i niepewność były zbyt dobrze widoczne. Poza tym Głos już nie unosił się w powietrzu. Jego nieobecność z początku nie została zauważona – i tak zdarzało się to niezbyt często – jednak z upływem kolejnych miesięcy stała się dotkliwa.

Chór przypominał gasnące echo. Bez Głosu rozbrzmiewającego w ścianach, Dom Chóru stał się zwyczajnym brzydkim czarnym budynkiem, zimnym, pełnym cieni i zagraconym. Jaki był cel jego istnienia? Nie było w nim muzyki, i to dosłownie: na ścianach i iglicach znajdowały się kunsztownie rzeźbione kanelury, kanaliki i grzbiety, wypełnione i okolone stalowymi, srebrnymi i szklanymi rurkami. Kiedy Głos był obecny, cała budowla bezustannie gwizdała i mruczała, ciszej lub głośniej, w zależności od siły wiatru, a teraz rozlegał się tylko hałas, na zmianę przenikliwy i bezbarwny, arytmiczny i bezduszny niczym brzęczenie komara, niepozwalający spać w nocy. Rytuały odprawiane za dnia wydawały się puste i pedantyczne. Dzieci zaczęły przypominać innych malców, których zabrano rodzicom i zmuszono do ciężkiej pracy w ciemnych pomieszczeniach. Stały się nerwowe, rozzłoszczone i zgorzkniałe. Nie było Głosu, który mógłby je pocieszyć. Matki i Ojcowie byli surowymi nauczycielami, pozbawionymi współczucia przełożonymi.

(Wiele lat później Arjun próbował opowiedzieć miastu,

jakie to było uczucie. Olimpia wysłuchała go z życzliwością, wielu innych śmiało się i przewracało oczami, ale nikt nie zrozumiał. Ararat było zbyt bogate w bóstwa, by pojąć nędzę).

Coraz mniej uczniów pojawiała się w gabinecie Arjuna, by zdobywać wiedzę. Znacznie trudniej było uczyć się słów bez wsparcia Głosu. Większość zrezygnowała.

Każdego wieczoru w drodze na kolację Arjun mijał warsztaty, które coraz bardziej pustoszały wraz z przedłużaniem się nieobecności Głosu. Druty i sprężyny wypadały uczniom z rąk, chłopcy tracili cierpliwość i ciskali budowanymi przedmiotami o ścianę.

Minęły dwa lata. Niektórzy starsi uczniowie zrozumieli, że Głos już nigdy ich nie wezwie, i opuścili Chór, udając się do Gad lub na równiny. Dwaj odszczepieńcy znaleźli zatrudnienie w biurze burmistrza, gdzie z goryczą zaczęli kwestionować status podatkowy Chóru. Chórzyści stworzyli komisję, która miała za zadanie prowadzenie negocjacji z Gad. Potem na rynku wywiązała się bójka pomiędzy uczniami i chłopcami z miasteczka. Debata dotycząca tego, kto powinien ich ukarać, przebiegała w bardzo napiętej atmosferze.

Trzy lata po ostatniej wizycie w Komnacie Ojciec Pulli powiesił się w swoim gabinecie. Znaleziono go dopiero po kilku dniach. Wkrótce w jego ślady poszli inni, jakby śmierć Pulliego stanowiła długo oczekiwane pozwolenie.

Nadal od czasu do czasu schodzili na równiny, a mieszkańcy wciąż byli im wdzięczni za lekarstwa, lecz

Chórzystom trudno było znaleźć pieśń, którą mogliby im zaśpiewać. Ponadto ludzie ukrywali starszych synów oraz inne dzieci, które mogły im pomóc w gospodarstwie lub interesach, a na przesłuchania przyprawdzali tylko nadwyżkę potomstwa. Chórzyści nie mieli serca zabierać pochlipujących, nieufnych malców, nawet jeśli ci sprawiali obiecujące wrażenie. Nie widzieli w tym sensu.

Gad nie miało ochoty dalej zaopatrywać Chóru, a ten nie chciał dzielić się z miasteczkiem, więc obie strony rozpoczęły handel. Arjun przez dwa lata pracował jako rachmistrz razem z grupą Ojca Uttara. Doszedł do wniosku, że gabinet burmistrza ich oszukuje. Poinformował o tym komisję, ale negocjacje rozegrały się za jego plecami. Korupcja trwała nadal, a jego kolejny raport został zignorowany. Arjun podejrzewał, że komisja otrzymała coś w zamian za przymknięcie oka, ale nigdy się nie dowiedział, co to było. Jego praca wydawała mu się bezcelowa.

Tylko Głos dodawał mu sił. Arjun kurczowo się go trzymał, najdłużej jak potrafił, ale Głos zaczął blaknąć, stał się słaby i kruchy, aż w końcu rozplynał się tak samo jak pozostałe wspomnienia z dzieciństwa.

* * *

Pracując w archiwum, przekopując się przez zapomniane teksty, Arjun obmyślił plan. Najpierw udał się do Ojca Julah. Usiadł na brzegu sofy i zastanawiał się,

jak ma to powiedzieć.

Za głową nauczyciela wisiało lustro. Czasami w trakcie seminariów Julah przeglądał się w nim i modelował brodę (teraz już siwiejącą) za pomocą pary malutkich złotych nożyczek; wydawało się, że lubi to robić w obecności innych – choć obecnie zdarzało mu się to rzadziej. Arjun widział w lustrze swoje oblicze: chude, ciemne i napięte. Być może zbyt napięte. Przez chwilę próbował przybrać wyraz twarzy, który stanowiłby przekonujący kompromis pomiędzy rozsądkiem a emocjami, ale uznał, że to nie pora na nadmiar taktu, i zamiast tego odezwał się stanowczym głosem.

– Ojczy, Głos odszedł. Jesteśmy jak harfa pozbawiona strun. Nie ma w nas jego oddechu. On już nie wróci.

Julah przez chwilę milczał.

– Arjunie, zawsze starałem się służyć ci pomocą. Myślę, że o tym wiesz. Ale teraz mogę ci doradzić jedynie cierpliwość. Nastaly ciężkie czasy.

– Cierpliwość? Ale na co czekamy? Bez Głosu nie mamy celu. Nie przetrwamy. Najwyżej dziesięć lat, nie więcej. Gad nas połknie. Równiny się od nas odwrócą. Nie możemy przyjmować nowych uczniów. To nie byłoby uczciwe. Co mamy im do zaoferowania? Głos nie wróci. To już zbyt długo trwa. Nie wiem, czy nie jest już w stanie do nas dotrzeć, czy może sami go przepędziliśmy, albo się nami znudził... ale nie wróci.

– Pamiętasz Łeba? Niedawno był u mnie i mówił bardzo podobne rzeczy. Potem od nas odszedł, Arjunie.

Nie chcę, żebyś to zrobił. Przyszedłeś, by mnie spytać, czy powinieneś odejść?

Arjun popatrzył nauczycielowi w oczy.

– Tak. Proszę o zgodę na odejście. Zaczekaj, Ojczy; wysłuchaj mnie. Już kiedyś uciekłem. Odnaleźliście mnie i zabraliście do Komnaty Głosu. Teraz znów muszę odejść. Ale tym razem przyprowadzę Głos z powrotem.

* * *

Powiedział o tym Julah i Abayli, potem różnorakim podkomisjom, a na samym końcu, stojąc w olbrzymiej mrocznej sali, radzie złożonej ze wszystkich Chórzystów, którzy w swych czarnych szatach przypominali wielkie wrony. Spytał ich, czy słyszeli o mieście Ararat, leżącym na północy, na drugim krańcu świata.

Słyszeli opowieści. Jest to miasto niewyobrażalnie rozległe i stare, umiejscowione na północnym skraju wszystkich map znajdujących się w Domu Chóru. Za tą linią nie ma już niczego poza nim – bezgranicznym, niezbadanym, olbrzymim znakiem zapytania. Setka hrabiów, książąt, parlamentów i Kościołów walczy o władzę nad tym labiryntem ulic.

Tak jak każdy, znali opowieści o bogach Ararat. Po ulicach spaceruje tam tysiąc bóstw. Podobno tworzy je samo miasto, a następnie otacza niemal gorączkową czcią. Chórzyści słyszeli, że na niebie ponad miastem pojawia się olbrzymi ptak; że duch oszustwa nawiedza teatry,

snując się za czerwonymi kurtynami, naznaczając obłędem sny miasta; że w kanałach panuje głód. W Ararat ich ukochany Głos byłby tylko jednym z wielu bogów. To była bolesna myśl.

Arjun wyjął teksty, które odnalazł w skarbcach, teologiczne i naukowe dzieła uczonych z Ararat, po czym odczytał Chórzystom odpowiednie fragmenty. Przekonał ich. Po pierwsze, Głos odszedł z Gad. Mogą siedzieć w Komnacie i wyteżać słuch, aż umrą z głodu, ale i tak go nie usłyszą. Gad umiera. Po drugie, Ararat żyje, a jego ulice są żyzną ziemią dla boskości. Po trzecie, Ararat – Arjun postukał palcem w stosowny ustęp *Dyskursu teogenicznego* Kamisara („Spójrzcie na miasto nie jak na pająka, który siedzi na środku swej sieci, lecz jak na piłkę leżącą na rozległej gumowej powierzchni; zwróćcie uwagę na to, w jaki sposób odkształca materię świata”) – przyciąga do siebie bogów. Jest głodne boskości i kradnie ją reszcie świata. Arjun zaprezentował przykłady zaczerpnięte z książek historycznych oraz notatek na marginesach starych zwojów. Gdzież indziej mógł się udać Głos, jeśli nie do Ararat? Być może zagubił się na ulicach miasta lub rozbrzmiewa w jakiejś pustej wieży; a jeśli tak, to można podążyć w ślad za nim. Arjun może to zrobić, odnaleźć go i sprowadzić z powrotem. A przynajmniej, jeżeli dokładnie przeszuka ulice miasta bogów, może odnaleźć jakąś wskazówkę, która powie mu, skąd przybył i dokąd odszedł Głos.

Rada była nastawiona sceptycznie. Arjun był

przekonany, że nie otrzymałby zgody na odejście, gdyby nie wstawił się za nim Julah, a ten zapewne zrobił to tylko po to, by młodzieniec nie musiał wymykać się w nocy jak złodziej; nauczyciel chciał mu oszczędzić tej hańby.

Arjun wątpił, by udało mu się sprowadzić Głos z powrotem do Gad. Szczerze mówiąc, nie miał pojęcia, jak mógłby tego dokonać, i cieszył się, że Rada nie zadawała zbyt wielu pytań. Po prostu nie mógł już znieść oczekiwania; uznał, że w zupełności mu wystarczy, jeśli zdoła odnaleźć Głos w jakiejś alejce i jeszcze raz go usłyszy. Nie sądził, by go było stać na więcej.

* * *

Kiedy wreszcie otrzymał błogosławieństwo Chóru, śnieg zatarasował ścieżkę, która prowadziła w dół górskiego zbocza. Arjun siedział w swojej kwaterze i zabijał czas, czytając o Ararat i wiodącej tam drodze.

Wiedział, że podróż będzie niebezpieczna. Natrafił na egzemplarz książki *Techniki – wojskowe i amatorskie* żołnierza-dworzanina-uwodziciela Aniana Girolama i zaczął przyswajać wskazówki autora dotyczące posługiwania się bronią białą, próbując kierować się ilustracjami. Nie wiedział, czy czyni jakiegokolwiek postępy.

Zszedł z góry na początku nowego roku. Chórzyści dobrze go wyposażyli. Otrzymał pieniądze oraz zapas zabawek i lekarstw przeznaczonych na wymianę w

miejscach, w których nie uznawano pieniędzy. Zabrał książki Girolama, Kamisara i kilka innych tekstów, a także nóż. Kiedy dotarł na równiny, w uliczce na tyłach sali tanecznej kupił pistolet.

Powoli ruszył przez suche równiny na północ. Przez jakiś czas podróżował z taborem podobnym do tego, z którym przyjechała Tsuritsa. Później towarzyszył grupie hodowców bydła, których okłamał, że sprawnie posługuje się bronią palną i jeździ konno, ale spowalniał ich, więc go zostawili.

Nadeszła pora deszczowa i niebiosa obróciły się wokół własnej osi, po czym wylały na równiny zawartość mórz, a świat pogrążył się w błocie i białej wodzie. Arjun zatrzymał się w miasteczku Happal, gdzie opiekował się wołami. Spał w stodole i nocami śpiewał olbrzymim cuchnącym zwierzętom.

Kiedy deszcze ustały, opuścił równiny; zapłacił za spływ płaskodenną barką w dół rzeki, dzięki czemu pokonał śmierdzące bagna na północy. Ominął góry i przekroczył wzgórza na grzbiecie osła, którego kupił w jednym z miasteczek w dolinie. Gdy ponownie nadeszła zima, zamieszkał razem z Amą, córką wioskowego lekarza, w otoczonym sosnami Hokkbur, gdzie postrzegano go jako postać egzotyczną i fascynującą; uczył dzieci Amy gry na pianinie, a gdy drogi znów były bezpieczne, wyruszył w dalszą podróż. Zapłacił za transport przez rozległą północną pustynię wielką maszyną, która ryczała i pluła czarnym dymem,

przemieszczając się pośród piasków po żelaznych torach. Nigdy wcześniej nie widział takiego pojazdu ani o nim nie słyszał. Podejrzewał, że gwałtowni, ciemnoskórzy mężczyźni, którzy podawali się za właściciele maszyny, mieli równie niewielkie pojęcie o jej działaniu.

Tonsura na głowie Arjuna zarosła. Na pustyni jego skóra pociemniała i stwardniała, pod bujną czarną brodą stopniowo zmieniając barwę z miedzianej na herbacianą, a potem na tekową. Przyzwyczyił się do głodu. Zawsze był szczupły i delikatny, teraz stał się zyłasty. Miał okazję poćwiczyć strzelanie.

Pokonał Morze Spokojne na pokładzie statku handlowego, który wypłynął z Ghentu. Arjun spytał, jaki ładunek przewozi tak niewielka jednostka. Obdarzając młodzieńca szczerbatym uśmiechem, kapitan wyjaśnił, że większe, wolniejsze okręty mogą przewozić drewno lub jedzenie, ale prawdziwego bogactwa i ryzyka w handlu z Ararat można doświadczyć tylko dzięki bardziej ezoterycznym towarom. W tym roku w lukach znajdował się ładunek zębów różnych gatunków zwierząt. Jeśli kapitan miał dobre informacje, to zakon Ukteny spał na pieniądzach i wciąż był przekonany o świętości tych małych fetyszy. No właśnie: jeśli. Dwa lata wcześniej handlarz przybył do Ararat z zapasem dwustronnych luster, które zamierzał sprzedać wyznawcom Lavilokana, ale na miejscu odkrył, że obecnie z jakiegoś kretyńskiego powodu uznają oni takie lustra za bluźnierstwo. Niemal doprowadziło go to do ruiny. Dotknął masztu na szczęście

i wzruszył ramionami – miasto było szalone, co począć?

Okręt pojawił się w Zatoce w jasny poranek. Arjun ledwie zauważył przelot Ptaka. Widział tylko białą smugę, która znikła ponad dachami miasta. Kapitan jęknął i padł na kolana. Arjun taktownie czekał, zadowolony, że nie odczuwa strachu. Być może była to pomyślna wróżba.

Załoga wprowadziła statek do zatoki w przepełnionej trwogą i nerwowej ciszy. Bez trudu przedostali się przez panujący tam chaos. Spodziewali się, że ktoś ich zatrzyma i zacznie wypytywać albo zażąda łapówki, ale w obliczu kłębowiska bezładnie krążących i wpadających na siebie jednostek, które pozostało po przelocie Ptaka, nikt nie zwrócił uwagi na mały statek handlowy.

Zacumowali na Przystani Giesa. Arjun chwycił tępy czarny pacholek cumowy i wyskoczył na brzeg. Mocno uścisnął dłoń kapitana, po czym zmieszał się z tłumem.

* * *

Spytał o drogę urzędnika z jednej ze spółek handlowych, który co prawda cały czas niespokojnie zerkał ponad ramieniem Arjuna na zniszczenia w porcie, ale wskazał mu właściwy kierunek.

Przepychał się przez tłum, trzymając torbę blisko ciała z obawy przed złodziejami. Przeszedł pod ozdobnym drewnianym łukiem i opuścił port szeroką brukowaną ulicą, która prowadziła na północny wschód, okrążając okazałe Wzgórze Stajenne. Przez zieloną zasłonę

wysokich lip, które rosły na poboczu, spoglądał w dół na rzekę i na kanciaste, agresywne magazyny oraz zapadnięte portowe alejki. Drogę blokowały powozy pomalowane w barwy lordów, pozłacane lektyki, prymitywne drewniane wozy, którymi transportowano produkty z portu. Na całej długości drogi pasażerowie wysiedli ze swoich pojazdów i wpatrywali się w niebo. Kiedy Ptak poleciał dalej, pojazdy ponownie włączały się do ruchu. Zaczęło padać.

Ulica Cato biegła na północ pod kolejnym łukiem, który tym razem miał postać prostej budowli z białego kamienia, na samym szczycie ozdobionej rzeźbami dwóch koni stojących dęba i, zgodnie z informacją zawartą na tabliczce, poświęconej niejakiemu przewodniczącemu Cimentiemu. Na północ od łuku wznosił się rząd dużych marmurowych budynków. Szerokie schody sięgały od fasad z kolumnadami do okolonej drzewami ulicy; rzędy anonimowych okien biur rysowały się na tle nieba. W oddali wznosiły się iglice i kopuły potężnych świątyń.

Ulica Trębaczy odchodziła na południe od łuku Cimentiego. Doprowadziła ona Arjuna, zgodnie z tym co mu powiedziano, do dostojnych domów z czerwonej cegły, typowych dla Okręgu Foyle'a. Arjun skręcił w kierunku Tarczy Mullena, gdzie niepozorne budynki biurowe otaczały niewielką otwartą przestrzeń w samym sercu Okręgu. Lśniący bruk był śliski i czarny od deszczu. Młodzieniec ruszył wokół Tarczy zgodnie z kierunkiem ruchu wskazówek zegara, odliczając numery na mosiężnych plakietkach. Szukał siedemnastki.

Na tydzień przed tym jak Arjun stanął przed obliczem Rady, Ojciec Julah wręczył mu pożółkły list. Pochodził on z jakiegoś skarbca, do którego Arjun nie miał dostępu. Julah wyjaśnił, że niemal sto lat wcześniej autor listu, Ojciec Alai, udał się na północ do Ararat. Ówczesni Chórzyści nie określili powodów jego wędrówki. Julah życzliwie nie stwierdził oczywistego faktu, że przełożeni uważali podróż Alaiego za haniebną próżność.

Trzy lata później otrzymali list. Głos jeden wie, w jaki sposób pokonał on tę niewyobrażalną odległość. Nie był to pierwszy list, który Alai próbował wysłać. Mężczyzna z radością chełpił się tym, że założył w Ararat niewielki chór i był na najlepszej drodze, by dodać Głos do licznego panteonu miejskich bóstw. Poinformował, że mieszkańcy Ararat okazali się bardzo życzliwi i hojni. Podał adres.

Arjun wątpił w zdrowie psychiczne Alaiego. Kto porzuciłby Głos, aby nauczać w odległym mieście? Co mogło obchodzić Chórzystów, jakie bóstwa czczono w Ararat? Jaki był sens zakładania kolejnego Chóru w innym miejscu, oddalonym o pół świata od Głosu? A jednak był to jego jedyny kontakt. Następcy tego człowieka z pewnością mu pomogą. Może nawet sami odnaleźli Głos. Niewykluczone, że to właśnie do nich przybył. Przynajmniej był to jakiś punkt zaczepienia.

Zastukał mosięzną kołatką i czekał.

* * *

Później powędrował w deszczu z powrotem ulicą Cato. Oczywiście nic nie pozostało ze stuletniej placówki Alaiego.

Poświęcono ją jakiemuś lokalnemu bóstwu, potem kolejnemu, a wreszcie zamieniono w biuro prawnicze. Jak szybko zachodzą tutaj zmiany! Kobieta, która otworzyła Arjunowi, była zaintrygowana jego opowieścią – nie raz zachodziła w głowę, po co poprzedni właściciel zainstalował olbrzymie organy, które zajmowały całe drugie piętro i których nie sposób było usunąć bez zburzenia budynku. Poza nimi mężczyzna nie zostawił po sobie żadnych śladów.

Arjun wrócił na nabrzeże i usiadł na Przystani Giesa. Dziwił się, w jaki sposób dotarł tak daleko bez żadnego planu. Nie znał nikogo, kto mógłby mu pomóc, ani żadnego miejsca, w którym mógłby rozpocząć poszukiwania. Nie miał pojęcia, co dalej robić i dokąd się udać.

Napisał list. Wypełnił go pustą, fałszywą pewnością siebie – podobnie jak to uczynił Alai. Złożył kartkę i schował ją do torby między stronice książki Girolama, zastanawiając się, czy kiedykolwiek zdoła go wysłać i czy Chórzyści w ogóle na niego czekają.

Słońce schowało się za sterczącymi dachami domów w Okręgu Barbarii. Od strony wody nadciągnęła gęsta mgła, tłumiąc odgłosy nabrzeża, które szykowało się do nocnego odpoczynku. Z baru za plecami Arjuna wyszedł chłopiec i zapalił płomień ulicznej latarni. Arjun siedział

samotnie, otoczony upiorną aureolą. Ulice przypominały wloty tuneli.

Wstał. Spojrzał w głąb szerokiej ulicy Cato, która biegła pod górę, wynurzając się z szarości, i zajrzał do wnętrza czarnych tuneli, które połykały dokerów wracających do swych domów w Okręgu Barbarii. Rzucił monetą.

Rozdział 3

W ciągu pierwszych godzin po ucieczce Jack biegł rozpaczliwie ulicami, próbując jak najbardziej oddalić się od Domu, trzymając się bocznych alejek i cieni, unikając przechodniów.

Zaczęło padać, a zimna mżawka szybko zmieniła się w ulewę, pod wpływem której gięły się drzewa i wylewały rynsztoki. Cienka połyskująca jedwabna koszula Jacka wkrótce przemieęła. Chłopca ogarnął przeraźliwy strach. W Domu Barbotina deszcz ograniczał się do odległego echa odgłosów kropli bębniących w zewnętrzne ściany. Owszem, wilgoć często przedostawała się przez szpary w ścianach, ale nie działo się tam nic takiego jak teraz. Jack bał się spadającego nieba.

Skorzystał z pierwszego schronienia, które znalazł: ceglanego okapu na tyłach browaru, obok stajni dla koni pociągowych. Bliskość zwierzęcych ciał dodawała mu otuchy; pozostało mu to z dzieciństwa. Deszcz obficie obmywał podwórze. Jack wystawił dłoń, by nałapać na nią wody, po czym wychylił się i zmusił do spojrzenia w górę prosto w wir spadających kropli. Zamrugął i zakrzuszył się, czując pieczenie w oczach; wyjrzał ponownie, potem jeszcze raz, powtarzając to, dopóki deszcz nie ustał. Wtedy przeciągnął dłonią po śliskich czarnych włosach i zgarnął wodę z twarzy.

* * *

Wiedział, gdzie się znalazł. W tych monotonnych szarych ulicach rozpoznał miejsce zwane Shutlow. Miejscowi wymawiali człon „low” w sposób przypominający miauczenie kota. Po tym można ich było rozpoznać. To tutaj Jack przyszedł na świat. Na północy znajdowało się szare zbocze skarpy, a na jej szczycie wznosiła się dzielnica Mass How; Shutlow rozciągało się poniżej, niczym coś nie do końca zadowalającego, co pozostawiono za progiem dla organizacji charytatywnych.

Znał drogę do domu, choć mapa w jego pamięci zatarła się bardziej niż przypuszczał. Poza tym mnóstwo się tutaj pozmieniało, a dawne znajome miejsca często wyglądały na wymarłe i opuszczone, zabite deskami lub zamurowane. Shutlow nigdy nie było kwitnącą dzielnicą, ale teraz zdawało się mniejsze i bardziej zapuszczone niż kiedykolwiek. Ludzie, przeważnie drobni urzędnicy, sprawiali wrażenie nerwowych i udręczonych. Jack przez chwilę spacerował po okolicy, zbyt wystraszony, by spytać o drogę, boleśnie świadomy swojego dziwaczego stroju.

Dom, w którym się urodził, wciąż stał, ale obecnie nikt w nim nie mieszkał. Został przekształcony w biuro. Na tabliczce zawieszanej na wysokości ulicy widniał napis „Dom Kupiecki Giesa, Import i Eksport”; na oknach na piętrze swoje usługi reklamowali dużą czcionką dentysta i notariusz.

A więc jego rodzina odeszła. Być może rodzice umarli. Byli zapijaczonymi, pozbawionymi uczuć władcami zdziczałego domowego śmietnika; nie będzie zbyt za nimi tęsknił. Zresztą, i tak dorastał bez nich. A co z jego rodzeństwem? Czy jest gdzieś uwięzione? Nie żyje? Może rozproszyło się po całym mieście? Nie miał pojęcia, jak mógłby je odnaleźć. Zresztą nie był zbyt sentymentalny.

Ale dom to co innego: do niego miał sentyment, więc zabolowało go to, co się z nim stało. Przeszedł wzdłuż jednej ze ścian, przeciągając po niej palcami. Pamiętał wszystkie pęknięcia i wzory. Pod oknem znajdowała się trzydziestocentymetrowa wydrapana na murze podobizna mężczyzny, który trzymał coś, co w założeniu miało być młotem. Jack przypomniał ją sobie z czułością. Palce kolejnych pokoleń mieszkańców wygładziły krawędzie prymitywnego wizerunku. Podobne dzieła można było znaleźć w całej dzielnicy Shutlow, a zapewne także w całym mieście, pomiędzy symbolami gangów, reklamami, znakami pozostawianymi przez żebraków oraz całą resztą miejskich malowideł i hieroglifów. Kolejny wizerunek został wydrapany na ścianie domu naprzeciwko i miał postać (mniej więcej) kota.

Kiedy ktoś ujrzał, jak w mieście objawia się jeden z bogów – i jeśli to doświadczenie go nie zmieniło, a przynajmniej nie wyrządziło mu krzywdy – wtedy wydrapywał odpowiedni obraz w świętej materii. Mistrzowie w Domu Barbotina nazywali to „teofania”. Normalni ludzie raczej użyliby określenia „cud” albo

„objawienie”; być może nawet „przedstawienie”, gdyby chcieli uchodzić za twardych, chłodnych i obojętnych. Takie doświadczenie oznaczało albo wielkie szczęście, albo wielkiego pecha. Wydrapany wizerunek miał służyć uczczeniu tego przeżycia i przypominać wszystkim, czym dziełem tak naprawdę jest miasto.

Pod palcami Jacka znajdował się Atenu, Robotnik. Po drugiej stronie ulicy widniała podobizna Yemayi, Matki-Sfinksa. Gdyby chłopak miał nóż, wyciąłby w miękkim wilgotnym drewnie pod swoją dłonią parę skrzydeł. Wiedział, że do rana taki wizerunek pojawi się w całym mieście.

Żaden bóg nie nawiedzał ich w korytarzach Domu. Nawet Tyber, Płomień, pod którego wezwaniem działał Dom, trzymał się z daleka. Może tak było lepiej – nie mogli obwiniać za swój los nikogo poza ludźmi, którzy stworzyli Dom. Inna możliwość była zbyt bolesna.

Po kilkuminutowych poszukiwaniach Jack znalazł wizerunek Sfinksa ukryty za bujną rośliną, która dawniej tu nie rosła. Usiadł obok niego i zapatrzył się w okno domu handlowego po drugiej stronie ulicy. Kiedy po pewnym czasie młody mężczyzna, który siedział za biurkiem w budynku, stanął w drzwiach, podejrzliwie mierząc Jacka wzrokiem, chłopak wycofał się w głąb alejki.

Tej nocy spał na twardej ziemi, zwinięty w kłębek za drzewem na pustej działce. Ziab o mało go nie zabił.

* * *

Śnił mu się Dom Barbotina. Był to mroczny sen.

Słaby blask, który stanowił jedyne źródło światła w Domu, pochodził z wąskiego środkowego szybu, który sięgał do otworu w dachu. Na zewnątrz prowadziły tylko jedne drzwi, na poziomie ulicy, a przekraczało się je tylko raz, jako dziecko. Na wyższych piętrach Jack pracował w przędzalniach pogrążonych w półmroku, przeplatając i skręcając jedwabne nici, obsługując maszyny. Pośród pozbawionych okien żelaznych ścian noce były czarne i dzikie. W lecie Dom przypominał rozpalony piec, zimą zaś zamarzał.

Kto mógł zbudować coś takiego? Jack znał historię Domu, jej fragmentów nauczali Mistrzowie, resztę stanowiły plotki. Budynek dawniej był magazynem, należącym do Domu Handlowego Ergamota, niegdyś potężnego koncernu, który zbankrutował na skutek paranoi ostatniego prezesa; budowla przy ulicy Plessy'ego stanowiła drobny przejaw tej choroby.

Na złość swoim wierzycielom, zrujnowany prezes ofiarował budynek upadającego zakładu Kościołowi Tybru. Kiedy Kościół wygrał wszystkie wyniki z tego faktu sprawy sądowe, stanął przed problemem, co począć z otrzymanym okropieństwem. Budynek przez kilka lat stał niewykorzystany, aż wreszcie Ojciec Barbotin doznał olśnienia: ten olbrzymi sejf, z którego nie sposób uciec i do którego nie można się włamać, z pewnością został

przez bogów pomyślany jako szkoła.

Pierwszy plan Ojca Barbotina zakładał zamknięcie w budynku kwiatu kościelnej młodzieży, by uchronić ją przed pokusami miasta i umożliwić jej skupienie się na nauce, jednak towarzysze Barbotina z niechęcią podszli do pomysłu zamknięcia ich synów w żelaznej klatce pośród brudu Okręgu Barbarii. Dlatego duchowny był zmuszony zaproponować – Jack wyobrażał sobie, jak Barbotin to mówi; nosił w sobie niezwykle wyraźny obraz dawno zmarłego Ojca, dodatkowo wyostrzony za sprawą odczuwanej nienawiści – by budynek wykorzystano jako dom poprawczy, w którym zamykano by i temperowano bezpańską portową młodzież. W ten sposób dom mógłby na siebie zarabiać: chłopcy wykonywaliby rozwijającą charakter, potrzebną i opłacalną pracę. Po kilku odpowiednich poprawkach plan szybko zyskał poparcie. Tyber to bóstwo sprawiedliwości, karzącego i oczyszczającego płomienia, dlatego otwarcie domu poprawczego wydawało się naturalnym krokiem dla jego Kościoła.

Popiersie Barbotina stało w centralnej części każdego piętra, w wąskiej studni światła. Obdarzało mieszkańców Domu zagadkowym uśmiechem, w którym nie było ani okrucieństwa, ani współczucia. Czy duchowny nienawidził ich za podłe wypaczenie jego wizji? Wyśnione ustronie dla najzdolniejszych młodzieńców w Ararat stało się kolejnym domem poprawczym dla miejskich szumowin. Z pewnością oni nienawidzili jego.

W Domu nigdy do końca nie zapomniano o tym, jak wielką wagę Barbotin przykładął do edukacji. Chłopcy całymi dniami pracowali przy maszynach, ale wieczorami zaganiano ich do mrocznych sal, gdzie odbywały się lekcje. Mistrzowie nie byli wielkimi uczonymi – tylko najbardziej godni politowania członkowie Kościoła zgadzali się na harówkę w tym miejscu – jednak przed wypuszczeniem z powrotem na ulicę chłopcy przechodzili chaotyczne lecz intensywne szkolenie teologiczne. Jack stał się więc uczniem o dziwacznej i wąskiej specjalizacji. Potrafił głosić katechezę niczym kapłan oraz prowadzić doktrynalne dyskusje z teologami. Oczywiście nigdy nie zamierzał stać się ani jednym, ani drugim, ale i tak nie potrafił wybaczyć piętna, którym naznaczył go Dom Barbotina.

Dlatego uważnie słuchał, gdy pan Garond – patykowaty, niemal niewidoczny cień pochylony nad biurkiem – czytał swoim uczniom artykuł z „Wartownika” dotyczący przewidywanego powrotu Olbrzymiego Ptaka. Później Jack przyszedł do świetlnej studni z kilkoma książkami, które wypożyczył z niewielkiej biblioteki Domu, i dokładnie je przestudiował. Z pracowni potajemnie wyniósł nożyczki i nitkę, z magazynu ukradł jedwab i zaczął pracować nad swoim rytuałem. Wkrótce potem pobił się z Dallowem.

Tradycją Domu Barbotina była walka o przywilej pracy w pralni. Co prawda nawet starsi chłopcy mieli trudności z obracaniem wielkich kół magła, ale było to bezpieczne

zajęcie. Najważniejszy zaś był fakt, że Dom dysponował zbyt małą liczbą wyżymarek jak na ilość prania, z którą musiał sobie poradzić. Dlatego w niektóre dni nadmiar prania zabierano na dach, aby ubrania wyschły na słońcu i wietrze, a wtedy także pracownicy pralni mogli na chwilę wystawić swoje blade i wychudłe ciała na świeże powietrze. Zażarcie walczyli o ten przywilej – dobrze wiedzieli, że to żalosne, ale nie mieli niczego innego, o co mogliby się bić.

Jack zaczepił nie lubianego i prymitywnego brodatego Dallowa z Aysuluk, byłego majtka, który kiedyś nadmiernie zaszalał po zejściu na ląd – twierdził, że chciał jedynie obronić małego Simona przed żądaniami Dallowa, i po części była to prawda, jednak zrobiłby to także bez tego pretekstu. Zaskoczył Dallowa, powalając go na ziemię kopniakiem w tył kolana, a następnie łamiąc mu uderzeniem stopy palce u ręki.

Kiedy już było po wszystkim, Jack pochylił się nad krzyczącym i zasmarkanym chłopakiem i szepnął:

– Wybacz, kolego, ale ty zrobiłbyś dokładnie to samo.

Dallow był już dość stary. Miał chyba z osiemnaście lat; te dwa czy trzy lata, które dzieliły go od Jacka wydawały się szeroką, mroczną przepaścią. Teraz, kiedy był niezdolny do pracy, mogli go wypuścić wcześniej. Tak naprawdę Jack wyświadczył mu przysługę. Odwrócił się w stronę przypatrujących się im chłopców.

– Przejmuję jego robotę, zgoda? A może ktoś chciałby spróbować o nią zawalczyć?

Cztery noce wcześniej usunął kilka istotnych sworzni i śrubek z trzech wyżymarek. Za tę zuchwałość wychłostano tuzin innych chłopców. Jacka nie było wśród nich; nie widział sposobu na to, by dobrowolnie poddać się karze bez zaprzepaszczenia swojego planu. Od tamtej pory każdego dnia Mistrzowie musieli wyprowadzać pracowników pralni na dach, dzięki czemu Jack znalazł się we właściwym miejscu o właściwym czasie.

Zaczął śnić o przybyciu Ptaka. Jego umysł na chwilę wypełniły białe skrzydła; potem się obudził i stwierdził, że nastał ranek.

* * *

W pobliżu ulicy Moore'a rozpędzone dzieci wynurzały się na zmianę z alejek i w nich znikwały. Dzieci takie jak on; widział, że także są zdenerwowane i się ukrywają. Niektóre miały na sobie zgrzebne szare wełniane marynarki, które pozwalały w nich rozpoznać uciekinierów z domów poprawczych. Stroje były brudne i porwane, jakby ich właściciele już od miesięcy przebywali na wolności.

Poszedł za kilkorgiem z malców i zobaczył, że wchodzą do opuszczonego pubu na południowym krańcu ulicy. Nad wejściem wciąż wisiał szyld, na którym widniała nazwa „Czarny Księżyc”, jednak okna zostały zabite deskami, co świadczyło o tym, że lokal zakończył żywot. (Jack przypomniał sobie wykłady Mistrzów: wyznawcy

Dłoaana zakrywali monetami oczy zmarłych). Trzy kondygnacje wilgotnego czarnego drewna. Wydawało się, że cały budynek pochyla się w stronę sąsiadującego z nim lombardu, niczym powolny olbrzym, który szuka wsparcia. Pewnego dnia budynki mogą się zetknąć.

Dzieci wchodziły i wychodziły dwójkami i trójkami albo samotnie, prześlizgując się obok bramy w zrujnowanym ogrodzeniu przy ścianie budynku, a następnie znikając w ogrodzie na jego tyłach. Niektóre zachowywały się nonszalancko, inne podejrzliwie. Część przypominała najwyżej ośmio- lub dziewięcioletnie zwierzątka, a część była w wieku Jacka, czyli miała czternaście, piętnaście, szesnaście lat – smukłe uliczne złodziejaszki o wychudłych sylwetkach i twarzach naznaczonych pierwszym rzadkim zarostem. Jack obserwował ich przez cały dzień. Był głodny i marzył, ale nie chciał popełnić błędu. Małymi łykami popijał zatechłą deszczówkę z beczki w alejce.

Tego wieczoru podkraść się bliżej, okrążył bramę i przedostał się do zachwaszczonego ogródka, a następnie do pubu przez okno na tyłach. Ogołocony z mebli bar w piwnicy, która mieściła się nieco poniżej poziomu chodnika, był pełen dzieci, które spały po kątach na ukradzionych szmatach lub gołych deskach. Wybite szyby załatano gazetami lub kocami. W rogu pomieszczenia palił się słaby ogień, który pełgał po nogach starych krzeseł leżących na stercie popiołu.

Piwnica była zimna i cuchnąca, ale pozwalała schronić

się przed deszczem. Jack usiadł w pustym kącie.

Obserwowało go kilkanaście par nieufnych oczu. Rozejrzał się i odwzajemnił spojrzenie chłopaka, który wydał mu się najstarszy – wysokiego, szczupłego blondyna, w którego oczach tliła się iskra zaciekawienia.

– Zostaję tutaj na noc – odezwał się Jack. – Nie będę sprawiał żadnych kłopotów, ale zostaję.

– Co to ma niby znaczyć?! – ryknął jeden z mniejszych chłopców o ospowatej twarzy.

Jack nie spuszczał przekrwionych oczu z blondyna. Chociaż był głodny i słaby, wytrzymał jego spojrzenie.

– Dajcie mu spokój – odrzekł blondyn. – Spójrzcie na niego. Jest zbyt zmęczony, żeby nam zagrozić.

– A więc zostań. – Rudowłosy chłopak skinął głową. – Niczego nie dotykaj i nie ruszaj się ze swojego kąta. Zajmiemy się tobą rano.

Rozdział 4

– Jest mi bardzo przykro...

Arlandes stał sztywno w salonie w posiadłości pana Hildebranda, jękając się i spoglądając na swoje stopy, na błyszczącą oleistą czerń butów oraz dywan w popielatozielonym kolorze pleśni bądź cmentarnego mchu. Pan Hildebrand – ojciec Lucii i nadal teść Ariandesa, gdyż śmierć najwyraźniej nie wystarczyła, by zburzyć tę więź – siedział na fotelu obitym czerwoną skórą, z rękami elegancko ułożonymi na kolanach, uroczyście kiwając siwą głową. Arlandes postanowił nie siadać.

Obaj mężczyźni byli ubrani na czarno.

Posiadłość wznosiła się pośród smogu, hałasu i przemysłowego smrodu Agdon; chociaż budynek stał na wzgórzu i był szczelnie otoczony drzewami i trawnikami, w południe zawsze zaciągano zasłony, by nie wpuszczać do środka brzydkich zapachów.

– Proszę pana, chcę powiedzieć, że jest mi przykro, że...

Załamał mu się głos, ale po chwili zaczął od nowa.

Żołnierze, którzy służyli w marynarce wojennej hrabiny – ludzie Ariandesa – byli w większości miejskimi szumowinami, nabrzeżnymi szczurami siłą wcielonymi do armii, a Arlandes zazwyczaj nie przejmował się ich śmiercią bardziej, niż ktoś mógłby się przejąć na przykład śmiercią dobrze wytresowanego psa. Jednakże oficerowie

wywodzili się z wyższych kręgów, spośród dobrze urodzonych młodzieńców. Czasami w wirze wydarzeń ci młodzieńcy ginęli, a Arlandes zawsze osobiście przekazywał kondolencje ich rodzicom. Hrabina popierała ten zwyczaj, argumentując, że obecność pogrążonego w żałobie, dostojnego kapitana może zdusić w zarodku rozgoryczenie i zażegnać widmo krwawych porachunków rodzinnych.

Mimo to Arlandes nie potrafił znaleźć odpowiednich słów w obliczu śmierci Lucii.

– Pańska córka...

Starzec dalej kiwał głową, najwyraźniej dostosowując się rytmem do głośnego tykania zegara. Na stole pomiędzy oboma mężczyznami służąca postawiła srebrną tacę z serwisem do herbaty. Napar wydzielał ostrą woń anyżku i wilgotnego mchu; była to mikstura zaparzana z korzenia rosnącego w błotnistych przydrożnych rowach w północnej dzielnicy Psi Wrzask. Ostatnio stała się modnym napojem podawanym w chwilach żałoby i smutku.

– Przykro mi z powodu tego, co się wydarzyło podczas pogrzebu. Bardzo mi przykro, proszę pana.

Hildebrand uniósł głowę i popatrzył Arlandesowi w oczy. Jedno oko starca było ślepe i zakryte bielmem, a drugie wyraziste – błękitno-zielone, jasne i oschłe. Miał twarz usianą zmarszczkami i bladą, ozdabiała ją czarna broda. Na obliczu mężczyzny nie sposób było odnaleźć choćby najmniejszego śladu piękna i niewinności Lucii.

Hildebrand był biznesmenem w każdym calu, surowym nadzorcą. Spojrzał Arlandesowi w oczy, wzruszył ramionami, po czym niezręcznie i sztywno się uśmiechnął.

* * *

Pogrzeb Lucii został przeprowadzony bez należącego szacunku.

Arlandes zrobił, co było w jego mocy. Jak zwykle wszystko skrupulatnie zaplanował. Dzięki wstawiennictwu hrabiny pogrzeb mógł się odbyć w wewnętrznych strefach Domu Cere, zupełnie jakby dziewczyna była bohaterką lub szlachcianką. Arlandes pojawił się na pogrzebie w towarzystwie swoich najbardziej lojalnych oficerów; razem w milczeniu powędrowali mrocznymi korytarzami Domu Cere, stukając obcasami na bruku, wszyscy bez wyjątku odziani w czarne jak smoła obcisłe mundury z czarnym szamerunkiem, z szablami głucho pobrzękującymi o czarne buty. Sługa Domu prowadził ich poprzez korytarze za pomocą milczących gestów. Zebrali się w Siódmej Strefie w cieniu szeleszczącej ceraty, gdzie ciało miało zostać powoli i nabożnie rozczłonkowane.

Dom Cere dopuszczał różnorodne formy oddawania ostatniej posługi. Pan Hildebrand był wyznawcą surowego i ognistego Tybru, a jego fortuna, fortuna Lucii, w którą wzenił się Arlandes, i która teraz była dla niego warta nie

więcej niż popiół i pył, pochodziła z udziałów w licznych fabrykach i domach poprawczych Kościoła Tybru, wliczając Harmonię, Dolinę Radości, Dom Barbotina i Broadway. Z tego też powodu zażądał, by ciało jego córki zostało poddane kremacji. Arlandes, tak jak większość wojskowych, wołał nie faworyzować żadnego z bóstw. Z kolei Lucię pociągał kult Lavilokana, boga luster. To nie stanowiło zaskoczenia, była bowiem jedynaczką, nieśmiałą i ładną. Wierzyła, że połyskująca twarz boga ukazywała się jej w lśniącym brokacie, w cieniach, w rogu lustra na toalecie; niewykluczone, że miała rację. Dlatego Arlandes nalegał, by uroczystości pogrzebowe poprowadzili Wyznawcy Lavilokana. Pan Hildebrand wzruszył ramionami i wyraził zgodę. Nie był bogobojnym człowiekiem. Wiedział, że nie robi to dobrego wrażenia na jego współnikach, wołał jednak mieć na pieńku z nimi niż z kapitanem.

W ceremonii wzięło udział trzech Wyznawców, ubranych w aksamitne szaty wyszywane malutkimi błyskającymi lusterkami, które pobrzękiwały i grzechotały, gdy powoli krążyli wokół katafalku, na którym spoczywało ciało Lucii. Kiedy zbliżyli się do Arlandesa, w lusterkach pojawiło się jego odbicie, niczym rozproszone stado kruków. Odczytali ceremonialne formułki z ciężkich ksiąg o pustych srebrnych stronicach, na których, jak twierdzili, potrafili zobaczyć słowa swojego boga, kryjące się w liniach i kątach nieskończonych załamania światła.

Umysł Arlandesa był równie pusty i kruchy jak lustrzane maski Wyznawców.

Kapitan i jego oficerowie stali na baczność po lewej stronie katafalku. Kiedy pułkownik Duncan spróbował położyć dłoń na drżącym ramieniu Arlandesa, ten gwałtownie ją strząsnął, zupełnie jakby został zaatakowany. Duncan stał u boku Arlandesa na pokładzie „Awangardy” w Paszczy Lwa, gdy powietrze było czarne od prochu i dymu. Kapitan szczerze go kochał, ale jego dotyk – dotyk każdego poza I nią – był nie do zniesienia.

Pan Hildebrand stał po prawej stronie, otoczony ludźmi, którzy wyglądali na jego współników w interesach. Matka Lucii od dawna nie żyła; obok płakała stara, pomarszczona służąca, która mogła być nianią.

Hrabina nie przyszła; nie pozwoliły jej na to sprawy miasta. Pojawił się za to Holbach – Arlandes nie wiedział, czy zrobił to z polecenia hrabiny, czy z własnej inicjatywy, ale mało go to obchodziło. Tłusta twarz uczonego przybrała obrzydliwie zieloną barwę pod wpływem w pełni zasłużonego poczucia winy. Jeden z jego „intelektualistów” – zniewieściały młodzieniec albo dziewczyna bezczelnie ubrana w męski żałobny strój – trzymał go za pulchną lewą rękę i coś do niego szeptał. Holbach miał na tyle rozsądku, by nie podchodzić do Arlandesa.

Po prawej stronie Holbacha stał jeden ze służących Domu – niejaki pan Lemuel, żyłasty, niski funkcjonariusz odziany w czarną szatę, który sprawił, że zmasakrowane

ciało można było pokazać publicznie, ułożył lilie i przyniósł stalową tacę z nożami, a także ośmielił się uścisnąć sztywną dłoń Arlandesa – i wygłaszał nieodpowiednie komentarze, zbyt głośno, zupełnie jakby oglądał przedstawienie, które wystawiano dla jego osobistej przyjemności. Nieudolnie wystawiano. Kiedy Wyznawcy zaczęli czytać ze swoich pustych ksiąg, Lemuel odezwał się teatralnym szeptem: „Założę się, że po prostu nauczyli się tekstu na pamięć. Jak myślisz, ile by wzięli za taką książkę?”. Holbach przynajmniej miał na tyle przyzwoitości, by się wzdrygnąć i zaczerwienić, ale pokornie pozwalał, by Lemuel dalej go zagadywał. Kiedy każdy z Wyznawców wziął połyskujące ostrze i zaczął starannie i metodycznie kroić ciało Lucii na coraz mniejsze fragmenty, kawałek po kawałku, staw po stawie, aż w końcu żadna z jaskrawokrwawych części nie dała się odróżnić od pozostałych, a ciało rozmyło się wśród własnych lustrzanych odbić – cały proces był znacznie mniej elegancki w praktyce niż w teorii, tak że nawet doświadczeni oficerowie Arlandesa pobledli i powstrzymywali odruch wymiotny – Lemuel zachichotał i parsknął: „Paskudnie. O tak, to paskudna część miasta”. Otępiały Arlandes chwycił za rękojeść szabli. Pułkownik Duncan ponownie przytrzymał go za rękę i kapitan pozostawił broń w pochwie.

Z perspektywy czasu Arlandes wątpił, czy Lucia rzeczywiście wybrałaby dla siebie taki koniec. Była delikatną istotą – do skonsumowania ich małżeństwa, co

stało się niedawno, przystępowała z trwogą i wspaniałą, uroczą dzielnością. Z pewnością wolałaby odejść w spokojniejszy sposób. Niestety, koniec zawsze jest straszny. Podobnie jak wszystkie bóstwa oraz wymagane przez nie rytuały i ofiary.

Pogrzebu nie dało się uczynić prywatną ceremonią; pojawili się też liczni plotkarze i gapie, kilka próżnych kuzynek hrabiny, które, zdjęte przerażeniem, przyciskały do ust chusteczki, a także trio niechlujnie ubranych pismaków, sporządzających notatki dla swoich brukowców.

Kiedy Wyznawcy kończyli pracę, a lusterka na ich szatach były matowe od krwi, pojawiło się jeszcze siedmiu mężczyzn oraz trzy kobiety, wszyscy ubrani w białe szaty lub długie luźne fartuchy, potargani i brudni. Zawodząc, prosząc i jęcząc zaczęli przepychać się przez tłum. Jedna z chudych siwych kobiet zatoczyła się na Holbacha i przewróciła go na posadzkę. Któryś z mężczyzn wpadł na Wyznawcę i obaj runęli przy wtórze brzęku tłuczonego szkła. Pozostali – wołając: „Dotknął jej Ptak! Dotknęło jej Ptasie Bóstwo!” – sięgnęli ku katafalkowi i zamoczyli brudne palce we krwi Lucii. Jedna z kobiet przytknęła palce do ust, a źrenice jej dzikich oczu uciekły do góry. Jakiś mężczyzna próbował namalować sobie krwią na twarzy parę skrzydeł. Kilku służących Domu doskoczyło do przybyszów i usiłowało ich odciągnąć. Wyznawcy Ptaka rozproszyli się i zaczęli szaleńczo podskakiwać, wymachując nogami w

powietrzu. Pan Lemuel wybuchnął śmiechem. W tym momencie Arlandes dobył szabli.

Zanim chłód i ośpienie opuściły jego umysł, ustępując miejsca wstydom i rozpaczom, a kapitan upadł z płaczem na katafalk, brudząc ubranie krwią, zdążył kolejno przeszyć szablą czworo napastników, za sprawą szybkiego pchnięcia z wypadem, którego nauczył się w wojsku. Troje z tych czworga, uderzonych w szyję lub pierś, umarło na miejscu, choć nie natychmiast. Pchnięcia były eleganckie, ale zgony nie. Ceremonia oparta na świętych zasadach i tajemnicach zmieniła się w rzeźnię! Jeden z Wyznawców zdjął lustrzaną maskę i zaczął wymiotować, pokazując pożółkłą, spoconą, przerażoną twarz okoloną bokobrodami i przeklinając głosem przepełnionym szokiem i obrzydzeniem.

Troje przybyszów zginęło; czwarty zrobił unik i dostał w ramię, więc zapewne przeżył. Jednakże napastnicy nie byli ważni – byli tylko ostatnim żalonym objawem szaleństwa, które właśnie opuszczało miasto – a hrabina zadbała o to, by masakra, której dokonał Arlandes, pozostała bez konsekwencji. Ze względu na kompromitującą naturę całego zajścia, kapitan nie złożył skargi na zachowanie pana Lemuela.

* * *

- Nie potrafię wyrazić tego, jak bardzo mi przykro...
- Niech się pan nie przejmuj, kapitanie.

– Proszę uwierzyć, że jest mi bardzo wstyd...

– Rozumiem pana zachowanie.

– Nie chodzi mi jedynie o incydent podczas pogrzebu, ale także o okoliczności... jej odejścia...

Nie mógł przestać myśleć o jej ciele, o tym, jak odwrócił jej zmasakrowane ciało leżące na trawie, ubrane w zakrwawioną białą sukienkę.

Starzec małymi łyчками popijał herbatę.

– Nonsens, panie kapitanie. Nonsens. Była odważną dziewczyną, czyż nie? Byliśmy z niej bardzo dumni. – Odstawił filiżankę i po raz pierwszy spojrzął Arlandesowi prosto w oczy. Przyglądał się twarzy kapitana uważnie, ostrożnie, niemal błagalnie. – Bardzo dumni. Wydarzył się wypadek, ale takie przedsięwzięcia zawsze są obarczone ryzykiem, prawda, kapitanie? Nie żywimy urazy. Czy przekaze pan hrabinie, że nie żywimy urazy?

Arlandes nie mógł wykrztusić ani słowa i tylko skinął głową.

– Czy zapewni ją pan, że to dla nas wielki zaszczyt móc wesprzeć pracę nad jej wielkim dziełem? Jesteśmy dumni, że mogliśmy nawiązać z hrabiną taką więź. Bardzo dumni, kapitanie. Powiedziałem już panu, jaki byłem dumny, gdy poprosił mnie pan o... o rękę Lucii. Zapewniam, że te wydarzenia tego nie zmienią. Cieszę się, że dziś pan tu przyszedł, kapitanie. Ta tragedia nie ma na to wpływu.

Arlandes trwał w bezruchu.

– A jak... okręt? Pana nowa jednostka? Coś

wspaniałego. Czekają pana nowe podniecające wyzwania, nieprawdaż? Możemy zaprowadzić całkowicie nowy porządek. Właśnie tego potrzebuje to miasto: silnej ręki, która wszystko poukłada. Widzę stojące przed Ararat nowe możliwości. Mam nadzieję, że hrabina nie zapomni o tych, którzy ponieśli największe ofiary, choć oczywiście proszę jej powtórzyć, że nie żywimy urazy, dobrze? Ale gdyby nosiła się z zamiarem zaproponowania jakiejś rekompensaty, to nie odmówimy. To wszystko, co mam na ten temat do powiedzenia. Wierzę jednak, że nie zostaniemy zapomniani, że nie zostanie zapomniana moja droga Lucia. Tylko tyle.

Arlandes skinął głową i wskazał na drzwi, prosząc tym gestem o pozwolenie na odejście.

W lustrze wiszącym na korytarzu – zakurzone i wulgarnie zdobione – ujrzał swoje odbicie. Czarne ubranie, przekrwione oczy, blada twarz, na której wyraźnie rysowała się stara blizna po pojedynku – nie poznawał sam siebie. W tym lustrze nie było niczego świętego ani śladu tego, co Lucia widywała w srebrnej otchłani swojego lusterka. Jedynie zmęczony i chory człowiek, który codziennie stawał się starszy.

Powrót na niebo przyniósłby mu ulgę. Miał już serdecznie dość ziemi.

Rozdział 5

Arjun zamieszkał w „Złotym Cyprysie”, na biedniejszym końcu ulicy Moore'a, gdzie dzielnica Shutlow spływała do Okręgu Barbarii.

„Cyprys” był dziwacznym reliktem. Nadano mu nazwę podczas dawniejszego cyklu życia ulicy Moore'a, gdy przystań znajdowała się we wcześniejszej części biegu rzeki, a żeglarze z ciepłych mórz przybywali tutaj, by się napić. Tamte tłumy już dawno zniknęły, a nazwa wydawała się żałośnie nie na miejscu przy tej ciemnej brukowanej ulicy. Ogródek piwny na tyłach lokalu z obu stron ocieniały magazyny. Zbierała się tam zimna mgła napływająca z kanałów.

Ulica Moore'a jeszcze kilka lat temu tętniła życiem, jednak część kompanii handlowych zwinęła interes, a reszta przeniosła swoje obiekty, dokerzy zaś poszli pić gdzie indziej i puby zaczęto zamykać. Jakimś cudem „Cyprys” przetrwał, podczas gdy „Czarny Księżyc”, „Brona” i „Czerwona Broda” zamknęły podwoje, zabiły okna deskami i padły łupem zdesperowanych i biednych dzikich lokatorów. Pub utrzymywało na powierzchni kilku chmurnych staruszków, którzy zwykli tam przesiadywać i pijać, razem ale osobno.

Pani Defour prowadziła tani pensjonat za ogródkiem piwnym. W brudnym oknie „Cyprysa” przykleiła kawałek tektury, na którym umieściła niewyraźny odręczny napis,

obietując: „Wikt i opierunek w rozsądnej cenie za tydzień”. Większymi i energiczniej nakreślonymi literami ostrzegała: „Tylko poważne oferty, nie przyjmujemy pijaków, amatorów czuwaliczki jadalnej ani wolnomyślicieli”. W środku unosiła się woń kapusty, anyżku i łuszczącej się farby, a także zatęchły zapach lokatorów, samych starzejących się kawalerów oraz roztargnionych i niezaradnych wdowców.

Defour była bystrą, drobną kobietą, która wyglądem przypominała ptaka. Przyjęła Arjuna w swoim malutkim gabinecie, owijając się szarym wełnianym szalem i narzekając na zimno. Uznała, że jako gość jest „Do zaakceptowania. Młodszy niżbym chciała, ale nowy w mieście, więc zajmie się szukaniem pracy. To sprawi, że będzie się zachowywał wystarczająco spokojnie”.

Arjun stwierdził, że to równie dobre miejsce jak każde inne, a przynajmniej niedrogie. Na zewnątrz czekało niebezpieczne miasto, pełne wysokich wież, ponurych wąskich alejek, dziwnych bogów. Przerażała go myśl, że na mapach, które znajdowały się w bibliotece Chóru, nie zdołano wyznaczyć granic Ararat. Shutlow było jedynie małym brudnym zakątkiem w tym bezkresie; miejscem, gdzie ludzie wykonywali męczącą, słabo płatną pracę biurową lub wegetowali na niskiej emeryturze, obdarzając się smutnym nerwowym szacunkiem. Skarpa na północy bezustannie pogrążała dzielnicę w szarym cieniu. Trudno było sobie wyobrazić spotkanie w tym miejscu jakiegoś mieszającego zmysły boga. Był to bezpieczny punkt

wyjścia.

Arjun zamieszkał w pokoju na pierwszym piętrze, małym, koślawym żółtym pudełku. Półka nad łóżkiem była zagracona zaśnieżonymi cynowymi symbolami i posążkami, które zostawili poprzedni lokatorzy. Arjun nie potrafił rozpoznać pów i gestów metalowych bóstw.

Zaczął opowiadać pani Defour swoją historię. Nie prawdziwą, lecz całkowicie zmyśloną. Twierdził, że przybył do miasta „jako przedstawiciel mojego zakonu, Chóru, w nadziei na nawiązanie handlu pomiędzy naszymi... ". Ona jednak nie wykazała zainteresowania, więc porzucił ten temat.

Za dnia spacerował po mieście. Każdego ranka wyruszał w innym kierunku, wybierając trasę na oślep i kończąc wędrówkę dopiero o zmroku, gdy musiał wrócić na ulicę Moore'a. Ruszył na północ, poprzez szarość Shutlow, a następnie w górę do Mass How, gdzie podziwiał wielkie piece w fabrykach wyrobów z terakoty. Granica pomiędzy obiema dzielnicami była wyraźnie widoczna nawet dla przyjeźdnego; przygnębiająco zaśmiecone i brudne ulice Shutlow nagle ustępowały miejsca terenom, na których działali pedantyczni zamiatacze ulic z Mass How. Arjun dotarł aż do Wrzosowiska Chwały i wspiał się na wzgórze, na którym wznosiło się stare Obserwatorium, a stamtąd popatrzył w dół na łąkę i drugi brzeg rzeki. Następnego dnia przeszedł pod łukiem Cimentiego i wkroczył do Goshen Tor, gdzie zerkał na eleganckie fasady budynków i zaglądał w

zatłoczone okna, próbując sobie wyobrazić handlową machinę, która się za nimi kryje, oraz ludzi zamkniętych w środku.

Pewnego dnia zawędrował aż do kawiarni, teatrów i ogrodów Faugere, gdzie wydał więcej niż powinien na kawę – to było nowe doświadczenie, które wydawało mu się zarazem odpychające i pociągające. Spędził wieczór, krążąc pomiędzy zakładami jubilerskimi w Arkadach, gdzie pod daszkami z lustrzanego szkła i srebra niczym dym wisiały konstelacje światła. Barmanki wystrojone jak księżniczki zapraszały przechodniów do barów i kawiarni. Nie zwracały uwagi na Arjuna – jego bieda musiała od razu rzucać się w oczy. Spędził tam zbyt wiele czasu i wracał do domu po ciemku, z duszą na ramieniu. Zazdrościł ludziom, którzy mijali go w powozach.

W zakładzie drukarskim przy ulicy Janusa kupił czysty kołnotatnik i zaczął metodycznie rysować mapy mijanych ulic. Na każdej stronie pojawiały się atramentowe drzewa, które każdego dnia wyrastały z ziarna ulicy Moore'a, obejmując północną i południową część Shutlow oraz Mass How. Arjun systematycznie skreślał ulice, które go rozczarowywały. Jego kieszenie wypełniły się skrawkami zapisanego papieru, ogryzkami ołówków i pyłem z zaschniętego atramentu.

Przechodnie obdarzali Arjuna nieprzychylnymi spojrzeniami, gdy przyłapywali go na rysowaniu map. Nie był pewien dlaczego. Wydawało mu się, że traktują to jako obrazę lub wścibstwo. Pewnego dnia jakiś grubas o

czerwonej twarzy wytrącił mu notatnik z rąk i na niego napluł. Arjun próbował zapamiętywać układ ulic i wieczorami rysować je na osobności w swoim pokoju, nie udawało mu się jednak zachować ich w umyśle. Potrafił przypomnieć sobie każdą nutę, akcent i podstępłą nutę nieakcentowaną niesławnego opus 21 Ojca Julah, ale ulice nie poddawały się jego pamięci. Czasami podejrzewał, że ich układ zmienia się z dnia na dzień. Wkrótce dał sobie spokój i pozwolił, by prowadziły go tam, gdzie chcą.

Wędrował także na południe, do slumsów, bud i betonowych bloków w Czwartym Okręgu, gdzie beczynnie przesiadywała biedota. Trzymał nóż w widocznym miejscu, kiedy ostrożnie kroczył po popękanych i brudnych wąskich ulicach, lawirując pośród chatek z patyków i gliny, które wyrastały na ulicach, w przydrożnych rowach oraz na każdym kawałku wolnej przestrzeni. Przechodził nad ludźmi leżącymi w błocie – pijanymi na umór lub umarłymi. Wędrował wzdłuż kanałów ku przerażającym fabrykom Okręgu Barbarii. Zatrzymał się przed olbrzymim betonowym budynkiem, na którym wisiał szyld z napisem UBOJNIA DROBIU NR 7. Odgłosy i smród przegoniły go do domu.

Arjun napotykał wszędzie świątynie i kościoły, ale nie wchodził do nich. Nie czuł się gotowy. Starał się omijać z daleka klasztory i getta, których granice wyznaczały przeróżne kulty, a gdzie obowiązywały dziwne i święte prawa. Kiedy tylko trafiał na grupę ludzi w jaskrawych szatach lub skupisko dziwacznych posągów, natychmiast

zmieniał kierunek i szybko szedł przed siebie.

Raz spędził popołudnie, siedząc naprzeciwko jednego z kościołów Tybru, wysoko sklepionego budynku w Trzecim Okręgu. Usiadł na krawędzi wyschniętego kamiennego żłobu dla koni i obserwował tłumy, wchodzące i wychodzące przez drzwi świątyni. Witraże, które zdobiły okna kościoła, przedstawiały słup ognia wznoszący się ponad stylizowanymi złotymi dachami. Arjun zatrzymał jedną z kobiet wychodzących z kościoła i spytał ją, co oznacza ten wizerunek. Popatrzyła na niego dziwnie i wyjaśniła, że to wcale nie jest symbol. „Tyber jest Płomieniem”, powiedziała, „i płonie na północy, na placu otoczonym budynkami sądów i więzień; w bezchmurną noc z Trzeciego Okręgu można dostrzec jego blask, jeśli tylko znajdzie się odpowiednio wysoko położone miejsce”. Podziękował jej, rozmyślając nad tym, jak nieuchwytny i odległy wydawał się Głos w porównaniu z krzykliwymi cudami miasta.

* * *

Wieczorem Arjun wrócił do „Cyprysa”. Ukłonił się barmanowi, który stał za ladą wśród chaosu mosiądzu i szkła i mył brudną szklankę szarą szmatą i w szarej wodzie. W odpowiedzi barman obojętnie skinął głową. Arjun zszedł po schodach z tyłu baru, przeciął mroczny ogród i wszedł do domu.

Defour siedziała w jadalni i w blasku świec grała w

karty z panem Heady, jednym z lokatorów. Przygarbione ramiona okryła kilkoma warstwami szarych szali. Kiedy Arjun przechodził przez hol, odchyliła się do tyłu, trzymając karty przy piersi, i zawołała:

– Dołączy pan dzisiaj do nas?

– Wątpię – odezwał się Heady. Miał upstrzone łupieżem, zaczesane do tyłu tłuste białe włosy. Był ubrany w nędzny garnitur, a z butonierki wystawała mu nieprawdopodobnie jaskrawa i elegancka czerwona chustka. – To samotnik. – Rzucił kartę na stół. – Nie zniza się do naszych prostych rozrywek. Bez obrazy.

– No cóż, jest tutaj od niedawna. Życie w Ged z pewnością wyglądało inaczej. Podejrzewam, że miasto go przytłacza.

– Gad – poprawił ją Arjun.

– Oczywiście – odparła Defour. Skontrowała, kładąc kartę na stole z głośnym klapnięciem, po czym uśmiechnęła się znacząco, przyglądając się swoim pozostałym kartom. Miała zbyt silny makijaż jak na kobietę w jej wieku – puder kruszył jej się wokół oczu, gdy je mrużyła.

Heady rozparł się w fotelu i podniósł wzrok na Arjuna.

– Chyba rzeczywiście czuję się przytłoczony – przyznał Arjun. Dziś szedłem Mostem Żałobników. Rozciąga się stamtąd znakomity widok w górę rzeki. Zabudowania na brzegach nie mają końca, wznoszą się nawet na zboczu góry. Coś niesamowitego. Ciekawe, czy kiedykolwiek stworzono mapę miasta aż do źródeł rzeki.

– Proszę uważać. Nie chcę tutaj takiej gadki – prychnęła Defour. – Coś takiego wpędzi pana w kłopoty. Tacy jak my nie powinni tworzyć map miasta. Nie wiem, jakie mieliście zwyczaje u siebie, ale to jest święta ziemia.
– Ułożyła karty w dłoni i uśmiechnęła się protekcjonalnie.
– To musi być miłe, mieć tak dużo czasu, by móc po prostu krążyć po mieście.

– Tak, to bardzo wytworne zajęcie – zgodził się Heady szyderczo. – Znakomity sposób spędzania czasu dla dżentelmena. Można by powiedzieć, że wręcz arystokratyczny.

– Pojawiają się jednak wątpliwości, czy to rzeczywiście równie satysfakcjonujące jak porządna robota, panie Heady.

– Zawsze uważałem, że mężczyzna powinien pracować. Ale kim jestem, by kogokolwiek oceniać.

– Myśli pan, że powinniśmy się martwić? Czy jego źródła utrzymania są... niewłaściwe? Może przynieść wstyd mojemu domowi?

– Cóż, od tylu lat wytrzymujecie z Norrisem.

Defour odłożyła karty i zmierzyła go wzrokiem.

– Proszę tak nie mówić, panie Heady. Pan Norris ma ciężkie życie. Wszyscy powinniśmy być za niego wdzięczni losowi.

Heady sprawiał wrażenie zakłopotanego.

– No to dobranoc – przerwał ciszę Arjun.

– Jutro czekam na czynsz – zaatakowała Defour. – Mam nadzieję, że nie będzie żadnych problemów.

Chociaż nie wiem, skąd pan weźmie pieniądze przy takim trybie życia.

– Oczywiście. Dobranoc. – Na odchodnym Arjun zmusił się do uprzejmego uśmiechu, przypominając sobie, że „Cyprys” jest niezwykle tani, a on zbyt biedny, by unosić się dumą.

* * *

Pod szklaną kopułą w Arkadach grał kwartet smyczkowy. Na dworze był zimny jesienny dzień, jednak w Arkadach było ciepło i jasno dzięki rzędom gazowych lamp, zwieszających się pod łukami. Lampy tworzyły w powietrzu przyprawiające o zawrót głowy plamy światła, w którym unosiły się przyprawy, dym kadzideł oraz opary perfum z okolicznych sklepików i straganów.

Arjun stał z tyłu tłumu, próbując nie rzucić się w oczy. Publiczność była elegancko ubrana: mężczyźni mieli na sobie aksamitne płaszcze w głębokich odcieniach zieleni i czerwieni, a kobiety wyszukane, spływające falami suknie. Ubranie Arjuna było wygniecione i odkształcone, naznaczone śladami kurzu z równin i pustyń, którymi wędrował; obawiał się, że podobnie wygląda jego twarz. Wyszorował się i ogolił w wannie stojącej w komórcie obok kuchni, ale nie czuł się czysty. Podejrzewał, że przypomina zbójcę albo koniokrada. Kwartet grał sentymentalny utwór. Młody arystokrata stojący obok Arjuna ocierał z wielkim namaszczeniem łzy, a od czasu

do czasu także rozdzierająco i teatralnie wzdychał. W tłumie Arjun dostrzegł jeszcze kilka takich osób. Najwyraźniej intensywne uczucia były tutaj w modzie.

Kwartet grał doskonale, a utwór był dość efektowny, jednak bez wątpienia nie na tyle, by usprawiedliwiać łzy, które napływały do oczu rozemocjonowanej widowni. Gdyby taką kompozycję stworzył uczeń w Domu Chóru, zostałaaby oceniona jako poprawne rzemiosło.

Nie, to niesprawiedliwa ocena, pomyślał Arjun, nieżyczliwa i małostkowa. Od czasu do czasu w muzyce pojawiał się prawdziwy wdzięk. Arjun wrócił następnego dnia, a potem jeszcze kilkakrotnie, wysłuchując pełnego repertuaru kwartetu. Po pierwszym dniu przebłyski wdzięku stały się rzadsze. Ani razu nie usłyszał echa muzyki, której poszukiwał.

W jednej z wąskich uliczek, które wiły się pod i między Arkadami, Arjun spędził popołudnie na słuchaniu ulicznego grajka, flecisty. Co godzinę wrzucał do jego kapelusza drobną monetę. Na ulicy Barlowa niewidomy mężczyzna wygrywał wojskowe melodie na porysowanej trąbce. Miał na sobie wyblakły i brudny mundur, być może swój własny, ale niekoniecznie. W Faugere dziewczęta odziane w łachmany przechadzały się obok kawiarni, przystając obok ludzi i śpiewając im żałosne piosenki, które idealizowały ich bolesne życie i śmierć, w nadziei na sprzedanie kwiatów, zapalek lub ikon. Arjun przez jakiś czas chodził w ślad za nimi, aż w końcu zatrzymały się i nieufnie zmierzyły go wzrokiem.

Zrozumiał, że przestraszył je swoim zainteresowaniem. Zapewne przywykły do napastliwego zachowania nieznajomych mężczyzn. Zostawił je w spokoju.

Wieczorami na rogu ulicy Moore'a pewien staruszek grywał na lirze korbowej, lekko przytupując i śpiewając zachrypniętym głosem. Arjun go wysłuchał, po czym wrócił z notatnikiem i zapisał tytuły wszystkich piosenek, które znał mężczyzna. Wpadł na ulicę Millera, gdzie drukarze wywieszali na ścianach domów arkusze śpiewników. Chociaż były tanie, nie mógł sobie na nie pozwolić, więc powoli spacerował tam i z powrotem wzdłuż ulicy, nucąc poszczególne piosenki w myślach i je zapamiętując.

Miasto rozbrzmiewało także muzyką sakralną. Ulicami paradowali ubrani w długie szaty chórzyści służący różnym bóstwom. Kościoły biły w dzwony i jękliwie wzywały na modlitwę. Muzyka organowa wylewała się przez ich otwarte drzwi. Szaleńcy przytłoczeni boskimi wizjami wywrzaskiwali z rynsztoka pochwalne hymny. Arjun unikał wszelkiej jednoznacznie sakralnej muzyki; oczekiwał, że odnajdzie to, czego szuka, nieoczekiwanie, dzięki nagłej łasce, pośród bluźnierczego i komercyjnego zgiełku. Miał nadzieję, że gdzieś w tym wszystkim usłyszy echo Głosu, jakiś ślad jego prostego rytmu, urywek jego smutnej melodii, delikatną harmonię, która mu go przypomni. Miał wrażenie, że Głos ciągle znajduje się na granicy słyszalności, lecz nie daje się uchwycić.

* * *

Defour lubiła podejmować swoich lokatorów w jadalni pensjonatu. Było tam ciemno i pachniało stęchlizną, a wyblakłe plakaty z widowisk rewiowych wcale nie ożywiały atmosfery. Jednakże wszyscy mieszkańcy byli ubogimi samotnymi mężczyznami i nie mogli odmówić darmowej kolacji. Siedzieli na środku pomieszczenia, wokół stołu przykrytego koronkowym obrusem. Stały na nim dwie przypalone wazy z zupą, którą ugotowano na tłustym słonym mięsie jakiegoś zwierzęcia wyłowionego z zatoki. Obok paliły się dymiące zielonkawe świece, a wokół nich uparcie krążyło kilka popielatych ciem.

Gruby pan Drabble, który przypominał nauczyciela, odkroił niewielki kawałek mięsa i przypiekł go nad płomieniem świecy.

– Dla Tybru – wyjaśnił, odpowiadając na zaciekawione spojrzenie Arjuna. – Ofiara. A skoro tak, to na wszelki wypadek również dla Lavilokana, a także Bladuda oraz...
– Szybko wyklepał listę imion. Pozostali zaproponowali kolejne, całkiem swobodnie, jakby plotkowali o szkolnych znajomych. Wreszcie skończyli i zaczęli się posilać, nie czekając, aż jedzenie wystygnie.

Defour rozpoczęła rozmowę:

– Może nasz nowy gość opowie nam, gdzie dzisiaj był? Ciekawe, jakie wrażenie zrobiło dziś na nim nasze zacne miasto?

– Poszedłem do Optycznego Kabaretu – odpowiedział

Arjun. – Miejsca stojące oferowano dziś za połowę ceny. Chciałem posłuchać piosenki, którą nazywają „Córka szczurołapa”.

– Pałac! – rzekła Defour. – Jak się panu podobało?

Arjun nie był zachwycony.

– Było ciekawie – odparł. Po chwili dodał, przerywając ciszę: – Wydaje mi się, że śpiewali mężczyźni przebrani za kobiety. To dość zaskakujące.

Pan Haycock parsknął.

– Tak to miejsce teraz wygląda, odkąd kupił je ten elegancki wikariusz, któremu wymierzono suspensę. Oczywiście nie miałbym nic przeciwko, gdyby zechciał zostać moim klientem. Podobno ma wyszukany gust, jeśli chodzi o świństwa.

– Szkoda, że pan tam nie był w lepszych czasach – rzekła Defour, wskazując siwą głową plakaty wiszące na ścianie.

– Zaopatruje się u Arta Checkena ze Wzgórza Kapturów. Świństwa.

– Często tam pani bywała? – spytał Arjun.

– Byłam główną atrakcją, czyż nie? Widzi pan? Gracie Defour. To ja.

– Podobno próbuje udawać, że robi to w ramach zdobywania wykształcenia klasycznego – kontynuował Haycock. – To jeden z takich klientów. Tym lepiej, można policzyć mu dodatkowo za intelektualne pretensje.

Haycock – karłowaty mężczyzna o wykrzywionym perkatym nosie sterczącym wściekle pod łysą czaszką –

zajmował się handlem rzadkimi książkami i osobliwościami: nie tylko tekstami pornograficznymi, ale także kazaniami, kodeksami, dziełami z zakresu nauki oraz sztuki; stertami przecenionych dzienników, zakazanych lub po prostu zapomnianych. Wśród jego klientów trafiały się podejrzane typy, ale także ludzie sławni oraz tacy, którzy łączyli obie te cechy; wszystkich tak samo nienawidził. Nie prowadził działalności z jednego konkretnego miejsca, lecz z wielu straganów i sklepików oraz za pośrednictwem poczty; z tego powodu właściwie przez cały czas był w pracy. Niemal bezustannie gadał o interesach. Arjun podejrzewał, że dla Haycocka, podobnie jak dla Headyego, był to oręż w walce. Ich rozmowy przypominały wyjątkowo ociężałe pojedynki szermiercze. Arjun zignorował uwagi Headyego i zwrócił się do Defour:

– Zatem kupiła pani ten pensjonat po przejściu na emeryturę? Pewnie tęskni pani za sceną.

Zmierzyła go wzrokiem i wzruszyła ramionami.

– Widzę, że pan nie wie. Takich rzeczy się nie mówi. Nie do kogoś, kto wziął los.

Arjun poczuł znajome ukłucie frustracji. To miasto nie było jego żywiołem, tracił grunt pod nogami z każdym nowym zwrotem w rozmowie.

– Los? – spytał.

Wyrysowała palcem ośmioramienny symbol nad swoim sercem.

– Pająk. – Wskazała małą broszkę z czarnymi nogami,

którą nosiła pod szyją. Potem zaczęła wyjaśniać (podczas gdy Haycock opisywał pozostałym osobom przy stole, które już znały opowieść Defour, niektóre z perwersji dostępne jego klientom).

Defour była córką kapelusznika, która wybrała karierę sceniczną. Większość jej koleżanek poniosła porażkę, niektóre głodowały. Ona miała szczęście. Została główną gwiazdą na deskach Chymica, dopóki Pałac nie przebił ich oferty. Czy Arjun znał „Co zrobisz, ukochany?” albo „Lero, Lero”? Kiedyś to były jej piosenki. Publiczność za nimi szalała, a w jeszcze większy zachwyty wpadała, gdy Defour drażniła się z nimi i nie śpiewała wyczekiwanych przebojów. Wszystko, co robiła, sprawiało, że była coraz bardziej wielbiona.

Pewnego dnia za kulisami znalazła list. Gładką brązową kopertę zaadresowaną nierównym dziecięcym charakterem pisma, którą ktoś zostawił pod lustrem. Wiedziała co to za wiadomość i mogła jej nie czytać, ale postanowiła to zrobić.

Wykonała polecenie zawarte w liście i udała się do niewielkiego ogrodzonego parku w Okręgu Foyle'a, gdzie zgromadził się barwny tłum. Zebracy i dobrze urodzeni panowie usiłowali dopchać się do prostego drewnianego pudełka, które stało na ławce. Wszyscy sięgali na oślep i wyjmowali po jednym losie, po czym chyłkiem się oddalali, nie rozmawiając ze sobą.

Los, który wyciągnęła, kazał jej wypuścić gołębicę na scenie podczas występu. Przeszył ją dreszcz – przecież

wybrała los przypadkowo, więc jakim cudem polecenie było tak idealnie do niej dopasowane? Oczywiście znała odpowiedź. Zrobiła to, o co ją proszono. Jak mogłaby odmówić?

Przez lata wykonywała wszystkie kolejne polecenia, które otrzymywała zapisane na małych losach. Wiele z nich wymagało wprowadzania niewielkich, przypadkowych zmian w repertuarze. Fani pokochali ją za to jeszcze bardziej: jej występy z każdym tygodniem stawały się coraz dziwniejsze i bardziej szalone, wymykając się jej spod kontroli. Jeden z losów żądał, by wyszła za mąż za pewnego tkacza ze Słonych Moczarów – jej pierwszego męża, już nieżyjącego, niech spoczywa w pokoju. Czasami musiała pisać własne losy i pozostawiać je w mrocznych zakątkach kościołów Pająka, gdzie mieli je odnaleźć nieznajomi. „Przyjmij pod swój dach dziewczynkę z domu poprawczego i zapewnij jej wykształcenie”, napisała na pierwszym losie, kiedy czuła, że powinna czynić dobro. „Ukradnij złoto ze świątyni”, napisała później, gdy odważyła się być zła.

Na początku się bała, jednak z czasem zaangażowała się w kolejne zmiany z pełną determinacją. Losy i listy stanowiły łańcuszek, który łączył ją z czymś niemożliwym, transcendentnym, mocą, która czaiła się w centralnym punkcie swej sieci i pociągała za przypadkowe nitki, zmieniając ludzkie życia. Nikt nigdy nie widział Pająka na własne oczy ani nie wiedział, gdzie on mieszka, jednak z chwilą wyciągnięcia losu Defour znalazła się na

końcu jego nici. Była połączona z bóstwem i ze wszystkimi ludźmi w mieście, którzy także wyciągali oraz pisali losy, niezależnie od tego, kim byli i czym się zajmowali. Tak objawiał się ich bóg. Czasami w nocy śniła, że lśniący czarny Pająk pojawia się w jej pokoju, przyglądając się jej zimnymi lustrzanymi oczami i stukając mechanicznymi odnóżami. Promieniując niezwykłą i złożoną obojętnością.

Być może otworzyła list, ponieważ bała się, że osiągnęła sukces jedynie dzięki ślepej fortunie, a kolejny rzut kośćmi może z powrotem zepchnąć ją w dół. Loteria Pajaka nadawała sens przypadkowi i go uświęcała. Ale możliwe też, że po prostu pragnęła poczuć działanie bóstwa.

Ostatni los nakazywał: „Zamień się życiem z pierwszą osobą, którą zobaczysz przez okno. Już nigdy nie wyciągaj kolejnego losu”. Zatem zamieniła się z grubym właścicielem „Cyprysa”; nerwowo i z zakłopotaniem wymienili identyczne losy. Było to niezwykle intymne doświadczenie, a potem zapomnieli o sobie nawzajem. Defour nie miała pojęcia, co mężczyzna zrobił z jej życiem. Wiedziała, że niektórzy próżni plotkarze – bez wątpienia zaliczała do tego grona pana Haycocka, pana Clementa i pana Drabble'a – z lubością opowiadali historie o zgromadzonych przez nią u szczytu sławy bogactwach, które gdzieś ukryła. Ostrzegła Arjuna, by nie przychodziły mu do głowy podobne głupstwa. Podczas jej ostatniego występu fani jęczeli jak podczas ofiarnego

zadawania ran! Ale to było wiele lat temu. Szybko o niej zapomnieli.

– I słusznie – rzekła. – Całkiem słusznie.

Wyciągnęła taki, a nie inny los. Mogła trafić lepiej, ale także znacznie gorzej. Za niczym nie tęskniła. To było powołanie. Kiedy wypowiadała te słowa, wyglądała na arogancką i smutną zarazem. Arjun odwrócił wzrok.

* * *

Nocą, przy blasku świecy, którą dostarczyła mu Defour (odnotowując to w zeszycie), Arjun ponownie przeczytał swój niewielki księgozbiór.

Wcześniej zaznaczył kilka fragmentów *Spekulacji* Varady'ego. Jeden z nich dotyczył zniknięcia pewnego kapłana – „ekscentrycznej postaci odzianej w strój przyozdobiony piórami, mającej w zwyczaju rzucać nieodpowiednie wyzwania”. Ów kapłan przybył z dżungli w Luahl w poszukiwaniu boga-jaguara, który zniknął z nadrzewnych świątyń w jego ojczyźnie. „Powiedział mi, że tropi boga”, pisał Varady, „a widząc jego zachowanie, uwierzyłem mu, choć trudno byłoby mi stwierdzić dlaczego, gdyż jego metody – chodzenie na czworakach po ulicach i węszenie w poszukiwaniu śladów czy smakowanie kory z drzew – jawiły mi się jako wielce dziwaczne i niereligijne. Wydaje mi się, że odnalazł to, czego szukał, ale, niestety znikł, zanim zdążyłem go o to zapytać. Później napiszę więcej na ten temat”. Jednak, ku

rozgoryczeniu Arjuna, Varady już nie wrócił do tej opowieści.

Arjun przypomniał sobie także *Techniki* Girolama. Jako wytrawny dworzanin Girolamo radził ludziom odwiedzającym miasto, a także miejscowym, którzy mieli coś do załatwienia w nieznanym dzielnicach, by najpierw skontaktowali się z lokalną władzą lub szlachcicami sprawującymi rządy na danym obszarze. Jako żołnierz, Girolamo wiele podróżował po obcych krajach i uważał, że wiecznie sprzeczący się władcy Ararat przywiązywali znacznie większą wagę do gestów szacunku niż władcy bardziej zjednoczonych państw.

Ta uwaga wydała się Arjunowi bardzo rozsądna. Skoro pragnął uzyskać od miasta pomoc, powinien przestrzegać jego tradycji. Oczywiście dane dotyczące władców Ararat, które zamieścił Girolamo, zdezaktualizowały się już kilkadziesiąt lat temu. Arjun potrzebował rady od współczesnych. Niestety, krąg jego znajomych był bardzo wąski. Po krótkim namyśle udał się do pokoju Heady'ego i cicho zapukał do drzwi.

Heady był jednym z miejskich sędziów przysięgłych. Profesjonalistą. Nie zarabiał wiele, ale był panem swojego losu. Wyjaśnił to Arjunowi podczas ich pierwszego spotkania, z wielką dumą i niezwykle szczegółowo. W Ararat działało tak wiele sądów i obowiązywało tyle praw, że zawsze było zapotrzebowanie na godnego zaufania sędziego przysięgłego, na którego uczciwości można było polegać. Heady uczestniczył we wszystkich

odbywających się procesach, wszędzie tam, gdzie od przysięgłych nie wymagano stosownego statusu materialnego bądź przymykano oko na to kryterium. Każdego ranka udawał się do sądów, udostępniając swoje usługi. Nie zwracał większej uwagi na fakty; one tylko go rozpraszały. Nigdy także nie zgłębił przepisów prawa, które obowiązywały w poszczególnych sądach. Kto by temu podolał? Było ich tak wiele. Biada człowiekowi, który popełnił przestępstwo podlegające jurysdykcji więcej niż dwóch sądów – czekały go procesy dłuższe i straszniejsze niż ostateczna kara. Jednakże Heady nauczył się idealnie wyczuwać, czego wymaga od niego sędzia, co było znacznie istotniejszą zdolnością.

Oczywiście nie zawsze chodziło o „sędziego”. W sądach hrabiny Ilony orzekał Inkwizytor, a sądy markiza Mensonge'a prowadzili kapłani, w sądach Szalonego Ananiasza pozwalano, by wyroki wystukiwał kopytem koń, jednak przede wszystkim liczył się urzędnik, ów bowiem wybierał, którymi pytaniami należy nakarmić zwierzę. Heady, w oparciu o swoje zawodowe doświadczenie, traktował ich jednakowo: wszyscy chcieli jedynie mieć do czynienia z godnymi zaufania ludźmi, którzy wiedzieli, że nie należy sprawiać kłopotów, i umieli okazywać szacunek lepszym od siebie. Dlatego chętnie korzystali z jego usług. Uważał, że zapracował sobie na dobrą reputację.

Szczególnie lubił sprawy kryminalne (zwłaszcza te dotyczące przestępstw seksualnych), choć to długie

rodzinne batalie o spadek zapewniały mu wielomiesięczny stały zarobek. Zresztą nie mógł być szczególnie wybredny. Największą przyjemność sprawiały mu procesy dysydentów lub heretyków.

– Nie tych żałosnych świrów, którzy wyją na ulicach. Mam na myśli mądrałów. Elegancików, rozumiesz?

Szczycił się tym, że kiedy był jeszcze młody i pełen entuzjazmu, został trzydziestym pierwszym sędzią przysięgłym w słynnym procesie bluźniercy Nicolasa Maine'a i pomógł cenzorom oraz przewodniczącemu stanąć w obronie uczuć zwykłych ludzi, przyczyniając się do wydania zasłużonego wyroku wygnania.

Arjun nie uważał zawodu Heady'ego za honorowy, lecz sędzia najwyraźniej wiedział, kto jest kim w mieście i dokąd warto się udać. Zresztą Heady chętnie zaoferował swoją pomoc. Był bardzo dumny. Cieszył się, że może służyć radą; w zamian wymagał jedynie, by Arjun go wysłuchał.

– Wdzięczny z pana słuchacz – stwierdził. – Nie przerywa pan. Jest pan żądny wiedzy.

– Nauczono mnie uważnie słuchać.

– Niech pan nie będzie taki zadowolony z siebie. Nikt nie zarabia w ten sposób na życie.

Pewnego ranka Arjun udał się razem z Headym do ogrodzonej posiadłości przewodniczącego Cimentiego w Goshen Tor. Wyruszyli, gdy było jeszcze ciemno, kierując się w stronę rzeki. Kiedy wzeszło słońce, akurat wędrowali przez Szczękę. Wspięli się na wzgórze, na

którym rozciągała się dzielnica Goshen Tor. Tam Heady wygłosił wykład, pouczając Arjuna, by ten postarał się coś osiągnąć w życiu, dla podkreślenia swoich słów wskazując otaczające ich olbrzymie biura.

Kiedy zbliżyli się do posiadłości, Heady opowiedział Arjunowi wszystko, co wiedział o przewodniczącym.

– Po pierwsze, jest jednym ze szlachciców, którzy roszczą sobie prawo do rządu Shutlow. Podejrzewam, że oficjalnie prowadzi tam jedynie działalność charytatywną, jednak jest ważną personą w tej okolicy, i lepiej o tym nie zapominać. Po drugie, jest bankierem. Prawdziwą szychą stojącą na czele koncernów Cimentiego, które są w posiadaniu, no cóż, większości tego, co można stąd zobaczyć. Jest bardzo bogaty. No i nieźle płaci. Ale to zapewne mało pana obchodzi, w końcu jest pan ponad takie kwestie. To musi być bardzo miłe uczucie. Wreszcie, po trzecie, nie trzyma hordy leniwych bandziorów w mundurach, tak jak pozostali szlachcice. Oczywiście nie twierdzę, że są oni bezużyteczni. Utrzymują spokój. Bronią porządku. Wykonują dobrą robotę w imieniu bogów. O czym to ja mówiłem? Aha, przewodniczący. Wydaje pieniądze na agentów i szpiegów. Dlatego lepiej uważać na to, co się o nim mówi. Po czwarte, jest bankierem, jak już wspominałem. Lubi profesjonalistów. Ludzi interesu. Przebojowych. Ha! Powodzenia, młody człowieku.

– Z tego co wiem, to zapalony mecenas sztuki. Widziałem jego herb na wielu koncertach.

– Tak, cóż, skoro pan tak twierdzi. Tędy. Niech pan idzie. – Heady wskazał biuro przewodniczącego i oddalił się, by czekać przed budynkiem sądu, aż ktoś zaproponuje mu pracę.

Arjun zwrócił się do eleganckiej młodej kobiety, która siedziała po drugiej stronie miedzianej kraty:

– Dzień dobry. Nazywam się Arjun Dvanda Atyava i pochodzę z Gad. Reprezentuję Chór, przybyłem z dalekiego południa. Chciałbym złożyć wyrazy szacunku przewodniczącemu.

Powtarzał tę wiadomość raz za razem kolejnym uśmiechniętym twarzom, tak że jego imię zmieniło się w rytmiczny zaśpiew. Recepcjonistka poprowadziła go przez hol wyłożony marmurami, a następnie przez drzwi za biurkiem do sali o wysokich oknach, gdzie tłum urzędników siedział w rzędach nad ciężkimi księgami, których strony wypełniały kolumny liczb. Przekazała Arjuna jednemu z urzędników, a ten zabrał go do schodów na tyłach sali, a na górze przeprowadził przez pokój, w którym grupa kobiet stukiała w klawisze dziwnych urządzeń, podobnych do niewielkich kwadratowych klawesynów. Urządzenia grzechotały i wypluwały kartki wypełnione wyraźnym czarnym drukiem. Arjun zrozumiał, że mechaniczny ptak, którego wziął ze sobą w ramach prezentu, był mniej imponujący niż się spodziewał. Urzędnik przekazał Arjuna w ręce nadzorcy o surowym obliczu. Mężczyzna poprowadził go korytarzem wzdłuż skarbców. I tak dalej, tam i z

powrotem po całym budynku, aż w końcu oszołomiony sekretarz wpuścił Arjuna do połączanego gabinetu, gdzie czekał schludny, uśmiechnięty młodzieniec o jasnych włosach, który z radością przyjął wyrazy szacunku w imieniu przewodniczącego, jako jeden z jego osobistych sekretarzy, po czym przekazał najlepsze życzenia i wypuścił Arjuna tylnym wyjściem na ulicę, zanim ten zdążył wyjaśnić cel swojej wizyty lub poprosić o pomoc. Droga na zewnątrz okazała się znacznie krótsza niż droga do środka. W ten sposób jedne drzwi do miasta zostały zatrzaśnięte.

Rozdział 6

Rankiem dzieci opuściły grupkami „Czarny Księżyc”. Jack cierpliwie je obserwował, zastanawiając się, w jaki sposób może dołączyć do ich społeczności.

Większość małych dzieci zbierała śmieci na ulicach i wyławiała je z rzeki; malcy schodzili nad wodę podczas odpływu, a także zagłębiali się w kanałach, wyszukując resztki pozostawione przez miasto: drewno na opał, węgiel, metal, skrawki materiału, kawałki jedzenia, wszystko, co mogło zainteresować szmaciarzy. Zbierali odpadki, popioły i kości, a także końskie i psie gówno dla garbarzy. Jack nie mógł do nich dołączyć. Potrzebował kosza albo wiadra – czegoś, w czym mógłby trzymać znalezione śmieci. Żałował, że wyrzucił czapkę.

Dwaj chłopcy sprzedawali gazety. Zabierali sterty egzemplarzy „Ery” lub „Wartownika” z wozu na rynku i przez cały dzień stali na ulicy, wołając i wymachując gazetami, których nie potrafili przeczytać. Jack nie odważył się pójść w ich ślady, była to bowiem zbyt publiczna i zbyt hałaśliwa działalność. Ktoś mógłby go zobaczyć. Poza tym był na to za stary, nie miał już młodzieńczej twarzy.

Zamiast tego poszedł za dwoma chłopcami w swoim wieku – wysokim blondynem Fissesem i jego rudowłosym przyjacielem Aidenem, którzy najwyraźniej przewodzili grupie – i przyglądał się, jak kradną jedzenie na Targu

Siedmiu Kół, gdzie stragany rozciągały się w cieniu olbrzymich szerokich kół z szarego kamienia. (Każde z nich wielkością dorównywało kołom młyńskim; ludzie mawiali, że pradawny lud, który je wyrzeźbił i przetransportował znaną rzeki, składał na nich ofiary).

Jack obserwował, jak chłopcy odcinają królika przywiązanego do palika pod Króliczym Kołem, zabierają pudełko zapalek z beczki pod Świecowym Kołem i podkradają szarą bieliznę ze sterty używanych ubrań pod Rymarskim Kołem. Patrzył, jak opróżniają kieszenie urzędników wychodzących z sypiących się szarych ceglanych biur na Placu Sundera i jak, ryzykując potępienie, wydobywają gładkie rzeźbione różańce z tylnych kieszeni mężczyzn, którzy opuszczali świątynię Atenu.

Śledził subtelną wędrowkę małych złodziejasków, lecz nie potrafił ich naśladować. Był zbyt niezgrabny. Wyróżniał się z tłumu. Jego lśniąca koszula z pewnością nie pomagała. Kiedy się zbliżał, ludzie przytrzymywali sakiewki, a handlarze pochylali się nad straganami i chwytali za kije. Pierwszego dnia wrócił ze swej wyprawy głodny.

Wieczorem Fiss rzucił mu mechaty kawałek suszonej ryby.

– Jedz. Posłuchaj: skoro nie chcesz zostawić nas w spokoju, to przynajmniej nie wchodź nam w paradę, dobrze? Nie wiesz, co robisz. Przez ciebie wszystkich nas złapią.

Mimo to drugiego dnia Jack i tak podążył za Fissesem i Aidenem, choć tym razem trzymał się z daleka. Ponownie udali się do Siedmiu Kół, gdzie Jack przypomniał sobie kilka rzeczy; między innymi to, że nierówna zachodnia granica targowiska prowadzi w głąb Czwartego Okręgu, a także to, jaki odważny się czuł jako dziecko, gdy zapuszczał się w te zachodnie rejony, którymi podobno rządzą gangi. Przypomniał sobie również, że Targ Siedmiu Kół, choć wydaje się wykwinny w porównaniu z domem poprawczym, jest miejscem, na którym żywi się i ubiera biedota; bogatsi mieszkańcy robią zakupy na północy i wschodzie w wysokich sklepach przy ulicy Hoega. Jack jednak przypuszczał, że tam kradzież byłaby zbyt trudna, więc postanowił być cierpliwy i bacznie obserwować Fissa. Wkrótce dawne umiejętności zaczęły do niego wracać. Niespiesznie zbliżył się do stołu rzeźniczego, pozornie patrząc w zupełnie innym kierunku i nie wzbudzając podejrzeń, po czym chwycił garść kiełbasek i rzucił się do ucieczki. Podniósł się raban, ale Jackowi udało się przepchnąć przez tłum i zniknąć. Zjadł swój łup nad kanałem.

Gdy wieczorem wrócił do „Czarnego Księżyca”, Fiss pokręcił głową.

– Widzieliśmy, jak cię ścigali. Byliśmy pewni, że nie umkniesz im. Nie przetrwasz nawet tygodnia, Jack, jeśli dalej będziesz się w to bawił.

Jack tylko się uśmiechnął. Już pamiętał, jak to się robi. Teraz, kiedy odzyskał wolność i zaspokoił głód, czuł się

szybszy i bardziej pewny siebie. Trzeciego dnia stał się jeszcze zwinniejszy. Czwartego był już szybszy niż ktokolwiek, kogo widzieli Fiss i Aiden, poruszał się lekko i z niewinnym uśmiechem. Mógł zabrać, co tylko zechciał. Okradał cele, które wskazywali Fiss i Aiden, zanim pozostali chłopcy zdążyli się ruszyć z miejsca. Wydobył sakiewkę spod czerwonej szaty kapłana; zabrał dwie chustki, jedną z nich z monogramem, urzędnikom w pasiastych garniturach, którzy jedli lunch na targu; wyjął prosty rzemieślniczy nóż z za pasa mężczyzny zmierzającego w kierunku Czwartego Okręgu oraz ukradł wiele innych drobiazgów. Nie miał problemu z liczbą łupów. Jednakże jakość kolejnych zdobyczy wymagała dalszych ćwiczeń.

Kiedy wieczorem siedzieli w kółku, na podłodze baru w „Czarnym Księżycu”, Jack postanowił wykazać się uprzejmością: wręczył Fissowi i Aidenowi lwią część swoich łupów i powiedział:

– To było wasze. Bez urazy. Po prostu nie mogłem się doczekać. Pomyślałem, że zaoszczędzę wam trochę czasu.

Fiss zmierzył go wzrokiem od stóp do głów. Kilka dni wcześniej spoglądał na Jacka z rozpaczliwą, niemal matczyną litością. Teraz poddawał go ostrej ocenie. Jack odwzajemnił się dumnym uśmiechem.

– Po co nosisz tę koszulę? – spytał Fiss. – W tym jedwabiu wyglądasz jak pajac.

– Raczej jak dziwka – dodał Aiden. – Patrzcie, jaki ładny chłoptaś.

Ta uwaga wzbudziła powszechną wesołość. Jack nie zareagował. Zamiast tego opowiedział historię swojej ucieczki, wyjaśniając, w jaki sposób wykorzystał magię Ptaka dzięki koszuli z jaskrawego jedwabiu i skrzydłom wykonanym z pościeli.

– Nikt nie może się wydostać z Domu Barbotina – odparł Fiss. – Nawet Ptak tu nie pomoże.

– Dopiero na starość – zgodził się chłopak zwany Riley. – Najpierw wyciskają cię jak cytrynę. Był u nich stary Lager, który mieszka na rogu, i zobaczcie, jak teraz wygląda.

(„Wcale że nie był. A właśnie, że był. Skąd wiesz?”).

Aiden spytał Jacka o kilku znajomych chłopców, którzy trafili do Domu. Riley wymienił jeszcze jednego. Jack był w stanie wszystkich opisać.

W pomieszczeniu rozległy się szepty.

– Moja siostra знаła chłopaka, który stamtąd wyszedł – odezwał się Fiss. – Miał głowę pełną wiedzy, ale był chory i nie potrafił robić nic sensownego. Może pogadasz tak jak on, jeśli potrafisz.

Jack wyrecytował katechizm Tybru, a kiedy to nie wystarczyło, streścił i poddał krytyce główną tezę *Święceń i Wcielenia* Lagrange'a.

– Właśnie o to mi chodziło – przytaknął Fiss – cokolwiek to znaczy. A więc ktoś uciekł z Domu Barbotina. Kto by pomyślał?

Tej nocy kilkoro mniejszych dzieci przyszło do Jacka. Stwierdziły, że jest bożym człowiekiem – słyszały jego

słowa. Nigdy nie spotkały się z podobną mową, nie w takim życiu, jakie wiodły. Czy mogłyby jeszcze chwilę go posłuchać? Spytały go o Tyber, a on odpowiedział, że to bardzo odległy bóg, który nie może dać im ciepła. Były załamane. Spytały o Ducha Świąteł, a Jack odparł, że nigdy go nie widział, gdyż nie było to mile widziane bóstwo w Domu Barbotina. Malcy spytali:

– Powiadają, że gdzieś na północy wędruje złoty bóg, który zstępuje z gór i zmienia ulice, którymi przechodzi, w złoto.

Jack podał im jego imię, po czym dodał:

– Jeśli to prawda, to dzieje się to daleko na północy. Nigdy go nie zobaczycie.

Oni jednak pytali dalej. byli głodni cudów. Nie potrafił im odmówić, więc opowiedział o Ptaku i o tym, jakie to uczucie latać. Zauważył, że Fiss także go słucha, choć udaje, że śpi.

* * *

Fiss obudził Jacka, wbijając mu w zębra swój brudny, połatany but – stanowczo, ale grzecznie. Jack się poderwał, zaszokowany, że już nastał ranek, a on spał dłużej i mocniej niż pozwalał sobie od lat.

– Pozostali wyszli zarabiać na swoje utrzymanie – odezwał się Fiss. – Jesteś szybki i sprytny; możesz pójść ze mną, rozejrzeć się, sprawdzić co o tym myślisz.

Jack udał się razem z Fissesem na nabrzeże, przeciskając

się przez gęstniejący w porze lunchu tłum. Tyczkowany blondyn był zdecydowanie za wysoki na podniszczone szare spodnie, które nosił, ale z godnością traktował swój absurdalny wygląd. Bezustannie komentował mijanych przechodniów, utrzymując, że jest w stanie na pierwszy rzut oka oszacować zawartość ich kieszeni. Kiedy wyczuwali, że zbyt długo się im przygląda, i odwracali ku niemu wzrok, Jack spinał się i chciał uciekać, ale Fiss tylko uśmiechał się z pewnością siebie i życzył im błogosławieństwa wybranego boga, co zawsze ich uspokajało. To była niezła sztuczka.

Fiss poprowadził ich w górę schodów na tyłach niewielkiej kapliczki Podczaszego, stojącej na krawędzi Szczęki, wielkiego zatłoczonego mostu, który łączył obie połówki przystani Ar-Mouth.

– To tutaj – rzekł chłopak, wskazując ponad krawędzią Szczęki na mały kanciasty budynek z czerwonej cegły. – To magazyn i rachuba jednego z towarzystw żeglugowych. Czasami schodzę tam popatrzeć. Kiedyś mieli tylko jednego strażnika od frontu, ale teraz, sam zobacz, cała grupa spaceruje tam i z powrotem. Ale nikt nie pilnuje budynku od tyłu. Gdyby udało ci się wejść...

Jack obserwował młodych mężczyzn, pracowników nabrzeża, którzy wchodzili do magazynu i z niego wychodzili, oraz kolejnych na ulicy, załadowujących i wyładowujących worki i skrzynie. Młody kaznodzieja kultu Atenu, Prostego Robotnika, ubrany w brązowy fartuch, stał na skrzyni i wygłaszał długie kazanie o

wartości ich trudu. Jego słowa częściowo zagłuszał hałas nabrzeża, ale przesłanie było jasne. Jack pomyślał, że mógłby zastąpić kaznodzieję albo jego publiczność, gdyby tylko wiedział, od czego zacząć.

– Co tam jest? – spytał Fissa.

– Nie wiem. Ale najwyraźniej uważają, że warto tego pilnować. Musi to być coś lepszego niż portfele czy chustki. Sądzę, że moglibyśmy się włamać, ale na razie nie wiem jak. No i jest jeszcze jeden problem. Ktoś inny też obserwuje magazyn. To chyba jakiś poważny gang z Okręgu. Widziałem kilku z nich w miejscu, do którego chodzę, żeby, no wiesz, pozbyć się tego, co zdobywamy. Nie chcę ich drażnić. Są bardziej niebezpieczni od nas. No więc? Masz jakieś pomysły?

Fiss wpatrywał się w niego intensywnie i z nadzieją, ale Jack nie miał żadnych propozycji. Potrafił jedynie myśleć o tym, że jest niewiele młodszy od kaznodziei i niewiele starszy od niektórych robotników. Nie wiedział, co ma zrobić ze swoim życiem; lata spędzone w Domu Barbotina nie przygotowały go do dorosłości. Wszystko, co robili ludzie na dole, wydawało mu się zarazem absurdalne i denerwujące. A jednak czuł, że wyrósł ze stylu życia Fissa, oczywiście podobnie jak sam Fiss. To nie mogło długo potrwać.

Fiss wzruszył ramionami.

– Nieważne. Nie masz ochoty wlecieć tam przez okno? Może później. – Roześmiał się i odszedł. Jack jeszcze przez chwilę obserwował tłum, a kiedy zamknął oczy i

zanurzył się w hałasie, wyobraził sobie, że lata.

* * *

Jeśli niektórzy jeszcze wątpili w jego opowieść, to uwierzyli w nią, gdy w Shutlow pojawili się pan Tar i pan Shunt. Dwaj mężczyźni w nieokreślonym wieku, ubrani w czarne garnitury, o brudnych brodach, bladej skórze i zaczerwienionych oczach. Zaglądali wszędzie, wpytując barmanów, sprzedawców, dziwki, starego Laggera, wiedźmę w „Cyprysie”. Uciekł im jakiś chłopak, a oni chcieli go odzyskać.

– Zdecydowanie chodzi im o ciebie – uznał Fiss. – Przyszli z Domu Barbotina. Tak powiedzieli.

Każdy inny Dom mógłby pozwolić, by jeden z jego chłopców wymknął się na ulice, uznając, że przynosił im więcej kłopotów niż pożytku, oraz wiedząc, że wkrótce i tak wpadnie w szpony innego Domu, zimna, głodu lub gorączki. To jednak najwyraźniej nie dotyczyło Domu Barbotina.

Dlatego Jack zniknął z brudnych ulic Shutlow. Nikomu nie powiedział, dokąd idzie; sam tego nie wiedział. Początkowo wybierał drogę całkowicie przypadkowo. Jednak wkrótce postanowił, że spośród dwóch możliwych ulic zawsze będzie wybierał tę, która wygląda na bogatszą, czyli ma większe i czystsze budynki, a także zawsze będzie się starał przemieszczać w górę. Szukał miejsca, które jak najmniej przypominałoby jego rodzinne

strony, w którym nikt nie będzie go szukał.

W końcu trafił na drugą stronę rzeki, do Goshen Tor, które wydało mu się najdziwniejszym miejscem pod słońcem. Z zachwytem przyglądał się wysokim bankom z niekończącymi się rzędami zasłoniętych okien; wielofasetowym powierzchniom, które podobno przypominały oczy Pajaka.

Nie był bezpieczny w pobliżu banków, gdyż zawsze krążyły tam duże oddziały straży, a on sam czuł się boleśnie nie na miejscu. W okolicy świątyń wcale nie było lepiej. Świątynie w Goshen Tor były bogate i stare, służyli w nich paranoiczni kapłani, on zaś straszliwie rzucał się tam w oczy. Nie mógł jednak wrócić, więc piał się coraz wyżej.

Świątynie zbudowano z wiekowych kamieni, marmuru, stali i szkła. Obecnie żadna z nich nie była poświęcona bogowi, dla którego powstała w niepamiętnych czasach. Dumnie wzniesione iglice zostały porzucone, gdy bogowie, których miały czcić, stracili zwolenników, a rytuały, jakie się w nich odbywały, uległy zapomnieniu. Jasne kopuły, wieńczące budynki, po zaledwie stu latach zieleńiały, pokrywały się mchem i pękały. Świątynie wspólnie wzrastały i gwałtownie się dzieliły, pożerając się nawzajem, by dzięki wchłoniętym cegłom wznosić nowe Wieże i łuki. Banki niemal dorównywały im wiekiem i przekształcały się z podobną zażartością. Patrząc z poziomu ulicy, dostrzegało się jedynie poukładany marmurowy majestat, ale już z lotu ptaka było widać, że

Goshen Tor pogrąża się w chaosie.

Najłatwiej było się ukryć na dachach i Jack tak właśnie zrobił. Wspiął się po schodach przeciwpożarowych na tyłach Muzeum Latimera, w bocznej uliczce, która nie przypominała znanych mu mrocznych i brudnych alejek. Rozświetlał ją blask latarni, a po jej obu stronach mieściły się eleganckie zakłady krawieckie oraz kluby dla dżentelmenów. Ze szczytu wysokiego dachu Muzeum Jack, balansując, przedostał się po wąskiej belce na przypominający labirynt dach świątyni Tybru. Ukrył się w opuszczonym biurze przytulonym do ściany dawnego obserwatorium. O zmroku zszedł na ulicę, by ukraść trochę jedzenia z kuchni; przeskakiwał nad niepewnymi, przegniłymi deskami w podłodze, skradając się zakurzonymi korytarzami do pomieszczeń mieszkalnych świątyni. Zjadł posiłek pod gołym niebem na dachu.

Kiedy tak siedział na krawędzi kopuły, żując skórkę od bekonu, nad dachem przemknął olbrzymi cień, który nadciągnął z za jego pleców. Jack usłyszał dudnienie i szum oraz poczuł nagły wzrost ciśnienia. Uderzył w niego gwałtowny podmuch powietrza, po czym po niebie przepłynął wielki zakrzywiony drewniany kształt, niczym spadający księżyc. Chłopak zamarł z przerażenia. To coś przeleciało mu tuż nad głową; wydawało się, że jest na wyciągnięcie ręki. Padł na ziemię, jednak kiedy kształt go minął, okazało się, że tak naprawdę znajduje się wysoko w górze. Nie wierząc własnym oczom, Jack rozpoznał zarys okrętu: wysoki, podłużny łuk kadłuba, masywne

wybrzuszenie pokładów rufowych. Jako dziecko widywał podobne statki (co prawda z żaglami, a nie z olbrzymim garbatym balonem) w teatrze, namalowane na prospektach stanowiących ilustrację pirackich romansów. Coś takiego nie powinno się pojawić w mieście, a nawet w prawdziwym świecie, a co dopiero na niebie ponad Ararat. Nie mógł w to uwierzyć. Czyżby miasto tak bardzo się zmieniło, gdy przebywał w niewoli?

Okręt powoli rozpływał się w ciemności na północy. Jack patrzył, jak odlatuje. Po chwili w oddali rozległ się grzmot, a na horyzoncie pojawił się rozbłysk ognia. Potem kolejny.

Kilka dni później Jack ukradł gazetę z jednego z biur na dole. „Era” donosiła, że cudowny okręt wojenny hrabiny Ilony, „Gromowładny”, zburzył fortecę niesławnego przestępcy z Urbomachii, Jacka Byka. „To wspaniały dzień, obietnica świetlanej przyszłości”, rozpływali się redaktorzy „Ery”. „Być może pewnego dnia całe miasto wzniesie się w przestworza. Znikną granice, które wywołują konflikty, znikną cienie, w których kryje się zbrodnia i pieniąż choroby! A podziękowania za ten cud należą się hrabinie Ilonie” – tutaj jakiś czytelnik nabazgrał na marginesie słowo „kurwa” – „oraz osiągnięciom naukowym i wizji profesora Holbacha, który podczas niesamowitego rytuału na brzegach rzeki Urgos, we wtorek, czternastego cabriela...”. Jack postukał palcem w tę datę.

Do artykułu dołączono niewyraźną i koślawą ilustrację

przedstawiającą statek. Jack był nią zachwycony.

Pozostałą część strony zajmował felieton zatytułowany „Gromowładny”, jednak ku rozczarowaniu Jacka nie dotyczył on cudownego okrętu; Gromowładny okazał się pseudonimem literackim krzykacza, będącego właścicielem gazety. Tekst był napuszonym, gwałtownym atakiem na kupca nazwiskiem Shay, który w jakiś sposób, zbyt potworny, by „Era” szczegółowo go opisała, obraził bogów miasta. „Czytelniku, masz prawo być wściekły”, głosił felieton. „Brak szacunku, jaki ten człowiek okazuje wobec Naszego Miasta, nie może być dłużej tolerowany. Skoro sami bogowie nie mogą go ukarać, odpowiedzialność ta spada na osoby, które władają Naszym Miastem, i to właśnie do nich kieruję nasz apel. Z pewnością nie zamierzamy sugerować, że wspomnianemu Shayowi nie utrudnia się działalności, gdyż z jego usług korzysta któryś z przywódców... ”.

Brawo dla Shaya, kimkolwiek on jest, że zirytował tego napuszonego błazna. Jack oddał część strony z nieprzyjemnym potokiem słów i zachował wizerunek okrętu. Złożył go i schował do kieszeni.

Wkrótce potem wślizgnął się do urządzonej z przepychem sypialni jakiegoś biskupa lub prałata, gdzie umył twarz w złotej misce i przejrzał się w srebrnym lustrze. W Domu Barbotina nie było luster. Jack był chudszy niż przypuszczał i miał słabo zarysowaną szczękę. Wciąż nie miał zarostu, o czym doskonale wiedział, lecz mimo wszystko ten widok go zaskoczył.

Z przeszklonej szafki na ścianie ukradł piękny zakrzywiony nóż. Broń była idealnie wyważona. Niewielki lecz satysfakcjonujący akt zemsty. Pierwszy z wielu.

Szybko jednak pożałował tego, co zrobił. Kapłani wkrótce zaczęli wystawiać nocne stráže, które krążyły po budynku z zapalonymi pochodniami w dłoniach. Co prawda potrafił ich bez trudu omijać w ciemnych pustych korytarzach, ale nie musiał długo czekać, by zaczęli się zapuszczać także na dachy. Wysyłali tam patrole złożone z młodych seminarzystów uzbrojonych w kije, którzy przetrząsali zrujnowane chatki i opuszczone wieże.

Pewnej nocy pojawili się w pobliżu kryjówki Jacka. Obudził go hałas, jaki czynili. Wziął pod pachę cały swój dobytek i wymknął się przez okno, po czym przebiegł w poprzek dachu i schował się w ciemnym rogu za stertą przegniłych desek. Wiedział, że znajdą narożnik, którego używał jako toalety.

Coraz bardziej się zbliżali. Jack zrozumiał, że będzie mógł spać spokojnie dopiero wtedy, gdy ktoś stanie na straży. Sam nie był w stanie długo przetrwać. Wcześniej czy później szczęście go opuści. Miasto jest zbyt duże; czuł się w nim zagubiony i samotny. Wrócił do Shutlow i do „Czarnego Księżyca”, licząc na to, że ponownie go przyjmą. Może teraz jest tam bezpieczniej.

Rozdział 7

Zanim Arlandes się obudził, śnił o tańczącej Lucii. We wszystkich jego snach dziewczyna albo tańczyła, albo spadała, a czasem i jedno, i drugie.

Pokojowy ułożył jego mundur na orzechowej toalecie w kajucie. Arlandes nadal ubierał się na czarno – na razie nie widział powodu, by tego zaprzestać.

Ubrał się mechanicznie, z na wpół zamkniętymi oczami, jakby nadal był pogrążony we śnie.

Wyjął spod koi brązową skórzaną teczkę. Przez kilka minut siedział na posłaniu, trzymając ją na kolanach. Nadszedł czas, stanowczo nadszedł czas. Postanowił to we śnie, zbyt długo się nie namyślając, zresztą nie był specjalnie zdolny do namysłu. Wyszedł z kajuty i stanął pod błękitnym niebem poranka.

Jego kwatery znajdowała się na rufie. Arlandes ruszył pustym pokładem w stronę dziobu, przechodząc w dającym chłód, zmieniającym kształty cieniu balonu. Stopy kapitana wydawały się lekkie jak piórko, podobnie jak wszystko na tym olbrzymim okręcie.

Nie wyczuwał żadnego kołysania ani zbaczania z kursu, żadnych szarpnięć ani przechyleń, jedynie stały dostojny łagodny ruch, do którego nie były przyzwyczajone jego nogi.

W powietrzu nie było pływów. Kiedy wiał wiatr – a robił to z wielką siłą – załoga musiała przytrzymywać

kapelusze, jednak „Gromowładny” ani razu nawet nie drgnął. Cokolwiek go napędzało, nie było zależne od wiatru.

Rozlegały się dziwne dźwięki. Nie było odgłosów skrzypienia, chlupotania czy przelewania się wody jak na prawdziwych statkach. Jedynie szelest i trzaskanie wielkiego balonu w górze w pewnym stopniu przypominały odgłosy, jakie wydają żagle. Pobrzękiwały łańcuchy, a drewno trzeszczało, lecz nie osiadało; okręt był pozbawiony wagi. Choć to nie było właściwe określenie i jeszcze nie znaleziono odpowiednich słów, by to opisać.

Arlandes nie był poetą, więc nie podejmował się wymyślenia nowych określeń. Okręt był bronią i zmierzał tam, dokąd on go skierował – tam, dokąd kazała go skierować hrabina.

Kiedy tylko zawijali do przystani – przypominającej rusztowanie lub szubienicę, na której można by wieszać olbrzymów, i zbudowanej na zboczu wzgórza na terenie posiadłości hrabiny, ponad pałacem, w miejscu, gdzie jeszcze pół roku temu rosły piękne dęby – czekał tam na nich Holbach, który kręcił się po okolicy, zacierając tłuste dłonie i prosząc o wpuszczenie na pokład. Pragnął zbadać swoje urządzenie podczas pracy. Holbach zadawał się z poetami, dramatopisarzami i całą gamą degeneratów, możliwe więc, że któryś z nich potrafiłby nazwać dźwięki, jakie wydawał okręt, Arlandes jednak postanowił, że tłusty uczoney i jego kumple nigdy nie postawią stopy na

pokładzie statku, chyba że hrabina osobiście wyda taki rozkaz.

– W nocy lecieliśmy wzdłuż rzeki na północ, panie kapitanie, a teraz obraliśmy kurs na zachód ponad Grafton i...

Arlandes gestem odprawił pułkownika Duncana i ponowił samotną wędrówkę po pokładzie.

Okręt uda się tam, gdzie zechcą. Nie powstrzymają go sztormy, nie zatopią fale. Arlandes wątpił, czy jego obecność jest w ogóle konieczna.

W miejscach, gdzie niegdyś stały maszty, znajdowały się dębowe kikuty w mosiężnych oprawach. Gibson i Dautry właśnie je polerowali. Zasalutowali kapitanowi, po czym szybko wrócili do zamykania I pokładu – byli na tyle rozsądni, by nie życzyć Arlandesowi miłego dnia; doskonale wiedzieli, że nie lubi się spoufalać z załogą.

Były to jedyne osoby na statku. „Gromowładny” dysponował bardzo skromną załogą, poruszał się sam, dzięki swej niezrozumiałej mocy, a ludziom pozostawało jedynie obsługiwanie dział.

Nie było morskiej soli, która gryzłaby skórę i zabarwiała oczy na czerwono, jednak światło wydawało się zimniejsze i jaśniejsze, a wiatr gwałtowniejszy niż na ziemi.

Także ludzie byli inni. Chodzili energiczniej. Częściej się śmiali. Jednoocy, siwowłosi starzy marynarze o twarzach pokrytych bliznami nagle zaczęli chichotać jak służące na miejskiej zabawie. Być może powodowało

to rozrzedzone powietrze bądź bliskość słońca. A może chodziło także o to, że miasto, które obecnie zamieszkiwali, było tak odmienne: żadnych ulic, brudu, żebraków, cieni, tylko łopoczące flagi i wiatrowskazy oraz wysokie połyskujące okna i złote zastrzone końcówki iglic, a najczęściej tylko obłoki i ptaki. Jedynie Arlandes zachowywał powagę.

Oczywiście rozmawiali o nim za jego plecami.

Wychylił się z dziobu ozdobionego rzeźbioną błyskawicą. Był tutaj sam – układ sterowniczy statku, złożona i nieprzenikniona maszyna, której nawet nie próbował zrozumieć, znajdował się pod pokładem. Niewątpliwie pułkownik Duncan lub ktoś inny był na dole i go obsługiwał.

Beładne skupisko ceglanych domów, garbarni i fabryk poniżej to zapewne Grafton. Arlandes nie znał tej dzielnicy.

Tego dnia miała się odbyć konferencja handlowa pomiędzy mieszczanami z Grafton a kupcami ze Stross End – ponuro ubranymi ludźmi gerenta. Mieli tam być obecni także bankierzy przewodniczącego Cimentiego. Rola „Gromowładnego” ograniczała się do wiszenia na niebie, nad głowami delegatów; okręt miał być widoczny.

Co Arlandes będzie robił przez cały dzień, gdy statek beczynnie zawisnie nad miastem? Czasami miał ochotę wypalić z ciężkich czarnych dział.

Przy wtórze świergotu wydobywającego się z drobnych gardeł oraz trzepotu skrzydeł, wokół dziobu okrętu

zaczęło krążyć stado kosów, przyłączając się do nieproszonego powietrznego gościa. Wkrótce ptaki przemieściły się na sterburtę. Jedno z malutkich stworzeń przez chwilę samotnie i rozpaczliwie okrężało pokład, po czym wróciło do stada.

Ariandes oparł teczkę o reling i ją otworzył. Leżała w niej starannie poskładana biała sukienka poplamiona krwią.

Pod nim rozciągało się miasto. Najwyższymi budynkami w Grafton były fabryki juty, wyciągające ku niemu plujące dymem kominy, które z tej odległości przypominały czarne kropki. Przy zachodniej granicy Grafton jeden z dopływów rzeki rozlewał się w zanieczyszczone mokradła, usiane budami, kolczastymi drzewami oraz drewnianymi mostkami przecinającymi błoto. Szczyty wzgórz na zachodzie pokrywała skorupa wysokich budynków, które wyglądały na niezamieszkane. Ariandes nie był pewien, dlaczego odniósł takie wrażenie. Być może chodziło o okna – słońce nie odbijało się od malutkich szyb w oddali. Niewykluczone, że była to martwa strefa. W głębokich dolinach za wzgórzami – tymi oraz kolejnymi, które wznosiły się na granicy pola widzenia – niczym grzyby wyrastały kopuły i minarety. Nad pokrytym kopułami wzgórzem szalała burza z piorunami, a niebo w oddali przesłaniała ściana deszczu, tak że Ariandes nie sięgał dalej wzrokiem.

Za to gdy zwracał się na północ, niemal dostrzegał obłoki otaczające szczyt Góry oraz wieże, które gęsto

pokrywały jej zbocza. Załoga unikała spoglądania w tamtą stronę; wszyscy wyrobili w sobie nawyk spuszczenia wzroku, gdy odwracali się ku północy. Gdyby skręcił w tamtym kierunku, dotarłby do Góry w ciągu zaledwie kilku dni. Powiadano, że ulice, przecinające jej zbocza były dziwne i niebezpieczne.

„Przy odrobinie szczęścia Góra mogłaby stać się moim końcem”.

Kiedyś wierzył, że z lotu ptaka miasto będzie się wydawało mniejsze. Holbach zachęcił go, by wyobraził sobie „całe miasto rozciągnięte przed naszymi oczami, gotowe, byśmy mogli je zrozumieć jako doskonałą całość”. Obaj z Holbachem się mylili. Mury miasta były niewidoczne, wciąż pozostając w sferze domysłów, za niewyraźnym horyzontem.

Poza tym miasto się poruszało. Ulice w dole, pozawijane i poskręcane niczym spaczone drwa, zmieniały kształty jak fale. Jak fałdy i zakrwawione koronki na jej sukience, gdy spadała. Zresztą tak właśnie mawiano. Tak mawiano. „Bogowie kształtują nas dla swoich celów. Bezustannie tkają”. Jednakże ujrzanie tego na własne oczy z lotu ptaka wywoływało przerażenie i bezgraniczne obrzydzenie.

Przykładowo, dwie noce temu przelecieli nisko ponad ulicą Carvalha i widzieli światła zapalające się w slumsach – lampy gazowe i pochodnie skrzące się na złoto, fioletowo i zielono, zawieszane w drzwiach i oknach barów, burdeli, teatrów, herbaciarni i klubów

zapaśniczych. Światła utworzyły migoczącą zorzę na nocnym niebie. Arlandes – który nie mógł zasnąć i krążył po pokładzie – patrzył, jak ta zorza się rozszerza i wspina pod niebo; obserwował, jak sunie ulicą Carvalha niczym dym lub fala przyływu, jak opada kaskadą przez tłum na ulicy, a ludzie podnoszą dłonie i drżą w ekstazie, gdy przepływa przez nich lśniąca bóstwo. Niektórzy tracili wzrok, inni już nigdy nie mieli zobaczyć niczego poza kolorami, blaskiem i światłem gwiazd. Bóstwo zmieniało wszystko, czego dotknęło. Oczywiście był to Duch Święty. Arlandes, oszołomiony jasnością i zdjęty strachem, zapomniał prawdziwego imienia boga. Kiedy Światło zgasło, poczuł się jak ślepiec – niebo w jednej chwili stało się przerażająco czarne. Wszystko to Arlandes mógłby dostrzec z ziemi, ale znalazłby się wtedy w centrum wydarzeń i nie byłby w stanie utrzymać chłodnego dystansu. Poza tym jedynie z powietrza mógł dostrzec, w jaki sposób pojawienie się bóstwa zmieniło ulicę: slumsy zapłonęły jaśniejszym i potężniejszym blaskiem, niczym witraże w nowych barwach, głębokich żywych czerwieniach i lodowatych błękitach; ulica Carvalha stała się szersza, głębiej osadzona i prostsza; światła slumsów rozlały się po nowym bulwarze; cienie w pijackich alejkach, które odchodziły od głównej ulicy, stały się intensywniejsze i czarniejsze niż kiedykolwiek dotąd.

Jakiej ofiary zażądał bóg za swoje dzieło? Ślepotą była tylko początkiem. Arlandes zszedł na dół i rozkazał

sternikowi, by ich stamtąd zabrał. Kiedy o tym myślał, ciarki przebiegały mu po plecach.

Lucia nie była osobą bywałą w świecie. Była jedynaczką i jej ojciec ją chronił. Nie wiedziała, jak okrutne potrafi być miasto. Arlandes sięgnął do teczki i przesunął palcem wzdłuż białej koronki, aż dotarł do plamy kruchej zaschniętej krwi.

Dzielnice Grafion w dole rozdzierały ciemność i cienie. Pod dymami z fabryk rozciągały się niczym plamy oleju slumsy. Wszyscy pracownicy byli zajęci w fabrykach, więc na ulicach panowały spokój i cisza, był to jednak spokój fałszywy; przypominał powierzchnię stawu, z którego w każdej chwili może się wynurzyć coś mrocznego i potężnego.

Gdy Arlandes się odwrócił i wychylił za reling na sterburcie, ujrzał za sobą rzekę – gęstą, zieloną i mętną – na której tłoczyły się krypy i czarne barki z węglem. Pamiętał, że dawniej żeglarze nie wypuszczali na rzekę żadnego ważnego statku, dopóki nie złożyli ofiary z dziecka – dziecka któregoś z nich bądź znalezionej na ulicy sieroty, którą związywano i wrzucano do wody. Obecnie postępowano w bardziej cywilizowany sposób. Mimo to Arlandes nie mógł przestać myśleć o śmierci Lucii, która spadła w tej samej chwili, w której „Gromowładny” wzbił się w niebo, zupełnie jakby oba obiekty obracały się wokół jakiejś groteskowej niewidzialnej osi, niczym trybiki w potwornej maszynie. Bogowie zawsze byli głodni. Kapitan poczuł ucisk w

żołądka i ścisnął w garści zakrwawione koronki. Miasto przyprawiało go o mdłości. Gdyby mógł, już nigdy nie zszedłby na ziemię. Nagle dotarło do niego, że wcale nie musi tego robić. Może zabrać okręt i po prostu odlecieć. Gdyby do tego doszło, Duncan by za nim podążył, podobnie jak część innych. Wystarczająco duża część. Dlaczego miałby wykorzystywać cud, za który Lucia oddała życie, by terroryzować i straszyć w imieniu hrabiny? Powinien uciec. Hrabina nigdy go nie złapie, nigdy nie sprowadzi go z powrotem. Tylko dokąd miałby się udać? Kłębiły się w nim strach, poczucie winy i gniew.

Wydając niski gardłowy jęk, wyjął sukienkę z teczki. Uniósł ją do twarzy i głęboko wciągnął nosem powietrze; poczuł jedynie kwaśną metaliczną woń krwi. Zdawał sobie sprawę, że Gibson i Dautry go obserwują, opierając się beczynnemu na swoich miotłach. Odczekał dłuższą chwilę, a kiedy silny podmuch przemknął przez pokład i zaczął targać sukienką, Arlandes wypuścił ją z ręki.

Początkowo wiatr poniosł sukienkę w górę, w stronę oślepiającego słońca i srebrzystych chmur, potem opadła, zmieniając kształt, zwijając się i skręcając. Kapitan przypomniał sobie chwilę, gdy zobaczył ją po raz pierwszy – wtedy również tańczyła. Opadająca plama bieli wydęła się, po czym gwałtownie zapadła w sobie. Najwyższy czas, pomyślał Arlandes, aby pogodzić się z jej odejściem. A jednak popełnił straszliwy błąd. Nie mógł tego znieść. Wychylił się z dziobu, jakby próbował ponownie chwycić sukienkę. Mocno uderzył klatką

piersiową o reling i krzyknął głucho, nagle przypominając sobie, skąd przyszedł mu do głowy romantyczny pomysł rzucenia sukienki na pastwę wiatru, choć przecież nie był romantycznym człowiekiem; podpatrzył go w musicalu „Zając i Izabela”, w którym książę rozrzucił ścinki złocistych loków ukochanej z najwyższej położonego balkonu, jaki udało się zbudować na scenie, po czym złożył przysięgę na jej pamięć. Arlandes nie pamiętał jego słów, nie ułożył także własnej przysięgi, a zresztą odpowiednia chwila już minęła, gdyż sukienka, wirując, pomknęła w dół i znikła mu z oczu. Nie oglądał sztuki, patrzył jedynie na Lucię, gdy przechylała się nad mosiężną balustradą loży, nad pełną napięcia ciemnością teatru, śmiejąc się i płacząc. Nie potrafił pogodzić się z jej odejściem. Tak gwałtownie wychylił się w ślad za sukienką, że niemal wypadł za reling. Było już jednak za późno i sukienkę połknął szary dym z fabryk dzielnicy Grafion.

Rozdział 8

Jack spędził cały dzień na obserwowaniu „Czarnego Księżyca”, z dachu budynku po drugiej stronie ulicy, i doszedł do wniosku, że nadal jest tam bezpiecznie. Zobaczył, jak Fiss i Aiden wracają po pracowitym dniu, odczekał kilka minut, po czym wszedł za nimi. Zaskoczyło go ciepłe przyjęcie, jakie mu zgotowali.

– Myśleliśmy, że cię dorwali – rzekł Fiss. – Dokąd poszedłeś?

– Do bogatszych dzielnic. Do Goshen Tor.

– Oszalałeś? Tam aż się roi od strażników.

– Tak. Teraz już o tym wiem.

– A jednak udało ci się wywinąć – zauważył Aiden.

– Nawet lepiej. Kiedy oni mnie tutaj szukali, ja ukrywałem się w ich durnej świątyni. Patrzcie, co im zabrałem. – Jack wyjął zza pazuchy skradziony błyszczący sztylet i nim zakręcił. Otoczyli go z uznaniem.

– Nadal mnie szukają? – spytał Jack.

– Miałeś szczęście. Nie widziałem ich od wielu dni.

Jakiś czarnowłosy chłopiec przepchnął się obok Fissa i stanął przed Jackiem. Był w podobnym wieku, ale potężniejszy, miał ramiona dorosłego mężczyzny i gęste czarne brwi. Jack go nie rozpoznawał.

– To ten? – spytał chłopak.

– Nie wygląda zbyt imponująco – zawołała dziewczyna w niebieskiej sukience.

Jack jej również nie kojarzył. Po chwili stwierdził, że pomieszczenie jest pełne nieznanomych dzieci.

– Tak, to właśnie on – odparł Fiss. – Wierzcie lub nie. Nie mogli się doczekać spotkania z tobą, Jack.

Czarnowłosy chłopak wyszczerzył zęby w uśmiechu i klepnął Jacka w ramię.

– Dom Barbotina. Kurwa mać. Opowiedz nam o tym.

* * *

Duży chłopak miał na imię Namdi. Uciekł z domu poprawczego przy ulicy Wapiennej numer 34.

– Zabrałem ich ze sobą – rzekł, wskazując garstkę zaniedbanych chłopców. – Wszyscy akurat byliśmy na podwórzu, gdzie rozbijaliśmy kamienie. Bywałem już w gorszych miejscach. Prawdę mówiąc, to była ciepła posadka. Kiedyś siedziałem w Sztyletach. Tamtejszy Mistrz to pieprzony wariat. Ale kiedy to coś przeleciało nad nami, poczułem... czy ja wiem, poczułem jakąś lekkość, nie mogłem tego dłużej wytrzymać. Zapragnąłem wolności. Musiałem uciec.

– Czy... – zaczął Jack.

– Nie w taki sposób jak ty. Nic z tych rzeczy. Po prostu dałem Mistrzowi w łeb i prysnęliśmy przez mur.

– Mam na imię Beth – odezwała się dziewczyna w niebieskiej sukience. – Te dziewczyny przyszły ze mną. Nie wyobrażaj sobie nie wiadomo czego, nie są tutaj dla przyjemności chłopców. Szukają schronienia. Fiss

powiedział, że możemy zostać. Uciekłyśmy z domu Matki Fossett. Podobna historia jak w przypadku Namdiego. Było ciężko, ale do wytrzymania, aż do tamtego dnia. Do pojawienia się boga. Wtedy poczułam, że muszę być taka jak on. Wolna.

– Zgadza się – rzekł Namdi. – Właśnie coś takiego poczuliśmy.

– Dlatego w nocy wymknęłyśmy się przez okno – dodała Beth. – Ukrywałyśmy się, dopóki nie przestali nas szukać.

– Jest ich dużo więcej, Jack – odezwał się Aiden. – W całym mieście. Zaczęli się pojawiać wkrótce po tobie. Wyrwali się z rozmaitych dziur lub uciekli swoim panom.

– Wiele się wtedy działo w tej okolicy – rzekł Fiss. – Tych dwoje zabłąkało się do nas i koniecznie chcieli zostać. Opowiedzieliśmy im o tobie. Sądzili, że zmyślamy. Kto może się wyrwać z Domu Barbotina?

– Co tam Dom Barbotina. Ty latałeś – wtrąciła się Beth. – Razem z Ptakiem. Opowiedz jeszcze raz, jakie to uczucie.

Niby jak ma to zrobić? Nie da się tego opisać. Kiedy to nadeszło, żadne słowa nie wydawały się właściwe. Nie można tego powtórzyć ani się tym podzielić, więc na cóż może się zdać jego opowieść?

Nie licząc okrętu, tego niesamowitego okrętu, który samodzielnie uniósł się w niebo razem z załogą. Czy to możliwe?

Zamiast tego Jack odparł:

– Może później – po czym odwrócił się w stronę Fissa.
– Ich pewnie też szukają – stwierdził. – Jeśli uwolniło się ich... nas... tak wielu, to z pewnością nie siedzą bezczynnie.

– Zgadza się – przytaknęła Beth. – Nie dalej jak wczoraj zabrali jedną z dziewczyn. Złapała ją straż, kiedy kradła jedzenie na Targu Pochodni. Caitlin wszystko widziała. Cały czas nas szukają. Jest nas za dużo. „Obywatele są niezwykle zatroskani” – zacytowała z przekąsem.

– Wkrótce nas złapią – odrzekł Namdi. – Zawsze to robią. Wsadzają nas z powrotem. Ale warto znieść chłostę, żeby chociaż na chwilę się wydostać.

– Nie – odparł Jack. – Nie zgadzam się. Nikt z was nie wróci do niewoli.

* * *

Trudno było ich zorganizować. W końcu byli tylko dziećmi – Jack był z nich niemal najstarszy – niepokornymi i nieposłusznymi. Musiał im raz za razem tłumaczyć, że jeśli chcą pozostać na wolności, to nie mogą wychodzić jednocześnie. Już nie. Koniec ze swobodnym bieganiem po mieście. Straż zaraz by ich wyłapała.

– Ktoś musi pracować w domach poprawczych, prawda? – pouczył ich Fiss. – Właśnie taka jest wasza rola. Wsadzą was z powrotem w mgnieniu oka.

– Racja – dodał Jack. – Rozumiecie? Od teraz musicie być ostrożni. Dlatego dzisiaj tutaj zostańcie. Podzielimy się z wami tym, co przyniesiemy, obiecuję. A wy będziecie stać na straży. Musicie zostać i obserwować, dobrze? To ważne.

Minęło trochę czasu, zanim udało mu się wprowadzić dyscyplinę i sprawić, by zrozumieli, że każde z nich ma swoją rolę do odegrania i obowiązki do wypełnienia, oczywiście jeśli chce pozostać w „Czarnym Księżycu”. Jedno czy dwoje dało się złapać, jednak w końcu postępy stały się widoczne.

Fiss był zaskoczony tym, jak dogłębna przemiana w nich nastąpiła. Pewnego dnia wyszedł na dach, gdzie Jack zwykle przesiadywał wieczorami.

– Już się nawet nie skarżą. Wrócili chłopcy, których wysłaliśmy na Targ Siedmiu Kół. Wystawiliśmy nocne straże. Żadnych skarg. – Westchnął. – Próbowałem im mówić te same rzeczy, ale oni od razu zapominali lub się buntowali i ponownie trafiali do niewoli. Nigdy mnie nie słuchali.

Za to słuchali Jacka. Był bohaterem, który uciekł z Domu Barbotina, fortecy nie do zdobycia. Został dotknięty przez Ptasie Bóstwo. To on rozmawiał z nimi nocami, opowiadając im o Ptaku, Nessene i Lavilokanie, zupełnie jakby był kapłanem, jakby był misjonarzem, tyle że jednocześnie był najlepszym złodziejem, jakiego znali. No i potrafił latać. Powiedział im, że to nieprawda, ale malcy nie chcieli uwierzyć. Uważali, że tylko czeka na

właściwy moment, by wzbić się w przestworza.

Dzieci słuchały Jacka, a Jack słuchał Fissa. Był bardzo mały, kiedy trafił do niewoli i każdego dnia coś nowego przypominało mu, jak niewiele wie o mieście. Potrzebował Fissa. To właśnie Fiss wiedział, jak sprzedać to, co kradli. Raz czy dwa razy Jack poszedł z nim i przyglądał się, jak Fiss dobija targu z surowymi ludźmi, którzy handlowali na zapleczach pubów w Ar-Mouth oraz w obskurnych salkach na tyłach pasmanterii w Okręgu. Fiss potrafił rozmawiać z tymi ludźmi w sposób bezpośredni, był pewny siebie i pełen humoru, okazując im szacunek, ale nie strach. Jack uważał, że to bardzo dojrzała postawa. Sam nie czuł się do tego zdolny.

To wokół Fissa sformowała się cała grupa. On był pierwszy, a z nim Aiden, który nie opuszczał go na krok i najwyraźniej razem z nim uciekł, chociaż żaden nie chciał zdradzić skąd i dlaczego uciekli. Z pewnością nie byli zwyczajnymi dzieciakami z ulicy. Aiden był cichy i refleksyjny, a Fiss serdeczny, zabawny i wrażliwy. Były to rzadko spotykane cechy w środowisku, w którym się obracali. Udało im się zmienić „Czarny Księżyc” w schronienie, kryjówkę dla wszystkich dzieci błąkających się po ulicach, brakowało im jednak siły i surowości, by zaprowadzić wśród nich dyscyplinę. Jack miał taką siłę, potrzebował jedynie ich wsparcia.

To właśnie Fiss zaczął go nazywać Jedwabnym Jackiem, ze względu na jego dziwną jasną koszulę. Przydomek szybko się przyjął. Jack nie miał nic

przeciwko temu. Początkowo uważał, że tylko sobie z niego żartują, gdyż w ustach Fissa wszystko obracało się w żart. Jednakże reszta wcale tak tego nie odebrała. Potraktowali to poważnie, jakby Jack był mitycznym bohaterem. Wiedział, że musi udowodnić, że na to zasłużył.

* * *

Wieści szybko się rozniosły. Grupie Jedwabnego Jacka dobrze się powodziło. Mieli jedzenie i koce, a nawet pieniądze. Mogli zapewnić innym ochronę. Przychodziły do nich kolejne dzieci. Szukały schronienia i wszystkie chciały na własne oczy zobaczyć cudownego chłopca. Większość uciekła z domów poprawczych, terminów, domów rodzinnych lub od swoich alfonsów tego samego dziwnego dnia, co Jack.

Byli wśród nich Martin i Ayer, kolejni dwaj uciekinierzy z ulicy Wapiennej, którzy przeszli przez ogrodzenie w ślad za Namdim, ale na ulicy się od niego odłączyli. Namdi od razu przyjął ich z dumą pod swoje skrzydła i wziął za nich odpowiedzialność, ręcząc za nich słowem. Wyglądało na to, że im to nie przeszkadza; byli wdzięczni, że mają gdzie się podziąć.

Turyk uciekł z terminu u stolarza w Mass How. Nie był zakuty w łańcuchy, przynajmniej nie te, które krępują ciało – wystarczyło, że dojrzał przez okno Ptaka, który zniknął w błękitnej dali pomiędzy chmurami, a rzucił

narzędzia, chwycił dzienny przychód stolarni i wybiegł z zakładu.

– Oszalał – stwierdził Namdi. – To była dobra robota. Kto by od niej wiał?

– Przykłada się do pracy – odparł Jack. – Pilnuj własnego nosa.

Laura i Elsie uciekły z burdelu w Okręgu. Nie mogły mieć więcej niż dwanaście lub trzynaście lat. Jack czuł się winny, gdy patrzył na ich chude ciała. Poprosił Beth, by miała na nie oko.

– A jak myślisz, co robię? – spytała. – Ty tylko zadbaj, żeby nikt ich nie niepokoił.

Jack usłyszał wiele innych opowieści o ucieczkach, ale żadna nie była tak dziwna jak jego własna. Musiał ją powtarzać bez końca. Wszyscy ci, którzy uciekli w dniu przybycia Ptaka, instynktownie mu wierzyli. Mieli wrażenie, że sami tego dokonali.

Pewnego dnia strażnicy zaczęli przetrząsać opuszczone rudery przy ulicy Moore'a. Dzieci przeskoczyły przez ogrodzenie i ukryły się nad brzegiem kanału. Okazało się, że obserwatorzy solidnie wywiązują się ze swojego zadania. To dobrze.

Nie wszyscy byli uciekinierami. Pojawiali się także żebracy. W Shutlow taka działalność się nie opłacała, tam mieszkańcy mocno zaciskali sakiewki. Dzieci były słabe i pokryte ranami. Przyjęto je, ale Jack nie zezwalał na żebranie. Musieli się nauczyć kraść. Jack chciał, by były dumne.

Przychodzili także tacy, którzy niegdyś byli członkami gangów i zgłaszali się do „Czarnego Księżyca”, by otrzymać ochronę przed Wrogami. Pierwszy taki chłopiec pochodził z Czwartego Okręgu, gdzie jego gang żył w kanałach, zbierając odpadki, dopóki nie został wypędzony przez Czysty Płomień. Członkowie Płomienia dzień po dniu niszczyli ich dobytek i brutalnie ich bili, aż w końcu kolejni chłopcy przyłączyli się do prześladowców bądź uciekli. Inni opowiadali podobne historie, które wydarzyły się w Czwartym Okręgu oraz w Okręgu Barbarii.

– Płomień? – spytał Jack Fissa.

– Nie słyszałeś o nich? Wiem, że masz spore braki, ale powinieneś być o tym wyczytać w swoich książkach. To szaleńcy na usługach Tybru.

– W Domu uczono nas o Czystym Płomieniu. To antykościół Tybru. Rodzaj kultu, ale złożonego z samych dzieci, coś w rodzaju gangu. Założył go szalony mnich, Vilar albo Volar. Ubierają się w białe szaty i noszą pochodnie. Kościół obłożył ich klątwą i doprowadził do upadku. Ale oni wciąż wracają. W ich szeregach zawsze są same dzieci: Mistrzowie mówili, że to jedna z herezji, przed którymi chroni nas Dom.

– Skoro tak mówisz... Ale najważniejsze jest to, że oni nie pojawiają się tylko na kartach książek. Od mniej więcej dwóch lat są obecni w całym mieście.

– Słyszałem, że tym razem odrodzili się w Machii – rzekł Aiden. – W labiryntach.

– Ale widać ich wszędzie – odparł Fiss. – Podkładają

ogień pod burdele i teatry. Pod puby i kawiarnie. Walczą z książkami, muzyką, przyjemnościami. Wszystko oczyszczają. Sam nigdy ich nie widziałem, ale powiadają, że są jak gniewne duchy. Podobno wyglądają tak, jakby trawił ich ogień.

– Wiele dzieciaków chciałoby się do nich przyłączyć – rzekł Aiden. – Mnóstwo ludzi w tym mieście chce, by spłonęły rzeczy dające innym radość.

* * *

Mijały pracowite dni, ale dzieci wciąż rozmawiały o Płomieniu. Mówiły, że Płomień goli głowy, żeby nie dało się odróżnić chłopców od dziewczynek. Mówiły, że jego wyznawcy atakują jak widma niosące *T* ogień, zabijając, bijąc i paląc, że potrafią przechodzić przez ściany, unosić się na dymie i nie można ich zabić. Niektóre dzieci opowiadały o Płomieniu z przerażeniem i łzami, inne z zazdrością. Opowieści o ich własnych ucieczkach, dzielnych czynach i nadziejach na wolność ustąpiły miejsca bezustannemu roztrząsaniu strachu, który wzbudzały postacie w białych szatach.

Jack patrzył z niechęcią na to, jak dzieci dają się zniewolić lękowi. Przesiadywał na dachu, zastanawiając się, w jaki sposób może wyłamać kraty tego więzienia – uznał, że sposób, w jaki działa Płomień, może go czegoś nauczyć.

Pewnego wieczoru zwołał ich wszystkich na poddasze

„Czarnego Księżyca" i stanął przy oknie na tle gasnących świateł miasta.

– Słyszałem wasze rozmowy. Płomień to, Płomień tamto. Wiem, że część z was rozważa przyłączenie się do nich. Wiem także, że niektórzy są tutaj tylko po to, by się przed nimi ukryć. Zupełnie jakby to miasto należało do Płomienia. Cóż, a kim my jesteśmy? Czy jesteśmy niczym?

Głośno zaprzeczyli.

– Wyrwaliśmy się z wielu różnych miejsc. Odebraliśmy sygnał, podążyliśmy za nim i uwolniliśmy się od wszystkiego, co nas zniewalało. Nikt nie może ponownie nas uwięzić, jeśli nie będziemy tego chcieli. Możemy wziąć wszystko, czego zapagniemy. Kto się boi Płomienia?

Nikt się nie bał.

– Wymyślili dla siebie stroje i nazwę, sądzą więc, że są czymś wyjątkowym. To my jesteśmy wyjątkowi. Nie oni.

Małe dzieci zaczęły wiwatować. Starsze spoglądały sceptycznie. Nie potrafił odpowiednio się wysłowić; w jego głowie to wszystko brzmiało znacznie lepiej, bardziej dostojnie i prawdziwie. Zaszło mu w ustach. Jednak oni wyczuli jego ekscytację i obserwowali go z napięciem.

– Dlatego uważam, że my także potrzebujemy nazwy.

Rozłożył ilustrację z „Ery" przedstawiającą latający okręt wojenny i podniósł ją do światła.

– Wiecie, co to takiego?

Wśród najmłodszych w górę wystrzeliło kilka rąk.

– To statek hrabiny – odpowiedział Namdi. – Widziałem go.

– Nieprawda. To nasz symbol. Nasz. Namdi, pamiętasz tamten dzień, gdy wydostałeś się z ulicy Wapiennej? Beth, a ty pamiętasz? Turyku, przypominasz sobie jak powiedziałeś swojemu Mistrzowi, gdzie cię może pocałować? Tego samego dnia okręt wzbił się w niebo. Ta sama siła, która uczyniła nas wolnymi, uwolniła także jego. Ja też go widziałem, w Goshen Tor. Jest niesamowity. Może polecieć wszędzie. Nikt nie może go zatrzymać ani dotknąć. Tak samo nie mogą dotknąć ani powstrzymać nas, jeśli tylko będziemy w ruchu.

Namdi skinął głową i szeroko się uśmiechnął.

– Jest niezwykły.

– Tego samego dnia, gdy wszyscy uciekliśmy. Ta sama siła, która nas połączyła. Rzeczywiście jest niezwykły. To przyszłość. Będzie naszym symbolem.

Wszyscy na niego patrzyli. Jasne twarze wśród cieni poddasza. Nie był pewien, co ma powiedzieć dalej, więc powtórzył, jeszcze głośniej:

– To nasz symbol.

Wręczył ilustrację Fissowi, który zerknął na niego z zaciekawieniem, po czym bez słowa podał ją Aidenowi, a ten pokazał ją Beth; potem wszyscy się zbliżyli, patrząc na obrazek i na Jacka. „Gromowładny” – Gromowładni. Nie byle złodzieje lub włóczędzy. To będzie ich nazwa i siła; oni także zadziwią świat. Był bardzo

podekscytowany i uznał, że im także się spodobało. To był dopiero początek.

Rozdział 9

Arjun spędził dzień na ulicy Ułamkowej w Mass How, w sklepach i warsztatach producentów instrumentów muzycznych, w mrocznych wnętrzach, gdzie było słycać brzdąkanie kabli i strun, pobrzękiwanie instrumentów dętych oraz kakofonię, która towarzyszyła strojeniu kiepsko wykonanych instrumentów oraz entuzjastycznej grze niewprawnych przyszłych muzyków. Rozbrzmiewały tutaj jednocześnie, zazwyczaj kiepsko odgrywane, wszystkie miejskie melodie, z których niewiele mu się podobało i pośród których nie było muzyki, którą miał nadzieję usłyszeć. Przepędzano go z kolejnych sklepów, gdy tylko wychodziło na jaw, że nie ma pieniędzy. Przyszło mu do głowy, by zgłosić się do pracy, ale nie chciał dać się uwiązać i złapać w zakurzone sieci z katgutu i fortepianowych strun. Być może zmieni zdanie, kiedy skończą mu się pieniądze.

Wieczorem wrócił do Shutlow, gdzie zastał udekorowane ulice. Sznury do bielizny obwieszono czerwonymi flagami, a tam, gdzie nie udało się zdobyć flag, ufarbowanymi na czerwono szmatami. Nad Targiem Siedmiu Kół powiewały czerwone sztandary, na których wyszyto czarny wizerunek okrętu z błyskawicą na dziobie, unoszonego przez napęczniały balon. W wieczornych cieniach na ulicy Moore'a lśniły kawałki potłuczonego szkła i rozrzucone flagi. W oddali nadal

rozlegały się wiwaty oraz trąbienie orkiestry dętej. Na horyzoncie – na I północy, nad Wrzosowiskiem – blade iskry fajerwerków wybuchały na czarnym niebie.

Arjun usiadł w narożniku pokoju gościnnego na prującym się zielonym fotelu. Haycock grzał stopy przy kominku, odnotowując niewyraźnym pismem w księdze sprzedaż i ceny.

– Czy odbył się jakiś festiwal, panie Haycock? A może parada?

– A żeby pan, kurde, wiedział. Cholerne zamieszanie. Gdzie pan się podziewał? Nie czyta pan gazet?

– Raczej nie, panie Haycock.

– Czasami lepiej nie wiedzieć, prawda? Mówią, że odniesiono wielkie zwycięstwo. Właściwie, hrabina tak mówi, a wszyscy to po niej powtarzają. To dzieło tego jej paskudnego statku. Odnieśli zwycięstwo nad piratami. Czy raczej nad ludźmi, których hrabina tak nazywa. Różnica pomiędzy zacnymi przywódcami naszego miasta a bandą piratów jest dość subtelna, więc zapewne trudno ją dostrzec cudzoziemcowi takiemu jak pan. Wszyscy jesteśmy cholernie podekscytowani i wymachujemy swoimi małymi sztandarami. Chociaż nie mam pojęcia, co dobrego może dla mnie z tego wyniknąć. Radzę nie rozmawiać z tym nadętym wazeliniarzem Headym. Nie da się z nim dzisiaj wytrzymać.

* * *

Na Wrzosowisku panowały ciemności, rozświetlane jedynie przez błyski fajerwerków. Olbrzymi okręt „Gromowładny” wisiał wysoko w górze, nieruchomy i zastygły pośród nocy.

Z jego dziobu Arlandes wciąż widział zachód słońca, który płonął ponuro za dźwigami i wieżami fabrycznymi Agdon Deep.

Jeszcze niedawno tłum na Wrzosowisku krzyczał i wiwatował na tyle głośno, że słyszała go załoga „Gromowładnego”. Teraz ludzie już się rozchodzili. Nastał chłodny wieczór. Na pokładzie okrętu było jeszcze zimniej, więc Arlandes szczelnie owinął się grubym czarnym woskowanym płaszczem.

Poprowadzili „Gromowładnego” ponad Goshen Tor, tak nisko, że zrównali się z wierzchołkami najwyższych budynków. Bankierzy podbiegali do okien i wpatrywali się w nich, krzycząc bezgłośnie i bębniąc pięściami w grube szyby. Załoga machała im ze śmiechem. To zapewne wystarczyło, by doprowadzić przewodniczącego do ślepej furii – popisywali się bronią na jego terytorium i sprawiali, że jego własni ludzie witali ją wiwatami... Jednakże, hrabina wydała rozkaz, więc Arlandes go wykonał.

Teraz się uśmiechała. Na jej pomalowanym, zdobionym klejnotami obliczu o białej skórze i czerwonych ustach był przyklejony przebiegły uśmiech. Miała głowę pełną planów.

Bitwa – jeśli można to zdarzenie tak nazwać – rozegrała

się tego ranka o świcie, gdy słońce wschodziło ponad Zatoką, barwiąc morze na krwisty kolor. Z wód Zatoki wynurzała się skalista wyspa ukoronowana fortem – Wyspa Sleutela z fortem Sleutela. Skały i rafy uniemożliwiały dotarcie do niej wrogim okrętom, dlatego Sleutela i jego przodków zazwyczaj nikt nie niepokoił. Od czasu do czasu porywali oni jakiś statek; traktowano to jako rodzaj podatku.

Fort zawalił się już po pierwszej salwie z dział „Gromowładnego”. Był zbudowany z miękkiego żółtego piaskowca i z powrotem obrócił się w piasek. Na wieżyczkach stali strzelcy, którzy bezsilnie celowali w burty okrętu, a kiedy ściany zamieniły się w pył i dym, z wrzaskiem runęli w dół. Wewnętrzne, drewniane struktury fortu spłonęły. W każdym miejscu trafionym przez bomby, z pokładu „Gromowładnego” rozpryskiwały się olej, proch i ogień. Test okazał się spektakularnym sukcesem.

W forcie znajdowało się około dwustu osób. Nie byli to wyłącznie mężczyźni, ale Arlandes nie znał dokładnej liczby i nie miał zamiaru schodzić w ruiny, by policzyć ciała.

Nie był dumny ani się nie wstydził. Fajerwerki wybuchały ponad wrzosowiskiem, oświetlając jego twarz wściekłym czerwonym i zielonym blaskiem, a on wciąż wpatrywał się pustym wzrokiem w zachodzące słońce.

Ludzie, którzy jeszcze się nie rozeszli, nadal wiwatowali. Oczywiście nie widzieli go, dostrzegali tylko

olbrzymi czarny kadłub, który przesłaniał gwiazdy.

Wiedział, co się o nim mówi. Rzadko gdziekolwiek wychodził, nie licząc posiadłości hrabiny i „Gromowładnego”, ale docierały do niego plotki: Żałobny Kapitan, cały odziany w czerń. Pojawiały się historie w gazetach i ballady śpiewane na ulicach. Na łamach „Ery” nazywano go reliktem bardziej szlachetnych i wrażliwych czasów, co zupełnie nie pasowało do jednoczesnych zapewnień, że Arlandes i jego wspaniały okręt są dla miasta zwiastunami przyszłości, jednak obie wersje podnosiły sprzedaż gazet. Kapitan przemówił ludziom do wyobraźni. Romantycy rysowali go pogrążonego w żałobie na dziobie statku. Kiedyś skonfiskował pewnemu mężczyźnie książeczkę, w której znalazł swój wizerunek podpisany „Samotny wojownik smutku” – na ilustracji był ubrany na czarno i wpatrywał się w horyzont z dłonią opartą o szablę, a po jego policzku spływała pojedyncza łza. Była to haniebna i zasmucająco głupia publikacja. Młode kobiety pisały do niego góry listów; po przeczytaniu kilku z nich – uperfumowanych, o przerażająco kwiecistym stylu – rozkazał służącemu, by od razu palił wszystkie tego rodzaju pisma.

Według mniej romantycznych plotek Arlandes miał pogrążyć się w obłądnie w swojej kajucie, siedząc w ciemności, przyciskając do piersi zakrwawioną sukienkę, łkając i wznosząc błagania. To zapewne najbardziej odpowiadało prawdzie – choć pozbył się sukienki, wciąż tulił ją do siebie w snach. Z pewnością także nie widział

niczego romantycznego w swoim losie. Każdego dnia z coraz większym trudem podnosił się z koi. W głowie stale czuł tępy ból. Jego ludzie go unikali, on się na nich wydzierał i klął, coraz częściej z niejasnymi intencjami chwytając za rękojeść szabli. Nie sypiał, śnił na jawie, pogrążając się w zimnych, powtarzających się, bezsensownych marzeniach. Ale kiedy wypaliły działa – gdy runęły ściany i maleńkie, delikatne postacie rozproszyły się i spadły – to było coś. Nareszcie obudziły się w nim uczucia. Błyski i gromy przyniosły mu coś na kształt radości.

Rozdział 10

Następnego ranka Arjun udał się razem z Headym do fortecy markiza Mensonge, która była usytuowana na szczycie Mostu Diorytowego niczym pióropusz na hełmie. Wszędzie powiewały fioletowe i srebrne flagi. Żołnierz przy bramie, również ubrany na fioletowo i srebrno, wbił Arjunowi opancerzoną pięść pod żebra i wypchnął go z powrotem na ulicę, stwierdzając, że skoro już Arjun musi marnować czyjś czas, to niech to będzie ktoś inny.

Nazajutrz Heady wskazał mu drogę do Parlamentu Mass How, gdzie Arjun na cały dzień utknął w kolejce przed nijakim brązowo-czerwonym budynkiem. Wydawało się, że kolejka nie porusza się szybciej od pokrywających ściany rzeźb martwych dygnitarzy. Wieczorem wszystkich przegoniła policja. Arjun zaczął wątpić w zasadność rad Girolama.

Wybrał się na przechadzkę do Czwartego Okręgu. Wychylił się nad krawędzią wyschniętego kanału i słuchał grupy dzieciaków, które stały na dole w błocie. Malcy utworzyli okrąg i zaczęli śpiewać jakąś piosenkę o zarazie, kolejno klaskali w dłonie i ze śmiechem wypadali z okręgu, lądując na plecach. Arjun rozpoznał melodię – była to uproszczona wersja hymnu, który śpiewali kantorzy Lavilokana w Goshen Tor. Kiedy dzieci zobaczyły, że je obserwuje, rozbiegły się we wszystkie

strony.

Wieczorem Arjun dołączył do tłumów na Wrzosowisku Chwały, by wziąć udział w karnawale, który zorganizowała hrabina Ilona. Klauni i połykacze ognia zabawiali tłoczących się ludzi. W górze wybuchały fajerwerki. Na zachodnim krańcu Wrzosowiska orkiestra hrabiny grała dla spokojniejszej widowni. Arjun prześlizgnął się tam, by posłuchać.

Gdy ostatnie promienie słońca znikły z nieba, orkiestra dotarła do rozbrzmiewającego dźwiękiem cymbałów i biciem w bębny końcowego radosnego crescendo „Świętego tańca” Karpinskyego. Wtedy znad wzgórza, spoza Obserwatorium, złowieszczo nadciągnął „Gromowładny”, czarny kształt podświetlony przez fajerwerki, który zawisł nad Wrzosowiskiem. Przez chwilę Arjun miał wrażenie, że razem z tłumem, który zgromadził się na mrocznym Wrzosowisku, znalazł się pod wodą i teraz spogląda w górę ku powierzchni. Orkiestra ucichła, kiedy działa olbrzymiego okrętu odezwały się w powolnym, dudniącym rytmie, uroczystym, a zarazem groźnym.

Po powrocie Arjun odkrył, że pani Defour zaprosiła wszystkich lokatorów do ogrodu, gdzie w słabym blasku świec leniwie flirtowała z Headym. Pozostali mieszkańcy siedzieli wokół stołu i prowadzili zdawkową rozmowę. Arjun nie miał innego wyjścia jak do nich dołączyć. Spytał Haycocka, jak mu minął dzień.

– Całkiem do dupy. Leżę aż do Tyn Wald, gdzie

spędzam całe popołudnie w koszmarnej kawiarni, aż wreszcie zboczeniec, który ją prowadzi, pyta, „czy szanowny pan będzie coś jeszcze zamawiał”, a ja mam przechłapanie, bo na niewiele mogę sobie pozwolić, co nie może dziwić, skoro czekałem cały dzień na człowieka, od którego miałem nabyć egzemplarz *Arcana Caelestia*, który być może mógłbym sprzedać i jeszcze przez jakiś czas mieć na jedzenie i picie, żeby utrzymać ten parszywy interes, tyle tylko, że drań się nie pojawił przez cały przeklęty dzień.

– *Arcana Caelestia*?

– Byłby pan zainteresowany?

– Raczej nie. Nigdy o niej nie słyszałem. Zastanawiałem się tylko, co to za język. „Arcana” brzmi jak...

– Nie byłby pan zainteresowany. A co pana interesuje? Heady mówi, że pan całymi dniami tylko się snuje jak smród po gaciach i słucha muzyki.

– Jak już mówiłem, występuję w imieniu swojego zakonu, mając nadzieję na nawiązanie stosunków handlowych z władcami...

– Bzdury. Pan czegoś szuka. Żaden z pana kupiec, wystarczy na pana spojrzeć. Zresztą, z tego co słyszałem, występował pan w imieniu swojego zakonu jedynie przed ulicznymi grajkami i innymi śmieciami, których miejsce na wielkiej drabinie Ararat znajduje się o jeden stopień poniżej handlarzy książkami, czyli, jak wiem z doświadczenia, głęboko w gównie. Heady wierzy w pana

historię, gdyż jego zmysły są wyczułone na najdrobniejsze oznaki władzy, których panu brakuje, przez co on ledwie pana dostrzega. Ale ja widzę. Na tym polega moja praca. Proszę mi powiedzieć, a być może pomogę panu to znaleźć.

Arjun mu powiedział. Ulżyło mu, że może to z siebie wyrzucić. Jak dotąd nikomu nie zdradził prawdy o swoim zadaniu, była to zbyt osobista sprawa. Ale teraz po raz pierwszy ktoś go naciskał, więc dlaczego miałby się powstrzymywać?

Haycock zmienił temat, rozpoczynając spór z Norrisem i Clementem o jakieś wydarzenie sportowe – na stadionie Oko Urgosa drużyna sponsorowana przez hrabinę odniosła zaskakujące zwycięstwo nad drużyną sponsorowaną przez kartel robotniczy z Agdon. Najwyraźniej chodziło o jakąś grę z wykorzystaniem piłek i kolców. Arjun nie rozumiał zasad. Problemy z tym miał także Norris, choć się starał, ale gdy tylko biedny zniedołężniały staruszek próbował się zgodzić z Haycockiem, co czynił z psią usługą, jękając się i płacząc, Haycock od razu zmieniał tok rozumowania, zapalczywie zaprzeczając temu, co jeszcze przed chwilą głosił, aż na płamistą twarz Norrisa spłynęły łzy i smarki, a Clement co chwila złośliwie parsknął śmiechem.

Rankiem Haycock zaczepił Arjuna na korytarzu i wręczył mu listę książek, które mogły rzucić trochę światła na jego problem. Były to wszystkie dzieła, które traktowały o związkach miasta z bogami: *Detektyw snów*,

Rynsztok i gwiazdy, Ekstrapolacje Lodwicka, Spekulacje Varady'ego, Zagadki i ich autorzy, Ci, których imion w chwili obecnej nie możemy wymienić, lecz którzy mają zwierzęce głowy.

– W jakich językach potrafi pan czytać? – spytał Haycock. – Po tuwarsku? Naprawdę? Po akaszycu także? Ależ się pan napracował, podziwiam zapał. W takim razie mogę panu dostarczyć dużo więcej książek. Niech no pomyślę.

Arjun musiał z zalem wyznać, że nie ma pieniędzy. Było mu z tego powodu naprawdę przykro. Spojrzał w dół na łysą głowę Haycocka. Była poprzecinana zmarszczkami jak opuszek kciuka. Wydawało się, że głębokie bruzdy pulsują pod wpływem irytacji. Haycock oddalił się, zatopiony w myślach.

* * *

Haycock dotarł aż do ulicy Cato i do Okręgu Foyle'a, wlokąc za sobą podniszczoną walizkę, warcząc i plując na każdego, kto stawał mu na drodze lub go spowalniał. Nadszedł koniec miesiąca, więc czekało go umówione spotkanie z profesorem Holbachem. Holbach udzielił Haycockowi hojnej dotacji na przejazd powozem, jednak Haycock jak zawsze wolał zagarnąć pieniądze dla siebie i pójść piechotą, a kiedy wspinał się na wzgórze, był już, jak zawsze, w paskudnym nastroju.

Spotkał się z Holbachem w ogrodzie przy jego

posiadłości i usiedli obok stawu z rybkami. Posiadłość i otaczający ją teren tętniły życiem – kręcili się tam chudzi, bladzi uczeni, modnie niechlujni artyści, młode kobiety. Inteligentne i eleganckie towarzystwo. Haycock pasował do nich jak kwiat do kozucha. Za wszystkie zamawiane książki, jak również za wszelkie pozostałe urządzone na pokaz ekstrawagancje Holbacha, wliczając wizyty zawodowców takich jak Haycock, który miał inne ważne zajęcia oraz musiał dbać o swoją reputację, płaciła hrabina, w zamian za otrzymywane usługi. Oto ile mogło być warte kilka błyskotliwych pomysłów. Tak mógł się urządzić człowiek, jeśli tylko – jeśli tylko! – udało mu się na kilka dni wyrwać z trybów biznesu i poświęcić ważkim myślom oraz wielkim planom. Niektórzy ludzie mieli w życiu szczęście, inni nie, Haycock jednak stłumił w sobie niechęć i przywołał na twarz uśmiech, który sprawiał na tyle przyjemne wrażenie, że gruby profesor musiał przynajmniej udawać, że nie jest obrażony. Haycock zapalił papierosa i otworzył walizkę.

– Wśród zdobyczy z tego tygodnia przeważa wyraźny motyw morski, profesorze. Morski i rzeczny. W tym miesiącu nad wszystkim unosi się woń mchu, chwastów i pyłu węglowego. Na wierzchu jest trochę pleśni, więcej niż zwykle, ale łatwo ją zdrapać.

– Czy ma pan książki, o które prosiłem? Ferdomasa i Celyna?

– Chwileczkę, profesorze. Rzeka płynie tam gdzie chce, czyż nie? Przytargałem tutaj mnóstwo cholernie ciężkich

klamotów, przeznaczonych tylko dla pana, a wszystko to z dobroci obolałego, tłukącego mi się w piersi serca, więc niech pan rzuci okiem. Proszę! – Wyjął cienki tom in folio o zniszczonym grzbiecie, wydrukowany na tanim papierze, i pomachał nim pod brodą Holbacha (który schował ją niczym żółw w kołnierzu aksamitno-koronkowego płaszcza). – Pierwsze wydanie dzieła *Kapitan bez przystani: Dramat w trzech aktach*, w którym opisano tragiczne losy pana przyjaciela, jak-mu-tam. Nieszławne wydanie z błędem drukarskim, który pojawił się, gdy asystent drukarza upił się i dołączył nieprzyzwoity żart na temat hrabiny. Nie wszystkie egzemplarze zostały zniszczone. Znam chłopaka pracującego w biurze cenzora. Jest pan zainteresowany?

– Bogowie, Haycock, zabierz mi to z oczu.

Haycock wrzucił książkę z powrotem do walizki, mruczając coś pod nosem i uśmiechając się z wyższością. Kupił ten tom tylko po to, by zirytować Holbacha – aby od razu wpędzić go w poczucie winy i sprawić, by ten poczuł się nieswojo. Wiedział jak grubas rozczuła się nad losem zmarłej dziewczyny.

– Może w takim razie to? Relacja z zatonięcia „Księżnej Przystani” w czwartym roku naszego tysiąclecia, autorstwa ocalałej służącej. Kawalek historii. Niewiele osób wtedy przeżyło i niewiele kiedykolwiek spisało swoje przeżycia. Nie było rynku na taką literaturę. Czarna woda i miazdżony kadłub. Wrzaski na brzegach rzeki, pijani mężczyźni z barów, rzucający zbyt krótkie

liny. Służąca, która patrzyła, jak jej biedna stara matka znika pod wodą, kurczowo trzymając się kościstą dłonią kawałka tonącego drewna. Po lekturze na pewno będzie pan miał koszmary. Czy to bardziej w pana guście?

– Haycock, czy udało się panu znaleźć cokolwiek z tego, o co prosiłem?

– Stary pastor Crane od Badaczy umarł, pozostawiając ładny księgozbiór. Oto rzadkie dzieło. Kompendium morskich chorób z całostronicowymi ilustracjami, autorstwa sławnego doktora Van Duersa. Choroby, które dotyczą marynarzy jak również drewno okrętów. Niech pan rzuci okiem na to! Człowiek chyba by się zastrzelił, gdyby coś takiego zaczęło mu rosnąć na twarzy.

– Ojej. Rety. Chyba jednak nie.

– W takim razie może te ilustracje lepiej trafią w pana gust. Pochodzą z biblioteki klienta, którego nazwiska nie wymienię. *Erotyki Morskich Królestw* Galliatina. Śliczne, nieprawdaż? Kurewsko piękna prostota kreski. Ładne małe syrenki. Potężni młodzi żeglarze. To cud, że nie została spalona, choć wydawca nie miał tyle szczęścia. Byłoby szkoda, gdyby trafiła do kogoś, kto nie będzie potrafił docenić jej wielu zalet.

– Hm.

– A może *Rzeka i jej gospodarka: Relacja historyczna* doktora Montagu. Znalazłem ją na wyprzedaży w Malvern. – Haycock zaczął przerzucać strony wypełnione statystykami i rachunkami oraz technicznymi rysunkami barek, dźwigów, kół młyńskich i parowych pił, aż

wreszcie zatrzymał się na mapie rzeki. – Nuda, prawda? Ale proszę spojrzeć na to: niech pan zobaczy, którądy płynie rzeka.

– Wygląda na to, że płynie przez Agdon, a nie przez Okręg Barbarii, a potem na północny zachód, przez, ach, to dziwne, czy to Grafton?

– Właśnie. Zupełnie inaczej niż nasza rzeka, czyż nie? Oto z czym więc mamy tutaj do czynienia, profesorze: doktor Montagu z szaleńczą skrupulatnością odnotowuje każdą transakcję, jakiej dokonano nad rzeką, ale nie zauważa, którądy ona, kurwa mać, płynie; czy też może to jedna z *tych* książek, pochodząca z jednego z *tych* miejsc, która jakimś cudem do nas trafiła? To z pewnością coś w pana guście, panie Holbach, temu pan nie zaprzeczy.

– Tak, tak, w porządku. Co pan za nią chce?

– Mam jeszcze coś takiego. – Czerwona książeczka nie miała tytułu na okładce. – Również ze zbiorów pastora Crane'a. Zebrane relacje prasowe z procesu niejakiego Johna Harrifona, marynarza pływającego na barce, dusiciela, który skończył na szubienicy. Załatwił tuzin małych dzieci zanim go złapali. Wsadzał je do worków, obciążał cegłami i wrzucał do rzeki, tak jak mniej ambitni artyści postępują z kotami.

– To obrzydliwe, panie Haycock. Rzeczywiście ma pan spaczony gust.

– Czyżby? Niech pan nie myśli, że nie zauważyłem, że spotkaliśmy się w ogrodzie, profesorze. – Haycock dźgnął palcem powietrze przed nosem Holbacha. – Niech pan nie

myśli, że nie zauważyłem, iż nie chciał mnie pan przyjąć w swoim pieprzonym domu. Niech pan nie myśli, że pana pieniądze uprawniają pana do tego, by traktował mnie pan jak śmiecia. Może pan sobie wsadzić swoje honorarium. Niech pan nie zapomina, że wiem o panu kilka rzeczy, panie profesorze, panie lojalny-sługo-cholernej-hrabiny, panie „Atlas”.

Różowa twarz Holbacha pobladła. Haycock, który przed chwilą zerwał się na nogi, teraz z powrotem usadowił się na fotelu. Splunął do stawu, strasząc ryby.

– Proszę mi wybaczyć – odezwał się Holbach. – Nadal ufam w pana dyskrecję, panie Haycock.

Haycock coś mruknął. Przez chwilę siedzieli w ciszy. Handlarz zapalił papierosa.

– Tak czy inaczej, profesorze, chodzi o to, że staruszek John Harrifon jeszcze pod szubienicą zarzekał się, że złożył tych szczeniaków w ofierze bogowi rzeki. Czy też jednemu z rzecznych bóstw. Miał na ten temat sporo do powiedzenia. Prawdziwe wariactwo. To temat dla pana, prawda? Coś o bogach.

– Rzeczywiście. Chyba to kupię.

– Tak, chyba pan to zrobi.

– Panie Haycock, czy z jakiegoś dziwnego powodu rozmyślnie postanowił pan szukać wyłącznie książek o tematyce morskiej? Jestem pewien, że nie prosiłem pana o to. Jestem pewien, że zamówiłem Ferdomasa i Celyna.

– Przynoszę panu to, co udaje mi się znaleźć, profesorze.

– To, oczywiście, ciekawe dzieła. W końcu miasto przemawia do nas za pośrednictwem różnych znaków.

– Tak pan zawsze twierdzi, profesorze. Ale ja muszę dbać o to, by interes się kręcił. Nie wszyscy mogą być geniuszami na usługach hrabiny.

– Znaki i zwiastuny. Zmiany i wahania potencjałów. Jedne energie słabną, inne przybierają na sile. Niektóre nici splotu stają się grubsze. Być może uwaga kieruje się na wodę? Być może, ach, być może to na skutek wzbicia się pod niebo „Gromowładnego”. Woda na nowo umacnia swoją pozycję. Odzyskuje dominację nad powietrzem w życiu miasta. Choć pewnie nadmiernie sobie pochlebiam, myśląc, że miasto zauważa moje starania. Hm. Oczywiście tylko głośno myślę, panie Haycock. Pana poszukiwania nie zapewniają mi wystarczającego przyływu danych do pracy. Ta dziedzina wymaga bardzo złożonych wyliczeń. Ale mimo wszystko. Mimo wszystko.

– Tak, no cóż. Pomówmy lepiej o tym, ile jest mi pan winien za Harrifona i Montagu. A skoro już przy tym jesteśmy, profesorze, to przychodzę z jeszcze jedną sprawą. Mam młodego znajomego, który szuka pracy. O ile się nie mylę, cały czas potrzebuje pan tłumaczy? On zna każdy język. Świergocze jak brązowa papużka. Zabawny cudzoziemski chłopak, ale całkiem łebski na swój sposób. Pochodzi z Gad. Macie to miejsce w swoim Atlasie, profesorze?

– Hm. Powiada pan, że pochodzi spoza miasta? Nie,

panie Haycock, zapewne nie mamy. Niech pan go do mnie przyprowadzi, a ja zobaczę, czy do czegoś mi się przyda. Dostanie pan prowizję.

Haycock wyjął zza ucha brudny ogryzek ołówka i sporządził rachunek.

– To wszystko, co pan powiedział o wodzie, to dobra czy zła wiadomość?

– Sądzę, że można to obrócić na naszą korzyść. Być może to znak płynnych czasów. Czasów zmiany, wzrostu i odrodzenia. Hm. Jestem nastawiony raczej optymistycznie. Wie pan co, panie Haycock, niech mi pan opowie więcej o *Erotykach* Galliatina, dobrze?

Rozdział 11

Wieczorem pani Defour zabrała swoich gości na przechadzkę ulicami Shutlow. Uznała, że miło będzie zaczerpnąć trochę świeżego powietrza. Goście nie mogli odmówić, choć niebo było zimne i szare. Defour otworzyła bladozieloną parasolkę, by osłonić się przed jesienną mżawką. Wysoko podnosząc nogi i przytrzymując spódnicę, szła po płaskich kamieniach, które umieszczono na środku ulicy Moore'a, by wynieść eleganckich przechodniów ponad mokry brud ulicy. Od czasu do czasu teatralnie kręciła parasolką. Goście pensjonatu wlekli się w ślad za nią, garbiąc się na deszczu.

Nie licząc parasolki Defour, stanowili ponurą, niemal mnisią procesję. Jesień w mieście to czas czarnych woskowatych płaszczy przeciwdeszczowych i długich szarych palt. Arjun wybrał swój płaszcz z pachnącej stęchlizną sterty w piwnicy sklepu Klozny & Klozny przy ulicy Tłumnej.

Już samo zrobienie zakupów w tym sklepie było nie lada przygodą; Arjun wciąż wspominał to dziwne doświadczenie. Zdawało mu się, że całymi godzinami wałęsał się korytarzami słabo oświetlonymi przez osłonięte świece, pośród zapachów kurzu, starych perfum, potu, wosku i przypraw oraz silnego usypiającego smrodu stert wełny. Oczywiście była to jego pierwsza wizyta w

domu towarowym. Przestraszył się manekinów, dotykał rzeczy, których nie powinien, zgubił się, przyciągał spojrzenia klientów. Rozkaszał się w mrocznym i cuchnącym sklepie z artykułami tytoniowymi na pierwszym piętrze; w jasnej i zimnej sali na drugim piętrze niemal przewrócił szklany stół, na którym piętrzyły się lody i czekoladki; gdzieś w piwnicy przemknął przez odrażające pomieszczenie, w którym na ścianach wyłożonych dębowymi panelami rozmieszczono tablice z wyliniałymi głowami rozmaitych zwierząt. Próbował unikać szklistych spojrzeń żywych i umarłych. W niskich korytarzach natrafił na półki pełne malutkich lakierowanych figurek przedstawiających uliczne dzieci, damy w sukniach balowych, a także dziwniejsze postacie, zapewne bogów. Wziął do ręki porcelanową damę w porcelanowej sukni – kiedy zrozumiał, co oznacza liczba zapisana ołówkiem na podstawie figurki, omal jej nie upuścił z wrażenia. Kto miał tyle pieniędzy? Przecież Klozny & Klozny wcale nie był eleganckim sklepem, nawet Arjun to widział. Stał przy brudnej i zatłoczonej ulicy Tłumnej, na obrzeżach Mass How, na zboczu wzgórza, przez co deski podłogowe sterczały pod dziwacznymi kątami. Elegancy i naprawdę bogaci ludzie robili zakupy gdzie indziej. Być może nawet produkty same do nich przyjeżdżały. Arjun nie był pewien, jak to działa. Jednakże w K & K rozlegała się cudowna i niepokojąca muzyka, którą w jakiś sposób wtlaczano w korytarze – ciche, powtarzające się motywy grane na

skrzypcach, które wciąż jakby dokądś umykały. Nie znalazł ich źródła, chociaż brnął coraz dalej w cienie, przyciskał ucho do ścian, wpatrywał się w narożniki pomieszczeń, a nawet chodził na czworakach, by zbadać posadzkę, ryzykując, że zostanie zdeptany przez tłumy pań w średnim wieku. Pracownicy sklepu patrzyli na niego z rosnącą podejrzliwością, chodzili za nim, wyłamując palce, w razie potrzeby gotowi posłużyć się przemocą w obronie niewielkiego zysku. W końcu Arjun znalazł się w piwnicy z przecenionymi towarami, gdzie kupił stary płaszcz, głównie dlatego że czuł, że nie ma innego wyjścia. Przyniósł go do domu, dziwnie dumny ze swojego osiągnięcia. Pani Defour określiła jego zakup jako „dość lichy”, a Heady, który twierdził, że zna się na ubraniach, również uznał go za „tandetę”, transakcja jednak została już „przyklepana”, jak mógłby to określić pan Haycock.

Niestety, płaszcz przepuszczał deszcz.

Przez całą drogę deszczową ulicą Moore'a trzymali ręce w kieszeniach i pochylali głowy. Arjun szedł z tyłu, pomiędzy tymi, którzy popadli w niełaskę Defour.

Przed nim maszerowali Clement i Ewan. Obaj byli niewysocy. Clement wziął ze sobą egzemplarz „Ery”. Ewan trzymał gazetę, a Clement osłaniał ją połami płaszcza. Razem czytali, przyświecając sobie papierosem Clementa, dźgając palcem artykuły, które ich irytowały. Nachylali się ku sobie i szeptali. „Odrażające”, usłyszał Arjun. A także: „Rzygać się chce... bluźnierstwo...

powinni go powiesić... kompletny brak szacunku dla bogów... cholerni cudzoziemcy... szuja. Szuja szuja szuja". A może „Shay".

Clement się obejrzał. W ciemności okulary upodabniały go do sowy.

– A ty na co się gapisz? Pilnuj własnego nosa.

Arjun wzruszył ramionami i cofnął się o krok.

Przez chwilę szedł samotnie, gdy przekraczali ulicę Nancyego. Defour wskazała kierunek parasolką i pochód ostro odbił w lewo w ulicę Kapryśną – gwałtownie oddalając się od burdelu na rogu ulicy Nancy'ego, gdzie dziewczęta stały pod gazowymi latarniami i pogwizdywały za odchodzącymi lokatorami; Haycock odpowiedział im gwizdnięciem.

Deszcz nie był dokuczliwy. Miasto syczało, wzdychało i głęboko oddychało w jego rytmie.

Norris postukał Arjuna w ramię. Młodzieniec się odwrócił. Mężczyzna się uśmiechał, więc Arjun spróbował odwzajemnić gest.

Uśmiech Norrisa był nieśmiały i głupawy. Cienka szyja i ręce mężczyzny były oszpecone brzydkimi, blaknącymi tatuażami. Spoglądał zamglonymi, wytrzeszczonymi oczyma, jak chory człowiek. „Jest starym pijaczyną i nikim więcej", powiedział kiedyś Haycock ze śmiechem, ale Arjun uważał, że dotknęła go jakaś poważniejsza ułomność.

Defour potrafiła rozmawiać z Norrisem, grzecznie mu przytakiwała. Był jedyną osobą, którą w ten sposób

traktowała. W Norrisie było coś, co skłaniało do współczucia. Arjun spróbował naśladować manierę Defour.

– Haycock mówi, że szuka pan czegoś, co panu uciekło – odezwał się Norris.

– Tak panu powiedział?

– Mówi, że jest pan szalony.

– W wysokiej komnacie ponad moim domem rozlegał się śpiew Głosu. Jego echa tworzyły mój dom. Kiedy odszedł, zostawił nas samych i odebrał nam cel. Myślę, że bardzo głęboko odczuwam tę stratę i właśnie to czyni mnie dziwakiem. Chociaż to miasto wydaje się pełne równie dziwnych rzeczy.

– On twierdzi, że wszyscy są szaleni.

– No cóż. W porządku. Zapewne ma rację.

Norris ponownie nachylił się do ucha Arjuna i szepnął:

– Ja też kiedyś czegoś szukałem.

Arjun zatrzymał się i odwrócił, żeby posłuchać.

– To było w czterdziestym siódmym albo ósmym – kontynuował Norris. – Pracowałem dla Rzeźnika Mose'a. Był ze mnie bandzior, wie pan? Byłem wtedy młodszy. Nadziany. Ludzie Mose'a dostawali kupę forsy. Znali mnie we wszystkich okręgach. Łamacz nóg. Biłem kobiety. Ojców i dzieci. Oczywiście nie od razu, tylko później, wie pan?

– Proszę mówić wolniej. Słucham pana. W porządku.

– Najpierw. Byłem zagubiony. Potem zrobiło się ostro. Najpierw, może w czterdziestym drugim albo trzecim.

Byłem nowy. Wchodziłem do lokalu, wszystkie kobiety mnie znały. Wymachiwałem forszą na lewo i prawo. Zmierzałem na sam szczyt. Raz czy dwa razy wyrwałem się z pudła. Śmiało sobie poczynałem, ot co. Towarzyszyłem Greeleyowi Cyrulikowi. Chodziłem do Goshen, okradałem świątynie i szlachtę. Wracałem z łupami i wszystko wydawałem.

– Słyszałem ballady o Greeleyu. Był uwielbiany, jak na szefa przestępców.

– Opowiadały o nas wszystkich. Kiedyś płaciliśmy dziewczynom, żeby śpiewały nam je w barach. Witajcie wszędzie. To było jeszcze na początku. Piliśmy w całym mieście. Elegancik. Joe, Bill, Hod, Owney, wszyscy ze mną. W całym mieście, od lokalu do lokalu, każdej nocy. Światła i dym i picie i śpiew. Tak jak pan, nie? Śpiewaliśmy.

– Być może. Chyba tak.

– Owney dał się zabić podczas roboty w Goshen. Greeley umarł zamknięty w Żelaznej Róży. Ja się ożeniłem, ale dziewczyna zmarła podczas porodu. W czterdziestym czwartym w Okręgu pojawiła się gorączka. Zamknęli wszystkie knajpy, które znałem. „Żeglarza”, „Gwiazdę” i „Podwiązkę”. „Wyjącego Wilka”.

– Wtedy zaczął pan pracować dla Mose'a?

– Ale byłem inny. Wciąż na szczycie. Pod Mose'em. Ten Haycock myśli, że jest twardy. To ja byłem kimś. Robiłem ludziom krzywdę. Przerazałem ich. Chodzi o to, że zaczęło być trudniej. Zimniej. Bardziej samotnie. Za

duża konkurencja, trzeba było brzydko się bawić. Koniec z czarującym młodym zbirem. Byłem starszy. Byłem prześladowcą. Znienawidzonym i wzbudzającym strach. Koniec z piciem i śpiewaniem. Właśnie tak. Tak było. Więc wybraliśmy się na poszukiwanie. Ja i Hod. Tam, gdzie kiedyś był „Wyjący Wilk”.

– Czego szukaliście?

– Rogatego Człowieka. Rudobrodego. Wie pan, o kim mówię?

– Czytałem o nim. Bóstwo pijaństwa i zabawy.

– Właśnie. Powiadali, że jest wysoki na sześć metrów. Powiadali, że pija na Wrzosowisku albo na Dzikich Polach albo w Garhide albo w labiryntach Machii. Z bandą szalonych dzikich kobiet. Niebezpieczny. Hałaśliwy. Nikt go nigdy nie widział na własne oczy, ale ktoś znał kogoś, kto znał kogoś, kto go kiedyś zobaczył. Powiadali, że podobno można go spotkać gdziekolwiek, w każdej knajpie w mieście. Może wparować bez ostrzeżenia w chmurze muzyki i wrzasków.

– Chcieliście go znaleźć. Wrócić do tego, co było kiedyś, choćby na chwilę.

– Powiadali, że pojawia się jak podmuch szalonego wiatru i wszyscy za nim idą. Zostają porwani. Nie wiadomo dokąd.

– Czy tak się z panem stało?

– Nie. Tak. Ja i Hod potrafiliśmy szukać. Znaleźliśmy pewnego człowieka w Jąkających Wrotach. Uczzonego. Mieszkał w wieży nad placem. Hodował nietoperze i

ptaki. Zapłaciliśmy mu tyle, ile dostaliśmy od Mose'a. Powiedział nam, jak to zrobić. Zaczęliśmy tam, gdzie kiedyś był „Wilk”, bo tam po raz ostatni widzieliśmy Owneya, który był jednym z nas, kiedy nam się powodziło. Poszliśmy do „Gwiazdy”. Potem do „Gwizdka”. Gdziekolwiek szliśmy, dawaliśmy ludziom pieniądze.

– Przebaczyli panu?

– Nie. To znaczy może. Nie od razu. Do „Kompasu” i „Lwa”. Do „Kopalni”. Ależ mnie tam kiedyś nienawidzili. Zresztą mieli powody. Ale tamtego wieczoru wiwatowali na moją cześć. Tyle że wszystko było jak rozmazane, nie tylko przez alkohol. Do „Hesperusa”. Do knajpy Shecky'ego, co nigdy nie miała nazwy, nawet w dobrych czasach. Weszliśmy tylnymi drzwiami, jak pamiętam, a potem po schodach pomiędzy dwoma, dwoma... – Wykonał dziwny gest, składając dłonie pod ostrym kątem. – Wie pan? I weszliśmy do miejsca, w którym wciąż byli nasi starzy znajomi. Zupełnie jakby znów byli młodzi. Przysięgam, że był tam Owney Tańczył z kobietą, która jak nic przypominała moją żonę.

– Czy mógłbym pójść tą samą drogą i znaleźć tego boga?

– Nie. On to przygotował specjalnie dla nas. Chodziło o miejsca, które coś dla nas znaczyły, wie pan? Na nic by się to panu zdało. Wyszliśmy tylnymi drzwiami, kiedy zadzwonił dzwonek. Pod arkadami pojawił się kolejny lokal. A potem następny, kiedy znów rozległo się

dzwonię. Musiało minąć kilka dni, ale wciąż było ciemno. Te miejsca, w których byliśmy, sam nie wiem, w jednym było niezwykle jasno, ale nie z powodu ognia. W jednym lokalu rozbrzmiewała dziwna muzyka, a ludzie byli dziwacznie ubrani. Raz chyba znaleźliśmy się na polach, ale było tak ciemno, że nie było widać niczego poza ogniskiem. No i kobietami, które wokół niego tańczyły, całkiem nago. Brzmi nieźle, synu, wiem, ale wcale tak nie było.

– Zbliżał się pan do bóstwa. Zobaczył je pan?

– Raczej jego. Siedział na kamiennej ławie. W knajpie, która trochę przypominała „Kompas”. Był taki... wielki, ale nie wysoki ani szeroki, ani... Było z nim tylu ludzi, wszyscy tacy jak ja. Podążali za nim. Nie byłem nikim szczególnym. Tak bardzo go kochali.

Arjun czekał. W końcu Norris ponownie się odezwał, z naciskiem, jakby miał już szczerze dosyć mówienia.

– Nie potrafię się dobrze wysłowić. Haycock mógłby to panu lepiej opisać. Ale go widziałem. Byłem przy nim przez całą długą noc, cholernie udaną noc, jak za najlepszych czasów; potem już nie potrafiłem być taki sam. Hod w ogóle nie wrócił, ja w końcu tak. Obudziłem się w Machii na jakiejś stercie śmieci w pięćdziesiątym ósmym albo dziewiątym. Wiem, że od tamtej pory nie jest ze mną dobrze. Zdaję sobie z tego sprawę. Bóg zabrał mi całą siłę. Nie powinniśmy byli próbować go wykorzystać, to nie było bezpieczne. Od tamtej pory wszystko jest nie tak. Nic już nie ma sensu, prawda? Przyjechałem do tego

pieprzonego miejsca, żeby przeczekać. – Podniósł kamień leżący na ulicy i zaczął go obracać w brudnych palcach. – Nic już nie jest takie jak kiedyś. No i nic nie jest prawdziwe. Kiedy byliśmy z Rudobrodym, wszystko wokół nas się zmieniało i wszystko wciąż było nowe. Teraz wiem, że nic z tego nie jest prawdziwe. – Bez ostrzeżenia Norris wziął zamach i cisnął kamieniem na drugą stronę ulicy. Jedna z szyb pękła z hukiem. – Widzi pan?

Heady i Clement cofnęli się gwałtownie. Heady chwycił Norrisa za rękę, a Clemens spytał:

– Po co to zrobiłeś?

Norris wybełkotał coś niezrozumiałego; chwilowo odzyskany dar wymowy już go opuścił. Arjun został w tyle.

* * *

Wrócił do swojego pokoju w nocy. W ciemności zapalił zapałkę, a następnie świeczkę na półce. Pod nią leżała koperta. Wziął ją do ręki i obrócił. Była gładka, cienka i brązowa. Zapisano na niej jego nazwisko, zaokrąglonymi, mało charakterystycznymi literami, które wyglądały, jakby wyszły spod ręki dziecka.

W piersi i z tyłu głowy Arjun poczuł mrowienie. Poczuł też czarny ciężar na drugim końcu drżącej srebrzystej nici. Kopertę wysłał Pająk lub jeden z jego agentów. Dziwny rodzaj powitania w mieście.

Długo się jej przyglądał. Wiedział, że jeśli ją otworzy, wykona otrzymane polecenie. Czy dzięki temu znajdzie się na ścieżce, która doprowadzi do odnalezienia Głosu? Zapewne nie. Defour mówiła, że polecenia są całkowicie przypadkowe. Właśnie taki jest ich sens.

Gdyby otworzył list, prawdopodobnie musiałby zaniechać poszukiwań Głosu. Odczuwał taką pokusę. Poszukiwania wydawały się poronionym pomysłem, bez szans na powodzenie; Pająk skierowałby go na nową ścieżkę. Na dowolną drogę wiodącą do dowolnego celu. Być może mógłby on zastąpić Głos.

Za jego plecami rozległo się pukanie i przez otwarte drzwi wszedł Haycock. Arjun chwycił kopertę obiema rękami, zupełnie jakby chciał ją schować za siebie, niczym dziecko przyłapano na kradzieży, ale po chwili się opanował.

– Jest środek nocy, panie Haycock. Czego pan chce?

– Już świta – odparł Haycock.

Miał rację. Arjun spojrzał na blask poranka oświetlający kopulastą głowę jego gościa. Zaczął coś mówić, ale Haycock mu przerwał.

– Niech pan odłoży te bzdury – powiedział, po czym wyrwał Arjunowi kopertę i rzucił ją w poprzek pokoju na zakurzoną podłogę pod łóżkiem. – Jest pewien człowiek, którego powinien pan poznać. Może na coś się pan przyda. Zobaczymy, czy da się już pana do czegoś wykorzystać. Proszę wziąć płaszcz.

* * *

Wlekli się przez Wrzosowisko w zimnym świetle poranka. Haycock zostawiał błotniste ślady na mokrej od rosy trawie i straszył ptaki na drzewach, powarkując i wykrzykując obelgi pod adresem wszystkich przedstawicieli konkurencji oraz klientów. Podążyli ścieżką, która biegła wokół wzgórza, a następnie ruszyli w górę, przechodząc między wysokim szpalerem drzew, aż dotarli do ścian posiadłości hrabiny Ilony.

Arjun nie był pewien, czy ma ochotę iść z Haycockiem, dopóki niewysoki mężczyzna nie powiedział mu, że idą do majątku hrabiny i Arjunowi być może uda się z nią spotkać. Haycock nie chciał zdradzić, z kim zamierzał poznać młodzieńca. Kiedy Arjun o to spytał, handlarz postukał się palcem w bok nosa i odrzekł:

– Na razie to tajemnica handlowa. Zobaczymy, jak się rozwiną sprawy, zgoda? – Powiedział tylko, że ma umówione spotkanie z klientem.

– Chłopak jest ze mną – poinformował strażnika przy bramie. – Wiem, że jest za stary na ucznia, ale to prostaczek. W mojej sytuacji nie można być wybrednym. Może cię to zdziwi, ale ambitni młodzieńcy nie ustawiają się w kolejce do tego stanowiska. Wpuść nas.

– Mój znajomy żartuje. Mam na imię Arjun i pochodzę z Gad. Jestem przedstawicielem Chóru, zakonu z dalekiego południa. Przyszedłem, żeby złożyć wyrazy szacunku hrabinie. Przynoszę prezenty od Chóru.

Strażnik odstawił pikę i ich przeszukał. Arjun był ubrany w swoją czarną szatę Chórzysty. Kiedy strażnik skończył, służący poprowadził ich poprzez ogrody i podwórze do rozległej posiadłości hrabiny. Przeszli przez lustrzane sale i wspięli się po szerokich schodach do wieży. Służący wślizgnął się do pokoju hrabiny, zostawiając ich na zewnątrz.

Z pokoju wyszedł mężczyzna w mundurze. Jego ściągnięta, wymizerowana twarz i czarna opaska na ramieniu klóciły się z medalami oraz bogatymi tłoczonymi zdobieniami stroju.

– To kapitan Arlandes – rzekł Haycock. – Widzi pan ten żałobny strój? Wiąże się z nim zabawna historia...

Służący wyszedł z pokoju.

– Panie Arjunie z Gad, hrabina teraz pana przyjmie. Panie Haycock, profesor Holbach także jest w środku.

Mężczyzna, który zapewne nosił nazwisko Holbach, stał przy oknie i spoglądał przez złoty teleskop na Wrzosowisko. Na zewnątrz, ponad posiadłością, unosił się „Gromowładny”. Bogato ubrana kobieta o białej twarzy, która z pewnością była hrabiną, leżała rozciągnięta na sofie niczym wysadzany klejnotami wąż i paliła papierosa.

Haycock chyłkiem przemknął do Holbacha, próbując ukłonić się Ilonie, a zarazem uniknąć zwrócenia na siebie jej uwagi. Arjun złożył głęboki ukłon przed sofą hrabiny. Biała farba wokół ust kobiety łuszczyła się i pękała; młodzieniec próbował nie zwracać na to uwagi.

Holbach wziął Haycocka na bok.

– Panie Haycock, prosiłem, aby mi pan nie zawracał głowy, kiedy jestem z hrabiną – syknął. – Spotkam się z panem później w swoim gabinecie.

Haycock zbliżył usta do ucha Holbacha i szepnął:

– Chciałbym, aby pan kogoś poznał. To potencjalny klient. – Wskazał kciukiem Arjuna, po czym wzdrygnął się, gdy zobaczył, że hrabina wbija w niego wzrok. Zorientował się, jak potworną popełnił gafę.

– Haycock? Tak się nazywasz, kreaturo? Każę cię obedrzeć ze skóry, dosłownie obedrzeć ze skóry, jeśli jeszcze raz przyjdiesz tutaj handlować. Co ty sobie myślisz? Co sobie myślał mój strażnik? To nie jest właściwe miejsce. Powstrzymam się teraz tylko ze względu na profesora, któremu najwyraźniej wydajesz się użyteczny.

Zarówno Holbach, jak i Haycock zasypali hrabinę wyrazami wdzięczności. Haycockowi udało się wyslizgnąć z pokoju po zakończeniu występu. Holbach wrócił do swojego teleskopu.

Arjun uklęknął przed sofą i rozpoczął przemowę. Wychwalał Ararat, wychwalał posiadłość hrabiny oraz jej piękno i zdolności przywódcze. Ilona przewróciła oczami.

– Nie musi pan klęczeć. Proszę wstać.

Arjun pośpiesznie się podniósł.

Opowiedział jej o zdolnościach Chórzystów w dziedzinie medycyny i nauki, o szacunku, z jakim ich traktowano na równinach, o wielkim bogactwie zakonu.

Nie składał żadnych obietnic, ale starał się dać hrabinie do zrozumienia, że mógłby się odwdzińczyć za otrzymaną pomoc. Ilona spojrzała na niego, okazując zainteresowanie, nawet jeśli było ono minimalne.

Arjun wychwalał jej potęgę; twierdził, że z pewnością jest czołową przedstawicielką miejskich władz. Dysponuje olbrzymim i bogatym terytorium w samym sercu miasta, nad Zatoką; to pozycja godna pozazdroszczenia, którą Chór szanował. Szeroko gestykulował. Za oknem zauważył unoszący się w powietrzu potężny kształt „Gromowładnego”.

– Wasz okręt to prawdziwy cud. Stałem pod nim; wisi nad miastem niczym kochający i gniewny bóg. Umieściliście na niebie ponad miastem nowe bóstwo.

– To ciekawe podejście... – odrzekł Holbach.

Ilona przerwała mu, pstrykając palcami.

– Czego chcesz, człowieku?

Arjun pośpiesznie zaczął opowiadać.

– Przybyłem w poszukiwaniu Głosu, który śpiewał wysoko nad naszym Chórem...

Ilona wysłuchiwała jego historii. Kiedy skończył, z powrotem położyła się na sofie i oparła głowę na bladej dłoni.

– A jednak mnie nudzisz. Cóż za rozczarowanie. Dziękujemy, ale w naszym mieście jest już wystarczająco wielu szaleńców. Życzę miłego dnia. Idź włóczyć się po ulicach z innymi złamanymi, oteńpionymi przez bogów nędznikami. Profesorze, proszę zawołać strażnika.

* * *

Nikt nie chciał mu pomóc. Miasto było dla niego zamknięte, a on nie miał przyjaciół. Być może mógłby wytyczyć własną ścieżkę do miasta, a potem ją oświetlić, aby przywołać do siebie głos.

Tego wieczoru zatrzymał się na rogu ulicy Moore'a, by posłuchać złamanego przez życie staruszka, który grał na lirze korbowej i przytupywał. Arjun nie dał mu pieniędzy. Zamiast tego usiadł obok niego i zanucił mu pewien utwór. Była to prosta melodia, zaaranżowana specjalnie na niezgrabny, rżący instrument, na którym grał starzec, jednak był w niej obecny ślad Głosu, jego odległe echo. Arjun pokazał mężczyźnie, gdzie powinien kłaść palce, i został z nim, dopóki ten nie nauczył się grać utworu. Kiedy odchodził, staruszek raz za razem grał nową melodię.

Arjun patrzył, jak urzędnik ubrany w szary garnitur wychodzi z pubu, mija grajka z lirą korbową, lekko zbacza w jego stronę, rzuca mu monetę, po czym oddala się, nucąc fragment melodii.

Rozdział 12

Obszarpany chłopiec biegł ulicą Moore'a, stukając patykiem w ogrodzenia i bębniąc w deski. Przystanął na chwilę przy starym Laggerze, mężczyźnie z lirą korbową, i zasłuchał się w graną przez niego melodię, wystukując rytm. Spodobała mu się. Potem pobiegł dalej, licząc budynki. Do trzeciego domu za pozostałościami „Czarnego Księżyca”, na jego tyły, do ogrodu.

Z cieni za plecami chłopca wyłoniła się jakaś postać i chwyciła go za rękę. Przez chwilę malec próbował się wyrwać, jednak wtedy w dłoni większego chłopca pojawił się nóż. Był to mały i ostry nóż handlarza rybami. Dziecko zwiotczało i znieruchomiało.

– Przeszedłem do Jedwabnego Jacka. Nie chcę niczego ukraść.

– Jak masz na imię? Czego chcesz? Kto ci powiedział?

– Een. Chłopaki z nabrzeża. Z tamtejszego schroniska Nessene. Hagley, Bill, Shutter? Powiedzieli, że macie jedzenie. Mogę się przydać. Kiedyś kradłem dla Chudej Mag. Byłem w Domu Tallowa i sam się stamtąd wydostałem.

– Kim jest Chuda Mag? Dlaczego tutaj jesteś, skoro jest taka świetna?

– A jak myślisz?

Większy chłopiec schował nóż do kieszeni kurtki i puścił rękę Eena.

– Namdi – powiedział, wskazując na siebie. – Więc to prawda, co o nich mówią? Są aż tacy groźni?

– Nie wiem. Pewnie tak. A czy to prawda, co mówią o twoim szefie?

Namdi się uśmiechnął.

– Może. Przekonamy się.

* * *

Fiss wyszedł na dach, dołączając do Jacka, który obserwował, jak na niebie pojawiają się pierwsze gwiazdy. W Domu nie było gwiazd.

– Wszystko w porządku? – Jack wzruszył ramionami, więc Fiss kontynuował. – Na dole jest nowy chłopak. Skradał się koło domu, Namdi go przyłapał. Ma na imię Een. Wydaje się w porządku. Chce się spotkać z niesamowitym latającym chłopcem. Odłączył się od jakiejś bandy z nabrzeża. Wykurzyły go białe szaty.

– Dobrze. Później z nim porozmawiam.

– Łap! – zawołał Fiss, rzucając Jackowi pakunek, który ten złapał, nie patrząc nań. – Przyniósł je ze sobą. Nieźle, co?

Były to papierosy związane czerwoną wstążką. Na każdej ciemnobrązowej rurce widniała pozłacana pieczęć z napisem w obcym języku. Een najprawdopodobniej ukradł je z jakiegoś statku na nabrzeżu.

– Czyżbyśmy zaczęli przyjmować daniny? – spytał Jack.

– No cóż, chłopak chciał jakoś zapłacić za schronienie. Pokazać, że nie jest bezużyteczny. Nie widzę nic złego w tym, że je przyjęliśmy. Poza tym, są całkiem niezłe, prawda?

– Całkiem niezłe – zgodził się Jack, rzucając pakunek z powrotem do Fissa. – Jeśli jest dobry i zna okolice nabrzeża, to może nam się przydać. Jutro z nim porozmawiam.

– W porządku. – Fiss zapalił papierosa i oparł się o komin. W milczeniu patrzyli na dachy pod ciemniejącym wieczornym niebem.

– Fiss? Jesteś tam jeszcze? Coś się pali, czujesz?

Usłyszeli stłumiony brzęk tłuczonego szkła. Poczuli smród palonego drewna. Ponad dachy budynków na drugim końcu ulicy wystrzelił grzebień ognia. Jack dopadł do przeciwległej strony dachu i wyjrzał na ulicę Moore'a, skupiając wzrok.

Fiss stanął za nim.

– To w domu na rogu. U tej dzieciobójczynie, aborcjonistki.

Wiatr niósł ulicą tłusty dym. Tuż przed granicą dymu biegła grupa niewielkich postaci w upiornych białych szatach. Jack oszacował ich liczbę, licząc pochodnie, które trzymali w dłoniach: piętnastu, może dwudziestu. Zobaczył, że zatrzymali się w odległości kilkudziesięciu metrów. Stary Lager rozpaczliwie próbował schować lirę korbową i zabrać kapelusz z monetami. Jedna z białych postaci podbiegła, przewróciła go i zaczęła kopać.

– Fiss – odezwał się Jack. – Zbierz chłopaków.

* * *

Kiedy wybiegli na ulicę, ubrani na białą młodzieńcy byli już przy „Cyprysie”. Jack zauważył, że część z nich weszła do środka. Na zewnątrz pozostało mniej więcej dziesięciu. Mieli ogolone głowy i twarze umazane sadzą. Jackowi wydawało się, że nie są starsi od niego, ale trudno było to ocenić.

Jeden z nich wystąpił naprzód. Na jego pokrytej meszkiem głowie widniał czerwony ślad po oparzeniu.

– Kim jesteście?

– Raczej kim wy jesteście? To nasza ulica.

Oparzony chłopak sprawiał wrażenie zaskoczonego i niezadowolonego. Najwyraźniej nie spodziewał się oporu. Rozpoczął idiotyczną przemowę, próbując załagodzić sytuację, ale Jack go nie słuchał. To nie Oparzony sprawował tutaj kontrolę. Chłopcy w białych szatach, którzy stali za nim, również go nie słuchali. Poprawiali w dłoniach pochodnie, szykując się do wykonania rozkazu, jakikolwiek by on był. Jack wyjął swój piękny nóż. Nie miał pojęcia, jak należy go trzymać podczas bójki. Ustawił ostrze czubkiem do góry, przed twarzą, i liczył na łut szczęścia.

Rzucili się w jego stronę, mijając Oparzonego, który przez chwilę stał jak głupek, po czym przyłączył się do pozostałych.

Fiss, Aiden, Namdi, wszyscy zostali z tyłu. No jasne, pomyślał Jack. Nie było wśród nich wojowników, prawda? Nawet Namdi nie potrafił walczyć, chociaż lubił udawać, że jest inaczej. Podobnie Jack, ale oto znalazł się w sytuacji bez wyjścia. Było za późno, żeby wycofać się bez hańby. Musiał stawić opór. Nie, to nie wystarczy: musiał ruszyć naprzód i ochoczo przeciwstawić się wrogom. Pomknął w ich stronę.

Ciężka pochodnia opadła ku jego twarzy. Poruszała się powoli, więc bez trudu się cofnął. Kolejny cios był wymierzony w jego ramię, ale Jack obrócił się i go uniknął. Stał przed nim Oparzony, obiema rękami wznosząc pochodnię nad głową. Jack przyjrzał mu się z namysłem. Swobodnie machnął nożem, zostawiając krwawy ślad na poplamionej twarzy chłopaka. Oparzony zatoczył się do tyłu, unosząc dłoń do twarzy i upuszczając pochodnię. Jack ponownie leniwie machnął ręką i zostawił taki sam ślad na twarzy białej szaty obok, w poprzek ogolonej szczęki, która właśnie się otwierała, by wydać okrzyk wściekłości. W stronę Jacka powoli sięgnęła czyjaś dłoń, usiłując chwycić go za koszulę. Odchylił się i przeciągnął ostrzem wzdłuż wyciągniętej ręki, rozcinając szatę. Przez chwilę, która wydawało się, że trwa w nieskończoność, patrzył na jasną krew tryskającą z rany.

Potem odsunął się od kłębowiska napiętych ciał. Białe szaty ponownie zaczęły się ruszać i zatoczyły do tyłu. W oczach Jacka przypominały ozywające posągi – nie, raczej

niezdarne marionetki szarpane za sznurki. Jack też przez chwilę chwiał się na nogach. Fiss i Aiden podbiegli, by go podtrzymać. Wszystko w porządku, po prostu czuł się oszołomiony. Powiedział to czy tylko pomyślał?

– W prządku... – powtórzył.

Kolejne białe szaty wyłoniły się z „Cyprysa”, by sprawdzić, skąd pochodził hałas. Wpadli na swoich ogłuszonych towarzyszy i zaczęli na nich wrzeszczeć i ich popychać. Unieśli pochodnie nad głowy i pobiegli w stronę Jacka, a on wystąpił im naprzeciw. Stopy miał lekkie jak piórko. Białe szaty poruszały się niezwykle powoli. Tym razem Fiss, Aiden Namdi i cała reszta stanęli z nim ramię w ramię, dumnie pokrzykując.

* * *

Dziki dzieci pojawiły się w „Cyprysie” podczas wieczornego posiłku. Wszyscy mieszkańcy akurat siedzieli przy stole, gdy do środka wtoczył się śmierdzący alkoholem Norris i szlochając, upadł w rogu. Białe szaty wpadły do pomieszczenia w ślad za nim. Jeden z młodych wskazał Norrisa palcem.

– Coś obrzydliwego. Spójrzcie na niego. Jak on śmierdzi.

Goście siedzieli bez ruchu, przestraszeni i upokorzeni, podczas gdy białe szaty krążyły po sali. Jeden z młodzieńców postukał zgaszoną pochodnią w stary plakat Defour.

– Co to za dziwka?

Arjun wbiegł na górę, po czym wrócił, trzymając w garści swój pistolet skałkowy. Stał po przeciwległej stronie pomieszczenia, wycelował w chłopaka, który odezwał się jako pierwszy, i kazał mu wyjść. Wydawało się, że bardzo długo stali naprzeciwko siebie. Arjun czuł się fatalnie z tym, że celuje do dziecka, ale nie zadrżała mu ręka. Chłopcy mierzyli go wzrokiem. Miał tylko jeden nabój, a oni próbowali go okrążyć.

Wtedy na zewnątrz rozległy się odgłosy walki. Białe szaty wymieniły spojrzenia, po czym wymknęły się na ulicę, na odchodnym plując na podłogę. Arjun odczekał chwilę, a następnie za nimi podążył, ściskając broń w zeszywniałej dłoni.

Kiedy wyszedł, zobaczył, że napastnicy uciekają na północ. Kolejna grupa młodzieńców przemieszczała się niepewnym krokiem na południe, podtrzymując za chude ramiona chłopca w dziwacznej jaskrawej koszuli ozdobionej jedwabnymi wstążkami.

Arjun opuścił broń i pobiegł ulicą w stronę pożaru. Iskry unosiły się na kłębach dymu. Mężczyźni i kobiety stali w blasku płomieni i podawali sobie wiadra z wodą z kanału. Arjun do nich dołączył. Od tygodni nie czuł się lepiej. Zauważył Heady'ego, który również udzielał pomocy. Później wrócił ulicą, po drodze zabierając starego grajka i jego zniszczoną lirę korbową. Zaprowadził go do jadalni „Cyprysa”. Siedzieli tam w milczeniu, podczas gdy Defour przygotowywała im coś

do jedzenia.

Rozdział 13

– Niech więc się pan ze mną przejdzie, kapitanie.

Hrabina przerwała pracę – ostrożnie przycinała i modelowała róże – i wstała z ławki. Podniosła się sztywno, z westchnieniem, i zdjęła grube rękawice ogrodnicze. Arlandes wziął ją pod rękę.

Strumienie światła wpadały przez szyby szklarni. W powietrzu unosiła się mgiełka kurzu i pyłków kwiatowych oraz intensywny zapach gliny i fekaliów. Arlandes i hrabina minęli róże i tulipany o płatkach i słupkach w różnych odcieniach czerwieni i żółci, fioletu i błękitu oraz w subtelniejszych barwach, których kapitan nie potrafił nazwać, a także cierniste i lśniące rozczapierzone storczyki. Hrabina dwukrotnie przystawała, by odciąć jakąś niedoskonałość lub delikatnie naprostować podupadłą łodygę za pomocą drutu i sznurka. Wskazała płożące się pnącze, które, jak twierdziła, rosło na odpadkach w przydrożnych rowach na północy, w pobliżu Góry; było bardzo rzadkie. Miało cudownie fioletowy kolor, a jego pierzaste liście kołysały się i drżały. Arlandes starał się okazać podziw dla rośliny.

W drzwiach stali dwaj służący. Hrabina odprawiła ich gestem.

– Dziękuję, ale z kapitanem będę całkowicie bezpieczna.

Hrabina nie była odświętnie ubrana. Miała na sobie

prosty, luźny kombinezon poplamiony ziemią. Nie miała peruki i tylko ściągnęła mocno do tyłu siwe kręcone włosy. Nie pomalowała twarzy – odarte ze zwyczajowej gładkiej bieli oblicze było pomarszczone i miało szorstkie rysy. Nawet oczy wyglądały inaczej: błyszczący szmaragdowy kolor był wytworem delikatnych i egzotycznych żelów kupowanych w dalekich wschodnich dzielnicach. Bez soczewek jej oczy były piwne i miały niemal łagodny wyraz.

Oglądanie jej w takim stanie stanowiło nie lada zaszczyt. To skłaniało Arlandesa ku przekonaniu, że klejnoty, farba i koronki, w których hrabina pokazywała się mieszkańcom miasta, nie były wyrazem szacunku, lecz pogardy.

Szklarnia stała na szczycie wzgórza, gdzie było najlepsze światło. Poniżej rozciągała się posiadłość hrabiny, łopotwały czerwone flagi, a wysokie okna błyskały złociście w słońcu. Dalej rosły szpalery jesionów i dębów (w cieniu których kryły się samopały i pułapki), a za nimi wznosiły się spiczasto zakończone mury. Poniżej znajdowało się Wrzosowisko Chwały, którego trawniki sięgały brzegu rzeki. Na Wrzosowisku kłębiły się tłumy – jaskrawe parasolki kobiet z tej odległości zlewały się w różnokolorową plamę przypominającą kwiaty.

Hrabina pokierowała Arlandesa na ścieżkę prowadzącą między drzewami. Kapitan biernie się jej poddawał, idąc w milczeniu. Jej ręka była cienka jak patyk, a siwa głowa sięgała zaledwie jego ramienia.

Pogłaskała go po jedwabnym rękawie.

– Nadal ubiera się pan na czarno, kapitanie.

Skinął głową.

– To dobrze o panu świadczy. Miasto wymaga ofiar. Ale my o nich nie zapominamy. Niektórzy z naszych rodaków, jak choćby gerent Stross End, mogą traktować życie zwykłych obywateli jak walutę, którą można wydać i zapomnieć. Ale to prymitywny człowiek. My jesteśmy delikatniejsi.

– Ona nie była dla mnie kimś zwyczajnym, pani.

– Oczywiście że nie. Jak pan wie, kapitanie, nigdy nie wyszłam za mąż, opłakiwałam jednak ojca oraz czterech braci, którzy umarli na skutek zarazy, morderstwa oraz wojny. Opłakiwałam także siostrzeńców; nie zliczę, jak wielu. Nie musi mnie pan pouczać w temacie żałoby.

– Proszę o wybaczenie. Przemawiał przeze mnie smutek.

Uśmiechnęła się i dotknęła jego ziemistego policzka.

– Rozumiem.

Dotarli do rozwidlenia ścieżki i wybrali bardziej zacienioną odnogę, która wiodła pod dębami.

– Oni pana kochają, kapitanie. Pana smutek. Nasi obywatele we wszystkich dzielnicach przeżywają żałobę razem z panem. Czy pan o tym wie? Być może kochają pana bardziej niż mnie.

– Nie, pani.

– Ależ oczywiście, że tak! U mężczyzn i kobiet wygląda to zupełnie inaczej, mój kapitanie. Pan nosi broń.

Dowodzi ludźmi na polu bitwy. Wyrusza pan na morze lub wzbija się w niebo, jak to się dzieje teraz, aby zniszczyć ich wrogów, podczas gdy ja pozostaję tutaj, doglądając swojego ogrodu. Pan jest bohaterem. Nigdy nie pokochają mnie tak jak pana. Mogę planować i spiskować dla ich dobra, wprowadzać porządek w ich chaotyczne życie, a mimo to będą czuć wobec mnie tylko strach. Pan zrzuci na nich ogień i będzie wymachiwał szablą, lecz i tak pana za to pokochają.

– To polityka, pani. Nie mam zamiaru sprzeciwiać się pani zdaniu w tym temacie.

– Mądra decyzja, kapitanie. Pochowałam czterech braci; wiem, o czym mówię.

Schyliła się, by obejrzeć wijącą się, matowozieloną roślinę, która pięła się po pniu jednego z dębów. Owinęła ją wokół chudych palców.

– Kiedy znów nadejdzie wiosna, na tej roślinie pojawią się cudownie błękitne kwiaty, kapitanie. – Puściła pnącze i wstała. – Dlaczego chciał się pan ze mną spotkać?

– Chciałbym porozmawiać o moich rozkazach. Pani, rozkazałaś mi, żebym...

– To dobrze, że pan zszedł na ziemię. Proszę nie zapominać, komu pan służy, gdy pan śmiga w przestworzach.

– Nie zapominam.

– To dobrze. – Ponownie ujęła go pod rękę. – Skoro pan do mnie przyszedł, mam dla pana nowe zadanie. Ciii, kapitanie. Moje dotychczasowe rozkazy nadal

obowiązują, a pan je wykona. Nie będziemy więcej o tym rozmawiać. Zaraz wyjaśnię, czego jeszcze od pana oczekuję.

Wyszli z zagajnika. Hrabina wskazała zatłoczone Wrzosowisko w oddali.

– Kapitanie, żyjemy w niespokojnych czasach. Chociaż czy nie było tak zawsze? Niepokoje i dziwne namiętności. Wczoraj w nocy niedaleko przystani zdarzył się wypadek. Spłonęło kilka budynków. Mało ważnych budynków, ale to nic, i tak stanowi to afront dla mojego porządku. Moi ludzie twierdzą, że to sprawka kultu Płomienia. Tych paskudnych chłopaków.

– Pani, „Gromowładny” nie może zaatakować ulicznych dzieciaków uzbrojonych w pochodnie i kije. Jeśli zwrócę działa okrętu na miasto... cóż, lekarstwo okaże się znacznie gorsze od choroby.

– Wiem, kapitanie. Wiem. Jeszcze na to za wcześnie. Ci chłopcy i tak wkrótce się wypalą. Są tylko znakiem czasów. Jeżeli pragną przemocy, znajdzie się dla nich miejsce w mojej armii.

– Pani?

– Niech pan nie będzie naiwny, kapitanie. – Uśmiechnęła się i przycisnęła palec do ust Arlandesa. Jej paznokcie były krótkie, obgryzione i nierówne, a nie perłowe i zawinięte jak podczas publicznych występów. Miała cienką i szorstką skórę. – Wróćmy do aktualnych wyzwań. Obecne niepokoje sprawiają, że wydajemy się słabi. Czyż nie obiecaliśmy, że „Gromowładny” uderzy

niczym młot, pewnie i szybko zaprowadzając porządek? Owszem, tak mówiliśmy. Tak mi się przynajmniej wydaje. Jest pewien człowiek – niejaki pan Shay – który sprawia nam kłopoty. Prowadzi niezwykle bluźnierczą działalność.

– Bluźnierczą?

– Magiczną. Igra z bogami i mocami miasta.

– Tak jak nasz profesor Holbach?

– Różni ich to, że Holbach może liczyć na moją protekcję, a Shay nie. Wkracza na moje terytorium bez mojej zgody. Wywołuje gniew moich ludzi. Brzydzą się nim. Pojawiają się protesty. Kapłani przychodzą do mojego pałacu i się skarżą. Apeluję do nich o cierpliwość, a oni przytakują, po czym wracają do swoich świątyń i podburzają wspólnoty. Już kiedyś pojawił się w tej okolicy; to było dziesięć lat temu, a przed dwudziestu laty słyszano o nim w Mass How. W końcu zawsze kończy się to zamieszkami. Nie zna pan tego nazwiska?

– Nie znam.

– Nieuważnie śledzi pan życie miasta. Niech pan o nas nie zapomina w swoim smutku, kapitanie. Niech pan o nas nie zapomina w błękitnych przestworzach. Czy są bardzo błękitne?

– Pani, powinnaś kiedyś wybrać się z nami.

– Ha! Wyobraża pan sobie, jak się wspinam po drabinkach sznurowych, kapitanie? Poza tym, kobiety przynoszą pecha na okrętach wojennych, czyż nie?

– Tak się mówi. Ale myślę, że w pani przypadku można

by uczynić wyjątek.

– Sądzi pan, że moja pozycja umożliwia mi ucieczkę przed brzemieniem płci? Wprost przeciwnie. Ciii, kapitanie. Jeżeli pan nie słyszał o Shayu, to mogą panu o nim opowiedzieć moi pracownicy. Niech pan porozmawia z Holbachem. Mówimy o bluźnierstwie. To dotyczy bogów, a więc także Holbacha. Chcę, żeby tego człowieka usunięto; najpierw proszę porozmawiać z Holbachem.

Arlandes skłonił głowę. Szli dalej w milczeniu dróżką, która przecinała trawniki i wiodła do posiadłości.

– Pani? „Gromowładny” przez ostatni tydzień patrolował Stross End. Zgodnie z pani rozkazem. Nie jesteśmy tam mile widziani. Kupcy, a także gerent, nie chcą nas tam widzieć. Zaczęli rozmieszczać strzelców na wieżach fabryk. Wyciągają działa i uzbrajają wieże. Każdego dnia coraz bardziej ich drażnimy.

– Boi się pan ich dział? Czy mogą wam zagrozić?

– Niczego się nie boję, pani. Nie sądzę, by mogli wyrządzić nam krzywdę. Co im to da, jeśli nawet przedziurawią nam kadłub? Przecież nie zatoniemy; nie potrzebujemy wody.

– Czy jeśli zaczną do was strzelać, to nie zawaha się pan odpowiedzieć ogniem? Może smutek zmiękczył panu serce?

– Jeżeli rozkaże mi pani strzelać, to tak uczynię. Jeżeli nie, to tego nie zrobię. Chciałbym jedynie poznać powody. Skoro obawia się pani niepokojów, to dlaczego w taki sposób drażnimy gerenta?

– A jeśli nie odpowiem, to odmówi pan dalszej służby?

Arlandes nie odpowiedział. Wkrótce dotarli do schodów prowadzących do zachodniego skrzydła posiadłości. Hrabina westchnęła. Puściła ramię Arlandesa, kiedy otoczyli ją dworzanie, bijąc pokłony, błagając o chwilę uwagi i podając jej szaty.

– Och, mój piękny kapitanie. Bardzo by mnie zasmuciło, gdybym pewnego dnia musiała zważać w pana lojalność. Niech pan porozmawia z Holbachem.

* * *

– W Obserwatorium?

– Tak, kapitanie.

– Tuż pod naszym nosem? Jest pan pewien?

– Całkowicie, kapitanie. Zresztą on się wcale nie ukrywa, prowadzi biznes. Nawet się reklamuje.

Holbach wzruszył ramionami. Drewniane krzesła w gabinecie Arlandesa były twarde i niewygodne dla miękkiego pulchnego siedzenia profesora, więc ten bez przerwy się wiercił.

Arlandes przejrzał papiery na biurku: broszury, szmatławce, notatki i zapiski Holbacha. Westchnął i zgarnął je na bok.

– To obrzydliwe, profesorze.

Holbach znów poprawił się na krześle, po czym strzepnął brokat z płaszcza. Wyglądał na zdenerwowanego, zupełnie jakby to Arlandes go

niepokoił. Ta dziwna suka, którą Holbach wszędzie ze sobą ciągał – dziewczyna ubrana w męski frak, nosząca ciężką laskę ze srebrnym czubkiem, tak arogancka i bezczelna, że Arlandes nawet nie próbował zapamiętać jej imienia – stała za nim, trzymając ręce za plecami. Twierdziła, że jest prawniczką, co także nie wzbudzało sympatii Arlandesa.

– Shay. Czy potrafi dokonać tego, co obiecuje, profesorze?

– Sądzę, że prawie na pewno nie potrafi. Nie słyszałem o nikim, kto byłby do tego zdolny. Ale miasto jest bardzo duże. W Atlasie można znaleźć wiele dziwów. Jeszcze w zeszłym roku nikt nie podejrzewał, że ludzie mogliby się wznieść w przestworza, a jednak obaj tu jesteśmy, czyż nie?

– To obrzydliwe, niezależnie od tego, czy to prawda, czy oszustwo. On wzbudza w ludziach niepokój. Zaburza porządek. Zakłóca nasz cenny spokój. Hrabina chce, żebym coś z nim zrobił.

– Pan czyli „Gromowładny”?

– A cóż innego mogłoby to oznaczać, profesorze?

– Zniszczy go pan za pomocą dział? Zrówna z ziemią stare Obserwatorium?

– Tak sądzą.

Holbach odwrócił się i spojrzał na dziewczynę, która w odpowiedzi wzruszyła ramionami.

– Kapitanie, czy mogę zasugerować, by zostawił go pan mnie? Do tego człowieka lepiej podejść dyskretnie i

ostrożnie.

Arlandes przyglądał się uważnie Holbachowi, wodząc palcem po tępych ostrzu noża do otwierania listów. Obserwował także kobietę.

– Chce go pan przesłuchać?

– Cóż, nie osobiście. Myślę, że to zwykły oszust i kanciarz. Jestem zdecydowanie za stary i za gruby, by nachodzić kryminalistów w ich kryjówkach. Jednak ta sprawa wzbudziła moją ciekawość.

– Niektórzy powiadają, że jest pan zbyt ciekawski, profesorze.

Ten pulchny wazeliniarz, zboczeniec, libertyn i wolnomyśliciel śmie przychodzić do jego gabinetu i ukradkiem wspominać o Atlasie, zupełnie jakby Arlandes o niczym nie wiedział, jakby był tylko głupim żołdakiem, który nie podejrzewa, że Holbach tkwi aż po tłustą szyję w tym podłym i wywrotowym projekcie wydawniczym. Zapewne tak samo jak kobieta.

Holbach był blady i sprawiał wrażenie zdenerwowanego. Arlandes zmienił szydery grymas w półuśmiech, a wtedy profesor wyraźnie się odprężył.

Kapitan ponownie przekartkował papiery. Hrabina wydała mu rozkaz. Z przyjemnością pokrzyżowałyby szyki Holbachowi. Ale... ale... ale. Ten Shay. Paskudna sprawa. Błuznierstwo. Czarnoksiężstwo. Chyba że to oszust – w takim razie to poniżej jego godności. To dotyczy bogów, jak stwierdziła hrabina. Właśnie przez coś takiego zginęła Lucia. Czuł obrzydzenie.

Nie, raczej się bał. Ucisk w żołądku oznaczał strach. A on był zbyt słaby, zmęczony i samotny, by z nim walczyć. Z olbrzymią ulgą opadł na krzesło.

– Dam panu dwa dni, profesorze. Potem użyję dział.

– Dziękuję. – Holbach podniósł się z krzesła, lekko postępując. Potem stanął niezgrabnie i zatarł dłonie, stukając pierścieniami.

W końcu Arlandes uniósł brew i Holbach przemówił.

– Jak pan sobie radzi, kapitanie?

– „Gromowładny” dobrze się sprawuje. Nie wiem i nie chcę wiedzieć, jak to się dzieje, ale sprawuje się dobrze.

– Chciałem raczej spytać o pana samopoczucie, kapitanie. Biorąc pod uwagę pana stratę. Chciałem ponownie wyrazić swoje...

– Spędzam dni i noce, obsługując potężną maszynę, którą pan stworzył, profesorze, i której paliwem stało się życie mojej żony. Okręt jest napędzany jej wspomnieniem. Oto stan mojego umysłu, skoro koniecznie chce go pan poznać.

Holbach wzdrygnął się i oklapł. Kobieta dotknęła jego ręki, po czym się odezwała. Jej głos był silny, wyraźny i spokojny. Pobrzmiwały w nim satysfakcja i pewność siebie, które sprawiały, że Arlandes miał wielką ochotę ją uderzyć.

– Jeśli mogę, kapitanie, może mógłby pan podejść do tego w następujący sposób. Pana żona została dotknięta przez boga. Została przez niego wyniesiona. Jest w tym coś świętego. Być może okręt jest ołtarzem, a pan

upamiętnia jej ofiarę za każdym razem, gdy wzbija się pan nim pod niebo.

– Chyba nie mówi pani poważnie. Takie osoby jak pani nigdy nie mówią tego, w co wierzą, ani nie wierzą w to, co mówią. Nie jest mądrze stroić sobie żarty z prostych ludzi.

Zmieniła pozycję, przekrzywiając głowę i lekko unosząc brew.

– Nie jest mądrze stroić sobie żarty ze mnie – dodał.

Cofnęła się o pół kroku. Arlandes wstał, a wtedy zrobiła pełny krok do tyłu i odwróciła wzrok. Holbach ujął ją pod ramię i razem się wycofali.

Uważali, że jest śmieszny, ale i tak się go bali. Holbach i wszyscy jego pędzie, intelektualiści i wywrotowcy. Mieli powody. Tłumy i prości ludzie nadal wiwatowali na jego cześć i na cześć „Gromowładnego”, ale każdy, kto miał trochę oleju w głowie, wiedział, że „Gromowładny” to przerażająca broń, podobnie jak sam Arlandes. Spodziewał się, że prostaczkowie wkrótce także to zrozumieją.

Spędził popołudnie w sali gimnastycznej w koszarach, ćwicząc szermierkę. Walczył na tępe ostrza z tchórzami, a ostrą bronią z odważnymi żołnierzami, swoimi ulubieńcami. Naznaczył nową blizną policzek Duncana, który po męsku podziękował mu za ten atrybut honoru i odwagi. Z kolei sam przyjął cios tępym ostrzem w żebra, co sprawiło mu wspaniały ból i na godzinę lub dwie pozwoliło zapomnieć o smutku.

Rozdział 14

Następnego dnia Arjun udał się na Przystań Giesa. Słuchał piosenek marynarzy, którzy wchodzili do portowych spelunek i z powrotem się z nich wytaczali, chwiejąc się na nogach i podtrzymując nawzajem, zrośnięci niczym skupiska korzeni. Niektórzy pozostawiali wierni własnym piosenkom wyśpiewywanym w egzotycznych językach, inni zabierali się za miejskie pieśni, ze śmiechem potykając się na miejscowych rymach.

Arjun usiadł na molo i patrzył na wypływające statki. Nie mogę teraz wrócić, pomyślał, nawet gdybym miał wpaść w rozpacz. Po prostu nie stać mnie na opłacenie drogi powrotnej.

Tego popołudnia, przed „Cyprysem” czekało na Arjuna dziecko, które aż podskoczyło na jego widok.

– Panie Arjun. List do pana.

Malec wcisnął mu kopertę do ręki, po czym odszedł, wyraźnie niezadowolony z mizernego napiwku.

Czy mógłbym zabrać Panu trochę czasu, Arjuniez Gad? Uważam, że możemy sobie nawzajem pomóc. Proszę, niech Pan niezwłocznie mnie odwiedzi. Będę czekał na gości dziś wieczorem. Krąg Fallona numer 122, Okręg Foyle'a. Nasze poprzednie spotkanie sprawiło mi dużą przyjemność i z niecierpliwością czekam na odnowienie

naszej znajomości.

Gracien Holbach

PS Jeśli chłopak okaże się uczciwy, to w kopercie znajdzie Pan pieniądze na przejazd powozem, z wyrazami uznania.

Arjun wytrząsnął z koperty cztery zielone banknoty. Riale, waluta hrabiny. Skąd Holbach wiedział, gdzie go znaleźć?

Oczywiście od Haycocka. Haycock znał Holbacha, robił z nim interesy. Arjun zapukał do drzwi sprzedawcy książek, ale go nie zastał.

Wrócił na Przystań Giesa, gdzie znajdował się postój powozów.

– Nie przyjmuję riali – rzekł woźnica. – Widzi pan herb na ścianie powozu? To znak gerenta. Biorę tylko dolary.

Arjun z irytacją pokręcił głową i rozejrzał się za innym powozem.

– No dobrze! – zawołał woźnica. – Zrobię wyjątek.

Uderzył konia patykiem i ruszyli pod łukami i sztandarami, w górę wzgórza ku Goshen Tor. Arjun wielokrotnie przemierzał tę trasę pieszo, ale podróż powozem, wysoko ponad brudem ulicy, była czymś zupełnie innym. Nikt na niego nie wpadał ani go nie wyzywał, nikt nie chwycił go za rękaw, żebrząc lub prawiąc kazania. Poza tym przemieszczał się teraz dużo

szybciej niż na własnych nogach, co zupełnie zmieniło jego poczucie skali i czasu, zmuszając go do przearanżowania swojej wizji mapy miasta. Kiedy skręcili do Okręgu Foyle'a, był jeszcze wczesny wieczór.

Krąg Fallona był spokojną i elegancką ulicą, przy której stały domy ukryte w głębi ogrodów. Już z końca ulicy było widać okrągłą wieżę pod numerem 122. Wieczne światła paliły się w jej oknach aż po sam szczyt. Olbrzymi popielaty budynek pod wieżą sprawiał wrażenie okazałego lecz zaniedbanego. Arjuna odebrał przy drzwiach lokaja, który poprowadził go w górę wieży przez labirynt bibliotek i zagraconych czytelni, po czym wskazał mu wejście do gabinetu.

Holbach opierał się o okno. Na sofie leżała kobieta i paliła papierosa. Na chwilę Arjuna opanowało uczucie déjà vu i zapomniał, co zamierzał powiedzieć. Kobieta jednak nie była hrabiną – była znacznie młodsza i nosiła krótkie ciemne włosy, które zaciesała do tyłu. Miała na sobie dobrze skrojony jedwabny garnitur. Spojrzała Arjunowi w oczy i uśmiechnęła się, strzepując popiół do miedzianej popielniczki.

– Tak się cieszę, że pan przyszedł – odezwał się Holbach.

– Zaciekał mnie pan, profesorze. Nie spodziewałem się, że cokolwiek wyniknie z naszego ostatniego spotkania. Chyba wspominał je mniej przyjemnie niż pan.

– Niewielu ludzi odważyłoby się tak lekceważąco

wypowiadać o spotkaniu z naszą wspaniałą hrabiną.

– Nie miałem zamiaru nikogo obrazić. Po prostu było to... frustrujące doświadczenie.

– Nie obraziłeś mnie, Arjunie. Czy mogę ci mówić po imieniu? Nie nosisz żadnego tytułu? Arjunie, to jest Olimpia Autun. A to doktor Joseph Liancourt. – Holbach wskazał przysadzistego mężczyznę o potarganych czarnych włosach, który garbił się nad stołem i coś gryzmolił. W odpowiedzi Liancourt tylko mruknął.

– Panno Autun – odezwał się Arjun – czy pani także jest na usługach hrabiny? – Kobieta się roześmiała.

– Olimpia jest prawniczką. Nie jest na niczyich usługach. O Liancourcie mogłeś słyszeć. To dramatopisarz. *Zwiastun zimy? Czwarta świątynia? Zajac i Izabela?*

– *Zajac* to chałtura. Chcę, by pamiętano mnie za *Zwiastun* albo w ogóle.

Arjun wzruszył ramionami. Liancourt smutno pokręcił głową.

– No dobrze – odezwał się Holbach. – A więc podczas tamtej wizyty zaintrygowała mnie twoja opowieść. Czy udało ci się coś osiągnąć?

– Obawiam się, że nie. Próbuję zachować cierpliwość.

– Cóż, zobaczymy, co da się zrobić.

Olimpia zgasiła papierosa w popielniczce.

– To mnie nie dotyczy, profesorze. Porozmawiamy później. Panie Liancourt. Arjunie, miło było cię spotkać.

Wyszła. Holbach gestem zachęcił Arjuna, by zajął jej

miejsce na sofie.

– Zaintrygowała mnie twoja opowieść. O tak, nawet bardzo. Później dłużej o tym porozmawiamy. Zaginiony bóg. Bezcielesny. „Głos”, jak go określiłeś. Dokąd się udał? Być może zastanawiasz się, czy kiedykolwiek istniał. Intrygujące pytania.

– Podejrzewam raczej, że to szaleniec – odezwał się Liancourt. – Tylko popatrz na jego oczy. Ma obsesję. Czasem spotyka się takich ludzi w teatrze. Najlepiej traktować ich grzecznie, ale nie zatrudniać.

Arjun poczuł nagłe ukłucie paniki. Podniósł się i stanął między Liancourtem a Holbachem.

– Profesorze, nie chcę powtarzać naszej poprzedniej rozmowy. Mam już dość bycia zbywanym. Czy może mi pan pomóc? Zrobi to pan?

– W porządku. A więc przejdźmy do rzeczy – odparł Holbach. – Nasz wspólny znajomy, pan Haycock, twierdzi, że szukasz pracy. Podobno potrafisz czytać w kilku językach, które niemal wymarły w tym mieście. Przydałaby mi się taka umiejętność.

– Pan Haycock próbował mi sprzedać pewne książki. Musiałem odrzucić jego ofertę, gdyż zostało mi niewiele pieniędzy. Myślę, że chciałby, żeby pan mi zapłacił, w nadziei na to, że pieniądze za moim pośrednictwem trafią do jego kieszeni. Ale pieniądze nie są mi potrzebne. Na razie stać mnie na jedzenie i dach nad głową. Pan wie, co tak naprawdę mnie interesuje. Czy może mi pan pomóc?

– Proszę, usiądź, Arjunie. Usiądź. Mamy dość czasu na

rozmowę. Być może w twojej dalekiej górskiej pustelni życie wyglądało prościej, ale tutaj w Ararat mamy w zwyczaju wszystko dokładnie omawiać.

Arjun usiadł.

Zaczęli od testów. Holbach otwierał książki na losowo wybranych stronach i pytał Arjuna o znaczenie konkretnych fragmentów tekstu. Arjun cierpliwie to znosił. Niektóre fragmenty potrafił płynnie odczytać. Innych nie rozpoznawał. Kiedy zaproponował niepewne tłumaczenie pożółkłego tuwarskiego zwoju, Holbach klasnął w mięsiste dłonie i się roześmiał.

– Słyszałeś, Liancourt? Nie wierzyłem, że znajdę kogoś, kto odcyfruje ten tekst. Pradawne języki muszą być znakomicie zachowane w Gad.

Arjun pokręcił głową.

– To zapomniana mowa, ale przechowujemy liczne książki. Znalazłem podręczniki do gramatologii oraz słowniki i zacząłem tłumaczyć pomiędzy tuwarskim, asi i kaelskim. Sam się tego nauczyłem. Tylko nie wiem, jak powinny brzmieć poszczególne słowa.

– Niesamowite. Ale, ale... – Holbach uniósł palec. – Widzę, że pytania znów cisną ci się na usta. Dlaczego miałbyś dla mnie pracować? Jak mogę pomóc ci w osiągnięciu celu? Cóż, myślę, że zdajesz sobie sprawę z mojej reputacji. Jestem człowiekiem, który przewidział powrót Ptaka i ujarzmił jego moc. Niektóre z moich, ach, projektów mogą mieć związek z twoimi poszukiwaniami. Prawdę mówiąc, już w tej chwili mam dla ciebie

propozycję. Zadanie, które mam nadzieję wykonasz jeszcze dziś wieczorem.

Arjun milczał.

– To drobiazg – zaczął Holbach – ale hrabina jest niezadowolona. Jest pewien człowiek, którego działania jej się nie podobają. Ma na imię Shay. Wiemy, gdzie można go znaleźć. Ogłasza się podejrzanymi kanałami. Nie, to cię nie dotyczy: ona ma drabów do takiej roboty. Nie jesteś takim typem człowieka. Powinno cię zainteresować coś innego: Shay twierdzi, że dysponuje pewnymi, ach, mocami, nietypowymi zdobyczami nauki. Zapewne jest oszustem lub szaleńcem. Ale jeśli mówi prawdę, to zwłaszcza tobie powinno zależeć na wyciągnięciu od niego wszystkiego, co wie. Myślę, że powinieneś go odwiedzić, porozmawiać z nim. I to szybko. Zanim oprychy hrabiny go zabiją lub wpędzą do podziemia.

– Chce pan się dowiedzieć, co on mi powie.

– O tak, zdecydowanie. Nie zamierzam udawać, że mnie to nie interesuje. Będę z niecierpliwością czekał na twój raport. A jeśli to dla mnie zrobisz, obiecuję, że pomogę ci odnaleźć twój Głos. Sądzę, że mogę uczciwie nazwać się największym teologiem w tym mieście. Pomogę ci, jeśli zgodzisz się dla mnie pracować. A teraz powiedz: czy masz broń?

* * *

Przed wieżą czekał powóz Holbacha.

Był pewien, że przyjmę jego propozycję, pomyślał Arjun.

Powóz zabrał Arjuna na drugą stronę rzeki na Wrzosowisko Chwały. Arjun poprosił woźnicę, by ten zatrzymał się na trawniku u podnóża Wzgórza Obserwatorium, po czym rozpoczął samotną wspinaczkę. Na drzewach wisiały latarenki, które w zapadającym zmroku wyznaczały granice ścieżki.

Po kilku minutach ścieżka wyłoniła się spośród drzew. Arjun przystanął w połowie wysokości wzgórza i spojrzał na pogrążone w mroku miasto. Widział ogniste zarysy ulic. Wypatrywał znajomych miejsc: malutkiego okręgu wykrojonego z rozległej mapy. Trzymając palec przed oczami, obrysował obwód tego okręgu. Wszystko w zasięgu dnia marszu od „Cyprysa”, pomyślał. Gdybym miał pieniądze na powozy, konie lub łodzie, mógłbym rozszerzyć ten okrąg, powiększyć swoją mapę.

W obszarze, który zaznaczył palcem, bez trudu zmieściłoby się Gad oraz wszystkie miasteczka, które mijał podczas swoich podróży. Wydawało się, że Ararat rozciąga się nieskończenie dalej. Wysokie mury na północy – to pewnie Urbomachia. Czy tam jest Żelazna Róża? A to na pewno fabryki w Garhide. A tamta czerwona świetlista blizna to musi być słup ognia: Tyber. Jakie to uczucie być blisko niego? Arjun wiedział, że plac ognia otaczają budynki sądów, które hartują się w świetle jego sprawiedliwości. Ich mieszkańcy muszą mieć tego

szczerze dosyć.

Nie widział żadnych ścian, żadnych granic; światła miasta rozpływały się na horyzoncie. W jaki sposób ten bezkresny organizm się karmi? Wydawało się to niemożliwe. Bogowie nie mogą zastąpić rolnictwa. A może mogą? Postanowił poprosić Holbacha o książki dotyczące gospodarki miasta, po czym ruszył w dalszą drogę. Nie miał czasu do stracenia.

Na szczycie wzgórza płonęły ogniska, wokół których zgromadziły się grupki ludzi. W górze pomiędzy drzewami rozwiesili transparent: »Spalić bluźniercę!«. Za nimi wznosiła się przysadzista kopuła Obserwatorium Orfeusza. Oddzielali Arjuna od bramy w ogrodzeniu otaczającym zrujnowany budynek.

Holbach ostrzegał go przed czymś takim. Dziwaczna działalność Shaya doprowadzała do furii Kościoły, bogobojnych obywateli, tłum. „Wartownik” i „Gazeta Miejska” prześcigały się we wściekłym potępianiu bluźnierstw Shaya. Odbywały się protesty na ulicach – Arjunowi wydawało się, że kilka dni wcześniej takowy mijał, jednak piosenki wyśpiewywane przez protestujących były nieciekawe, więc nie zwrócił na nich uwagi. Stąd też brało się niezadowolenie hrabiny: Shay irytował, podburzał ludzi na jej terytorium.

Kiedy Arjun tak stał, jeden z mężczyzn odszedł od ogniska i ruszył w jego stronę, wołając:

– Czego tutaj szukasz?!

Arjun wziął głęboki wdech i podszedł bliżej, stając w

blasku płomieni.

– Słyszałem o szumowinie, która się tam kryje! – zawołał, wymachując pięścią w kierunku Obserwatorium i udając wściekłość. – O tym bluźniercy. Co zrobimy w jego sprawie, przyjacielu?

Postacie wokół ogniska zwróciły w stronę przybysza głowy czarnookich orłów i dzików, lwów i węży. Potem Orla Głowa zdjął maskę, spod której wyłoniła się brodata twarz młodego mężczyzny, i podał Arjunowi dzbanek.

– Siadaj z nami, przyjacielu.

* * *

Było ich około trzydziścioro. Wiele wskazywało na to – śmieci rozrzucone na trawie, wygasłe ogniska – że w ciągu dnia przebywało ich tutaj znacznie więcej, ale na noc pozostali tylko ci najbardziej uparci.

– To jest złe – rzekła kobieta w masce pająka o kilkunastu pustych szklanych oczach umieszczonych na szczeciniastym czarnym czole.

– To wbrew porządkowi rzeczy – zgodził się Orla Głowa. – Bogowie na to nie pozwolą.

– Czytaliśmy o tym w „Heroldzie” – dodała Pajęcza Głowa. – Napisali, że on tu siedzi od tygodni i prowadzi swój brudny interes. Nawet nasi sąsiedzi mogli tu przychodzić.

Co więc zamierzają z tym zrobić? Pokazali mu. Pociągnęli po ostatnim łyku z dzbana, po czym z

powrotem włożyli maski – które przedstawiały nie tylko głowy zwierząt, ale także zegary, zamki do drzwi, płomienie, rogi, lustra, krąg ostrzy, zapisaną stronę – zmieniając się we wcielenia swoich bóstw. Podnieśli garnki, rondle i patyki, po czym zaczęli chodzić wokół ogrodzenia, wygrywając hałaśliwą, prześmiewczą muzykę. Wysoko wymachiwali nogami w brzydkiej parodii tańca. Olbrzymie głowy z masy papierowej chygotały się im na ramionach. Orla Głowa szedł na przodzie, skandując: „Precz, precz, precz, na drzewo lub pod miecz”. Skręcili za róg i zniknęli w ciemności.

Arjun czekał. Po kilku minutach pojawili się po drugiej stronie. Najwyraźniej byli coraz bardziej rozgniewani; rozpoczęli kolejne okrążenie, ponownie znikając za drzewami.

Miał co najmniej kilka minut zanim znów się pojawią. Podbiegł do bramy i spróbował ją otworzyć: oczywiście była zamknięta na klucz. Spojrzał na ogrodzenie zwieńczone kolcami. Przełożył na drugą stronę pistolet i latarenkę, potem kurtkę, a następnie mocno chwycił pręty obiema rękami, podciągnął się i przeskoczył nad szpikulcami. Spadł na ziemię, po drodze rozdzierając spodnie, ale nie robiąc sobie krzywdy. Było lepiej niż się spodziewał.

Frontowe drzwi były zabite deskami. Arjun znalazł wybite okno i wślizgnął się do ciemnego wnętrza. Zapalił latarenkę. Zakurzony korytarz biegł po obwodzie opuszczonego budynku, zakręcając w obu kierunkach.

Arjun sprawdził pistolet skałkowy. Był załadowany pojedynczym pociskiem. Holbach twierdził, że Shay może być niebezpieczny: albo jest oszustem, co oznacza, że może być zatwardziałym kryminalistą, albo naprawdę potrafi robić to, czym się chwali, i to może być jeszcze gorsze.

Arjun ruszył w kierunku zgodnym z ruchem wskazówek zegara. Korytarz wznosił się i zakręcał po spirali, biegnąc po coraz ostrzejszym łuku, aż wreszcie Arjun pokonał ostatni zakręt i znalazł się pod kopułą. Przez otwór w suficie wpadał snop księżycowego blasku. Olbrzymi teleskop leżał nachylony pod kątem; kółka zębate i rozporki po jego jednej stronie przerdzewiały i przegniły. Przypominał wielkiego złotego żuka o zmiażdżonych nogach i wygiętym tułowiu.

Światło wpadało przez otwarte drzwi. Arjun okrążył szczątki teleskopu i przeszedł do kolejnego pomieszczenia, którego wnętrze zdominował duży mosiężny model układu słonecznego: drogi przyrząd wysokością dorównujący dorosłemu człowiekowi, składający się z pętli i zwojów wypolerowanego metalu, tworzących złożoną kombinację splecionych ze sobą łuków otaczających złotą kulę słońca.

Przebijając wzrokiem długie cienie mosiężnych pętli, Arjun dostrzegł mężczyznę, który siedział na fotelu po drugiej stronie pomieszczenia i czytał gazetę w blasku świecy. Mężczyzna nosił okrągłe okulary i dobrze skrojony, schludny czarny garnitur, którego ramiona były

jednak przyprószone łupieżem. Miał długie, brudne białe włosy. Wstał i złożył gazetę. Był bardzo niski i chudy.

– Nazywam się Shay – odezwał się z lodowatą i suchą chrypką, nieprzyjemnie podnosząc głos, jakby prowokował Arjuna, by ten uznał go za odrażającego. – A więc? Przyszedł pan tutaj w interesach czy chce pan wyładować złość? – Wskazał palcem gazetę. – „Era” wręcz kipi złością. Najwyraźniej dusze miejskich dzieci będą zgubione, jeśli nie zostaną bezzwłocznie powieszony. A może któryś z władców uznał, że mu bruźdzą, i wysłał pana, by mnie pan powstrzymał?

– Jeszcze nie jestem pewien.

– Dobra odpowiedź. Uczciwy z pana człowiek.

Arjun postawił latarenkę i postąpił krok naprzód. Shay przemieścił się tak, by mosiężny model wciąż znajdował się pomiędzy nimi. Odłamane zewnętrzne pętle urządzenia leżały na podłodze. Pod ich nogami spoczywały całe światy. Shay spytał Arjuna o imię, a ten mu je podał.

Za każdym razem, gdy Arjun podchodził bliżej, Shay okręcał model.

– Mówisz z niezwykłym akcentem, Arjunie. Skąd pochodzisz?

– Z miejsca zwanego Gad. Daleko na południu.

– A więc ludzie mieszkają także poza granicami Ararat. Już zaczynałem w to wątpić. Odczuwam dziwną ulgę.

– Czyli pochodzi pan z miasta, panie Shay?

– Można tak powiedzieć. – Zatrzymał się przy

otwartym wejściu. – Sprawdźmy, co mogę ci zaoferować.
– Szybko przeszedł przez drzwi.

Arjun ruszył za nim. Początkowo nie widział, dokąd poszedł Shay. Pomieszczenie było pogrążone w mroku i pełne zapleśniałych krzeseł ustawionych przy stolikach, które tworzyły okrąg wokół pokoju.

Zamknęły się drzwi i otworzył się dach, a wtedy nad głową Arjuna pojawiły się gwiazdy – było ich więcej niż kiedykolwiek dotąd widział, nawet podczas bezchmurnych nocy w górach. Po niebie przesuwała się wirująca kolistą galaktyka. Pojedynczy świetlny punkt stawał się coraz jaśniejszy i wyraźniejszy, zbliżając się i rosnąc. Potem wyprzedziła go inna gwiazda, mknąc w dół, coraz bardziej czerwona i wściekła, zaplamiona na pomarańczowo. Po chwili zniknęła i kolejny świetlny punkt rozszerzył się w olbrzymią fioletową kulę opasaną szeroką płaszczyzną pyłu; obiekt wypełnił całe niebo. Arjun zatoczył się do tyłu i upadł. Planety paradowały przed jego oczami. Dostojna błękitna kula wypełniła nieboskłon, po czym zniknęła. Przez chwilę panowała ciemność, potem powróciły obracające się gwiazdy.

To nie było prawdziwe niebo ani gwiazdy; obrazy w jakiś sposób poruszały się na suficie. Arjun spróbował ich dotknąć, ale były za wysoko. Po jego wyciągniętych palcach przemknęło słabe białe światło, potem czerwone, następnie zielone. Shay zszedł po stopniach na środek pomieszczenia.

– Wybacz, Arjunie. To mnie bawi i tworzy

odpowiednią atmosferę.

– Jak pan to robi?

– Niczego nie robię. Za kogo mnie masz? Nie, nie odpowiadaj. Maszyneria znajduje się w suficie. Była całkowicie zrujnowana. Nikt jej nie konserwował, bogowie wiedzą od jak dawna. Nikt w tej części miasta nie wiedziałby, jak to zrobić. Prawdopodobnie pochodzi z innego miejsca i tak samo jak ja trafiła tutaj z jakiejś mniej zatęchłej dzielnicy. Ale znam kilka sztuczek. Udało mi się ją uruchomić. Podoba ci się?

– Mniej niż prawdziwe niebo. RzUCA fałszywe światło.

– To niezbyt dobra odpowiedź – odpowiedział Shay z szyderczym uśmiechem. Stał obok stołu, na którym rozstawił niewielkie szklane pojemniki. Dobywał się z nich słaby blask. – A otóż i one – rzekł Shay. – Bóstwa Ararat. Zamknięte w klatkach i wystawione na sprzedaż. Właśnie tym handluję; oto moje towary. Jesteś zainteresowany, oburzony, a może jedno i drugie? Co cię tu sprowadza?

Arjun wędrował wzdłuż stołu, oglądając pojemniki. Ich zakurzone przykrywki zabezpieczono czarną gumą. Szkło było grube i brudne, niczym witryny starych sklepów charytatywnych przy opustoszałych ulicach. W każdym z pojemników migotało widmowe fosforowe światło, zielono-złote jak wałka lub fioletowe i błękitne jak zokludowana meduza. Niezwykła plazma. Lśniaca plama, która przemieszczała się, wiła i drapała w szklane ścianki przy wtórze cichego elektrycznego trzeszczenia. Blask

sprawiał, że obraz przed oczami Arjuna stawał się ciemny i ziarnisty.

Odwrócił się i odrzekł:

– Nie jestem tutaj w swojej sprawie, ale w imieniu profesora Holbacha.

– Czy on jest zainteresowany kupnem?

– Jeszcze nie wiem. Powiedział, że chwyta pan słabych i zapomnianych bogów. A przynajmniej tak pan twierdzi. Bóstwa, które porzuciły miasto. Powiedział, że je pan łapie, wsadza do klatek i sprzedaje, jak zwierzęta, niewolników albo zabawki. Czy właśnie tym są te rzeczy?

– Słabych? Przybliź się. Zobaczysz, jakie są słabe.

– Kto chciałby je kupić?

– Raczej, kto by nie chciał? Trzymać w garści moce miasta. Posiąć te, które się kocha, albo zemścić się na tych, których się nienawidzi. Gównu mnie obchodzi, co z nimi zrobisz. Możesz je sobie posadzić na kolanach, obejmować, słuchać ich śpiewu, wmawiać sobie, że cię kochają, a posiadanie czegoś tak wspaniałego nadaje twojemu życiu sens. Albo na nie napluć. Wedle życzenia. Byłbyś zaskoczony, usłyszawszy, jak wiele zawieram transakcji. Bogaci i potężni ludzie zakradają się tutaj pod osłoną nocy. Czy wiesz, że wszyscy próbują zasłaniać twarze? Jakbym wiedział, kim są, albo o to dbał. Ale ty nie wydajesz się zawstydzony. Podoba mi się to, Arjunie. Dalej. Nachyl się, poczuj ich obecność.

Arjun powoli zbliżył się do jednego z pojemników i pochylił się nad nim. Jego głowę wypełniło brzęczenie.

Poczuł się pijany, oszołomiony, szczęśliwy, młody, otoczony przez przyjaciół i kochanki. Śmiał się i płakał. Kiedy się cofnął, jego głowa ponownie się opróżniła i schłodziła.

– To właśnie bóg. – Shay się zaśmiał. – Teraz widzisz?

Arjun pochylił się nad kolejnym pojemnikiem, dotykając go dłonią – Po rękę przebiegł mu wstrząs i jego mięśnie się napięły. Głowa pulsowała niczym świeża rana. Usta się podwinęły, odsłaniając zęby. Przeszył go dreszcz agresji. Spomiędzy jego zaciśniętych zębów wyrwało się coś pomiędzy szczekiem a wyciem. Odsunął się od stołu, potrząsając głową, i powędrował wzdłuż szeregu pojemników, poprzez obłoki miłości i pożądania, nienawiści i współczucia oraz bardziej złożone doznania: spokojną pewność zaprowadzonej sprawiedliwości, żądze chwały. Kiedy się do nich zbliżał, pojemniki promieniowały cudami. Kiedy się odsuwał – co nie było proste – doznania bledły, pozostawiając pustkę i wyczerpanie. To było coś brzydkiego. Wydawało się, że blask w każdym z pojemników napiera na szkło, próbując uciec, na zmianę słabo pchając i cofając się.

– Czy one są świadome? Coś czują?

– Ciekawe pytanie. Jeśli nawet mają umysły, to są one – taka jest moja opinia, Arjunie – zupełnie różne od naszych. Pomimo złudzeń, które żywią ci idioci na zewnątrz, one cię nie kochają, Arjunie, ani tego miasta. Przynajmniej nie w sposób, który mógłbyś zrozumieć.

Jednakże Arjun uważał, że bóstwa chcą się wyzwolić.

Czuł to. Czy właśnie tym był Głos? Czy Komnata była klatką? Czy trzymali go w niewoli? Może on ich wcale nie opuścił? Może im uciekł? Arjun ponownie okrążył pojemniki, szukając jego pieśni. Nie było jej tam.

– Jesteś zniesmaczony, Arjunie? Wielu ludzi tak reaguje. Z pewnością minąłeś kilka takich osób po drodze.

– Nie wiem. Wciąż nie jestem pewien.

– Nazywają to bluźnierstwem. Świątokradztwem. Określają kilkoma innymi słowami, których nie potrafię wyjaśnić. Myślę, że wkrótce spróbują mnie stąd wykurzyć.

– Tak. Ludzie hrabiny wkrótce się tu po pana zjawią.

– Zawsze ktoś to w końcu robi. Na jakiś czas przeniosę się gdzie indziej i niedługo wrócę. Zawsze tak czynię.

– Chciałbym zadać panu kilka pytań. Odnośnie do pana pracy.

– Ojej. Chyba nic dzisiaj nie sprzedam.

– Nie mam pieniędzy, panie Shay. A ceny tych rzeczy muszą być... wyjątkowe. Poza tym one nie są prawdziwe.

– Nie poczułeś ich, Arjunie?

– Owszem, coś poczułem. Ale kiedyś doświadczyłem dotyku prawdziwego bóstwa. Te tutaj są... fałszywe. Tandetne. Oszukane. To tylko cienie bogów. Czym są naprawdę?

Shay potrząsnął brudną białą grzywą.

– O nie. Nie jestem tutaj po to, by odpowiadać na twoje pytania.

– Mogę panu zapłacić za odpowiedzi. Sam niczego nie

mam, ale Holbach może sprawić, że to się panu opłaci.

– Wątpię. Moje metody pracy stanowią moje źródło utrzymania. Dlaczego miałbym się dzielić swoimi sekretami? A tak w ogóle to kim jest ten Holbach?

– Nie słyszał pan o nim? Wydaje mi się, że jest sławny.

– Spędzam wolny czas gdzie indziej. W innych częściach miasta.

– Jest twórcą „Gromowładnego”.

– To jakaś lokalna gazeta?

– Co takiego? Nie. To okręt wojenny. Latający okręt wojenny?

Shay wbił wzrok w Arjuna.

– To zmienia postać rzeczy. Widziałem go; to niezwykle osiągnięcie. Nie dbam o pieniądze, chłopcze. Ale jeśli zdradzisz mi, w jaki sposób działa ten statek, to odpowiem na twoje pytania.

Arjun szybko się namyślił. Nie wiedział niczego o okręcie, zupełnie niczego. Postanowił jednak zaryzykować.

– Zakłęcie nie jest trwałe. Holbach musi je odnawiać każdego ranka. Składa w ofierze ptaki, gdzieś nad Zatoką. Spala ich pióra.

– Aha! Zawsze jest jakiś haczyk. Zawsze chodzi o prawdziwy cud i zarazem kanciarstwo. Byłeś wobec mnie szczery, więc ja odwdzięczę się tym samym. To nie są bóstwa. To zaledwie ich ślady, zrzucone skóry; można powiedzieć, że ich odbicia. W zupełności wystarczą V większości moich klientów; być może brak im

wrażliwości. A teraz: jak okręt wzbił się w powietrze? Wiem, że Holbach wykorzystał Ptaka. Ale w jaki sposób?

– Ach. Okręt jest zbudowany z sośniny pochodzącej z drzew, które wichura zdmuchnęła z górskich szczytów. To część tajemnicy. W jaki sposób zachowuje pan te odbicia?

– No cóż, to nie tyle odbicia, ile powidoki. Potrafię je uchwycić na szkłe. Wiąże się to z pewną sztuczką. To część tajemnicy. Opowiedz mi więcej.

Arjun łągał dalej, a Shay łykał każde, nawet najbardziej szalone kłamstwo. A przynajmniej tak się wydawało. Być może sam również kłamał. Arjunowi trudno było spamiętać wszystko, co mówił Shay, a jednocześnie nie zgubić się we własnych wymysłach; umykało mu wiele szczegółów dotyczących metody stosowanej przez Shaya. Zapamiętał jednak, że w pewnym momencie Shay sięgnął pod stół, otworzył dużą czarną teczkę i wyjął z niej dziwaczne pudełko, które trochę przypominało akordeon ze szklanym okiem. Shay nazwał urządzenie heliotypem. Powiedział, że w innych częściach miasta jest ich więcej i są lepszej jakości.

– A przynajmniej kiedyś tam będą. Niektóre ulice mogą cię tam zaprowadzić, jeśli odpowiednio nimi powędrujesz.

Urządzenie zatrzymywało światło na szkłe, a dzięki odpowiedniej obróbce, szkło mogło uchwycić powidoki bogów, widmowe ślady ich chwały. Czy heliotyp wytwarzał te spektralne energie, czy też je podkradał? Shay nie wiedział i niewiele go to obchodziło.

– Nigdy czegoś takiego nie widziałem, a przemierzyłem cały ten świat. Co pan ma na myśli, mówiąc o „innych częściach miasta”? Dokąd pan się udaje, gdy się pan ukrywa, panie Shay?

– Jak zamierzasz zapłacić za tę informację?

Arjun próbował wymyślić coś jeszcze, co mógłby powiedzieć o okręcie. Czy w sieci jego wymysłów znajdowała się jakaś luka, którą mógł wypełnić kolejnymi kłamstwami?

Gdy tak milczał, nagle zdał sobie sprawę, że słyszy hałasy dobiegające z dołu. Brzęk tłuczonej szyby. Odległe echo skandowania tłumu w spiralnym korytarzu. „Na drzewo!”. A więc zebrali się na odwagę. Arjun zastanawiał się, czy zauważyli, że zniknął, i podążyli za nim, przechodząc przez ogrodzenie. W każdym razie nadchodzili. „Precz!”.

Mrucząc pod nosem, Shay zaczął pakować dziwaczne klatki do teczki.

– Panie Shay, nie może pan jeszcze odejść – odezwał się Arjun. – Nie interesuje mnie, w jaki sposób udaje się panu uchwycić obrazy. Muszę się dowiedzieć, jak pan znajduje bogów. Czy ich pan tropi? Wzywa? Jak to się dokonuje?

– Och? Chyba kiepsko wykorzystales swój czas, czyż nie? Nie słyszysz ich?

– Tamte pytania zadawałem w imieniu Holbacha. Teraz pytam dla siebie. Nie mogę panu pozwolić odejść.

– Ojej. Nie mamy na to czasu, chłopcze. – Shay

przerwał pakowanie i odstawił trzymany pojemnik.

– W takim razie niech mnie pan zabierze ze sobą.

– Nie możesz ze mną pójść. Nie potrafisz tego zrobić.

Odgłosy tłumu w dole wciąż dobiegały ze sporego oddalenia. Arjun wyjął pistolet i stanął pomiędzy Shayem a drzwiami.

– A więc to tak, chłopcze? – Shay postawił teczkę na podłodze.

– Nie ma pan czasu się ze mną kłócić, panie Shay. Musi mnie pan ze sobą zabrać. Pójdziemy razem.

– Czy ty mnie nie słuchasz? To miasto kryje w sobie więcej tajemnic, niż ci się wydaje. Więcej, niż ty i tamci na dole kiedykolwiek odkryjecie. Ścieżki, miejsca, które otwierają się tylko przed tymi, którzy potrafią właściwie przez nie przejść, czyli przede mną, a nie przed tobą. Nawet stąd nie pochodzisz. Miasto, które widzisz, to zasłona zawieszona przed twoimi oczami. Tam, gdzie ja idę, ty nie możesz mi towarzyszyć.

– W takim razie niech mnie pan nauczy. Niech mi pan pokaże, a ja za panem podążę. Nie wyjdzie pan stąd beze mnie. Proszę, panie Shay, niech pan będzie rozsądny.

– Jak myślisz, co z tobą zrobią, jeśli odkryją, że wchodzisz ze mną w konszachty?

– Mogą mnie zabić. Pana zabiją na pewno. Jestem skłonny podjąć to ryzyko.

Shay wyszczerzył w uśmiechu ostre zęby.

– A więc dobrze. Wszystko opiera się na pewnej sztuczce. Posłuchaj. – Zaczął fałszywie gwizdać.

Światło w pojemniku u jego stóp zaczęło rosnać, pulsować i drapać w szkło. Arjun poczuł rwący ból z tyłu głowy. Potem wypełniła go wielka radość. Ściany się oddaliły. Usłyszał aplauz. Wszędzie dookoła ludzie wykrzykiwali jego imię. Nigdy nie czuł się bardziej dumny; mógł osiągnąć wszystko dzięki ich miłości i ochoczo ją odwzajemniał...

Stał z szeroko otwartymi oczami, wpatrując się w rzędy pustych krzeseł. Aż do ostatniej chwili nie widział, jak Shay ku niemu biegnie. Drobnym mężczyzną miał rozczochrane włosy i warczał. W ręku trzymał nóż, którym zadał cios w górę. Arjun odskoczył do tyłu. Spanikowany machnął ręką, uderzając pistoletem w nóż Shaya i wytrącając mu ostrze z ręki. Zaszokowany Shay zatoczył się do tyłu. Arjun stracił grunt pod nogami i opadł na krzesło. Shay ponownie się na niego rzucił, unosząc nóż nad głowę, by zadać cios od góry, ale Arjun, zachowując spokój, uniósł pistolet i pociągnął za spust. Trysnęła krew, gdy pocisk roztrzaskał czaszkę Shaya. Brudny wybuch prochu zapalił słabe białe włosy i fala ognia otoczyła kulę głowy niczym blask świtu nad czerwonymi planetami w górze. Drżące nogi ugięły się pod Shayem i ciało przewróciło się do tyłu.

Arjun wypuścił ustami powietrze. Wkrótce pojawi się tłum. Nie miał czasu na myślenie o tym, co zrobił. Nie mógł jednak zostawić pojemników. Nieważne, czy byli to bogowie, czy tylko ich odbicia, świadome i cierpiące istoty czy powidoki – stanowili groteskowe i żałosne

kłamstwo, stworzone bez udziału miłości. W mieście działały się cuda, które być może były nie mniej święte niż jego ukochany Głos: zasługiwały na coś więcej niż takie ponizenie. Arjun doszedł do wniosku, że jednak uważa działalność Shaya za bluźnierczą.

Otworzył pojemniki rękojeścią pistoletu. Gdy je rozbijał, światła nabierały śliskiej płynności i wylewały się na zewnątrz. Wbrew oczekiwaniom, kilka z nich nie rozpląnęło się w powietrzu; zamiast tego zgromadziły się na podłodze, tworząc gęste skupiska jasności. Kilka przybrało formy malutkich postaci. Świejące homunkulusy oddaliły się, znikając pośród cieni. Jakiś miękki, błękitny, niemal nierzeczywisty byt, który sięgał Arjunowi do kolan, odpełził po zakurzonych deskach podłogi; z pulsującego czerwonego światła uformował się kształt wielkości pięści, który następnie odbiegł w ciemność. Kiedy Arjun mrugnął, wszystkie te istoty zniknęły.

Gdy już się upewnił, że jest sam, uklęknął i przyjrzał się urządzeniu, które Shay nazwał heliotypem. Duża czarna teczka była pełna płytek, pudełek i słoików z chemikaliami, wyglądających na integralne części przyrządu. Nie było czasu, by to wszystko zabrać; teczka była zdecydowanie za ciężka, by z nią uciekać.

Przeskakując po dwa stopnie na raz, Arjun z powrotem wbiegł do sali obserwatorium. Skandowanie tłumu rozbrzmiewało już bardzo blisko. Był przerażony. Kto wie, co mogą z nim zrobić?

W sali nie było żadnych innych drzwi, jednak wysoko ponad jego głową w kopule widniała szczelina, przez którą wystawał rozbity i przewrócony teleskop. Arjun postawił stopę na jego szerokim, lśniącym grzbiecie. Teleskop się zachwiał, ale nie upadł; opierał się o krawędź otworu w dachu. Przemieszczając się na rękach i kolanach, Arjun wdrapał się po zniszczonej kolumnie i wydostał na zakrzywiony dach, gdzie się położył, pozwalając, by zimny nocny wiatr oczyścił mu umysł.

Tłum wtargnął do pomieszczenia poniżej. Arjun słuchał odgłosów rozbijania pozostałości maszyn i myślał o tym, co zrobił Shayowi. Jego myśli biegły dwutorowo. Czuł do siebie obrzydzenie: popełnił błąd, zabił człowieka, zniszczył niezwykły umysł, pozostawiając po nim krwawą ruinę. Mimo to był też podekscytowany i dumny: przetrwał chytry atak Shaya, wyszedł z niego bez szwanku. Potem zrozumiał, że po prostu dopisało mu szczęście – „to była tylko instynktowna, paniczna reakcja, zresztą on był dwa razy mniejszy od ciebie i dwa razy starszy, miał tylko nóż, a ty pistolet” – i ponownie poczuł niesmak.

Tłum wkrótce sobie poszedł. Arjun zastanawiał się, czy ludzie poczuli się usatysfakcjonowani, czy raczej oszukani. Pozostał na dachu, skąd spoglądał na pogrążone w mroku Wrzosowisko, gdy nagle jego wzrok przyciągnął jakiś ruch w dole.

Coś przemieszczało się po terenie wokół Obserwatorium: drobny kształt w ciemności, który

emanował bladozielonym blaskiem. Przypominał karła albo dziecko i zataczał się na małych nóżkach. Oparł się mizernym ciałem o ogrodzenie i powoli przesączył na drugą stronę, po czym chwiejnym krokiem ruszył w dół zbocza. To jeden z powidoków, zrozumiał Arjun. Skradziony cień boga. Myślał, że wszystkie zniknęły. Najwidoczniej ten był silniejszy od pozostałych. Dokąd zmierzał?

Arjun ześlizgnął się na plecach po dachu kopuły, zapierając się rękami o zimny metal, przemieszczając się najszybciej jak miał odwagę. Na samym końcu ciężko spadł na nogi, ale nie zrobił sobie krzywdy. Ponownie wspiął się na ogrodzenie. Gdy znalazł się po drugiej stronie, dostrzegł słaby migoczący blask, który spływał w dół wzgórza.

Początkowo usiłował trzymać się na dystans, ale kiedy kształt zagłębił się między drzewa, Arjun musiał się zbliżyć, by go nie zgubić. Istota nie reagowała. Arjun coraz bardziej się do niej przybliżał, aż w końcu mógł ją dokładnie obejrzeć. Sięgała mu do pasa, nie miała żadnych cech charakterystycznych, jednak jej niepewne ruchy kojarzyły się z kalekim dzieckiem. Z czystej ostrożności Arjun trzymał się kilka metrów z tyłu. Które to bóstwo?

Wyszli spomiędzy drzew i homunkulus ruszył niezdarnie w poprzek trawników. Arjun podążył za nim. Mały krąg bladego upiornego światła płynął po ciemnej trawie.

Wrzosowisko było puste i ciche, powiadano jednak, że w nocy bywa na nim niebezpiecznie. Koczowali tam zdesperowani włóczędzy. Arjun przystanął, by przeładować pistolet; wygrzebał z sakiewki proch i kulę, niemal je upuszczając w ciemności.

Światło zamigotało, przygasło, po czym znów zaczęło się delikatnie sączyć. Mała postać znajdująca się w jego centrum wędrowała ścieżką wokół stawu, a rzucany przez nią blask odbijał się od powierzchni Wody. W końcu dotarła do porośniętego bluszczem ogrodzenia na skraju Wrzosowiska. Błady homunkulus przeniknął na drugą stronę, przez chwilę jakby zaczepiając się o przeszkodę. Arjun podążył za nim, wspinając się na ogrodzenie.

Znaleźli się w wąskiej brukowanej uliczce, która przylegała do Wrzosowiska. Skręcili w lewo, potem w prawo, cały czas idąc w dół. Postać sunęła środkiem pustych ulic, a jej blask był za słaby, by oświetlić budynki po obu stronach, więc Arjun nie widział niczego poza zimnym światłem przed sobą. Od czasu do czasu mijali wloty rozświetlonych ulic, które kusiły przyjaznymi witrynami i świetlnymi dekoracjami, jednak istota zawsze przemykała mrocznymi uliczkami. Czasem ponad dachami domów niosły się głosy tłumów, które piły i krzyczały, kupowały i sprzedawały. Raz Arjun miał wrażenie, że słyszy głosy publiczności w teatrze, choć akurat zmierzali w kierunku magazynów w Okręgu Barbarii, skąd było daleko do jakiegokolwiek teatru. Postać szła niezdarnie, ale wyraźnie miała jakiś cel,

zupełnie jakby wracała do domu.

Przepchnęła się przez pochylone i uszkodzone druciane ogrodzenie. Arjun przedostał się przez postrzępiony otwór znajdujący się metr dalej i razem przemierzili pustą działkę. Kiedyś mieszkały na niej psy lub lisy, po których pozostały białe tropy i obgryzione kości walające się między chwastami. Minęli przegniły hangar dla łodzi i dotarli nad brzeg kanału z płytką, ciemną wodą.

Kanał rozdzielał się na dwie odnogi; podążyli tą węższą. Nad powierzchnię zimnej zielonej wody wznosiły się strome i śliskie kamienne ściany. Były to brudne przemysłowe kanały, biegnące przez Okręg Barbarii i Shutlow, a następnie do fabryk w Agdon Deep. Arjun widział kiedyś obraz przedstawiający kanały na Hebanowych Polach, na północy – eleganckie zakręty, statki wycieczkowe, subtelne łuki mostków. Tutaj było zupełnie inaczej.

Niedaleko przed nim ścieżka i kanał napotykały olbrzymi czarny magazyn. Blade światło odbijało się w potłuczonych szybach. Kanał biegł tunelem pod budynkiem.

Postać zatrzymała się w miejscu porośniętym roślinnością. Długo trwała w bezruchu, po czym schyliła się i zaczęła czegoś szukać, zupełnie jak dziecko, chodzące nad rzekę, by zbierać miejskie odpadki. Arjun usiadł na wilgotnych kamieniach i patrzył.

Z mrocznej uliczki obok magazynu wyłoniła się druga postać. Arjun napiął mięśnie i zaczął się podnosić; poczuł

nagłą potrzebę ogłoszenia swojej niewinności: „Nie mam z tym nic wspólnego, to nie ja to zrobiłem, niczego nie widziałem”. Jednakże nowa postać go zignorowała, więc powstrzymał cisnące mu się na usta słowa i dalej siedział w milczeniu.

Druga istota przypominała człowieka, ale Arjun nie widział jej dokładnie. Czy miała na sobie długi płaszcz? Kapelusz? Zarysy jej sylwetki były niewyraźne. Emanowała na zmianę ciemnością i słabym stałym światłem.

Powoli podeszła do widmowego kształtu stojącego pośród roślinności.

Obie postaci zachowywały się bezszelestnie.

Gdy się do siebie zbliżyły, przypominały swoje zniekształcone odbicia w ciemnej wodzie. Gdy się dotknęły – a raczej gdy większa postać, ta o dorosłych kształtach, wyciągnęła rękę i chwyciła wyglądającego jak dziecko homunkulusa za ramię, po czym pochyliła się nad nim drapieźnie – wydawało się, że stanowią różne aspekty tej samej niepokojącej istoty. Zanurzyły się razem w smutnym, brzydkim blasku i po chwili z obu istot i z całej nieprzyjemnej sceny zaczęło promieniować migoczące światło.

To, co rozgrywało się przed oczami Arjuna, nie dotyczyło jednej z obserwowanych postaci, lecz obu, bądź toczyło się w przestrzeni pomiędzy nimi. Mogło również mieć związek z powtarzalnością całej sceny – coś w ułożeniu ramion większej postaci sugerowało bezcelowe,

beznadziejne powtórzenia, jakby chodziło o rytuał, męczący obowiązek, o coś, co działo się w tym miejscu wciąż od nowa i miało nigdy nie ustać.

Mała i bezbronna część istoty szarpała się jak dziecko i trzęsła. Jej mordercza część wzmacniała uścisk.

Istota – bóg – była obecna w samym rytuale. W wizji. W gorzkim poczuciu bezcelowości, które dławilo Arjuna i ciążyło mu tak, że doświadczając tej wizji, nie był w stanie niczego powiedzieć ani zrobić.

Brzydota – oto czym ten bóg zastępował muzykę.

Dziecięca postać zadygotała, po czym znieruchomiała. Dorosły wziął ją na ręce i zszedł po oślizgłych kamiennych stopniach do wąskiej ścieżki, która biegła nad wodą. Zatrzymał się przy wlocie tunelu, po czym wszedł do ciemnej wody. Przez chwilę z tunelu wydobywał się słaby, wyłodniały blask. Potem zniknął.

Arjun był śmiertelnie przerażony; pod wpływem strachu odczuwał przenikliwe zimno.

Nie mógł po prostu uciec. Musiał się dowiedzieć, co kryje się w kanale. Przybył do miasta, by prowadzić poszukiwania pośród jego bóstw. To z pewnością było jedno z nich. Było przerażające, ale czy spodziewał się, że obcy bogowie tacy nie będą? Zresztą to nie wszystko – tunel go przyzywał. Arjun z trudem powstrzymywał się przed natychmiastowym wejściem do wody. Wiedział, że powinien zawrócić, ale nie potrafił. Wyjął pistolet, aby poczuć się raźniej, po czym ostrożnie zszedł nad krawędź wody i zagłębił się w tunelu.

* * *

W środku było pusto i cicho. Na końcu tunelu Arjun nie dostrzegł światła. Błoto i rośliny przytrzymały jego stopy. Każdy krok odbijał się echem. Jak dotąd nic się na niego nie rzuciło. Przeciągnął ręką po śliskiej, omszałej ścianie.

– Czy to twój dom? – zapytał słabo i z napięciem. Po chwili spróbował mówić donioślejszym głosem: – Czym jesteś? – A potem: – Czy w ogóle tu jesteś? – Oraz: – Czy ta istota była częścią ciebie, czy tylko obrazem, cieniem? To ja ją uwolniłem. Co widziałem na zewnątrz? Czy to było coś, co się tutaj wydarzyło? W taki sposób się objawiasz? Poprzez morderstwo? Czy to także jest część ciebie? Rytuał, którego wymagasz?

Nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Cokolwiek znajdowało się w tunelu, zniknęło. Arjun poczuł tak wielką ulgę, że niemal roześmiał się w głos. Próbował. Zrobił co było w jego mocy, a teraz mógł wracać. Odwrócił się.

Za jego plecami ciągnął się tunel. Światelko na jego końcu było małe i odległe – szara plamka księżycowego blasku. To niemożliwe, przecież zrobił zaledwie kilka kroków. Prawda?

Ruszył w stronę światła, idąc najszybciej jak się odważył, biorąc pod uwagę oślizgłe kamienie i sztywne, odrętwiałe nogi. Nie przybliżał się do wyjścia. Po drodze

próbował negocjować:

– Owszem, nie jestem jednym z twoich wyznawców. Ale nie chciałem cię obrazić. Wyświadczyłem ci przysługę. Uwolniłem twój obraz. Oszczędziłem ci tej hańby. Mogę ci się przydać. Odebrałem wyszkolenie muzyczne. Mogę śpiewem głosić twoją chwałę. – Zdawał sobie sprawę, że to bezcelowe: istota nie dbała o pieśni.

Pomyślał o Arnie, z którą mieszkał na wzgórzach daleko na południu. Kiedy rozmawiał z nią o miejskich bóstwach i cudach, zawsze poprawiała go ze śmiertelną powagą: „To upiory”, mawiała. Może powinien był zachować jej talizman?

Światełko przygasło, tak że nie był już pewien, czy nadal tam jest, czy może stanowi jedynie powidok odcisnięty na jego zmęczonych oczach. Potem zniknęło całkowicie. Arjun zaczął biec. Pod stopami miał głębokie błoto, które przytrzymało mu nogi. Potknął się i upadł. Pochłonęły go rośliny i błoto.

* * *

Arjun wisiał w ciemności i zimnie. Jego głowa płonęła i pulsowała bólem, ale to mu nie przeszkadzało. Nie mógł się ruszać, lecz nie miał dokąd iść. Tak wielu ludzi tutaj kończyło. Dlaczego on nie miałby się stać jednym z nich? To bardzo bolało, ale miasto musi zostać nakarmione. Czuł wszystkie istnienia, które zostały złamane w rzekach i kanałach miasta, przez brzemień przemysłu, przez czarną

wodę, przez okrucieństwo i bezmyślność. Przede wszystkim dzieci; woda domaga się ofiary. Czuł nikczemność opuszczonych miejsc. Mroczną i prymitywną przeszłość miasta, która stale ściąga je w dół.

Czuł to wszystko i uznawał za właściwe oraz potrzebne. Nie ma sensu walczyć. Taki jest porządek rzeczy. Istota jest przy nim; nie ma niczego poza nią. Cudowny i przerażający głód boga wypełnia tunel i świat. Ogień w głowie stanowi pochwalny hymn. Arjun wisiał w próżni, którą stanowiła obecność bóstwa, przyjmując je i czcząc.

Otworzył usta i Ono wtargnęło do środka.

Nie potrafił Go nazwać. Nie potrzebował dla Niego imienia. Zajmowało wszystkie jego myśli. Było Rzeką, było całą wodą w mieście i dotykało wszystkiego, wszędzie się przesączało. Żywiło chwasty i zgniliznę. Latem wykluwały się tam wszystkie czarne muchy, które latały po niebie nad miastem. Arjun czuł, jak rozwijają lepkie skrzydła. Bóstwo karmiło każdą z miejskich fabryk; ciałem Arjuna wstrząsnęły spazmy, gdy poczuł jęk i ryk maszyn.

A na końcu wszystko w mieście zgnije i nakarmi Rzekę.

Poczuł, jak na zachodzie, obok jednej z nadbrzeżnych kawiarni, przyplływ wyrzuca na brzeg rozdęte, zaduszone ciało, nagle zatruwając nocne powietrze i sprawiając, że nadziani klienci z obrzydzeniem upuszczają drinki, dostrzegając w bladej gnijącej twarzy oblicze boga.

Była to trudna i potworna prawda o świecie. Arjun

zawsze ją znał, lecz nigdy nie słyszał, by ktoś odważył się wypowiedzieć ją na głos. Czuł głęboką, gorzką radość z tego, że stanął z Tym twarzą w twarz i To poznał.

Właśnie tak wygląda koniec wszystkiego.

Znów zadrżał i jeszcze raz otworzył usta przed czernią, która zaczęła pochłaniać go od środka; poczuł, że na północy zbiera się na burzę, w miejscu, w którym Rzeka wije się na zboczu Góry. Noc tonęła w czarnym gryzącym deszczu. Czuł jak Jego okrutna wola rozlewa się na miasto. Czuł jak deszcz tłucze w ulice, trzęsie drzewami i przepędza ptaki z nieba.

Nagle ta wizja została mu brutalnie odebrana.

Spadł z powrotem w bezsensowny ból ciała i ciemność, stając się ślepy, bezbronny i mało ważny.

Bóg odszedł. Arjun został sam.

Przez chwilę rozmyślał. Co się stało? W ostatnich chwilach objawienia pojawiło się coś, co ledwie zauważył, jakiś błąd, usterka – niedoskonałość, która odbijała się echem, aż urosła tak bardzo i tak nagle, że zburzyła całą wizję. Jakiś podział. Gdyby tylko zdołał sobie przypomnieć...

Najpierw jego uwagę odwróciła nienawiść, potem ból. Teraz, kiedy został sam, poczuł najczystsze, wręcz chorobliwe obrzydzenie dla tego morderczego boga, jego fałszywego objawienia i wszystkiego, czym był oraz czego dotknął. Nie mógł ani chwili dłużej wytrzymać w jego wodach. Po chwili ognisty ból chwycił go za gardło; zrozumiał, że tonie i zaczął myśleć tylko o przetrwaniu.

* * *

Arjun miotał się w lodowatej, śmierdzącej wodzie kanału, kopiąc, wymachując rękami, rzucając głową i rozpaczliwie przemieszczając się w górę, by zaczerpnąć tchu. Wydostał się na powierzchnię, zanim jego mózg poddał się miażdżącemu ciśnieniu i truciznie. Potem znów się zanurzył.

Nagle jakimś cudem chwycił się oślizgłego słupa, który stał w rwącej wodzie.

Wkrótce wydostał się na ścieżkę i zwymiotował obrzydliwym płynem. Przewrócił się na plecy i leżał pośród zimnej nocy, ciężko dysząc i spoglądając na gwiazdy.

Jego ostatnią myślą było: Pamiętam.

W ostatniej chwili bóg go zauważył i pod wpływem szoku uciekł, zupełnie jakby się przeraził.

Rozdział 15

Fiss i Aiden przyprowadzili Jacka po bójce, z szacunkiem podtrzymując go za drżące ramiona. Namdi szedł obok nich, wymachując pięścią.

– Prosto w twarz, Jack, prosto w pieprzony ryj! On już cię nie zapomni. Tak szybko. Kto cię tego nauczył? W twarz!

Po powrocie do „Czarnego Księżyca” położyli go na szorstkim, brudnym kocu w jednym z pustych pokoi na piętrze. Kończyny Jacka dygotały, a jego głowę wypełniały światło i wiatr. Nie był w stanie powiązać uciekających myśli i sprowadzić ich z powrotem na ziemię, więc po prostu leżał na plecach i w milczeniu wbijał wzrok przed siebie.

Po chwili usiadł obok niego Namdi.

– Staniesz na nogi, Jack. Dałeś radę dziesięciu i nawet cię nie tknęli. Nic ci nie będzie.

Przyszedł Fiss, podtrzymał mu głowę i napił go z popękanego kubka, po czym usiadł pod ścianą.

– Wszyscy się o ciebie martwimy, Jack. Widziałem jak z nimi walczyłeś. Byłem bliżej niż Namdi, a poza tym mam lepsze oko. Tu nie chodzi o kwestię umiejętności. Myślę, że nigdy wcześniej nie trzymałeś noża w ręku, zgadłem? Ty nie byłeś po prostu szybki, ale nieludzko szybki. Pociąłeś ich wszystkich, zanim zdążyli się ruszyć. Jak to zrobiłeś? Sam tego nie wiesz, prawda? Dotychczas

nie mieliśmy przywódcy, ponieważ nie było kim rządzić. Ledwie kilkoro dzieciaków, które nigdy długo nie zagrzewały miejsca. Tylko że zawsze słuchały mnie i Aiden. Byliśmy tutaj pierwsi. Stworzyliśmy to miejsce. – Fiss objął rękami chude nogi. – Teraz tam na dole wszyscy mówią tylko o tobie. Jedwabny Jack to, Jedwabny Jack tamto. Bójka. Ucieczka i kradzieże. Twoja szybkość. Nadanie im przez ciebie nazwy. Aiden i ja przy odrobinie szczęścia byliśmy w stanie utrzymać ich z dala od kłopotów i pomóc im w znalezieniu jedzenia i dachu nad głową. Ale nie potrafiliśmy czegoś takiego. Oczywiście nie mam nic przeciwko temu. Pamiętaj jednak, że nas potrzebujesz. Spójrz na siebie. Nie wiesz, gdzie jesteś, prawda? Przebywasz w tym świecie jedynie połowicznie i tylko przez połowę czasu. Bez nas niczego nie działasz. Nie zapominaj o tym.

Wkrótce po północy Jack zebrał się w sobie i zszedł do olbrzymiego mrocznego baru. Wszyscy, którzy nie spali, oraz ci, którzy wkrótce zostali obudzeni, zaczęli wiwatować na cześć Jedwabnego Jacka. Czuł się tak, jakby zszedł do nich tylko w połowie.

* * *

Kiedy Jack był znacznie młodszy, Wrzosowisko Chwały oraz porośnięte krzakami i chwastami odludzia nad rzeką zaczął nawiedzać potwór. Nie jeden z bogów, przed którymi ostrzegali ich rodzice, nie istota, o której

dziecku nie wolno było mówić bez należnego szacunku pod groźbą spoliczkowania. Po prostu zwierzę. Dzika bestia.

Niektórzy ludzie powiadali, że wyrwała się z kanałów. Inni twierdzili, że uciekła z menażerii przewodniczącego Cimentiego. Wszyscy byli zgodni, że wyglądem przypominała psa, jednak cechowała się potwornymi rozmiarami i brzydotą, oczami, które płonęły jak doły do palenia trupów, węzowym językiem i powykręcany ramionami. Nazywali ją „hieną”. Mówili, że porywa dzieci, że zagryzła konia pociągowego, że tocząc ślinę z pyska, podąża za kobietami do domu. Mówili, że w ciągu dnia pozostaje w ukryciu, a nocą wychodzi la źer.

Mężczyźni wędrowali ulicami, rozwieszając prymitywne podobizny bestii. Jack jeszcze nie potrafił odczytać słów pod karykaturami, ale wiedział, że plakaty obiecują nagrodę. Każdej nocy wyruszała na łowy milicja z płonącymi pochodniami. Ojciec Jacka i jego dwaj starsi bracia wypuszczali się na Wrzosowisko razem z przyjaciółmi i sąsiadami. Jack pamiętał, że rybacy zabierali ze sobą sieci. Dzielnica Shutlow oraz Ar-Mouth były oszalałe z nienawiści. Gdy zamykano puby, wylewały się z nich bojowo nastawione tłumy, które z rykiem ruszały na pogrążone w mroku Wrzosowisko. Bestia nie była bogiem, więc ludzie nie byli jej winni szacunku; mogli dać upust wściekłości.

Miejscy strażnicy nie potrafili złapać potwora. Nie udawało się to także tłumowi ani komitetom

obywatelskim. Nocami na Wrzosowisku wybuchały pijackie bijatyki, które czasem przeradzały się niemal w zamieszki. Po zmroku myśliwi amatorzy stawali się łatwym celem dla złodziei. Zdarzały się przypadki zasztyletowania; pewnego ranka ojciec Jacka wrócił do domu z podbitym okiem i krwawiącą głową. W końcu hrabina wprowadziła godzinę milicyjną na terenie Wrzosowiska.

Nikt nie był w stanie złapać bestii. Gdzieś się przyczaiła. Była zbyt sprytna i dzika. Ośmieszała myśliwych.

Jack zakochał się w potworze. Z całego serca mu współczuł. Zdzierał plakaty i palił je na pustej działce, czując, że w ten sposób przyłącza się do dumnego buntu bestii. Wdał się w bójkę ze starszymi chłopakami na swojej ulicy, gdy stwierdził, że potwór nigdy nie da się złapać. Powiedzieli mu, że ich ojcowie każdej nocy wychodzą na łowy, by go chronić, więc jak śmie coś takiego mówić.

Byli też chłopcy, którzy dzielili fascynację Jacka; razem wędrowali przez pustkowia na Wrzosowisko, mając nadzieję, że uda im się stanąć oko w oko z warczącą bestią. Kryli się w krzakach na Wrzosowisku; skradali się pośród ciernistych drzew wokół Wdowiej Altany. Schodzili nad zasypane odpadkami brzegi rzeki, gdzie dzieci czasami tonęły lub były mordowane, i penetrowali potężne zardzewiałe kadłuby oraz puste przegniłe hangary dla łodzi, w każdej chwili oczekując

spotkania z potworem. Nigdy nie zastanawiali się, co zrobią, jeśli na niego natrafią. Zapuszczali się w boczne uliczki, na zachwaszczone działki i cmentarze zarośnięte bluszczem i cierniami; w miejsca, gdzie tylko szaleniec mógłby się spodziewać bestii. Jack tworzył mapę sekretnych zakątków swojego miasta.

Właśnie w taki sposób trafił do niewoli: strażnicy złapali go po godzinie milicyjnej. Jego przyjaciół przekazano gdzieś do Czwartego Okręgu, a Jacka zamknięto w Domu Barbotina. Nigdy nie zrozumiał, dlaczego otrzymali odmienne wyroki. Kilka miesięcy później nowy więzień poinformował Jacka, że milicja złapała Bestię z Wrzosowiska Chwały i triumfalnie przeniosła ją ulicami na dwóch mocnych prętach. Chłopak twierdził, że bestia przypominała zwykłego żółtego psa, nędzny kawałek poskręcane i zakrwawionego futra: nie było w niej niczego potwornego.

Teraz Jack ścigał inne stworzenie. W jego snach „Gromowładny” grasował po niebie nad miastem, daleko poza zasięgiem rozczapierzonych iglic. Był ich tajnym znakiem.

Chłopcy naszyli na kieszenie kurtek wizerunek okrętu wycięty z niebieskiego jedwabiu, którego belę Aiden ukradł ze stołu na Targu Siedmiu Kół. Dziewczyny Beth się z nich podśmiewały.

– Spójrzcie na siebie – mówiła Beth. – Zupełnie jak herby, które noszą chłopcy w kościelnych szkołach. Ale jesteście teraz elegancy.

Fiss wypiął pierś i zabawnie zadarł brodę.

– Zazdrosna? Wyglądamy znakomicie i dobrze o tym wiesz. Nawet nie powinnaś się do nas odzywać.

Oboje się roześmiali.

– Wcale nie wyglądamy jak uczniowie – rzekł z powagą Namdi. – Raczej jak żołnierze z orderami.

Ukradzioną farbą namalowali olbrzymi wizerunek okrętu na zapleśniałej ścianie pustego baru w „Czarnym Księżycu”. Potem wymalowali taki sam wizerunek na rogach ulic i popękanych ścianach w całym Shutlow.

Młodszy chłopcy lubili bawić się w Arlandesa, kapitana olbrzymiego okrętu. Z plotek zasłyszanych na ulicach i targowiskach dowiedzieli się o konflikcie hrabiny z gerentem Stross End i zaczęli odgrywać bitwy pomiędzy statkiem a działami gerenta. Czasami wyobrażali sobie, że Arlandes prowadzi swoje potężne siły przeciwko wrogom w białych szatach. "Wiedzieli o słynnej żałobie kapitana, który stracił młodą żonę w tragicznym wypadku, gdy okręt wzbijał się w przestworza, ale nie czuli się na siłach, by odgrywać ten aspekt jego osobowości.

Od czasu do czasu okręt przelatywał nad nimi, wypełniając jakąś nieznaną misję. Wtedy Gromowładni wychodzili na dachy i go nawoływali. Gdyby leciał powoli, mogliby spróbować go dogonić.

Wszystkie budynki w Shutlow pochylały się i opierały o siebie nawzajem niczym słoczeni uchodźcy. Ulice niemal bez wyjątku były wąskie i mroczne. Chłopcy nigdy wcześniej nie uznawali tego za zaletę. Jack z dumą

pokazał im, że się mylili: ktoś szybki i nieznający strachu mógł przeskakiwać z dachu na dach, wspinając się na czworakach po pochyło ułożonych płytkach, końcami palców przytrzymując się przerdzewiałych schodów przeciwpożarowych, przechodząc na rękach na płaskie dachy, by pędzić pomiędzy kominami i wieżami ciśnień, strasząc gołębie, jednym susem pokonując kolejne uliczki (to, co kryje się w dole, jest nieważne, przygnębiające; nie patrzcie tam) i w ten sposób kontynuując pogoń. Jack podejrzewał – miał taką nadzieję – że jako pierwszy odkrył tę cechę Shutlow, jej zbawczą zaletę.

Zdawał sobie sprawę, że zapewne ktoś już na to wpadł, ale nie był to żaden z Gromowładnych. Musiał ich nauczyć. Musiał ich ośmielić.

Wiedział, że w ten sposób nie da się dogonić okrętu. Ale co z tego? Pogoń sama w sobie stanowiła nagrodę.

Chłopcy jeden po drugim zostawali w tyle, gdy kolejny skok okazywał się ponad ich siły, i nagradzali oklaskami tych, którzy znaleźli w sobie odwagę, by kontynuować bieg. Jack zawsze docierał najdalej, ale pełen brawury i energiczny Namdi deptał mu po piętach.

Rozdział 16

Holbach próbował rozwiązać w myślach problem dotyczący anomalii w ostatnich objawieniach Lavilokana. Obliczenia matematyczne były skomplikowane, a gwar rozmów nie ułatwiał mu zadania. Westchnął i odłożył pióro.

Siedział na końcu długiego stołu przykrytego eleganckim białym obrusem, na którym złotą nicią wielokrotnie wyszyto insygnia hrabiny. W środkowej części stołu oczywiście zasiadała hrabina, a wokół niej zajmował miejsca komplet jej doradców. Kapitan Arlandes usiadł na drugim krańcu stołu. Wszyscy wyglądali wspaniale: doradcy byli ubrani w sznurowane kaftany z kryzą, Arlandes miał na sobie szkarłatny mundur obwieszony orderami, a strój hrabiny mienił się diamentami i złotem. Jej twarz była idealna i biała niczym marmur.

Naprzeciwko nich, oddzielony połącją pustej podłogi, stał prosty stół z obrobionej stali. W jego środkowej części siedział zgarbiony gerent Stross End, odziany w ciemny garnitur i krawat. Otaczali go wysocy rangą urzędnicy, wszyscy ubrani w taki sam sposób.

Stoły ustawiono na dworze, na piaszczystym podłożu Amfiteatru Danaena. W górze przelatywały mewy. We wszystkie strony ciągnęły się rzędy kamiennych, schodkowo rozmieszczonych siedzeń. Była to jedyna

budowla – nie licząc niewielkiej przystani dla promów – na zadrzewionej Winnej Wyspie na środku rzeki. Na neutralnym gruncie.

Ludzie hrabiny przekazywali sobie kawałki papieru. Jeden z doradców nachylił się w jej stronę i bardzo długo coś do niej szeptał. Po chwili hrabina przemówiła, oficjalnym i donośnym głosem.

– Panie gerencie, z przykrością muszę poinformować, że pana propozycja jest nie do przyjęcia. Problemy w Ar-Mouth nie są kwestią daniny, lecz jurysdykcji. Pana szczodra oferta nie jest w stanie zrekompensować nam naruszenia naszej autonomii prawnej.

Gerent naradził się ze swoimi pracownikami, po czym odpowiedział surowym tonem:

– Widzę, że powinienem wyrazić się jaśniej. Nie proponowałem ani daniny, ani rekompensaty. Jeżeli jednak nie jest pani skłonna rozważyć propozycji wspólnego uczestniczenia w zyskach przystani, to oczywiście możemy porozmawiać o kwestiach jurysdykcji.

Holbach nie został zaproszony po to, by wygłaszać opinie; miał jedynie być widoczny. Swoją obecnością delikatnie przypominał gerentowi o potędze „Gromowładnego” i pokazywał, że hrabina również o niej pamięta. Musiał tylko starać się nie zasnąć i w miarę możliwości nie wyglądać idiotycznie.

Zapewne Arlandes znalazł się tam z tego samego powodu. Nawet gdyby druga strona nie rozpoznała

Holbacha, co było mało prawdopodobne, choć możliwe, to nie było osoby, której obca byłaby tragiczna postać kapitana okrętu. Powstało nawet przedstawienie pod tytułem „Kapitan bez przystani”; w całym mieście wisiały plakaty z ponurą podobizną Arlandesa. Holbach nie zdobył się na obejrzenie sztuki. Bał się, że pojawia się w niej w roli czarnego charakteru. Nie potrafił patrzeć na Arlandesa bez poczucia winy. Kapitan wciąż żył w cieniu śmierci swojej żony, która zginęła w dniu startu „Gromowładnego”; była to absurdalna i żałosna śmierć. Biedna delikatna młoda Lucia. Była jedynie dodatkiem, dekoracją. Hrabina chciała, by ktoś znalazł się na pokładzie balonu i uczynił ceremonię atrakcyjniejszą w oczach tłumu. Dlaczego się jej nie sprzeciwił? Ponieważ dziewczyna nie miała żadnego wpływu na przebieg twojego eksperymentu, pomyślał. Była nieistotna. Dlatego nie poświęcałeś jej większej uwagi. Ty samolubny, śmieszny człowieku. Nicolasowi byłoby za ciebie wstyd.

Miał na sumieniu również tamtego młodzieńca. Arjun nie odzywał się od kilku dni. Nie sprawiał wrażenia człowieka, który po prostu by zniknął, dał się omotać jakiejś dziewczynie, zawartemu zakładowi czy ekscytującej nowej teorii, co mogło się przydarzyć Holbachowi, gdy był w jego wieku. Uczony się martwił.

Jednakże Shay rzeczywiście mógł być w stanie pomóc Arjunowi. Posłanie do niego chłopaka nie było więc całkowicie samolubnym gestem, prawda? Być może Arjun otrzymał pomoc; zniknął, ponieważ Shay skierował

go na trop Głosu. Powiadano, że Shay zna tajemne ścieżki; niewykluczone, że Arjun właśnie je przemierza. Ta myśl podniosła Holbacha na duchu, ale po chwili zirytowało go, że może nigdy nie odkryć, czego Arjun się dowiedział o sekretach Shaya.

Przemówiła hrabina:

– Nie powinniśmy ograniczać się jedynie do kwestii Ar-Mouth. Obawiam się, że nasze skargi nierozzerwalnie łączą się ze sprawą Targowiska Kanker.

Gerent sprawiał wrażenie zaszokowanego. Jego doradcy ścieśnili się i szeptali między sobą, otaczając swojego władcę. Wyglądało na to, że nie mają przygotowanej riposty.

Holbach zaczął się niepokoić. Ostatnio hrabina zachowywała się bardzo agresywnie. Było to już trzecie takie zebranie w tym tygodniu. Hrabina stawiała twarde żądania Parlamentowi Mass How, który nerwowo przekazywał je komisji do dalszego rozpatrzenia. Przyjęła zatrważająco arogancki i roszczeniowy ton wobec przewodniczącego Cimentiego, a on przystawał na jej żądania z eleganckim uśmiechem, który doprowadzał hrabinę do furii i przerażał Holbacha. On się zemści, myślał Holbach; czy wtedy także będzie się uśmiechał?

Oczywiście chodziło o „Gromowładnego”. Hrabina starała się jak najlepiej wykorzystać swoją nową broń. Holbach z pewnością nie po to stworzył to cholerstwo. Miał to być wielki triumf twórców Atlasu: wymarzył sobie, że okręt zabierze jego kartografów nad najdalsze

zakątki miasta, być może aż do legendarnych murów na wschodzie i zachodzie, do których Atlas jeszcze nigdy nie dotarł, albo nawet poza górę na północy. Wszystko znalazłoby się u ich stóp.

Ale nie w takim celu. W żadnym razie nie w takim celu.

Ktoś rzucił na stół egzemplarz „Wartownika” i ten gwałtowny ruch wyrwał Holbacha z zamyślenia. Jeden z ludzi gerenta wrzeszczał o zniesławieniu i groźbach, które opublikowano w tym szmatławcu. Och, pomyślał Holbach, czy w takim razie „Wartownik” jest po naszej stronie?

Jego myśli krążyły; gazeta ponownie przypomniała mu o Arjunie. „Wartownik” donosił – z lubością – że Obserwatorium Orfeusza zostało splądrowane przez tłum, a ciało bluźniercy Shaya uroczyście przeniesiono Wrzosowiskiem Chwały i wrzucono do rzeki. A co z Arjunem? Czy powędrował dalej w poszukiwaniu swojego boga, czy może zginął z ręki Shaya? Albo tłum? Może leży w jakimś szpitalu?

Tak. Szpitale. To najlepszy plan. Może kazać komuś sprawdzić szpitale. Choćby Olimpii. Mogłaby się tym zająć, tak jak wieloma innymi sprawami.

Ale dość już o tym. Rozejrzał się. Spotkanie przebiegało w coraz gorętszej atmosferze. Hrabina i gerent błyskawicznie zasypywali się danymi z dokumentów, które podsuwali im uwijający się jak w ukropie doradcy. Liczby, towary, miejsca, daty, dawne traktaty, mało znane prawa, starożytne bitwy.

Zdecydowawszy, co zrobi w sprawie Arjuna, Holbach spróbował ponownie skupić się na swojej pracy. Wyjął z kieszeni srebrne wieczne pióro i zaczął szkicować z pamięci rzut ulicy Harfowej, nanosząc wzdłuż niej teatry oraz skrzyżowania z ulicami Fossa i Monmoutha. Zaznaczył miejsca dwóch pożarów, o których w poprzednim tygodniu donosił „Wartownik”, a także miejsce morderstwa. Zamyślił się nad ewentualnymi świętymi formami, które można by ułożyć z tych punktów.

Ponownie stracił cierpliwość. To było zbyt trudne bez tabel, map i książek i wśród tych wrzasków. Oparł głowę na dłoniach i przeczesał palcami brodę. W myślach nucił ładną, smutną melodię, którą p^o raz pierwszy usłyszał kilka dni temu, wyśpiewaną przez dziewczynkę sprzedającą kwiaty w Faugere.

Dopiero po chwili zauważył, że krzyki ustały. Rozejrzał się. Hrabina i gerent mierzyli się wściekłym wzrokiem. Spod warstwy białej farby na twarzy hrabiny wyzierał słaby rumieniec. Gerent kurczowo ścisnął krawędź stołu dłonią naznaczoną starczymi plamami.

Hrabina odezwała się pierwsza.

– Żałuję, że nasze spotkanie kończy się fiaskiem. Szkoda, że nie był pan gotów posłuchać głosu rozsądku.

Wstała, zarzucając rąbkiem złotej sukni. Jej ludzie szybko zebrali dokumenty i ruszyli w ślad za nią łukowato sklepionym przejściem, zagłębiając się w zimnych tunelach.

Kiedy tylko hrabina zniknęła z oczu ludziom gerenta, jej gniew się ulotnił. Gdy wędrowali tunelem, pogłaskała Arlandesa wierzchem dłoni po policzku. Uśmiechała się.

– Mój piękny, smutny kapitanie. Wygląda na to, że przydadzą nam się pana usługi.

Rozdział 17

Gromowładni kradli wszystko, na co mieli ochotę. Teraz, kiedy był z nimi Jack, który potrafił wpadać drzwiami i wypadać oknem niczym snop światła, mogli zabrać cokolwiek zechcieli. Gdy byli przy nim, wydawali się szybsi. Po raz pierwszy mieli pieniądze.

Kiedy zgromadzili więcej niż byli w stanie wydać, Jack poszedł do Czwartego Okręgu, by opłacić dziwkę. Fiss uśmiechnął się i stwierdził, że ma ważniejsze sprawy na głowie, ale Namdi chętnie dołączył do Jacka. Przez całą drogę opowiadał o swoich licznych podbojach. Niektóre z tych historii zapewne były prawdziwe. Jack nie mógł się zrewanżować żadną opowieścią, więc milczał.

Wybrali lokal położony na piętrze nad obskurnym barem przy ulicy, która tak naprawdę stanowiła jedynie rozcięcie między dwiema splątanymi stertami sypiących się cegieł. Jack i Namdi udali się do osobnych pokojów.

Początkowo dziewczyna nieprzyjemnie skojarzyła się Jackowi z jego siostrą, która niegdyś pracowała w podobnym miejscu, ale szybko o tym zapomniał i wkrótce nie miało to już żadnego znaczenia. Gdy było po wszystkim, położył się na łóżku, dumny, a zarazem dziwnie smutny.

Dziewka pociągnęła z umazanej szminką szklanki łyk alkoholu o wyglądzie szczyń.

– Czego jeszcze chcesz? Wypierdalaj, kurczaku.

Namdi spotkał się z nim na zewnątrz. Obaj rozchylili z uśmiechem poły kurtek; wychodząc, ukradli po jednej butelce z baru. Znaleźli oddalony o kilka ulic przykościelny cmentarz, poświęcony bogowi, którego żaden z nich nie znał, przeskoczyli ogrodzenie i usiedli na płytach nagrobnych, pijąc i opowiadając kłamstwa. Między nagrobkami stały podniszczone posągi przedstawiające bóstwo, a może jego kapłanów. Przypominały dziarskich staruszków z przygiętymi kolanami, prawą stopą wysuniętą do przodu, zaokrąglonymi ramionami i uniesionymi rękami. Namdi zasugerował, że to bokserzy; Jack uważał, że postacie raczej wykonują gest błogosławieństwa. Nie było sposobu, by się dowiedzieć prawdy: ktoś – albo całe pokolenia „ktosiów” – odłamał posągom ręce. Rozległ się hałaśliwy dźwięk trąbki, który zapowiedział przemarsz grupy mężczyzn w czerwonych mundurach, idących środkiem ulicy obok cmentarza. Za plecami trębacza szli ramię w ramię dwaj chorąży ze sztandarami na pikach. Na jednej z flag widniały insygnia hrabiny. Na drugiej wizerunek „Gromowładnego”. Z tyłu maszerowały dwa krótkie rzędy zbrojnych w czerwonych mundurach.

Był to oddział zajmujący się rekrutacją do milicji hrabiny. Obaj chłopcy znieruchomieli oparci o nagrobki, starając się nie rzucać w oczy. Zнали ludzi niewiele starszych od nich, którzy zostali siłą wcieleni do wojsk hrabiny, Parlamentu, Rady, kartelu robotniczego z Agdon Deep lub innych oddziałów.

Kiedy mundurowi się oddalili, Namdi pociągnął kolejny łyk i rzekł:

– Kto wie, może jednak to zrobię.

– Co takiego?

– Dołączę do nich. Nie zastanawiałaś się nad tym?

– Nie, na Płomień. Dlaczego miałbyś się przyłączyć do czerwonych mundurów?

– Słyszałeś o gerencie. O jego groźbach wobec hrabiny. Nie dopuszcza jej do portów, nie płaci jej podatków, kradnie sprawy z jej sądów, w ogóle jej nie szanuje.

– I co z tego?

– Wiesz, że w fabrykach gerenta dzieciaki zapracowują się na śmierć?

– To tutaj dzieciaki umierają w ten sposób. Jesteśmy w Czwartym Okręgu, idioto. Zresztą chyba mi nie powiesz, że na ulicy Wapiennej było łatwiej.

– Wszyscy mówią, że szykuje się wojna, i czas ustalić, kto tutaj rządzi. Musimy zawalczyć w swoim imieniu.

– A co cię obchodzi, kto tutaj rządzi? I co to znaczy, że mamy zawalczyć „w swoim imieniu”? Hrabina nie jest naszym sprzymierzeńcem. Mam nadzieję, że obie strony się pozabijają. Kto ci naopowiadał takich rzeczy?

Namdi wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Wszyscy.

– Posyła tutaj swoich ludzi, żeby wywrzaskiwali oskarżenia pod adresem gerenta albo kogoś innego, a ty im wierzysz?

Namdi oparł się o nagrobek i odwrócił głowę.

– Niezupełnie. Nie wiem. Myślałem, że ty też byś tego chciał.

– Niby dlaczego?

– No wiesz. Okręt. Jesteśmy Gromowładnymi, sam tak powiedziałeś. Mamy to – Namdi postukał palcem w herb na kurtce – i całą resztę. A „Gromowładny” to najpotężniejsza siła w mieście. Kto nie chciałby się znaleźć na jego pokładzie? I należy do niej.

Jack wstał, zamachnął się i cisnął butelkę, która poleciała wysokim łukiem, trąc o gałęzie nad jego głową, po czym roztrzaskała się o dach anonimowego kościoła.

– Nie. Nie należy do niej. Jest nasz. Właśnie o to tutaj chodzi. Chodź, robi się późno, czekają na nas w „Księżycu”.

* * *

Następnego dnia Jack zabrał Namdiego i kilku innych chłopaków do Przystani Giesa w Ar-Mouth. Zapowiedział, że będą kradli suszone owoce ze statków, które przyplłynęły z Aysuluk.

Na miejscu zastali grupę młodych marynarzy o nastroszonych włosach i wytatuowanych twarzach, którzy wodzili przerażonym wzrokiem po otaczających ich tłumach.

– Wyglądają na wystarczająco głupich – zawyrokował Jack. – Nadadzą się.

Namdi, Tuli i David pobiegli za marynarzami, drażniąc

ich i przeklinając we wszystkich językach, które znali, aż w końcu mężczyźni stracili cierpliwość i rzucili się w pościg. Chłopcy przeciskali się przez tłum, nurkując pod straganami i stołami, na których leżały mokre ryby i stały miseczki z przyprawami, oraz pod zwieszającą się zasłoną egzotycznych wielokrotnie zakrzywionych ostrzy, a marynarze pędzili za nimi, roztrącając ludzi na boki. Jack, Frawney i Nef pośpieszyli do pełnych straganów i korzystając z zamieszania, ukradli coś na obiad, podczas gdy Beth i reszta stali na czatach.

W panującym chaosie bez trudu się wymknęli, rozbiegając się na różne strony pośród tłumu, by ponownie się spotkać na drugim krańcu przystani, z dala od ludzi, namiotów z piwem i jęczących dźwigów. Usiedli na kamiennych stopniach u podstawy latarni morskiej i jedli, spoglądając na zatokę i wysokie maszty ostrożnie wymijających się jednostek. W powietrzu unosiła się zimna i jasna mgiełka. Jack uważnie przypatrywał się tłumowi.

Po chwili zauważył to, po co ich tam sprowadził: powoli przemieszczającą się kolumnę czerwieni, przed którą ludzie nerwowo się rozstępowali. Kolejny oddział rekrutujący hrabiny.

– Idziemy – rzekł Jack. – Odłóżcie wszystko i chodźcie za mną.

* * *

Oddział był liczniejszy niż ten, który widzieli w Czwartym Okręgu. Żołnierze mieli bardziej jaskrawe i mniej zużyte mundury. Obok trębacza maszerował dobosz. Dwaj mężczyźni na przodzie i dwaj na końcu nieśli piki z insygniami hrabiny, zaś para żołnierzy w środku rozwiesiła Pomiedzy trzymaną bronią flagę z wizerunkiem „Gromowładnego”. Kiedy Jack do nich dotarł, maszerowali w kółko wewnątrz kręgu straganów, wygrywając chwytny rytym i wciskając przechodniom ulotki.

Jack zasygnalizował pozostałym, by przestali za nim podążać. Wspięli się na niską ścianę otaczającą kantor i patrzyli, jak Jack wędruje po obwodzie okręgu, po czym wskakuje na stertę drewnianych skrzyń obok stoiska sprzedawcy ryb. Wykorzystując otrzymany dar, oparł się ręką o chwiejną tyczkę podtrzymującą daszek i wybił w górę. Materiał napiął mu się pod stopami; Jack puścił się biegiem i przeskoczył na śliskie płótno rozwieszane nad następnym straganem. Biegł wzdłuż krawędzi okręgu, nad głowami klientów i sprzedawców, nabierając prędkości, lekki jak piórko.

Ludzie w czerwonych mundurach maszerowali w jego stronę. Żołnierz na przodzie wykrzykiwał jakieś bzdury, których nie warto było słuchać, coś o „służbie” i „honorze”. Kiedy zobaczył zbliżającego się Jacka, zatrzymał się z szeroko otwartymi ustami, a dobosz, który szedł za nim, wpadł mu na plecy. Jack odbił się od naprężonej krawędzi czarnego płótna i skoczył ponad

placem, lekko lądując na ramieniu mężczyzny. Ruszył wzdłuż kolumny pomiędzy chwiejącymi się wierzchołkami pik, stawiając nogi na ramionach i okrytych czapkami głowach. Przeskoczył nad sztandarem, po czym odwrócił się i zręcznie go zabrał. Wymachując nad głową grubą tkaniną, odbił się od pleców mężczyzny zamykającego kolumnę, wylądował na daszku nad stoiskiem rzeźnika, przebiegł po kolejnych daszkach i wspiął się po niskim, pochyłym dachu rachuby. Wbiegł na sam szczyt budynku, wysoko ponad targiem, odwrócił się i lewą ręką uniósł swoje trofeum. Jeden z żołnierzy otrząsnął się z szoku i strzelił w stronę Jacka, ale fatalnie spudłował i kula roztrzaskała dachówki w odległości ponad sześciu metrów od chłopca. Jack odwrócił się i zbiegł po drugiej stronie dachu.

Wieczorem, po powrocie do „Księżycy”, Jack podsunął Namdiemu pod nos zaciśniętą pięść, w której trzymał sztandar.

– Widzisz? „Gromowładny” nie należy do nich. Jest nasz. Niczego nie jesteśmy im winni.

Przybili sztandar do ściany za barem.

Rozdział 18

Arjun przeleżał całą noc na kamieniach. Stracił wszystkie siły. W mokrym ubraniu czuł się jak złożony do grobu. Gdy brudna woda opuściła jego płuca, pojawiła się gorączka; czuł w kościach jej druzgocący wpływ. Setka obrzydliwych fałszywych świtów pokolorowała niebo. Rankiem grupka dzieci znalazła go zwiniętego w kłębek pod latarnią i zabrała mu pieniądze.

Po południu na chwilę udało mu się wstać. Wytoczył się z alejki na tętniącą życiem ulicę, gdzie ponownie upadł. Pojawiła się jakaś twarz, która coś do niego mówiła, a on wiedział, że jej odpowiada, ale nie rejestrował wypowiedzianych słów.

Potem przyszli po niego dwaj mężczyźni w brązowych mundurach. Przez jakiś czas leżał na kamiennej posadzce, a następnie został zabrany w miejsce, w którym dostał do wypicia coś mocnego i śmierdzącego, po czym zapadł w sen.

* * *

Jego łóżko stało w małym pokoju o gładkich ścianach. Zabrali jego przemoczone ubrania i odziali go w biały szlafrok. W oknie były kraty – Za ścianą z żelaznych prętów ciągnął się korytarz. Przychodzili nim różni ludzie i go obserwowali. Początkowo myślał, że są jedynie

wytworami jego wyobraźni. Znajdowały się tam także inne podobne cele, pełne krzykami, skargami i majaczeniami.

* * *

Przed jego celą stała jakaś rodzina i przyglądała mu się z powagą. Matka, ojciec i dwie córeczki. Ojciec miał na sobie ciemny garnitur i niebieski krawat. Dziewczynki były ubrane w różowe sukienki, a na głowie nosiły loki. Arjun chwycił pielęgniarkę za ramię.

– Kim oni są? Czego ode mnie chcą?

Otarła mu czoło ciepłą wilgotną szmatką.

– Ciii. Jeszcze nie odzyskał pan sił. Proszę odpoczywać. Nie zrobią panu krzywdy. Został pan pobłogosławiony. Niech im pan pozwoli z tego skorzystać.

Jedna z dziewczynek nieśmiało pomachała do Arjuna. Odwrócił się w stronę ściany i ponownie zapadł w sen.

Kiedy się obudził, przez okno wpadały promienie popołudniowego słońca. Rozpoznał odgłosy zatoki dobiegające z zewnątrz: szorstkie głosy nawołujące żeglarskim żargonem, krzyki mew.

Przyszły go obejrzeć dwie młode kobiety. Podobnie jak rodzina, która zjawiała się wcześniej, były elegancko ubrane. Wyglądały na żony prawników lub lekarzy z Okręgu Foyle'a. Przypatrywały mu się przez kraty.

– Jakie to było uczucie? – spytała jedna z nich

nerwowo.

Arjun nie potrafił odpowiedzieć. Zwinął się w kłębek i przywarł do ściany.

– Który z nich to był? – spytała jej koleżanka. – Który pana dotknął? Podobno znaleźli pana nad kanałem. Czy to był Tajfun?

Arjun nie odpowiedział. Kiedy kilka godzin później wróciła pielęgniarka:

– Co to takiego Tajfun? – zapytał ją.

– Tajfun. Vodya. Nix. Nockan. Jeden z bogów rzeki. Myślę, że to raczej pan może mi powiedzieć, czym on jest.

– Nix. To znaczy „nic” po kaelsku – wymamrotał.

– Pięknie. A teraz niech się pan spróbuje przespać.

Leżał rozbudzony, czując, jak gorączka przychodzi i odchodzi falami. Podczas jednego z przebłysków świadomości pomyślał: Tajfun. A więc ma imię. Duch wody. Duch nicości. Nawiedzający rzeki i kanały. Jakie to było uczucie? Co powinien odpowiedzieć tym ludziom, tym podglądaczom? Bóg był wygłodniały. Przyjmował ofiary. Był bóstwem wsysającego mułu i brutalnej przeszłości, zgnilizny i rynsztoku. Zasługiwał na nienawiść.

Ale oni o tym wszystkim wiedzieli. Był pradawnym bóstwem. Gdy Arjun umierał, zawieszony w jego wnętrzu, poczuł jego wiek. Tajfun mieszkał w rzece, zanim pracowite ludziki po raz pierwszy skuły jej brzegi łańcuchami mostów. Zanim nakarmiły go pierwszą żywą

istotą. Oczywiście, że o rym wiedzieli. Matki na pewno ich ostrzegały: „Nigdy nie chodźcie sami nad rzekę”.

Poza tym pili wodę z Rzeki, pozwolili, by kanały przecinały żyły miasta, i dopuścili do tego, by ich gospodarka na sto różnych sposobów uzależniła się od wody. Poszli z bóstwem na kompromis. Mieli je we krwi.

Przyszli go zobaczyć trzej mężczyźni w średnim wieku, ubrani w garnitury. Niegrzecznie zapukali w kraty. Wyglądali na pijanych. Wszystkie browary bez wyjątku były zatrute wodą z Rzeki, tak samo jak ci ludzie.

– Opowiedz nam swoją historię – zażądali, a on uniósł się z łóżka tylko po to, by ich opłuć. Roześmiali się i sprawiali wrażenie w pełni usatysfakcjonowanych.

* * *

Pielęgniarka dała mu do wypicia coś nieznośnie słodkiego. Czy była noc? Była noc.

– On mnie zauważył – rzekł Arjun.

– Kto pana zauważył? Proszę wypić do końca.

– Tajfun. Zobaczył mnie. Nienawidził mnie i bał się mnie.

Pielęgniarka pokręciła głową i się roześmiała. – To coś nowego.

Nie lubił tej kobiety bardziej niż kogokolwiek innego w całym swoim dotychczasowym życiu.

– Nie – odparł. – Z nim jest coś nie w porządku. Jest chory.

Skinęła głową, wcale go nie słuchając. Jej niechęć do zrozumienia jego słów była niezwykle irytująca, po części dlatego, że sam nie rozumiał, co mówi.

Nie był w stanie utrzymać w żołądku słodkiego płynu. Pielęgniarka zręcznie złapała wymiociny do metalowej miski, w której wybrzuszało się i kołysało potworne odbicie Arjuna.

* * *

Następnego ranka pielęgniarka znów się pojawiła, by wymienić Arjunowi basen. Udało mu się usiąść.

– Co to za miejsce?

– Po pana głosie wnioskuję, że odzyskuje pan siły. To dobrze. Ale teraz proszę odpoczywać.

– Przecież odpoczywam. Ale gdzie jestem? Brzmi jak Ar-Mouth.

Zmierzyła go wzrokiem.

– Bo tak właśnie jest. Pod Szczęką.

– Co to za miejsce?

– Jestem Siostra Judyta.

– Dziękuję za opiekę, Judyto. Ale pytałem, co to za miejsce.

Zajęła się zmianą pościeli na jego łóżku.

– Jeden z Domów Nessene, rzecz jasna. – Widząc jego pozbawione wyrazu spojrzenie, dodała: – Uzdrowiciela. Naszego Pana Oceanu. Nie słyszał pan o nim?

– Och – odparł – kolejny bóg.

– Znaleźli pana strażnicy. Był pan na wpół utopiony i na wpół zamarznięty i nie miał pan pieniędzy, więc przynieśli pana do nas. Teraz nic panu nie grozi.

– Czuję się już silniejszy, Judyto, i wkrótce będę mógł stąd odejść. Obawiam się, że nie będę ci się w stanie odwdzięczyć za opiekę.

– Jeszcze trochę – odrzekła, po czym zacisnęła dłonie na jego słabych ramionach i stanowczym ruchem posadziła go na materacu. – Dopiero kiedy wydobrzejesz. – Wyszła.

Po chwili wstał i spróbował otworzyć drzwi – były zamknięte na klucz. Po drugiej stronie korytarza, w jego dalszej części, znajdowała się kolejna, bardzo podobna klatka. W jej narożniku siedział mężczyzna o ogolonej głowie, zwinięty niczym wysuszony martwy pająk.

– Ciebie też leczą, przyjacielu?! – zawołał Arjun.

Mężczyzna wzdrygnął się, po czym odpowiedział ekstatycznym głosem.

– Wodny stwór, chwytające macki, jesteś naznaczony, świecisz. Pomiędzy dwoma lustrami dym gryzł mnie w oczy: zranienie. Płomień wielu par oczu, wszędzie wokoło...

Mężczyzna nie przestawał majaczyć. Brzmiało to tak, jakby został dotknięty przez jakieś bóstwo. Tak jak Norris, tylko silniej. Zapewne tak jak i on sam, pomyślał Arjun. Skargi nieznajomego stanowiły brzydką plątaninę pustych słów.

Arjun czuł się słaby, ale myślał trzeźwo. Nie zamierzał

postradać zmysłów. To tylko kolejny atak gorączki, pomyślał. Gorączka mojego dzieciństwa ustąpiła, gdy usłyszałem Głos. Przemierzyłem świat w nadziei, że znów go odnajdę. Teraz druga gorączka... i co mnie czeka?

Dotyk upiora w kanale przyprawiał o szaleństwo, był zły i brudny. Ale czy Głos był czymś lepszym? W pewnej chwili objęcia rzecznego bóstwa stały się podobne do obecności Głosu i Arjun zapragnął z nim odejść. Czy Głos doprowadził go do szaleństwa, ukradł mu duszę, okaleczył go tak, jak niemal uczynił to Tajfun? W taki sam sposób, w jaki został okaleczony biedak w sąsiedniej celi? Nie mógł tego wykluczyć. Jego misja wydawała się wariactwem. Spędzenie całego życia na usychaniu z tęsknoty za Głosem również stanowiło szaloną perspektywę. Być może Głos był złodziejem adoracji, tak jak Tajfun był złodziejem żywotów. Powiadano, że w morzach mieszkają syreny, dlaczego więc nie w górach? Ponownie zapadł w niespokojny sen przepełniony poczuciem winy.

Następnego ranka, kiedy Judyta podała mu jedzenie i wodę pomiędzy prętami, spytał:

– Co z moim ubraniem?

– Spaliliśmy je, przykro mi. Było przesiąknięte płynną gorączką.

– Rozumiem. Dziękuję, siostrze, ale jestem już gotowy, by stąd wyjść.

– Jeszcze trochę. Wielu ludzi w tym mieście z radością skorzystałoby z dobrego łóżka! – Pośpiesznie się oddaliła.

Po południu przyszła go obejrzyć grupa młodych mężczyzn. Byli chudzi i nieogoleni. Dwaj z nich nosili okulary. Wyglądali jak seminarzyści albo poeci. Arjun usiadł na łóżku i wykrzyknął:

– Czego?! O co wam chodzi? Co niby mogę wam powiedzieć? Ta rzecz, która mieszka w waszych kanałach, to potwór. Wampir. Sami dajcie mu się pożreć, skoro chcecie wiedzieć, jakie to uczucie. To chore. Całe to miasto jest chore. Kto oddaje cześć czemuś takiemu? Powinniście się wstydić. Wynocha. Precz.

Nie przestawali go obserwować, uśmiechając się do siebie nawzajem. Tylko na tym im zależało, pomyślał. Chcieli usłyszeć bredzenie wariata. Odwrócił się do ściany i poczekał, aż sobie pójda.

* * *

Obudziła go młoda kobieta, która stukała srebrną laską w pręty klatki. Miała na sobie długi czarny płaszcz o męskim kroju i prążkowane spodnie, ale z pewnością była kobietą. Pamiętał ją ze spotkania z Holbachem. Olimpia Autun, nieprawdaż? Siostra Judyta trzymała się z tyłu, z niechęcią przypatrując się ekscentrycznemu gościowi.

– Pan Arjun z Gad! Dzień dobry!

– Dzień dobry, panno Autun. Czy przyszła pani w imieniu profesora Holbacha, czy może dla własnej rozrywki?

– To pierwsze. Arjunie. Czy mogę ci mówić po

imieniu? Czuję, że stałeś się już częścią rodziny. Holbach bardzo się o ciebie niepokoi. Od dwóch dni wciąż zadaje mi to samo pytanie: „Olimpio” – proszę, ty także nazywaj mnie Olimpią, Arjunie – „Olimpio, gdzie się podziewa ten bystry młodzieniec? W co ja go wpakowałem?”. Czuje się winny.

– Jak mnie znalazłaś?

– Dzięki ciężkiej pracy, uporczywemu zadawaniu pytań i niemałym pieniądzom.

– Czy to naprawdę szpital, Olimpio?

– Oczywiście. Dlaczego cię to dziwi? Włóczyłeś się, majacząc, po ulicach. Z tego, co słyszałam, masz cholerne szczęście, że żyjesz.

– Mogę stąd odejść?

– Ach, no właśnie. To nie jest takie proste. Znaleźli cię strażnicy z Parlamentu Mass How i oskarżyli – byłeś wtedy obecny ciałem, choć może nie duchem – o stwarzanie zagrożenia dla porządku publicznego. Potem przekazali cię sługom Nessene, którzy – to twoja historia, prawda, siostrze? – zamknęli cię w tej klatce, ponieważ nie przestawałeś bredzić o jakimś rzeczonym potworze.

– Został dotknięty przez boga – wyjaśniła Judyta. – Czasami takie osoby są niebezpieczne, dla siebie lub innych. Zrobiliśmy to dla dobra wszystkich.

– Nie jestem niebezpieczny i już wyzdrowiałem – odparł Arjun.

Judyta zaczęła coś mówić, ale Olimpia uciszyła ją machnięciem laski.

– Zostałeś wystawiony na pokaz, Arjunie! Jesteś obiektem uwielbienia. Ty szczęściarzu!

Wyjaśniła mu, że większość mieszkańców miasta nigdy nie spotyka bogów. A już na pewno nie dochodzi zbyt często do osobistych kontaktów umysłów śmiertelników z boskimi istotami. Ludzie dowiadują się o bóstwach od innych. Wysłuchują opowieści w kościołach i świątyniach. Czasami udaje im się dostrzec coś w oddali, na przykład Ptaka, który dwa miesiące temu przelatywał nad miastem, albo Płomień na północy. Niektórzy biorą udział w loterii Pająka, po to, by choć przez chwilę poczuć delikatny dotyk boskości. Kiedy więc słudzy Nessene przyjmują ludzi zranionych za sprawą bezpośredniego kontaktu z bogiem, majaczących i zawodzących o swoich przeżyciach, zawsze można liczyć na entuzjastyczną publiczność, która pragnie tego doświadczyć.

– Chcą być blisko ciebie, Arjunie. Ciebie i wszystkich innych biedaków, którzy tutaj siedzą – wyjaśniła Olimpia, wskazując pozostałe cele. – Chętnie zapłacą za ten przywilej! A musisz wiedzieć, że po zobaczeniu tego, co widziałeś, mało kto wygląda tak zdrowo jak ty. Dlatego słudzy Nessene będą cię trzymali tak długo jak się da, prawda, siostrze?

– Tylko dopóki nie upewnimy się, że odzyskał siły – odparła Judyta.

– Tak, oczywiście. Arjunie, oni zawsze tak robią. Ale chyba nie można mieć o to do nich pretensji – w ten

sposób płaci się za leczenie. – Jestem już bardzo zmęczony tym miastem i jego bogami, Olimpio. To szaleństwo. Żaden zdrowy na umyśle człowiek nie chciałby przeżyć tego, co ja. Możesz mnie stąd wydostać?

– Nie będzie to łatwe. Przetrzykują cię w imieniu Parlamentu Mass How, na podstawie traktatu podpisanego z hrabiną. Mają prawo samodzielnie podjąć taką decyzję, w granicach rozsądku.

– Przekaż Holbachowi, że Shay nie żyje. Nie był oszustem. Ale nie powiem wam niczego więcej, dopóki mnie stąd nie wyciągniecie.

Olimpia sprawiała wrażenie rozbawionej.

– Nie ma potrzeby zgrywać twardziela. Holbach płaci mi za wydostanie cię stąd, Arjunie. Ararat to miasto wielu więzień. Miałam okazję oglądać niejedno z nich: w tym miejscu panują prawdopodobnie najłagodniejsze warunki, choć bez wątplenia pobyt tutaj i tak jest dla ciebie irytujący. Jeszcze wrócę. A na razie postaraj się im znudzić; może wtedy cię wypuszczą. Siostró, czy mogę prosić o odprowadzenie mnie do wyjścia?

* * *

Arjun spędził w celi kolejne dwa tygodnie, czekając, aż Olimpia go uratuje. Siostra Judyta każdego dnia otwierała drzwi i w asyście potężnego pielęgniarza prowadziła Arjuna do łazienki. Nie rozmawiał z nimi. Po kilku dniach odzyskał siły na tyle, by móc ćwiczyć w celi, co odrobinę

podniosło go na duchu.

Kiedy pojawiali się podglądacze, odwracał się do nich plecami. Niektórzy i tak się w niego wpatrywali, jakby fałdy jego szlafroka mogły wyjawiać jakąś tajemnicę, większość jednak szybko przechodziła do kolejnej celi, gdzie trzymano pacjentkę, która złamała kręgosłup, podążając za Ptakiem; kobieta leżała bezwładnie i płakała, rzucając na boki głową.

Arjun pomyślał o Norrisie z „Cyprysa”, który ścigał Rudobrodego w labiryncie miejskich pubów i burdeli, oddając mu całą swoją siłę oraz młodość. Czy to dlatego Defour tak go chroniła? Ze względu na chwałę jego świętych ran?

Przynieśli mu papier i pióro. Aby złagodzić samotność, spędzał czas na pisaniu kolejnego listu do Chórzystów (choć pierwszy wciąż leżał w szufladzie w jego pokoju). Wyjaśniał w nim, że traci nadzieję na odnalezienie Głosu i tak naprawdę nie jest już pewien, czy zależy mu na odszukaniu go, że na skutek odniesionych ran jego miłość została zatruta zwątpieniem, że zastanawia się, czy to całe przedsięwzięcie nie jest szaleństwem, chorobą, że zaczyna podejrzewać, iż nienawidzi Głosu z taką samą mocą, z jaką go kocha. Próbował napisać, że być może nie powinien być tutaj przybyć, ale zamiast tego pisał, że ich nienawidzi, gdyż zgodzili się na jego podróż. Przecież nie to chciał im przekazać; zresztą sam już nie wiedział. Darł kolejne wersje listu i rzucał je w kąt, dopóki siostry nie pouczyły

go, że papier jest drogi i że zużył swój cały przydział.

Jeden z podglądaczy, młody mężczyzna w sutannie, zerkał na pogniecione kartki, jakby zawierały jakąś tajemną wiedzę. Z czystej złośliwości Arjun wmiótł je pod łóżko.

Rozdział 19

Po pokazie, jaki Jack urządził ze sztandarem oddziału rekrutującego, Namdi trzymał buzię na kłódkę, jednak pozostali chłopcy nadal rozprawiali o hrabinie i gerencie. Niektórzy twierdzili, że biorą stronę gerenta przeciwko hrabinie. Fiss cierpliwie im wyjaśniał, że to nie ma sensu.

– Okręt stał się naszym symbolem, ponieważ jest wolny, rozumiecie? Nie dlatego że jest potężny, tylko wolny. Unosi się nad głowami wszystkich ludzi. Może polecieć dokąd zechce. Tak jak my. Nie powinniście podążać za hrabiną z jego powodu, ani podążać za gerentem dlatego, że zakazujemy wam wspierania hrabiny. Oni chcą go zmienić w broń, aby niszczyć i rozbijać to, co jest na ziemi, i w ten sposób pozamykać wszystkich w więzieniach. Jedwabny Jack tego nie pragnie. Teraz rozumiecie?

Jack był tym wszystkim zniesmaczony. Siedział na dachu, spoglądając na ogród, obserwując zabawę młodszych dzieci. Malcy sformowali oddziały i walczyli za pomocą patyków – ludzie hrabiny, dowodzeni przez chłopca, który w bójkę wygrał prawo wcielenia się w Arlandesa, przeciwko ludziom gerenta, którzy zawsze przegrywali. Doprowadzało go to do furii.

Próbował zająć siebie i innych pracą. Wytypował trzech głównych winowajców – chłopców, których przyłapał na trzymaniu patyków na ramieniu na podobieństwo strzelb i

małpowaniu maszerującego oddziału rekrutującego – i posłał ich na Targ Siedmiu Kół, aby patrolowali okolicę, zwracając uwagę na białe szaty pojawiające się na terenie Shutlow.

– Skoro już musicie być żołnierzami, to możecie jakoś spożytkować tę potrzebę – wyjaśnił.

Sam często wychodził wieczorami, uciekając przed ceremonią – w pewnym momencie przekształciło się to ze zwyczaju w rytuał – odgrywania kapłana przed młodszymi dziećmi. Czuł się rozczarowany wszystkim, co słyszał z ich ust.

Fiss potrafił z nimi rozmawiać, nawet wtedy gdy nie słuchali, a w razie potrzeby zażartować, by zapanować nad sytuacją. Jack tego nie umiał. Brakowało mu cierpliwości do rozmowy, a jego *coup de thedtre* ze sztandarem okazał się mniej skuteczny niż oczekiwał. Czuł, czego dla nich chce – to było jak szarpnięcie w piersi, które stale ciągnęło go naprzód – ale nie wiedział, jak to powiedzieć. Oddalali się od niego. On też stał się obcy i surowy, by poczuli, że nie jest z nich zadowolony. To jednak nie wystarczało.

* * *

Każdego wieczoru wybierał się na spacer na nabrzeże, a potem do Czwartego Okręgu, przez Shutlow i Okręg Barbarii. Przemieszczał się po dachach lub mrocznymi uliczkami. Docierał tak daleko, jak był w stanie w ciągu

jednego wieczoru, po czym się zatrzymywał. Przed sobą zawsze widział kolejny zakręt, który zaprowadziłby go głębiej w niezbadane obszary miasta, ale jeszcze nie był gotowy, by się tam zapaść. Dlatego krążył wciąż tymi samymi ulicami, a myśli rozpaczliwie i daremnie wirowały mu w głowie: co powinien i może zrobić z tymi dziećmi, za które w pewien sposób wziął odpowiedzialność? Jak może uczynić siebie i innych godnymi daru, jaki otrzymali?

Myślał, że nie wiedzą o jego wieczornych wyprawach. Gdy słońce zaczynało się opuszczać ku kanciastym wieżom na zachodzie, siadał na dachu „Czarnego Księżyca”. Kiedy nachodziła go taka ochota, przeskakiwał na dach sąsiedniego lombardu, a potem pensjonatu. Wracał tą samą trasą i wchodził przez okno.

W wodziele wieczorem Namdi dołączył do Jacka na dachu. Towarzyszyli mu Martin i Ayer (jego koledzy z ulicy Wapiennej). Zastukał w dachówki, by zwrócić uwagę Jacka. Przyniósł prezent; na jego znak Martin i Ayer sięgnęli pod kurtki i wyjęli jaskrawe, poplątane jedwabne nici w kolorach błękitnym, szkarłatnym i złotym, po czym podali je Jackowi na złożonych dłoniach.

– Dobra robota – rzekł Jack z wahaniem.

– To dla ciebie – wyjaśnił Namdi. – Prezent, jeśli chcesz to tak nazwać. Gest pojednawczy. – Sprawiał wrażenie zakłopotanego, gdy to mówił.

Dawanie prezentów oraz podpisywanie traktatów w wodziele przynosiło pecha, ale Namdiemu najwyraźniej

nikt tego nie powiedział, Jack zaś nie widział powodu, by o tym wspominać. Z zaciekawieniem wziął garść nici. Namdi pociągnął go za wiszący luźno rękaw koszuli.

– Bez obrazy – rzekł, odzyskując pewność siebie – ale tylko spójrz na siebie. Jedwabny Jacku, wyglądasz dość szaro.

Jack popatrzył na swoje ubranie. Jego koszula była złachmaniona i poprzecierana. Od ucieczki z Domu Barbotina upłynęło dużo czasu, a Jack nigdy nie oczekiwał, że koszula posłuży mu dłużej niż wymagała tego magia tamtej chwili. Materiał był brudny, wyblakły i szary.

Namdi popatrzył na niego z wyczekiwaniem. Za jego plecami stali zdenerwowani Martin i Ayer. Jack mocno uścisnął dłoń Namdiego.

– Dziękuję – powiedział, a gdy Namdi i chłopcy sobie poszli, schował nitki do kieszeni i o nich zapomniał, aż do dzwonku, gdy wrócił z jednego ze swoich długich spacerów i zastał Martina i Ayera przy małym ognisku w barze; chłopcy rzucali mu nerwowe spojrzenia, jakby pytając, czy go zawiedli.

Bardziej pod wpływem poczucia winy niż własnego pragnienia, Jack wziął igłę i nitkę (Gromowładni zawsze znajdowali jakieś zastosowanie dla igieł i nigdy nie wyrzucali nici), po czym wyszedł na dach, aby popracować nad swoim mundurem. Miał zręczne i szybkie dłonie; wkrótce odzyskał pogodę ducha.

Gdy był zajęty pracą, Fiss dołączył do niego na dachu,

a razem z nim pojawił się Aiden i w milczeniu oparł się o komin.

– Oni nie rozumieją – odezwał się Fiss.

– Wiem.

– Chodzi mi o to, że nie rozumieją, dlaczego jesteś wściekły.

– To też wiem.

– Wszyscy wiemy, że wychodzisz każdego wieczoru – dodał Fiss.

– Naprawdę? – zdziwił się Jack.

– Nie jesteśmy głupi. Czy zawsze masz zamiar wracać?

– Może.

– Czego potrzebujesz, aby zostać?

– Nie wiem. Oni niczego nie rozumieją.

– Są młodzi. I niezbyt wykształceni, jak może zauważyłeś.

– Tutaj jest tak samo jak w więzieniu. Rozumiesz?

– Nie. Nie rozumiem. To nasza ucieczka.

– Nie mogę siedzieć tutaj każdej nocy, czekając, aż strażnicy znów nas wyłapią. Muszę coś zrobić ze swoją wolnością. Z szybkością, którą dał mi Ptak. Muszę na nią zasłużyć albo odejść.

Obaj zamilkli. W końcu Fiss przerwał ciszę.

– Więc nie wiesz, czego chcesz. Ale tak czy inaczej my nie jesteśmy dla ciebie wystarczająco dobrzy, zgadza się? W takim razie chyba powinieneś spierdalać. Lepiej teraz niż później.

Jack spojrzał na niego urażony do żywego. Zanim

zdążył cokolwiek odpowiedzieć (przeszło mu przez myśl „Jak śmiesz”, ale także „Przepraszam”), okno otworzyło się z trzaskiem i Namdi wystawił rękę na zewnątrz, po czym uderzył w dachówki, by zwrócić uwagę Jacka.

– Nadlatuje. Patrzcie, nad Szczęką.

Jack spojrział na wschód. Na tle odległych chmur rysował się czarny kształt: okręt wojenny płynący nad miastem. Flota ostrych łódeczek krążyła wokół niego niczym stado wron.

– Porusza się powoli – odezwał się Namdi. – Możemy go dogonić. Chodźcie.

Namdi podbiegł do krawędzi i przeskoczył na dach lombardu. Pomknął dalej bez zatrzymywania się, długimi pewnymi susami. Fiss ominął Jacka i ruszył w ślad za Namdim; wyhamował po wylądowaniu, po czym pobiegł dalej, szykując się do następnego skoku. Aiden także dołączył do pościgu, podobnie jak inni, którzy wyszli przez okno, wznosząc radosne okrzyki. Jack pobiegł za nimi.

Fiss został w tyle przed końcem ulicy Moore'a, zatrzymując się przed dziurą ziejącą pomiędzy numerami 47 i 49. Aiden wyhamował w okolicach Dziedzińca Shymie, tuż przed ostrym spadkiem dzielącym dwuspadowy dach świątyni Anansiego od zakładu starego rzeźnika z Ghentu. Pozostali również zakończyli pościg w granicach Shutlow. Jack zrównał się z Namdim w pobliżu ulicy Allena, na dachach domów, które przypominały rząd pożółkłych zębów.

Namdi ciężko dyszał, miał czerwoną twarz, a na szyi wystąpiły mu żyły. Dla Jacka pościg był łatwy. Z przyjemnością mknął naprzód, nabierając prędkości wśród cichego pędu powietrza. Delikatnie zwolnił, dostosowując się do tempa Namdiego, który wściekle rzucał się z budynku na budynek, ciężko lądując i pocąc się pomimo zimna.

Okręt stał się większy, potem znów zmałał, obierając kurs na północny-zachód z Ar-Mouth. Skręcili za nim.

Namdi zakończył bieg przy placu Sundera, na skraju Shutlow, gdzie zachwiał się na luźnej dachówce i ześlizgnął po pochyłym dachu, rozpaczliwie próbując się czegoś chwycić; gdy wreszcie zdołał wyhamować, znajdował się już daleko poniżej trasy pościgu. Jack ruszył dalej, nabierając prędkości. Pod jego rozpedzonymi stopami, które odbijały się od dachów niewielkich domków stojących na skarpie, Shutlow ustąpiło miejsca terakotowym budynkom Mass How. Tutaj ulice były szersze i tętniły wieczornym życiem i muzyką, budynki były wyższe, a architektura bardziej zróżnicowana. To czyniło łamigłówkę dachów Mass How bardziej wymagającą. Jack obrał ekscentryczny zygzakowaty kurs na północ. Podczas wszystkich zmian kierunku i wysokości nawet na chwilę nie stracił okrętu z oczu. Błyskawicznie przemierzył całą dzielnicę.

Wspiął się na Wzgórze Domu Cere, bezszelestnie stawiając stopy na osłoniętych dachach. Na zachód od Wrzosowiska przebiegł po kompleksie świątyni i

wieżowców, którego nazwy nie znał. Po prawej stronie wznosiły się wieżyczki jakiejś olbrzymiej posiadłości. Rozpoznał flagi hrabiny. Przemknął przez okolicę, w której stały okrągłe domy zbudowane z białego kamienia, a na każdym rogu sterczały maszty. Na nich, wysoko ponad miastem, siedzieli ze skrzyżowanymi nogami ludzie wpatrujący się w niebo. Odwracali się i patrzyli na niego, gdy ich mijał. Fabryki, slumsy, następnie szeroka, zakręcająca ulica pełna teatrów i sal koncertowych o egzotycznych formach; w powietrzu unosił się zapach przypraw, potem dymu, następnie ścieków, wreszcie owocujących drzew. Przed sobą miał rząd gzymsów, a za plecami pozostawiał pasmo niskich ruder, które przypominały fale rozchodzące się po wodzie w ślad za okrętem. Znajdował się daleko od znajomych części miasta. Niemożliwe, by człowiek dotarł tak daleko piechotą w ciągu jednego wieczoru, nawet na poziomie ulicy, a co dopiero po dachach. Zmniejszyła dystans. Miasto rozmazywało się pod jego rozpędzonymi stopami.

* * *

Już na pierwszy rzut oka rozpoznał Stross End. Kiedyś w Shutlow rozprawiano ulotkę: „Wspólnie przeciwko Tyranowi ze Stross End”. Na pierwszym planie frontyspisu znajdowała się podobizna mężczyzny o wyglądzie jaszczurki i haczykowatym nosie, ubranego w poplamiony garnitur i zagarniającego szponiastymi

dłońmi stertę pieniędzy. Za nim wznosiły się odczłowieczające wieże – z niektórych buchał dym, pozostałe były upstrzone wąskimi oknami biur i zwieńczone olbrzymimi zegarami i dzwonniami. Na drugim planie, u podstawy wież, narysowano zacienione dziedzińce pełne przygarbionych, wątych mężczyzn ubranych w bezkształtne fartuchy, przemykających między fabrykami, biurami i zakładami przemysłowymi. Choć artysta zlekceważył wszystkie zasady perspektywy, ku zaskoczeniu Jacka przedstawił Stross End w uczciwym świetle.

Dzielnice oświetlały płomienie buchające z wież hutniczych. „Gromowładny” zwolnił, gdy znalazł się nad dziedzińcami i czymś, co wyglądało na główny plac. Jack wspinał się na szczyt biurowca po prawej stronie placu i usiadł na gzymsie nad potężną tarczą zegara. Patrzył z wyczekiwaniem. Z tej odległości dokładnie widział flotę mniejszych jednostek krążących wokół „Gromowładnego”, na których siedziały grupki strzelców.

Próbował zrozumieć, w jaki sposób dotarł tak daleko i w takim tempie. Jak to możliwe? Jednakże olbrzymi okręt bojowy wiszący nad dziedzińcem całkowicie pochłaniał jego uwagę. Czy to tylko jego wyobraźnia, czy na przednim pokładzie „Gromowładnego” stoi mężczyzna, który wznosi nad głową szablę? Czyżby to Wdowiec Arlandes?

Dziedziniec opustoszał.

Na północnym skraju placu stała wieża wyższa od

pozostałych, na której miejsce zegara zajmował herb gerenta. Mężczyźni w czarnych zbrojach wybiegli przez wysokie żelazne drzwi wieży i ustawili się w szeregach na dziedzińcu. Wycelowali strzelby w powietrze i wypalili w kadłub „Gromowładnego”, ale bez efektu.

Arlandes – jeśli to był Arlandes – machnął szablą w dół. Na jego sygnał działa okrętu huknęły, wstrząsając niebem. Dwa pociski wybuchły wśród żołnierzy na dole, wyrzucając w górę zmasakrowane ciała. Kolejny trafił w wieżę gerenta i na dziedziniec runął poskręcany metalowy herb, a po nim deszcz cegieł i pyłu. Wszystko zasnuł czarny dym.

W odpowiedzi coś rozbłysło na szczycie wieży gerenta, a następnie także po przeciwległej stronie placu. To nie strzelby, pomyślał Jack. Artyleria. Byli na to przygotowani.

Po niebie przetaczał się nieustający grzmot. Pocisk z działa gerenta trafił jedną z łodzi-latawców, a ta stanęła w płomieniach i runęła na ziemię. Jedna z wież osunęła się na bok i przewróciła na dziedziniec, rozpadając się na drobne kawałki. Wszędzie były ogień i pył.

Łodzie-latawce krążyły wokół „Gromowładnego” i unosiły się nad i między wieżami. Ludziki w łodzi, która zawisała poniżej punktu obserwacyjnego Jacka, z trudem przesunęły się w stronę burty i wyrzuciły za nią jakieś pudło; w miejscu, w którym wylądowało na dziedzińcu, wykwitły płomienie.

Jeden z pocisków wbił się w złoty balon nad

„Gromowładnym" i wyrwał dziurę po drugiej stronie flaczejącego materiału. Okręt przechylił się i zaczął spadać po skosie. Jack wstrzymał oddech. Statek wyrównał lot. Drugi pocisk przedziurawił drewnianą burtę, ale nie zakłócił działania okrętu. Cokolwiek go napędzało, podobne zniszczenia mu nie szkodziły. To oczywiste, pomyślał Jack, w jaki sposób można zatopić statek, który zaprzecza prawom grawitacji? Ignorując ogień płonący na mrocznych pokładach i gorączkowo biegającą, pokrzykującą załogę, „Gromowładny" powoli obrócił się ponad dziedzińcem, wojenną mandalą, i zaczął raz za razem ostrzeliwać armaty gerenta.

Grunt pod nogami Jacka zatrzęsł się i przechylił. Poniżej szalał pożar. Pocisk uderzył w wieżę, na której stał Jack. Dach opadł, gdy w dole coś się zarwało. Chłopak zaczął panicznie rozglądać się za jakimś miejscem, w które mógłby przebiec albo przeskoczyć. Wszystko wokół było zawałone lub płonęło. Zagapił się i bitwa go zahipnotyzowała, a teraz było już za późno. Dach osunął się i rozpadł. Jack rozpaczliwie wyskoczył w powietrze. Nie spadł.

* * *

Unosił się w nocnym powietrzu, lekko dryfując na wietrze, ponad dymem i płomieniami. Łzy spływały mu po twarzy zwróconej ku niebu.

Oczywiście. Oczywiście. Dlaczego tak długo na to

czekałem? Wciąż miał w sobie dar. Niech będzie chwała. Kręciło mu się w głowie.

W dole były tylko ruiny i ogień. Wiatr niósł w górę odległe wrzaski i jęki. Jack usłyszał potworny trzask, gdy płonące szkielety dwóch budynków osunęły się na siebie.

„Gromowładny” i jego flota powoli oddalały się na południe, wykonawszy swe odrażające zadanie. Jack ustawił się pod kątem do gwałtownie wiejącego wiatru i ruszył w ślad za okrętem lecącym daleko w dole.

Rozdział 20

„Gromowładny” wisiał nisko nad dziedzińcem Stross End, w poszarpanym, oskarżycielskim cieniu zrujnowanych wież. Pomimo zimnej porannej mżawki pożary jeszcze nie zgasły; szare niebo plamił czarny dym. Przez pokład przetaczał się smród zwęglonego drewna i ceglanego pyłu. Arlandes spoglądał w dół na swoje dzieło.

Poniżej – w czujnym cieniu okrętu – uwijali się umundurowani na czerwono ludzie hrabiny, którzy wynosili ciała z gruzów i układali je metodycznie na dwóch stertach na północnym i południowym skraju dziedzińca. Wyciągali z kryjówek szarpiących się maruderów z armii gerenta i ustawiali ich w równych szeregach pod wieżą zegarową. Pod czerwonymi flagami rozdawali jedzenie pracownikom zburzonych fabryk. Przywracali porządek i spokój. Od czasu do czasu rozlegał się pojedynczy strzał.

Arlandes wiedział, że hrabina w tej chwili wygłasza przemowę. Ze swojego podestu na Wrzosowisku Chwały bądź na nabrzeżu. Jej twarz to wysadzana klejnotami biała maska, jej głos ocieka troską. „Z żalem przyjęliśmy konieczność użycia przemocy”. Zapewne wkrótce odwiedzi ruiny.

Do tego czasu czerwone mundury uprzątną gruz. Ugaszą pożary. Wywiozą zmasakrowane ciała, z których każde boleśnie przypomina mu o Lucii. Wyburzą

budynki, gdyż żaden dom wokół dziedzińca nie zachował się w nienaruszonym stanie, a ich wieże osiadają i niebezpiecznie drżą. Zmyją krew z bruku.

A może po prostu zostawią wszystko tak jak jest. Niczym krwawą ranę na ciele miasta. Jako przypomnienie.

Arlandes dygotał, pogrążony w otępieniu. Jego ludzie byli ponurzy i zdystansowani, zdjęci obrzydzeniem prawie się nie odzywali.

Nie zamierzał się oszukiwać; zrobiłby to ponownie, gdyby wydała mu taki rozkaz.

Rozglądał się po ruinach. Obracał głowę w lewo i prawo, dostrzegając same gruzy. Nigdy nie widział czegoś takiego w całym Ararat. Do miasta przybył nowy rodzaj śmierci.

Rozdział 21

Był wczesny ranek, gdy wróciła Olimpia.

Zimny blask porannego słońca nadawał białym ścianom szpitala lodowaty i eteryczny wygląd. Tego ranka, podobnie jak w ciągu kilku poprzednich dni, Arjuna nie odwiedzili żadni goście, podglądacze, widzowie ani wyznawcy, dlatego siedział w milczeniu na swoim pościeliu, sam na sam z niewygodnymi myślami, zastanawiając się, czy przypadkiem nie znudził się ludziom, a dziwne informacje, które przyniósł z tamtego okropnego miejsca – czymkolwiek były – nie zostały wchłonięte przez tętniący życiem umysł miasta i przestały stanowić sensację... Przyszło mu także do głowy, że po prostu może być za zimno na zwiedzanie.

Olimpię poprzedzał jej głos. Niósł się chłodnymi korytarzami i śmiało odbijał od żelaznych prętów. Coraz bliżej rozbrzmiewało echo ostrych rozkazów i wyniosłych kpin, przeplatanych niechętnymi i uległymi szeptami sióstr, które pozostawały o krok w tyle za narzuconym rytmem. Arjun w milczeniu patrzył, jak skręcają w jego korytarz. Olimpia szła szybkim krokiem, zmuszając siostrę Judytę i siostrę Małgorzatę do umykania jej z drogi. Bez dalszych sprzeciwów siostra Judyta otworzyła drzwi do klatki Arjuna. Gdy Olimpia weszła do środka, Arjun zasłonił się skąpym szlafrokiem.

– Dzień dobry, Arjunie. Wybacz to opóźnienie.

– Wiesz, jak mnie stąd wydostać?

– Już się zgodzili cię wypuścić. Och, dlaczego jesteś taki zaskoczony? Spodziewałeś się odsieczy w środku nocy, przy wtórze pistoletowych wystrzałów? Być może tak się to załatwia w górach, ale jesteśmy w Ararat. Poszłam z twoją sprawą do sądu, Arjunie. Jutro w Mass How odbędzie się rozprawa. Postarałam się, by nie opłacało im się o ciebie walczyć. Zresztą myślę, że i tak są tobą zawiedzeni. Spakuj się i chodź.

Na zewnątrz czekał na nich elegancki dwumiejscowy powóz. Woźnica czytał gazetę. Nie miał na sobie uniformu tylko długi płaszcz z szorstkiej brązowej wełny, który wisiał ciężko na jego niedźwiedzich ramionach. Szeroką twarz zdobiła gęsta czarna broda.

– Żadnych problemów, panno O. ? – spytał swobodnie.

– Żadnych problemów, Hoxtonie. Siostry nie odważyły się sprzeciwić. Oto on. Hoxtonie, poznaj Arjuna. Arjunie, poznaj Hoxtona.

– Gdyby to zawsze było takie proste, co?

– Właśnie, Hoxtonie, gdyby. Ty pierwszy, Arjunie.

Dokąd jeszcze musiał się udać, co jeszcze musiał zrobić? Wszedł do powozu. Za siedzeniem woźnicy tkwił potężny nóż – czy może raczej maczeta – który obijał Arjunowi kolana za każdym razem, gdy powóz podskakiwał na wybojach.

– Musisz mi wszystko opowiedzieć, bez wyjątku – nalegała Olimpia. – Kiedy tylko spotkamy się z profesorem – dodała, po czym pochłonęła ją lektura

książki. Na jej grzbiecie widniał tytuł: *Konflikt prawny według Bambridgea*.

Arjun pochylił się.

– Panie Hoxton, czy dobrze podejrzewam, że gdyby Olimpia jednak została zmuszona do ruszenia mi z odsieczą przy wtórze pistoletowych wystrzałów, to właśnie pan by strzelał?

– Ach. No cóż, każdy lubi być przydatny, panie Arjunie.

Było przenikliwie zimno. Arjun marzył w cienkim szpitalnym szlafroku. Kiedy przejeżdżali przez Ar-Mouth, ze zdumieniem zauważył stare zaspy brudnego śniegu na poboczu drogi.

– Śnieg padał dwa dni temu – wyjaśniła Olimpia. – A wcześniej deszcz, jeszcze więcej deszczu i obrzydliwy grad. Pogoda bardzo się popsuła, kiedy siedziałeś w celi.

– Nie tylko ona, panno O. – odrzekł Hoxton.

– Racja – zgodziła się Olimpia. – Obawiam się, że nie tylko ona.

Pojechali ulicą Cato, która prowadziła delikatnie pod górę pod łukami triumfalnymi. Posągi na ich szczytach były zwieńczone świeżym białym śniegiem, który kontrastował z brudnymi ulicami i przykrywał dziewiczą powłoką plecy kochanków obejmujących się na szczycie Łuku Diamentowej Królowej.

Przy drodze Arjun zobaczył niewielki ogród zarośnięty bezlistnymi drzewami, rozciągający się u podstawy długiej czarnej ściany pokrytej wyrzeźbionymi

nazwiskami. Kwartet smyczkowy grał powolną, żalobną melodię. Staruszkowie w ciemnych zimowych płaszczach stali wokół muzyków, z pochylonymi głowami i rękami w kieszeniach.

– Proszę się na chwilę zatrzymać – poprosił Arjun. Wsiadł z powozu i stanął przy ogrodzeniu, zaglądając do ogrodu. Śnieg gromadził się pod ścianą, okrywając kwiaty.

Olimpia wskazała inskrypcję na ścianie: „Bitwa o Dwór Mantle'ów”, a poniżej: „Miasto zawsze będzie nosić ich ślad”.

– Dwoje szlachciców starło się na północy miasta, kiedy ci ludzie byli jeszcze młodzi – wyjaśniła. – To była głupota. Nie musisz znać powodów; wygląda na to, że wkrótce czeka nas to samo.

– Zaciekawiała mnie muzyka.

– Och, więc o to chodzi. Gdzieś już ją słyszałam. Od kilku tygodni krąży po całym mieście. Chyba nawet słyszałam, jak jakaś dziewczyna śpiewa „Lero, Lero” na tę melodię. Jest bardzo ładna.

– Owszem. Została wielokrotnie przetworzona, zanim tu trafiła. Niewiele z niej zostało, ale i tak robi wrażenie.

– Jest dla ciebie ważna?

Muzyka zmieniła się, płynnie przechodząc w triumfalny, tnący powietrze utwór. Arjun odwrócił się i wsiadł do powozu. Nie miał już pewności, jak odpowiedzieć na to pytanie.

* * *

Przy Kręgu Fallona nie było już ani cicho, ani spokojnie. Żołnierze w czerwonych mundurach stali przed posiadłością Holbacha, maszerowali tam i z powrotem ulicą i gromadzili się wokół turystycznych stolików, gdzie grali w karty i palili bitumiczne skręty. Wojskowi sprawdzili ich nazwiska, po czym przepuścili Arjuna i Olimpię. W wyłożonym drewnianymi panelami holu stali kolejni żołnierze.

Holbach wyłonił się z jednego z wejść i przywołał ich gestem. Powędrowali za nim między przepastnymi półkami jego biblioteki, po czym usiedli przy stole na tyłach pomieszczenia, pod łukowo sklepionym oknem.

– Być może to jedyne miejsce w moim własnym domu, gdzie mogę swobodnie rozmawiać – rzekł.

– Co się tutaj dzieje?

– Nie słyszałeś? Olimpio, nie powiedziałaś mu? Rozumiem. Arjunie, podejrzewam, że ona chce mnie zmusić, abym sam ci o tym powiedział, tylko po to, by dostarczyć mi cierpień. Widzisz, obwinia mnie za to wszystko. Być może słusznie. Długo cię nie było, Arjunie. Prawie miesiąc, a to bardzo dużo w polityce. Pretensje hrabiny pod adresem gerenta Stross End doprowadziły do konfrontacji.

– Jej pretensje były wyimaginowane – odezwała się Olimpia. – Chciała dać przykład. W pełni zaprezentować swoją nową broń.

– Tak, tak. Broń, którą ja dla niej zbudowałem. A więc, Arjunie, dwa dni temu posłała ją na północ do Stross End i zwróciła jej działa przeciwko wieży gerenta. Połowa biur w dzielnicy handlowej została zrównana z ziemią. A ja znalazłem się pod stałą strażą, ze względu na groźbę odwetu.

– Mówiłam ci, w jaki sposób jej użyje, profesorze. Nicolas powiedziałby to samo, gdyby nadal był z nami.

– Czy wielu ludzi zginęło? – spytał Arjun.

– Dziesiątki, może setki. Nikt nie wie, czy był wśród nich gerent. Od tamtych wydarzeń hrabina jest zbyt zajęta, by ze mną porozmawiać; nie wiem, czy gdzieś go uwięziła, czy puściła wolno. Tak czy inaczej, on już jest bezsilny. Stracił całą potęgę podczas nieudanej obrony wieży.

Arjun nie potrafił przejąć się zgonami w Stross End. To miejsce było mu niemal zupełnie nieznane; wydawało się niezwykle odległe, oddzielone gęsto zabudowaną, nieoznaczoną na mapach, olbrzymią miejską przestrzenią, pełną ludzi, których nigdy nie pozna ani nawet nie zobaczy. Jednakże rdzenni mieszkańcy miasta potrafili obdarzać współczuciem cały obszar metropolii. Być może i on powinien się tego nauczyć.

– Musimy się pośpieszyć – rzekł Holbach. – Umówiłem się na lunch. Zatem, opowiedz nam wszystko.

Olimpia pochyliła się i złożyła palce, a profesor rozsiadł się wygodniej na krześle. Arjun rozpoczął swoją opowieść. Po chwili Holbach uniósł brwi.

– Nie był oszustem? Jesteś pewien? Może używał świateł, luster? Hipnozy? Może nafaszerował cię narkotykami?

Holbach wypytywał Arjuna o jego rozmowę z Shayem; wydawało się, że trwa to całymi godzinami. Arjun przekonał się, że bardzo niewiele pamięta po koszmarze spotkania z Tajfunem i całych tygodniach gorączki i uwięzienia, starał się jednak udzielać jak najpełniejszych odpowiedzi.

– Będziemy musieli spytać Brankena, czy słyszał o tym „heliotypie” – rzekł Holbach. – To bardziej jego domena niż moja.

Arjun stwierdził z ulgą, że nawet jeśli Holbacha rozzłościła niepotrzebna śmierć Shaya, to i tak przeważało w nim poczucie winy.

– Postąpiłem bezmyślnie, Arjunie. Dałem się ponieść ciekawości i nie wziąłem pod uwagę ryzyka. Może powinienem był posłać kogoś innego? Mam nadzieję, że przyjmiesz moje przeprosiny.

Arjun niechętnie opowiedział im o Tajfunie. Kiedy skończył, rzekł:

– Spodziewałem się po was innej reakcji. Bałem się, że będziecie się prześcigać w uwielbieniu dla tej... tej rzeczy. Nie zniósłbym tego.

– Niepotrzebnie się martwiłeś – odparła Olimpia.

– Raczej dzielimy twój stosunek do tej istoty – zapewnił Holbach. – Tajfun jest potężny, ale niezbyt użyteczny. Owszem, należy się go lękać, ale nie

podziwiać.

– Szczerze mówiąc, miałeś duże szczęście, że przeżyłeś – rzekła Olimpia. – Miałeś szczęście, że nie utonąłeś; to dopiero byłaby strata.

Holbach przytaknął.

– Zapewne został... czy ja wiem? Wyrzucony na brzeg? Może się o niego zaczepił? Czy kanały w ogóle mają brzegi? Moje badania rzadko pozwalają mi na odwiedzanie tamtych rejonów miasta. Tak wiele tajemnic! Olimpio, czy wiesz, że od śmierci Brindleya – cóż za smutna i brzydka sprawa – nie mieliśmy inżyniera kanalizacji? Myślisz, że to stanowisko wciąż jest wolne?

Na twarzy Arjuna musiały się odmalować niepewność i nerwowość, bo Olimpia posłała mu ostre spojrzenie, ignorując Holbacha.

– Tak? – spytała.

– Nie chcę opisywać samej wizji.

– W porządku – odparła. – Była potworna. Ale?

– Ale w ostatniej chwili poczułem, że to stworzenie się cofa. Nie utonąłem, ponieważ się ode mnie odwróciło.

– Ach, chwileczkę. – Holbach postukał pulchnym różowym palcem w blat stołu, by zwrócić na siebie uwagę. – Tylko nie stworzenie. Jesteś cudzoziemcem, więc możesz nie rozumieć. Kto wie, z jakimi prymitywnymi ludźmi miałeś do czynienia od chwili przybycia do miasta, oraz jakie prostackie i nieracjonalne teorie mogłeś usłyszeć. Wiedz jednak, że moce i bóstwa Ararat, niezależnie od tego, jak je nazwiemy, z pewnością

nie są stworzeniami. To nie zwierzęta!

– On mnie widział, profesorze, i...

– Ależ nie, zrozum, że to niemożliwe! Właśnie to Wayneflete nazywa pomieszaniem kategorii. Równie dobrze mógłbyś...

– On mnie nienawidził, profesorze. Pragnął mnie skrzywdzić.

– Równie dobrze mógłbyś powiedzieć, że noc dąży do ciemności, a grawitacja chce twojego upadku, albo, ha, że...

– W takim razie jest w nim jakaś wada, profesorze, jakaś choroba...

– Albo na przykład, o właśnie, że jest jakaś wada w zachodzie słońca, lub jedenasta godzina jest chora, rozumiesz?

– Był przestraszony, profesorze. Nigdy mi nie wybaczy.

– Co takiego?

Arjun zdał sobie sprawę z tego, że wstał. I chyba krzyczał. Zażenowana Olimpia odwróciła wzrok; Holbach miał w oczach łzy współczucia.

Arjun usiadł.

Holbach i Olimpia szybko zaczęli się porozumiewać za pomocą uniesień brwi, znaczących spojrzeń i dyskretnych ruchów głową.

Nagle Arjun bardzo zapragnął zostać w posiadłości i przeraził się, że zostanie z niej wyrzucony i pozbawiony towarzystwa ludzi, którzy, choć ekscentryczni i denerwujący, mogli przynajmniej rzucić trochę światła na

wydarzenia i wizje, jakie stały się jego udziałem tamtej straszliwej nocy.

Poza tym potrzebował pieniędzy.

Pan Haycock opanował pewien rodzaj uśmiechu i śmiechu, które wykorzystywał zawsze wtedy, gdy powiedział coś tak obraźliwego, że Defour była gotowa przepędzić go od stołu. Czasami ten śmiech sprawiał, że wszystko, co wydarzyło się przedtem, stawało się mało ważne i szybko popadało w zapomnienie. Teraz Arjun spróbował tej samej sztuczki.

Holbach westchnął.

– Jeszcze raz muszę cię bardzo przeprosić. Ojej. Mam nadzieję, że przynajmniej znalazłeś coś, co pomoże ci w twoich poszukiwaniach?

Arjun zdał sobie sprawę, że strach przed Tajfunem sprawił, że zapomniał o swoim własnym bogu. Pokręcił głową.

– Nie wiem, czy nadal je prowadzę. Nie... proszę nie pytać.

Zapadła cisza.

Holbach kontynuował:

– Cóż. Moja propozycja jest aktualna. Potrzebuję tłumacza, który zna tuwarski. Chcę także zrekompensować ci straty, które przeze mnie poniosłeś. Jesteś zainteresowany?

– Straciłem resztę pieniędzy. Być może stało się to w wodzie, a może zabrały je siostry. Muszę coś jeść. Potrzebuję nowych ubrań. Możliwe, że będę musiał

opłacić podróż powrotną do Gad... jeszcze nie podjąłem ostatecznej decyzji. A więc tak, jestem zainteresowany. Czym dokładnie się zajmujesz, profesorze?

* * *

Holbach uwielbiał opowiadać o swojej pracy; było to widać po jego oczach, gestach, płynnie zmieniającym się tempie doskonale przygotowanych wypowiedzi oraz entuzjastycznych dygresjach.

– Uważam się za naukowca, a nie za mistyka, kapłana bądź czarownika, choć określano mnie każdą z tych nazw. Naukowca. W takim samym stopniu jak, powiedzmy, doktor Branken, którego być może wkrótce poznasz, a który specjalizuje się w optyce, albo nasz kolega Marchant, prawnik. Moją specjalnością jest to co święte. Można powiedzieć, że jestem geografem, kartografem świętego miasta, badaczem sił, które kryją się pod jego powierzchnią, deformują je i kształtują. Sił, które, stosując terminologię dra Kamffa, choć w sensie innym niż zamierzony, co zapewne od razu zauważysz, jeśli znasz jego dzieła – nie znasz? – określiłbym jako „tektoniczne”: naszych stwórców i architektów. Czasami nazywa się je siłami „demiurgicznymi”, ja jednak wolę własne określenie. O tych siłach opowiada się wiele bzdur. W istocie miasto jest niejako z nich zbudowane. Opiera się **na** absurdalnej czci. Zapewne zdajesz sobie z tego sprawę. Owszem, to prawda, że nasi bogowie są dziwni i trudno

ich zrozumieć, podobnie jak pełne tajemnic i dziwactw miasto, które zbudowali. Jednak pomimo ich niejasnej natury nie ma powodu, by postrzegać ich jako z gruntu tajemniczych. Nie bardziej niż siły, które ustaliły bieg rzeki, ukształtowały linię wybrzeża czy wyrzeźbiły góry. Można je zmierzyć, rozrysować, zrozumieć.

Gospośia przyniosła na srebrnej tacy kawę. Arjun z wdzięcznością przyjął napój. Dodał do niego gęstego miodu i z zapalem pociągnął łyk. Kawa była lepsza od wszystkich lekarstw sług Nessene.

– Oczywiście rozumiem służalcze skłonności innych obywateli. Jak zapewne wiesz, byłem świadkiem niedawnego powrotu Ptaka. Co prawda byłem wtedy bardzo zajęty, a bóstwo widziałem tylko z oddali, ale... Poza tym, gdy pewnego dnia byłem w Arkadach, gdzie kupowałem perfumy dla pewnej młodej damy, której, niestety, już z nami nie ma, objawił się tam Orillia – duch światła? Bóg Oświecenia? – i nagle wszystkie szklane przedmioty oraz lampy zwieszające się na łańcuchach pod łukami zyskały niezwykłą głębię i jaskrawo rozbłysły. Zanim się zorientowałem, klęknąłem i zacząłem szarpać się za włosy razem z resztą tłumu. Zatem rozumiem doskonale. Ale właśnie w tym tkwi problem; zwykli ludzie, a także, niestety, liczni uczeni starają się poznać te siły od środka, uczestnicząc w objawieniach. Tymczasem równie dobrze można badać szerszenie, wkładając głowę do ich gniazda. To tylko doprowadza do szaleństwa. Powinniśmy przyglądać się bóstwom z daleka,

obserwować ich ślady. Jest to nauka oparta na znakach. Wymaga cierpliwości, ale nie ma innej drogi.

Olimpia zamocowała w cygarnicze cienkiego czarnego papierosa. Holbach, nie patrząc, popchnął w jej stronę mosiężną popielniczkę.

– Oto przykład. Z pewnością wiesz, że skutecznie przewidziałem powrót Ptaka do miasta. Zaobserwowałem wiele ważnych znaków: na przykład białe gołębice, które na Targowisku Kanker zastąpiły zwyczajne gołębie. Objawy rosnących napięć wewnątrz miasta; tych samych napięć, które kształtują i tworzą Ptaka. Zwiastuny i zapowiedzi jego powrotu. Podobnie można postąpić choćby z Lavilokanem, którego znaki często pojawiają się na scenie, jak przystało na boga luster. Dlatego uważam się za geografa-przyrodnika. Można także potraktować miasto jak maszynę, a tektoniczne siły uznać za ciśnienia i ładunki, które gromadzą się w silniku i poruszają jego elementami. Czasem nawet skłaniam się ku myśli, że bóstwa są raczej produktami ubocznymi niż samoistnymi siłami, tak jak ciepło wydzielane przez silnik. Przy czym nie przeczę, że chodzi tu o silnik o nieprawdopodobnej złożoności. Bywa, że oskarża się mnie – wyznał, chętnie rozpoczynając dygresję – o zbytne upraszczanie, lekceważenie złożoności miasta i obecnych w nim sił. Nic bardziej mylnego. Przyjrzyjmy się teoriom moich rywali: na przykład doktor Lodwick i jego *Ekstrapolacje*. To, co określiłem mianem sił tektonicznych, on uparcie nazywa bogami. Uważa, że te siły czegoś chcą, być może pragną

nam coś przekazać. Dlatego dostrzega znaki w, ach, zwykłych wydarzeniach. Incydentach. Czknięciach. Widzi proste zasady i regularności tam, gdzie ich nie ma. Rozumiesz?

– Ach...

– Według niego to jest rozmowa podobna do tej, jaką my teraz prowadzimy. Sądzi, że oni chcą coś znaczyć dla niego i dla nas. Osobiście uważam, że to kwestia naturalnych procesów, które, jako że nie istnieją po to, byśmy je rozumieli, przebiegają w bardzo niejasny sposób. Przewidywanie i kontrolowanie takich sił to nie tylko nauka, ale i sztuka. – Holbach klepnął dłonią w blat. – I właśnie do tego zmierzam. Człowiek, który rozumie działanie silnika oraz zna rozmieszczenie jego dźwigni, może go wykorzystać, ujarzmić jego siłę. Tak jak zrobiłem w przypadku „Gromowładnego”. Cokolwiek może z tego wyniknąć, jakkolwiek okręt zostanie wykorzystany, obawiam się, że nie potrafię żałować stworzenia go. On odzwierciedla nadzieję, jaką niesie nauka. Wszystkowidzące oko zaprzęgnięte do tworzenia map. Moja obietnica dla potomnych, dla naszej przyszłości.

Wydawało się, że profesor czeka na oklaski. Arjun starał się sprawiać wrażenie zachwyconego. To wszystko jednak było bardzo odległe od jego sposobu myślenia: Chór nigdy nie martwił się o przyszłość ani nie próbował ujarzmić Głosu, a jedynie powtarzać jego brzmienie aż do końca czasu. Najwyraźniej nie byli wielkimi myślicielami.

– Teraz już pewnie rozumiesz, dlaczego zainteresowałem się właśnie tobą. Twoim Głosem. Bogiem spoza miasta, który, z tego co mówisz, mógł zostać tutaj zwabiony. Czy to możliwe? Chciałbym się dowiedzieć. Zresztą nie wiem nic o bogach, którzy mieszkają poza tymi murami. Powinienem lepiej ich poznać. To bardzo intrygujące zagadnienie. Będziemy musieli o tym porozmawiać, być może już wkrótce.

Zapadła cisza, którą po chwili przerwał Arjun.

– Sądzę, że miasto by cię znienawidziło, profesorze. Na przykład tłum przed Obserwatorium. Czy potraktowałiby cię lepiej niż Shaya? Czy nie uznaliby opowieści o siłach i silnikach za bluźnierstwo?

– Z pewnością, gdyby tylko mieli okazję je usłyszeć. Chociaż wielu innych by mi przyklasnęło. My, mieszkańcy miasta, zawsze jesteśmy podzieleni. Tak czy inaczej, nie publikuję takich teorii tam, gdzie mogłyby trafić w ręce tłuszczy bądź cenzorów. A przynajmniej nie pod swoim nazwiskiem.

– Nicolas tak robił – wtrąciła się Olimpia.

– I sama zobacz, dokąd go to zaprowadziło! Został uciszony i wygnany; miał szczęście, że nie obcięto mu uszu. Był odważniejszy ode mnie, zgoda, ale zniknął, a ja nadal tutaj jestem. Nie, ten rodzaj opowieści jest przeznaczony dla oświeconych ludzi. Mogę drukować wyniki badań, nie zdradzając przy tym głębszych przemyśleń. Mogę tłumaczyć swoje dzieła na język sługusów. Pozwalam im nazywać „Gromowładnego”

błogosławieństwem bogów zamiast triumfem rozumu. Tak jest najbezpieczniej. – Holbach stracił pewność siebie. – Jednak jak na razie „Gromowładny” stanowi moją prywatną obietnicę, którą nie mogę się bezpiecznie podzielić z innymi.

Arjun potarł czoło. Chciał spytać, czy cokolwiek z tego ma znaczenie. Skoro wszystko, co Holbach ma do powiedzenia, można wyrazić zarówno w języku religii, jak i w języku nauki, to czy różnica jest aż tak istotna? Nie był pewien. Potykał się o własne słowa i Holbach chyba go nie rozumiał.

– Cóż – odrzekł profesor – nie przejmuj się. Nie musisz rozumieć teorii, by wykonywać pracę, o której myślę. Przynajmniej nie jesteś zaszokowany, a to już wygląda obiecująco. Porozmawiajmy zatem o twoich obowiązkach.

Holbach poprowadził Arjuna wzdłuż półek, po drodze zatrzymując się i biorąc z nich różne książki: broszurkę w kolorze martwej skóry, dwa grube tomy oprawione w czarną skórę, zszytą stertę kartek zapisanych na maszynie. Układał je Arjunowi na wyciągniętych rękach.

– Twoja praca będzie polegała na tłumaczeniu tych tekstów. Już wiesz, co mnie interesuje. Według wszelkich dostępnych źródeł Tugarowie byli wybitnymi, a przynajmniej bardzo płodnymi badaczami teologii. Razem ponownie wydobędziemy ich naukę na światło dzienne! A tak, to także weź. I to również. Oczywiście wszystkie te teksty są bardzo stare. W tym mieście nie napisano

niczego po tuvarsku od, och, bogowie wiedzą jak dawna. Jednak to zaskakujące, jak niewielkie postępy poczyniła teologia. Najlepiej zacznij od tego – rzekł, wsuwając na wierzch sterty cienki dziennik. – Jeżeli wzmianki w *Listach* Varady'ego są zgodne z prawdą, to zawiera on opis ważnych badań dotyczących Czarnego Byka. Powinny cię one zainteresować – Byk to siła, która już nie istnieje, bóg, który zszedł z posterunku. Porozmawiamy później, zobaczymy, jak ci idzie. W tej chwili muszę pędzić na lunch. Potem będę do twojej dyspozycji do końca tygodnia; obawiam się, że moje pozostałe spotkania zostały odwołane. – Ze smutkiem wskazał drzwi, za którymi stali na straży żołnierze. – Ludzie chyba boją się pokazywać w moim towarzystwie. Olimpia porozmawia z tobą o twojej pensji. Miło było cię znowu spotkać.

Holbach usiłował uścisnąć Arjunowi obciążoną dłoń, ale zamiast tego tylko poklepał go po ramieniu. Odwrócił się i zniknął między półkami. Arjun usłyszał fragment rozmowy, która rozpoczęła się w sąsiednim pomieszczeniu.

– Dzień dobry, kapralu. Jak stan zapalny u pana syna?... Ojej, bardzo mi przykro, może znam kogoś, kto mógłby pomóc, niech no pomyślę... A co u pana żony?

* * *

Na korytarzu Olimpia oparła się o marmurowe popiersie jakiegoś myśliciela o bujnej brodzie.

– Gratulacje – powiedziała. – Witaj na łonie rodziny. Co prawda nie jesteś najdziwniejszą osobą, jaka kiedykolwiek pracowała dla profesora, ale i tak wydajesz się ciekawy. – Zabębniła palcami w łysą głowę rzeźby. – Holbach nie ma pojęcia o wartości pieniędzy, więc zazwyczaj płaci swoim tłumaczom...

– Jak umarł Brindley? Holbach wspomniał o jakimś inżynierze kanalizacji, który z wami współpracował i pisał dla was o kanałach. Jak umarł?

– Och, to było zanim się tu pojawiłam. Na coś zachorował. Czernica płuc? Drgawki? Choroba Langshawa? Kanały to paskudne miejsce.

– Mogę przeczytać to, co dla was napisał?

– Ach. Może. Zobaczymy. Prawdę mówiąc, Holbach zachował się odrobinę niedyskretnie. Pozwolisz, że nie będziemy więcej o tym rozmawiać? Proponuję, żebyś zajął się pracą i zapomniał o kanałach. Paskudne miejsce! Niedługo muszę iść, więc powinniśmy porozmawiać o twojej pracy. Zapłacimy ci...

* * *

Powóz przywiózł Arjuna z powrotem do „Cyprysa”.

– A więc pan nie umarł? – odezwał się Haycock – Zachwycający szlafrok. Czyżby pan oszalał?

– Przez jakiś czas byłem chory. Ale już czuję się lepiej.

Jego pokój został wynajęty niejakiemu panu Lovage'owi, który tylko lekko uchylił drzwi i unikał

kontakty wzrokowego.

– Skąd miałam wiedzieć, że pan wróci? – prychnęła Defour. – Zresztą zniknął pan, nie opłaciwszy czynszu za cały tydzień.

Haycock sprzedał książki Arjuna.

– Łatwo popełnić taki błąd – wyjaśnił. – W tych okolicznościach spróbuję to panu jakoś wynagrodzić. Proponuję rabat. Jeszcze o tym porozmawiamy, dobrze?

Później Arjun przypomniał sobie o kopercie pod łóżkiem.

– Jaka koperta? – zdziwił się Lovage.

– Nieważne – odrzekł Arjun.

* * *

Holbach zaproponował hojną pensję. Dzięki referencjom profesora Arjun wynajął pokój w „Jąkających Wrotach”, na południe od Okręgu Foyle'a, niedaleko domu Holbacha. Jego sąsiadami byli studenci, uczeni oraz kapłani niezwiązani z żadnym konkretnym wyznaniem. Nowe lokum mieściło się w kamiennej wieży, która niegdyś stanowiła dzwonnice zlikwidowanego kościoła. Okna wychodziły na cmentarz.

Nawet się nie starał umeblować pokoju. Znalazł w nim łóżko, biurko i krzesło; to mu wystarczyło. Ustawił biurko pod oknem, gdzie czuł chłodny przeciąg, który przypominał mu o domu. Na rogu ulicy mieścił się mały, pachnący woskiem zakład wytwarzający świece. Arjun

kupił ich całą skrzynię. Następnie ją opróżnił i ustawił do góry nogami, otrzymując boczny stolik, na którym mógł umieścić kałamarz z czarnym atramentem i dzbanek wina.

Na ścianie wisiało jakieś zakurzone ustrojstwo złożone ze zwróconych ku sobie luster powiązanych drutem i wężową skórą, obwieszone dzwonkami, zębami i dachówkami. Czy był to symbol jakiegoś konkretnego boga, czy może mieszanka wielu różnych symboli? Czymkolwiek był ten przedmiot, Arjun zdjął go ze ściany, złożył i wsunął pod łóżko.

Położył na biurku książkę, od której Holbach polecił mu zacząć, a pozostałe tomy umieścił obok swoich stóp. Rozwinął arkusz i zamoczył pióro w kałamarzu. Pierwszy wieczór spędził, spoglądając na cmentarz i szukając na zimnym dnie swojego umysłu pozostałości pasji, która przywiodła go do miasta, pozwalając, by atrament wysechł na stalówce.

Rozdział 22

Gdy grawitacja zaczęła ściągać Jacka w dół, akurat przelatywał nad jakimś dziwnym gettem. Był to zamknięty krąg wysokich budynków, których iglice chyliły się ku sobie niczym palce delikatnie zamykającej się dłoni. Jack jeszcze bardziej obniżył lot, idąc na kompromis z grawitacją; jeszcze nie potrafił z nią walczyć. Okręt zniknął w oddali.

Kiedy się zbliżył, zobaczył że ściany iglic są poprzecinane dziwnymi dolinami i graniami, niczym powierzchnia płynnego wosku. W świetle księżyca krąg przypominał dłoń zmalretowanego trupa. Jack wylądował na iglicy i usiadł ze skrzyżowanymi nogami, a brudne włosy opadły mu na twarz.

Było mu niewygodnie. Granie, które widział z powietrza, powtarzały się w coraz mniejszej i mniejszej skali, aż w końcu przypominały zagłębienia wykonane koniuszkiem palca. Przeciągnął po nich dłonią, dziwiąc się nakładowi pracy, który musiał towarzyszyć stworzeniu ich.

Latał. Trudno było dopuścić do siebie tę myśl. Nieprzenikniony cień oddzielał racjonalny umysł, który siedział na dachu, zastanawiając się, jak wrócić do domu, od istoty, która szybowała na wietrze. Czuł się dziwnie.

Pewnego wieczoru, przypomniał sobie, spoglądając na wierzch dłoni i zginające się palce, pewnego wieczoru,

gdy dopiero od niedawna przebywał w Domu, zapędzono go razem z innymi chłopcami do sali wykładowej na trzecim piętrze, gdzie siedząc w ciemności wysłuchał wścieklej przemowy pana Coila.

– Co się zaś tyczy bóstw, jest naszym świętym obowiązkiem cierpliwie i w spokoju otwierać się na wiadomości, które nam przekazują; jak mawiają moi koledzy, bez nich nie mamy celu. A zwłaszcza bez Tybru, oczywiście, oczywiście, oczywiście, niech będzie chwała. Kim byśmy bez nich byli, czym byłoby to miasto? Jedyne mechanicznymi figurkami bezcelowo poruszającymi się po wyznaczonych torach. Tego możemy być pewni. Teraz jednak, szcurki, będę z wami omawiał najnowsze naukowe odkrycia. Tak jak niegdyś mógłbym to czynić w salonach Nicolasa Maine'a, gdyż właśnie z takich wyżyn spadłem. Filozofowie otworzyli mózg, szcurze dzieci, rozłupali czaszkę nożami, złamali kręgosłup i wyrwali wszystkie krwawe tkanki, które tak wygodnie was otulają. Najpierw małpom, potem brudnym złodziejaszkom, takim jak wy. Mózg to mięso, którym myślicie. Dowiedli tego w ciekawy sposób, ponownie wykorzystując dewiantów i kryminalistów, oszczędzę wam jednak drastycznych szczegółów, jestem wszak łagodnym pasterzem. Myśli za was kawał materii w waszych krzywych czaszkach. Mniej więcej tej wielkości. – Pokazał rękami. – Pełen krętych uliczek. Odkryto, że przenikają go ładunki elektryczne, które pobudzają mięso do ruchu. Rozumiecie, czym jest elektryczność, pisklaki? Wyobraźcie sobie ogień;

przypomnijcie sobie, jak pełzał i strzelał iskrami po powierzchni drewna, gdy wasz zapijaczony, gnuśny ojciec musiał spalić wasze meble. Iskry przeskakują tutaj, a nie tam, na skutek czego powstaje w was wola rozbicia okna bądź ukradzenia torebki, od których to ruchów zależy wasz los.

Coil uderzył dłonią w stół.

– A więc! Możemy traktować bóstwa pojawiające się na ulicach miasta jak impulsy mocy, które podróżują ścieżkami mózgu. To ich ruchy nadają miastu znaczenie. Możemy postrzegać nasze miasto jako organ, który stanowi ich siedlisko i pozwala odczytywać ich przesłanie.

Coil dalej rozwijał tę analogię, ale Jack przestał go słuchać. Pomysł, że jego myśli są skutkiem ruchów i drgań kawałka mięsa w głowie, nie dawał mu spokoju. Czyż to nie on jest źródłem swoich intencji? Spędził kilka nocy, siedząc w ciemności na posłaniu z wyciągniętą przed siebie ręką, na zmianę zginając i prostując palce, próbując wyczuć chwilę podjęcia decyzji o ruchu; czy to on sam działa, czy może kieruje nim coś innego? Nie potrafił tego stwierdzić.

W końcu z tego wyrósł i przestał się przejmować. Jednakże teraz te myśli wróciły. Pod ich wpływem czuł się rozdarty. Latanie jest niemożliwe i nie może podlegać jego woli, a jednak najwyraźniej tak właśnie się dzieje. Szukał w swoim wnętrzu mechanizmu uruchamiającego tę moc. Nie mógł go znaleźć.

Przed nim, w odległości kilku ulic, rozciągała się ciemna równina. Płonęły na niej ogniska. Jackowi wydawało się, że widzi zwierzęta poruszające się w zagrodach, ale mogły to być tylko cienie.

Próbował ustalić, czego może być pewien. Po pierwsze, na czymkolwiek polega jego moc – a nie mógł już dłużej udawać, że są to naturalne zdolności – musi mieć związek z szybkością i wdziękiem, którymi wykazuje się podczas kradzieży, walk i gonitw po dachach. Po drugie, moc bez wątpienia ma swoje źródło w magii, która zjednoczyła go z Ptakiem. Spodziewał się jednak, że Ptak jedynie na chwilę użyczy mu zdolności lotu, umożliwiając ucieczkę. W jaki sposób moc połączyła się z nim trwale? Czy stało się tak ze względu na jakieś niejasne zamiary bóstwa?

Jak powiedziałby Coil: tylko tyle dało się wywnioskować na podstawie pierwszych faktów. Dalsze ustalenia wymagały eksperymentów. Zatem po trzecie, moc ma ograniczenia. Albo to on je ma. Nie może unosić się w powietrzu bez końca, przynajmniej na razie. Lot go męczy; nie da się wiecznie oszukiwać grawitacji.

Jack przysunął się na czworakach do rzeźbionego gzymsu, który sterczał w niebo niczym bezkształtna pięść. W ciemności nie widział ulicy w dole, z czego zapewne powinien się cieszyć. Próbował sobie przypomnieć, co czuł, gdy odbijał się z dachu Domu Barbotina. Trzymając się tego wspomnienia, skoczył.

Rozdział 23

Początkowo praca Arjuna postępowała powoli. Od dawna nie próbował czytać po tuvarsku, a był to trudny język. Ze wszystkich, których nauczył się w młodości, ten lubił najmniej – tak wiele zależało w nim od drobnych zmian tonu – poza tym martwiło go, że nie wie, jak powinny brzmieć poszczególne dźwięki. Nigdy nie opanował melodii tej mowy. Jednakże chwilowo nie miał lepszego pomysłu na to, co ze sobą począć.

Cienka czerwona książeczka, od której Holbach polecił mu zacząć, nosiła tytuł *Dziennik Roku Byka*. Wyglądała na zapis serii... trudno powiedzieć czego – Arjun nie był pewien, czy były to eksperymenty, takie jakie przeprowadzał Holbach, ceremonie religijne, czy może wypowiedzi artystyczne. Słowo, którym opisywał je autor dziennika, było powiązane z czasownikiem „działać”, zatem Arjun na razie zapisał „działania”.

Tych działań było dwadzieścia trzy. Autor, czasem samodzielnie, a czasem w towarzystwie licznych współpracowników, spacerował po mieście, obierając skomplikowane szlaki. Zdarzało się, że wędrowcy przez kilka dni pościli, zażywali narkotyki, a w jednym przypadku, jeśli Arjun prawidłowo odczytał tekst, poddali się chirurgicznemu zabiegowi czaszki. Wprowadzali w mieście zmiany: popełniali drobne akty wandalizmu lub dobroczynności, grali muzykę, wzniecali pożary,

malowali lub przemieszczali różne obiekty, zabierali przedmioty lub je podrzucali. Wszystko to miało na celu wywoływanie, opóźnianie bądź zmianę przebiegu objawień boga zwanego Czarnym Bykiem.

Tekst okazał się trudny. Był to prywatny dziennik, pełen skrótów i zagadkowych osobistych uwag. Po tygodniu pracy Arjun odłożył książeczkę na bok i zabrał się za kolejną; zamierzał wrócić do rozpoczętego tłumaczenia, gdy dowie się więcej o Tuvarach. Kiedy pojawił się w pracowni Holbacha, by mu to wyjaśnić, profesor nieobecny głosem stwierdził: „To wydaje się rozsądne” oraz: „Oczywiście jestem ci bardzo wdzięczny za twoje wysiłki”, po czym pośpiesznie odprowadził go do wyjścia.

Arjun postanowił rozpocząć pracę nad jednym z tomów oprawionych w czarną skórę. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że jest to poemat epicki, dzieło wielu autorów, opatrzone adnotacjami całego pokolenia uczonych. Tekst opowiadał o diasporze ludu Tuwarów.

Pochodzili z zimnych i deszczowych równin na północy. Na zachód od nich na skutek rozpadu królewskiego małżeństwa upadło imperium i na równinach rozpanoszyli się barbarzyńcy. Tuvarowie zwinęli swoje namioty, złożyli je na grzbietach wołów i wyruszyli w różnych kierunkach, szukając miejsc, w których nie było barbarzyńców. Po wielu przygodach, wliczając okres niewoli, pracę przy obsłudze olbrzymich kół jakiejś stalowej maszyny, a także incydent z

kuszeniem przez duchy-nimfy na wybrzeżu, jedna z grup Tuvarów dotarła do Ararat.

To wszystko wydarzyło się kilka wieków przed napisaniem poematu, liczącego sobie również kilkaset lat; także papier, na którym wydrukowano książkę, był pożółkły i kruchy ze starości. Arjun przepisał obszerne fragmenty tekstu do dzienników i na luźne kartki; nosił je zawsze przy sobie i pracował w kawiarniach; jego biurko, podłoga i kieszenie były pełne odręcznie zapisanych arkuszy.

Wyglądało na to, że Tuvarowie osiedlili się w północnej dzielnicy miasta, w pobliżu góry. Znaleźli miejsce, które niemal doszczętnie spalono po przejściu zarazy, i wrócili do uprawy roślin. W drugim tomie autorzy poematu odchodzili od opowieści o heroicznej wędrówce i zaczęli opisywać niekończące się prawne i ekonomiczne batalie z nowymi sąsiadami. Proroków i badaczy zastąpili kapłani i burmistrzowie. Niektórzy zarobili duże pieniądze na handlu tkaninami. Potem nastąpił długi i dziwny epizod, podczas którego doszło do konfliktu pomiędzy ich pierwszym przywódcą a rdzennym mieszkańcem miasta, który był lustrzanym odbiciem rywala, dzielił jego los i próbował ukraść jego życie. Obaj przeciwnicy wierzyli, że walczą o jedną duszę; nie mogli razem mieszkać w mieście. Jeden z nich zginął. Nie było pewne który. Autorzy poematu opisywali to zdarzenie jako typowy przykład zdradzieckiej i pokrętnej natury Ararat.

Jednak przede wszystkim drugi tom opowiadał o Czarnym Byku. Wreszcie coś, na czym zależy Holbachowi.

W swojej ojczyźnie Tuvarowie czcili jednego boga, męskie bóstwo o głowie wołu, pana deszczu i mgieł, który nawoził rośliny i zapładniał bydło. Bóg nie miał imienia: nazywali go Ojcem, Synem bądź Ziemią. Potwornie cierpieli, gdy musieli go porzucić – jedzenie wyhodowane z obcych nasion było pozbawione smaku, a gleba, której nie nawadniał Ojciec, wydawała się sucha i kruszyła im się pod stopami – jednak nie znali ofiar ani rytuałów, które mogłyby nakłonić bóstwo, by za nimi podążyło. Arjun rozumiał ich ból.

W Ararat odnaleźli Czarnego Byka, istotę, która zwykła pędzić przez miejskie parki i wrzosowiska oraz z hukiem przemierzać uliczki, sprawiając, że ściany pochylały się i trzęsły. Można ją było spotkać w starych i dzikich miejscach, takich jak wyniszczony obszar, na którym zamieszkali Tuvarowie. Rogaty łeb i szerokie ramiona boga przypominały im Ojca. Para, która unosiła mu się z pyska, kojarzyła im się z mglistą ojczyzną. Była to potęga bogatej pradawnej przeszłości miasta. W drewnie i pod czarną ziemią tkwiły pogrzebane kości potworów; Byk wydobywał te relikty, obiecując głęboką i ciemną glebę, obfite i niekończące się plony. Uznali to za dar Ararat, wizerunek ich pierwszego Ojca, i zaczęli go czcić oraz opisywać na wiele różnych sposobów.

Mieli znacznie więcej szczęścia niż ja, pomyślał Arjun.

Ucieszyło go to, co przeczytał. Jednak zarazem czuł smutek, że w ciągu wieków, które upłynęły od powstania poematu, Tuvarowie zniknęli z miasta. Z tego, co wiedział, podobny los spotkał Czarnego Byka oraz wszystkie inne pozostawione przez nich ślady, nie licząc kilku książek, które pleśniały w bibliotekach tego obcego miasta, niezrozumiałe niemal dla nikogo.

* * *

Zdał sobie sprawę, że stał się człowiekiem zamożnym; Holbach był szaleńczo hojnym pracodawcą. Arjuna było stać na wynajęcie pomocy.

Wrócił do „Cyprysa”. Niedaleko jego mieszkania znajdował się postój powozów, tam też czekały nań konie, postukując podkowami o bruk. Pojechał do Shutlow. Przez całą drogę towarzyszyła mu myśl, w jak luksusowych warunkach podróżuje. Dzielnica wydała mu się niezwykle biedna i surowa. Nie tylko biedna – w końcu w niektórych rejonach Jąkających Wrót także gromadzili się głodujący uczeni, artyści i mistycy, a jego własne mieszkanie w porównaniu z bogatszymi dzielnicami Ararat sprawiało ubogie wrażenie – ale przede wszystkim ponura. Bezbarwna.

Zaczekał na powrót Haycocka. Niewysoki handlarz uśmiechnął się z wyższością, gdy go zobaczył.

– Wrócił pan? Teraz już możemy porozmawiać o interesach?

– Ja też się cieszę, że pana widzę, panie Haycock. Owszem, możemy.

Usiedli w ogrodzie i Arjun wyjaśnił, czego szuka. Książki o miejskich bogach mogły poczekać. Na razie miał do wykonania pracę i potrzebował słowników, książek historycznych i wszystkiego, co może mu pomóc lepiej poznać język Tuvarów.

Minęła ich Defour. Była ubrana na czarno i zasłaniała twarz chusteczką. Weszła do pensjonatu, nie zauważając Arjuna lub go ignorując.

– Oto wielki pokaz pobożnej żałoby po, jak... mu tam – wyjaśnił Haycock. – Po Norrisie. Jak słyszałem, dopadły go w końcu wódka albo zgnilizna płuc. Wywróciły go na lewą stronę. Prawdę mówiąc, stało się to w tym samym miejscu, w którym pan teraz siedzi. Ha!

Heady to widział i mówi, że wyglądało paskudnie. Gdy staruszek po raz ostatni wrócił do domu, padał ulewny deszcz.

Haycock zilustrował tę scenę, wędrując poźółkłymi palcami lewej dłoni w poprzek blatu.

– I grad. Norris był zbyt pijany, żeby pomyśleć o włożeniu płaszcza. A także wystarczająco pijany, by przełknąć wszystko, co tylko było mokre. Zakaszłał, zakaszłał i bum!

Haycock uderzył prawą pięścią w otwartą lewą dłoń.

– Heady powiedział, że facet wykaszłał z siebie czarne flaki, a jego krew wyglądała jak żużel. Naprawdę nic wesołego. Ale musi pan wiedzieć, że to się ostatnio często

zdarza w tych okolicach. Starzy pijaczkowie nie zawsze przeżywają zimę; to smutne, ale tak już jest. Zatem, wracamy do interesów. Hej, dobrze się pan czuje?

* * *

Arjun nie przyjaźnił się z Norrisem. Rozmawiali ze sobą tylko raz czy dwa. Dokładniej rzecz ujmując, Arjun wysłuchał dwóch rozwlekłych monologów. A jednak go znał. Dlatego spytał Defour, gdzie pochowano zmarłego, i poszedł się z nim pożegnać.

Norris spoczywał w zbiorowej mogile na obrzeżach Domu Cere, na terenie piaszczystego kręgu otoczonego posągami. Nie był na tyle ważny, by zasłużyć na uroczyste ceremonie, które czekały na zmarłych w wewnętrznych strefach i tunelach Domu. Otrzymał niewielką plakietkę w siedemdziesiątym siódmym rzędzie. Pod nią spoczywały jego prochy.

Obok plakietki leżał płaski kamień, spod którego wystawał róg brązowej kartki. Arjun odsunął kamień. Pod spodem tkwiła złożona koperta od Pajaka zaadresowana do Arjuna. Zapewne ktoś zostawił ją dla Norrisa. Może Defour? Co dla niej znaczyła? Czy miała symbolizować nadzieję na nową ścieżkę, nowe możliwości, odrodzenie? A może miała oznaczać: „Ciesz się z tego, dokąd dotarłeś, zaakceptuj swój los, nawet taki”? Nie było sposobu, by to stwierdzić. Arjun zakładał, że Defour miała dobre intencje. Odłożył kopertę na miejsce.

Co cię zabiło?

Arjun nie miał pewności, czego się spodziewał. Kiedy Haycock opowiedział mu swoją paskudną historię, Arjun był pewny, że Norris zginął od trującego dotyku Tajfuna – tak pewny, że niemal dostrzegł zimną czarną mgłę zbierającą się nad ogródkiem piwnym i czuł smród istoty wynurzającej się z wody i przedostającej na ulicę. Być może wyobrażał sobie, że nad mogiłą staruszka wciąż wisi jakaś złowroga, nieświęta aura.

Jednak niczego tam nie było; tylko schludna, funkcjonalna plakietka oraz, pod kamieniem, czyjś drobny i smutny gest sympatii.

Arjun czekał tam przez chwilę, rozdrażniony i rozczarowany.

Wokół grobu oddalonego o kilka rzędów zebrało się coś w rodzaju chóru. Spoczywający tam zmarły był ubogi, lecz lubiany. Chór zaśpiewał mu smutną pieśń. Mieli słabe, niećwiczone głosy, jednak muzyka to rekompensowała. Była to piosenka, której nauczył mężczyznę grającego na lirze korbowej przy ulicy Moore'a. Pobrzmiewało w niej echo Głosu. Wciąż się rozprzestrzenia, pomyślał Arjun. To dobrze. Ucieszył się, że melodia znów sprawia mu przyjemność. To oznaczało, że goją się jego rany.

– Chyba może to być także mój podarunek dla ciebie – szepnął, patrząc na grób Norrisa. – Jeśli jest on cokolwiek wart.

Potem poczuł się zażenowany, więc wstał i odszedł.

Rozdział 24

Arlandesa nikt już nie kochał. Przyjmował to z pewną ulgą. Po Stross End gazety i plotkarze wreszcie zaczęli odwzajemniać jego niechęć. Miasto już nie uważało go za fascynującą postać. Skończyły się romantyczne bzdury – hołdy składane jego połyskującej szabli, jego żalobie i oddaniu samotnej służbie, odwadze i surowemu pięknu. Miasto zaczęło go traktować z chłodną rezerwą. Kilka gazet odważyło się zasugerować, że jest przepracowany. Jacyś podżegacze, którzy dorwali się do prasy drukarskiej, zarzucili mu szaleństwo; hrabina szybko posłała ich do Róży, zakutych w łańcuchy.

Na ulicy Harfowej od miesiąca grano sztukę, w której w postać Arlandesa wcielał się jakiś zniewieściały pederasta o oczach umalowanych na czarno, co stanowiło pastisz żałoby. (Fikcyjna wersja Lucii ginęła z rąk piratów; w sztuce Arlandes mścił się na nich i w ten sposób odzyskiwał wewnętrzny spokój). Kapitan konsekwentnie odrzucał wszystkie zaproszenia na przedstawienie, które odniosło wielki sukces. Jednak po Stross End sprzedaż biletów zwolniła, a wkrótce całkowicie ustała i dwa tygodnie później sztukę zdjęto z afisza.

Pan Hildebrand – ojciec Lucii – nareszcie zarzucił próby złożenia Ariandesowi wizyty, zarzucił próby porozmawiania z nim o interesach. Starzec przyczołgiwał

się do niego co tydzień, aż do wydarzeń w Stross End: po nich wreszcie zamilkł. We wspomnianej parodii sztuki jego postać uczyniono inwestorem; być może teraz lizał rany.

Bycie nielubianym napełniało Arlandesa ponurą satysfakcją. Lepiej, by tłum go nienawidził, niż lubieżnie i chciwie usiłował uczestniczyć w jego osobistym cierpieniu. Lepiej, by nim pogardzał, niż maczał brudne palce w jego duszy.

Przez całą zimę prawie do nikogo się nie odzywał i niewiele osób odzywało się do niego, nie licząc wydawanych oraz otrzymywanych rozkazów. Spędzał czas głównie na pokładzie „Gromowładnego”, dryfując pośród chmur i iglic, w milczeniu rozmyślając w mrocznym łonie swej kajuty, gdy potężny okręt sunął tam i z powrotem ponad Stross End, umacniając władzę hrabiny nad nowymi terytoriami, utrwalając siłą na nowo zarysowane granice. Resztę czasu Arlandes spędzał w swoim gabinecie, zgarbiony nad biurkiem. Gabinet znajdował się w pałacu, we wschodnim skrzydle, zaledwie o kilka minut marszu od komnat hrabiny, jednak nawet ona unikała kapitana. Przesyłała mu rozkazy za pośrednictwem swoich służących, pochlebców oraz osobistego sekretarza, a w jednym niezręcznym przypadku także przez jękającego się z nerwów Holbacha. Już go nie uwielbiała. Już nie był jej ulubieńcem; stało się jasne, że jest jedynie narzędziem. Pijał w ponurym nastroju i bez wyraźnego celu. Uparcie się nie odzywał,

jakby złożył śluby milczenia. Z tego powodu nigdy nikomu nie powiedział o dziwnym gościu, który odwiedził go nocą podczas Święta Przeprawy.

* * *

Na balu pojawił się w czarnym żałobnym stroju, stał na uboczu i z nikim nie tańczył. Hrabina przedstawiła go grupie młodych ulubieńców przewodniczącego – sprytnym buchalterom o charakterystycznych chłodnych uśmiechach. Jego ponura obecność napełniła ich lękiem. Spełniwszy swój obowiązek, wycofał się do gabinetu, korzystając z tylnych schodów, by uniknąć rozbawionych gości.

Po raz pierwszy ujrzał Lucię właśnie na balu z okazji Święta Przeprawy, dwa lata wcześniej. Nikt dokładnie nie pamiętał, co miało upamiętniać to święto, tragedię czy zwycięstwo, i jakie było jego znaczenie; jemu kojarzyło się właśnie z tym. Hrabina zachowała się okrutnie, skłaniając go do przyjścia.

Usiadł w swoim fotelu, zapalił świeczkę na biurku i tępo wpatrywał się w cienie. Siedział w ciszy, tylko przez chwilę nucił ładną, smutną melodię, którą usłyszał... nie pamiętał już dokładnie gdzie. Nie na balu; to nie była muzyka, która nadawałaby się na bal. Uspokajała go, więc umilkł; zamiast tego w milczeniu zgrzytał zębami.

Mężczyzna wszedł bez pukania. W jednej chwili Arlandes był sam, a po chwili już miał towarzystwo. Gość

usiadł w fotelu w narożniku gabinetu. Był żylasty i niewysoki, ubrany w ciemny garnitur i miał krótko ostrzyżone białe włosy.

Pachniał chemikaliami. Arlandes poczuł ten zapach jeszcze zanim mężczyzna się pojawił.

Początkowo kapitan wziął nieznanego za pałacowego służącego.

– Proszę stąd wyjść, natychmiast – warknął, nawet na niego nie spoglądając.

– Kapitan Arlandes? Trudno do pana dotrzeć. Znalezienie właściwej drogi zajęło mi sporo czasu. Wiele o panu słyszałem.

– Próżny trud. Jeśli się pan zgubił, to bal jest na dole.

– To ma być bal? Raczej wiejska zabawa, kapitanie. Powinien pan zobaczyć bale, na których bywałem. Jeśli to najlepsze, na co stać ludzi w tej okolicy, to nie jestem pod wrażeniem. Choć z drugiej strony, wiele słyszałem o pana okręcie, kapitanie, i to zdecydowanie mnie zaintrygowało.

Arlandes przyglądał się mężczyźnie, mierząc go wzrokiem, od wypolerowanych butów po szczupłe ramiona. Nieznajomy nosił okrągłe okulary, a w blasku świecy nie dało się dostrzec jego oczu.

– Czy ja pana znam? Wygląda pan znajomo.

– Nazywam się Lemuel. Nie podam imienia, jeśli pan pozwoli; nie należy spoufalać się z klientami.

– Pamiętam pana. Pracuje pan jako asystent w Domu Cere. Uczestniczył pan w pogrzebie panny Hildebrand. Był pan wtedy równie bezczelny jak teraz.

– A więc jak on działa? Ten wielki okręt.

– Jest pan wyjątkowo arogancki jak na szpiega, panie Lemuel.

– Jestem człowiekiem interesu, nie szpiegiem, kapitanie. Jestem uczonym, badaczem, archeologiem, kolekcjonerem wszystkich zmyślnych drobiazgów, które czynią to miasto tak intrygującym, ale nie szpiegiem. Jeśli wyobraża pan sobie, że pracuję dla jakiegoś drugorzędnego lokalnego watażki, to proszę być spokojnym: nigdy w życiu nie podjąłbym się takiej służby. Niech mi pan tylko powie, jak on działa, a więcej mnie pan nie zobaczy. Zniknę. Może pan to potraktować jako akt dobroci względem biednego żebraka, który na chwilę schronił się tu przed burzą i wkrótce znów się w niej pograży.

Arlandes się roześmiał.

– Musiałby pan o to spytać profesora Holbacha. Ja tylko steruję tym okrętem.

– Holbach wygląda na ciężki orzech do zgryzienia. Jest dość inteligentny jak na tubylca. Chyba jeszcze nie jestem gotowy, by z nim porozmawiać. Bez obrazy, kapitanie, bardzo szanuję zdolności umysłowe żołnierzy, oczywiście w odpowiednich dla nich granicach.

– Nie rozmawiasz z Holbachem, ponieważ stąd nie wyjdiesz, chyba że w łańcuchach, szpiegu.

Arlandes sięgnął nad biurkiem po swoją szablę, ale jego ręka natrafiła na pustkę. Rozejrzał się zaskoczony. Odwrócił się i stwierdził, że jego pistoletu nie ma na

stojaku. Ponownie odwrócił się do Lemuela, który trzymał pistolet na kolanach. Wstał i rzucił się w stronę drzwi, ale wyglądało na to, że i one zniknęły. Z pewnością była to tylko gra cieni, ale rozpląnęły się w powietrzu.

– Wysłucha mnie pan, kapitanie? Proszę usiąść i posłuchać.

Arlandes usiadł.

– Skoro nie chce mi pan powiedzieć z dobroci serca, to się potargujemy.

Lemuel oparł na kolanach złączone dłonie – Arlandes nie widział, gdzie się podział pistolet – po czym ponownie je rozłączył. Pomiędzy nimi pojawiło się małe białe światło. Uniósł lewą dłoń. Spoczywał na niej mały szklany sześcian. Wewnątrz niego było widać delikatny zarys poruszających się skrzydeł. Wydawało się, że skrzydła wypychają poza sześcian świetlisty dym, który docierał aż do narożników pomieszczenia. Lemuel opuścił rękę i sześcian zawisł w powietrzu.

– I co pan na to? Profesor Holbach nie jest jedynym, który potrafi pochwycić moc Ptaka. Co pan o tym myśli?

– Myślę, że to obrzydliwe. – Prawdę mówiąc, Arlandes czuł nie tylko obrzydzenie; był także przerażony. Bicie białych skrzydeł przypomniało mu o jej upadku; z trudem wytrzymał widok świetlistego obiektu.

– Słyszałem o pewnym człowieku nazwiskiem Shay. Holbach powiedział, że on nie żyje. Czy pan z nim współpracował, panie Lemuel?

– A więc klatki pana nie interesują. – Lemuel chwycił

dwoma palcami unoszący się w powietrzu szklany pojemnik. Schował go do kieszeni i pokój ponownie wypełniły cienie.

Podrapał się po podbródku.

– Podejrzewam, że gdybym zaproponował pieniądze, to uznałby to pan za obrazę honoru?

Arlandes obserwował go w milczeniu. Zmienił swoje oblicze w maskę aroganckiej pogardy. Opanował ten wyraz twarzy do perfekcji podczas pojedynków; pod jego wpływem drżeli nawet najsilniejsi mężczyźni. Jednakże wydawało się, że na Lemuelu nie robi on najmniejszego wrażenia. Tak naprawdę, pod tą maską Arlandes się bał. I to bardzo. Lemuel sprawiał, że ciarki przebiegały mu po plecach. Ten nonszalancki ton, jakim opowiadał o najstraszliwszych bluźnierstwach... Kapitana nie zdziwiłoby, gdyby w jednej chwili obaj padli trupem. Gdyby miasto po prostu ich połknęło. Był w stanie myśleć tylko o śmierci Lucii; wyobrażał sobie, że spada zamiast niej.

Lemuel pstryknął palcami.

– Oczywiście! To pana żona zginęła, prawda? Przecież mówiłem, że o panu słyszałem. Pewnie stąd ten strój. Mam rację, że w tej części miasta czarne ubranie oznacza żałobę? Niech pan się tak nie dziwi, kapitanie. Musi mi pan wybaczyć brak wrażliwości. Jestem człowiekiem bywałym w świecie. Widziałem wiele żywotów i śmierci. Sam pan wie, jak to jest. Sądzę, że kiedy unosi się pan w górze na swoim latającym okręcie, strzelając z dział, to

specjalnie nie obchodzą pana ludzie na dole, mam rację?

– Napełnia mnie pan obrzydzeniem, panie Lemuel. Powinienem pana zabić.

– Istnieje miejsce, w którym ona nadal żyje, kapitanie. To olbrzymie miasto, czyż nie? Istnieje tysiąc miejsc, w których ona nadal żyje. Są nawet miejsca, w których jest jeszcze lepsza, jeśli to pana interesuje. Mogę panu pokazać.

– Co pan przez to rozumie?

– A jak się panu wydaje? – Lemuel wstał. – Proszę się podnieść z fotela i pójść ze mną. Niech pan przestanie się dąsać i otworzy oczy. Całe życie mieszka pan w tym mieście i uważa, że jest małe. Nigdy nie zrozumieć jak ludzie mogą być tak ślepi. I to pan mówi o obrzydzeniu. No dalej, kapitanie: jaka ona była? Założę się, że to miła elegancka dziewczyna. W tej chwili gdzieś trwa bal, na którym tańczy. Lubiła książki? Gdzieś jest gabinet, w którym właśnie czyta. Mogę panu pokazać. To nie do końca będzie ta sama dziewczyna, którą pan znał, ale prawie. Przy odrobinie cierpliwości znajdziemy taką, która będzie ją bardzo przypominała. Nawet pan nie zauważy różnicy. Dam panu popatrzeć. Jeśli okaże się pan pomocny i powie mi coś naprawdę ciekawego, to dam panu dotknąć. Może nawet pozwolę panu zabrać jedną ze sobą. Albo dwie, co pan na to? Kurwa mać, weźmie pan sobie choćby tuzin. Co to dla mnie za różnica? Ludzie są tani. Czy w tej części miasta zakłada się haremy? No dalej, kapitanie. Niech pan ruszy dupę. Przecież pan tego

chce.

Lemuel podszedł do drzwi (cienie się cofnęły; drzwi znów były tam gdzie przedtem) i otworzył je na oścież. Drzwi otwierały się do wewnątrz, więc zasłaniały Arlandesowi korytarz, jednak dźwięki, które docierały z drugiej strony, nie były odgłosami korytarza, pałacu ani balu na dole. Kapitan usłyszał odległy chrzęst i warkot silników. Echa nieprzyjemnej hałaśliwej muzyki, jazgotliwej i świdrującej. Krzyk mew. Przez drzwi wpadało zimne światło południowego słońca; głębokie zmarszczki na twarzy Lemuela były w nim wyraźnie widoczne. Zmarszczki wokół kpiących ust i oczu.

Arlandes nie ruszał się z fotela. Przerazenie i nienawiść, które go opanowały, były najstraszniejszymi uczuciami, jakich kiedykolwiek doświadczył.

– Szydzi pan z jej śmierci – powiedział.

– Ojej. Cóż za romantyczna wrażliwość, kapitanie.

Lemuel chwilę odczekał. Westchnął. Oczyścił paznokciem kciuka pozostałe paznokcie. Gdy sięgnął do kieszeni, Arlandesowi serce podeszło do gardła, jednak mężczyzna nie wy dobył kolejnego bluźnierstwa, a jedynie małą białą wizytówkę.

– Kiedy przebywam w tych stronach, prowadzę biuro. Może wciąż tam będę, jeśli zmieni pan zdanie. A może już nie?

Rzucił karteczkę w stronę Arlandesa. Wylądowała na biurku.

Na wizytówce widniał napis „Egzotyczne towary i

dyskretne usługi" oraz adres w Domu Cere, w jego wewnętrznych strefach.

Kiedy Arlandes uniósł wzrok znad kartki, drzwi właśnie się zatrzasnęły.

Po kilku chwilach gwałtownym ruchem chwiejnie dźwignął się z fotela, niczym człowiek zataczający się po smaganym sztormem pokładzie. Szarpnął drzwi i wyskoczył na korytarz, gdzie wpadł na parę pijanych uczestników balu. Spoliczkował zamaskowanego mężczyznę i nawrzeszczał na niego, doprowadzając kobietę do łez. Nigdzie nie było śladu Lemuela.

Patrzył, jak para z trudem schodzi po schodach. Kobieta płakała, a mężczyzna wykrzykiwał puste groźby. Potem Arlandes ponownie wycofał się do swojego mrocznego gabinetu, by się ukrywać, uzalać nad sobą i dąsać jak zrujnowane, zaszczute zwierzę. Obracał wizytówkę w spoconych dłoniach, aż pomarszczyła się, zmiękła i zszarzała. Był na niej adres; nie odważył się jej zniszczyć, choć bał się także odwiedzić Lemuela. Gdyby znów ujrzał Lucię, nie wiedziałby, co powiedzieć, i nie potrafiłby spojrzeć jej w oczy.

Rankiem posłaniec przyniósł rozkaz powrotu na niebo i Arlandes zapomniał o wieczornym incydencie, z ulgą powracając na służbę.

Rozdział 25

Wraz z końcem kolejnego tygodnia Arjun zebrał swoje notatki i wybrał się z wizytą do Holbacha. Na dworze padał ulewny deszcz. Tak samo było rankiem oraz poprzedniego dnia i wydawało się, że pogoda już nigdy się nie poprawi.

Arjun miał nowy płaszcz przeciwdeszczowy – stary w podejrzanych okolicznościach zniknął z jego pokoju w „Cyprysie”, razem z jego książkami. Kupił go w przestronnym i ładnie urządzonym sklepie na skraju Okręgu Foyle'a. Płaszcz wyglądał na elegancki.

– Może dla uczniaka – ocenił Hoxton. – Najwyżej dla uczniaka, kolego.

Arjun schował notatki pod pachą, pod płaszczem, nałożył kaptur i wyszedł na dwór. Dotarł tylko do połowy ulicy.

Najpierw wpadł nogą w kałużę i poczuł przerażające wilgotne zimno. Kałuża była głębsza niż przypuszczał; przemoczył spodnie prawie do kolana. Niemal upuścił notatki. Stracił czucie w nodze i poczuł nagłe ukłucie strachu. Pokuśtykał dalej.

Kiedy mijał cmentarz, wiatr zdarł mu kaptur z głowy, a deszcz zalał twarz. Arjun krzyknął, zszokowany i rozdrażniony i połknął trochę wody. Nagle poczuł w ustach coś oślizgłego i niewyobrażalnie obrzydliwego, niczym grube zielsko naciskające mu na język i grożące

zatkaniem gardła.

Zakrztusił się i wypluł wilgotny czarny liść.

Kolejny liść, niesiony wiatrem i deszczem, otarł mu się o twarz. W powietrzu było ich pełno. Korony drzew ponad cmentarzem trzęsły się, kołysały i rozpadały pod wpływem ulewy.

Przypomniął sobie, czym karmią się te drzewa, i zrobiło mu się niedobrze. Wciąż czuł w ustach błoto.

Kiedy spojrzał w stronę końca ulicy, widział tylko ścianę deszczu, ujętą w ramy niewyraźnych cieni dwóch wysokich szeregowców. Poza tym wszystko tonęło w szarej mgle.

W otchłani ulewy coś się poruszyło. Arjun odwrócił się i rzucił do ucieczki.

Ręce zdrętwiały mu z przerażenia. W biegu upuścił i podeptał notatki, które pochłonęła woda wylewająca się z przepełnionych rynsztoków.

* * *

Poprzedniego dnia te same drzewa były pozbawione liści. Podobnie następnego dnia. Znowu padało i Arjun wolał głodować i zostać w domu niż odważyć się na spacer ulicami.

Kolejnego dnia deszcz ustał. Arjun wybrał się do najbliższego sklepu spożywczego i nakupił suszonych owoców i suszonego mięsa, zupełnie – skomentował sprzedawca – jakby czekała go wyprawa na północ przez

nieprzyjazne dzielnice.

– Deszcz sobie poszedł – rzekł sklepikarz.

– Poluje na mnie gdzie indziej – odparł Arjun. – Ach, tak się mówi tam skąd pochodzę – skłamał, kiedy zobaczył podejrzliwy wyraz twarzy sprzedawcy, po czym zabrał zakupy i pośpieszył do domu. Tej nocy znów padało.

Dwa dni później posłaniec przyniósł mu liścik od Holbacha. Jego treść ograniczała się do:

Hmm? – H.

Arjun zignorował list.

Odtworzenie notatek zajmie całe wieki, a jemu brakowało chęci, by choćby zacząć. Coraz bardziej wątpił, czy zdąży doprowadzić pracę do końca.

* * *

Arjun nie był pewien, kiedy po raz pierwszy zaczął podejrzewać, że Tajfun na niego poluje. Z pewnością po śmierci Norrisa. Zgon biednego staruszka był pierwszym wyraźnym i niepodważalnym dowodem na to, że potworowi już nie wystarczy – jak przez ostatni tysiąc lat – żerowanie na niewinnych ofiarach, które podsuwało mu miasto: załogach barek, rybakach, dzieciach, cudzoziemcach i wszystkich, którzy byli na tyle nierozsądni, by nadmiernie zbliżyć się do wody. „Cyprys”

był położony z dala od wody. Śmierć Norrisa można było zatem wytłumaczyć tylko rozmyślną wrogością; był to znak, że potwór podąża tropem Arjuna.

Arjun nigdy do końca tego nie przemyślał. Kiedy przed trzema tygodniami po raz pierwszy wyruszył ze swoimi notatkami do Holbacha, już to wiedział. Wtedy pokonał pół mili i dotarł do ulicy, która biegła na wschód wzdłuż liściastych, otoczonych kawiarniami brzegów Kanału Quillera. W jego umyśle pojawiła się myśl: Jeśli zbliżę się do wody, on mnie znajdzie. I Arjun zrozumiał, że od początku wiedział, że jest ścigany.

Jeśli jeszcze zdarzało mu się w to wątpić, to ostatecznym dowodem było wygłodniałe bębnienie deszczu o jego okno, zimne jęki i śmiech rynien, nadciągający z wody trupi smród, którego nikt inny jakby nie zauważał.

* * *

Pierwszego dnia po przeprowadzce do nowego mieszkania Arjun odwiedził Holbacha. Wtedy jeszcze nie był pewien, co się dzieje, a Tajfun zapewne jeszcze nie odnalazł jego zapachu, Arjunowi bowiem udało się bez przeszkód dotrzeć piechotą do posiadłości profesora.

U Holbacha zastał jakiegoś chudego, bladego mężczyznę; obaj z profesorem byli zajęci sekcją drobnego, obdartego ze skóry truchła gołębia. Procedura ta wydała się Arjunowi odrażająca, a rozmowa obu

naukowców była dla niego całkowicie niezrozumiała. Kiedy Holbach wyszedł z laboratorium, udał się w ślad za nim.

– Profesorze – zagadnął. – Profesorze, rozmyślałem o Tajfunie. Wydaje mi się, że błędnie pan rozumie jego naturę. On mnie widział, profesorze, i sędzę...

Zamiast pomocy lub informacji Holbach zaoferował mu kilka nowych metafor.

– Wyobraź sobie – rzekł tym razem – że bogowie są jak lustrzane odbicia. – Przystanął przed lustrem na korytarzu i pomachał ręką. – Proszę, moja ręka porusza się w lustrze. Zobacz, a teraz moja lustrzana dłoń wyjmuję fajkę z lustrzanej kieszeni. Można by pomyśleć, że lustrzana fajka porusza się za sprawą działania lustrzanej dłoni albo przypisać tej drugiej intencję wykonania ruchu. Zgadza się? Bogowie są dla miasta tym, czym te obrazy dla nas. Nie mogą cię zobaczyć ani nienawidzić, tak jak nie może cię ujrzeć lustrzany Holbach. Co jednak nie umniejsza znaczenia bogów; wszak cóż jest potężniejszego od obrazów? Najlepszy dowód to fakt, że o nich rozmawiamy. Oni nie przejmują się nami, ale my przejmujemy się nimi.

Holbach schował fajkę z powrotem do kieszeni i jeszcze raz pomachał do swojego odbicia. Paznokcie wciąż miał poplamione krwią gołębia. Wyraził nadzieję, że udało mu się uspokoić Arjuna, po czym się oddalił: był umówiony z dziennikarzem z „Wartownika”.

Następnym razem, gdy Arjun poruszył ten temat,

Holbach przedstawił mu szczegółową i błyskotliwą analogię między bogami a wspomnieniami.

* * *

Następnego dnia po tym jak po raz pierwszy zrozumiał, że istota na niego poluje, Arjun ponownie wyruszył do domu Holbacha. Nie mógł pozwolić, by ta... rzecz napełniała go strachem. Obrzydzenie, jakie w nim wywoływała, przeważało nad lękiem. Poza tym był jasny zimny zimowy dzień, a niebo było bezchmurne.

Tym razem wybrał inną trasę, okrążając Okręg Foyle'a od wschodu, idąc szerokimi, zatłoczonymi ulicami handlowymi. Zapuszczał się w boczne uliczki wiodące na północ tylko wtedy, gdy było to konieczne.

Jednakże wkrótce znów napotkał wodę.

Ulicę przecinał kanał. Miał strome brzegi i był wąski jak wąwóz. Z trudem mogła się w nim zmieścić jedna barka. Śmierdział mchem, wilgocią i zgnilizną.

Nie było mostu – ulica po prostu się kończyła. Domy po obu stronach tej nieprzyjemnej przeszkody wyglądały na opuszczone. Szyby były powybijane, a ogródki zarośnięte chwastami.

Ku własnemu zaskoczeniu Arjun zdołał podejść do kanału. Na zachodzie zobaczył łukowaty żelazny mostek dla pieszych oddalony o mniej więcej pół mili; potem surowy kanał biegł prosto i zniknął w oddali; na wschodzie skręcał, w odległości zaledwie kilku ulic, przed

pozbawioną okien ścianą z brązowej cegły.

To niemożliwe – niemożliwy kaprys geografii. Skoro kanał sięga tak daleko na zachód, to poprzedniego dnia powinien był przeciąć Arjunowi drogę, tak się jednak nie stało.

Woda przemieściła się w nocy, wijąc się jak wąż.

Nigdzie nie było tabliczki z nazwą ulicy ani kanału. Może jeszcze nie miały nazw? A może ich nazwy popadły w zapomnienie? Arjun zastanawiał się, czy domy zostały opuszczone, czy też jeszcze nikt nie zdążył się w nich osiedlić.

W ogrodzie położonym najbliżej wody znalazł coś, co mógł uznać za odpowiedź. Ogrodzenie zostało zniszczone i ogród wychodził bezpośrednio na ulicę, jednak w odróżnieniu od innych ogrodów, ktoś o niego dbał.

Trawa była wysoka lecz nie rosła dziko. Ogród wypełniały drewniane totemy – sterczące prosto słupy, do których przybito w poprzek po jednym krótszym kawałku drewna. Arjun nie miał pojęcia, z jakim – i czy w ogóle z jakimś – wyznaniem były związane totemy; przypominały tuwarskie znaki, którymi zapisywano sylabę „on” albo – w zależności od kontekstu – „loy”, ale uznał to za przypadek. Sądził raczej, że ma do czynienia z grobowcem.

Na poprzecznych drewnianych słupach wycięto imiona, bez nazwisk. Wśród kobiet pojawiały się same Marie i Elżbiety, a większość mężczyzn nosiła imię Jan.

Trzyście totemów.

Ofiary zarazy? Może jakieś zgniłe i śmierdzące trujące wyziwy wydobyły się z wody i przetoczyły ulicą niczym mgła? Może zatonała tutaj barka? Brak nazwisk podsunął Arjunowi myśl, że to są groby dzieci.

Niebo się zachmurzyło i pojedyncza kropla lodowatego deszczu pacnęła go w policzek. W jednej chwili stracił zimną krew i uciekł.

* * *

Nigdy więcej nie odnalazł tego cmentarzyska ani kanału.

W deszczowe dni zostawał w domu, starając się nie słuchać bębnienia kropli w dach i stukania gradu w okna. Przetawił swoje biurko do narożnika pokoju, pod ścianę, dzięki czemu nie musiał spoglądać na miasto, i próbował zatracić się w pracy. Zaczął tłumaczyć opasły tom opowiadający o rolniczych zwyczajach Tuvarów i nieudanych próbach przeniesienia ich na grunt miasta. Była to nudna książka; brnął przez nią z największym trudem.

W bezchmurne dni mógł bezpiecznie wychodzić.

Czasami udawał się nad wodę. Nigdy nie musiał daleko wędrować, by natrafić na jakiś kanał, zbiornik, jedno z ozdobnych jezior w Faugere bądź jeden z płytkich błotnistych stawów, które powstawały na opuszczonych terenach na północ od Czwartego Okręgu – sama Rzeka zaś, gdyby kiedyś odważył się stawić jej czoło, była

oddalona zaledwie o kilka godzin marszu na wschód.

Arjun odłożył Tuvarów i rozpoczął pracę nad mapą pobliskich szlaków wodnych. Na środku strony zaznaczył swoje mieszkanie w Jąkających Wrotach, a wokół niego za pomocą linii przerywanych naniósł kanały przemysłowe, za pomocą linii ciągłych upiększone wycieczkowe szlaki wodne na północy, i tak dalej. Jego oczom nie ukazał się żaden złowieszczy wzór. Owszem, nie podobał mu się sposób, w jaki gęsta sieć zakręcających przerywanych linii oplatała bezbronny środek strony, nie stanowiło to jednak żadnego dowodu. Aby mieć pewność, że jego mapa o czymś świadczy – że ukazana na niej plątania kanałów jest nietypowa, nieprawidłowa, istotna – musiał ją z czymś porównać. Musiał zagłębić się w miasto, sprawdzić inne dzielnice. Taki projekt znacznie wykraczał poza skromne możliwości Arjuna.

Zebrał trochę notatek i na wpół zapisanych stron – wystarczająco wiele, by usprawiedliwić wizytę u Holbacha kolejnego bezchmurnego, suchego zimowego dnia. Wepchnął profesorowi mapę do ręki, a Holbach przebiegł po niej nieobecny wzrokiem.

– Tak, rozumiem – rzekł. – Przepraszam na chwilę... – Ponownie zerknął na mapę w nagłym przyływie zainteresowania. – Hm.

Schowwał złożoną mapę do najbliższej szuflady, po czym poinformował Arjuna, że co prawda następnego dnia ma spotkanie z hrabiną, kolejnego wygłasza wykład

o pewnych nieprawdopodobnych odkryciach archeologicznych, których dokonano podczas odbudowy Stross End, a tydzień później musi nadzorować eksperyment, który wymaga od niego wybrania się na północ i potem na wschód, w celu dokonania porównawczych obserwacji zachodu słońca za Górą, ale mapa jest bardzo, bardzo ciekawa i z pewnością przyjrzy się jej dokładniej po powrocie.

* * *

Arjun poszedł do domu w dobrym nastroju i przez tydzień z zapałem pracował nad Tuvarami. Przetłumaczył połowę opasłej książki opowiadającej o tuwarskich zwyczajach rolniczych oraz kontrowersjach i zamieszkach, które wybuchły, gdy Tuvarowie zaczęli wykupywać i niszczyć lokalne tanie nieruchomości, zmieniając ulice w pola. Gdy kolejnego bezchmurnego, suchego dnia Arjun wrócił do Holbacha, dowiedział się, że profesor zgubił mapę, a nawet zapomniał, że kiedykolwiek miał ją w ręku. Tego wieczoru na cmentarzu za oknem Arjuna odbywał się pogrzeb kogoś, „kogo odebrała nam straszliwa choroba, nie zważając na młodość i piękno”; przytłumione echo lamentów nie dawało Arjunowi zasnąć jeszcze długo po rozejściu się żałobników.

* * *

Miasto chwyciła w swe szpony zima. Przez większość czasu padało i niemal bez przerwy było ciemno. Arjun ponownie dopuścił, by książki o Tuvarach zbierały kurz, i zaczął namiętnie śledzić prasowe informacje o nowych zgonach.

Stwierdził, że większe i bardziej znane gazety – takie jak „Wartownik”, „Era” czy „Handlowiec” – w ogóle nie nadają się do tego celu. Zajmowały się wyłącznie ważnymi miejskimi kwestiami. W „Wartowniku” i „Erze” zawsze było pełno artykułów o wspaniałych postępach w odbudowie Stross End. „Handlowiec”, którego wydawano gdzieś na północy i który tylko czasami pojawiał się na stoiskach z prasą w Jąkających Wrotach lub Okręgu Foyle'a, mrocznie i obsesyjnie drążył temat nieodpowiedzialnego zagrożenia, jakie stanowiła hrabina oraz jej nieświęty „Gromowładny”. Takie gazety nie zniżały się do prowadzenia rejestru nieistotnych zgonów.

Na szczęście kilkanaście lokalnych szmatławców zajmowało się niemal wyłącznie tym tematem. Szczególnie przydatny okazał się „Jąkała”. Jego redaktor naczelny był wręcz zafascynowany śmiercią, aż w końcu Arjun zaczął się zastanawiać, czy dziennikarz także nie doświadczył wizji istoty, która nawiedzała wodne szlaki. Jednakże listy wysyłane doń przez Arjuna pozostały bez odpowiedzi.

Interesowały go dwie kategorie śmierci: zgony (z dowolnych przyczyn), które nastąpiły w wodzie lub w jej

poblizu, oraz zgony (w dowolnym miejscu) spowodowane chorobami podobnymi do tej, która zabiła Norrisa – czernicy płuc, choroby Langshawa, sinicy drgawkowej oraz innych chorób związanych ze zgnilizną, wilgocią, zanieczyszczeniami przemysłowymi, biedą lub rozpaczą.

Wycinki prasowe układał na dwóch stertach, po obu stronach biurka. Zima trwała, a sterty rosły z niepokojącą szybkością. Okręg Foyle'a roił się od studentów, którzy, wydawało się, mieli naturalną skłonność do wpadania zimowymi nocami do kanałów, gdy pijani wracali do domu; stanowili wyraźny odsetek zmarłych. Czernica płuc zbierała imponujące żniwo wśród starych ludzi. Zniknęło troje dzieci, czworo w ciągu kolejnego tygodnia. Na łamach „Jakały” narzekano na plagę zdziczałych dzieciaków, zagrażających sobie oraz innym mieszkańcom i odpowiadających za niedawny wysyp aktów przemocy skierowanych przeciwko domom poprawczym. W następnym tygodniu w pompowni znaleziono dwoje uduszonych dzieci, a kolejny malec zniknął z bogatego domu w Okręgu Foyle'a. W tym samym tygodniu zaginęła barka, która płynęła z browaru Blake & Blake do Okręgu Foyle'a; załogi – złożonej z ojca i syna – nie odnaleziono. Wkrótce Arjun musiał dodatkowo podzielić stertę „zgonów w poblizu wody” na „morderstwa”, „utonięcia” i „inne”. Nie był pewien, jak podzielić „choroby”, więc ta sterta spuchła do olbrzymich rozmiarów.

Czy to było normalne o tej porze roku? Arjun nie miał

pewności.

* * *

Kiedy Olimpia odwiedziła go po raz pierwszy – akurat miała coś do załatwienia w pobliżu – Arjun przyznał, że ostatnio nie pojawiał się w posiadłości Holbacha. Nie było sensu jej okłamywać – miała zbyt przenikliwe i inteligentne spojrzenie – zdradził więc, że nie ma niczego, co mógłby pokazać profesorowi, a także nie zanosi się, by cokolwiek takiego stworzył w najbliższej przyszłości.

Wydawało się, że Olimpia ma zamiar powiedzieć coś ostrym i nieprzyjemnym tonem, ale najwyraźniej zmieniła zdanie.

Zresztą, jak tłumaczył Arjun, okoliczności uniemożliwiały mu przybycie do posiadłości. Nie chodziło jedynie o to, że był w stanie podróżować tylko w bezdeszczowe dni; mógł wyjść z domu dopiero gdy rozplynęła się wilgotna szara poranna mgła, a zarazem na tyle wcześnie, by zdążyć wrócić przed zmrokiem. Musiał wędrować określonymi trasami, unikając wody. Było to tylko kilka z zasad, które opracował, by chronić się przed potworem; nie był pewien, czy są skuteczne, ale mógł polegać tylko na intuicji.

Olimpia była ubrana mniej cudacznie niż zazwyczaj – w czarny zimowy płaszcz. Przyproceedziła ze sobą długowłosego młodzieńca w drogim futrze i przedstawiła go jako Mochaia, malarza. Gdy Arjun objaśniał swoją

sytuację, Mochai kręcił głową i zerkał na kieszonkowy zegarek. Wyglądało na to, że Mochai i Olimpia są kochankami, ponieważ, kiedy Arjun skończył opowieść, malarz ujął kobietę pod ramię z władcą poufałością i stwierdził:

– Ten biedny człowiek oszalał. Dlaczego zabrałaś go ze szpitala? Powinniśmy zostawić go w spokoju.

Olimpia odepchnęła rękę Mochaia i kazała mu się uciszyć, a on wywrócił oczami.

Podążyła kochankowi swój płaszcz, pod którym była ubrana w ciemny aksamitny żakiet, po czym oparła się o ścianę obok biurka.

– Arjunie, bardzo mi przykro – rzekła. – Czy rozmawiałeś o tym z Holbachem? On wytłumaczy ci, że to nie ma sensu.

– Owszem, przedstawił mi swoje teorie. Bardzo szczegółowo.

– Zrozum, niezależnie od tego, co poczułeś lub zobaczyłeś, bóg nie jest zainteresowany polowaniem na ciebie. Przejmujesz się nim, ale on nie przejmuje się tobą. Wyobraź sobie lustro...

– Pozwól, że opowiem ci o swojej teorii.

Pozwoliła, by jej przerwał; delikatnie skinęła głową, zachęcając go do mówienia.

– Nie będę się z wami kłócił o to, w jaki sposób zazwyczaj działa wasze miasto i jego bogowie. Wszyscy jesteście bardzo mądrzy i zbadaliście te zagadnienia dokładniej niż ja. To oczywiste. Może uważacie mnie za

prostaka, ale tam, skąd przybyłem, również mieliśmy swojego boga. Tylko jednego, więc nie mogliśmy go z niczym porównać i być może rozumieliśmy go gorzej niż wy rozumiecie swoje bóstwa. Mimo to znaleźliśmy go dostatecznie dobrze. Dopóki pewnego dnia nas nie zaskoczył.

– To co innego. Oni przychodzą i odchodzą; zawsze tak było. Holbach wciąż powtarza, że jest w połowie historykiem.

– Myślę, że Tajfun jest chory. Rozbity. Nie wiem, jakiego słowa użyć. Sądzę, że chodzi o proces, który został zakłócony.

– Dużo o tym myślałeś.

– Oczywiście. Czy zrozumiesz, jeśli powiem, że przypomina mi utwór muzyczny, w którym pewien motyw jest stale rozwijany i poszerzany, a twórca nie przestaje komponować, cały czas improwizując? Do tego utworu zostaje wprowadzony błąd, niedoskonałość motywu. Nieoczekiwana brzydota. Nie można jej zignorować, nie można po prostu zacząć od nowa. Trzeba zbadać jej skutki. Niedoskonałość się rozwija. Wkrótce grozi zagłuszeniem muzyki. Usiłujesz ją usunąć, ale każda poprawka daje początek nowym niedoskonałościom. Błąd opiera się wszelkim próbom naprawy. Zaczynasz grać to, czego on od ciebie wymaga, co on czyni koniecznym. Jesteś w potrzasku. Nie możesz przestać, gdyż wtedy pozostanie tylko brzydota, jednak każda chwila gry sprawia ci coraz większy ból. Czy nie nazwałabyś takiej

zatrutej muzyki swoim wrogiem?

Przyjrzała mu się ze współczuciem i zaciekawieniem. Nie była przekonana.

– Nie jestem zbyt muzykalna.

– Shay zatruł boga. Rozbił go. Uczynił go niedoskonałym, gdy ukradł część jego mocy i zmienił ją w zabawkę, udomowione zwierzę. Jaki odrażający człowiek chciałby bawić się czymś takim?

– Holbach ma co do tego wątpliwości. Szczerze mówiąc, uważa, że Shay był oszustem i cię przechytrył. Prosił, żebym ci tego nie mówiła, ponieważ wciąż czuje się winny, że cię do niego posłał, ale myślę, że powinieneś o tym wiedzieć.

Położyła Arjunowi dłoń na ramieniu. Za jej plecami Mochai leniwie przeglądał wycinki z gazet.

– Rozmawiał z Brankenem o heliotypie, tym urządzeniu, które opisałeś. Poprosił ludzi, by się temu przyjrzeni. To nie ma sensu. Wszystko, co mówił Shay, to tylko czcza gadka. Na swoim pustkowiu na pewno też macie takich paplających oszustów, czyż nie?

– Nie! To znaczy: nie, nie jestem głupcem, i tak, to było prawdziwe. Tak się stało, Olimpio. Shay ukradł coś bogu, po czym zmienił to, uformował, przekształcił w coś ludzkiego. Czy to moja wina, że to niemożliwe? Świat jest jaki jest. Byłem na tyle głupi, by zwrócić tę część bogu, a ona go zaraziła. Zatrula. Uczyniła niedoskonałym. Poczulem to, gdy tylko na mnie spojrział. Myślę, że byłem pierwszym, co zobaczył i rozpoznał. Teraz nauczył się

nienawidzić. Gdybym został wyrwany z doskonałości i zmuszony do spojrzenia na świat oczami ludzi, także byłbym pełen nienawiści.

Olimpia długo na niego patrzyła. Mochai ponownie zerknął na kieszonkowy zegarek i westchnął.

– Dlaczego nie odejdziesz? – spytała.

– Słucham?

– Skoro w to wszystko wierzysz, to dlaczego nie opuścisz miasta?

– Nie wiem.

– Co się stało z Głosem, który chciałeś tutaj odnaleźć?

Zdał sobie sprawę, że nie myślał o Głosie od tygodni, od chwili gdy usłyszał jego echo w muzyce koło grobu Norrisa. Oczy Olimpii rozbliły się – zdobyła punkt.

– Jesteś znacznie bardziej czarujący, gdy opowiadasz o muzyce – powiedziała – a nie o rzekach, utonięciach i śmierci.

– Chyba rzeczywiście.

– To trudne miasto, Arjunie. Łatwiej się w nim żyje, gdy jest się czarującym.

– To z pewnością prawda, Olimpio. Pytałem cię, czy mógłbym przeczytać to, co Brindley napisał na temat kanałów. Powiedziałaś, że musisz się zastanowić.

Westchnęła i odsunęła się od biurka. Mochai sprawnie okrył jej ramiona płaszczem.

– Nie stanowisz zagrożenia – odparła. – Zgadza się.

Zatrzymała się przy drzwiach.

– Muzyka, która powstaje poprzez stałą improwizację?

– Chciałem tylko zilustrować swoją teorię.

– Mamy coś takiego. Taka muzyka istnieje. Kiedy znajdziesz chwilę czasu, wybierz się na północny zachód do Moricand i wstąp do tamtejszych barów. To ci może pomóc.

* * *

Dwa dni później znów się pojawiła i przyniosła mu teksty Brindleya. Były to trzy cienkie tomy owinięte w czerwone sukno. Powiedziała, że z oczywistych powodów nie mogła zaufać posłańcowi. Nie wiedział, co miała na myśli.

Każdy z tomów miał białą okładkę i został wydrukowany prostą, gęstą czcionką, której kolejne porcje maszerowały w dół stron, gromadząc się z dzikim entuzjazmem wokół ilustracji, wykresów, wzorów i zapisów nutowych oraz ponad bogactwem map. Wydawało się, że niezliczone tematy nie zostały w żaden sposób uporządkowane; na pewno nie w sposób alfabetyczny, a przynajmniej nie zgodnie z którymkolwiek spośród znanych Arjunowi alfabetów. Według informacji zamieszczonych na surowych białych okładkach, Arjun otrzymał tomy trzeci, dziewiąty i trzydziesty pierwszy trzeciego wydania Atlasu, opublikowanego przez Nicolasa Maine'a i spółkę.

Tym razem Olimpiii towarzyszył Hoxton, który dał Arjunowi jasno do zrozumienia, w formie grzecznej

groźby, by nigdy nie czytał tych książek poza swoim mieszkaniem, trzymał je w ukryciu, gdy przyjmuje gości, oraz odniósł je do posiadłości, kiedy skończy.

– I tak rzadko wychodzę – odrzekł Arjun, kartkując dziewiąty tom i znajdując zakładki, którymi Olimpia zaznaczyła teksty: „Śluz i inżynieria równi pochyłych” oraz „Kanały naszych przodków: Ciekawostki”, oba podpisane literą „B”, która zapewne oznaczała Brindleya.
– Za bardzo pada – wyjaśnił.

– Niech pan sobie kupi płaszcz – poradził Hoxton.

– Miałem płaszcz z piwnicy sklepu Klozny & Klozny, ale został skradziony.

– Niech pan sobie kupi porządny płaszcz – odparł Hoxton. – Ja swoje kupuję u Tita przy ulicy Ashcrofta.

– No cóż – odezwała się Olimpia – mam nadzieję, że to ci pomoże. Nie mogę tu ciągle przychodzić.

– Proszę powiedzieć Tito, że to ja pana przysłałem.

* * *

Teksty Brindleya w niczym mu nie pomogły.

Brindley szczegółowo i matematycznym językiem pisał o drażeniu tuneli, projektowaniu mostów oraz budowie śluz i równi pochyłych; o użyteczności różnorodnych rodzajów gleb, gliny i podłoży skalnych, o tym, co począć, jeśli na obszarze, przez który chcemy poprowadzić kanał, znajdują się podziemne kanały, piwnice i katakumby, a także o holowaniu i robotach

ziemnych. Olimpia zaznaczyła wśród tekstów Brindleya długą, niejasną analizę „Ekonomii politycznej transportu węgla”, która dość nieoczekiwanie znalazła się pomiędzy żartobliwie niepochlebny tekst o „Współczesnym melodramacie” a pyską tyradą skierowaną przeciwko „Prawom kukurydzianym”. Krótki wesoły esej Brindleya pt. „Kanały naszych przodków: Ciekawostki” wydrukowano, bez żadnego wyraźnego powodu, w adnotacjach do obszernej mapy dzielnicy Grafton.

Wpisy techniczne były nudne, niezrozumiałe i mało istotne. „Ciekawostki” początkowo sprawiały obiecujące wrażenie, jednak Brindley uparcie omawiał jedynie przyjemne sprawy: wyścigi łódek, słynne śluby na kanałach wycieczkowych, olbrzymie białe łabędzie, które podobno istniały w czasach, gdy można było sztucznie wyhodować takie zwierzęta (doniesienia te Brindley uważał za apokryficzne lecz urocze), rozrzucanie kwiatów na wodzie latem w Abbegnano i tak dalej. Nie wspominał o składaniu ofiar, zgonach i tragediach. Dobry humor autora był wszechobecny, przez co wydawał się podejrzany. Przypominał nerwowe pochlebstwa. Arjun zaczął przypuszczać, że Brindley rozmyślnie ukrywał jakąś straszliwą prawdę, świadomie nie chcąc wyjawić tego przerażającego Imienia, by nie rozgniewać boga. Gdy Arjun przeczytał wzmianki Brindleya o nieudanych eksperymentach, które przeprowadzono na przełomie poprzedniego wieku i dotyczyły barek napędzanych parą wodną, od razu pomyślał: Oczywiście. Bóg na to nie

pozwolił.

We wpisach Brindleya znajdowały się odnośniki do innych ciekawych tekstów – uwagę zwracały zwłaszcza „Dawne rzeczne rytuały” i „Charakterystyczne choroby barkarzy” – te jednak nie znalazły się w trzech tomach, które Arjun otrzymał od Olimpii.

Kiedy kilka dni później Olimpia ponownie go odwiedziła, w drodze z jednego pilnego spotkania na drugie, Arjun poprosił ją o brakujące tomy, a ona obiecała się zastanowić. Nadal była zarumieniona i podekscytowana po porannej wizycie w sądzie, podczas której zrobiła coś śmiałego i błyskotliwego, co Arjun nie do końca rozumiał, ale co poskutkowało wypuszczeniem z paki skandalizującego propagatora wolnej miłości, pana Brace-Bela. Najwyraźniej był to znaczny triumf. Olimpia chciała porozmawiać o bogu Arjuna.

– Zapomnij o Shayu. Zapomnij o Rzece. To wielkie miasto. Musisz się nauczyć zapominać.

Odpowiedział, że już prawie nie pamięta Głosu. Zamiast tego zaczęli rozmawiać o muzyce, aż przerwało im dobiegające z ulicy wołanie Hoxtona, który ostrzegał, że Olimpia się spóźni.

* * *

Arjun ponownie wybrał się do Shutlow, by spotkać się z Haycockiem.

Podróż przebiegała w nerwowej atmosferze. Dzielnica

Shutlow rozciągała się na podmokłym terenie otoczonym zachodnim brzegiem Rzeki – w depresji, gdzie zbierała się mgła, a zatęchła woda tworzyła kałuże na ulicach. Arjun był w stanie to wytrzymać tylko dlatego, że wyruszył podczas wyjątkowo pogodnego popołudnia, bezpośrednio po jednej z wizyt Olimpi. Powiedział jej zgodnie z prawdą, że solidnie przepracował ostatni tydzień. Znowu porozmawiali o muzyce, bogach i polityce, której Arjun nie rozumiał. Wyruszał w dobrym nastroju, ale kiedy dotarł do ulicy Moore'a, był już podenerwowany i czuł się zaszczuty. On wie, że byłeś w „Cyprysie”, przypomniał sobie. Wytropił cię tam. Tam dopadł Norrisa.

Zapłacił ćwierć riala napotkanemu na ulicy chłopakowi, prosząc, by ten pobiegł do „Cyprysa” i przyprowadził Haycocka. Chłopak nie wrócił. Arjun nie wpadł w panikę – byłoby to nieracjonalne i żałosne – lecz dziewczynce o brudnej twarzy obiecał, że również da jej ćwierć riala, jeśli ta wróci z Haycockiem. Przybiegła, wołając:

– Staruszka Duffer mówi, że Haycock jest na swoim stoisku na Siedmiu Kołach, ale i tak masz mi zapłacić, kurwa, masz mi zapłacić!

Arjun uznał, że uczciwie na to zapracowała.

Znalazł Haycocka przy jego stoisku w pustej i odosobnionej części Targu Siedmiu Kół, w cieniu jednego z wielkich kamieni. Było ponure i wilgotne późnozimowe popołudnie. Na stoisku Haycocka leżały sterty zapleśniałych książek o pożółkłych kartkach i wyblakłych okładkach w odcieniach zepsutych owoców.

- Holbach mówi, że się o pana martwi – rzekł Haycock.
- To nieważne.
- Czyżby? Stawia mnie to w złym świetle.
- Przykro mi. Mam do pana sprawę.

Zanim Haycock zdążył coś powiedzieć, Arjun rozpoczął swoją opowieść. Opowiedział wszystko o swoim spotkaniu z Shayem, wizji w tunelu, swoich obawach i teoriach dotyczących niezwykłego stanu boga. Haycock przytakiwał i pochrząkiwał – „aha, aha” – bez większego zainteresowania. Arjun próbował opisać to przerażenie; powiedział, że przypomina uczucie tonięcia, wciągania pod wodę przez roślinność, za każdym razem, gdy widzi, jak twarz tej istoty wyłania się z deszczu bądź pojawia, bezkształtna i wykrzywiana cierpieniem, na brudnej powierzchni kałuży; gdy w smrodzie kanałów i zatęchłej wody czuje jej ból i nienawiść...

– W takim razie dlaczego wciąż pan żyje? – przerwał mu Haycock.

– Słucham?

– Skoro ten bóg na pana poluje, to dlaczego jeszcze pana nie zabił? Gdybym to ja chciał pana wykończyć, jak nic już dawno bym to zrobił.

– To nie tak, panie Haycock. Jedna jego część jest zatruta człowieczeństwem, a druga ma tysiące lat. Być może jest starsza niż miasto. Nie ma dla niego znaczenia, że poczeka kolejne kilka miesięcy.

Haycock mruknął coś pod nosem.

– Niech pan sobie wyobrazi, jaki on musi być

zagubiony, nieszczęśliwy i zde gustowany tym, czym się stał. Czymś niedoskonałym.

Haycock tylko wzruszył ramionami. Prawdę mówiąc, od początku zimy Arjun nawet przez chwilę nie zastanawiał się nad tym, o co zapytał Haycock; łatwość, z jaką przyszło mu udzielenie odpowiedzi, sprawiła, że zwątpił w swoje słowa.

– Zapłacę panu za książki o Tajfunie – rzekł pośpiesznie. – A także o Shayu, jeśli jakieś istnieją, lub o kimś, kto zajmował się tym samym, co on, cokolwiek to było. Albo o czymkolwiek innym, co uzna pan za użyteczne. Muszę już iść. Wkrótce się ściemni.

Postanowił wrócić do „Jąkających Wrót” powozem. Woźnica jechał zbyt blisko wody, ale Arjun to przemilczał. Zapadła noc. Powóz szybko minął długą pustą ulicę, która odchodziła w lewo od głównej arterii. Za ceglanymi szeregowcami, ogrodzeniami i zielskiem porastającym ulicę Arjun dostrzegł Rzekę i nieprzyjemne światło tańczące na powierzchni mętnej wody, a w tym świetle przez chwilę mignęły mu małe postacie mężczyzny i dziecka stojących nad brzegiem. Arjun bardzo się zawstydził.

* * *

Trzy dni później Haycock dostarczył Arjunowi całą torbę książek.

Była wśród nich nieprzyjemna i sadystyczna powieść

zatytułowana *Morderstwa doktora MacLaglana*, traktująca o odrażającym mężczyźnie, który mieszkał w wąskim mrocznym domu o brudnych oknach wychodzących na rzekę i popełnił serię z lubością opisywanych morderstw, dusząc, topiąc i trując swoje ofiary, a wszystko to na polecenie bulgoczącego głosu, który każdej nocy wydobywał się z zimnej wody i przedstawiał się jako „Tymon”. Początkowo MacLaglan mordował miejscowe uliczne dzieciaki, następnie swoje siostrzenice, potem prostytutki, aż w końcu zabił swoją piękną siostrę. Robił to bez radości i z determinacją. Znosił ciała jedno po drugim nad wodę.

Arjun nie był w stanie doczytać książki do końca. Wszystko wskazywało na to, że główny bohater albo nie poniesie żadnych konsekwencji swoich zbrodni, albo sam zostanie pożarty przez potwora. Oba te rozwiązania były nie do przyjęcia. Arjun nie był zaskoczony, gdy usłyszał, że książka została uznana za bluźnierczą i zakazana, a większą część nakładu zniszczono i właśnie dlatego Haycock musiał tak dużo za nią zapłacić.

Oprócz *Doktora MacLaglana* dostawa zawierała dwie książki historyczne opowiadające o Rzece. Pierwsza w niejasny sposób odwoływała się do rytuałów barkarzy, którzy w dawnych ciężkich czasach podczas przesilenia zimowego spotykali się w tunelach i ciągnęli losy, by ustalić, czyje dziecko zostanie w tym roku oddane rzece, by uchronić ich przed utonięciem, chorobą lub bankructwem. W drugiej książce napomykano

mimoходом, jakby to była rzecz powszechnie znana, że „w fundamentach pierwszych mostów spoczywają ciała”. Obie pozycje pobieżnie wspominały o Tajfunie, jednak więcej miejsca poświęcały tuzinowi innych rzecznych bóstw.

Arjun znalazł także krótki, nieudolnie napisany *Pamiętnik z życia barkarza*, który zaczynał się słowami:

Urodziłem się do ciężkiego żywota, matka powiedziała, że przyszedłem na świat za wcześnie, gdy pędziliśmy skrótem pod Tyn Wald i latarnie się wypaliły, a każdy barkarz wie, że dzień w tunelach pod koniec jest już tylko plamką, nie daje światła, przy którym byłoby cokolwiek widać. W ciemności konie wystraszyły się nad brzegiem wąskiej ścieżki holowniczej, gdy ona krzyknęła w połogu, a mój ojciec, który jak mówiła czasem bywał umysłowo ociężały z powodu febry, zaplątał się nogą w liny holownicze i wpadł, a chociaż moi wujkowie wrócili z żerdziami i latarniami, by go szukać, nigdy go nie odnaleźli. Mawiamy, jeszcze jeden w objęciach Tajfuna, gdy tak się dzieje, i właśnie tak odchodzą barkarze, albo przez febrę. Ojciec woził węgiel z Unger do Wald do ogrzewania Łażni, zgodnie z umową z Kombinatem Holcrofta, który nigdy nic nie zapłacił za jego śmierć, ponieważ, jak powiedzieli, bóg tego chciał. Więc kiedy tylko zacząłem chodzić, wiedziałem, że zastanę barkarzem.

Pamiętnik również został zakazany, ze względu na nieroztropne uwagi na temat Kombinatu Holcrofta i jego ostatecznego właściciela, gerenta Stross End.

Te cztery pozycje wyczerpały budżet Arjuna; Haycock wzruszył ramionami i spakował pozostałe książki. Nim odszedł, zaproponował Arjunowi talizmany i amulety chroniące przed złem i utonięciem, które nabył w tajnym, ale pewnym źródle. Arjun kupił dwa z nich, choć nie mógł sobie na to pozwolić. Przez resztę dnia nosił bransoletkę z białych piór i matowy cynowy pierścień z kamieniem ze strasu, czując się coraz bardziej idiotycznie. Książki nie odpowiedziały na żadne z jego pytań.

Z powodu zakupu do końca tygodnia brakowało mu pieniędzy na jedzenie, dlatego kiedy trzy dni później odwiedziła go Olimpia i zaproponowała wyjście do kawiarni, chętnie się zgodził. Hoxton zabrał ich do przytulnego, ciepłego i zadymionego lokalu pełnego studentów. Olimpia piła dużo i z radością, a Arjun dotrzymywał jej kroku, aż zakręciło mu się w głowie. Gdy spytał, co się stało z malarzem – Mochaiem, czy tak? – ona roześmiała się i odparła: „Pokłóciliśmy się. Nie ma już Mochaia!”, a wtedy Arjunowi wyraźnie poprawił się humor. Studenci przy sąsiednim stoliku zaśpiewali pijacką piosenkę, w której refrenie rozbrzmiewał fragment melodii Głosu. Przez kolejne dwa dni Arjuna nie opuszczał dobry nastrój, dzięki czemu pracował wydajnie i z zapałem i znów zaczął zwracać uwagę na muzykę; trzeciego dnia spadł deszcz i ponownie zalała go brudna

fala strachu.

* * *

Zima ciągnęła się bez końca. Arjunowi wydawało się, że trwa nienaturalnie długo, jakby powoli zbierała siły, jednak nikt inny nie uważał tego za dziwne. Utonęło kolejnych dwóch studentów, w wodach Kanału Caldera znaleziono samobójcę, a w misyjnym schronisku dla bezdomnych przy Okręgu Hailie wybuchła epidemia czernicy płuc.

Rozdział 26

Jack nie od razu wrócił do Shutlow. Uznał, że byłoby to marnotrawstwo daru, który otrzymał. Ruszył na oślep ponad miastem, kreśląc obszerne łuki na jego mapie. Całe niebo było jego własnością. Dzielił je z dymem i wystraszonymi ptakami. Czasem dostrzegał na horyzoncie „Gromowładnego”, jednak trzymał się od niego z daleka.

Postanowił polecieć jak najdalej potrafi. Zwrócił się na zachód i ruszył przed siebie. Na każdy akr miasta, jaki zostawiał za plecami, przypadał kolejny, który pojawiał się na horyzoncie. Lecz im bardziej oddalał się od Rzeki i Góry, tym większego wysiłku wymagało utrzymywanie równowagi. Wieczorem zrezygnował, bojąc się, że jeśli będzie leciał dalej, to moc może nagle go opuścić.

Wylądował na płaskim dachu w części miasta, w której olbrzymie pionowe lustra błyskały do siebie pomiędzy dachami, i przez jakiś czas odpoczywał. Potem zawrócił w stronę Rzeki, kierując się potężną bezgwiezdą sylwetką Góry. Wydawało się, że nie potrzebuje snu – zupełnie jakby zastępował mu go lot. Od czasu do czasu zastanawiał się nawet, czy nie śni.

Początkowo czuł silną potrzebę traktowania swojego daru z nabożeństwem, uczynienia z niego aktu czci, choć nie był pewien, komu **lub** czemu miałby ją oddawać, więc po prostu zachowywał poważne oblicze i usiłował myśleć o ważnych sprawach. Długo tak nie wytrzymał. Poleciał

do Goshen Tor i unosił się pomiędzy wysokimi oknami banków, strasząc gołębie siedzące na gzymsach. Stukał w szyby, po czym odskakiwał ze śmiechem, gdy urzędnicy spoglądali w jego stronę. Na szczycie budynku znalazł luksusowy gabinet, zapukał w okno i zawołał: „Przepraszam, może wyczyścić panu buty?! Proszę pana?! Może pan kupi »Erę«!”. Osłupiały blady grubas w brązowym garniturze wbił w niego wzrok. Jack odwzajemnił się niewinnym spojrzeniem szeroko otwartych oczu, po czym roześmiał się i ponownie wyskoczył w powietrze. Oddawał się takim rozrywkom przez całe popołudnie.

Korzystając z tego, że jest w Tor, podleciał do świątyni Tybru, gdzie ukrywał się kilka miesięcy wcześniej, i siedział tam przez chwilę, myśląc: Złapcie mnie teraz, dranie! Nikt jednak po niego nie przyszedł.

Usiadł na skierowanym na północ zimnym, spadzistym cynowym dachu. Gdy zimowe wieczorne niebo pociemniało, ujrzał na horyzoncie migoczące czerwone światło. Słup Ognia. Bóg więźniów. Zawsze tam był: słaby blask na krawędzi pola widzenia, którym można się kierować w nocy, Jack jednak nigdy nie widział go z bliska. Drobnymi krokami podbiegł do krawędzi dachu i wyskoczył w powietrze, po czym skierował się na północ.

* * *

Było około północy. Wszystko tonęło w czerwonym

zmiennym świetle, które odbijało się słabo w szybach i skrzyło w powietrzu. Wysokie, białe jak kość budynki, które otaczały plac, niegdyś w wielkich bólach ozdobiono kolumnami, kanelurami i dumnymi posągami; miały wyglądać majestatycznie, lecz nie mogły się równać z tym, co wznosiło się na środku placu. Na tym czymś jednak trudno było zatrzymać wzrok, więc spojrzenia obserwatorów w końcu zawsze wracały do budynków.

Płomień bezustannie buchał w górę. Grubością dorównywał rozpiętości ramion sześciu mężczyzn, zaś wysokością przewyższał najwyższe budynki. Był sztywny lecz falował. Kościół nauczał, że wszyscy, którzy dobrze umierają, odradzają się jako błyski Płomienia, wiecznie oczyszczane i rozrzedzane. Być może to prawda; ktoś mógł to wiedzieć? Blask szczypał w oczy. Płomień dawał znacznie mniej ciepła niż można się było spodziewać.

Przypominał wykrzyknik lub karcący palec. Domagał się uwagi. Musiał coś oznaczać. Budynki sądów i więzień odbijały jego blask i nadawały mu znaczenie. Surowe fasady głosiły: „Płomień to sprawiedliwość i kara”.

Jack podszedł bliżej, przeciskając się przez tłum. Nie chciał zwracać na siebie uwagi. Wszędzie wokół byli kapłani, a pomiędzy ludźmi krążyli strażnicy uzbrojeni w karabiny. Tutaj nie tolerowano braku szacunku. Oczywiście było mało prawdopodobne, by ktokolwiek zlekceważył to święte miejsce; tłumy okrążające Płomień w blasku nienocy wydawały się oszołomione czcią.

Tłum się rozdzielił. Środkiem szła grupa kapłanów, a za

nimi oficerowie służb porządkowych, którzy prowadzili mężczyznę zakutego w łańcuchy. Był absurdalnie niski, chudy i stary. Miał ogoloną głowę i odciętą brodę. Tłum na niego syczał. Prowadzący kapłan klasnął w dłonie i ludzie się rozstąpili. Jack również się cofnął.

Kapłani byli ubrani w bogato zdobione czerwono-złote szaty Kościoła Tybru. Poprowadzili więźnia na szafot, który stał niemal na środku placu, w pobliżu Płomienia. Szafot i sylwetki stojących na nim mężczyzn rzucały na bruk długie cienie.

Jack znał ten rytuał. Nauczyciele opisywali go szczegółowo i z upodobaniem. Każdego dnia Kościół zabierał jednego człowieka skazanego na powieszenie, losując go ze wszystkich miejskich więzień. Skazańca prowadzono na ten plac, by dokonał żywota, kontemplując Płomień, a potem mógł zostać w nim oczyszczony.

Służba porządkowa utrzymywała tłum w ryzach za pomocą bagnetów. Jack podszedł najbliżej jak mógł. Spóźnił się na pierwszą część ceremonii: ogłoszenie win więźnia. Teraz mężczyzna płakał, lamentując nad grzechami i głupotą, które doprowadziły go na szafot. Oczywiście czytał ze scenariusza. Jack znał tę formułkę na pamięć. Kapłan uniósł pętlę nad ogoloną głową skazańca.

Jack zaczął biec jeszcze zanim się zorientował, że ma taki zamiar. Oficer stojący przed nim opuścił karabin, uniósł dłoń i coś zawołał. Kiedy Jack się nie zatrzymał,

oficer ponownie podniósł broń, ale było już za późno. Chłopak przeskoczył mu nad głową.

Dwaj kolejni oficerowie zeszli z szubienicy, by zatarasować schodki. Jack uniósł się w powietrze z boku konstrukcji. Lekko wylądował na jej szczycie i chwycił skazańca za rękę. Zatoczył się. Mężczyzna sporo ważył, chociaż był wychudzony. Przez chwilę byli w ruchu i być może udałoby im się odlecieć, gdyby więzień się nie bronił. Jego przekrwione oczy rozszerzyły się ze strachu i mężczyzna zatoczył się do tyłu, po czym upadł. Jack miał ochotę go uderzyć. Ktoś złapał go od tyłu za ramię. Chłopak szarpnął głowę w tył, trafiając w kość, i uwolnił rękę.

Skazaniec próbował ukryć się w tłumie, ale pocisk rozerwał mu biodro, rzucając go na ziemię. Dwaj oficerowie służb porządkowych skoczyli na niego i przygwoździli mu ręce do podłoża. Za plecami Jacka klęczał kapłan, trzymając się za rozkwaszony nos i jęcząc. Dwaj kolejni duchowni stali obok, wyraźnie zdenerwowani. Strzelcy przepychali się przez tłum.

– To jego syn! Wrócił, by go ocalić! – wołali ludzie. A także: – To jego wspólnik! Zatrzymać go!

Było już za późno, by cokolwiek zrobić; źle to wszystko wyliczył. Skoczył w powietrze, wznosząc się po łuku i wywołując zdumione okrzyki tłumu.

– To Klucz we własnej osobie! – wrzasnęła jakaś kobieta.

Ktoś strzelił. Jack zawrócił w stronę Płomienia, tam

bowiem strażnicy nic nie widzieli i nie mieli odwagi strzelać. Ominął go w ostatniej chwili. Poczł mrowienie na skórze, ale ogień go nie sparzył.

Kiedy był już dostatecznie daleko, znów zawrócił i ruszył na południe, w stronę ulicy Moore'a, z nowym poczuciem celu. Już wiedział, czego mogli dokonać i czym mogli się stać Gromowładni.

* * *

To była długa podróż, nawet dla niego, często więc się zatrzymywał, zarówno w nocy, jak i w dzień, i spacerował po dachach, gestykulując oraz mówiąc do siebie, przygotowując swoją przemowę. Chciał im powiedzieć, że połączył ich otrzymany od Ptaka chwilowy dar wolności i głodu wolności. Zdradziliby go, gdyby zatrzymali się w miejscu, w którym spadli, zadowolając się drobną przestępczością, czekając na kolejne aresztowanie, zgarnięcie przez oddział przeprowadzający brankę lub... Tylko jeśli będą dalej parli naprzód, dzielili się darem, stawali się więksi i bardziej szaleni, staną się godni tego cudu. Miasto jest pełne więzień i domów poprawczych, jest zakute w łańcuchy, które trzeba zerwać. Teraz Jack ma moc, by tego dokonać. Może zabrać ich ze sobą. Staną się snem o wolności. Czekają ich ostatnia wieczna ucieczka. Właśnie coś takiego chciał im powiedzieć.

Tak, to prawda, że pierwsza próba nie zakończyła się

sukcesem, i być może nie powinien był o tym wspominać, ale mając za sobą wciąż rosnącą armię... To może stać się ich celem. Wszyscy mogą zostać ocaleni.

I tak dalej: klecił płomienną przemowę z na wpół zapamiętanych sztuk łotrzykowskich i ballad o typach spod ciemnej gwiazdy, z modlitw i prorocत्व, które wbijano mu do głowy w Domu – nieskrępowany bagażem wiedzy o czymkolwiek innym, słysząc w głowie szept mocy – daru, który unosił jego stopy.

* * *

Wylądował w pobliżu rzeki, na południe od Wrzosowiska i pozostałą część drogi do Czarnego Księżyca pokonał piechotą, trzymając ręce w kieszeniach.

Na ulicę Moore'a dotarł nad ranem. Kilku staruszków z pensjonatów na północnym krańcu ulicy właśnie rozpoczynało swój nudny dzień. Lager rozstawiał się na rogu ze swoją lirą korbową, trzymając skręta w sękatej lewej dłoni. Jego sińce już się goiły.

Ktoś zerwał deski z frontowych okien „Księżyca”, wpuszczając do środka światło poranka. Wewnątrz budynek wyglądał blado i surowo, był bardzo mały i obskurny. Brama ogrodu została wyrwana z zawiasów. Jack nie widział nikogo w odsłoniętym wnętrzu.

Popędził na tył budynku i wszedł do pustego baru, po czym wbiegł na górę.

– Kto tu jest? Co się stało?! – zawołał.

Na górnych piętrach było pusto. Ktoś powinien tam być, niezależnie od pory dnia: razem z Fisseem poświęcili wiele wysiłku, by zorganizować warty.

– Fiss?! – wołał łamiącym się głosem, tłukąc w ściany. Ich rzeczy zniknęły; wszystkie zapasy i małe trofea.

Wyszedł na dach i popatrzył w dół. Nie zauważył nikogo w pobliżu budynku. W rogu ogrodu spoczywała sterta świeżego popiołu. Zeskoczył z dachu i zaczął ją przetrząsać. Znalazł kilka niespalonych kawałków tkaniny: ich koce.

Ponownie obszedł front budynku i usiadł na ulicy pod zwisającym szyldem. Kilku przechodniów mu się przyglądało, ale nie dbał o to, kto go zobaczy: nie można go już było złapać ani zatrzymać. Mogło to jednak spotkać pozostałych. A jego wtedy przy nich nie było. Niech na niego doniosą; niech spróbują go pojmać.

Był głodny i nie mógł tego bez końca ignorować. Około południa wszedł z powrotem do „Czarnego Księżyca”. Mieli tam jedzenie. Być może strażnicy zostawili je.

Kiedy tylko znalazł się w środku, wyczuł jakąś zmianę. Wcześniej budynek sprawiał wrażenie nagiego i bezbronnego, teraz wyglądał podejrzanie. Ktoś się w nim ukrywał. Ktoś wrócił, kiedy Jack był na ulicy. Wyczuł to jeszcze zanim świadoma część jego umysłu zarejestrowała odgłos kroków: tupot stóp na schodach, który urwał się niczym wstrzymany oddech, gdy Jack wszedł do budynku. Gdzieś w piwnicy.

W kuchni zastał otwarty właz w podłodze. Ciemne

ślady prowadziły na dół. Jack powoli zszedł po schodach.

Jakaś postać wyskoczyła na niego z ciemności, trzymając nad głową nóż. Jack miał mnóstwo czasu, by spokojnie się odsunąć. Poczekał, aż postać go minie, po czym chwycił ją za ramię i spojrzał Fissowi prosto w przestraszoną, brudną twarz.

* * *

W niewietrzzonej piwnicy śmierdziało i było trudno oddychać. Fiss rozpałił małe ognisko w rogu, jako opału używając połamanej skrzynki. Usiedli obok siebie pod ścianą.

– Nie wiedziałem, że tak długo mnie nie było – rzekł Jack.

– Tylko kilka dni.

– Coś się stało, Fiss.

– Nie musisz przeproszać. Powiedziałeś, że idziesz, i poszedłeś. Nie byłeś naszym stróżem i nie mógłbyś niczego zmienić. To i tak nie mogło trwać wiecznie.

– Wcale nie przepraszam. Nie patrz tak na mnie, naprawdę nie wiedziałem, że tak długo mnie nie było. Rzeczywiście coś się stało i owszem, mogłem coś zmienić. Jeszcze możemy wszystko naprawić.

Fiss pokręcił głową i wbił wzrok w swoje stopy.

– Co tu się wydarzyło? W jaki sposób zdołałeś uciec?

– To się stało przedwczoraj. Z samego rana, kiedy jeszcze było ciemno. Martin i Elsie stali na czatach, tak mi

się przynajmniej wydaje. To Elsie mnie obudziła i powiedziała, że nadchodzą jacyś ludzie z karabinami i latarniami. Obudziłem Aideną i próbowaliśmy wyprowadzić wszystkich do ogrodu, a potem na drugą stronę ogrodzenia, ale oni już czekali w ciemności; łapali nas i odciągali. Zebrałem kilku chłopaków i usiłowaliśmy wyjść z drugiej strony, ale wtedy usłyszałem, że zrywają deski od frontu i rozbijają tylne drzwi. Mimo że wcale nie były zamknięte.

W blasku ognia Fiss wyglądał na bardzo wychudzonego. Jack zgadywał, że chłopak niczego nie jadł ani nie spał od czasu tamtych wydarzeń. Mimo to będzie musiał znaleźć w sobie siły, by zrobić to, co planował Jack. Musieli działać szybko, nie mieli więc czasu na odpoczynek.

– Wyszedłem na dach... wpadłem w panikę, Jack, nie mogłem nic zrobić. Namdi nawoływał nas do walki, ale niby jak mieliśmy walczyć? Tamci mieli szable i broń palną. Dlatego wyszedłem na górę i przeskoczyłem na dach lombardu. Była ze mną Beth, ale nie udało jej się skoczyć w spódnicy. Aiden nie trafił. Mnie się poszczęściło. Przedostałem się na ulicę. Czekali na zewnątrz, Jack, i koniecznie chcieli nas wyłapać; mogli to zrobić w każdej chwili, ale czekali, aż zezłoscimy ich na tyle, by zechciało im się ruszyć.

– Czy ktoś jeszcze uciekł?

– Nie wiem. Wątpię.

– Ktoś został ranny?

– Aiden spadł. Widziałem, że kogoś uderzyli w głowę. Nie jestem pewien.

– Czyi to byli ludzie?

– Hrabiny. Chyba. Tak, na pewno hrabiny.

– Minał dopiero jeden dzień, więc nikogo jeszcze nie przenieśli. Nadal trzymają ich w strażnicy hrabiny, tutaj w Shutlow.

– Tak sędzę.

Jack był coraz bardziej podekscytowany. Zdawał sobie sprawę, że współczuje pozostałym znacznie mniej niż powinien. Wiedział, że z pewnością są przerażeni albo ranni, a Fiss jest zrozpaczony, lecz czuł, że może to wszystko naprawić, a nawet uczynić lepszym.

– Przygotowałem przemowę, która miała was przekonać. Nie byłem pewien, jak mi pójdzie. Chyba nie wszyscy by mnie zrozumieli. Ale teraz już jej nie potrzebuję. Będziesz musiał zrobić to, o co cię poproszę, i to z entuzjazmem. Zaczniemy od siebie. Przykro mi, Fiss, nie patrz tak na mnie. Po prostu jestem podekscytowany. Wstawaj. Chodź ze mną. Muszę ci coś pokazać.

* * *

Strażnica hrabiny w Shutlow była nieciekawą, trzykondygnacyjną kamienną bryłą porośniętą bluszczem, o płaskim dachu i prawie sześciennym kształcie. Było wiele takich budowli. Parlament Mass How uznawał Shutlow za część swojego terytorium i miał własną

strażnicę przy ulicy Ackera. Przewodniczący Cimenti chciał, aby wszyscy wiedzieli, że szczerze troszczy się o to, by w Shutlow panował spokój, i choć rzecz jasna nie uzurpował sobie władzy nad dzielnicą, to sponsorował obywatelski oddział, który stacjonował na Targu Siedmiu Kół. W tej samej okolicy swoich ludzi miało sześcioro innych szlachciców.

Strażnica hrabiny mieściła się przy ulicy Diakońskiej. Przed drzwiami stało dwóch wartowników. W innych częściach miasta – w Czwartym Okręgu, Garhide, Ar-Mouth – przed więzieniami nierzadko wybuchały zamieszki, gdy jakiemuś kryminaliście udawało się zdobyć sympatię tłumu, w Shutlow jednak nie było takiego zagrożenia, gdyż miejscowych nie było łatwo skłonić do jakiegokolwiek działania. Wartownicy byli tam tylko na pokaz.

Obaj mężczyźni podskoczyli, gdy na kamieniach przed nimi roztrzaskała się w chmurze czerwonego pyłu dachówka. Spojrzeli w górę, po czym rzucili się w bok, osłaniając oczy rękami, gdy w ich stronę pomknęła kolejna płytką. Pękła na osłoniętych kolczugą plecach jednego z nich, powalając go na kolana. Trzecia dachówka rozbiła się z trzaskiem na ramieniu mężczyzny, odkształcając kolczugę i przebijając ciało. Drugi ze strażników wycofał się rakiem przez drzwi, wołając:

– Jakiś drań siedzi na dachu i w nas rzuca! Hinton jest ranny!

Jack szybko się obniżył i rozrzucił resztę dachówek,

gdy wylądował obok bramy. Unosił się wysoko nad dachem – wystarczająco, jak przypuszczał, by zrzucona płytka unieruchomiła ofiarę, lecz jej nie zabiła. Zrobiło mu się niedobrze, gdy ujrzał zmasakrowane ramię strażnika. Krew tryskała spomiędzy potrzaskanych ogniów kolczugi; ręka zwisała pod dziwacznym kątem; kość zazgrzytała o metal, gdy mężczyzna wstał, rycząc z bólu. Wyglądało to znacznie mniej czysto, niż Jack sobie wyobrażał. Następnym razem postara się lepiej.

Pozbył się współczucia i chwycił obiema rękami karabin zawieszony na plecach strażnika, po czym oparł mu nogę na plecach i szarpnął, rozrywając pasek. Mężczyzna ponownie krzyknął. Jack sięgnął po jego bandolier. Trzymając broń, ładunki i woreczek z pociskami, wzleciał ponad ulicę.

Na dole ludzie wystawiali głowy przez okna. To nie był Czwarty Okręg, gdzie wszyscy doskonale wiedzieli, że kiedy słyhać krzyki, należy się schować. Mieszkańcy dzielnicy Shutlow, obskurnej i wilgotnej, ale spokojnej, wierzyli, że ludzie tacy jak oni nie padają ofiarą przemocy. Po chwili także zaczęli krzyczeć, gdy zobaczyli Jacka, który wzbił się w powietrze niczym aktor unoszony nad sceną za pomocą lin i bloków, jednak znacznie wyżej i – co niemożliwe – pod gołym niebem.

Jack wylądował na wysokim płaskim dachu magazynu po przeciwnej stronie ulicy, skąd obserwował go Fiss.

– Trzymaj – rzekł Jack, podając mu karabin i bandolier. Spojrzał w jego zmęczone, zapadnięte oczy. – Pamiętaj:

nie musisz nikogo trafić. Po prostu strzelaj najszybciej jak potrafisz, żeby się przestraszyli. I nie daj się zabić. – Pod wpływem impulsu uściskał go, po czym ponownie skoczył z dachu.

Kiedy znalazł się przed więzieniem, grupa strażników właśnie wypadła na ulicę i rozbiegła się na różne strony, celując w powietrze i obserwując niebo. Było ich pięciu. Jeden podniósł rannego kolegę i pomógł mu wejść do budynku. Dwaj kolejni wybiegli na dach, trzymając pałki w pogotowiu. Kobieta, która wyglądała przez okno pubu trzy budynki dalej, zawołała:

– Jest w powietrzu! Jest w powietrzu!

Strażnicy ją zignorowali.

Ulicą przetoczył się huk wystrzału, a w oknie strażnicy pękła szyba. Na przeciwległym dachu zarysowała się na tle nieba sylwetka Fissa, który przeładowywał broń. Strażnicy wycelowali w niego i strzelili, ale chłopak schował się za gzymsem. Potem znów wstał i uniósł karabin, a strażnicy rzucili się w poszukiwaniu schronienia.

Jack okrążył boczną ścianę budynku i zauważył uchylone okno na pierwszym piętrze. Otworzył je na oścież i wślizgnął się do czyjegoś gabinetu. Następnie wymknął się na korytarz i zbiegł po schodach.

Znalazł się w holu, którego ściany obwieszono bronią: szablami, karabinami i włóczniami. Stamtąd przeszedł do kuchni, gdzie na stole leżał, jęcząc z bólu, ranny strażnik. Na podłodze było pełno krwi. Kolejny mężczyzna, ten,

który wciągnął rannego do środka, usiłował delikatnie zdjąć z niego zbroję.

Kiedy Jack wszedł do kuchni, ranny wsparł się na zdrowej ręce i wskazał intruza, podnosząc zachrypniętym głosem alarm. Drugi ze strażników chwycił pałkę i ruszył biegiem w stronę Jacka. Ten usunął mu się z drogi i kopnął go od tyłu w nogę. Strażnik upadł na jedno kolano, ale zaraz wstał i znów rzucił się na chłopaka. Był potężny, ale znacznie wolniejszy od Jacka, który przeskoczył mu nad głową i popchnął go, posyłając na ziemię.

Ranny strażnik wychylił się w bok i sięgnął po tasak, który leżał na blacie. Jack kopnął stół, który zachwiał się pod wpływem ciężaru mężczyzny i runął na podłogę. Strażnik potoczył się w róg pomieszczenia, trzymając się za rękę i wrzeszcząc. Już nie próbował wstawać.

Jack wyjął swój piękny kradziony nóż, przyłożył go drugiemu mężczyźnie do szyi i poczekał, aż ten znieruchomieje.

– Cele – syknął. – Cele i klucze do nich. Ale już.

Strażnik uniósł drżące ręce nad głowę, powoli wstał i ostrożnie wycofał się tyłem do holu, po czym poprowadził Jacka schodami do piwnicy. Jack cały czas trzymał mu nóż na gardle. Czuł, że przeciwnika opuściła wola walki.

Od piwnicy odchodził cuchnący korytarz, wzdłuż którego mieściły się cele. Jack kazał strażnikowi wziąć klucze i wypuścić wszystkich więźniów. W pierwszej celi spała na słomie stara kobieta, prawdopodobnie pijaczka albo dziwka (Niech bogowie mają ją w opiece, jeśli to

prawda, pomyślał Jack). W kolejnej siedziała grupka Gromowładnych. Jack wypatrzył wśród nich Turyka, pomocnika stolarza, oraz Eena, małego portowego złodzieja.

– Jack! A niech mnie Płomień, to Jack!

– Stańcie razem na korytarzu. Nie ruszajcie się stąd, dopóki wam nie rozkażę. Szybko.

Gdy wszystkie cele już opustoszały, w tunelu stała grupa kilkunastu chłopców. Nie byli w komplecie – poza tym nie było wśród nich dziewcząt – nie mieli jednak czasu, by się policzyć. Brakowało Aideny i Namdiego.

– Gdzie pozostali? – spytał Jack, a chór podekscytowanych głosów odpowiedział, że zostali zabrani poprzedniej nocy i przeniesieni do różnych domów poprawczych. – W takim razie znajdziemy ich później. Na razie wystarczy.

Kiedy byli gotowi, Jack zerwał z pleców zakładnika karabin i wręczył go Turykowi. Wspięli się do holu, gdzie Jack rozkazał:

– Nie śpieszcie się. Dobrze się uzbrojcie. Weźcie noże, pistolety, co tylko znajdziecie. Amunicję. Żadnych pik ani innych głupot.

Dwaj strażnicy wyjrżeli zza futryny, zobaczyli gąszcz kołyszących się karabinów i wycofali się na zewnątrz. Jack ruszył ich śladem, prowadząc przed sobą zakładnika, który trzymał ręce w górze. Strażnicy czekali na nich przed budynkiem. Trzej kolejni (skąd wziął się ten piąty?) pomimo ostrzału Fissa przedarli się na drugą stronę ulicy i

teraz taranowali drzwi magazynu.

Jack chwycił Turyka za rękę.

– Idź – rozkazał, popychając go w jedną stronę, a Martina w przeciwnym kierunku.

Obu chłopcom szepnął do ucha nazwę innego targowiska w Czwartym Okręgu. Ruszyli biegiem, a grupa rozdzieliła się i podążyła za nimi. Jack stał w drzwiach, nadal trzymając nóż na gardle schwytanego mężczyzny. Strażnicy obserwowali uciekające dzieci oraz Jacka i jego zakładnika. Gdy chłopak wszedł z powrotem do budynku, postanowili ruszyć za nim w pogoń. Jack wciągnął strażnika do połowy wysokości schodów w holu, po czym rzucił go na kolana. Nachylił się i szepnął mu do ucha:

– Wkrótce będzie nas więcej niż jesteście w stanie zliczyć.

Pozostali strażnicy wpadli do środka i wycelowali w Jacka, ale on już zniknął za zakrętem schodów; wbiegł na następne piętro, dopadł do okna i wyskoczył. Potem mógł już bez przeszkód dotrzeć na dach, na którym czekał Fiss, i zabrać go, zanim strażnicy sforsowali drzwi magazynu. Na razie wszystko szło gładko.

* * *

Prawie wszyscy dotarli do jednego z punktów zbornych wskazanych przez Jacka. Tylko po jednym chłopcu zaginął ślad. Był to nowy nabytek imieniem Will. Nikt nie

wiedział, kiedy został w tyle.

– W tej chwili nie możemy nic na to poradzić – rzekł Jack, kiedy już odczekali tak długo, na ile wystarczyło im odwagi, kręcąc się obok stert z odpadkami na rogach targowiska. – Jeżeli wciąż jest na wolności, to może nas znajdzie. A jeśli go zabrali, to wkrótce sami go odnajdziemy.

Pozostało ich dwunastu. Byli zmęczeni i wystraszeni. Dwóch chłopców zostało ciężko pobitych przez strażników. Jeden miał opuchnięte oko, a drugi zwichnięte ramię i niesprawną rękę. Jacka w jednej chwili opuściło poczucie winy z powodu zranienia strażnika.

Fiss był bezużyteczny: milczący, zamknięty w sobie i słaby. Nie jadł i nie spał od zbyt wielu nocy. Odwrócenie uwagi strażników kosztowało go resztkę sił. Dlatego Jack musiał samodzielnie zorganizować chłopców. Na szczęście byli zmęczeni i wystraszeni, więc łatwo było nimi pokierować. Był podekscytowany i snuł tyle planów naraz, że z trudem przypominał sobie ich imiona.

– Powrót do Shutlow to zbyt duże ryzyko – oznajmił. Nikt się nie sprzeciwił, więc wybrał kierunek na oślep, jak to z powodzeniem robił do tej pory, i poprowadził ich na zachód przez Czwarty Okręg. – Niczego nie kradnijcie, niczego nie dotykajcie, na nic nie patrzcie. Trzymajcie się w cieniu, nie podnoście głów. Nie możemy zostawiać żadnych śladów.

Wszyscy byli bardzo głodni. Bezczyenne przebywanie wśród stoisk zjedzeniem, nawet tak niewyszukanym i

nieświeżym jak w Czwartym Okręgu, było prawdziwą torturą.

– Tam, gdzie idziemy, czeka na nas jedzenie – obiecał Jack, choć było to kłamstwo.

Potrząsnął za ramię chłopca imieniem Rauf.

– Pamiętasz, jak maszerowaliście ulicą, bawiąc się w żołnierzy hrabiny? Kazałem wam wtedy przestać. Teraz jesteś żołnierzem, Rauf, i rozkazuję ci maszerować. Pokaż nam, jak wiele wytrzymasz.

Nie rzucali się specjalnie w oczy na ulicach Czwartego Okręgu. Byli po prostu kolejną watahą obdartych dzieciaków, które wędrowały wśród odpadków. Przemykali bocznymi uliczkami, rowami przecinającymi chaotyczną dzielnicę, gramoląc się przez sterty śmieci zgarniętych na pobocza. Trzymali ręce w kieszeniach, jeśli tylko je mieli, i szli blisko siebie, jak posłuszni uczniowie, którzy, powłócząc nogami, przechodzą z jednej sali lekcyjnej do drugiej.

Jack szedł przodem i sprawdzał drogę. Pozostawał na ziemi, gdyż nie chciał zwracać na siebie uwagi, jednak od nadmiaru emocji czuł mrowienie w stopach i co chwila puszczał się biegiem.

Nie spotkali żadnych specjalnych patroli ani oddziałów straży, które przeczesywałyby miasto w poszukiwaniu zbiegów. Być może nikt z załogi strażnicy nie odważył się opowiedzieć przełożonym o swoim upokorzeniu. Albo patrole już były w drodze, tylko jeszcze się nie zorganizowały. Jack stale popędzał chłopców.

Zauważył, że na ulicach już nie było oddziałów przeprowadzających branke. Czy to oznaczało, że nadchodził czas pokoju, czy może hrabina znalazła już wystarczająco wielu żołnierzy?

Prowadził ich pokrętną trasą. Nie znał zbyt dobrze Czwartego Okręgu i nigdy nie zapuścił się tak daleko na zachód. Próbował kierować się pozycją Góry, ale często zasłaniały ją obdrapane budynki, a wtedy zbaczał z kursu. Nie przyznawał się chłopcom, że czasem gubił drogę. Nie opowiadał także o tym, jakie miał wobec nich plany; było na to za wcześnie.

Zapadła noc, a oni wciąż szli przez Czwarty Okręg. Zaczęło lekko śnieżyć i ramiona oraz plecy ich kurtek powoli zwilgotniały i stały się ciężkie. Jack nie pozwolił im spać. Zresztą nie miał gdzie przenocować dwunastu chłopców. Lokalne gangi i plemiona obserwowały ich z ciemności, ze ślepych okien i dziur w sypiących się ścianach.

Nikt ich nie zaatakował. Każdego, kto by tego spróbował, spotkałaby straszliwa niespodzianka. Nie porzucili łupów ze strażnicy. Mieli przy sobie karabiny i szable, owinięte w szmaty, które zabrali ze stert śmieci na skraju targowiska. Pod kurtkami trzymali pistolety i noże. Kieszenie napełnili prochem i pociskami. Mieli zadatki na prawdziwą armię.

* * *

Nocą wędrowali przez obwieszane szmatami podwórza pod olbrzymimi ścianami betonowych wieżowców. W betonie wiły się tunele, które prowadziły do głębiej ukrytych placów. Jack szedł przodem, pozostawiwszy dowodzenie w rękach Fissa oraz – po przyjrzeniu się jego poszarzałej twarzy – Turyka. Ukrył się za stertą połamanych cegieł i zajrzał do tunelu wychodzącego na najgłębszy z placów. Zobaczył na nim przechodzącą paradę, której uczestnicy nieśli pochodnie i bębny. Na czele pochodu wirowały tańczące kobiety. Z głębi ziemi dobiegało dudnienie. Paradę zamykali idący na czworakach mężczyźni o głowach ozdobionych grzywami. Pośród nich wesoło kroczył przerażający czerwony olbrzym. Światła iskrzyły we wszystkich oknach. Jack wbił brudne paznokcie w dłoń, by powstrzymać się przed dołączeniem do tańca. Rano nie był pewien, czy to wszystko mu się nie przyśniło.

* * *

Gdy noc dobiegła końca, zatrzymali się na umownej granicy pomiędzy Czwartym Okręgiem a Agdon Deep.

– Wystarczy – oznajmił Jack.

– Jesteśmy teraz na terytorium Kombinatu – zgodził się Turyk. – Hrabina nie pośle swoich sił tak daleko przez Czwarty Okręg. Nie z naszego powodu. Zbytńio by się odsłoniła.

Zaskoczony Jack spojrzał na Turyka.

– Masz rację – odrzekł.

Znaleźli opuszczony fragment kanału. Woda, która kiedyś nim płynęła, została skierowana w inne miejsce i kamienne koryto wyschło. Nad brzegiem stały puste rozpadające się hangary, z których jeszcze nie zdołano zabrać i wywieźć wszystkich cegieł i drewna. Dokoła rozciągał się błotnisty grunt porośnięty krzakami i chwastami. Od strony Agdon, z dołu wzgórza, dobiegały odgłosy odległych kuźni stali. Było to puste i samotne miejsce: gdyby ukryli się w hangarach dla łodzi, mogliby zauważyć nadchodzących wrogów, ale sami pozostaliby niewidoczni podczas wchodzenia i wychodzenia z budynków. Zaczynali od nowa.

Priorytetem było pożywienie. Po drugiej stronie błotnistej terenu, w zasięgu krótkiego spaceru nieznanymi ulicami Agdon, stała wielka metalowa stodoła, w której nadzorcy kuźni wydawali robotnikom chleb i piwo. Chłopcy Jacka umieli już sobie doskonale radzić i wynieśli wystarczająco dużo jedzenia dla wszystkich, nie wzbudzając podejrzeń. Najedli się, napili i przespali niemal cały dzień, leżąc na ziemi, nawet Jack.

Przez tydzień pozwalał im odzyskiwać siły. Agdon Deep nie była bogatą dzielnicą – nie wytwarzała ani nie konsumowała żadnych luksusowych artykułów, a bogactwa zarabiane przez fabryki trafiały w inne miejsca – produkowała jednak przydatne towary, a jej magazyny pękały w szwach. Zapewniała swoim robotnikom obfitość prostego jedzenia. Dysponowała wszystkim, czego

potrzebowali Gromowładni.

Jack nadal nie omówił z nimi swoich planów. Uznał, że najbezpieczniej będzie nie wybiegać zbyt daleko w przyszłość. Wciąż musieli uratować Aidenę, Beth i innych; wiedział, że to skieruje ich na właściwą ścieżkę.

Był teraz jeszcze chudszy niż po ucieczce z Domu Barbotina. Jego kończyny wydawały się lżejsze, a rysy twarzy ostrzejsze. Miał jaśniejsze oczy. Czasami, gdy dostrzegał swoje odbicie w szybie lub wodzie, widział we własnych oczach przerażający blask; nieruchomiał wtedy i uśmiechał się efektownie, upewniając się, że jest piękny i staje się coraz piękniejszy z każdym kolejnym dniem oczekiwania i noszenia w sobie trzepoczącej wizji.

Pewnego ranka, gdy już nie mógł dłużej czekać, przyszedł do sali, gdzie chłopcy siedzieli na piaszczystym podłożu i grali kradzionymi kartami, po czym rzekł:

– Przerwicie i spójrzcie na mnie. To wszystko prawda. To, co według was potrafię. Patrzcie.

Zrobił krok naprzód i w górę, ku krokwiom nad ich głowami, po czym uśmiechnął się do nich spod sufitu. Byli oszołomieni, ale po chwili zaczęli wiwatować.

– Jedwabny Jack! Cholera, Jedwabny Jack!

Kiedy skończyli, wylądował na ziemi.

– Właśnie w taki sposób was wydostałem – powiedział.

– Tak wydostaniemy pozostałych. Wrócimy po nich. Potrzebuję was wszystkich. Będziecie szukać, wypatrywać naszych zaginionych braci, będziecie obserwatorami. A w razie potrzeby weźmiecie broń –

uniósł karabin – i zostaniecie moją armią.

– To szaleństwo, Jack – odparł nerwowo Turyk. – Wspaniale, ale szaleństwo. Mieliśmy szczęście, że udało nam się uciec. Wiele ci zawdzięczamy, ale zabiją nas, jeśli znów spróbujemy.

– A więc ty byś ich zostawił? Jesteś wolny i chcesz się zająć sobą, zostawiając tych, którzy cię przyjęli?

Turyk rozejrzał się, szukając wsparcia.

– Chcemy tylko, żeby zostawiono nas w spokoju, chcemy mieć co jeść. Co w tym złego?

Martin chciał coś powiedzieć, ale Jack wszedł mu w słowo.

– A więc możesz iść. Będziesz miał spokój. Wynoś się. Tym razem mówię poważnie. Precz!

Jack nie zamierzał przyjąć przeprosin. To było ważne. Po kilku chwilach Fiss wystąpił naprzód.

– Jack jasno się wyraził, Turyku. Wynoś się. Martinie, przynieś mu trochę jedzenia, koc i nóż. Potem ma stąd zniknąć.

Pozostali należeli do Jacka.

* * *

Beth wróciła do domu Matki Fossett, z którego wcześniej uciekła. Od tamtego czasu w oknach na dole zamontowano kraty, a płot zwieńczono drutem kolczastym, nikt jednak nie zadał sobie trudu, by zabezpieczyć górne okna.

W nocy Jack podleciał do wysoko położonego okna sali sypialnej i zawołał Beth, budząc przebywające w sali dziewczęta, które zaczęły piszczeć – „Duch! Wampir!” – i tłuc pięściami w zaryglowane drzwi.

Beth powoli podeszła do okna, przeciskając się przez gromadę panikujących dziewcząt. Miała na sobie szarą nocną koszulę i przecierała dłońmi oczy.

– Jesteś prawdziwy?

– Oczywiście.

Spojrzała w dół, na jego zawieszony w powietrzu stopy.

– Potrafisz latać. Tak jak opowiadali najmłodszy.

– Tak.

– To nie lada nowina.

– Hałas sprowadzi strażników. Weź mnie za rękę.

Wychyliła się przez okno i spojrzała w dół. Znajdowali się na czwartym piętrze; ledwie widziała krzaki rosnące poniżej.

– Później wrócimy po pozostałe dziewczęta. Na razie jesteś mi potrzebna tylko ty. Jeśli ze mną pójdziesz, to nikt się nie zorientuje, że zniknęłaś. Nie chcę wywoływać alarmu. Jeszcze nie teraz.

– O czym ty mówisz?

– Po prostu chwyć mnie za rękę.

Z korytarza dobiegł szcęk zamka i krzyk:

– Cicho, głupie dziewczuchy! Uciszcie się!

Beth zamknęła oczy, wzięła Jacka za rękę i wyszła przez okno.

* * *

Kilka dni później zaatakowali Dom Barbotina. Poszło im łatwo. Dom był na to absolutnie nieprzygotowany. Jack przeniósł grupę chłopców na dach, gdzie czekali z pistoletami w dłoniach, by zaskoczyć obsługę pralni, gdy ta otworzy żelazne drzwi i wyjdzie na światło dzienne. Dzieciaki upuściły kosze z bielizną i rzuciły się w poszukiwaniu schronienia, ale napastnicy czekali na kogoś innego.

Pracownikom pralni towarzyszyli pan Tar i pan Renfrew. Błyskawicznie ich obezwładniono. Mistrzowie byli uzbrojeni w kastety i groźne pałki nabijane kolcami, ale nie mieli broni palnej. Byli przyzwyczajeni do bicia wściekłych, przestraszonych i niedożywionych chłopców – nigdy nie padli ofiarą takiego ataku. Jack nie pozwolił ich zabić, ale zabrał im klucze i obu postrzelił w nogi, żeby nie mogli go ścigać, a także po to, by dać upust emocjom.

Carswell, z którym się przyjaźnił, gdy obaj byli więźniami, nadal pracował w pralni. Jack poklepał oszołomionego chłopaka po ramieniu i dał mu pistolet, mówiąc: „Teraz jesteś jednym z nas”. Potem wszyscy razem zeszli do wnętrza pełnego cieni.

Jack słyszał, że Mistrzowie trzymają pistolety w zamkniętej szafce na parterze, gdzie nie wolno się zapuszczać żadnemu z chłopców. Ci jednak nie próbowali się uzbroić; kiedy się dowiedzieli, kto przemierza

mroczne korytarze – po drodze rosnąc w siłę, działając metodycznie i z wściekłością, biorąc kontrolowany krwawy odwet – uciekli, nawet nie zamykając za sobą drzwi. Ich śladem zmierzała fala bladych młodzieńców, którzy wkrótce wypadli przez ostatnie wąskie wyjście na pustkowie otaczające Dom.

Na zewnątrz czekali kolejni Gromowładni, którzy próbowali pokierować ludzką rzeką, jednak większość uciekinierów od razu zniknęła w uliczkach, niczym czmychające szczury bądź duchy.

– To nic – rzekł Jack. – Daliśmy im szansę.

Kilku – o których Jack wiedział, że są godni zaufania – powędrowało razem z nimi poprzez Czwarty Okrąg, z powrotem do hangaru dla łodzi, gdzie Jack wyjaśnił im, że mogą zostać, jeśli tylko pomogą przy kolejnych akcjach.

Rozdział 27

Po kilku miesiącach zimy nareszcie nastął przyjemny dzień na spacer, chłodny, ale jasny i bezchmurny. W drodze do domu Holbacha Arjun zatrzymał się na lunch w kawiarni w Okręgu Foyle'a. Usiadł pod lipą i przeglądał notatki.

Grupa młodych mężczyzn przy stoliku za jego plecami rozmawiała o polityce i wojnie. Czy gerent przeżył, czy zginął? Od ponad dwóch miesięcy nie było kolejnych ataków. Czy „Gromowładny” znów uderzy? A może hrabina już zrobiła swoje? Nie było to nic nowego – przez ostatnie miesiące wszystkie te tematy były omawiane do znudzenia w całym mieście. Jednak mężczyźni zachowywali się bardzo głośno, być może upili się o zbyt wczesnej porze. Podobnych rozmów nie należało prowadzić podniesionym głosem – przecież Arjun równie dobrze mógł być szpiegiem hrabiny.

Najlepiej trzymać się od takich ludzi z daleka. Nigdy nic nie wiadomo. Zapłacił i ruszył w stronę Kręgu Fallona.

* * *

– Znakomity początek – rzekł Holbach. – To mi bardzo pomoże. Czy znalazłeś coś godnego uwagi w *Dzienniku Sethre'a*?

– Obawiam się, że nic, co by ci się przydało – odparł Arjun. – Sathre przeważnie relacjonował dysputy dotyczące parafialnej polityki. Był gorącym przeciwnikiem świętokupstwa. Wątpię, byś podzielał jego zainteresowanie tą kwestią.

Siedzieli w gabinecie Holbacha, pijąc kawę i rozmawiając o pracy Arjuna. Na stole i wokół niego piętrzyła się nieprawdopodobna liczba książek – miniaturowa metropolia pełna chwiejnych wież i zacienionych dolin, która pewnego dnia mogła urosnąć i połączyć prawdziwe miasto. Sterty zapomnianej korespondencji spoczywały na jej obrzeżach niczym wymarłe przedmieścia. Projekt Holbacha nabrał wiatru w żagle.

Żołnierze odeszli i Holbach, ku swojej wielkiej uldze, mógł wreszcie sam zacząć o siebie dbać. Ich miejsce zajęła armia uczonych. Ekonomista doktor Kamminer na stałe wyznaczył w granicach książkowego miasta getto dla swoich tekstów. Doktor Branken stworzył laboratorium na poddaszu, labirynt szkła, luster i miedzianych rurek, który Arjunowi kojarzył się z wysadzonymi w powietrze organami. Dramatopisarz Liancourt najwyraźniej zamieszkał w kuchni. W bibliotece przesiadywali dwaj prawnicy, rozprawiający głośno o naturze i celowości prawa własności.

Byli to sami poważni ludzie, jednak w domu Holbacha rzucali peruki i płaszcze. Siadali wokół kominka i zapełniali arkusze bazgrołami, ubrani w wyświechtane

podkoszulki. Kartki krążyły między nimi jak ptaki przelatujące z drzewa na drzewo, z iglicy na iglicę.

Arjun wiedział, że stanowi tylko niewielką część projektu Holbacha. Wiedza, jaką zdobywał, dotyczyła wąskiej i osobliwej dziedziny: niewielkiej populacji imigrantów, która zniknęła i została zapomniana wieki temu. Pojedynczej uliczki w mieście nauki profesora. A jednak mniej więcej raz w tygodniu Holbach znajdował czas na spotkania, podczas których wciąż wracali do Czarnego Byka i teorii Tuvarów, dotyczących ich zaginionego boga.

– Z kolei *Dziennik* hierofanty Teitu to prawdziwy skarb. Haycock dobrze się spisał. – Arjun podał Holbachowi ponad stołem stertę papierów. Przez chwilę grzebał w kieszeniach kurtki, po czym wyjął plik odręcznie nagryzmołonych notatek. – Zacząłem to tłumaczyć. Teitu miał pecha żyć w ostatnich dniach Byka.

– Dla niego to smutne, ale doskonale służy naszym celom.

Arjun opowiedział Holbachowi o książce. Teitu był jednym z tuvarskich hierofantów, który żył w schyłkowym okresie istnienia społeczności, gdy Byk pojawiał się coraz rzadziej, aż w końcu zniknął całkowicie. Arjunowi trudno było o tym czytać.

Człowiek, którego Arjun nigdy wcześniej nie widział, przyszedł do gabinetu i zaczął grzebać wśród książek. Holbach go przedstawił. Okazało się, że nieznajomy jest sławnym architektem i inżynierem. Arjun nie dosłyszał

jego nazwiska.

Po ciszy i samotności, jakimi cieszył się w swojej pracowni w Jąkających Wrotach, szum panujący w domu Holbacha go przytłaczał. Ludzie zaczepiali go i z zapalem opowiadali o swoich badaniach; wszyscy oczekiwali, że będzie ekspertem w każdej dziedzinie i że wszystko będzie go fascynowało. W małym przedsiönku gabinetu profesora Branken wygłosił mu długi wykład na temat budowy ludzkiego oka (którego soczewki najwyraźniej przypominały te używane w teleskopie). W holu na dole Arjun spytał Liancourta o postępy w pracy nad najnowszą sztuką i w odpowiedzi wysłuchał gorzkiej analizy mozolnego procesu zdobywania funduszy na działalność teatralną. Dotyczyło to nie tylko uczonych: w sali bilardowej siedziało trzech malarzy, którzy popijali wino Holbacha i palili jego cygara. Holbach był za bardzo zajęty, by powiększać swoją kolekcję, lecz wciąż wykazywał się dużą gościnnością.

– Kiedy szef to wszystko skończy, co? – spytali Arjuna, a on wzruszył ramionami i poszedł dalej.

Badacze i uczeni spotykali się po kątach i gorączkowo między sobą szeptali. Rozmawiali za pomocą wskazówek i szyfrów, uniesionych brwi i chytrych, pełnych napięcia uśmiechów. Gromadzili się na piętrze, w sali balowej, gdzie budowali coś, do czego Arjun nie miał dostępu. Nie dopytywał, co to takiego.

W domu pojawiali się także mężczyźni w wieku Arjuna, studenci lub artyści walczący o uznanie, którzy

przybywali z dalekich zakątków miasta, przynosząc wykresy i dane; zatrzymywali się na kilka dni, po czym znów ich odsyłano. Badacze. Twórcy map. Wracali z teodolitami zarzuconymi na plecy niczym żołnierze niosący karabiny lub miecze. Czasami mieli również broń, gdyż często byli posyłani w niebezpieczne miejsca.

W domu zapanował odświętny nastrój, gdy wróciła wyprawa ze slumsów Dreshkel, spóźniona lecz cała i zdrowa. Kiedy nie wróciła na czas ekspedycja badająca okolice Góry, przyjęto to z wielkim smutkiem. Mieszkańcy domu zaczęli się oswajać z myślą, że wyprawa zaginęła na dobre.

– Jeszcze nikt nie wrócił po podejściu tak blisko góry – stwierdził historyk Rothermere, pochylając się nad stołem bilardowym. Miał płaszcz takiego samego ciemnozielonego koloru jak sukno. – Słyszałem, że ulice zamykają się tam za wędrowcami, którzy gubią się w dziwnych miejscach. Można tam spotkać swoje lustrzane odbicia, dziwaczne nowe wersje samych siebie przemierzające obce ulice, stracić orientację lub zostać porwanym i nigdy nie wrócić. To ryzykowne. Przykro mi, ale tak jest.

– A po cóż tu jesteście – odparł jego przeciwnik – jeśli nie po to, by szukać ryzyka?

– Jakoś nie widzę, żebyś się tam wybierał – odrzekł Rothermere i w pomieszczeniu powiało chłodem, ale Arjun i tak już wychodził.

Holbach zauważył, że dzbanek na kawę jest pusty, więc

zadzwoił po gosposię. Oczekiwanie na nich wypełnił – jak miał często w zwyczaju – pochwałami dla wysiłków Arjuna. Arjun uznał, że profesor jest urodzonym pochlebcą.

– Ponownie zadziwia mnie łatwość i mistrzostwo, z jakimi zgłębiasz tę jakże obcą nam kulturę. Czynisz niezwykle postępy. Zdobyliśmy wiele cennych informacji.

– Jeśli przychodzi mi to w sposób naturalny, to dzieje się tak dlatego, że utożsamiam się z ich poszukiwaniami Byka. Nie są dla mnie aż tak obcy.

– Och? A jak idą twoje własne poszukiwania? Nadal je prowadzisz?

– Nie wiem. To... doświadczenie z Tajfunem mnie zraniło. Sam już nie jestem pewien. Boję się ponownie rzucić w wir poszukiwań. Znów dać się opętać. Ale nie potrafię zapomnieć Głosu. Chcę go odnaleźć, usłyszeć, dowiedzieć się, czym jest. Czy to ma sens?

– Biorąc pod uwagę to, co inni ludzie mają w zwyczaju opowiadać o swoich bogach, owszem. Obiecałem, że ci pomogę, prawda? Oczywiście, że tak. I tak właśnie zrobię, kiedy tylko to wszystko – machnął ręką, wskazując sterty papieru i uczonych zajmujących jego dom – znów się uspokoi. Bogowie, a teraz jeszcze to! – Podeszedł do okna i wziął z parapetu plik gazet dużego formatu; przycisnął je do głowy, udając przerażenie. – Ona się domaga, żebym coś z tym zrobił. To doniesienia o jakimś latającym dziecku, które włamuje się do więzień i domów poprawczych w całym mieście. Tak, latającym.

– Czy to możliwe?

– A jak sądzisz?

– Wiele rzeczy w tym mieście wydaje mi się niemożliwych.

– Cóż, jeszcze do tego nie zaglądałem. Jestem pewien, że to bzdury. Z pewnością nastąpiły zamieszki i ucieczki, jak to zwykle bywa, ale nie wierzę w bardziej efektowne szczegóły. Gazety zawsze są pełne takich bzdur. Chociaż nie – z namysłem zwinął gazetę w rożek – nie powinienem nazywać tego bzdurami. To przejaw najgłębszych pragnień miasta. Takie rzeczy same wypływają na powierzchnię. Dziecięce sny o wolności i powstaniu. Zauważ, że ten absurdalny skrzydlaty zbawca ma postać dziecka.

Opadł na obity zieloną skórą fotel.

– Bogowie wiedzą, jak bardzo współczuję tym ludziom. Gdybyś tylko wiedział, jak zniewolony czuje się naukowiec w tym mieście. Jak wielu szlachciców i szlachcianek oraz napuszonych urzędników siedzi nam na karku, dopatrując się herezji lub odstępstwa w każdym naszym słowie, za wszelką cenę pragnąc wpakować nas do Róży, przyciąć nam uszy albo zakuć w dyby. Mamy zbyt wielu bogów, zbyt wielu panów, więcej praw niż ludzi. Jesteś obiecującym młodzieńcem, Arjunie, więc jeśli tu zostaniesz, to pewnego dnia możesz odkryć, że nosisz głowę na tyle wysoko, by zacząć się o nią bać. Czasami mam ochotę po prostu, och, zburzyć to wszystko.

Dla lepszego efektu machnął grubą ręką ponad stołem i

sprowadził katastrofę na całą parafię ksiązkowego miasta. Z zakłopotaniem uprzątnął bałagan, korzystając z pomocy Arjuna.

* * *

Od czasu do czasu Arjun przypominał Holbachowi o obietnicy. Jego rany się goiły. Nie zapomniał Głosu. Nie potrafił. Został ukształtowany przez jego echa. Zgorzknienie i zwątpienie, którymi Tajfun zaraził go w tunelach, wciąż w nim tkwiły, wywołując dysonans, którego mógł już nigdy nie przezwyciężyć, lecz nie robiło mu to różnicy. Gdyby zaprzestał poszukiwań, przestałby istnieć – nic nie mogłoby wypełnić jego wnętrza. Na razie jednak zadowalał się pomaganiem profesorowi i przypominaniem mu, że pewnego dnia będzie musiał się on zrewanżować. Nie miał złudzeń: grał na zwłokę, dreptał w miejscu, bał się zacząć od nowa, ponownie zawieść. Chwilowo sprawiało mu to przyjemność.

* * *

Pewnego dnia Haycock zniknął. Arjun niczego nie zauważył, dopóki nie powiedziała mu o tym Olimpia, gdy siedzieli przed kawiarnią, ciesząc się chłodnym słonecznym blaskiem, prześwitującym przez korony drzew.

– Kilka dni temu pojawił się w posiadłości.

Próbowałam przekazać mu polecenia Holbacha na ten miesiąc, a on wysunął kilka zaskakująco niewłaściwych propozycji. Wygląda na to, że połowa ludzi w jego miejscu zamieszkania zmarła na zgniliznę płuc, zamierza więc ukryć się gdzieś na północy.

Znów zgnilizna płuc. Arjun o niczym nie wiedział, od tygodni bowiem nie był w „Cyprysie”. Poszedł tam po południu i zastał pensjonat niemal całkowicie opuszczony. Defour pozostała na swoim miejscu. Zrozumiał, że obraziłby ją, gdyby spytał, dlaczego to zrobiła. Powiedziała mu, że Heady również odszedł, a lokator, który przejął po nim pokój, umarł.

– Haycock zostawił to dla pana – powiedziała Defour, wyjmując ciężką starą książkę z szuflady biurka w swoim gabinecie. – Przepraszam, młody człowieku! Nie trzymałam tu tego za darmo.

Zaczęli się targować. W końcu niechętnie odpuściła.

Arjun spędził popołudnie, odwiedzając groby w zewnętrznych strefach Domu Cere. Pojawiwszy się przy grobie Norrisa, poczuł, że musi zrobić to samo dla pozostałych; cechowało go silne poczucie sprawiedliwości.

Shutlow wydawało się mroczne i ciasne. Zima nie miała zamiaru odejść. Przypomniał sobie, że zimą na wzgórzach obawiali się wilków; czuli, że coś się skrada tuż poza zasięgiem wzroku, wygłodniałe i oszalałe; mieli wrażenie zatrzymanego czasu, odroczonej przemocy. Ludzie wyglądali na spiętych i niespokojnych. Postawił

kołnierz, wepchnął ręce do kieszeni i wyszedł.

* * *

Książka, którą zostawił mu Haycock, nosiła tytuł *Myśliciele naszych czasów: Trzydzieści pięć sylwetek wynalazców*. Ale jakich czasów? Trudno było to stwierdzić. Data wydania nie została zapisana w żadnej znanej Arjunowi formie, co zazwyczaj oznaczało – jak zdążył się przekonać – że książka była albo bardzo stara, albo pochodziła z bardzo daleka. Została wydrukowana na schludnie przyciętym błyszczącym papierze i sprawiała tak nieskazitelne wrażenie, jakby stało się to wczoraj. Po powrocie do mieszkania Arjun szybko ją przekartkował, nie rozpoznając żadnego z wymienionych nazwisk ani miejsc. Zaczął podejrzewać, że Defour się pomyliła i dała mu niewłaściwą książkę, aż wreszcie dotarł do efektownej całostronicowej ilustracji – wydawała się zbyt wyraźna, zbyt precyzyjna, zbyt nasyciona barwami, by być zwykłym rysunkiem – przedstawiającej „Zagadkowego pana Cuttle'a, witającego nas w swoim laboratorium”.

Mężczyzna na ilustracji był ubrany w elegancki szary garnitur, uśmiechał się cierpko i wskazywał upierścienioną dłonią mroczne tło, które wypełniały klatki, dziwne urządzenia, tarcze zegarów i oleiste światła. Bez wątplenia był to Shay.

Tekst towarzyszący obrazkowi był zarazem bezsensowny i bardzo niepokojący.

Zrozumienie go dodatkowo utrudniał fakt, że ktoś – Haycock? – starannie wyciął pół tuzina kartek.

Arjun wybiegł na ulicę, wsiadł do pierwszego napotkanego powozu i wrócił do „Cyprysa”. Gdy dotarł na miejsce, Defour akurat zmierzała do drzwi, owinięta swoim najlepszym szalem, dźwigając pod pachami składane krzesło i parasolkę.

– Dokąd on poszedł? Dokąd poszedł Haycock?

– Młody człowieku – prychnęła. – Już wystarczająco się spóźniłam.

– Proszę. Niech mi pani powie. Muszę go odnaleźć.

– Hm. Niech pan pójdzie ze mną, a zobaczę, co mi się uda przypomnieć. Może mi pan ponieść krzesło. Tak, parasolkę również.

Razem powędrowali ulicami Moore'a, Millwarda i Stevensona, aż dotarli do porośniętego trawą wzgórza nad Rzeką. Na jej brzegach przycupnęły niewielkie obskurne slumsy.

Był późny wieczór, a na wzgórzu zgromadził się rozproszony tłum.

– Przez pana się spóźniliśmy! – fuknęła Defour, po czym zabrała mu krzesło i ustawiła je na trawie. – Wszystkie dobre miejsca są już zajęte. – Kazała Arjunowi rozłożyć parasolkę nad jej krzesłem. – Podobno będą fruwały szczątki i popiół. – W końcu niechętnie przyznała, że tak naprawdę nie ma zielonego pojęcia, gdzie jest Haycock.

Arjun i tak postanowił zaczekać, patrząc razem z

tłumem, jak „Gromowładny” wyłania się zza wysokich budynków mieszkalnych po drugiej stronie Rzeki, po czym zawisa nad brzydkimi zabudowaniami, które rozciągały się na jej brzegach.

– Czernica płuc – wyjaśniła Defour. – Kolejny wybuch epidemii w Misji Barkarza tam na dole. Najwyższa pora, żeby coś z tym zrobili. Trzeba to wypalić. Och, w dzisiejszych czasach ludzie mają tyle nowych pomysłów! Nie wszystkie są złe, prawda?

U podnóża wzniesienia, w cieniu skazanych na zagładę budynków, stał inny tłum, niewielki i smutny, który wymachiwał malutkim i nieczytelnym transparentem.

Najwyraźniej „Gromowładny” przyleciał przed czasem. Nastąpiła dezorientująca zwłoka, gdy opuścił się ze zwiewną łatwością nad dach najwyższego budynku, po czym ponownie wystartował, wznosząc się coraz wyżej, dopóki nie oddalił się na bezpieczną odległość; wtedy zrzucił ognisty deszcz. Rozległ się potworny trzask i ryk, gdy kolejne budynki runęły wśród dymu i płomieni. Refleksy czerwonego światła lśniły na wodzie. Tłum na wzgórzu klaskał, wiwatował i tupał, a Arjun razem z nimi: „A masz, potworze!”. Zszedł ze wzgórza, porwany w objęcia tłumu. Wydawało mu się, że ten gwarny wiosenny wieczór nie niesie ze sobą niczego straszego ani tajemniczego.

Rozdział 28

W DOMU ZAGADKOWEGO PANA CUTTLE'A

W dawnych czasach nazywaliśmy ich Bogami – a jeśli wasi dziadkowie przypominają moich, to zapewne znamy kogoś, kto nadal to robi. (Tylko żartuję, dziadku!). Jednak dziś rzadko o nich myślimy, czyż nie? Wiem, że sam nigdy tego nie robiłem, dopóki nie spotkałem słynnego – choć niektórzy powiedzieliby, że niesławnego! – pana Cuttle'a, który z pewnością jest jedną z najbardziej intrygujących postaci, jakie tutaj opisano.

Pewnego słonecznego dnia poszedłem się z nim spotkać do jego laboratorium na Wzgórzu Slinndo. Kwitły kwiaty, a powietrze było ciepłe i pełne pyłków. On stwierdził, że mu nie przeszkadzają, i otwarcie wyśmiał moją maskę – jeśli poprosicie, by wam to wyjaśnił, odpowie: „Powinniście zobaczyć miejsca, w których bywałem! Rzeczy, które musiałem wdychać! To wzmacnia płuca”. Lub coś równie enigmatycznego. Ale nie będę uprzedzał faktów!

Być może nie potraficie go sobie wyobrazić w laboratorium na Wzgórzu Slinndo – to przecież taka pospolita i wymuskana posada średniego szczebla. Jednakże on sam jest właśnie taki, jak można się spodziewać. Drobnny, ale kiedy się odzywa, można odnieść wrażenie, że wypełnia pokój. Jego ruchy są

zdecydowane i precyzyjne. Na twarzy zawsze gości mu uśmiech, jakby już kiedyś przeprowadził tę rozmowę i teraz bawiło go, że nie potraficie wymyślić niczego nowego.

Zaprosił mnie do swoich ciemnych komnat, pstrykając w moją stronę palcami. Nie wydaje mi się, by przez wszystkie lata, które spędziłem na tworzeniu sylwetek dla „Ery”, ktokolwiek powitał mnie w taki sposób, i nie sądzę, bym pozwolił się tak potraktować jakiemukolwiek politykowi, aktorowi czy zwykłemu biznesmenowi. (Zostaliście ostrzeżeni!).

Ale oczywiście zwyczajowe zasady nie mają zastosowania w przypadku pana Cuttle'a, o czym przypomina mi przy każdej okazji. Czy w mieście jest obecnie ktoś bogatszy? Jeśli tak, to ja go nie znam! Czy w Ararat istnieje cokolwiek, co nie zostało zmienione – na lepsze lub na gorsze – od chwili, gdy pojawił się z walizką w dłoni, nieznany przez nikogo, w holu Hotelu Biskupiego i przedstawił się Lordowi Monboddo?

– Czy było trudno – pytam – prowadzić interesy z Lordem Monboddo? Czy to było straszne?

Jego jedyną odpowiedzią jest szczekliwy śmiech – można by pomyśleć, że pogardliwy – który sprawia, że wszystkie ptaki, szczury i małpy w klatkach zaczynają jazgotać, wyć, śmiać się i mamrotać, wydając z siebie bezsensowne odgłosy, według pana Cuttle'a składające się na ich całe słownictwo.

– Jeszcze nie skończyły – wyjaśnia.

A wtedy hałas wywołuje drganie i falowanie, pulsowanie i przygasanie, migotanie i iskrzenie pól tych wyjątkowych i delikatnych energii, które przekształcają nasze miasto.

Czy potrafię opisać towarzyszące temu uczucie? A właściwie kawalkadę uczuć? Szczerze mówiąc, nie sędzę, abym był w stanie to uczynić.

Pan Cuttle szczerzy zęby w uśmiechu, a światło tańczy na jego okularach i w białych włosach.

– Zatem porozmawiajmy o nich. Zwykliście ich nazywać Bogami.

Trudno opisać jego laboratorium. Nieład, dziwność – poczucie, że to wszystko jedynie wystawa, niczym sklepowa witryna, a prawdziwe tajemnice pozostają w ukryciu. Toczy się tutaj gra pod publikę; dotyczy ona nawet samych klatek, które są...

* * *

... naprawdę czegoś się dowiedziałem? Trudno powiedzieć. Wywiad z panem Cuttle to zaskakujące i niezwykle doświadczenie. W pewnym sensie jego pochodzenie i metody wydają mi się teraz jeszcze bardziej zagadkowe; z pewnością notatki, które mam przed sobą, nie zawierają ani jednej szczerzej odpowiedzi. Podczas naszej rozmowy pojawiali się posłańcy od Lorda Monboddo oraz od różnych duchownych i magnatów, a on udzielał im twierdzących i przeczących odpowiedzi,

jakby miasto należało do niego. Być może właśnie tak jest! Kiedy schodziłem ze Wzgórza Slinndo, kręciło mi się w głowie, i to nie tylko od kwitnących kwiatów. Jego plany i ambicje przechodziły wszelkie pojęcie – gdyby ktokolwiek inny mówił w ten sposób o Górze, uznałbym, że oszalał. Czy więc zawarliśmy właściwy pakt? Zobaczymy. Żyjemy w ciekawych czasach!

* * *

Uwaga od wydawcy: Powyższy tekst powstał, co zrozumiałe, przed wybuchem tak zwanego Skandalu Cuttle'a, co nastąpiło wkrótce przed wydaniem niniejszej publikacji. Po długich dyskusjach postanowiliśmy, że sylwetka ta powinna pozostać w książce, chociażby jako historyczna ciekawostka. Oczywiście nie popieramy ohydnych działań pana Cuttle'a i przepraszamy wszystkich, dla których ten tekst może stanowić bolesne przypomnienie tamtego okropnego wydarzenia.

Rozdział 29

Późnym wieczorem „Gromowładny” obniżył się nad Rzekę, zbliżając się do skupiska budynków na obu brzegach na wschód od Shutlow. Stały tam Misja Barkarza i kilka innych budowli, wliczając dwa magazyny, które kiedyś należały do gerenta, a teraz przestały być potrzebne. Nie miało większego znaczenia, co jeszcze się tam znajdowało. Arlandes otrzymał wyraźne rozkazy. Nawet jeśli w budynkach przebywali mieszkańcy, to zostali odpowiednio wcześniej ostrzeżeni. Wszystko miało spłonąć.

Hrabina przedyskutowała sprawę ze swoimi doradcami. Jeden z przyjaciół Holbacha przedstawił pomysł kontrolowania choroby za pomocą ognia i kwarantanny. Inni doradcy stwierdzili, że zaburzenie naturalnego porządku miasta byłoby bluźnierstwem, choroba zaś powinna się rozprzestrzeniać zgodnie z zamysłem bogów. Przedstawiciel przewoźników poskarżył się, że wprawdzie zaraza pojawia się co roku, jednak tej zimy jest wyjątkowo nasilona, a teraz przeciąga się na wiosnę i zmniejsza zyski.

Kapitan Arlandes przesiedział całą debatę w obojętnym milczeniu, odzywając się dopiero wtedy, gdy przyjaciel Holbacha spytał: „Kapitanie, zrobi to pan?”. Zaskoczony Arlandes mruknął: „Oczywiście”.

Pojawił się nowy rodzaj broni. Panowało

przeświadczenie, że akcja w Stross End była chaotyczna i nieczysta. Pomimo obiekcji Holbacha, chudy i pełen entuzjazmu profesor Bradbury przedstawił swój projekt nowego zapalającego płynu, którym można było napełniać żeliwne pociski i który, jak obiecywał Bradbury, miał się palić niezwykle długo i z wściekłością dorównującą samemu Płomieniowi.

Jeden ze starszych kuzynów hrabiny, sir Brice – pod którego dowództwem Arlandes służył na swoim pierwszym okręcie – przypomniał, że w gęsto zabudowanym Ararat obowiązują konwencje zabraniające stosowania podpalenia jako broni książąt.

– Ale to nie jest wojna – wyjaśniła hrabina. – To oczyszczanie. To służba publiczna. To nowoczesność.

Sir Brice spojrział błagalnie na Arlandesa, lecz ten nie był pewien, czego Brice od niego oczekuje, więc nic nie odpowiedział.

– W takim razie to postanowione – rzekła hrabina.

Jednakże Arlandes nie miał ochoty obserwować przebiegu akcji. Jadł samotnie kolację w swojej kwaterze, a gdy pułkownik Duncan zapukał do jego drzwi, by oznajmić, że dotarli do celu, Arlandes nawet nie podniósł wzroku.

– W takim razie wie pan, co należy zrobić, panie Duncan.

– Tak jest. Kapitanie, wygląda na to, że na dole zgromadzili się gapie. Mamy widownię na Wzgórzu Hailie. Myślę, że znajdują się w bezpiecznej odległości.

– Obrzydliwe. Mów dalej.

– Kolejna grupa stoi nad brzegami rzeki. Mają transparenty, panie kapitanie. To chyba mieszkańcy obszaru, który mamy zniszczyć; są niezadowoleni. Ktoś próbował do nas strzelać z karabinu, ale oczywiście nie wyrządził żadnych szkód. Ach... oni mogą nie znajdować się w bezpiecznej odległości.

– Zostali ostrzeżeni, prawda? Proszę wykonać swoje zadanie, panie Duncan.

Po chwili Duncan wrócił.

– Ach... kapitanie? Na dachu Misji stoi jakiś człowiek.

– Ma zatem pecha.

– Wymachuje białą sukienką.

– Niech mi pan go pokaże, panie Duncan.

* * *

Opuszczenie się na ziemię z pokładu „Gromowładnego” było żmudnym procesem, który wymagał użycia lin, nawoływania, nerwowego zmieniania pozycji przez łodzie-latawce podczas obniżania się pomiędzy kominami i wieżami ciśnień, a na końcu zeskoczenia z dużej wysokości na dach. Pan Lemuel – gdyż to właśnie on był mężczyzną w brązowym garniturze, który stał na dachu budynku Misji z białą sukienką w dłoni – obserwował to z wyraźnym rozbawieniem.

Gdy Arlandes wreszcie znalazł się na dole, gwałtownie

i z wściekłością ruszył w poprzek dachu.

– Dobry wieczór, panie kapitanie! – zawołał Lemuel.

– Co ty wyprawiasz z tą sukienką, Lemuel?

– Z tym starociem? Wygrzebałem go na dole. To zadziwiające, kapitanie, co ludzie zostawiają, gdy się śpieszą. Chce ją pan?

Lemuel uniósł sukienkę, trzymając ją za ramiona. Z pewnością nie była to sukienka Lucii – była wyblakła, znoszona i miała wymyślny krój, niemodny od kilku pokoleń.

Arlandes warknął i odwrócił się w stronę czekającej łodzi-latawca, dając swoim ludziom sygnał, by spuścili mu drabinę.

– Nie zapyta pan, dlaczego tutaj jestem?! – zawołał Lemuel.

Arlandes ponownie się odwrócił i podszedł do Lemuela, trzymając dłoń na rękojeści szabli.

– Dlaczego tutaj jesteś?

– Zawodowa ciekawość! Musiałem zobaczyć to na własne oczy. Przy okazji, jeśli pan to zabierze, będziemy mogli rozmawiać swobodniej.

Arlandes trzymał przy ustach czerwoną chustkę o zapachu kamfory.

– Tego już tutaj nie ma, kapitanie. Nie musi się pan martwić. Przeniosło się dalej. Może mi pan zaufać. Czy wyglądam na zmartwionego?

Arlandes powoli opuścił chustkę.

– Ktoś zrobił niezły burdel – stwierdził Lemuel. – To

szokujące. Nieodpowiedzialne. Zabawa z niebezpiecznymi siłami. Jak sobie obecnie radzi pana okręt, kapitanie?

– O czym ty mówisz, Lemuel?

– Przybyłem tutaj, aby poczynić kilka obserwacji. Przeprowadzałem sondowanie. Wąchałem powietrze. Nie zrozumie pan przyrządów i metod, których używam. Mogę powiedzieć panu kilka ciekawych rzeczy, jeśli nadal chce pan ubić ze mną interes, kapitanie.

– Już mówiłem, że nie jestem tym zainteresowany.

– A jednak pan ze mną rozmawia. Jest pan tutaj szczęśliwy, kapitanie?

– Słucham?

– Czy jest pan tutaj szczęśliwy? Nie wygląda pan na szczęśliwego. Nie kusiło pana, żeby zabrać ten wielki okręt i polecieć, och, powiedzmy na zachód? Aż do miejskich murów i dalej? Albo na północ i do środka, w stronę Góry. Być może tam czeka na pana lepsze życie. Nigdy pan się nad tym nie zastanawiał? Widzi pan, kapitanie, jestem zainteresowany pana statkiem. Nie miałbym nic przeciwko, gdyby zechciał pan polecieć ze mną. Szczerze mówiąc, przydałby mi się ktoś taki. Jest pan raczej trudnym człowiekiem, ale z pewnością dobiliśmy targu. Musi istnieć na to jakiś sposób.

– Wracam na pokład, Lemuel. Możesz dać się spalić albo uciec, wszystko mi jedno.

– Proszę to przemyśleć, kapitanie. To dobry moment na podróż. Z tego, co dzisiaj widziałem, życie w tej części

miasta stanie się bardzo nieprzyjemne, i to szybciej niż pan przypuszcza.

* * *

Później – kiedy spadł ogień, a iskry oraz dym wzbiły się w niebo i przetoczyły przez pokłady – Arlandes przypomniał sobie, że krzyczał: „Nie, Lemuel, nie, zostaw mnie w spokoju!”, ale nie wiedział, w jaki sposób dostał się z powrotem na statek ani dokąd uciekł Lemuel i jak tego dokonał.

Rozdział 30

– Dokąd odeszli? – spytał Holbach, a jego tubalny głos odbił się echem od ścian gabinetu. – Nasi tajemniczy przyjaciele Tuvarowie. Chciałbym poznać odpowiedź na to pytanie. Rothermere?

– Nigdy ich bliżej nie zbadalem. Zajmuję się bardziej, jakby to powiedzieć, głównonurtową historią. Tuvarowie nigdy nie byli zbyt liczni, a nawet gdy już się tutaj osiedlili, przeważnie zajmowali się sobą. Nikt nie zauważył ich odejścia. Podejrzewam, że po prostu skrzyżowali się z resztą mieszkańców. Jeśli więc tylko po to mnie wezwałeś, to obawiam się, że nie na wiele ci się przydam. Twój młody kolega zapewne wie już o nich więcej ode mnie. Arjunie?

Arjun odchylił się do tyłu i zamyślił; bezwiednie wystukiwał na czarnym drewnianym blacie stołu prosty rytm, jak miał w zwyczaju, gdy zatapiał się w myślach; rytm stawał się coraz szybszy i bardziej złożony, aż w końcu Arjun się odezwał.

– Nie wiem. W ostatnich dniach, gdy bóg ich opuścił – po raz drugi, kiedy zniknął Czarny Byk i zostali sami w Ararat – niektórzy z ich hierofantów wpadli w rozpacz. Inni zaczęli go szukać. Wędrowali po całym mieście. Niestety, żadna z książek, które mi pokazałeś, nie odpowiada na pytanie, co się z nimi stało. Może odnaleźli swojego boga w jakiejś odległej dzielnicy na wschodzie

lub zachodzie, lecz zanim tam dotarli, przybrali nowe imię.

– Holbach, znasz jakichś innych czcicieli Byka? – spytał Rothermere.

– Ha! Mam ci dać pełną listę? Spędzimy tutaj cały wieczór.

– Wydaje mi się jednak, że część z nich pozostała na miejscu; w swoich dziennikach pisali, że wciąż przeszukują te same ulice.

– Kręcili się w kółko?

– Nie wiem. Hierofanta Worora prowadził dziennik. Znajduje się w nim wykres w kształcie spirali, która zagłębia się w mieście ukrytym pod ulicami. Worora napisał, że każdego dnia chodził tymi samymi ulicami, lecz czasem wydawało mu się, że one się zmieniają, jakby dostrzegał inne miasta za tym, które znał. Według niego Byk pokazał im, że Ararat to żyzna gleba, a jego większa część jest pogrzebana pod ziemią. Uważał też, że powinni udać się dalej, zejść w głąb, podążyc za swoim bogiem. Sądził, że Byk wystawia ich na próbę. Tylko tyle napisał; twierdził, że nie jest gotów zdradzić więcej. Te wpisy znajdowały się pod koniec dziennika. To chyba była ich ostatnia książka. Czy coś to panu mówi, profesorze?

– Cóż, być może. Istnieją pewne, ach, anomalie na Wielkiej Mapie. Jeśli pozwolisz mi dokończyć rozmowę z Rothermerem, to razem rzucimy na to okiem.

Arjun zerknął na mały zegar, który stał na krawędzi biurka Holbacha, niczym lśniąca mosiężna kopuła na

szczyt katedry spiętrzonych książek. Historia Wororygo zaniepokoiła, sprawiła, że przypomniał sobie Shaya i jego opowieść o tajemnych drogach. Nie miał ochoty na dalszą rozmowę. Poza tym przypomniał sobie coś:

– Nie mogę – odparł. – Jestem umówiony. Obiecałem Olimpii, że pójdę z nią na jakąś wystawę w Arkadach.

Holbach uniósł krzaczastą brew, a Rothermere uśmiechnął się kpiąco.

– Ach. Tak. Przepraszam, profesorze. Może jutro.

* * *

– Wiesz, zastanawiałam się, kiedy o to spytasz. – Olimpia rozlała resztkę wina do kieliszków, po czym uniosła butelkę, dając kelnerowi znak, by przyniósł kolejną. – To nie jest żadna tajemnica.

– Miałem inne zajęcia – odrzekł Arjun. – A to zdecydowanie wyglądało na tajemnicę. Rozmowy szeptem, szyfry, zamknięta sala balowa na górze i wasze starania, by nigdy nie rozmawiać o tym w obecności żołnierzy Ilony.

– Och, oczywiście, że trzymamy to w tajemnicy przed nimi. Ale nikt nie stara się niczego ukryć przed tobą. Nie jesteś szpiegiem. Jesteś na to zbyt dziwny. Sądzę, że Holbach jeszcze ci nie powiedział, ponieważ zapomniał, że nie wiesz. Pewnie uważa, że wszyscy wiedzą o każdym z jego projektów i osobiście się w nie angażują. Geniusze tacy bywają.

– Naprawdę jestem aż tak dziwny?

– Oto nad czym pracujesz: jesteś marynarzem na potężnym okręcie nauki, którym obecnie steruje Holbach, odkąd odebrano nam Nicolasa, a który ja próbuję uchronić przed skałami więzienia. Ha, ha. Wybacz. Jestem trochę pijana. Atlas, Arjunie. Twoja praca stanie się częścią Atlasu. Jeszcze się nie domyśliłeś?

– Och.

– Och? Tylko tyle?

– Słyszałem o nim. Książka z mapami. Czy nie jest zakazana?

– Nie tylko z mapami. Ze wszystkim: gdzie co jest, gdzie stoi, co oznacza, w jaki sposób jest uporządkowane. Bogowie, pewnie, że jest zakazana.

– Może nie powinniśmy tutaj o niej rozmawiać?

Olimpia ogarnęła gestem wnętrze kawiarni. Grupa nieogolonych młodzieńców i bladych, wytwornych kobiet, która zasiadała przy sąsiednim stoliku, podniosła wzrok.

– To sami wolnomyśliciele. Jesteśmy tutaj bezpieczni. – Nachyliła się nad stolikiem i szepnęła: – Poza tym, Arjunie, żartowałam, gdy mówiłam o szpiegach.

– Sądzisz, że nikt was nie szpieguje?

– O, wiem na pewno, że to robią. Ale cóż z tego? Niczego się nie dowiedzą. Cenzorzy doskonale zdają sobie sprawę z tego, co robimy i kim jesteśmy. Myślisz, że hrabina nie wie, czym Holbach wypełnia każdą chwilę dnia? Nie, ukrywamy swoje nazwiska przed tłumem, by

uniknąć zamieszek tuż za progiem, gdyż to zmusiłoby cenzorów do działania. Jednak szpiedzy i ich przełożeni rozumieją, co się tutaj dzieje, i wiedzą, że my wiemy, że oni wiedzą. Jak długo zwykli ludzie nie mają o niczym pojęcia, a ja płacę łapówki komu trzeba, cenzorzy nam nie zagrażają. Nie chcą z nas zrobić męczenników: mamy także zwolenników, którzy stanęliby w naszej obronie, gdyby nas uciszono. Od czasu do czasu cenzorzy zamykają jakiegoś drukarza lub handlarza, żeby zastraszyć pozostałych, no i wygnali Nicolasa, który był dumny i nie chciał ukrywać swojego nazwiska, jednak nasza klasa ludzi jest bezpieczna. Mniej więcej. – Odchyliła się do tyłu i zawołała, nie kierując swoich słów do nikogo konkretnego: – Czyż nie?! – Ponownie spojrzała na Arjuna. – Sprawiasz wrażenie zaskoczonego.

– Myślałem, że budujecie jakąś broń. Coś w stylu „Gromowładnego”.

– Na przykład olbrzymią broń zainspirowaną Bykiem?

– Ach. Być może. Obawiam się, że właśnie tak myślałem.

– Według nas Atlas jest potężniejszy. Pozwól, że ci wyjaśnię.

* * *

Pracę nad nim rozpoczął Nicolas Maine, który przyszedł na świat w rodzinie przewodniczącego Cimentiego starszego, ojca obecnego przewodniczącego.

Został wychowany na władcę banków, domów kupieckich i kombinatów Goshen Tor, lecz nie miał głowy do interesów. Zbyt szybko się nudził.

Jednakże prezesi banków w Goshen Tor od zawsze byli wielkimi mecenasami sztuki oraz nauki i właśnie taka działalność stała się pasją Nicolasa. Przy czym nie ograniczał się on do przekazywania pieniędzy i urządzania przyjęć: sam również był eseistą, myślicielem i kpiarzem. Był zafascynowany miastem i zaszczepiał tę fascynację w innych, wliczając Olimpię, wtedy najmłodszą córkę w jednej z gałęzi rodu Cimentich – rodzinie, która miała dość luźny kontakt z przewodniczącym i charakteryzowała się, solidnymi lecz nie wybitnymi perspektywami.

– Nigdy go nie poznałam, choć czasem udawało mi się wślizgnąć na salony i posłuchać, jak przemawia. Był ode mnie wyraźnie starszy i znacznie przewyższał mnie urodzeniem: mógłby zostać przewodniczącym, gdyby mu na tym zależało. Został wygnany, zanim stałam się na tyle dorosła i uzdolniona, by mieć mu cokolwiek do zaoferowania. Gdybyś tylko zobaczył, jak on przemawiał – z niezwykłą energią i zaciekawieniem. Nie ma drugiego takiego umysłu w całym mieście.

Był zaledwie studentem, gdy wymyślił ten wielki projekt. Miał on przynieść chwałę rodzinie Cimentich: Nicolas zamierzał zgromadzić wszystkich miejskich uczonych i stworzyć pojedynczą księgę, która zebrałaby dostępną wiedzę i rozwiała wszystkie wątpliwości; cała

nauka zostałaaby zredukowana do garści aksjomatów; polityka, filozofia, sztuka i religia zmieściłyby się w jednym tomie epigramów. Wszystko, co tylko istnieje na świecie, znalazłoby się na swoim miejscu. Nicolas wyobraził sobie książkę, która mogłaby się zmieścić w kieszeni płaszcza dżentelmena i z której można by korzystać podczas dysput. W późniejszych latach opowiadał o tych pierwszych naiwnych ambicjach podczas przyjęć, by rozbawić słuchaczy.

Prawdziwy Atlas powstał dopiero dwadzieścia lat później. W mieście nie istniała jedna szkoła, która gromadziłaby wszystkich uczonych, tak jak Chór. Byli oni rozproszeni po kościołach, wieżach i bankach, uczyli książęta w pałacach lub głodowali w mansardach. Musiał zebrać ich razem, załagodzić konflikty ego, rozpalić w nich pasję dla swojego marzenia. Musiał na tyle dobrze poznać ich dziedziny wiedzy, by móc ocenić, kto jest geniuszem, a kto oszustem bądź szaleńcem.

– A przynajmniej odsiać najgorszych szaleńców – dodała Olimpia. – Najwyraźniej osiągnięcia naukowe nie zawsze idą w parze ze zdrowiem psychicznym.

Potrzebowali również zespołu kartografów, badaczy, którzy wyruszyliby do najdalszych zakątków miasta; musieli ich uzbroić.

Tworzyli coś w rodzaju encyklopedii oraz mapę, jedyną mapę. Z tego, co im było wiadomo, nikt przed nimi nie próbował nakreślić kompletnej mapy Ararat. Zajmowała ona wiele tomów i daleko wykraczała poza obszary, które

znał Arjun, obejmując wiele dziwacznych miejsc. Poszczególne wpisy penetrowały historię miasta, badając jego myśli, marzenia i bogów. W trakcie prowadzonych badań uczeni odkrywali zapomniane dziedziny wiedzy, a nawet nowe języki i plemiona, mieszkające w odległych częściach Ararat.

– A miasto zmieniało się na ich oczach – rzekła Olimpia. – Właśnie dlatego tak długo to trwało. Ono cały czas się zmienia wokół nas, Arjunie. Z każdym naszym działaniem – ich odkrywanie należy do historyków – oraz z każdym ruchem bogów. A zmienia się tym bardziej, im dokładniej się przypatrujesz. To bardzo niepewna geografia. Właśnie to znajduje się w sali balowej – nasz stale rozbudowywany projekt. Wielka Mapa, którą cały czas uaktualniamy. Powinieneś kiedyś rzucić na nią okiem.

Pierwsze wydanie (zatytułowane „Atlas” dla uczczenia dawno zmarłego władcy, który sporządził mapę Morza Spokojnego) miało dwadzieścia dwa tomy. Mapa sięgała Egolf na północy, Ambruton na zachodzie oraz Rady Lalkarzy na wschodzie. Później ukazały się kolejne edycje, poprzedzielane niezliczonymi dodatkami, z których każdy brał pod lupę nowe dzielnice i pojęcia bądź odnotowywał zmiany na mapie miasta. Olimpia odliczała je na palcach.

– Wszystko zależy od przyjętego sposobu numeracji, ale teraz jesteśmy przy wydaniu czwartym. Przynajmniej taką nazwę stosujemy. To pierwsze wydanie od odejścia

Nicolasa.

– Ludzie kupowali wszystkie poprzednie edycje? Były im potrzebne?

– Kupił je każdy, kto jest kimś, każdy, kto przynajmniej pretenduje do bycia wykształconym lub modnym.

– Dlaczego więc Atlas został zakazany?

– Stało się to po publikacji drugiego wydania. Jego twórcy mieli coraz większe ambicje; pragnęli zmieniać miasto, a nie tylko je przedstawiać. Uznali, że gdyby każdy mógł zobaczyć, gdzie wszystko się znajduje i jak łączy się ze sobą, to nastalby kres zagubienia i podziałów. Izolacji i niemocy. Strachu i desperackiego szukania bezpieczeństwa w tym, co znajome. Chcieli także powiedzieć miastu, jak może działać sprawniej, przestać być tak głupie i okrutne.

– Kto mógłby się temu sprzeciwić?

– Czy to ironia? Czyżbyś żartował? To coś nowego. No cóż, różnym ludziom nie podobają się różne rzeczy. Nicolas miał ostry język i pozwalał sobie na nieprzyjemne uwagi na temat wielu potężnych osób. Pewną rolę odegrały także teksty polityczne: eseje na temat tego, w jaki sposób są zorganizowane inne części świata – lepiej, bez takiej przypadkowości i okrucieństwa. Poza tym sama myśl o stworzeniu mapy miasta rozgniewała władców; oni lubią, gdy jesteśmy podzieleni i zagubieni. Oczywiście musieliśmy być delikatni. Nie mogliśmy otwarcie zaatakować nikogo wpływowego, musieliśmy się bronić poprzez sugestie, ironię, sztuczki. Zyskaliśmy wielu

potężnych wrogów, ale dopóki działaliśmy subtelnie i pisaliśmy szyfrem, cenzorzy nie mieli nas o co oskarżyć. Niestety, w końcu bogowie wszystko popsuli, jak zwykle. W pierwszym wydaniu nie znalazło się nic niekonwencjonalnego na ich temat: tylko imiona, profile, opisy wyglądu. Nicolas nie był szalony, przynajmniej na początku. Potem jednak poczuliśmy się pewniej. I wtedy pojawił się Holbach.

* * *

W innym zakątku miasta, dwa dni jazdy na południowy-wschód, Holbach perorował przed grupą młodych mężczyzn, którzy opierali się o zielone żłobkowane przeszklone ściany sali spotkań. Słuchacze byli nienagannie ubrani, a ich stroje zostały wzbogacone idealnie wyważonymi damskimi elementami. Byli to wyobcowani i buntowniczy krewni Pierwszego Obywatela Gulla ze Wschodniego Midian, potencjalni sponsorzy, a może nawet obrońcy twórców Atlasu, na tyle bogaci, by zwrócić uwagę samego szefa. Przyglądali się profesorowi pożądliwie, jakby był nowym modnym kapeluszem. Holbach był już zmęczony i przemawiał rozwlekłe, straciwszy niemal cały polot.

– Wielu ludzi pyta, jak poznałem Nicolasa Maine'a. Jak wiecie, w tamtych czasach nie interesowałem się polityką, zresztą także dziś jestem oddany wyłącznie prawdzie. Pracowałem w mansardzie, w migoczącym blasku świecy.

Niczym na kiepskim obrazie lub w słabej teatralnej sztuce. – Roześmiał się. Oni nie. – Ach. A więc wtedy Nicolas należał do innego świata. Byłem biedny i młody. Fascynowało mnie to, co miał do przekazania. Pamiętam jego wpis w pierwszym wydaniu, dotyczący reżimu Kierownika Caulkota – był to bezpieczny temat, zarówno teraz, jak i wtedy, gdy Nicolas pisał ten tekst. Kierownicy po raz ostatni dzierżyli władzę sto lat temu i nie mieli żadnych sprzymierzeńców w tym pokoju – i chyba do dziś potrafię go zacytować: „Społeczeństwo przede wszystkim powinno być szczęśliwe. Aby to osiągnąć, musi być racjonalne. Jeśli ktoś nazywa siebie Kierownikiem, tym samym zachęca do pytań o obrany przez siebie kierunek. Zapytajmy więc... ”.

Holbach udawał. Nigdy nie obchodziła go polityka, nawet w młodości. Miał dobre, choć niesprecyzowane intencje; tylko na tyle było go stać. To nie polityczne teksty Nicolasa rozpały wyobraźnię Holbacha, ale wizja nauki, prawdy oraz pełnego i ostatecznego zrozumienia bytów i sił, które badał; poddanie ich rozumowi. Nie ukrywał, że miał nadzieję, że to właśnie jemu przypadnie honor zapisania tych ostatnich słów... Jednakże te śliczne młode wilczki chciały usłyszeć coś innego. Czyli:

– Racjonalnie zorganizowane społeczeństwo. Oraz władza. Nowe przywództwo. Chyba wszyscy o nim marzyliśmy.

Nadstawili uszu. „Ale niech bogowie mają nas w opiece, gdyby miało chodzić o was”, powiedział w

myślach.

– Ach, ale może jesteście zbyt młodzi, by pamiętać okoliczności, które towarzyszyły ukazaniu się pierwszego wydania. Wymykałem się wtedy ze swojego poddasza, by czytać te niebezpieczne tomy w bibliotece mojego patrona. No i opublikowałem *Krytykę*. Był to typowy techniczny tekst teologiczny – przemawiał do ich bezrozumnych, znudzonych oblicz – który jednak odniósł umiarkowany sukces. Pewnego dnia pracowałem przywalony stertą papierów na zapleczu jakiejś świątyni, gdy sympatyczny staruszek – wtedy wydawał mi się staruszkiem – przysiadł się do mnie i spytał, czy nazywam się Gracien Holbach. Po czym bez żadnej zapowiedzi przedstawił wyważoną krytykę mojego dzieła, zwracając uwagę na rzeczy, które nawet nie przyszłyby mi do głowy, a następnie sam się przedstawił, a ja czym prędzej uścisnąłem jego dłoń. Powiedział, że potrzebuje ludzi takich jak ja, gdyż zdaje sobie sprawę z tego, że Atlas jest niedopracowany pod względem teologicznym, po czym dodał: „Za każdym razem, gdy próbuję pokazać miastu, jak powinno wyglądać, jak może stać się lepsze, ktoś mówi: »To bogowie je takim stworzyli, musieli mieć swoje powody«. Ale ja w to nie wierzę. Myślę, że oni są przeszkodą na naszej drodze, i potrzebuję ludzi, którzy będą potrafili podkopać ich fundamenty". Kogoś, kto prześledzi ich ścieżki na mapie miasta; obedrze ich z tajemniczości i sprawi, że staną się zrozumiali. Ta idea także dzisiaj pozostaje w centrum naszego wielkiego

projektu, choć przysporzyła nam wielu wrogów i sprawiła, że desperacko szukamy przyjaciół, przyjaciół wśród ludzi oświeconych i tych kochających przyszłość, do których, mam nadzieję, wy się zaliczacie. Co, niestety, prowadzi nas do przyziemnej kwestii pieniędzy.

* * *

– Cóż – rzekła Olimpia – Holbach opowiadał ci o swoich teoriach. Możesz sobie wyobrazić, jak ludzie zareagowali na trzecie wydanie.

– Domyślam się. Nie było łatwo.

– Możesz mi wierzyć. Rzucił im w twarz ich własną głupotę. Wybuchły zamieszki. Protesty. To było jak tysiąc Shayów. Gorzej: jak tysiąc bogatych i uprzywilejowanych Shayów, którzy kpili ze wszystkiego, co cenilo miasto. Ci, którzy nas kochali, byli zbyt cisi, bali się działać. Do tamtej pory byliśmy bezpieczni. Wszystko było firmowane nazwiskiem Nicolasa – reszta pozostawała anonimowa – a Maine był zbyt blisko powiązany z przewodniczącym, by byle kto mógł mu zagrozić. Niestety, w trzecim wydaniu posunęliśmy się za daleko. Kościoły ziały ogniem; szmatławce nie milkły ani na chwilę. Cenzorzy niszczyli nasze prasy i wieszali drukarzy, a tłum podpalał stoiska handlarzy na każdym targowisku w mieście, to im jednak nie wystarczyło. Zresztą, jak już mówiłam, wielu potężnych ludzi tylko czekało na właściwy moment, by zaatakować Nicolasa.

Zgadnij, który ze szlachciców wykonał ruch jako pierwszy? No, zgadnij.

– Pewnie jego rodzina. Przewodniczący.

– Tak. Nakazał wygnać go na jedną z wysp na Morzu Spokojnym. Nicolas miał trafić do niewoli na upokarzających warunkach. Potem do akcji wkroczyli kolejni szlachcice, dodając nowe warunki: zabraniając mu spożywania wybranego rodzaju pokarmów bądź żądając codziennych aktów pokuty. Jego życie na tej wyspie wygląda bardzo dziwnie, Arjunie, i możliwe, że już nigdy stamtąd nie wróci. Ale oni nigdy nas nie powstrzymali. Kiedy skończyłam studia – co stanowi materiał na osobną opowieść; niestety, przewodniczący nie uznają nauk prawnych za domenę kobiet – zaproponowałam swoje usługi tym, którzy nadal go kochają, i teraz spędzam większość czasu przed obliczem miejskich sądów, walcząc o to, by Nicolas do nas wrócił.

– Przykro mi, że jak dotąd to się nie udało.

– Może już nawet na to nie liczę. Zresztą Holbach zapewnia nam zajęcie, byśmy nie czekali beczynnienie. Poza tym robię co w mojej mocy, by uchronić nas przed szubienicą. Czasami, na bogów, daję słowo, że wymaga się ode mnie, żebym była pieprzoną matką dla tuzina siwowłosych uczonych. Ale razem udaje nam się utrzymać projekt w ruchu. Stąd to ostatnie zamieszanie; liczymy na to, że w ciągu najbliższych miesięcy opublikujemy czwarte wydanie. Pierwsze odkąd zabrano od nas Nicolasa. Ukaże się anonimowo i w

tajemnicy, ale nie zostanie zagłuszone. Czeka na nie wielu ludzi. A pewnego dnia dołączą do nich kolejni.

– Więc to Holbach jest teraz waszym przywódcą?

– Nie jest przywódcą, a jedynie – jak by to powiedzieć? – centralnym punktem. Jest genialny, wszystkich zna, jest bardzo bogaty. Dlaczego to nie miałby być on? Masz szczęście, że jest tym, kim jest, gdyż w przeciwnym razie nigdy byś nas nie odnalazł.

Butelka znów była pusta. Arjun przez chwilę się zastanawiał, po czym uniósł ją nad głowę, prosząc kelnera o więcej wina. Uśmiechnął się.

– Chyba rzeczywiście mam szczęście.

Rozdział 31

Pierwsze tygodnie wiosny przyniosły w życiu Arjuna cztery zmiany. Mógł je odliczać na palcach, jednocześnie rozmyślając o tym, jak słabo panuje nad wszystkim, co mu się przytrafia, nie licząc swojej wielkiej misji. Choć niewykluczone, że także ona została mu narzucona, a nie wybrana świadomie.

Pierwszą zmianą było poznanie istoty projektu Holbacha i celu pracy, w którą angażował się odkąd opuścił szpital sług Nessene. Po tym, jak Olimpia powiedziała mu prawdę, Arjun wrócił z kawiarni bardzo pijany i bardzo podekscytowany i leżał, nie śpiąc na twardym łóżku w swoim mieszkaniu w Jąkających Wrotach, czując zawroty głowy. To był cudowny cel, szalenie ambitny i nieprawdopodobny. Zebrać całą wiedzę miasta i odbić ją, tak jak lustro sygnałowe odbija światło, by miasto mogło się zmienić i zmądrzeć: takiemu marzeniu można poświęcić życie. Arjun był szczęśliwy, że choć w niewielkim stopniu przyczynia się do spełnienia go.

Następnego ranka, blady i dręczony kacem, siedział przy swoim biurku, masując bolące skronie, i zastanawiał się, co go podkusiło, żeby zaangażować się w bzdury, o których opowiadała Olimpia. Patrzył przez okno, ponad cmentarzem i morzem dachów w dole, i rozmyślał o tym, jak absurdalnie próżny jest to pomysł. Nawet za tysiąc lat

nic uda się zgromadzić całej wiedzy miasta, nie da się stworzyć mapy tego chaosu, a już z pewnością żadna książka nie jest w stanie go zmienić. Taki pogląd to idiotyzm, niekontrolowana ułuda. Broń stworzona przez Holbacha, przerażający okręt, który zrównał z ziemią Stross End: on mógł zmienić miasto, choć jedynie na gorsze. Ale książka? Jak do tego doszło, że czysty entuzjazm, który przywiódł go z obrzeży świata na jego wierzchołek, został zbrukany i zdeptany, a rana w jego wnętrzu wypełniła się tymi miejskimi śmieciami? Zawiódł.

Miał jednak jeszcze trochę notatek, które tego ranka zamierzał zawieźć Holbachowi, więc zmusił się do wyjścia z mieszkania i powlókł ulicami. A kiedy dotarł na miejsce i znalazł się w centrum wydarzeń, wśród pełnych życia ludzi, ponownie opanował go entuzjazm.

– Ciężka noc? – spytał Liancourt, gdy Arjun mijał kuchnię.

Dramatopisarz siedział przy stole razem z jednym z malarzy – Mochaiem, kochankiem Olimpii, młodym artystą, którego śmiałe dzieła, płótna ochlapane ptasim gównem, wywoływały niemałe poruszenie w prasie... Arjun z ulgą rzucił się na kawę, a potem przyłączył do rozmowy.

Liancourt wyjaśniał, w jaki sposób sztuka, nad którą obecnie pracuje – *Ślubne błogosławieństwo* – podejmuje te same tematy co nowy Atlas.

– Uczeni mogą pokazać obywatelom, że ci są

okłamywani, skłócani i wprowadzani w błąd – rzekł Liancourt – ale my możemy sprawić, by to poczuli. A władcom i ich cenzorom to się nie spodoba! Jeśli dodamy do tego nowe wydanie Atlasu, które ukaze się mniej więcej w tym samym czasie, to się nie pozbierają! Odczują to tak, jakby całe miasto powstawało i przemawiało przeciwko nim, począwszy od ulicznego bruku! Będą wyli, chłopaki! Ale czy my się ich przestraszymy?

Mochai uderzył ze śmiechem pięścią w stół i krzyknął:

– Nie, proszę pana!

Arjun również się uśmiechnął.

– Przepraszam – rzucił. – Muszę coś sprawdzić. – Zostawił ich i udał się na górę do sali balowej.

Była zamknięta na klucz, ale gosposia ją dla niego otworzyła.

– Proszę pamiętać, żadnych świeczek – pouczyła. – Profesor pana zabije, jeśli wniesie pan tam ogień. No i oczywiście proszę zdjąć buty.

Sosnowa podłoga była zasłonięta grubymi arkuszami, które ułożono obok siebie, wzdłuż i wszerz, w całym olbrzymim widnym pomieszczeniu, i pokryto gęstą siecią linii i okręgów narysowanych węglem. Różne osoby umieściły na nich drobno napisane adnotacje. To właśnie one składały się na to wielkie dzieło. Nazwy miejsc, nazwy ulic. Nazwiska ważnych osób. Na całej powierzchni mapy poprzipinano różnokolorowe kawałki sznurka. Arjun podążył za czerwoną linią i dotarł do

notatki, która wyjaśniała, że sznurek oznacza granice wpływów hrabiny. Domyślał się, że Ilonie nie spodobałoby się tak wyraźne przedstawienie jej ograniczeń.

W kilku miejscach dostrzegł czerwone okręgi, wskazujące kolejne obszary kontrolowane przez hrabinę – zachodziły one na żółte okręgi Cimentiego, brązowe okręgi Mass How oraz wiele innych. Z dala od terenów, które Arjun uznał za środek miasta (choć nie było ku temu żadnych przesłanek), twórcy Atlasu ponownie wykorzystali czerwony kolor do oznaczenia terytoriów innych szlachciców. Najwyraźniej zabrakło im barw.

Podążył za szarozieloną linią, bardzo ostrożnie stawiając stopy na arkuszach i pomiędzy nimi. Znalazł przy niej notkę zapisaną przez Holbacha: „Trasa wędrówek Atenu w latach 47-56 i 61-67”. Na sznurku zawieszono wiele drobnych supełków, a do niektórych przytwierdzono papierowe etykiety z datami.

Od przyglądania się detalom zakręciło mu się w głowie, więc wyprostował się i rozejrzał po sali. Ar-Mouth i Zatoka znajdowały się w pobliżu drzwi. Pobliskie arkusze były dokładnie wypełnione i upstrzone szpilkami, kawałkami sznurka oraz etykietkami. Na każdym arkuszu mapy piętrzyły się kartki z notatników, które zawierały odpowiednie eseje i wpisy z Atlasu.

Im bardziej Arjun oddalał się od Zatoki, tym mniej szczegółowa stawała się mapa. Łatwo było stwierdzić, gdzie znajduje się siedziba twórców Atlasu. Dalej były

jedynie niewielkie łąty detali otoczone pustymi arkuszami lub takimi, na których umieszczono tylko nazwy i znaki zapytania. W oddali zaszokowany Arjun dostrzegł rzeki – jedna spływała grubą narysowaną węglem kreską z Góry Ar i zmierzała na zachód, a druga płynęła w kierunku wschodnim. Wzdłuż nich rozciągały się nabrzeża.

Po przeciwnej stronie pomieszczenia przedstawiono za pomocą koncentrycznie rozchodzących się kręgów ze sznurka zbocza Góry. Kilka arkuszy w zewnętrznych kręgach wypełniono – Arjun zauważył, że mapę Stross End niedawno narysowano od nowa, na świeżym białym papierze – jednak wewnętrzne kręgi pozostały puste. Na północ od Góry nie było niczego poza szerokimi oknami wykuszowymi.

Na pozostałych krańcach sali, za morzem nieskazitelnej bieli, grube nierówne linie oznaczały położenie miejskich murów. Obok nich widniały znaki zapytania.

Niektóre ze świeżych kartek stanowiły niedawne zmiany w projekcie, wyraźnie znajdującym się w trakcie realizacji; inne arkusze były zeszywniałe i miały wyblakłą złoto-brązową barwę, a pokrywające je czarne linie przypominały pęknięcia na skórze. Ten kolor przypominał Arjunowi barwę gęstej miejskiej mgły oraz poplamionych cegieł i kamieni, widzianych ze wzgórza, w blasku słońca chowającego się za wieżami. Przez chwilę kręciło mu się w głowie.

Przed dwoma tygodniami Arjun rozmawiał z Holbachem w jego gabinecie. W „Wartowniku” ukazał się

kolejny artykuł, zatytułowany „Ocaleni ze Stross End odbudowują dzielnicę z gruzów”. Holbach uważnie go przeczytał, po czym rzekł:

– Może Olimpia ma rację. Może Nicolas zabroniłby mi budowy „Gromowładnego”. Może domyśliłby się, że zmienia go w broń. Ale mnie wydawało się, że zdołamy ujrzyć całe miasto z lotu ptaka. Przekonać się, w jaki sposób to wszystko jest dopasowane i co oznacza. Myślałem, że spełniam jego marzenie.

Wtedy Arjun nie wiedział, co Holbach miał na myśli, a profesor wrócił do pracy, nie udzielwszy dalszych wyjaśnień. Teraz już rozumiał. Wrócił na dół, zamykając za sobą drzwi, i przypomniał sobie, jak Julah zamknął za nim drzwi, gdy wychodzili z Komnaty Głosu.

* * *

Drugą zmianą było pójście do łóżka z Olimpią, choć może to ona poszła do łóżka z nim; dokładnie nie pamiętał.

Podobnie jak pozostali, Olimpia była bardzo zajęta w miesiącach poprzedzających wydanie Atlasu. Trzeba było zawrzeć umowy z dystrybutorami i sprzedawcami, przekupić, przekonać bądź sparaliżować prawnymi sztuczkami tysiące cenzorów, ciał nadzorujących i organów wydających zezwolenia; wszystko musiało być związane na ostatni guzik. Piewca wolnej miłości pan Brace-Bel – złowrogi człowieczek, który wolał być

nazywany „rozpustnikiem” – rozgniewał cenzorów swoim nowym tomikiem listów i został oskarżony o bluźnierstwo oraz nawoływanie do buntu w siedmiu różnych jurysdykcjach, osądzony w dwóch i, pomimo starań Olimpiii, skazany w jednej, na skutek czego wrócił do Żelaznej Róży na rozkaz księcia z ulicy Bałtyckiej.

– Niewielka strata – stwierdziła filozoficznie. – On zawsze pojawiał się i znikał.

Walka, którą toczyła, rzucała nią po całym mieście. Jednakże wzrastające tempo pracy dodawało im wszystkim sił, więc nigdy nie narzekała na mnogość obowiązków. Spalała nadwyżki energii, pijąc w barach wykwintnych hoteli lub w dzikich spelunkach, w zależności od tego, gdzie znajdowała się pod koniec dnia. Często bywała w miejscach, w których nieprzychylnie patrzono na kobiety, więc dla bezpieczeństwa zabierała ze sobą Hoxtona, choć – jak wyznała Arjunowi, gdy siedzieli na przepastnych fotelach obitych czerwoną skórą w barze Hotelu Nareau i wyglądali na jezioro Kuyt – na więcej tematów mogła porozmawiać ze swoim kierowcą. Dlatego nie miała nic przeciwko temu, by Arjun jej towarzyszył.

– Chodź – zaproponowała, widząc, jak rano wychodzi z gabinetu Holbacha z naręczem książek. – Jutro Tuvarowie będą równie martwi jak dziś. Powinieneś lepiej poznać miasto, dopóki ono żyje.

Rozparł się w fotelu, a czerwona skóra ciepło zatrzeszczała.

– Dlaczego ja? – spytał. – Nie sądziłem, że stanowią

ciekawe towarzystwo.

– Domagasz się komplementów? Potrafisz słuchać. Jesteś szczery. Nie jesteś brzydki, odkąd nabrałeś trochę ciała po swojej – jak by to nazwać? – chorobie, więc nie wstydzę się pokazywać w twoim towarzystwie. No i jesteś taki, cóż, egzotyczny. Świeży. Zapewne jeszcze nie miałeś okazji zauważyć, jacy jesteśmy irytujący i śmieszni. Chciałabym się dowiedzieć, jakie wywieramy na tobie wrażenie. Imponujemy ci?

– Nawet bardzo.

Mówił prawdę. Mieli w sobie znacznie więcej życia niż Chór. Ten tętnił życiem zaledwie przez jedną chwilę, która odeszła w niepamięć. Arjun zaczął o tym opowiadać, lecz nagle zdał sobie sprawę, że to on chciał zrobić wrażenie na Olimpii. Dlatego wstał odurzony alkoholem, podszedł do narożnika baru, gdzie grał zespół, nachylił się nad (niestety nieudolnym) pianistą i powiedział:

– Mogę panu zapłacić, jeśli na moment ustąpi mi pan miejsca.

Szef sali zaczął przesuwać się w stronę Arjuna, by skierować go z powrotem do jego stolika, ale Hoxton powstrzymał go jednym spojrzeniem. Arjun niczego nie zauważył. Zasiadł przy fortepianie i zaczął grać. Tak jak w przypadku wszystkich granych przez niego utworów, także w tym dało się usłyszeć echo Głosu, muzyka jednak nie przypominała niczego, co Arjun grał w ciągu ostatnich lat. Nie wynikała ani z melancholijnego i delikatnego, ani

z wymagającego i ascetycznego charakteru Głosu, lecz rozbrzmiewały w niej radość i uniesienie. Zdążył już zapomnieć, jakie to uczucie. Czuł się cudownie. Salę wypełniał śmiech. Po chwili zwrócił kontrolę nad instrumentem zdenerwowanemu pianiście, wpychając mu w dłoń absurdalnie wysoki napiwek, a następnie dołączył do Olimpii na wypolerowanym parkiecie.

Obudzili się, leżąc obok siebie na miękkim hotelowym łóżku; jej noga spoczywała na jego nogach. Spóźnili się na poranne spotkanie Olimpii. Ona była wymagająca i często się śmiała. Arjun był niezwykle poważny; od ostatniego razu upłynęło dużo czasu. Nie odzywali się, dopóki uderzenia wielkich młotów w oddalonej o dwie ulice świątyni Atenu nie oznajmiły nadejścia południa. Wtedy Olimpia powiedziała „Cholera!”, sturlała się z łóżka i chwyciła ubranie.

Weszło im to w nawyk. I tak spędzali razem całe dni, przemierzając miasto, gdy Olimpia załatwiała swoje sprawy. A kiedy nie wędrowała, była stałą klientką kawiarni i salonów na Hebanowych Polach i w Faugere, gdzie toczyli radykalne rozmowy o polityce i głosili entuzjastyczne bluźnierstwa. Czerpała pełnymi garściami z żartobliwych wypowiedzi Nicolasa, ale wymyślała także własne. Potrzebowała każdej możliwej broni. Za wszelką cenę pragnęła szokować i imponować.

Czasami przekraczali szlaki wodne lub pijali w kawiarniach nad brzegami kanałów widokowych. Początkowo Arjun nie czuł się z tym komfortowo, ale

Olimpia zachęcała go, by zbliżał się do wody, a skoro nic strasznego się nie działo, zaczął podejrzewać, że tylko wymyślił sobie nienawiść Tajfuna. Być może bóg wrócił do wody, by rozdrapywać rany. Być może zabiła go choroba. I dobrze mu tak. Wiosną trudno było uwierzyć w potwora, zwłaszcza w eleganckich i tętniących życiem miejscach, w które zabierała go Olimpia.

Możliwe, że Olimpia lubiła towarzystwo Arjuna dlatego, że nie był dowcipny i nie mógł jej przyćmić. A może, jak czasem podejrzewał, pomimo wszystkich podejmowanych wysiłków ona również nie była częścią wewnętrznego kręgu twórców Atlasu. Służyła mu, ale go nie wzbogacała. Być może sprawiało jej przyjemność to, że wciąga go w ten projekt, gdyż dzięki temu, że krążył po jej orbicie, sama czuła się ważniejsza. Arjun mógł tylko zgadywać. Zdawał sobie sprawę, że tak naprawdę jej nie rozumie. Była od niego znacznie bardziej wyrafinowana, a przynajmniej w inny sposób niż on. Była bardzo inteligentna i dziwna. Intrygowała go.

Nie łączyła ich miłość – nawet ta chłodna i abstrakcyjna, która była udziałem Chórzystów, a z pewnością nie teatralna i sentymentalna, jaką znało miasto. Tamtego pierwszego poranka, gdy siedział w głębi pokoju i przyglądał się jej opóźnionemu spotkaniu z przedstawicielami Spółdzielni Drukarskiej Brattle'a, słuchając jak na zmianę na nich krzyczy i się do nich przymila, obawiał się, że mogła się w nim zakochać (Dlaczego nie? W tym dziwnym mieście namiętności

bardzo szybko ulegają rozpaleniu), jednak uspokoił go jej rozsądek. Przede wszystkim była oddana Atlasowi. Wiedział także, że ma innych kochanków, z którymi nadal się spotyka. Nie był zazdrosny. Jego największą miłością i tak pozostawał Głos; nie mogła tego zrozumieć, a on nie mógł się tym z nią podzielić. Jednak odpowiadał mu taki układ. Zrozumiał, że wcześniej czuł się samotny.

Rozmawiali w sposób, który był dla niego czymś nowym (Znalazłem nowy głos, pomyślał. Ha, ha). W jej towarzystwie rozwiązywał mu się język i czuł, że dzieje się tak nie tylko pod wpływem alkoholu lub tego, co wdychali z bulgoczących pękatych szklanych naczyń, które stały na barowych stolikach w niektórych częściach miasta na zachodzie; chodziło o sposób, w jaki mówiła, w jaki oni wszyscy mówili: szybko, apodyktycznie, jakby cały czas kwestionowali swoje słowa i żartowali. Usiłował jej wyjaśnić, pochylając się nad stolikiem w zadymionej i gwarnej sali na tyłach Vittorio's, że dostrzega, iż twórcy Atlasu są gotowi poświęcić życie swojej pracy, a jednocześnie potrafią śmiać się z niej i z siebie samych. Zdawał sobie także sprawę, że poprzez swoje milczenie zapewne sprawia wrażenie, jakby nie był do tego zdolny, jednak to nie była prawda. Może wygląda na prostego człowieka, lecz wcale taki nie jest. Domyśla się, co sądzą o jego misji. Sam może to powiedzieć: to obsesja, uzależnienie, egoizm i izolacja. Ludzie w tym mieście mają do wyboru tak wielu bogów i tak wiele celów; Chór nigdy nie miał wyboru. Nie mieli możliwości spojrzenia

na swoje życie z zewnątrz i pośmiania się z samych siebie. Dlatego Arjun jest tym kim jest. Jednak nie chce, by uważała go za głupca. Musi pamiętać, że jest człowiekiem bywałym w świecie. Wciąż się uczy; znajdzie sposób, by to wszystko zaczęło coś znaczyć.

Słuchała go, przytakując z uśmiechem. Powiedział jej, że nie sądzi, by był w stanie rozmawiać w ten sposób z kimkolwiek innym. Odparła, że to słodkie z jego strony, ale Arjun wcale nie miał zamiaru jej pochlebiać, jedynie stwierdzał fakt. Pod wpływem dymu ze szklanego naczynia jego język stawał się gruby i odrętwiały, a umysł był pełen myśli, które łatwo się wymykały. Stracił wątek. Nic nie szkodzi, mógł do niego wrócić innego wieczoru.

Z wyraźną przyjemnością, aczkolwiek grzecznie, powiedziała mu, że jest szalony.

– Oczywiście – odparł. – A dla mnie to ty jesteś szalona i egzotyczna. – Nie przekonał jej.

Jeśli akurat nie przebywali w jakiejś odległej części miasta, większość nocy Arjun spędzał w mieszkaniu Olimpij na Hebanowych Polach.

Twórcy Atlasu bez wyjątku byli libertynami, więc ich to nie szokowało. Olimpia od dawna była jednym z głównych tematów codziennych plotek; z radością powitali w tej roli także Arjuna.

Nie wszyscy jednak byli zachwyceni. Pewnego dnia jeden z kochanków Olimpij, malarz Mochai, zaczął się na Arjuna w holu, popijając cierpkie wino, po czym rzucił się na niego z płaczem i przekleństwami, wykrzykując:

– Ona jest moja! Kim ty, kurwa, jesteś? Co takiego masz?

Niezdarnie się zamachnął, próbując uderzyć Arjuna w głowę. Arjun nie miał większych kłopotów ze sparowaniem ciosu i przytrzymaniem Mochaia, dopóki mężczyzna nie przestał szlochać. Podczas swoich podróży nauczył się co nieco o przemocy. Z pewnością więcej niż wiedział Mochai.

– Przepraszam – powiedzieli obaj.

Mochai podniósł się i oddalił z urażoną dumą; odtąd przestał się pojawiać w domu Holbacha.

– Cóż, a mnie wcale nie jest przykro – rzekła Olimpia, gdy Arjun opowiedział jej, co się wydarzyło. – Całe te bzdury z ptasim gównem. Fuj.

Wspomniał o tym tylko mimochodem i nie widział potrzeby drążenia tematu.

* * *

Trzecia zmiana polegała na tym, że po początkowym podekscytowaniu pracą nad Atlaseм Arjun wykonał powierzone mu zadania i ponownie dopadły go beczynność i poczucie bezcelowości.

Pewnego słonecznego poranka odbył z Holbachem długie spotkanie w gabinecie na dole, dokąd uciekli przed smrodem utrzymującym się na górnych piętrach posiadłości, który wywołał doktor Branken swoimi eksperymentami. Spędzili poranek na dopracowywaniu

wpisów Arjuna przeznaczonych do Atlasu. Z pomocą Arjuna Holbach stworzył szkic krótkiej notki o Czarnym Byku, pokrótce streszczając teorie tuwarskich teologów. Tekst miał długość niecałych dwóch stron. Udali się do sali z mapą i dodali kilka adnotacji w miejscach, w których mieszkali Tuvarowie.

– Pozostało jeszcze wiele do przeczytania – zauważył Arjun.

Holbach pokręcił głową.

– Nie sądzę, byśmy potrzebowali więcej. Byk i jego wyznawcy już dawno zniknęli z miasta, stanowią jedynie niewielki przypis. W ich przypadku należy postawić na adekwatność, a nie perfekcjonizm.

Holbach przygotowywał także nową wersję jednego z esejów z poprzedniego wydania.

– „Śmierć i umieranie bogów, sposoby i przyczyny”. A może raczej „blaknięcie”, „gaśnięcie” lub „ustępowanie”. Jak to zwykle bywa w przypadku najciekawszych zagadnień, trudno jest opracować właściwe nazewnictwo.

Podczas długiego, spóźnionego lunchu udało im się włączyć do eseju kilka odniesień do zniknięcia Byka. Nie wymagało to zmieniania wymowy tekstu. Końcowy wniosek i tak można było streścić słowami: „Któż to wie?”. Holbach bronił się, że jest to przykład raczkującej dziedziny nauki, która dotyczy bardzo krnąbrnych obiektów.

Wreszcie skończyli. Holbach się roześmiał.

– Pracowałeś za szybko i zbyt efektywnie! Zostałeś bez

zajęcia! – Potem zobaczył wyraz twarzy Arjuna i dodał zakłopotany: – Wiesz co? Obawiam się, że nie mamy żadnego wpisu na temat historii Tuvarów.

– Znam go na pamięć. Brzmi: „Populacja imigrantów o liczebności od 1100 do 1200 osób, zapewne zasymilowana lub wymarła”.

– Ojej. No i nawet najmniejszego znaku na Wielkiej Mapie. A to przecież setki tysięcy osób. Wnioskując z tego, co przetłumaczyłeś, byli wśród nich znakomici uczeni. To smutne. Co ty na to?

– Wpis o Tuvarach?

– Dlaczego nie? Kto inny miałby to zrobić? Obecnie nikt nie zna Tuvarów lepiej od ciebie. Porozmawiaj z historykami, jeśli potrzebujesz rady. Oni byli ludźmi, Arjunie: potraktuj ich tak, jak na to zasługują! Podejmij wyzwanie.

Arjun wrócił do swojego mieszkania piechotą, czując, że nie powinien jechać powozem na koszt Holbacha. Rozpoczął powolną pracę nad tekstem historycznym na temat Tuvarów. Szło mu ciężko. Nie miał doświadczenia w pisaniu niczego poza muzyką. Nie wiedział, od czego zacząć. Czuł, że czeka go wiele frustrujących dni. Wieczorem przerwał i pojechał powozem („a co mi tam, do Płomienia!”) do mieszkania Olimpi na Hebanowych Polach.

* * *

Kolejne dni rzeczywiście były frustrujące, dopóki w jego życiu nie nastąpiła czwarta zmiana, która nadała mu nowy cel.

Arjun nie miał pojęcia, w jaki sposób ma uporządkować swoje myśli dotyczące Tuvarów, i po dwóch tygodniach pracy nie był w stanie pochwalić się ani jednym udanym akapitem. Zresztą niezbyt się starał. Kiedy tylko mógł, przemierzał miasto u boku Olimpii. Większą część pozostałych dni spędzał w posiadłości, angażując się w niekończące się kłótnie malarzy, poetów i pieczeniarzy. Zaskakiwał ich i samego siebie zażartością, z jaką dyskutował.

Próbował przekonać Holbacha, że ten powinien przestać wypłacać mu pensję, ale profesor nie chciał o tym słyszeć: nawał pracy związanej z Atlasem oraz czasochłonne zadania zlecane mu przez hrabinę sprawiały, że nie mógł sobie pozwolić na to, by ktokolwiek porzucił projekt. Dlatego Arjun został. Rozmawiał z badaczami, którzy wrócili z odległych zakątków miasta. Żaden z nich w czasie swoich podróży nie słyszał o niczym, co chociaż przypominałoby Głos.

Porozmawiał z Rothetem, surowym mężczyzną, starszym i twardszym od pozostałych studentów i aspirujących uczonych, pełniących obowiązki kartografów, człowiekiem, który wrócił z zakazanych okręgów Czerwonego Kopca i przyniósł przerażające opowieści o brutalnym władcy Kopca oraz świeżą bliznę na twarzy. Zawdzięczał ją tamtejszej milicji. Arjun opisał

mu Głos; zaśpiewał echo jego pieśni. Rothet pokręcił głową, a po policzkach spłynęło mu kilka łez.

– Nigdy go nie słyszałem – odparł. – Nie. Tam nie było żadnej muzyki. Ale będę nadstawiał ucha. Brzmi cudownie. Nie wstydzę się tego przyznać. Co to takiego?

Pewnego jasnego dzwontkowego popołudnia Arjun siedział w kuchni i rozmawiał z Alwhillem, młodzieńcem odpowiedzialnym za stworzenie mapy okręgu zwanego Ton-Pei, na który składały się labirynty w zboczu urwiska niedaleko Góry.

– ... Ale trzymałem się w bezpiecznej odległości. Nie płacą mi aż tyle, bym chciał nadmiernie się do niej zbliżać – mówił chłopak.

– To bezcielesny duch – wyjaśnił Arjun – który śpiewa lub tworzy muzykę. Jeśli znalazł wyznawców, to zapewne poświęcają się naśladowaniu go. Słyszałeś o nim?

– Przykro mi. Oni nie byli zbyt muzykalni. Czcili coś pająkopodobnego. Nie wiem, czy to było to samo, co w tych okolicach nazywamy Pajakiem, ale mówili, że mieszka głęboko w ich tunelach. Holbach twierdzi, że potrzebuje więcej informacji, by zdecydować, co to za istota. Wszystko, co robili, traktowali jak hazard, ponieważ uważali, że tego pragnie pająk. Chcieli, abym przed każdą rozmową poddawał się różnym próbom; kary za przegraną bywały paskudne, więc pewnie się domyślasz, że ograniczałem rozmowy do niezbędnego minimum. Narysowałem mapę ich tuneli i się wyniosłem. Durny pomysł na życie, czymkolwiek jest ten ich pająk.

Zajmujesz się badaniem tej śpiewającej rzeczy?

– W pewnym sensie. – Arjun pokręcił głową. – Przepraszam, nie chciałem zabrzmieć zagadkowo. Piszę...

Jego uwagę odwrócił widok za oknem. Liancourt prowadził grupę nieznajomych w poprzek trawnika Holbacha, do budynku o spiczastym dwuspadowym dachu, stojącego za ogrodem różanym.

– Nowa sztuka – wyjaśnił Alwhill. – *Ślubne błogosławieństwo*. Liancourt chce, żeby to był musical. Uważa, że muzyką poruszy więcej osób niż słowami. Biorąc pod uwagę jakość jego tekstów, może mieć rację. Przykro mi, ale naprawdę sędzę, że jest przereklamowany. Nie mów nikomu, że to powiedziałem, dobrze? Tak czy inaczej, kilka lat temu nasz gospodarz zgromadził w oranżerii mnóstwo instrumentów, kiedy badał jakieś muzyczne bóstwo. Właśnie tam będzie pracował Liancourt.

– Możemy porozmawiać później? Chciałbym to zobaczyć.

Arjun udał się w ślad za nieznajomymi do oranżerii – budynku o białych ścianach, stojącego na końcu wąskiej ścieżki, ozdobionego różami opartymi na treliazu. W środku stał tłum aktorów i aktorek, a Liancourt przesłuchiwał grupę kompozytorów, którzy jeden po drugim przedstawiali swoje utwory za pomocą sterty zakurzonych instrumentów.

– Nie, nie. Za słabe. Potrzebujemy gniewu. Nasz bohater znów dostał kopniaka w twarz od miasta! Przykro

mi, ale nic z tego. Ma pan coś innego?

Liancourt kolejno odrzucał wszystkie propozycje: za wolne, zbyt wtórne, wyprane z entuzjazmu. Sfrustrowany szarpał przerzedzone siwe włosy. Opadał nadąsany na krzesło niczym dziecko, po czym znów zrywał się na równe nogi i wędrował po pomieszczeniu jak sierżant prowadzący musztrę.

W końcu jeden z kompozytorów zasiadł przy fortepianie i spróbował odegrać echo Głosu, które Arjun kilka miesięcy wcześniej wypuścił na ulice miasta. Liancourt poprosił jedną z aktorek, by zanuciła kilka sylab, gdyż chciał sprawdzić, jak ta muzyka sprawdzi się jako podkład dla wokalu.

– Bardzo ładna – stwierdził. – Poza tym podoba mi się pomysł zaadaptowania popularnego utworu, czegoś znanego. Chcę, by ludzie czuli, że to sztuka dla nich. Ale jeszcze czegoś tutaj brakuje.

– To tylko echo echa kolejnego echa – rzekł Arjun. – Uległo zepsuciu odkąd dałem je miastu.

– To twój utwór? – zdziwił się Liancourt. – Naprawdę?

– Poradzę sobie lepiej niż oni. Daj mi kilka dni.

Liancourt się zgodził. Arjun poprosił go o przygotowywanie zapasów jedzenia oraz posłania w altanie, a także o przekazanie Olimpii, że czuje się dobrze, ale nie chce, by mu przeszkadzano. Liancourt zostawił mu egzemplarz sztuki oraz pierwszą wersję libretta i pozwolił pracować.

Komponowanie przychodziło Arjunowi naturalnie.

Czuł, że sięga w przeszłość do Komnaty Głosu, a ten odbija się echem w nim i w jego muzyce.

Nie zwracał większej uwagi na to, o czym miała traktować sztuka Liancourta; fragmenty, jakie przeczytał, charakteryzowały się jadowitym kpiarskim stylem, który nie był w jego guście. Kartkując tekst, stwierdził, że opowiada on o jakimś wściekłym młodzieńcu, wykorzystywanej młodej kobiecie i okrutnych władcach obojga płci. Zatem gniew był tutaj zdecydowanie na miejscu, podobnie jak smutek. Zawarł w tworzonej muzyce wszystko, co miało dla niego znaczenie: tęsknotę za Głosem, smutek wywołany jego odejściem, gorzki gniew, który poczuł, gdy Głos nie wrócił, wszystkie wspomnienia radości.

– Muzyka – rzekł Holbach – jest czymś cudownym. – (Od czasu do czasu pojawiał się za plecami Arjuna, jak przystało na genialną głowę rodziny dbającą o swój dom). – Nie wiem, dlaczego nie mamy większej liczby muzyków. Mamy malarzy, poetów i dramatopisarzy, a pan Tilbury bawi się w rzeźbienie, i to z całkiem obiecującym skutkiem. Cierpimy jednak na niedostatek muzyków. To taka ezoteryczna dziedzina sztuki, nie sądzisz? Odciąga myśli od materialnych spraw miasta, politycznego harmidru, towarzystwa znajomych oraz paplania starych głupców takich jak ja i kieruje je ku wyższym sprawom. A jednocześnie jest czymś niezwykle fascynującym, silnie poruszającym, na najgłębszym, pierwotnym i niewysłowionym poziomie. Pobudza tłumy

w sposób, do jakiego nie są zdolne słowa i nauka, które zawiera Atlas. Dotyka pasji i emocji. Coś cudownego. Cudownie skutecznego. Czy mógłbym usłyszeć kawałek? Obiecuję, że niczego nie podkradnę, nikomu nie powtórzę. Nie potrafiłbym. Ledwie umiem gwizdać.

Wizyty Holbacha sprawiały, że Arjun czuł się nieswojo i, z powodów, które nie do końca potrafił określić, zmagał się z poczuciem winy. Później przez wiele godzin nie był w stanie słuchać własnej muzyki. Po trzeciej takiej wizycie zaczął zamykać drzwi altany. Kiedy tylko rygiel trafiał na swoje miejsce, muzyka z powrotem do niego napływała, jakby otwierał coś w swoim wnętrzu; wtedy pędził do krzesła, czując zawroty głowy.

Po kilku dniach opuścił altanę z plikiem papierów pod pachą i zagrał Liancourtowi główny motyw.

– Wymaga dopracowania – orzekł Liancourt. – To znaczy, nie jest idealny. – Miał lekko zachrypnięty głos oraz wilgotne i błyszczące oczy. – Ale możemy doprowadzić go do porządku. Mamy kilka tygodni. Zatem bierzmy się do pracy.

Rozdział 32

Jaskrawozielone pędy przebijały szarą ziemię w pobliżu nowej kryjówki Gromowładnych. Wraz z wiosną pojawiły się białe ptaki krążące wokół samotnych krzewów.

W hangarze na łodzie panowała atmosfera ożywienia i podekscytowania. Jack był ze wszystkich bardzo dumny i przepełniony czystą gwałtowną miłością. Od ataku na Dom Barbotina minęło kilka miesięcy i od tamtej pory nie zwalniali tempa.

Tydzień później Jack wrócił do Domu Matki Fossett i pootwierał wszystkie drzwi i okna. Jego chłopcy osaczyli strażniczki, patrząc na nie spode łba, i pozwolili dziewczętom podjąć decyzję. Niektóre postanowiły zostać, inne wykorzystały okazję i uciekły. Jack mógł jedynie dać im możliwość wyboru.

Kiedy obserwował dziewczęta wybiegające z domu poprawczego, pomimo zimowej nocy ubrane jedynie w nocne koszule, usłyszał głos Beth:

– Na bogów, Jack, one potrzebują cieplejszych ubrań, przecież jest zima.

Zabrał więc kilku chłopców i razem włamali się do pralni, skąd ukradli stertę grubych szarych wełnianych sukienek.

– Dorośnijcie wreszcie – rzuciła Beth, gdy zaczęli chichotać na widok bielizny.

Przyprowadzili kilka dziewcząt do hangaru. Jack

pozwolił Beth zdecydować, które z nich się nadają. Beth przeznaczyła dla nich osobne skrzydło budynku, co Jack uznał za rozsądne.

W kolejnym tygodniu zaatakowali ulicę Wapienną numer 34. Tamtejsi Mistrzowie słyszeli opowieści o Gromowładnych i próbowali się przygotować. Uzbroili się i sądzili, że wystarczy im odwagi, jednak kiedy Jack opuścił się z nieba na tle zachodzącego słońca, otoczony powiewającymi na wietrze jedwabnymi nitkami, a jego dzikie dzieciaki uzbrojone w karabiny wyległy na okoliczne dachy, poddali się bez walki. Nikomu nie trzeba było robić krzywdy.

Znaleźli tam Aideną. Został straszliwie pobity – w ten sposób napiętnowano go jako zbiega i ostrzeżono pozostałych chłopców. Wciąż miał posiniaczoną twarz, a jego lewe oko nie przestawało krwawić. Nie odzywał się, ale jego potrzaskana i napuchnięta twarz rozpromieniła się na ich widok i mocno ich uściskał.

– Shutlow nie jest wyjątkiem – rzekł Jack. – Więzienia są w całym mieście. Zresztą tam już się nas spodziewają. Są przygotowani. Nie powstrzymają nas, ale mogą nas spowolnić. Mogą sprawić, że zapłacimy słoną cenę.

Dlatego zaatakowali Agdon Deep, wyważyli żelazne wrota kuźni i dali chłopcom obsługującym maszyny szansę na odzyskanie wolności, jeśli jej pragnęli; ukradli także klucze do kajdan, którymi byli skuci skazańcy penetrujący wypalone ruiny Stross End w poszukiwaniu cegieł i drewna.

Początkowo atakowali tylko miejsca, w których przetrzymywano dzieci, ale w pierwszy dzień nowego roku (według rachuby większości obywateli) otworzyli gigantyczne betonowe więzienie Mensonge'a w Czwartym Okręgu. Zwrócili wolność wszystkim więźniom, nie pytając, co mają na sumieniu.

– Nie do nas należy wybieranie, kto ma zostać uwolniony – uznał Jack. – Nie jesteśmy strażnikami więziennymi.

Jednak nie zabrali ze sobą żadnego z uwolnionych mężczyzn; z jakiegoś powodu wydawało im się to niewłaściwe.

Przez cały ten czas Jack stawał się coraz silniejszy i szybszy. Na początku miał trudności z przenoszeniem w powietrzu jednego chłopca; nim skończyła się zima, dzięki wysiłkowi woli był w stanie przez chwilę utrzymać w górze całą grupę, tak jak „Gromowładny”, który prowadził swoją flotę. Początkowo latali trzymając się za ręce, podtrzymując się nawzajem, przekazując sobie ten komiczny i szalony dar. Uważali go za największy cud, jaki miało do zaoferowania miasto, jednak moc stale rosła i się rozwijała. Stopniowo, najpierw nieświadomie, odkryli, że podąża ona za Jackiem: kiedy idą jego śladem, sami zostają nią napełnieni i tak jak on mogą lekko i swobodnie przeskakiwać z dachu na dach, z wieży na wieżę. Żadne z nich nie potrafiło wskazać, kiedy to się zaczęło – czy towarzyszyło im już wtedy, gdy pędzili za „Gromowładnym” po dachach Shutlow? Z pewnością w

jakimś stopniu tak. W przeciwnym razie, jak mogliby wyjść cało z tych wszystkich przyprawiających o zawroty głowy wyścigów na złamanie karku? Nie mogli również mieć pewności, czy i kiedy to się skończy.

Nadnaturalna moc, którą Ptak obdarzył Jacka, nie mogła pozostawać w jednej osobie, nawet gdyby Jack chciał zatrzymać ją tylko dla siebie. Oczywiście wiedział, że jest to jedna z podstawowych zasad teologii: każda zmiana, którą bogowie wprowadzają w materii miasta, pociąga za sobą kolejne zmiany, rozchodzące się w nieprzewidywalny sposób niczym fale po powierzchni stawu. Mimo wszystko było to niezwykle zjawisko. Jego nauczycielom nawet się o czymś takim nie śniło.

Jednakże na razie jemu i jego zwolennikom musiała wystarczyć wiedza, że moc działa. Jack był nią przepełniony, wzbudzał ją we wszystkich, którzy go otaczali. Choć tylko wtedy, zauważył z satysfakcją, gdy utrzymywali ten sam kurs i byli wierni obranemu przez niego celowi.

Pierwszą stratę ponieśli w ostatnim tygodniu zimy, podczas ataku na więzienie w Pełzającym Kamieniu na terenie Trzeciego Okręgu. Kapłani wynajęli grupę siepaczy z Garhide, którzy umieli posługiwać się bronią i zastawić pułapkę. Co prawda nie mogli się równać z szybkością i mocą, które Jack skradł Ptakowi, ale i tak udało im się zabić dwóch uciekających chłopców i wpakować kulę w kość w nodze Namdiego. Ku niezadowoleniu Jacka zginęło także dwóch napastników,

nie dało się tego jednak uniknąć.

Nocą Jack dostarczył Namdiego do chirurga w Machii; uznał, że to wystarczająco daleko od domu. Trzymał Namdiego za rękę, gdy lekarz dhubał w nodze pacjenta. Namdi z dumą prezentował blizny i utykał, przedwcześnie wyniesiony do rangi weterana.

Podczas tego ataku po raz pierwszy musieli kogoś zabić, jednak wkrótce zaczęło się to zdarzać częściej, gdy ich ofiary stawały się coraz lepiej przygotowane, a oddziały Jacka rosły w siłę, wzbogacając się o nowych wściekłych rekrutów. Starali się nie przelewać krwi, a przynajmniej Jack prosił ich, by próbowali się powstrzymać. Niestety, nie dało się uniknąć pomyłek. W końcu byli tylko chłopcami. Jack mógł im życzyć szybkości i zdolności lotu, ale nie mądrości, cierpliwości czy samokontroli. Mimo to szybko im przebaczał, jeśli tylko robili to, o co ich prosił.

Jack niemal przestał jadać, pozostali jednak potrzebowali pożywienia, a było ich coraz więcej. Dlatego nadal uciekali się do kradzieży. Byli teraz lepiej zorganizowani; nigdy nie kradli w pobliżu swojej siedziby i korzystali z usług paserów oddalonych o co najmniej dzień marszu. Tym wszystkim zajmował się Fiss. To on karmił oddziały, troszczył się o nie, organizował; Jackowi brakowało cierpliwości.

Tej zimy rzadko ze sobą rozmawiali. Fiss był milczący i spięty.

– To twój cel, nie mój – powiedział Jackowi pewnego

wieczoru, gdy stali na zimnych przybrzeżnych błotnych równinach. – To długo nie potrwa, niedługo wszyscy przez ciebie zginiemy. Moje zadanie polega na wykarmieniu ich. Po prostu daj mi się tym w spokoju zajmować, jeśli możesz, dobrze?

Jack nie mógł pozbyć się Fissa. Zbyt wiele mu zawdzięczał. Poza tym wiedział, że go potrzebuje. Jednakże od tamtego dnia miał go na oku, a w swoje plany zaczął wtajemniczać raczej Namdiego.

Wiosna przyniosła liczne ballady o Gromowładnych. Jack wymykał się do miasta przebrany w pospolity strój, tak by nikt go nie poznał, i słuchał nowych pieśni. Gdy ktoś go pytał, kim jest, odpowiadał, że terminatorem, który robi zakupy dla swojego mistrza. Słyszał te pieśni z ust dzieci, biegających ulicami; malcy wykrzykiwali ich teksty, przeskakując z kamienia na kamień na popękany bruku, rozkładając ręce jakby latali. Słyszał, jak tłum zgromadzony przed Żelaznym Drzewem śpiewa „Balladę o Jedwabnym Jacku”, dopóki z budynku więzienia nie wyszła do nich milicja i nie rozpędziła ich biczami. Postanowił tam wrócić.

Oddziały milicji stale szukały Jacka i Gromowładnych. Krył się w bocznych uliczkach lub na schodach przeciwpożarowych i obserwował, jak wypytywają zaskoczonych przechodniów. Byli niezdarni i ociężali, więc się ich nie bał. Chodził za strażnikami do koszar i podsłuchiwał pod oknami; nigdy nie mieli niczego do zameldowania swoim przełożonym. Gromowładni nie

atakowali w pobliżu swojej siedziby i milicja nie potrafiła ich odnaleźć.

W pierwszych tygodniach wiosny zorientował się, że tropi go ktoś nowy – młodzi mężczyźni wypytywali o niego w pubach i na targowiskach w Czwartym Okręgu i Shutlow. Nie byli to żołnierze ani strażnicy. Byli delikatni, gładcy i mówili spokojnym, przyciszonym głosem. Wszystko szczegółowo notowali w dziennikach, zupełnie inaczej niż ci bazgrzący półanalfabeci ze straży. Wydawało się, że wcale nie interesuje ich to, gdzie można go znaleźć; ponieważ zadawali pytania typu: „Czy wszyscy mieli na sobie jedwabne stroje, czy tylko jeden chłopiec? Czy on machał rękami jak ptak, czy też unosił się w sposób naturalny jak »Gromowładny«? Chodzi o to, czy sprawiał wrażenie jakby chodził w powietrzu?”.

Jeden z nich zasięgał języka na Targu Siedmiu Kół, na rogu niedaleko więzienia Mensonge'a. Drobnym młodzieniec, okularnik o rozwichrzonej brodzie. Tego wieczoru Jack poszedł za nim.

* * *

Holbach śnił o mrocznych ulicach, które ryczały, ziejąc ogniem i wirującymi obłokami połamanych kości, pod czarnym księżycem, wśród huku dział. Gdy powoli szedł – nie był w stanie biec – przez miejsce, którym musiało być Stross End, zakrwawione ręce trupów chwytają go za nogi, a pogruchotane szczęki rozwierały się, by

powiedzieć mu, że przegapił kolejny termin, a zresztą drukarze i tak zgubili jego rękopis.

Obudził się zlany potem i zmarznięty. Jakaś drobna postać poruszyła się w jego pogrążonej w ciemności sypialni. Nie, w gabinecie; leżał na kanapie z otwartą książką na brzuchu. To pewnie jeden z jego współpracowników. Zastanawiał się, czy nie powinien udać, że nadal śpi, by uniknąć zażenowania z powodu ponownego zaśnięcia w gabinecie, co mogłoby się przydarzyć studentowi, ale nie komuś w jego wieku.

Wyczuł, że postać odwraca się w jego stronę, choć blask księżyca był za słaby, by dało się dojrzeć jej rysy.

– Nie ruszaj się – odezwała się postać. – Patrz na sufit, a nie na mnie. Jeśli odwrócisz głowę w moją stronę, zabiję cię. Ja cię widzę.

Holbach poczuł lodowaty ucisk w żołądku. Szybko skierował wzrok na sufit i wybełkotał:

– Mam pieniądze, dużo pieniędzy, w sejfie po drugiej stronie holu. Wiesz, kim jestem? Jeśli mnie zabijesz, hrabina cię dopadnie.

– Nie potrzebuję twoich pieniędzy i nie boję się twojej hrabiny. Wiem, kim jesteś. Obserwowałem i słuchałem. A czy ty wiesz, kim ja jestem?

Holbach milczał. Intruz bardzo się starał mówić niskim i chropawym głosem, ale przesadził: pod tą mistyfikacją krył się chłopięcy głos – nie dziecięcy, ale też z pewnością nie głos mężczyzny. Brzmiał znajomo.

– Jack, ach, Jedwabny Jack?

– Zgadza się. Przyszedłem tutaj za jednym z twoich szpiegów.

– Ach. Ach, to nie do końca szpiedzy, Jedwabny Jacku. Są raczej uczniami. Och, mam nadzieję, że nie zrobiłeś im krzywdy.

– Jeszcze nie. Dlaczego twoi szpiedzy mnie śledzą i wypytyują o mnie? Robią to dla hrabiny? To ona na mnie poluje?

– Cóż, prawdę mówiąc, ona rzeczywiście chce, żebym cię wybadał, i tak, oczywiście, że chce cię złapać, Jacku, czy mogę cię tak nazywać? Po tym wszystkim, co zrobiłeś, to jasne, że jej na tym zależy. Ale ja nie próbuję cię usidlić lub złapać. Przysięgam. Chcę jedynie dowiedzieć się, jak to robisz. Jeśli to prawda.

– To ty stworzyłeś „Gromowładnego”.

– Tak, to ja.

– Czy stworzyłeś także mnie?

– Słucham?

– Dlaczego dar Ptaka mnie nie opuścił? Tak samo jak „Gromowładnego”. To, co o mnie mówią, to prawda. Potrafię latać. Wcale nie przypomina to chodzenia w powietrzu, jeśli koniecznie chcesz wiedzieć. Czy to twoja sprawka?

– Przysięgam, że nie.

Postać zamilkła. Holbach wysłuchał sześćdziesięciu powolnych tyknięć zegara, próbując siłą woli spowolnić swój puls do ich tempa. W końcu spytał:

– Mogę zobaczyć, jak to robisz?

– Nie. Nie stanę się twoją bronią.

– Och, na bogów, chłopcze, wcale tego nie chcę. Ja tylko...

– Będę otwierał wasze więzienia jak długo będę w stanie. Codziennie podąża za mną coraz więcej ludzi. Zabijemy cię, jeśli spróbujesz nas powstrzymać lub spowolnić. Zrobimy to.

– Och, nie. Nie mam zamiaru cię powstrzymywać, nawet gdybym potrafił. Chcę jedynie dowiedzieć się, jak to robisz. Prawdę mówiąc kiedyś napisałem, cóż, nie ja osobiście, ale ktoś pod moim kierownictwem, tekst dotyczący reformy naszych zakładów karnych; więźniowie są przetrzymywani w straszliwych warunkach. Tak, Jacku, walczyłem z tym, kiedy jeszcze nie było cię na świecie, więc doskonale rozumiem, co robisz...

– Zamknij się. Wcale nie rozumiesz. Poleciałem w ślad za okrętem. Widziałem, co zrobił w Stross End.

– Och. Jacku, jest mi bardzo, bardzo przykro.

Zegar odmierzył kolejną długą chwilę. Na tle okna było widać sylwetkę Jacka. Emocje wstrząsały jego wątłymi ramionami. Profesor widział, że chłopak nad sobą nie panuje.

– A więc jak to działa, mądralo?

– Nie wiem, Jacku. Ale bardzo bym chciał. Gdybyś mi opowiedział, jak to się zaczęło. Czy to się stało podczas powrotu Ptaka? Wezwałeś go? Zamysły bogów są niejasne, ale można je zrozumieć...

– Jak długo to potrwa?

– Nie mam pojęcia. Gdybym mógł cię zbadać...

– Nie. Nie patrz na mnie.

Holbach gwałtownie zwrócił wzrok z powrotem na sufit. Pokrywająca go pleśń tworzyła mroczną mapę cieni.

– Co byś z tym zrobił, gdybyś wiedział, jak to działa?

– Gdybym mógł, to podzieliłbym się tym. Zbadałbym, jak to się robi, i użył tej mocy innym. Jeśli to działa w ten sposób. Uniósłbym w powietrze nas wszystkich, całe miasto.

– Właśnie to robię. Uwalniam ludzi ze wszystkich miejskich więzień i zabieram ich ze sobą. Im dłużej to robię, tym silniejsza staje się moc.

– Ale to, co robisz... może to coś podobnego, owszem, ale to nie ma sensu. Rozumiem, że jesteś wściekły, ale co się stanie z ludźmi, których uwalniasz? Są ich setki – czy umrą z głodu? Co zrobią? Zginiecie, jeśli będziecie dalej tak postępować. Jesteś tylko samotnym chłopcem. To, co budujesz, nie przetrwa. A autorzy ballad opiszą twoją śmierć z równą radością, z jaką teraz opisują twoją walkę. Być może mógłbym ci pomóc: jutro możemy porozmawiać o...

Drzwi się otworzyły i do środka wtargnęło światło. Mroczna postać w oknie błyskawicznie przez nie wyskoczyła. Botanik doktor Grishman, ubrany w poplamioną atramentem nocną koszulę i szlafmycę, wsunął się do pomieszczenia ze świecą w dłoni, by pogrzebać w książkach leżących na stole. Nie zauważył

Jacka, wbijał wzrok w ciemną zagraconą podłogę.

Holbach nie pofatygował się do okna, by wyrzeć w ślad za Jackiem. Zamiast tego podniósł obolałe kości z kanapy i rzekł:

– Ślęczysz po nocy, Grishman? To dobrze. Pomóc ci szukać?

Rozdział 33

Haycock przez całą wiosnę przenosił się z miejsca na miejsce, ukradkiem brnąc na północ, na zachód, na północ, przez tydzień lub dwa na wschód, po czym ponownie na północ. Dźwigał dwie walizki. Jedna była wypełniona książkami, które po drodze sprzedawał, by mieć pieniądze na jedzenie i nocleg – a podróżując z dala od znajomych terenów i stałych klientów każdego pieprzonego dnia przypominał sobie, jak skąpi, chciwi i bezmyślni są inni obywatele, jaka z nich złodziejska zaraza, jak tylko czekają na okazję do okantowania i wyprowadzenia w pole bliźniego, który znalazł się w trudnej sytuacji.

W drugiej walizce miał trzy złachane garnitury oraz szeroką gamę amuletów, fetyszy, inskrypcji, napojów miłosnych i przedmiotów strzegących przed złem. Po drodze powiększał tę kolekcję. Śmierdział na zmianę kadzidłem i alkoholem.

Miał nadzieję, że jeśli wypije wystarczająco dużo, to zapomni tamten kształt, który wił się i kłębił w lodowatej szarej mgle zbierającej się w opuszczonym ogródku piwnym przed „Cyprysem”; może zapomni, w jaki sposób to na niego patrzyło, jak go nienawdziło. Zapomni, jak skóra ścierpła mu na plecach, gdy zrozumiał, że został napiętnowany.

W kieszeni marynarki trzymał pogniecione kartki, które

wyciął z *Myślicieli naszych czasów*. Cuttle! Z tym człowiekiem można było dobić targu. On wiedział, jak to wszystko działa – mógł ocalić Haycockowi skórę, w zamian za co Haycock był gotów oddać wszystko, dosłownie wszystko. Gdyby tylko zdołał go odnaleźć. Na razie chciał przede wszystkim jak najbardziej oddalić się od tego zagranicznego drania Arjuna, który za to odpowiadał.

Zatem znów na północ, w stronę Góry. Haycock nie był pewien dlaczego, ale wydawało mu się logiczne, że właśnie tam może znaleźć Cuttle'a lub kogoś innego, kto wie, co należy zrobić. Po dwóch miesiącach skończyły mu się pieniądze. Przeklinał swoją dobroć, cholerną dobroć, która skłoniła go do pozostawienia Arjunowi części książki jako ostrzeżenia – za pieniądze ze sprzedaży tego gówna mógłby opłacić nocleg na wiele dni! Sypiał w parkach i pod łukowatymi sklepieniami. Był na to za stary. Dopadły go kaszel i odrętwienie w nogach. Próbował wypocić gorączkę, nocując w opuszczonym garażu pełnym wilgoci, rdzy i pleśni, w cieniu nieużywanej maszyny do przetwarzania odpadów. Wiedział, że robi błąd – ten bóg doskonale się czuł w opuszczonych i brzydkich miejscach – ale jaki miał, kurwa, wybór? Czuł ogień w płucach i nawiedzały go nieprzyjemne wizje. Kiedy drzwi otworzyły się z hukiem, wpuszczając deszcz i wirujące liście, a za nimi Haycock dostrzegł tę niesamowitą, bezkształtną, trującą rzecz, mógł tylko wychrypieć w rozpaczy: „Pierdol się,

potworze".

Rozdział 34

Arjun obudził się w chłodny pętkowy dzień, leżąc na brzegu łóżka Olimpii. Splątana pościel była zachlapana lepkiem czerwonym winem. Olimpii nie było. Zawsze wcześniej wstawała, tak jak kiedyś Arjun w Domu Chóru oraz podczas niewygodnych podróży. Staję się nieprzyzwoicie leniwy, pomyślał.

Służąca Olimpii, Pieta, napełniła dzban w toalecie ciepłą wodą. Arjun ogolił się nową brzytwą, po czym włożył czarne spodnie i luźną białą koszulę. Wychodząc, spotkał Pietę i zamienił z nią kilka słów. Olimpia zawsze mówiła do kobiety po imieniu i była otwarta na jej opinie, a Arjun nie miał zamiaru łamać zasad, które Olimpia wprowadziła we własnym domu.

– Ponownie widziałam *Błogosławieństwo* – pochwaliła się Pieta. – W Pałacu. Zabrałam ze sobą siostrę. Koniecznie chciałam, żeby to zobaczyła. Nie mogła przestać płakać, kiedy zabrano ojca dziewczynki.

– To dobrze. Zależało nam na łzach. Czy śpiewaczka dobrze się spisała?

– Może pan być z niej dumny. Z pana A. Pretty'ego również.

– Żadnych zamieszek? Dzikusów z pochodniami? Cenzorów?

– Jakiś zwariowany lavilokanin wstał ze swojego miejsca z tyłu sali, podniósł wielkie lustro i zaczął wołać:

„Przyjrzyjcie się swojemu bluźnierstwu i żałujcie za grzechy!", jak to oni mają w zwyczaju, ale kilku chłopców z fabryki mydła – od razu można ich poznać po zapachu, wie pan? – zdzieliło go po głowie. Poza tym milicjanci weszli na obrzeżach sali, ale niczego więcej nie próbowali. Kilku z nich usiłowało udawać normalnych ludzi. Panna O. mówi, że boją się interweniować. Podobno sztuka jest zbyt popularna, by móc siłą zdjąć ją z afisza.

– Możliwe. Jednak gdyby kiedyś przestali się bać, to nie uratują nas chłopcy z fabryki mydła.

– Ja się nie boję. Och... nie chciałam przez to powiedzieć, że pan się boi, panie A.

– Nie gniewam się, Pieto.

Widział, że kobieta rzeczywiście się nie boi, ale w końcu była bardzo młoda. Arjun życzył jej dobrego dnia i wyszedł.

* * *

Ślubne błogostawieństwo odniosło absurdalny, triumfalny i niesamowity sukces. Sztuka miała premierę w Promienistej Koronie, na obrzeżach ulicy Harfowej – był to kameralny teatrzyk, którego nazwa stanowiła żart z jego prostego szarego wnętrza. Niedożywieni i natarczywi impresario z owego teatru nie posiadali się z radości, że mogą wystawić nowe przedstawienie autorstwa słynnego Josepha Liancourta. Arjun widział, jak prostują chude

ramiona i wypinają pierś, gdy Liancourt przedstawił im swój plan, a oni zrozumieli, że to prawda, a nie okrutna kpina. Do tamtej chwili Arjun nie zdawał sobie sprawy, jak sławny i uwielbiany jest Liancourt.

Podczas premiery Korona była tak wypełniona, że wydawało się, że ludzie zwisają z krokwi. Wiele osób cofnięto spod drzwi.

– To konieczność – wyjaśnił Liancourt. – Większe teatry nie przyjmą tej sztuki, nawet ze względu na mnie. To zbyt niebezpieczne. Ale tak jest lepiej. Zaczniemy niepozornie i pozwolimy, by sprawy nabrały rozpędu. Weźmiemy cenzorów przez zaskoczenie. Sprawimy, że ludzie będą błagać o bilety. Niech zobaczą w tym tajemnicę, coś, na co muszą zapracować. Ta metoda sprawdziła się w przypadku *Zwiastuna* i. na bogów, sprawdzi się także teraz.

Jednak w dniu premiery Liancourt stracił pewność siebie i za kulisami rwał włosy z głowy, lękliwie spoglądając zza kurtyny na mroczną, kłębiącą się widownię, jakby każdy z widzów specjalnie ze względu na niego ubrał się w białą szatę i przyniósł ze sobą płonąca pochodnię.

Arjun stał obok niego. W odróżnieniu od Liancourta nie miał nic do roboty i nikim nie musiał się przejmować: ufał muzykom, których zatrudnili. Nie stawiał także na szali swojej reputacji; odmówił podania swojego nazwiska jako kompozytora, twierdząc, że muzyka nie jest jego dziełem, a jedynie echem – wiedział, że Liancourt uznawał tę

postawę za nieznośnie pobożną, lecz taka była prawda. Arjun denerwował się niemal tak bardzo jak Liancourt i uważniej wsłuchiwał się w reakcje widowni niż w muzykę. Bardzo chciał, by go zrozumiano. Wierzył, że powoduje nim coś więcej niż próżność.

Fabula *Błogosławieństwa* toczyła się dwutorowo. Pierwsza historia opowiadała o sentymentalnych losach dziewczynki, której ojca wtrącono do Żelaznej Róży za zbrodnie, natury których nie sprecyzowano, ale wyglądało na to, że mają one związek z głoszeniem wywrotowych lub bluźnierczych poglądów. Jej matka zmarła nagle z powodu choroby, która, w związku z trudną sytuacją rodziny, nie mogła zostać wyleczona, i dziewczynka znalazła się na ulicy, pośród kryminalistów. Wkrótce przekonała się, że jej wysiłki, mające na celu polepszenie własnego losu, a później znalezienie męża, są niweczone przez jakieś podejrzane postaci. Druga opowieść miała wydźwięk komediowy, z przebłyskami gniewu: solidny rzemieślnik, pulchny, łysawy i niezbyt młody, szukał żony, jednak jego plany raz za razem spalały na panewce za sprawą kpiących arystokratów oraz własnego nędznego statusu. Arjun włożył w usta obu tych postaci pieśń Głosu.

Oto na czym polegała prowokacja: Liancourt wprowadził do sztuki chór złożony z zamaskowanych postaci, które nie przypominały żadnego konkretnego boga, ale wyraźnie miały boski charakter. Kpiły z wszelkich wysiłków, jakie podejmowali bohaterowie, i w celu niweczenia ich sterowały władcami miasta jak

szachowymi figurami. Za każdym razem, gdy okrutny szef, pogardliwy władca czy bandyta odbierał coś bohaterom Liancourta, wzruszał ramionami, wskazywał chór za swoimi plecami i mówił: „Bogowie się nie zgadzają” – czasami, gdy publiczność dopisała, z widowni odpowiadały mu okrzyki wściekłości.

Oto na czym polegała obietnica: bohaterowie znajdowali ocalenie dzięki książce pełnej mądrości i humoru, która zawierała czarodziejską mapę wskazującą im wyjście z pułapki. Liancourt nie mógł sobie pozwolić na otwarte propagowanie Atlasu, jednakże wymowa sztuki nie była zbyt subtelna: łatwo było się zorientować, że *Błogosławieństwo* zapowiada powrót Atlasu, przeciera mu szlaki.

Oczywiście, przedstawienie kończyło się podwójnym ślubem, narodzinami, obaleniem podłych władców i zdemaskowaniem fałszywych bogów, a następnie radosnym wkroczeniem aktorów na zatłoczoną scenę i potężnym crescendo olbrzymiej liczby dzwonów. Arjun bardzo nalegał na ich wykorzystanie. Dzwoniły nimi okoliczne dzieciaki. Używano dzwonków weselnych, modlitewnych, pożarowych, ostrzegawczych, karylionów i głęboko brzmiących dzwonów basowych, a wydawane przez nie dźwięki wznosiły się i wirowały, wyrażając radość i gniew, przypominając burzę z piorunami, z której na końcu wyłaniała się – powoli i niezauważalnie – prosta i czysta melodia Głosu.

(Arjun uważnie przestudiował akustykę teatru i

przeprowadził dokładne próby. Chciał uzyskać przytłaczający, ale nie – a przynajmniej nie do końca – nieznośny efekt).

Publiczność zgromadzona na premierze płakała, wyła, a na końcu zaczęła tupać. Liancourt uściskał obsadę i ekipę, po czym opadł na krzesło, które stanowiło jeden z rekwizytów. Czuł wyczerpanie, ale także ulgę i radość. Wezwał do siebie Arjuna i Olimpię i odezwał się do nich zbyt głośnym, skrzeczącym, zmęczonym głosem:

– Chodźcie tutaj. Nie kaźcie mi wstawać; jestem na to za stary, a wy zbyt młodzi. Dotarliśmy do nich, prawda?

W ciągu kilku kolejnych tygodni przedstawienie przeniosło się z Korony do Klucza, największego teatru na ulicy. Wtedy Liancourt z radością oddał swoje dzieło w ręce spółek z całego miasta, które odtąd mogły samodzielnie wystawiać sztukę, pośpiesznie przygotowując dekoracje i zatrudniając nawet najgorszych śpiewaków i aktorów. W kierunku północnym sztuka dotarła (co najmniej) do Stross End, gdzie wystawiano ją w sali o żelaznych ścianach na dole jednej z ocalałych wież zegarowych, na zachodzie pojawiła się aż przy Murze Krzyżowym, a na wschodzie na przystani przy Czerwonych Grzędzawiskach. Kilka okrojonych wersji przedstawienia, pozbawionych niektórych drugoplanowych postaci oraz niejednoznaczności fabuły, trafiło na ulice, gdzie entuzjastyczni amatorzy odgrywali je z wozów w zamian za drobniaki lub jedzenie. Uliczni aktorzy nie korzystali z pomocy orkiestry, ale zawsze

pozostawiali główne motywy muzyczne. Brzmiały one dobrze nawet odgrywane na prymitywnych instrumentach. Czasami końcowe bicie dzwonów było zastępowane tłuczeniem w garnki i czajniki; powstawał wtedy okropny hałas, lecz tłum i tak tupał i wiwatował. Przedstawienie miało w sobie energię, która nie zniknęła w nawet najbardziej obskurnych warunkach.

Kościół organizował protesty i manifestacje, jednak na każdego przechodnia, którego udawało im się odstraszyć, przypadał kolejny zaciekawiony przedstawieniem.

Białe szaty zmusiły, za pomocą podpaleń, kilka trup do zaprzestania grania sztuki, lecz kolejne szybko wciągały ją na afisz. Na Wierchołku ubrane na białą dzieci wtargnęły na scenę i w blasku reflektorów pobiły główną bohaterkę pochodniami, po czym zniknęły w tłumie, zanim zdążyła się pojawić straż. Olimpia знаła tę aktorkę. Razem z Arjunem odwiedzili biedaczkę w szpitalu, by obiecać, że twórcy Atlasu – czyli Holbach – zrekompensują jej zrujnowaną karierę.

Wydawca „Ery” ostrzegał, że przedstawienie jest wyrazem niebezpiecznego i nieodpowiedzialnego buntu przeciwko kruchemu porządkowi miasta i dlatego powinno natychmiast zostać zakazane, z kolei „Wartownik” żarliwie chwalił sztukę, nazywając ją znakomitym owocem polifonii i kreatywności, które stanowią o wartości Ararat. Po kilku tygodniach obie gazety zmieniły front, by ożywić rywalizację.

Cenzorzy węszyli wokół sztuki – rzucali niezadowolone spojrzenia z głębi sal teatralnych, wysyłali Liancourtowi listy z pogrózkami napisane na grubym oficjalnym papierze – była ona jednak zbyt popularna, by móc przerwać jej wystawianie, a także przebiegle niejednoznaczna. Poza tym cenzorzy byli zbyt zajęci balladami o Jedwabnym Jacku, wyzwolicielu i pogromcy więzień, oraz obserwowanymi od niedawna paradami obywateli ubranych w jaskrawo ufarbowane szmaty, którzy tworzyli dziki anarchistyczny teatr. Te zjawiska miały znacznie bardziej wywrotowy charakter niż sztuka Liancourta i pochłaniały całą ich uwagę.

Arjun wybrał się na kilka przedstawień, by sprawdzić, jak śpiewacy radzą sobie ze swoimi rolami, jednak poza tym nie angażował się w ten projekt. Szkolenie aktorów lub udzielanie im wskazówek nie należało do jego obowiązków. To już nie była jego sprawa. Dociekliwych dziennikarzy „Ery” i „Herolda” kierował do Liancourta.

Znów zaczął wędrować ulicami, wracając do swoich dawnych poszukiwań. Przez dwa kolejne dni wychodził z samego rana, wsiadał samotnie do powozu i aż do południa jechał nieprzerwanie na północ, po czym włączył się po mieście, podążając za usłyszaną muzyką.

Trzeciego dnia zasnął, a kiedy się obudził, odkrył, że Olimpia już wróciła z porannego spotkania z urzędnikiem Pierwszego Obywatelskiego Urzędu Korygowania Doktrynalnego i właśnie segregowała dokumenty w gabinecie.

– Och, spotkanie nawet się na dobre nie zaczęło – wyjaśniła. – Z obu stron skończyło się na wrzaskach i pustych groźbach. To smutne i niegodne. Co za okropny człowieczek.

Resztę dnia miała wolną, więc odciągnął ją od papierów i razem wybrali się na przejażdżkę powozem. Arjun poprosił woźnicę, by wybrał kierunek przypadkowo. Pojechali na północ, aż natrafili na ślub, który odbywał się nad brzegiem rzeki. Goście weselni byli ubrani na biało i złoto i chronił ich silny oddział strażników: był to mariaż dwóch potężnych rodzin. Tańczyli sztywno na molo przy akompaniamencie orkiestry. Arjun zatrzymał powóz i oboje z Olimpią usiedli nad wodą, słuchając muzyki.

W oddali wznosił się ponury czarny więzienny gmach Żelaznej Róży, który stanowił absurdalne tło dla dostojnych tancerzy. Dalej nad wodą stał Teatr nad Rzeką, a na nim wisiały transparenty reklamujące *Błogosławieństwo*. Olimpia wskazała je palcem.

– Chcesz poznać moją teorię?

– Jasne.

– Myślę, że sukces sztuki sprowadza się do jednego faktu: zagrożenie wojną minęło. Od miesiący nie było nowych ataków. Stross End było pierwsze i ostatnie. „Gromowładny” niemal zniknął z nieba. Hrabina zagrała z miastem w kości; mogła rozpętać wojnę totalną, wywołać potężne fale krwi i ognia, które przetoczyłyby się naszymi ulicami, ale tak się nie stało. Renegocjowano granice i złożono hołdy, ale wszystko to odbyło się za naszymi

plecami, jako sekretne zagrania w wielkiej grze. Po miesiącach strachu, bez żadnego oficjalnego powiadomienia, bez kapitulacji bądź traktatu pokojowego, nagle wszyscy zdaliśmy sobie sprawę, że to minęło i jest już przeszłością, nawet nie wiemy jak odległą. Dysponuję znakomitymi źródłami informacji, Arjunie, a nie miałam o niczym pojęcia. I skoro to się nie wydarzyło teraz, to już się nie wydarzy. Dlatego całe to nagromadzone napięcie i lęk musiały znaleźć ujście. Co napatoczyło się jako pierwsze? *Błogosławieństwo*. A także Gromowładni. Dwie nowe obsesje miasta, które umożliwiają wszystkim powiedzenie: „To już koniec, możemy żyć dalej i właśnie tak zrobimy”.

– Nie wydaje mi się, by chodziło tylko o to.

Roześmiała się.

– Czyżby zraniona duma autora? W końcu przejmujesz nawyki od pieczeniarczy Holbacha? Oczywiście, twoja muzyka także jest ważna.

– Chodzi mi o to, że miasto jest bardzo duże i jestem pewien, że ludzie odnajdują w tej sztuce bardzo różne rzeczy. Nienawidzi jej tyle samo osób, ile ją uwielbia. Zresztą to nie jest moja muzyka. Jedynie echo.

– O bogowie. Cóż za pobożność. Och. – Popatrzyła na niego. – To właśnie po to dzisiaj wyszliśmy z domu, prawda? Szukamy twojego Głosu. Znów do tego wracasz. Sądziłam, że straciłeś nim zainteresowanie. Że daliśmy ci coś innego, czym możesz zająć myśli.

Spojrzał ponad szarą wodą.

– Atlas był przyjemną odskocznią. Nie chcę was obrazić tymi słowami. Ale już zrobiłem dla was wszystko, co mogłem. Kiedy pisałem muzykę dla Liancourta, spojrzałem w głąb siebie i stwierdziłem, że Głos nadal tam jest, czeka na mnie. Muszę pójść dalej, a to jedyny cel, do którego mogę podążać; nie potrafię niczego innego poza szukaniem go.

– No cóż. Wiedziałaś, że oszalałeś. Mogliśmy o tym porozmawiać. Nie zrozumiałabym, ale wydawałabym z siebie pomruki współczucia. W takim razie do dzieła.

Wędrowali wzdłuż rzeki, dopóki nie zaczęło się ściemniać. Oczywiście niczego nie znaleźli. Olimpia się z nim drażniła, ale pozwalała jej na to. Nie miał do niej żalu. Nie widział żadnego powodu, dla którego jego poszukiwania powinny mieć poważny charakter, a przyjemnie było mieć kogoś u boku.

* * *

Kilka dni później Olimpię obudził posłaniec z Biura Cimentiego do spraw Druku i Publikacji, który przyniósł oficjalny list napisany na gładkim szarym papierze brzydką czcionką charakterystyczną dla maszyn do pisania używanych w instytucjach przewodniczącego. Treść listu brzmiała: „Wniosek więźnia rozpatrzny przytywnie. Wyrok uchln. Zazrądzić przygotowania do uwolnienia weźnia”. Na stemplu widniała data sprzed kilku tygodni. Olimpia przez chwilę wpatrywała się tępo

w wiadomość, po czym szepnęła nieśmiało: „Nicolas?”.

Spędziła ten dzień w budynku sądu Cimentiego oraz w jego biurze, próbując się dowiedzieć, co się stało. List był autentyczny. Jakieś kółko w maszynie nagle drgnęło; nikt nie wiedział dlaczego. Opuściła budynek najszybciej, jak umiała, nie chcąc zadawać zbyt wielu pytań, obawiając się, że ma do czynienia z pomyłką, którą ktoś może zechcieć naprawić.

– To prawda – oznajmiła wieczorem oniemiałemu i oszołomionemu zgromadzeniu w jadalni Holbacha. – Przecież pozostali szlachcice nie skazali go na wygnanie, a jedynie uściślili warunki odbywania wyroku, więc będzie to równoznaczne z jego uwolnieniem, jeśli odpowiednio szybko zadziałamy. Ale nie mam pojęcia, jak do tego doszło.

– A kogo to, cholera, obchodzi? – odezwał się jeden z poetów.

* * *

Twórcy Atlasu świętowali. Holbach, profesorowie i starzy mędracy zaczęli wygłaszać przemowy, jednak zagłuszyli je krzykami poeci, malarze i młodzi badacze, którzy splądrowali piwniczkę z winami Holbacha. Następnie ponieśli na rękach przez hol gospodarza, a po nim Olimpię, choć zapewniała ich, że nie ma z tym nic wspólnego. Na koniec wieczoru Arjun i Olimpia padli na łóżko w jednym z pokoi na górze.

Dwa dni później Holbach otrzymał list, tym razem od samego Nicolasa, zaadresowany do „Wszystkich moich Braci i Sióstr”. W liście Nicolas pisał: „Dziś otwarto wrota mojej wieży. Jutro okręt zabierze mnie z wyspy i zwróci życiu. Nie chcę mi powiedzieć, jakiemu cudowi zawdzięczam odzyskanie wolności. Ten list może poprzedzać mój powrót...”. Wiadomość została wysłana tydzień wcześniej.

Nicolas pojawił się następnego ranka. Przygotowali dla niego miejsce w domu Holbacha. Przyjechał powozem z Ar-Mouth, a mieszkańcy posiadłości wylegli do ogrodu, by go zobaczyć. Szok spowodowany wiadomością o jego powrocie jeszcze nie minął. Czuli się tak, jakby objawił im się bóg. Klaskali i wiwatowali, gdy wysiadł z powozu: wąły i drobny staruszek ubrany w prosty brązowy płaszcz, z ogoloną głową, na której dopiero zaczynały kiełkować nowe włosy, z zakrzywionym nosem i kościstymi łokciami, o ostrym i śmiałym spojrzeniu. Holbachowi przypadł zaszczyt podtrzymania drżącego ramienia mędrca, gdy ten wysiadał z powozu.

Arjun przebywał w posiadłości tego oraz kolejnego dnia, gdy Nicolas zwołał zebranie w gabinecie, a artyści i myśliciele przyszli oddać mu hołd. Wygnanie wcale go nie zmiękczyło, a wręcz zahartowało. Wściekłym, pełnym bólu zachrypniętym głosem zachęcał ich do silniejszego oporu i większego oburzenia. Przedzierał się przez sterty gazet Holbacha, i to dosłownie, chwytając kościstymi dłońmi strony, które go irytowały, i z wysiłkiem rwąc je

na strzepy.

– Ten chłopak wie, o co chodzi! – zawołał, wymachując artykułem zatytułowanym „»Gromowładny« znów nie zezwala na strajki: Czy można ich powstrzymać?”. – Żadnych kompromisów ani tchórzostwa. Już nie. Jestem zbyt stary na rozsądek.

Zgromadził ich wszystkich wokół siebie.

– Miałem dużo czasu do namysłu, panowie, i jestem już tym zmęczony. W każdej chwili mogę wrócić do więzienia; jestem zdeterminowany do działania. Mam wielkie plany. Musimy się zorganizować.

Kilku uczonych uznało nowe podejście Nicolasa za zbyt nieostrożne i przerażające: wyszli z posiadłości, nieprzekonująco tłumacząc się zaniedbanymi projektami, i już nie wrócili. Jednakże większość została, czekając wokół domu, aż wielki mędrzec wezwie ich do gabinetu na rozmowę. Nicolas prowadził przegląd wojsk.

Arjun rozmawiał z nim tylko przez chwilę, drugiego dnia. Holbach, który kręcił się wokół Nicolasa niczym nerwowy dworzanin, pokrótce przedstawił Arjuna jako swojego tłumacza i kompozytora na usługach Liancourta. Nicolas zmierzył młodzieńca ostrym, gniewnym spojrzeniem.

– Tak, słyszałem o tobie. To ty przybyłeś tutaj w poszukiwaniu zaginionego boga. To ty próbowałeś wcisnąć religijne bzdury do sztuki Liancourta. To ty wciąż wymagasz od profesora, by tracił swój cenny czas na twoją egoistyczną obsesję. Na twoje uzależnienie.

Będę się musiał poważnie zastanowić, czy jest dla ciebie miejsce w projekcie. Dobrze, Holbach, kto następny?

Arjun nie poczuł się urażony. Nicolas miał rację. Tak naprawdę Arjun nigdy nie był częścią Atlasu i raczej nie mógłby się nią stać. Grzecznie przeprosił i wyszedł. Wrócił czwartego dnia, tylko po to, by zobaczyć się z Olimpią, ale okazało się, że zamknęła się z Nicolasem w jego gabinecie. Czekał na nią w dolnej bibliotece, czytając gazety. Był sam; cała aktywność w domu skupiała się teraz na górze, gdzie przebywał Nicolas. Słuchał, jak krople lekkiego deszczu rozbijają się na szybach i żwirowych ścieżkach przed domem.

Deszcz przybierał na sile; jego gwałtowne uderzenia szarpały drzewami i trzaskały oknami. Niebo nagle stało się niezwykle ciemne jak na wiosenny poranek, a nawet jak na zimowy wieczór, i w pomieszczeniu zrobiło się bardzo zimno. Arjun słyszał, jak służący biegają po domu i zamykają okna, by ulewa nie wdzierała się do środka; brzmiało to jak trzaskanie drzwiami lub pęknięcie desek kadłuba statku – czuł się jak w potrzasku. Podbiegł do okna. Ścieżka wiodąca z ogrodu prowadziła daleko w ciemność.

Czuł znajomy zatechły zapach. Wiedział, co nadchodzi mroczną ścieżką. Już kiedyś to poczuł.

Popędził na górę, na półpiętrze niemal przewracając gosposię, i wpadł do gabinetu. Usiłował krzyczeć, ale miał ściśnięte gardło.

– Coś się zbliża. Musicie stąd wyjść, wszyscy. To...

– Pracujemy – przerwał mu Nicolas. – Nie mamy czasu na...

– ... Tajfun, istota z rzeki, błagam was, chodźcie, czuję ją, pamiętam, w końcu mnie tutaj odnalazła...

– Cisza. – Nicolas odwrócił się w stronę Holbacha. – Czy istnieje powód, dla którego Tajfun miałby się tutaj objawić?

– Nie sędzę. Wiedziałbym, gdyby coś miało się objawić w moim własnym domu. Nie było żadnych znaków. Zresztą jesteśmy daleko od jakichkolwiek szlaków wodnych. Arjunie, tłumaczyłem ci, że bogowie przemieszczają się w przewidywalny sposób, zgodnie z zasadami. Być może jesteś...

– Widzisz? A teraz uspokój się albo wyjdź.

Arjun rozejrzał się przerażony. Niczego nie wyczuwali. Na razie. Holbach dawał mu sygnały, by się uspokoił. Liancourt unikał jego wzroku. Olimpia opierała się o ścianę, wyglądała na przerażoną i zażenowaną. Chwyił ją za rękę i wyciągnął za drzwi, pomimo protestów. Krzyczała na niego, a na półpiętrze próbowała go odepchnąć, ale nawet tego nie zauważył. Ciągnął ją za sobą po schodach, mówiąc:

– Przepraszam, przepraszam, ale musimy stąd wyjść. – Prawie się przewróciła, usiłując dotrzymać mu kroku.

Na dole schodów pojawił się Hoxton i powalił Arjuna nagłym ciosem w żołądek. Arjun zaczął jęczeć i kaszleć. Hoxton stanął nad nim, rozcierając knykcie.

– Przepraszam za to, proszę pana. Nie wiem, czy to dla

pana coś znaczy, ale zawsze uważałem, że z pana dobry człowiek. Panno O. ?

– Hoxtonie, to nie tak. Zostaw go. Arjunie?

Dźwignął się na nogi i spróbował odetchnąć.

– Proszę cię. – Ból i strach miażdżyły mu krtań.

– W porządku, Arjunie, pójdę z tobą. W porządku. – Mówiła do niego pogodnym głosem, pobrzmiwały w nim jednak niepewność i strach. – Wybierzemy się na przejażdżkę, oczyścimy umysły. Hoxtonie?

Hoxton objął rzeźącego Arjuna włochatą ręką i pomógł mu przejść przez ogród i wsiąść do powozu.

– Do mieszkania Arjuna, Hoxtonie.

– To Tajfun. Czuję go. Zabije ich wszystkich.

– Słyszałeś, co powiedział Holbach, Arjunie. To niemożliwe. Według twoich słów Tajfun przypomina, czy ja wiem, wygłodniałego wilka. Ale on taki nie jest.

Gdy znaleźli się kilka ulic dalej, deszcz ustał i zrobiło się cieplej. Opuściwszy posiadłość, Olimpia znów się uspokoiła.

– To pogoda tak na ciebie wpływa – stwierdziła. – Wszyscy jesteśmy pod presją. Powinieneś się przespać. Zawieziemy cię do domu.

Przez chwilę siedziała przy nim w jego pokoju, dopóki nie upewniła się, że Arjun nie wyrządzi sobie krzywdy. Milczał i był wyczerpany. Nie chciał z nią wrócić do posiadłości, więc pożegnała go pełnym troski pocałunkiem, którego nie odwzajemnił.

* * *

– Tak mi przykro, Nicolasie. – Holbach ze smutkiem pokręcił głową. – To nie jest zły młodzieniec. Po prostu przeżył coś bardzo paskudnego.

Nicolas mruknął coś pod nosem i machnięciem kościstej dłoni dał znak, by kontynuować zebranie. Liancourt spróbował wrócić do przerwanego wątku – proponował, by twórcy Atlasu zawiązali sojusz z opozycyjnymi frakcjami w odległym Czerwonym Kopcu, z którymi od czasu do czasu potajemnie się kontaktował za pośrednictwem pewnej zbiegłej aktorki – jednak nastrój spotkania szybko się popsuł. Branken zaprotestował, twierdząc, że nikomu z Czerwonego Kopca nie można ufać, w żadnych okolicznościach; Rothermere nazwał Brankena głupcem i rozgorzała sprzeczka.

Holbach westchnął. Miał nadzieję, że Olimpia wkrótce wróci.

Niebo stawało się coraz ciemniejsze, a w oddali kłębiła się burza. Nicolas przeklął zapadającą ciemność i polecił zapalić świece, ale te szybko zgasły. Twórcy Atlasu siedzieli pogrążeni w mroku i szydzili nawzajem ze swoich żalosnych planów. Holbach opadł na fotel i opanowało go poczucie beznadziei. W pomieszczeniu zrobiło się zimno, a długi cień potężnego oparcia fotela na chwilę przybrał potworny i udreńczony kanciasty kształt; Holbacha ogarnęło głupie i demoralizujące przerażenie.

Wkrótce Nicolas zaczął pokasływać – mokro, żałośnie i

boleśnie – i udał się na spoczynek. Niedługo potem Branken i Grishman zaczęli się skarżyć na ból głowy i gorączkę, więc zebranie przerwano. Holbach zrobił sobie mocnego drinka, by uspokoić skołatane nerwy.

Rozdział 35

Następnego ranka Olimpia przyszła do mieszkania Arjuna.

– Co się stało? – spytał. – Jak oni się czują?

– Nic się nie stało. Czują się dobrze. A ty?

Spojrzał na nią ponuro.

– Nie wierzysz mi.

– Arjunie, nic się nie stało. Przyznaję, że wczoraj byłam zdenerwowana. Ale nic się nie stało. Wszystko jest w porządku. Powiedziałam Nicolasowi, że miałeś straszliwe doświadczenia z Tajfunem i że deszcz musiał je przywołać. Zrozumiał. Mniej więcej.

– Nie potrzebuję jego zrozumienia. Byłem tam. Pamiętam to uczucie. Nie mogę wrócić.

– Już o tym rozmawialiśmy, Arjunie. Niemożliwe, by Tajfun przyszedł do domu Holbacha. Jego ścieżka tamtędy nie prowadzi. Nie mogło się to wydarzyć bez żadnych znaków, zwiastunów; Holbach by o tym wiedział. On się zna na tych siłach. Ich zachowaniem rządzą wyraźne zasady. Myślałam, że to rozumiałeś. Czuleś się już znacznie lepiej.

– Bo zapomniałem. Zająłem się czymś innym. Ale teraz już pamiętam. Olimpio, ja czułem Tajfuna, tam w tunelach. Wiem to lepiej niż Holbach czy ty. On jest chory. Już nie przypomina pozostałych, o ile kiedykolwiek ich przypominał. Nie po tym, co mu zrobił

Shay. Nie po tym, co ja mu zrobiłem. Nie wiem do czego jest zdolny.

– Mówisz bez sensu.

– Przykro mi.

Na twarzy Olimpji walczyły ze sobą irytacja i współczucie. Wkrótce mogła stracić cierpliwość. Jej i Arjuna nie łączyła aż tak bliska więź, zresztą nigdy jej nie szukał.

– Mam zebranie – oświadczyła. – Zajrzę do ciebie jutro. Nie siedź tutaj cały dzień tylko się zamartwiając.

* * *

Odwiędził zakład zielarski na rogu i kupił woreczek zawiniętych w liście kulek, które, jak go zapewniono, miały zesłać sen i zapobiec nocnym marzeniom. Zielarz zdradził Arjunowi, że złe sny dręczą wielu uczonych z Jąkających Wrót. Arjun spędził ten dzień, przemykając od jednej kawiarni do drugiej. Wieczorem niechętnie wrócił do swojego mieszkania, które – ku jego wielkiej uldze – okazało się wolne od piętna potwora. Tajfun za nim nie podążył.

* * *

Olimpia ponownie go odwiedziła kolejnego wieczoru.

– Fatalnie wyglądasz – oznajmiła. – Masz przekrwione oczy, a całą resztę bladą jak ściana. Jadasz cokolwiek? Powinieneś wrócić do posiadłości. Nie chcesz sprawdzić,

co teraz zamierza zrobić Nicolas?

– Nie mogę. Przykro mi.

Nie mogła długo zostać. Miała zbyt wiele do zrobienia. Kiedy wychodziła, poprosił:

– Powiedz Holbachowi, żeby przyszedł się ze mną zobaczyć. Kilka miesięcy temu obiecał, że pomoże mi odnaleźć Głos. Właśnie nadeszła na to odpowiednia chwila. To musi się stać teraz. Poproś go, by mnie odwiedził.

– Spróbuję. Niedługo wrócę.

Niestety, nie pojawiła się następnego dnia. Holbach również. Czy aż tak trudno było mu uwierzyć? Wydawało im się, że wszystko wiedzą, i to wpędzało ich w dumę. Utracili strach przed miastem.

Dla zabicia czasu Arjun wrócił do pracy nad ostatnim z tekstów o Tuvarach. Sterta papierów wyraźnie zmalała. W południe jakiś chłopiec przyniósł liścik od Liancourta, w którym dramatopisarz życzył Arjunowi szybkiego powrotu do zdrowia i prosił, by ten się nie martwił, że Nicolas będzie się na niego gniewał: wielki mędrzec wie, jak nerwowe bywają tak kreatywne osobowości jak Arjun, i wkrótce wszystko zrozumie.

Następny dzień Arjun spędził w taki sam sposób, podobnie jak kolejny, i jeszcze jeden. W końcu zaprzestał czekania i zaczął wychodzić wieczorami, wędrując na wschód przez Jąkające Wrota, obok Uczelni Chirurgicznej, która wyznaczała granicę z Rywhill. Nasłuchiwał Głosu, ale nie potrafił się na niego otworzyć.

Każdy podmuch wiatru, każde pojawienie się zapachu zgnilizny, błota lub kanałów sprawiały, że myślami powracał do Tajfunu. Miasto przypominało potrzask o naciągniętej sprężynie. Tajfun się zbliżał. Arjun go czuł.

Następnego ranka do jego mieszkania przyszedł Holbach. Arjun nie miał gdzie przyjmować gości, więc mężczyźni udali się na spacer. Słońce stało wysoko na niebie i mocno przypiekało, a ulica obrzydliwie cuchnęła.

– Dziękuję, że przyszedłeś, profesorze.

– Mam mało czasu, Arjunie. Jesteśmy teraz bardzo zajęci. Mamy nowe plany. Olimpia wspominała, że nie masz zamiaru wrócić. Nie chcę cię urazić, ale mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, iż nie wolno ci rozmawiać z nikim o swojej pracy lub naszych planach.

– Oczywiście.

– Wiesz już, że nic się nie wydarzyło.

– Wiem, co czułem. Mieliście szczęście, że udało wam się ująć całość. Powinniście porzucić to miejsce albo znaleźć jakiś sposób, by się zabezpieczyć, jeśli wasza wiedza wam to umożliwia.

– Nie musimy się przed niczym zabezpieczać. Zresztą mamy inne zmartwienia.

– Ja także, profesorze. Obiecałeś, że pomożesz mi odnaleźć Głos, jeśli zgodzę się dla ciebie pracować. Tak też zrobiłem. Dla ciebie stanąłem oko w oko z Shayem; przez kilka miesięcy pracowałem nad Atlasem. Sztuka Liancourta, z której wszyscy jesteście tak dumni, stanowi w równej mierze moje dzieło.

– Wiem, wiem.

– Najwyższy czas, abyś ty mi pomógł.

– Bogowie, jest tyle innych rzeczy do zrobienia. Po powrocie Nicolasa przesunęliśmy termin ukończenia nowego wydania o miesiąc, lecz i tak mamy mnóstwo pracy; a dodatkowo hrabina domaga się, abym coś zrobił w sprawie Gromowładnych, znalazł źródło ich mocy, a potem poradził sobie z epidemią zgnilizny płuc. To znacząco wykracza poza moje kompetencje, ale ona nie rozumie, że ja także mam ograniczenia. Bogowie. Niedługo się tym zajmę, obiecuję.

– Możliwe, że nie pozostanę długo w mieście. Czuję, że ono zaczyna się zwracać przeciwko mnie. To tylko kwestia czasu. Wysłałeś mnie do Shaya, a Tajfun mnie zauważył i znienawidził, wziął mnie na cel.

– To tak nie działa. A zresztą, kiedy cię posyłałem, nie mogłem wiedzieć, że spotkasz Tajfuna. Chciałem ci wyświadczyć przysługę. Myślałem, że Shay będzie ci w stanie pomóc.

– A jednak stało się inaczej.

– W porządku. Dobrze. Zastanowię się. W tej chwili tylko tyle mogę zrobić. To dziwna sprawa. Nigdy nie chciałem, żebyś tracił przeze mnie czas. Zastanowię się i dam ci znać, jeśli poczynię jakieś postępy. Być może znam ludzi, którzy będą ci potrafili pomóc. Podeślę ci też kilka książek.

– O więcej nie mogę prosić. Nie zapomnij, profesorze, ze względu na swój honor.

Na końcu ulicy sztywno podali sobie ręce.

* * *

Upał stawał się coraz bardziej dokuczliwy. Oprócz potwora nadciągało lato. Chmury uciążliwych muszek i komarów wyroiły się spod ziemi i z pęknięć w ceglanych ścianach. Wypełniły powietrze niczym mgłą, przypominając Arjunowi o bagnach, przez które wędrował na południu. Zielarz na rogu splunął z obrzydzeniem za próg zakładu, prosto na ulicę.

– Pieprzone robactwo. W zeszłe lato było czysto i odwiedził nas Ptak, niech będzie chwała. W tym roku mamy to ścierwo. Nic dziwnego, że ludzie nie mogą spać.

Arjun podziękował mu i schował pigułki do kieszeni, po czym udał się na nabrzeże, gdzie woda miała intensywnie zieloną barwę, w powietrzu wisiała gęsta i tłusta woń ryb, a zaczerwienieni robotnicy pocili się i obrzucali przekleństwami. Nad samą krawędzią wody, gdzie unosiła się wilgotna mgielka, można było odpocząć od upału.

Od strony prowizorycznej sceny rozstawionej nad wodą dobiegły go znajome tony motywu muzycznego rozpoczynającego *Błogosławieństwo*, a po chwili słaby, pospolity głos zaczął pastwić się nad piosenką głównej bohaterki. Pod sceną zebrał się niewielki tłumek widzów, a Arjun do nich dołączył.

Aktorzy byli surowi i niewyszkoleni, ale pełni energii.

Mężczyźni wyglądali na robotników, marynarzy i oprychów, bohaterka zaś robiła bezczelne i niechlujne wrażenie. Prawdę mówiąc, wszyscy przypominali kryminalistów lub więźniów i zapewne nimi byli. Tego lata przestępstwa i uliczna przemoc zbierały wyjątkowo obfite żniwo. Wszędzie można było napotkać ludzi, którzy skorzystali na kampanii Jedwabnego Jacka. Niektórzy znaleźli zatrudnienie w dokach lub fabrykach, inni zostali schwytani i wrócili do więzień, a jeszcze inni zostali żebrakami bądź przymierali głodem; wielu utworzyło brutalne bandy, które przemierzały ulice. Ich działalność oficjalnie nazywano „wymuszaniem pieniędzy groźbami”. Gazety oszalały na punkcie tego określenia.

Treść sztuki została przetworzona przez jakiegoś partacza. Była podobna do oryginału, ale nie taka sama. W pierwotnej wersji protagonistów krzywdzili okrutni i przypadkowi arystokraci, których nazwiska w zręczny sposób pomijano: mogli oni symbolizować dowolnych władców miasta albo, gdyby zapytali o to cenzorzy, żadnego z nich. Ku zaskoczeniu Arjuna, w tej wersji wróg został jasno zdefiniowany jako hrabina Ilona. Rozkazywała ona latającemu okrętowi dowodzonemu przez upiornego kapitana, który miał obsesję na punkcie śmierci i latał ponad miastem, rzucając bohaterom kłody pod nogi.

W miejscach, w których Liancourt używał chóru bogów komentujących rozwój akcji, autor tej wersji wykorzystywał rozmowy pomiędzy hrabiną i jej

kapitanem. Miały one prymitywnie seksualny charakter, a hrabina w upokarzający sposób narzucała się oziębłemu kapitanowi.

Uliczni aktorzy znacznie skrócili sztukę. Humor zastąpili prostackimi sloganami. Brutalnie okroili warstwę muzyczną; w tej wypaczonej wersji wykorzystano tylko te piosenki, w których Arjun wyrażał gniew i zgorzknienie, strach i opuszczenie. Odtwórcy całkowicie usunęli spokojniejsze i bardziej wysmakowane utwory. Arjun z przerażeniem rozpoznał ostre nuty – które co prawda napisał, lecz których nigdy tak naprawdę nie słyszał – które więcej zawdzięczały Tajfunowi niż Głosowi.

Na końcu, ze zdumieniem stwierdził, iż powiedziano wprost, że książką, która ocaliła bohaterów, był Atlas. Podano jej tytuł. Liancourt jak dotąd się na to nie odważył. Ci ludzie prosili się o kłopoty. Dlaczego byli tak nieostrożni?

Przedstawienie szybko dobiegło końca. Pojawiło się kilku rozgniewanych krzykaczy, ale nie zdążyli wywołać zamieszek. Aktorzy załadowali rekwizyty na wóz i zniknęli w jednej z mrocznych uliczek Okręgu Barbarii. Publiczność szybko się rozeszła i Arjun również się oddalił. Bezpieczniej było nie pozostawać w okolicy po takim przedstawieniu.

* * *

Kilka dni później odwiedziła go Olimpia.

– Holbach powiedział, że zamierzasz wkrótce opuścić miasto.

– Wiedziałaś, że nie chcę zostać tutaj na zawsze.

– Oczywiście, że wiedziałam. Nie pochlebiaj sobie. Po prostu jest mi przykro, że wyjeżdżasz bez powodu. A raczej z tak szalonego powodu.

– Jeszcze nie wyjeżdżam. Zostanę tak długo, jak to będzie konieczne, by odnaleźć to, po co przybyłem. – Zauważył na jej twarzy oznaki zmartwienia; ona również źle sypiała. – Dręczy cię coś jeszcze. Coś idzie nie po waszej myśli?

– W posiadłości panuje napięta atmosfera. Wszyscy jesteśmy bardzo zapracowani. A Nicolas jest chory i się na nas wyżywa. Jest bardzo stary, a ten cały wysiłek... To spadło na niego tak niespodziewanie. Och, sama nie wiem, chyba nic mu nie będzie. Po prostu w tej chwili jest ciężko.

– Nie podobają mi się zmiany w *Błogosławieństwie*. Oczywiście teraz to już ode mnie nie zależy, ale żałuję, że Nicolas tak przerobił sztukę. Nowa wersja jest bardzo prymitywna. Czy właśnie na tym polegają jego plany?

– O, nie. Nicolas nie ma z tym nic wspólnego. Ani żadne z nas, skoro już o tym mowa. Ta wersja po raz pierwszy pojawiła się na początku zeszłego tygodnia. Liancourt jest wściekły. Podobnie jak Nicolas, obawia się, że to sprowadzi nam na kark kłopoty, zanim będziemy gotowi do działania. Chcą, żebym to powstrzymała, ale przecież nie jestem cenzorem. Nie mam takiej mocy. Nie

mam nawet kogo pozwać – przedstawienie pojawia się w jakimś miejscu na jeden dzień, po czym znika. Nie grają w nim zawodowi aktorzy tylko przypadkowi ludzie zgarnięci z pubów. Próbuję uświadomić Liancourtowi, że jeśli pozwalamy, by sztuka swobodnie krążyła po mieście, to ona przestaje być naszą własnością. Zmienia się. Muszę teraz przekonywać cenzorów, że to nie nasza sprawa. Nie jestem pewna, czy mi wierzą.

– Proszę cię, Olimpio, uważaj. Nie tylko na cenzorów, ale także na Tajfuna. Powinnaś opuścić posiadłość.

– Przestań. To raczej ty powinieneś wrócić. Niebezpieczeństwa są ekscytujące. Właśnie do tego prowadzi nasza praca.

– Nie mogę.

Kochali się, po raz pierwszy w ascetycznym mieszkaniu Arjuna. Oboje bardzo tego potrzebowali, ale wcale nie poczuli się lepiej. Olimpia wydawała się poirytowana tym, że nie rozwiała obaw Arjuna i go nie przekonała. Wyszła.

* * *

Po południu Arjun ponownie udał się na nabrzeże. Nie było już tam aktorów, a prowizoryczna scena została rozebrana. Na straganie kupił lunch – mięso owinięte w grube liście.

Zauważył, że pod wysoką drewnianą ścianą jednego z budynków stoczni tłum rozstał się, pozostawiając pusty

półokrąg. Na ziemi leżał jęczący mężczyzna. Z jego rozwartych ust ciekła czarno-zielona ślina. Ludzie odsuwali się od niego, zasłaniając twarze chustkami lub połami koszul.

– O, bogowie, to zgnilizna płuc – odezwał się urzędnik stojący obok Arjuna. – Niech pan nie podchodzi za blisko.

W powietrzu unosił się straszliwy smród: zimny, wilgotny i trupi. Kojarzył się Arjunowi z zapachem kanałów. Arjun przypomniał sobie, że Olimpia wspominała o chorobie Nicolasa, i zdziwił się swoją głupotą i bezmyślnością. Przebywał w umyśle Tajfuna i wiedział, czym on jest. Potwór podążył za nim do Shutlow, skąd zabrał Norrisa i pozostałych, a następnie do domu Holbacha.

Napiętnował Nicolasa. Może nawet ich wszystkich.

Arjun odwrócił się i pobiegł w stronę Goshen Tor i Okręgu Foyle'a.

Nie dał rady. Gdy dotarł w pobliże ulicy Holbacha, nogi ugięły się pod nim ze strachu. Nie potrafił stawić temu czoła. Wolał umrzeć i pozwolić, by umarli wszyscy jego bliscy, niż ponownie stanąć oko w oko z tą istotą. Ale musiał ich jakoś ostrzec.

Niedaleko zauważył postój powozów, gdzie znalazł chłopca stajennego, któremu przekazał wiadomość. Nie miał papieru ani pióra, poprosił więc chłopca, by ją zapamiętał: „Chorobę Nicolasa wywołał Tajfun. To on może być źródłem zgnilizny płuc. Być może sam jest chorobą. Mógł was wszystkich napiętnować. Może wciąż

tam być. Błagam was, natychmiast opuście dom".

Chłopiec po raz kolejny powtórzył zapamiętaną wiadomość.

– A teraz przekaz ją pierwszej napotkanej osobie – polecił Arjun – i upewnij się, że otrzymają ją Olimpia – „Olimpia” – lub Holbach – „Holbach”. Nie zapomnisz? I przysięgnij mi na swoją matkę, że wyjdiesz stamtąd, gdy tylko dostarczysz wiadomość i dostaniesz pieniądze. Pod żadnym pozorem tam nie zostawaj.

Chłopak kiwnął głową i odbiegł. Arjun miał wyrzuty sumienia, że posyła z wiadomością dziecko. Patrzył, jak chłopiec znika za rogiem.

* * *

Wysłał drugiego chłopca do „Cyprysa”, by ostrzec Defour. Potem udał się do mieszkania Olimpii, by tam na nią zaczekać.

– Nie ma jej tutaj, proszę pana – poinformowała go Pieta. – Nie spodziewamy się jej w najbliższych dniach.

– Jest w domu Holbacha?

– Nie wiem. Może być wszędzie. Przecież ją pan zna.

– Zaczekam.

Pozwoliła mu usiąść na kanapie, a on zaczął nerwowo bębnić palcami w szklany blat stołu.

– Mogę o coś zapytać? Czy doszło między państwem do jakiegoś nieporozumienia?

Posłał jej nieprzyjemne spojrzenie. Zostawiła go

samego. Żałował, że potraktował ją tak chłodno, ale nie mógł się zdobyć na to, by ponownie ją zawołać. Przesiedział samotnie cały dzień, a wieczorem, gdy już się upewnił, że Olimpia nie przyjdzie, wrócił do domu.

Następnego dnia puścił do domu Holbacha kolejnego posłańca, na wypadek gdyby pierwszy uciekł z pieniędzmi. Tym razem również nie otrzymał żadnej odpowiedzi.

Po południu ponownie wybrał się do mieszkania Olimpii. Aby tam dotrzeć, musiał pokonać delikatne rzeźbione mostki rozpięte nad kanałami widokowymi Hebanowych Pól. Pola rozciągały się pomiędzy kanałami: lśniącymi hebanowymi rozcięciami o ostrych krawędziach, które odznaczały się na soczyście zielonym trawiastym tle wysadzonym klejnotami jaskrawych kwiatów. Na szerokim płaskim hebanowym wzniesieniu pod mostem aktorska trupa wystawiała wypaczoną wersję *Błogosławieństwa*. Arjun kazał woźnicy zatrzymać konie, po czym wychylił się nad krawędzią mostka, by popatrzeć. Publiczność składała się z dobrze ubranych, rozpieszczonych poszukiwaczy wrażeń, którzy zamieszkiwali Pola. Wydawało się, że traktują sztukę jak wstydliwą przyjemność. Przedstawienie szybko zostało przerwane – zatrzymując złowrogą hrabinę w połowie szyderczego śmiechu – gdy jakiś chłopiec podbiegł do czarnej kamiennej sceny i zawołał:

– Strażnicy! Zaraz tu będą!

Aktorzy i widzowie rzucili się do ucieczki. Arjun

wrócił do powozu i ruszył w dalszą drogę ku Hebanowym Polom. Znow nie zastał Olimpii.

* * *

Dwa dni później obudziło go walenie w drzwi. Był bardzo późny poranek. Pigułki pomogły mu zasnąć, ale sprawiły, że nie mógł się dobudzić. Czekał podejrzliwie, aż w końcu usłyszał głos Olimpii.

– Arjunie?!

Wpuścił ją do mieszkania. Towarzyszył jej Holbach. Oboje byli wyraźnie zmęczeni i bladzi.

– I co? – spytał.

– Nicolas zmarł w nocy – odparł Holbach.

Olimpia stłumiła szloch i wściekle uderzyła pięścią w ścianę. Arjun pokręcił głową.

– Przykro mi. – Była to smutna wiadomość, ale spodziewał się jej już od kilku dni.

– Okazało się, że to zgnilizna płuc – wyjaśnił Holbach.

– Tak jak we wszystkich innych przypadkach, które badałem. Tym razem jednak choroba miała wolniejszy przebieg. W zeszłym tygodniu pojawiły się kaszel oraz nerwowość, potem objawy się nasilały, nasilały, aż w końcu wczoraj w nocy... Dostałem twoje wiadomości. Wszystkich odesłałem. Musimy porozmawiać, Arjunie. Opowiedz mi jeszcze raz: co widziałeś wtedy w tunelu? Tym razem obiecuję uważnie słuchać.

Arjun głęboko odetchnął i zaczął opisywać swoje

doświadczenia, niczego nie pomijając. Kiedy skończył, Holbach pokręcił głową.

– To było coś bardzo złego. To co wtedy czułeś'. Bardzo dziwnego i bardzo złego. Ta choroba i podział na element boski i nieczysty. Nigdy o czymś takim nie słyszałem. Jeśli Shay jakoś wpłynął na Tajfuna, zmienił go, to, cóż... Nie wiem, w jaki sposób mógłby się on teraz zachowywać. Niewykluczone, że właśnie tak, jak opisałeś.

– Shay go zatruł – syknęła Olimpia.

– To najbardziej prawdopodobne – zgodził się Holbach.

– Tajfun przyszedł do nas w ślad za tobą – zauważyła Olimpia.

– Przykro mi. Próbowałem was ostrzec.

Przez jakiś czas milczeli. W końcu Arjun spytał:

– Profesorze, czy potrafisz się przed nim bronić? Ukryć się? Walczyć z nim?

– Nie mam pojęcia, jak odpowiedzieć na to pytanie. Nie wiem, w jakim stanie może być Tajfun. Nigdy nie słyszałem, by podobna istota została w ten sposób, ach, spaczona. Nawet nie jestem przekonany, czy masz rację; być może to tylko zbieg okoliczności, a twoje wspomnienia uległy zaburzeniu. Nie wiem także zbyt wiele o Tajfunie, nawet w tak zwanym „zdrowym” stanie. Chyba kiedyś ci już wspominałem, że wolę badać siły, które są użyteczne dla miasta. A w czym może nam pomóc Tajfun? Niech sobie siedzi w tunelach i popada w zapomnienie, zawsze tak uważałem. Ale teraz...

– Nie wracaj do domu, profesorze.

– Bogowie, nie mam zamiaru. Wynajmę gdzieś mieszkanie.

– Poszukaj jakiegoś sposobu, by z nim walczyć lub się przed nim ochronić. Zwalniam cię ze złożonej mi obietnicy. Zamiast tego skup się na tym zadaniu.

– Och, dobrze. Ach, dziękuję. Tak właśnie zrobię, oczywiście.

– Jeśli on mnie dopadnie, to już nigdy nie odnajdę Głosu. Ale jeżeli uda ci się mu przeciwstawić, będę mógł ponowić poszukiwania.

– Ach. Rozumiem.

– Przykro mi z powodu Nicolasa. Mam nadzieję, że Atlas przetrwa.

Rozmawiali jeszcze przez chwilę, w niezręcznej, przepełnionej bólem atmosferze. Nie pozostało już nic do dodania. Olimpia i Holbach nadal byli zbyt zaszokowani i smutni, by wiedzieć, co powinni dalej zrobić.

– Ach, nie – rzekł Holbach. – Jeszcze nie zaplanowaliśmy pogrzebu. Jeszcze nie.

W końcu poszli. Arjun uściskał dłoń Holbacha. Olimpia wyszła w ślad za profesorem, nie patrząc Arjunowi w oczy.

Następnego dnia po południu posłaniec dostarczył liścik z adresem hotelu, w którym zatrzymał się Holbach, oraz z prośbą o kontakt, jeśli coś się wydarzy lub jeśli Arjun przypomni sobie coś ważnego, a także obietnicą, że Holbach odezwie się, gdy tylko poczyni jakieś postępy.

* * *

Arjun siedział przy swoim biurku i robił bilans. Miał teraz dwa nieosiągalne cele. Po pierwsze, odnaleźć Głos; bez niego nie miał zamiaru opuszczać miasta. Po drugie, ukryć się przed Tajfunem lub go zniszczyć; nie mógł zbyt długo pozostawać w mieście, dopóki potwór na niego polował. Nie miał pomysłu, jak wykonać którekolwiek z tych zadań. Był śmiertelnikiem, a oni nie. Nie mógł ich dotknąć ani do nich dotrzeć. A poza tym bał się o Olimpię i Holbacha oraz wszystkich twórców Atlasu. Potraktowali go życzliwie, a ich marzenie było godne pochwały. Obawiał się, że oni również mają niewiele czasu.

Tego wieczoru przekartkował jedną z ostatnich posiadanych książek, zapis teologicznych debat hierofanty Vikara. Była to męcząca i wyrachowana lektura, która idealnie usypiała.

Zakończył na przedostatnim rozdziale, w którym Vikar w sposób logiczny (jak twierdził) rozprawiał się z herezją pewnego rdzennego mieszkańca miasta, argumentującego, że bogowie nie są godni czci. Vikar wyjaśniał:

Jego błąd ma wiele źródeł, gdyż każda ulica w tym mieście jest zdolna wyprowadzić człowieka na manowce. Jednakże przede wszystkim jego umysł przyćmił pewien pradawny tekst, tak zwana Księga zagadek (wydobył ją na światło dzienne w sposób, który najbezpieczniej będzie

przemilczeć). Jest to niezwykle niemądra książka, dzieło wielu miejskich uczonych, która stanowi dowód (jakby jakikolwiek był potrzebny), że liczby nie gwarantują mądrości, a głupota przyciąga głupotę. Autorzy postanowili, w formie książki z zagadkami, choć rozdętej do monstrualnych rozmiarów, dać odpowiedź na wszystkie pytania i paradoksy miasta. „Pragnęli wyjaśnić miastu żart, który ono stanowi”, powiedział mi mój nierozsądny przyjaciel, „aby mogło wznieść się ponad swoją absurdalną naturę i z niej zrezygnować”. Niechaj za odpowiedź na głupotę autorów Zagadek posłużą fakty: zniknęli, ich książka została spalona, a ich imiona wymazano z historii. W ten sposób miasto ich odrzuciło.

Arjun odłożył książkę i pogrążył się w niespokojnym śnie.

* * *

Odczekał trzy dni, po czym uznał, że musi spotkać się z Holbachem. Pragnął porozmawiać także z Olimpią, nie chciał bowiem zostawić spraw między nimi takimi, jakie były, Holbach jednak musiał mieć pierwszeństwo. Arjun był bliski obłędu, czekając na wieści od profesora.

Dlatego udał się na postój dla powozów. Znajdował się tam słup ogłoszeniowy, zawsze pełen ogłoszeń i ofert, obwieszczeń o błogosławieństwach lub klątwach. Wokół słupa zgromadził się niewielki tłumek. Arjun delikatnie

przepchnął się między ludźmi i już miał spytać: „Na co patrzycie?“, kiedy sam odkrył odpowiedź. Sześć plakatów krzyczało grubą czarną czcionką:

Ostrzega się wszystkich mieszkańców: Przedstawienie znane jako Ślubne błogosławieństwo zostało uznane przez hrabinę Ilonę za wywrotowe i oszczercze. Następujące osoby zaangażowane w jego produkcję, a także w przygotowanie zakazanej książki pt. „Atlas“, zostaną przesłuchane. Posiadanie lub odtwarzanie obu wymienionych dzieł jest na naszym terytorium zabronione. Zgodnie z rozkazem Ilony. Zgodnie z wolą bogów i miasta.

Pod spodem widniała lista około dwudziestu nazwisk. Na jej szczycie umieszczono Nicolasa Maine'a, niżej Holbacha i Liancourta, a pod koniec także Olimpię. Nazwisko Arjuna nie zostało wymienione.

Nie spodziewał się, że Ilona zadziała z takim pośpiechem. Ostrożnie wycofał się z tłumy, wbijając wzrok w ziemię i żałując, że nie jest niewidzialny. Wsiadł do pierwszego napotkanego powozu, a gdy woźnica spytał: „Dokąd?“, przez chwilę nie potrafił zdecydować, o kogo bardziej się boi. W końcu podał adres Olimpii.

Przez jakiś czas czekał na ulicy i obserwował jej dom. Kiedy zobaczył w oknie Pietę opróżniającą nocniki, uznał, że w środku nie czają się strażnicy. Jednakże Olimpii także nie było w domu. Gdy powiedział Piecie, co się stało, ta pod wpływem szoku upuściła wazę, którą właśnie

odkurzała, i uniosła bladą dłoń do twarzy: o niczym nie wiedziała. Olimpia nie wracała od kilku dni, a ludzie hrabiny nie pojawili się w mieszkaniu.

– Idź do domu, do rodziny – rzekł Arjun i po chwili namysłu otworzył portfel. – Ona może jeszcze przez jakiś czas nie wrócić. Dam ci trochę pieniędzy, żebyś jakoś przetrwała.

Recepcjonista w hotelu Holbacha powiedział Arjunowi, że profesor wyszedł. Arjun szybko się oddalił, zanim mężczyzna zdążył zgłosić jego wizytę.

* * *

Trzy dni później stanął z tyłu gęstego tłumu, który zgromadził się na Wrzosowisku. Rozgrzane zwierzęce ciała udeptywały trawę, śmierdząc potem, strachem i gniewem. Słońce przypiekało im karki, nie licząc środkowej części tłumu, na której kładł się pas cienia rzucanego przez nisko wiszącego „Gromowładnego”. Na skraju Zachodniej Łąki stała drewniana platforma, wynosząca odległe postacie ponad wyciągające się szyje widzów.

Na przodzie sceny klęczeli dwaj mężczyźni. Arjun nie widział ich twarzy, ale wiedział, że to Holbach i Liancourt. Za nimi stało kilkudziesięciu zbrojnych.

Hrabina znajdowała się wśród swoich żołnierzy; wysoki kołnierz sprawiał, że jej głowę otaczała aureola z diamentów i złota. Arjunowi przypominała potworne

jaszczurki, jakie widywał na pustyni na południu i które otwierały wokół głowy kołnierz z łuskowatej skóry i pluły trucizną. Hrabina wystąpiła naprzód, poczekała, aż jeden ze służących krzyknie, prosząc o ciszę, po czym wypluła z siebie wyrok, na którego wykonanie czekał tłum.

Wyrok wydano podczas zamkniętego posiedzenia w komnatach hrabiny i ogłoszono publicznie poprzedniego dnia. Sprawa Atlasu wciąż była badana, nie mogło jednak być wątpliwości, że *Błogosławieństwo* jest sztuką oszczerczą i wywrotową. Liancourta skazano na śmierć, a Holbacha na chłostę i więzienie.

Arjun domyślał się, że Ilona nie zamierza rezygnować z usług profesora.

Część zgromadzonych wiwatowała, inni buczeli, najpierw cicho, a potem z coraz większą odwagą, gdy dołączały do nich kolejne głosy. Dwaj krzepcy mężczyźni, którzy stali obok Arjuna, zaczęli nucić niskim i bezczelnym tonem główny motyw z *Błogosławieństwa*. Kiedy zauważyli, że Arjun się im przygląda, umilkli i wbili wzrok w ziemię. Chciał dać im znać: „Nie martwcie się, nie jestem szpiegiem”. Chciał zawołać: „Zróbcie coś, na miłość Głosu, zróbcie coś, by to powstrzyma mac! .

Hrabina zaczęła coś mówić, jeszcze donośniej, zachrypniętym głosem. Potraktowała tę obrazę bardzo osobiście.

Mężczyzna stojący obok Arjuna, robotnik o grubej szyi, w szarej czapce na głowie, obracał w brudnych palcach lewej ręki węzeł z jaskrawych jedwabnych nici. Jedwabny

Jack tutaj jest! – pomyślał Arjun, jednak mężczyzna miał co najmniej czterdzieści lat i nie mógł być tym słynnym pogromcą więzień.

Przez chwilę Arjun wyobrażał sobie, że to on jest Jedwabnym Jackiem i podbiega do podestu, zrzuca z niego katów, po czym uwalnia skazańców, ale była to tylko dziecinna fantazja. Nie miał zamiaru zaprzętać sobie nią głowy.

Pragnął zachować powagę. Cierpieć razem z nimi.

– Strzeżcie się! – krzyknęła hrabina. Odwróciła się tyłem do tłumu, a po chwili odwróciła się ponownie, wyciągając przed siebie drżący palec. – Strzeżcie się! – zaskrzeczała i dała sygnał jednemu ze swoich ludzi, który zbliżył się od tyłu do Liancourta, wyjął pistolet i strzelił dramaturgowi w potylicę.

Tłum nieprzytomnie i straszliwie zawył.

Biczowanie Holbacha trwało dłużej. Arjun nie dotrzymał słowa i odwrócił wzrok.

Gdy kaźń się przedłużała, nastrój tłumu wyraźnie się pogarszał. Mężczyzna stojący obok Arjuna wznosił nad głowę pięść, w której trzymał jedwabne nici, i krzyczał: „Jedwabny Jack!” oraz: „Hańba! Hańba!”.

Na przodzie tłumu wybuchło jakieś zamieszanie i mężczyzna stojący przed Arjunem zatoczył się na niego, tak że Arjun prawie upadł. Usłyszał krzyki. Wyciągnął szyję i zobaczył, że jacyś ludzie usiłują wspiąć się na podest, a żołnierze depczą im po głowach i dłoniach. Ktoś strzelił. Żołnierze z karabinami ustawili się przed tłumem,

uchylając się przed gradem rzucanych przedmiotów. Wojsko otoczyło hrabinę i bladego, zakrwawionego Holbacha.

Wystarczył jeden sygnał, by nieprzyjemnie pobudzić tłum. Arjun nie ruszał się z miejsca, potrącany przez otaczających go przestraszonych i wściekłych ludzi, którzy biegali we wszystkie strony. Zastanawiał się, czy powinien przepchnąć się do przodu i przyłączyć do zamieszek, choć z pewnością był to gest skazany na niepowodzenie, czy raczej uciec, zanim stanie się coś strasznego. Czuł, że tkwi w miejscu niczym oko cyklonu.

Kolejne strzały, kolejne krzyki. Minęła go w pośpiechu grupa szarżujących mężczyzn o ogolonych głowach skazańców; byli uzbrojeni w noże i młoty; jakaś staruszka próbowała wyprowadzić z tłumy w bezpieczne miejsce grupkę rozwrzeszczanych i płaczących dzieci. Arjun zastanawiał się, kto atakuje podest. Nie przypuszczał, że twórcy Atlasu mają w mieście tak wielu przyjaciół, a przynajmniej nie w takich kręgach.

Tłum przepchnął go w cień „Gromowładnego” i Arjun z bojażnią podniósł wzrok na czarne działa. Czy okręt ostrzela tłum, jeśli zamieszki nie zostaną szybko opanowane? Przypatrywał się statkowi, stojąc na szeroko rozstawionych nogach, by utrzymać równowagę pośród biegających na ślepo ludzi. Nagle nad Wrzosowiskiem przetoczył się huk, chociaż działa nie wypaliły. Potem rozległ się kolejny wybuch, tym razem bliżej Arjuna. Po każdej eksplozji zapadała cisza, unosiły się kłęby pyłu, a

w końcu rozbrzmiewały krzyki.

Tłum się przerzedzał. Ludzie biegali w chmurach pyłu i dymu. Płonęła biała drewniana scena, na której Arjun tak często oglądał występy miejskich muzyków. Przez Wrzosowisko pędzili kawalerzyści, bijąc uciekających ludzi kijami po głowach i szyjach. Arjun nie był już pewien, w którą stronę jest zwrócony. Wydawało mu się, że dostrzega zarys brzegu rzeki, więc pobiegł w tamtą stronę. Potknął się o dziurę wyrwaną w ziemi i upadł, skręcając nogę.

Za jego plecami jeden z czerwonych mundurów hrabiny zawrócił konia, którego drobiące kopyta zatoczyły niewielki okrąg, po czym ruszył w stronę Arjuna. Żołnierz miał zdeterminowany wyraz twarzy i trzymał w ręce szablę. Arjun nie był w stanie się podnieść.

Jakaś przysadzista postać stanęła nad nim i wypaliła jednocześnie z dwóch pistoletów przy wtórze głośnego trzasku i smrodu prochu. Przynajmniej jeden z pocisków spełnił swoje zadanie, zrzucając jeźdźca z siodła. Żołnierz zawisł zaplątany w cugle. Przerażony koń stanął dęba, a Hoxton schylił się, mocno złapał Arjuna za rękę i go odciągnął.

Rozdział 36

Gdy tylko Arjun stanął na nogi, Hoxton puścił jego rękę, po czym oddalił się, przeładowując pistolety i wołając przez ramię:

– Pośpiesz się, jeśli chcesz iść ze mną!

Arjun pokuśtykał za nim. Nagle pomiędzy nimi przebiegli młodzi mężczyźni w strojach robotników, którzy pędzili ku podestowi, ściskając w dłoniach żelazne rurki. Arjun przestraszył się, że zgubił Hoxtona, ale znów go zobaczył, gdy tłum ich minął.

Nikt ich nie zatrzymywał. Wrzosowisko pustoszało. Zamieszki przeniosły się na zachód, gdzie żołnierze zsiadli z koni i puścili się w pogoń za głównymi buntownikami poprzez mrok Wdowiej Altany. Od czasu do czasu przed Hoxtonem pojawiali się pojedynczy uczestnicy zamieszek lub żołnierze, ale on schował pistolety i nie unosił głowy, więc go nie zaczepiali.

Arjun dotarł w ślad za Hoxtonem do zagajnika na skraju Wrzosowiska, gdzie ukryta za drzewami czekała Olimpia. Już nie była ubrana w przyciągający wzrok i elegancko skrojony męski strój: zamiast tego miała na sobie bezkształtną, anonimową szaro-białą koszulę.

– Mam go – rzucił Hoxton. – Miałaś rację, ale nie było łatwo, wpakował się w sam środek zamieszania.

– Dziękuję, Hoxtonie. Dziękuję, Olimpio...

Przerwała mu machnięciem dłoni.

– Powinniśmy się stąd wynosić.

Wspięli się na niski mur i zeskoczyli w ciemną uliczkę, która biegła między dwoma rzędami restauracji, po czym puścili się biegiem wśród woni przypraw i smrodu gnijącego jedzenia.

* * *

Okrężną drogą wrócili do pokoju na poddaszu, który mieścił się nad pubem marynarzy w bocznej portowej uliczce.

– Gospodarz myśli, że jestem dziwką – wyjaśniła Olimpia – a Hoxton moim alfonsem. A więc ty powinienesz udawać klienta. Postaraj się wczuć w rolę. Nazywaj mnie Julią, jeśli koniecznie musisz jakoś się do mnie zwracać.

W pokoju nie było niczego poza łóżkiem oraz kocem w rogu, który, sądząc po rozłożonej wokół niego broni, stanowił posłanie Hoxtona. Olimpia usiadła na łóżku i potarła skroń.

– Powinniście przenieść się jeszcze dalej – odezwał się Arjun. – Wciąż jesteśmy na terytorium hrabiny. Na północy byłoby bezpieczniej.

– Niegłupio mówi – zauważył Hoxton.

– Jeszcze nie. Holbach nadal żyje. Ta suka zachowała go przy życiu i mogę się założyć, że trzyma go blisko siebie.

– Co możesz teraz dla niego zrobić?

– Jeszcze nie wiem. Ocaliłam część pozostałych. Przekonałam prześladowców, że Branken, Rothermere i jeszcze kilkoro nie byli zaangażowani w powstanie sztuki. Zadbałam o to, by nie padło twoje nazwisko. Przekonałam ich, by powstrzymali się z potępieniem Atlasu, dzięki czemu kolejne kilka osób mogło się zaszyć w bezpiecznym miejscu. Ale potem oskarżyli także mnie, żeby mnie uciszyć, i rzeczywiście nie wiem, czy będę w stanie coś zdziałać z ukrycia. Ale nie mogę tak zostawić Holbacha. Jeśli będzie z nami, być może któregoś dnia uda nam się odrodzić. Za to ty powinieneś odejść. Nie ma powodu, żebyś tutaj pozostawał. Wydaje mi się, że cię nie szukają, ale to się może zmienić.

– Holbach prędzej czy później poda im twoje nazwisko, jeśli zaczną go przesłuchiwać – dodał Hoxton.

– Nie – odparł Arjun. – Nie opuszczę Holbacha. Ani was.

– Dlatego że on może pomóc ci odnaleźć ten pieprzony Głos?

– To też. Ale nie tylko. Przykro mi. Naprawdę chcę pomóc. Jemu i wam.

Zmierzyła go wzrokiem.

– Próbowaliśmy zmienić całe miasto. A ty zawsze dbałeś tylko o to... o to nic.

– To nieprawda.

Hoxton dokonał przeglądu broni, po czym uniósł za lufę ciężki czarny pistolet.

– Potrafisz się tym posługiwać? – spytał Arjuna.

– Trochę.

– Zastrześliłeś kiedyś człowieka?

– Niestety, tak.

– Naprawdę? Ty? W takim razie w porządku. – Podał mu broń. – Trzymaj ją w ukryciu. Nie jesteś dzieckiem ani głupcem, więc nie muszę ci mówić, że jeśli kiedykolwiek użyjesz jej przeciwko strażnikom, to będziesz trupem.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu w rozgrzanym pokoiku. Olimpia miała bardzo bladą i zaszępiłą twarz. Z kolei Hoxton zachowywał kamienne oblicze żołnierza. W jego naturze wyraźnie było coś wojskowego, do czego chętnie się odwoływał. Wyszedł po coś do jedzenia i wrócił z piwem, kwaśną rybą w czerstwym rzadkim cieście i gazetą.

– Czy Holbach dowiedział się czegoś o Tajfunie? – spytał Arjun.

– Nie wiem – odpowiedziała Olimpia. – Mieliśmy tak mało czasu. Zresztą teraz to najmniejszy problem.

– Mam taką nadzieję.

– Przez ciebie przejmowałam się duchami, upiorami i potworami. Tymczasem to jest najważniejsze: moc i polityka, książęta i prawa, więzienia, cenzorzy i strażnicy.

Arjun uznał, że jakakolwiek odpowiedź tylko jeszcze bardziej rozsierdzi Olimpię. Pociągnął łyk piwa.

– Widziałem się z Pietą.

– O, bogowie! Wszystko u niej w porządku?

– Tak. Dałem jej trochę pieniędzy i odesłałem do domu.

– Dziękuję. Przepraszam. Bogowie, nawet o niej nie

pomyślałam. Byłam z Holbachem, próbując oddalić postawione nam zarzuty, a po tym jak go aresztowali ukryłam się tutaj. Zupełnie o niej zapomniałam.

Przez chwilę jedli w milczeniu. W końcu Olimpia przerwała ciszę.

– Poszło o to pieprzone przedstawienie, z którym nie mieliśmy żadnego związku. Byliśmy tacy ostrożni i mieliśmy wielkie plany, a potem ta rzecz wyrwała się spod kontroli, narobiła zamieszania, a my za to zapłaciliśmy.

– To było bardzo dziwne – zgodził się Arjun. – Zupełnie jakby nowi autorzy chcieli sprowokować hrabinę do zniszczenia sztuki i Atlasu. Początkowo zachodziłem w głowę, jak Nicolas może być tak nieostrożny, ale skoro twierdzisz, że nie był za to odpowiedzialny, to kto to zrobił?

– Nie wiem. Próbowałam powiedzieć ludziom hrabiny, że nie mamy nic wspólnego z tą wersją przedstawienia, a nawet próbowaliśmy powstrzymać wystawianie jej, ale mi nie uwierzyli. Zgadza się z tobą, że ktoś próbował w ten sposób skłonić hrabinę do działania i doprowadzić do naszej klęski.

– Nie spodziewałem się zamieszek. Nie myślałem, że Atlas jest darzony taką miłością. Miałaś w tym swój udział?

– Nie. Przyszłam tylko popatrzeć. Co innego mogłam, kurwa, robić?! Ale zawsze byli ludzie, którzy nas kochali i którzy wiązali duże nadzieje z naszą pracą. Poza tym

sztuka bardzo się spodobała. Ty też się do tego przyczyniłeś. Kiedy zobaczyli, co ta kobieta zrobiła Liancourtowi... Bogowie, nie mogę uwierzyć, że zwróciła działa „Gromowładnego” przeciwko tłumowi. Miała na miejscu żołnierzy, sytuacja była pod kontrolą, nie potrzebowała tego, tego obrzydlistwa.

– Nie użyła okrętu. Patrzyłem na jego działa, kiedy nastąpiły eksplozje. „Gromowładny” nie wystrzelił. Jestem pewien.

– A więc ktoś wniósł między ludzi ładunki z prochem.

– Rzeczywiście wyglądało to tak, jakby „Gromowładny” zaatakował tłum.

– Niewykluczone, że chodziło o wywołanie takiego wrażenia. Pewnie nawet hrabina nie jest tak lekkomyślna. Ale ludzie pomyślą, że to zrobiła, i nigdy jej nie wybaczą. Możliwe, że komuś zależało, by ją znienawidzili.

Znów na chwilę zamilkli.

– Bogowie – odezwała się Olimpia – jaki ze mnie pożytek? Z ukrycia nie mogę nic zrobić.

Arjun rozmyślał, obracając butelkę w palcach. Na ulicy rozległy się krzyki. Podeszedł do okna i zobaczył grupę kilkunastu mężczyzn, którzy zataczali się na ulicy. Byli zbyt pijani, by zdecydować się na jedno hasło, więc część z nich przeklinała hrabinę i jej potworną broń, inni wiwatowali na cześć Jedwabnego Jacka oraz Atlasu i Liancourta, a jeszcze inni wychwalali wolność i prawdę. Mężczyzna na przodzie wymachiwał zaciśniętą dłońią, w której trzymał jedwabne nitki. Weszli do „Czerwonego

Lwa".

– Jedwabny Jack mógłby uwolnić Holbacha – rzekł Arjun.

– Owszem, jeśli istnieje. Niestety, żadne z nas nie dysponuje cudowną mocą, armią ulicznych dzieciaków ani niczym innym, co on podobno ma do dyspozycji.

– Może uda nam się go znaleźć. Wydaje mi się, że raz go widziałem, jeszcze zanim zyskał złą sławę. Opowiadałem ci o tym? To było tuż przed poznaniem ciebie. Słudzy Płomienia, białe szaty, zaatakowali ulicę, przy której mieszkałem. Wywiązała się bójka. Jacyś chłopcy przepędzili Płomień. Jeden z nich... widziałem go tylko od tyłu, ale miał na sobie koszulę ozdobioną jedwabnymi wstążkami. Właśnie tak opisuje się Jedwabnego Jacka. W okolicach ulicy Moore'a zawsze krążyły gangi dzieciaków, które ukrywały się w zrujnowanych budynkach. Myślę, że on może być jednym z nich i mieszkać gdzieś w Shutlow. Moglibyśmy go tam poszukać.

– Nigdy go nie znajdziemy. On jest tylko wytworem wyobraźni. Równie dobrze możemy czekać, aż Holbacha uratuje twój Głos.

– Wcale nie mam ochoty iść do Shutlow. Tajfun kiedyś tam był. Możliwe, że wciąż tam jest. Ale czy masz lepszy pomysł?

* * *

Przez cały następny tydzień codziennie przekradali się z doków do Shutlow, gdzie rozdzielali się i przesiadywali w pubach, aulach i kościołach, wypytujac o Jedwabnego Jacka.

Hoxtonowi przychodziło to bez trudu. Z powodzeniem udawał pracownika portu, robotnika z fabryki bądź kryminalistę, w zależności od towarzystwa, w którym akurat przebywał. Stawiał drinki i opowiadał wulgarne dowcipy. Gdyby ktoś posiadał jakieś informacje, z pewnością by mu je wyjawił, nikt jednak nic nie wiedział.

Arjun nie mógł uchodzić za miejscowego i nie umiał udawać nonszalancji tak sprawnie jak Hoxton, ale potrafił nie rzucać się w oczy i uważnie słuchać. Miał dobre ucho; jeśli się skupił, był w stanie jednocześnie przysłuchiwać się kilku rozmowom.

Olimpia była sfrustrowana. Uwielbiała błyszczeć i szokować, zatem pospolitość przychodziła jej z wielkim trudem. W jej towarzystwie cichły rozmowy. Poruszała niebezpieczny temat, wyglądała na niebezpieczną osobę, a to były niebezpieczne czasy. Było jej ciężko, a jeszcze bardziej dokuczał jej fakt, że zaniedbuje swoje obowiązki względem Atlasu. Na łamach „Ery” donoszono, że hrabina aresztowała czternastu handlarzy książkami z różnych części miasta, pod zarzutem uczestnictwa w spisku mającym na celu rozpowszechnianie najnowszego wydania Atlasu. Olimpia wiedziała, że hrabina ma rację w jedenastu z tych przypadków.

Drugiego dnia, podczas wędrówki ulicami, Olimpia

natrafiła na budynek, w którym kiedyś mieściła się Wielka Drukarnia Yorka; drzwi i okna w nim zabito deskami. „Z rozkazu hrabiny”.

– Powinnam coś robić – powiedziała tego wieczoru po powrocie do doków. – To byli nasi ludzie. Sama wciągnęłam połowę z nich w prace nad Atlasem. Powinnam o nich walczyć.

– Ty też jesteś zbiegiem – zauważył Arjun. – Dobrze wiesz, że nie możesz nic zrobić.

Popatrzyła na niego w milczeniu.

Wieczorem drugiego dnia poszli razem na ulicę Moore'a, by przeszukać ruiny. Hoxton otworzył im drogę łomem. W „Czarnym Księżycu” napotkali grupkę głodujących dzieci; gdy malcy rzucili się do ucieczki, Hoxton złapał jednego z nich za rękę, jednak chłopiec nie wiedział nic o Gromowładnych, znał jedynie te same opowieści, co wszyscy.

Wysłuchiwali wielu narzekań na hrabinę, zmieniających się za sprawą alkoholu we wściekłe protesty przeciwko jej tyranii, a także pustych fantazji dotyczących Jedwabnego Jacka, mającego poprowadzić armię dzieci i zemścić się na ludziach, których dany mówca uważał za głównych ciemężycieli – nie usłyszeli jednak niczego użytecznego.

Szło im jak po grudzie. Wiedzieli, że wyglądają jak szpiedzy. Ludzie byli podejrzliwi i nie należało się temu dziwić: przez cały tydzień Shutlow targały akty przemocy. Już następnego dnia po wydarzeniach na Wrzosowisku

wybuchły tam kolejne zamieszki, podczas których spłonęła duża część Wdowiej Altany. Stale dochodziło do drobniejszych incydentów. Żołnierze hrabiny maszerowali ulicami, a ludzie zbierali się w grupki, by obrzucać ich cegłami i łajnem, po czym pośpiesznie znikali w bocznych uliczkach.

Arjun zupełnie inaczej zapamiętał Shutlow. Mieszkańcy dzielnicy byli wściekli – wściekli i pełni nadziei podszytej frustracją. Kiedy żołnierze hrabiny maszerowali ulicą, wykrzykując do okien, że porządek i wola bogów wymagają, by obywatele zachowywali spokój, dzielnica nie pozostawała dłużna: przeciwstawiała im Atlas, Gromowładnych i *Błogosławieństwo*.

Wszystko zapewne rozeszłoby się po kościach, a mieszkańcy stłumili gniew i jak zwykle w ponurych nastrojach wrócili do kufla z piwem, gdyby nie fakt, że po miesiącach ataków Jedwabnego Jacka boczne uliczki, noclegownie i bary były pełne zdesperowanych młodych mężczyzn, którzy nie mieli nic do roboty i nie bali się strażników. Wydawało się, że tylko na to czekali. Arjun zastanawiał się, czy Ptak – według teorii Holbacha to Ptak odpowiadał za pojawienie się Jedwabnego Jacka – przewidział taki rozwój wydarzeń, gdy obdarzał chłopca mocą. Może tak, a może nie. Jednakże szumowiny, które uwalniał Jack, były idealnymi kandydatami na uczestników zamieszek. A być może także urodzonymi przywódcami – Arjun nie przyglądał im się zbyt dokładnie. Pewnego razu siedział w „Szarej Gęsi” i

słuchał rozmów, gdy przed lokalem przemaszerował oddział wojska. Wszyscy klienci w jednej chwili zerwali się z miejsc i wybiegli na zewnątrz, by obrzucić żołnierzy szklankami, a następnie błyskawicznie uciec. Arjun wymknął się tylnymi drzwiami.

W „Erze” przeczytał, że zamieszki nie ograniczają się do Shutlow. Znacznie gorzej jest w Czwartym Okręgu. Olbrzymie tłumy zbierają się na Wrzosowisku. W dzielnicy portowej wrze. Buntownicy żądają uwolnienia Holbacha, cofnięcia zakazu dotyczącego sztuki i Atlasu oraz zniszczenia „Gromowładnego”. Najczęściej jednak nie wysuwają żadnych żądań, a jedynie manifestują wściekłość. Spłonęła setka podobizn hrabiny.

Czasami do uszu Arjuna docierały tajemnice przekazywane szeptem na tyłach pubów: miejsca i godziny spotkań, adres człowieka, który może dostarczyć broń, plany demonstracji, plotki o zatrzymaniu innych buntowników, ale żadna nie była tajemnicą, którą tropił. Mimo że często rozmawiano o Jedwabnym Jacku, nikt nigdy nie wspominał, gdzie on może być lub jak można się z nim skontaktować: równie dobrze Jack mógł być postacią fikcyjną.

Zamykały się kolejne lokale. Właściciele nerwowo wyglądali przez zabite deskami okna, ściskając w rękach broń. Fabryki w Czwartym Okręgu wołały przerwać pracę i zatrzasnąć bramy niż ryzykować wpuszczenie robotników targanych niszczycielskimi nastrojami. Pozbawione zajęcia miejscowe tkaczki wzięły się za

szycie transparentów.

Hrabina nie siedziała beczynn timer. Arjun był świadkiem stłumienia siłą kilku demonstracji. Ilona używała do tego celu specjalnych oddziałów żołnierzy; coraz częściej widywał je na ulicach. Zwykle wojsko nosiło czerwone mundury i pióropusze. Ci żołnierze ubierali się w cętkowane szare mundury i płaskie czapki. Nie mieli ładnie wyglądać, lecz zabijać.

Arjun przypomniał sobie, co Girolamo pisał o swoich doświadczeniach jako żołnierz w Ararat. Twierdził, że nie przypomina to służby wojskowej w żadnym innym zakątku świata. W Ararat wojny toczą między sobą miejscy władcy, a polem bitwy są ulice. Nie ma tutaj miejsca na potyczki zwartych oddziałów w otwartym polu. Zamiast tego ubrani w ciemne stroje bojownicy strzelają do siebie z wysoko położonych okien lub zarzynają się w bocznych uliczkach. Girolamo pisał, że to gorsze od wszystkich wojen, jakie widział. Widząc krwawe skutki stłumienia protestu przez odzianych na szaro żołnierzy, Arjun był skłonny mu uwierzyć. Żałował, że nie może jakoś pomóc ocalałym. Przestał czuć się częścią miasta. To już nie była jego sprawa.

Jeśli mieszkasz w wąskiej uliczce może cię zabić zagubiony pocisk, który trafi w twoje okno. Ci, którzy coś takiego widzieli, radzili spiętrzyć przed oknami meble: przewrócony stół, materac, zakurzoną ciężką szafę. Ulice stawały się przez to klaustrofobiczne i nieprzyjazne.

Hrabina nie była jedyną przedstawicielką szlachty

uznającą swoje prawo do terytoriów objętych zamieszkami, jednak rywale jej nie pomagali. Na razie gniew tłumu był skierowany wyłącznie ku niej i być może inni władcy nie chcieli znaleźć się na celowniku. Zresztą możliwe, że cieszyli się z jej poniżenia. Przewodniczący Cimenti wydał oświadczenie, w którym wyraził żal z powodu śmierci ludzi i zniszczenia mienia, oraz nadzieję, że odpowiednie władze szybko znajdą pokojowe i sprawiedliwe rozwiązanie problemu. Niewątpliwie doprowadził tym hrabinę do furii.

Kościół były podzielone. Kapłani Laviokana w zakamuflowany sposób wspierali w swoich kazaniach protestujących. Laviokan był duchem masek i ułudy, który zazwyczaj objawiał się w teatrach i w środowisku aktorów, więc duchowni uznali zawieszenie *Błogosławieństwa* i stracenie Liancourta za obrazę. Zakon Ukteny wychwalał dla własnych potrzeb zaciętość obu stron. Wyznawcy Tybru domagali się posłuszeństwa wobec prawowitych władz; kapłani głosili to wezwanie na ulicach, z cierpliwą pogardą znosząc gwizdy i obrzucanie różnymi przedmiotami przez tłum.

Niektóre grupy demonstrantów zaczęły nosić transparenty oznaczone wizerunkiem Płomienia. Arjun podsłuchał, jak nietypowo rozgadany buntownik wyjaśnia symbolikę tego znaku dziennikarzowi „Wartownika”:

– Co ci kapłani mogą wiedzieć? Tyber symbolizuje sprawiedliwość i karę. Domagamy się sprawiedliwości. Hrabina posunęła się za daleko, postawiła się ponad

prawem. Domagamy się sprawiedliwości. Tylko tyle. – Arjun specjalnie to sprawdził: „Wartownik” nie odważył się wydrukować tej historii.

Słyszał, że niektórzy demonstranci śpiewają piosenki, które napisał na potrzeby *Błogosławieństwa*. Teksty zostały napisane przez Liancourta – pytał w nich, dlaczego uczciwi ludzie powinni być skazani na łaskę lub niełaskę okrutnych władców zasłaniających się prawem miasta i wolą bogów, ale to Arjun skomponował muzykę. Jego gniew i ból dodały mocy skargom Liancourta, a teraz także żądaniom tłumów. Czuł się z tym nieswojo.

– Dobrze wiesz, że demonstrują ze stu innych powodów – powiedziała Olimpia, gdy ze spuszczonej głowami szybko oddalali się od miejsca, w którym buntownicy starli się z milicją. – Jesteś tutaj już wystarczająco długo, by to zrozumieć. Nie robią tego dlatego, że dałeś im dobry protest song.

– Wiem. Ale nie powinienem brać w tym udziału. Nie powinienem wplątywać Głosu w tę przemoc.

– A może wprost przeciwnie. Może właśnie przyszedł czas na coś takiego.

– To okropne.

– Wcześniej też było okropnie. Nie dostrzegalesz tego?

– Za długo tutaj jestem. Podjąłem błędne decyzje.

* * *

Piątego dnia Arjun wrócił do pokoju jako pierwszy. Po

drodze minął „Cyprysa”, zastanawiając się, czy Defour wciąż tam jest, czy nadal żyje, nie odważył się jednak wejść; nie potrafił jej zaufać. Poza tym czuł, że wokół okien budynku zbiera się ciemność, która przypomniała mu o Tajfunie, i chociaż był pewien, że to tylko sztuczka wyobraźni, przez resztę dnia nie mógł się skupić. Wrócił do domu, by porozmyślać.

Hoxton także wrócił wcześniej. Miał tylko jedno wytłumaczenie: – Wdałem się w bójkę. Padło wiele niewłaściwych słów. Gdy już było po wszystkim, wolałem zniknąć. – Usiadł na zapadniętej sofie. – Mam złe wieści, panie A. W „Czerwonym Lwie” wypytywali o ciebie trzech strażnicy. Jesteś poszukiwany z rozkazu hrabiny pod zarzutem nawoływania do buntu. Podburzania obywateli.

– To było tylko kwestią czasu.

– Przyjmujesz to ze spokojem. To dobrze. Spróbuj zapuścić brodę albo ufarbować włosy. Hrabina jest teraz zajęta szaleństwem na ulicach, ale to nie potrwa długo. Ludzie się zmęczą. Zapomną, dlaczego się buntowali. Uznają, że jednak są w stanie pewne sprawy zaakceptować. Widziałem to już nie raz. Wtedy ona skupi się na tych, których wciąż będzie obwiniać, czyli na nas. Pozwolisz, że zapytam – w obecnej sytuacji raczej nie powinno ci to przeszkadzać – dlaczego nadal tu jesteś? Załóżmy, że uda nam się odnaleźć Jedwabnego Jacka i wydostać profesora, a on znajdzie twój Głos. Co wtedy?

– Nie wiem. A dlaczego ty nadal tu jesteś, Hoxtonie?

Zawsze mi się wydawało, że nie obchodzi cię Atlas. Mam nadzieję, że cię nie uraziłem.

– Obawiam się, że to nie twoja sprawa. Mam pewien dług wobec panienki Olimpiii i nie mam zamiaru zdradzać jego natury. O swojej przeszłości wolę nie rozmawiać. Możesz spróbować spytać Olimpię. W ten sposób wracamy do sedna sprawy. Wygląda na to, że panienka chwilowo za tobą podąża. Zobaczymy, jak długo to potrwa. Powiem tak: nie wybiegasz myślą dalej niż o jeden krok naprzód. Nie planujesz. Czekasz, aż ktoś cię ocali, i wydaje ci się, że wtedy już nie będziesz musiał wstać rano, żeby się wysrać. Swego czasu towarzyszyłem takim ludziom, w różnych okolicznościach. To nie prowadzi do niczego dobrego, rozumiesz? Najwyższy czas przyjrzeć się prawdziwemu światu. Masz teraz wrogów, prawdziwych wrogów. Zastanów się nad tym.

* * *

Pod koniec tygodnia sprawy przybrały gorszy obrót. Poprzedzani przez plotki i pełne przerażenia szeptu, w Shutlow pojawili się młodzieńcy w białych szatach. Wyroili się z Czwartego Okręgu lub przybyli rzeką, trudno ocenić. Było ich mnóstwo. Początkowo nikt nie wiedział, po czyjej są stronie – walczyli zarówno z demonstrantami, jak i z żołnierzami. Wkrótce jednak jasno się określili – przemaszerowali ulicami, wykrzykując swoje stanowisko zachrypniętymi głosami,

by nikt nie miał żadnych wątpliwości. Przybyli w imieniu Płomienia, w imieniu porządku i sprawiedliwości, by zdusić zamieszki i bunt. Wyglądało na to, że zupełnie się nie przejmują tym, że ich działania skazują ich na konflikt z ludźmi hrabiny.

Byli teraz uzbrojeni w broń palną – to było coś nowego – i potwornie zajadli. Wdzierali się na demonstracje, raniąc i zabijając uczestników, a gdy już ich przepędzili, zostawali, by walczyć z żołnierzami. Czasami atakowali z dachów, a czasami narzucali swoje surowe zasady, otwarcie paradując ulicami z płonącymi pochodniami w rękach.

Nie podobało im się, gdy widzieli samotne kobiety, więc zostawiali na ich obliczach blizny, by przypominać grzesznikom o swoich poglądach. Olimpia nie mogła już wychodzić bez ochrony Hoxtona.

W połowie drugiego tygodnia młodzieńcy w białych szatach stali już na każdym rogu. Zrzucali książki ze straganów i palili je. Podkładali ogień pod kasyna oraz burdele i bili dziwki na środku ulicy.

Atakowali ich żołnierze i wielu zabijali. Białe szaty to były tylko dzieci, zbyt fanatyczne, by sprawnie walczyć, przewyższały jednak liczebnością oddziały hrabiny, a ona sama była tylko jedną z władczyń miasta. Tak naprawdę nie kontrolowała zbyt dużego terytorium: Shutlow, część Ar-Mouth, Okręg Barbarii i Czwarty Okręg, większość Wrzosowiska i kilka innych ulic w różnych miejscach. Płomień nadciągał ze wszystkich stron. Jego wyznawcy

stanowili ocean gniewu.

Arjun obserwował ich z okna pokoju na nabrzeżu. Białe szaty, szarzy żołnierze, brudne więzienne stroje zdesperowanych zbiegów, bezbarwni wściekli mieszkańcy Shutlow, wyświechtane brązowe szmaty mieszkańców Czwartego Okręgu. Wyglądało to tak, jakby jakiś głupi i bezmyślny bóg położył rękę na wielkiej mapie twórców Atlasu i ją zgniótł, tak że kolory zlały się ze sobą, a linie porwały.

Nikt się nie zdziwił, gdy na początku następnego tygodnia do walki włączyły się jaskrawe barwy Gromowładnych.

* * *

Jack przybył do Mass How, by obserwować ruchy strażników w Więzieniu Parlamentu przy ulicy Dębowej. Ponad miesiąc temu Gromowładni skutecznie je zaatakowali, chciał jednak to powtórzyć. Więzienie stanowiło atrakcyjny cel. Przyglądał mu się z sąsiednich dachów i z nocnego nieba.

Dzielnica Mass How zamknęła granice. Wzdłuż skarpy rozstawiono oddziały milicji, by trzymać demonstrantów z daleka.

Jack nic nie wiedział o zamieszkach, dopóki nie opuścił kryjówek Gromowładnych i nie przeleciał nad Czwartym Okręgiem, by popatrzeć na więzienie. Co prawda Fiss i Aiden wymieniali wieści docierające z Shutlow, ale Jack

ich nie słuchał; miał głowę zaprzątniętą innymi sprawami.

Teraz spoglądał w stronę podnóża skarpy i obserwował pożary rozrzucone po mrocznych ulicach Shutlow. Poleciał w dół zbocza i ukrył się za kominami. Stamtąd widział, jak demonstranci ścierają się z żołnierzami w szarych mundurach. Jakiś mężczyzna na czele tłumu uniósł pięść, w której trzymał kawałek jaskrawego materiału, i krzyknął:

– Jedwabny! Grom!

– Tak jest – syknął Jack.

Kiedy mężczyzna upadł i stanął nad nim żołnierz z uniesioną pałką, Jack wystartował z dachu i wyrwał napastnikowi broń z ręki, po czym zniknął po drugiej stronie ulicy, tak szybko, że nikt nie był pewien, co się stało.

Z nienawiścią obserwował pojawienie się białych szat. Widział, jak rozstawiają barykady na ulicach, domagając się gestów poddaństwa od każdego, kto chciał nimi przejść. Widział, jak biją pałkami demonstrantów, którzy nosili jego barwy. Byłych więźniów pełnych zapachu i entuzjazmu. Nie mógł tego znieść.

Kiedy już się napatrzył, poleciał nad Czwartym Okręgiem z powrotem do hangaru na łodzie i przez górne okno wszedł na poddasze, gdzie Fiss rozmawiał z Aidenem.

– Widziałem zamieszki – odezwał się Jack. – To wspaniale. Wygląda na to, że nareszcie wszyscy są po naszej stronie. Niestety, pojawiły się tam także białe

szaty. Są ich setki. Rozganiają demonstracje w imię Tybru i nazywają to zaprowadzaniem porządku.

– Bogowie – mruknął Fiss. – Aż tak źle to wygląda?

– Owszem, źle. Ale wcale nie musi tak być. Możemy coś z tym zrobić. Już kiedyś ich pokonaliśmy, pamiętacie? A teraz jesteśmy o wiele silniejsi. Możemy przyjąć wszystkich pod nasze skrzydła.

Chłopcy zebrali się w pokoju położonym piętro niżej, wokół drabiny prowadzącej na strych, i słuchali rozmowy Jacka z Fissesem. Jack podszedł do krawędzi otworu i spojrział w dół.

– Jaki z nas pożytek, skoro na to pozwalamy? To nasze miasto czy ich?

Fiss i Aiden wymienili nerwowe spojrzenia, ale chłopcy na dole zaczęli wiwatować. Najgłośniej wołał Namdi, który stał na przodzie.

Zaczekali, aż część z nich wróci z targowiska, gdzie akurat kradli, po czym sprawdzili broń i ruszyli za Jackiem poprzez Czwarty Okręg. W stale rozszerzającym się strumieniu mocy, który Jack pozostawiał za sobą, poruszali się niemal tak samo jak on, nie zdając sobie sprawy ze swojej szybkości i gracji, mknąc po rozsypujących się dachach, pod ciemnymi chmurami.

Rozdział 37

Zaprzestali samotnych wędrówek. Co prawda chodzenie w trójkę było mniej wydajne i łatwiej mogli zwrócić na siebie uwagę tych, którzy ich tropili, na ulicach jednak zrobiło się zbyt niebezpiecznie.

Znajdowali się w Sali Ghentiańskiej, na skraju Okręgu Barbarii, niedaleko ulicy Moore'a. Ta olbrzymia, wielopoziomowa terakotowa budowla małpowiała styl Mass How, ale była przy tym brzydsza, bardziej tandetna, popękana i brudna. W zadymionym i gorącym wnętrzu panował hałas i wszystko lepiło się od rozlanego piwa. Na wpół rozebrane barmanki przeciskały się przez tłum, uchylając się przed wyciągającymi się ku nim rękami i je odtrącając. Żołnierze w szarych mundurach włóczyli się dwójkami lub trójkami, uzbrojeni w pistolety bądź piki, i podejrzliwie się rozglądali. Niektórzy odwzajemniali się im nieprzychylnymi spojrzeniami. Inni cieszyli się z ich obecności, gdyż przynajmniej utrzymywali z daleka Płomień.

Arjun, Olimpia i Hoxton nie siedzieli razem – zbyt rzucaliby się w oczy – ale mieli się nawzajem na oku.

Hoxton był na dolnym poziomie, gdzie żartował z jeszcze potężniejszym od siebie Ghentiańczykiem ubranym w brązowy garnitur i noszącym wąsy jak mors. Klepał mężczyznę po plecach i razem ryczeli ze śmiechu. Olimpia rozmawiała z jedną z barmanek. Arjun widział

ich oboje ze swojego miejsca na jednej z podniesionych platform przy barze. Nasłuchiwał.

– ... Nie wrócę do świątyni, nie po tym, co się stało. Nie dam sobie wmawiać, że jest wolą Atenu, bym była pokłony przed tą suką, po tym, co zrobiła. Zaatakowała tłum cholernym okrętem wojennym. Słyszałam, że na ulicy Kredowej jest kaznodzieja, który się nie boi. Kto idzie ze mną?

– ... Kolejnym, którego zabrała nam zgnilizna płuc. Jeśli stracimy jeszcze jednego, będziemy musieli zamknąć zakład. Zresztą i tak nie mamy klientów. Właśnie to mnie doprowadza do szału: mówi się, że twórcy Atlasu pracowali nad lekarstwem, mogli nas wszystkich ocalić, ale hrabina zmiotła ich z powierzchni ziemi, ponieważ ośmielili się ją urazić. Sam już nie wiem, co o tym myśleć.

– Jutro wieczorem. Dziedziniec Szary Płaszcz. Spotkacie tam pewnego człowieka; na pewno go poznacie. Dalej pójdziemy razem.

– Wcale nie żartuję. A myślicie, że jak się tutaj dostałem? Płomień rozstawił barykadę na końcu naszej ulicy. Sądzicie, że pozwoliliby mi przejść, gdybym powiedział, że idę z wami chlać? Nie, oni naprawdę istnieją: przybiegli ulicą i, przysięgam, sfrunęli z dachów, ubrani na jasno i szybcy jak błyskawice. Po prostu ich zmiotli. Byłem na Wrzosowisku, kiedy przyleciał Ptak, i pamiętam, jakie to uczucie. Właśnie takie. Nie kłamię.

To brzmiało nawet obiecująco, ale w ciągu ostatnich

dni Arjun słyszał wiele takich opowieści. Miał już pewność, że Jedwabny Jack jest w okolicy i walczy z białymi szatami. Niestety, ta wiedza w niczym nie mogła mu pomóc: Arjun musiał znać dokładne miejsce pobytu Jacka. Na wszelki wypadek wziął drinka ze stolika i zaczął przeciskać się przez tłum w stronę rozmówców, udając, że szuka wolnego miejsca.

– ... Jak ona śmie. Ten Liancourt, niech spoczywa w pokoju, miał rację, miał rację jak cholera. Ona już nas nie powstrzyma.

– ... Tylko spójrzcie na tych drani. Kurwa mać, tylko na nich spójrzcie. Pistolety i szydercze uśmiechy...

– Chcę tylko, żeby to się skończyło. Mam córki, które od wielu dni nie mogą wyjść z domu. Potrzebuję pieniędzy. Jest ciężko.

– ... Się po tym otrząsnąć. Posunęła się za daleko i teraz za to płaci. Nie potrafi tego zatrzymać. Sprawia przez to wrażenie słabej. Przeciwno czemuś takiemu „Gromowładny” jest bezużyteczny. A skoro nawet ja widzę jej słabość, to na pewno dostrzeże ją Parlament, przewodniczący albo ktoś inny. Mówię wam. Tylko poczekajcie.

– Pamiętasz, jak Monan pojawił się na niebie kilka tygodni temu? Myślę, że nas wtedy ostrzegął. Sądzę, że w gwiazdach był zapisany sposób na powstrzymanie i naprawienie tego wszystkiego, gdybyśmy tylko potrafili go odczytać. Nie, naprawdę nie żartuję. Naprawdę... To spierdalaj.

– Nie mam zamiaru przekonywać was, że nie powinniście być wściekli. W końcu jesteście mężczyznami. To zrozumiałe, że czujecie gniew. Tak jak każdy. Któż by go nie czuł w takiej sytuacji? No właśnie. Chcę tylko powiedzieć, że wiem, w jaki sposób możecie go spożytkować. Zaraz, przymknijcie się. Cicho...

Arjun się zatrzymał. Znał ten głos. To był pan Heady z „Cyprysa”. A więc Tajfun go nie dopadł.

– ... W porządku. Jak już mówiłem, sami niewiele zdziałacie. Ale chcecie być użyteczni, to jasne. Powiadają, że to dobre czasy dla odważnych. Jest pewien człowiek, który może dla was zdobyć broń. Posłuchajcie... – Pochylił się i zaczął szeptać.

Arjun odwrócił się i przepchnął do Olimpii.

– Tam pewien człowiek – nie patrz – rekrutuje ludzi do zamieszek, sabotażu albo strajku skierowanego przeciwko hrabinie.

– Tutaj to się zdarza na każdym kroku.

– Ale ja go znam. Mieszkałem z nim. Nigdy nie był... radykałem. Żaden z niego buntownik. Zawsze chlubił się swoim szacunkiem dla władzy. To bardzo dziwne. Niemożliwe, żeby robił to ze złości. Ktoś musi mu płacić. Chciałbym się dowiedzieć kto.

Heady wstał i uścisnął dłonie mężczyznom, którzy zostali przy stoliku. Ruszył w stronę drzwi.

– Wychodzi. Pójdę za nim.

– Powinniśmy wziąć ze sobą Hoxtona.

Jednakże nigdzie go nie widzieli. Zagubił się w tłumie

wypełniającym pijalnię na dolnym poziomie Sali.

Arjun poczuł lekkie szarpnięcie na dnie umysłu.

Przed nim widniała ścieżka, połączenie. Pomyślał o liście Pajaka. Przed oczami na chwilę pojawił mu się wizerunek obojętnych, fałszywych pajęczych oczu.

– Idę za nim. Później was znajdę. – Przepchnął się przez tłum i wyszedł na zewnątrz, a Olimpia, po chwili nerwowego szukania wzrokiem Hoxtona, podążyła za nim.

* * *

Ich liczebność nie miała znaczenia. Ich nienawiść nie miała znaczenia. Gromowładni rzucili się na białe szaty z wściekłą radością. W odróżnieniu od nich, nie byli uziemieni. Atakowali z dachów; pędzili ulicami i burzyli barykady. Poruszali się z szybkością i swobodą, jaką zapewniał im dar Ptaka. Mknąc na czele ataku, Jack oglądał się i widział biegnące za nim jasne postacie przemierzające ponure dachy Shutlow. Ubrania chłopców były szare lub brązowe, brudne i porwane, ale każde zostało ozdobione błękitnym, czerwonym lub złotym herbem z wizerunkiem „Gromowładnego”, a za nimi powiewały jaskrawe kawałki jedwabiu. W takich chwilach upewniał się, że dobrze robi. Zakres jego mocy stale się rozszerzał. Gdyby ten proces ustał, wiedziałby, że przestał być godny swojego daru.

– Nie bójcie się zabijać – pouczył ich, gdy opuścili

hangar. – Jeśli nie potraficie się na to zdobyć, pomyślcie, że oni sami to wybrali. Właśnie po to żyją. Dla okrucieństwa. To nie tylko ich praca, ale cel życia. Są ich setki, tysiące. Znacznie więcej niż nas. Nie możemy dzielić z nimi miasta. Musimy ich usunąć.

Pierwszego wieczoru Jack zobaczył, jak kilkunastu chłopców w białych szatach atakuje tłum na Wrzosowisku, jaki zebrał się wokół ogniska utworzonego z drewnianych resztek barykady, którą ludzie hrabiny wzniesli na ulicy Zwiewnej. Trzy młode kobiety tańczyły w rytm klaskania zebranych. Ludzie byli pijani i gubili rytm, a dziewczęta od czasu do czasu potykały się ze śmiechem.

Białe szaty otworzyły ogień zza drzew, powalając kilka osób, po czym przepchnęły się przez tłum, po drodze rozdając ciosy nożami, aż dotarły do krzyczących tancerek. Wysoki chłopak złapał jedną z nich za włosy i napluł jej w twarz.

Jack rzucił się na nich nad głowami przerażonych ludzi. Wyjął nóż i zadał kilka szybkich ciosów. Zabił trzech, a tych, którzy zaczęli uciekać, tylko naznaczył. Kiedy skończył, pozostali Gromowładni już się zbliżali, idąc przez tłum. Zaczęli klaskać i wiwatować, a ludzie się do nich przyłączyli. Jack znalazł się wewnątrz okręgu oświetlonego blaskiem ogniska, otoczony dźwiękiem oklasków. Złapał płaczącą tancerkę za rękę i dźwignął ją z ziemi, a następnie z impetem pocałował, przechylając ją ekspresyjnym gestem jak aktorzy na scenie.

Tłum był zachwycony i zaczął wykrzykiwać jego imię. Dziewczyna przez chwilę sztywno się mu poddawała, po czym odsunęła się, szlochając. Pozostawił na jej ręku i twarzy krwawe odciski palców.

* * *

Dwa dni później zginął Fiss.

Nie był pierwszy. Gromowładni stracili już chłopca nazwiskiem Gantley na ulicy Sterniczej, gdy w ich potyczkę z białymi szatami wmieszali się odziani w szare mundury żołnierze hrabiny i zabłąkana kula trafiła Gantleya w pozbawioną zarostu szyję. Z kolei czaszkę Martina rozłupała pochodnia białych szat. Jack przeniósł go z powrotem, nieprzytomnego, do zamkniętej fabryki, której używali jako bazy, ale chłopiec już się nie ocknął. Fiss nie był pierwszy ani ostatni, ale dopiero jego śmierć zmusiła Jacka do zastanowienia.

Fiss zginął bezsensowną śmiercią. Gromowładni zbliżyli się do jednej z barykad od strony ulicy Akely'ego, a gdy młodzieńcy w białych szatach rzucili się do ucieczki, jeden z nich odwrócił się i strzelił na oślep. Pocisk trafił Fissa w klatkę piersiową. Jack natychmiast skoczył w stronę strzelca, pokonując dzielący go od niego dystans jednym lekkim krokiem, i poderżnął mu gardło.

Potem pobiegł z powrotem ulicą, pozwalając pozostałym odejść. Nogi miał jak z ołowiu. Odniósł wrażenie, że dotarcie do Fissa zajęło mu bardzo dużo

czasu. Przez chwilę podtrzymywał go, mówiąc:

– W porządku, Fiss, są lekarze, nic nie mów, nie... –
Potem Fiss drgnął, wypluł trochę krwi i umarł.

Jack długo siedział pochylony nad ciałem. Było mu żal przyjaciela, ale jeszcze bardziej żałował Gromowładnych. W jaki sposób uda mu się nimi pokierować bez Fissa? Potrzebował go.

– Nasz czas dobiega końca – szepnął.

Namdi, który przyklęknął obok, przyjrzał mu się zdziwiony, ale Jack nie wyjaśnił swoich słów. Dla niego to było jasne. Wizja Fissa umarła – zdeptała ją wizja Jacka. Bez Fissa nie przetrwają. Ich szeregi nie będą się powiększać. Nie utrzyma ich razem perspektywa pokoju i bezpiecznego schronienia. Pozostała tylko wojna Jacka, a ona nie potrwa wiecznie. Wkrótce się zmęczą i zaczną wykruszać.

Spodziewał się tego, w końcu nie mogli być wiecznie młodzi. To jednak był wyjątkowo okrutny koniec.

Było ich trzydziestu dwóch: ta liczba musi mu wystarczyć. Musi jak najlepiej wykorzystać czas, który mu pozostał.

Zaprowadził ich z powrotem do fabryki, gdzie mieli opłakiwać Fissa i dokonać przegrupowania. Powiedział im, że żałoba powinna być dla nich źródłem radości i podsycić ich gniew. Aiden wymknął się bez słowa, Jack nawet tego nie zauważył. Trzydziestu jeden. W ciągu kolejnych kilku dni podwoili wysiłki.

* * *

Gromowładni nadal potrzebowali snu i jedzenia, ale nie dotyczyło to Jacka. Nocą zostawił ich w fabryce i wyszedł na mroczne ulice. Na całym terytorium hrabiny zgaszono latarnie, by skuteczniej narzucić godzinę milicyjną. Jack obserwował swoich wrogów, zwracając uwagę na ich silne i słabe punkty.

Noc była spokojna. Być może ludzie mieli już dość przemocy, albo siedzieli w domach i planowali kolejne ataki. Niewielkie oddziały żołnierzy przemierzały ulice, z latarenkami i pikami w rękach. Tu i ówdzie przemykali mieszkańcy, od pubu do pubu, zawsze dwójkami lub trójkami: samotne wędrówki wiązały się z ryzykiem ataku ze strony białych szat, a każda większa grupa mogła zostać zatrzymana przez ludzi hrabiny, oskarżona o buntownicze zamiary i przesłuchana. O tych przesłuchaniach krążyło wiele nieprzyjemnych plotek.

Ze szczytu wieży-młota świątyni Atenu przy ulicy Łukowej Jack obserwował pięciu młodzieńców w białych szatach, którzy grzali się przy ognisku z połamanych desek i sprawdzali karabiny, ćwicząc celowanie. Nigdy wcześniej nie widział, by białe szaty się uśmiechały. Poczul się nieswojo. Tym razem zostawił ich w spokoju.

W uliczce po drugiej stronie budynku grupa mężczyzn zgromadziła się wokół wysokiego, surowego człowieka trzymającego latarnię.

– ... To poważnie? Szkoda czasu, jeśli tak tego nie

traktujecie. A jeśli tak... zgadza się, owszem, ale bądźcie ciszej... jeśli tak, to znam człowieka, który może wam załatwić broń. Zgadza się. Przyjdźcie tutaj jutro, jeśli naprawdę nie żartujecie. Wtedy pogadamy.

Wysoki mężczyzna zostawił swoich rozmówców w uliczce. Jack patrzył, jak się oddala. Nie był nim szczególnie zainteresowany. Zdawał sobie sprawę, że każdego dnia są wokół niego zawiązywane spiski, i nie zwracał na nie większej uwagi. Wśród uczestników zamieszek rozpoznawał ludzi, których uwolnił z kilkunastu różnych więzień, i cieszył się, widząc, jak wykorzystują jego dar, lecz to była ich walka, a nie jego. Mimo to noc była spokojna, a on był odrobinę zaniepokojony, więc podążył za mężczyzną pośpiesznie przemierzającym ulicę. Czuł, że coś go ciągnie i przynagla, czuł, że ocenia go wiele par wyrachowanych i pustych oczu.

* * *

Podążali za Heady w pewnym oddaleniu. Olimpia zaproponowała, by się objęli, dzięki czemu przypominali parę, która wybrała się na spacer. Miała ciepłe ciało. Arjun nagle bardzo zatęsknił za ich utraconą bliskością.

Heady nie był sam. Przed pubem czekał na niego mężczyzna o potężnej posturze i szerokich barach ukrytych pod długim ciemnym płaszczem. Heady powitał go skinieniem głowy.

– W porządku? Nie ma pokoju dla bezbożników, co? –
Mężczyzna w milczeniu podążył za Heady, trzymając się dwa kroki z tyłu.

Ochroniarz zaczekał na Heady'ego, gdy ten zatrzymał się w kolejnym pubie, by wygłosić podobną przemowę i złożyć podobną obietnicę:

– Pistolety. Tego wam trzeba. Dobrzy z was chłopcy. Pamiętajcie, że macie przyjaciół.

Był bardzo wygadany i znał się na pochlebstwach. Arjun na swój sposób go szanował.

Następnie Heady i jego ochroniarz ruszyli na wschód, przez nabrzeże, aż dotarli do otoczonej magazynami ulicy biegnącej w cieniu Szczęki. Ochroniarz niósł latarnię. Arjun i Olimpia wędrowali w ciemności. Heady podszedł do żelaznej bramy w siatce, otworzył zamek, przemierzył zagruzowany dziedziniec i zniknął w jednym z magazynów. Po chwili Arjun, idąc w kucki, zbliżył się do ogrodzenia i spróbował otworzyć bramę.

– Zamknięta na klucz. Myślisz, że możemy przejść górą? – spytał.

– Zwariowałaś? Ktoś nas usłyszy i zostaniemy uwięzieni po drugiej stronie.

– Ach. Chyba masz rację.

– Powinniśmy stąd iść.

– Zaczekaj. Ktoś jest przy oknie. Słyszę głos. Tylko bądź cicho.

Olimpia kucnęła obok Arjuna, który oparł się o siatkę i wyteżył słuch, filtrując hałasy miasta i skupiając się na

głosie Heady'ego, który dobiegał z za okna:

– ... jutro rano może się pan spodziewać kilkunastu mężczyzn. Kolejnych kilkunastu jeszcze się zastanawia.

– Niech pan zaczeka na swoją kolej, panie, ach, Healey, czy tak? Są inne sprawy do załatwienia.

– Och, oczywiście. Rozumiem, proszę pana. Przy okazji, nazywam się Heady. Jestem pewien, że wykonuje pan kawał dobrej roboty, ale chodzi o to, że jest późno, a praca w tych okolicach jest obecnie bardzo niebezpieczna, więc chciałbym otrzymać zapłatę, jeśli to panu nie przeszkadza.

– Kiedy do mnie przyjdą, Heady. Nie wcześniej. Nie płacę za obietnice. Możesz tu zostać jeszcze jeden dzień. A teraz wracaj do domu.

Heady coś wymamrotał. Drugi mężczyzna zaczął rozmawiać z kimś, komu najwyraźniej udało się skorumpować niezadowolonego członka milicji hrabiny.

– Jest prawie gotowy. Chce nam pomóc, tylko jeszcze o tym nie wie. Niech mi pan da trochę więcej czasu.

– Do czegoś się przygotowują – rzekł Arjun.

Olimpia wychyliła się z za niego i wbiła wzrok w rozświetlone okno po przeciwległej stronie mrocznego dziedzińca. Głośno westchnęła i przypadła do ziemi, opierając się plecami o ogrodzenie.

– Czy to ten blondyn przy oknie jest przywódcą?

Arjun skinął głową.

– W takim razie nie powinno nas tu być. Nie powinniśmy tego widzieć. Padnij.

– Kto to jest?

– Marius Vittellan. Jeden z osobistych sekretarzy przewodniczącego Cimentiego. Jego daleki krewny. Stawałam przeciwko niemu w sądzie.

– Jest prawnikiem?

– Tak. Nie. Agentem. Załatwia różne sprawy dla przewodniczącego. Jeśli on tutaj jest... Te zamieszki, przewodniczący je wykorzystuje. Podsyca. Bogowie, może nawet rozpętał to całe cholerstwo. Może to on stoi za wypaczoną wersją *Błogosławieństwa*. Mógł zlecić jej przygotowanie swoim agentom i sprawić, żeby to wyglądało na spontaniczne działanie. A wszystko po to, by ludzie znienawidzili hrabinę, a ona musiała wykonać jakiś ruch przeciwko nam. Potem rozesłał agentów i zatrudnił ludzi takich jak Heady, którzy podburzyli tłum, a następnie dostarczyli mu broń, rozbudził w nich miłość do nas i dodał im odwagi, żeby cała ta sytuacja wybuchła Ilonie prosto w twarz. Jej „Gromowładny” nic tutaj nie poradzi. Nie ma żadnej fortecy, którą mógłby zaatakować. Żadnego przywódcy, którego można by zgładzić. Całe to cholerne miasto jest dla niej wrogą armią. Może Cimenti stoi także za Jedwabnym Jackiem, za wypuszczeniem na ulice skazańców... Bogowie, może właśnie dlatego uwolnili Nicolasa. Cimenti mógł to załatwić jednym skinieniem palca. Po to, by Nicolas poprowadził nas o jeden krok za daleko, tylko że wcześniej ten potwór go zabił... albo po to, by zginął razem z nami, gdy hrabina zwróci się przeciwko nam. W ten sposób mógłby się go

pozbyć raz na zawsze.

– Może Cimenti tylko korzysta z zamieszek, by poniżyć Ilonę. Nie mamy dowodów na to, że zapoczątkował to wszystko.

– Kurwa, nie bądź naiwny. To jego sprawka, tylko jego. On to stworzył. Pamiętasz, że tamtego dnia na Wrzosowisku coś wybuchło, a ty byłeś pewien, że „Gromowładny” nie wypalił z dział? Zmienił nas w broń i skierował przeciwko niej, aby zmusić ją do zniszczenia nas, a jednocześnie siebie samej. O, bogowie.

– Nie możesz tego wiedzieć na pewno.

– Zaraz ci, kurwa, powiem, co mogę, a czego nie mogę wiedzieć. Nie możemy nic na to poradzić. Nie powinniśmy o tym wiedzieć. Ja nie chcę wiedzieć. Nie chcę wiedzieć, że byliśmy narzędziami. Musimy stąd uciekać.

Podniosła się do półprzysiadu i odsunęła od ogrodzenia. Kiedy wstała, brama się otworzyła i wyszli przez nią Heady oraz jego ochroniarz. Olimpia znieruchomiała.

– Dobranoc, panie Heady – rzekł ochroniarz. – Niech pan uważa w drodze powrotnej.

Heady zrobił kilka kroków w kierunku Olimpii, po czym zatrzymał się i zawołał:

– Tam ktoś jest!

– Kto... ?! – krzyknął ochroniarz i skoczył w stronę Olimpii, która odwróciła się i rzuciła do ucieczki. Szybko złapał ją za ramię.

Arjun odsunął się od ogrodzenia, wyjął pistolet i

wycelował w ochroniarza. Ten upuścił latarenkę i przytrzymał Olimpię przed sobą jako tarczę. Heady uciekł bez słowa.

* * *

Jack wszedł do magazynu przez górne okno i usadowił się na zakurzonych i pokrytych pajęczynami krokwiach. Pomieszczenie w dole było zagracone pudłami; grupa mężczyzn krzątała się wśród nich w świetle osłoniętych lamp. Wysoki człowiek, którego Jack śledził, wszedł tylnymi drzwiami, porozmawiał z blondynem stojącym przy oknie i otrzymał woreczek z monetami. A może pociskami? Z zajmowanego miejsca Jackowi trudno było cokolwiek zobaczyć i usłyszeć, więc spróbował przedostać się bliżej. Po chwili do jego uszu dotarły rozmowy o broni, materiałach wybuchowych, trasach strażników, koordynacji działań, o tym, kto jest godny zaufania, a kto nie. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie powinien się ujawnić i zaproponować im swojego przywództwa.

Jeden z mężczyzn – oślizgły niski typek z siwiejącymi włosami zaczesanymi do tyłu, który nijak nie pasował do wyobrażeń Jacka o rewolucjonistach – zbierał się do wyjścia, a za nim podążał olbrzym w płaszczu. Jack postanowił ich śledzić. Przeskoczył z krokwi na krokiew, a potem na szare okno, strasząc gołębie. Poczekał, aż ptaki przestaną hałasować, i ostrożnie uchylił okno, po

czym wyszedł w ciemność.

Na ulicy panowało zamieszanie. Olbrzym trzymał jakąś ubraną w szarą sukienkę kobietę. Przystawił jej do głowy pistolet, a ona próbowała się uwolnić. Jackowi to się nie spodobało. Kilka kroków dalej stał młody mężczyzna i celował w olbrzyma z pistoletu. Jack błyskawicznie podjął decyzję. Wystartował z dachu, przeciągnął nożem po rękę osłupiałego ochroniarza i wyrwał mu broń.

Z magazynu wybiegli kolejni ludzie, by sprawdzić, co się dzieje. Jack złapał kobietę za rękę i odciągnął ją, wołając do młodzieńca:

– Mogę was zabrać w bezpieczne miejsce. Nie stójcie tak!

* * *

Gdy chłopak oddalał się od Arjuna, biegnąc ciemną ulicą, na chwilę oświetlił go blask lampy bijący z jednego z okien i jego jaskrawe ubranie zaśniło. Ciągnął za sobą Olimpię, która niemal frunęła, a jej szara sukienka wydeła się na wietrze. Arjun podążył za nimi, obawiając się, że nigdy ich nie dogoni – oddalali się tak szybko – jednak jakimś cudem dotrzymywał im kroku. Lekko i bez wysiłku. Coś działo się w przestrzeni za plecami tego dziwnego chłopca. Przypominało to Arjunowi łatwość, z jaką on komponował, gdy znajdował się w zasięgu echa Głosu. Okrzyki prześladowców cichły w oddali, aż wreszcie całkowicie umilkły. Kiedy chłopak się zatrzymał

i puścił rękę Olimpii, znajdowali się już znacznie głębiej w miejskim labiryncie. Arjun zatoczył się i oparł o ścianę, czując, że coś go opuszcza.

Znajdowali się na dziedzińcu świątyni Orillii, ducha światła. Blask ognia wylewał się zielenią i złotem przez witraże w oknach świątyni. W tym świetle chłopiec wyglądał jak barwna mozaika. Zmierzył ich wzrokiem i wzruszył ramionami.

– Tutaj będziecie bezpieczni – rzekł. Odwrócił się, jakby miał zamiar odejść. – Dlaczego ci ludzie z magazynu was zaatakowali? – spytał po chwili. – To wasi sprzymierzeńcy czy wrogowie?

– Nie wiem – odpowiedziała Olimpia. – Wydaje mi się, że mamy wspólnego wroga. Obserwowałeś ich, Jack? Bo ty jesteś Jack, prawda: Kim są dla ciebie: sprzymierzeńcami czy wrogami?

Jack pokręcił głową.

– Być może mam z nimi i z wami wspólnego wroga. Nie jestem pewien. – Przyjrzał się Olimpii. – Nie musisz się mnie bać. Możecie wracać do domu.

Olimpia chciała zaprotestować, ale chłopak już zaczął się zbierać do odejścia. Arjun odepchnął się od ściany i złapał go za rękaw.

– Jack, poczekaj. Proszę. Jeszcze nie odchodź. Potrzebujemy twojej pomocy. Długo cię szukaliśmy. Wysłuchaj nas.

Odpowiedziało mu ostre spojrzenie. Arjun puścił rękaw chłopca i cofnął się, unosząc przed sobą ręce.

– Poświęć nam kilka minut – poprosiła Olimpia. – Jesteśmy po twojej stronie. Sporo wiemy. Pomóż nam, a my pomożemy tobie.

Jack długo się w nich wpatrywał. Potem pokręcił głową i skoczył w górę, w jednej chwili wydostając się poza aureolę światła rzucaną przez świątynne lampy i znikając w ciemności. Arjun nie mógł się powstrzymać przed bezcelowym wyciągnięciem rąk w górę, jak gdyby próbował złapać chłopca. Popatrzyli na siebie z Olimpią, zaszokowani i zrozpaczeni.

Nagle usłyszeli, że ktoś odsuwa rygle po wewnętrznej stronie drzwi świątyni. Drzwi się otworzyły i wyszedł przez nie Jack.

– Nigdy nie zamykają górnych okien – wyjaśnił z chytrym uśmiechem. – Wciąż nie są na mnie gotowi. A więc chodźcie, porozmawiamy w środku. Postarajcie się mnie zaciekawić.

* * *

Olimpii nie podobał się ten arogancki dzieciak. Przerazał ją. Bała się jego mocy. Nie w pełni nad nią panował i pozwalał, by nim kierowała, więc Olimpia nie wiedziała, do czego jest zdolny. Nie licząc twarzy, tej dziwnej twarzy, nie przypominał jej Arjuna. Mimo to szybko przewyciężyła niechęć. Przywykła do negocjowania z niebezpiecznymi i niesympatycznymi ludźmi.

– Mówią, że uwalniasz ludzi z więzień. Ty i twoi Gromowładni. Czytaliśmy o was, słyszeliśmy wszystkie pieśni i widzieliśmy przedstawienia. Występujemy w imieniu organizacji, która próbuje robić coś podobnego. Pragniemy przynieść ludziom wolność; wyzwolić ich z więzienia ignorancji i niepewności. Reprezentujemy Atlas. Słyszałeś o nim?

– Jest bluźnierstwem – odparł Jack. – Tylko tyle mi powiedziano. – Siedział ze skrzyżowanymi nogami na ołtarzu. Robił to z przesadną swobodą, jakby wybrał to miejsce ze względu na wygodę, a nie dla szokującego i dramatycznego efektu. Olimpia nie dała się nabrać, ale powstrzymała się od komentarzy.

W sali było pełno świec, lamp, barwnego szkła i luster. Podczas nabożeństwa wewnątrz świątyni tonęło w świetle, niczym miasto widziane nocą ze szczytu wzgórza. Na razie jednak panował w nim mrok.

– Owszem, niektórzy nazywają go bluźnierstwem – odpowiedziała Olimpia. – Ale ci sami ludzie uznają cię za kryminalistę i...

– Nie dbam o to, czy jest bluźnierstwem. Dlaczego miałoby mnie to obchodzić?

– Ach, no dobrze. Szukaliśmy się. Chcemy ci pomóc. Jest nas wielu: słynni uczeni, dziennikarze, drukarze, dramatopisarze. Arjun, którego tutaj widzisz, skomponował muzykę do *Błogosławieństwa*. Znasz tę sztukę? Możemy opowiedzieć ludziom o tym, co i dlaczego robicie. Ale najpierw potrzebujemy twojej

pomocy. Naszym przywódcą jest profesor Holbach, który...

– Wiem, kim on jest.

– W porządku, a więc zapewne wiesz, że gdyby mógł, udzieliłby ci wsparcia. Niestety, został uwięziony, nie wiemy gdzie. Na rozkaz hrabiny Ilony. Wiem, że uwolniłeś wielu skazańców. Chcemy, żebyś uwolnił jeszcze jednego. To wszystko.

Jack popatrzył na nią sceptycznie.

– Profesor jest twórcą „Gromowładnego”. – odezwał się Arjun. – Wiesz o tym, prawda? Okrętu, od którego zaczerpnięliście nazwę. Dlaczego to zrobiliście?

– I tak nie zrozumiecie. Nie jestem niczego winien jemu, hrabinie ani wam. Sam przywłaszczyłem sobie imię „Gromowładnego”. Holbach nie wymyślił go dla mnie. Nie muszę niczego zrobić dla niego ani dla was.

– Ale być może on mógłby zrobić coś dla ciebie – odparła Olimpia. – Albo mógłby pomóc ci w zapanowaniu nad twoją mocą.

– Wydaje mi się, że nie wiesz, w jaki sposób ona działa – rzekł Arjun. – Ani do czego powinieneś ją wykorzystywać. Prawda? To widać. Holbach może ci pomóc. Jeśli go uwolnisz.

– Bogowie, nie ma powodu, żebyś odmówił – dodała Olimpia. – Zrobiłeś to samo dla setek więźniów w całym mieście. Wiemy, że nie jesteś nic winien Holbachowi ani nam. Ale nie musisz odmawiać pomocy tylko dlatego, że ktoś cię o nią prosi.

Jack zeskokczył z ołtarza.

– W porządku, wystarczy. Zrobimy to. Dlaczego nie? Ale musimy się stąd wydostać i znaleźć miejsce, w którym będziemy mogli na spokojnie o tym porozmawiać. Gdzie mieszkacie?

* * *

Wrócili piechotą do pokoju na nabrzeżu. Hoxton nerwowo przechadzał się przed budynkiem. Kiedy zobaczył, że wracają i idzie z nimi Jack, zawołał:

– Jasna cholera, to on?! To ty?! Bogowie, rzeczywiście jesteś młody. To dla mnie wielki zaszczyt, Jedwabny Jacku. Czy zgodził się nam pomóc, panno O. ?

Weszli do środka i spróbowali opowiedzieć Jackowi wszystko, co wydawało im się, że wiedzą na temat miejsca przetrzymywania Holbacha. Niczego nie byli pewni – hrabina mogła wykorzystać w tym celu wiele różnych więzień.

– Być może uda mi się czegoś dowiedzieć – rzekła Olimpia. – Znam ludzi, którzy mogli coś na ten temat słyszeć. Możliwe, że nie będą chcieli mi pomóc, ale raczej mnie nie wsypią. Warto spróbować.

Jack wyszedł rano, gdy wszyscy pozostali padali ze zmęczenia.

– Czekają na mnie moi ludzie – wyjaśnił. – Muszę być przy nich, gdy się obudzą. Niedługo wrócę. Czekaście na mnie.

* * *

Jack wrócił do fabryki, gdzie czekali na niego rozbudzeni Gromowładni. Zimnym świtem na ulicach było cicho. Arjun i Olimpia przekazali mu wszystko, co widzieli i słyszeli w magazynie: że zamieszki i ich przyczyny mogą być częścią planu Cimentiego, rodzajem subtelnego ataku na hrabinę. Nie był pewien, czy w to wierzy. Czuł, że go to przerasta. To były brudne sprawy, a on chciał wierzyć, że za wszystkim stoją czyste intencje. Postanowił, że nie wspomni o tym pozostałym, i szybko pozbył się tych myśli.

Okolo południa powietrze rozgrzało się i zaczęło cuchnąć, a chłopcy byli złani potem, po tym jak przepędzili białe szaty z ulicy Bursztynowej. Po południu Jack podążył za „Gromowładnym”, przeskakując z dachu na dach, trzymając się w bezpiecznej odległości, obserwując, jak olbrzymi okręt rzuca cień na tłumy w dole. Nagle rozległ się odległy trzask, na krawędzi pokładu pojawił się niewielki obłok dymu z lufy, po czym nasada kominowa oddalona od Jacka o niecałe sześć metrów wyleciała w powietrze. Niezły strzał! W końcu Jack się znudził i pozwolił okrętowi odlecieć. Usiadł na płaskim dachu pomiędzy pustymi drucianymi klatkami na gołębie i obserwował zachód słońca.

Wieczorem postanowił, że skoro zamierza im pomóc, to właśnie nadszedł na to odpowiedni moment. Rozkazał

Namdiemu odprowadzić chłopców do fabryki i rozpoczął wędrówkę po więzieniach w Shutlow i Czwartym Okręgu, przyglądając się im z lotu ptaka, przemykając pośród cieni, szukając Holbacha lub jakiegokolwiek siadu po nim.

* * *

Przez zamknięte drzwi kajuty Arlandes usłyszał trzask karabinowego wystrzału, a potem wiwaty ludzi. Nie wstał od stołu. Był zajęty pisaniem listu do hrabiny, w którym nalegał – z całym należnym szacunkiem i pokorą – by zezwoliła mu na pełne i niczym nieskrępowane używanie „Gromowładnego” przeciwko demonstrantom, spiskującym kryminalistom i wywrotowej hołocie na ulicach w dole.

Przez wiele tygodni „Gromowładny” pozostawał bezczynny, unosząc się tylko na niebie jak posępna chmura. Hrabina skupiała się na własnych terytoriach, które z hukiem obracały się w ruinę, nie miała więc czasu, by grozić i rozdawać ciosy dzielnicom należącym do jej rywali. „Gromowładny” nie miał również nic do roboty w Shutlow, Okręgu Barbarii i Czwartym Okręgu: na cóż mogła się przydać taka broń przeciwko skandującym i rzucającym kamieniami demonstrantom?

Przynajmniej tak twierdziła hrabina. Z oschłym i zimnym uśmiechem zabroniła Arlandesowi strzelać z dział okrętu; zalecała cierpliwość i marzyła, że jej poddani

ponownie ją pokochają.

A teraz w ogóle nie chciała rozmawiać z Arlandesem. Trzy dni temu posłaniec dostarczył kapitanowi rozkazy, podpisane nie przez hrabinę, a przez jej kuzyna, sir Brice'a. Miał sprowadzić „Gromowładnego” z powrotem do suchego doku w pałacu na Wrzosowisku Chwały i zaprzestać bezcelowych podniebnych patroli. Arlandes zaprotestował, a wtedy Brice wyjaśnił mu, że legenda „Gromowładnego” cierpi na tym, że okręt nie potrafi skutecznie przeciwstawić się uczestnikom zamieszek. Mimo to Arlandes kontynuował regularne patrole, a Brice więcej go nie niepokoił.

W hierarchii dowodzenia powyżej Arlandesa zapanował ogólny kryzys porządku i motywacji. Wśród żołnierzy niższych rangą również nastąpił rozkład dyscypliny. Zdarzały się dezercje i ucieczki, nawet wśród ludzi pozornie godnych zaufania: Bradley, a zapewne także Yager, zostawili złożone czerwone mundury na piętrowych łóżkach i przyłączyli się do buntowników. Albo też zaszyli się w jakichś norach ze swoimi żonami, co w oczach Arlandesa stanowiło takie samo zaniedbanie obowiązków.

Dwa tygodnie temu zaraza zabiła pułkownika Duncana, który zaczął kaszleć i wymiotować, a potem zwinął się w kłębek i umarł, a pozostali wyrzucili jego ciało za burzę gdzieś nad Rzeką, bojąc się zarażenia. Dautry umarł w taki sam sposób. Ich ciała, zgniłe jeszcze przed śmiercią, spadły z rufy okrętu jak guano. Same złe nowiny.

Dlatego pozostali żołnierze, powodowani nudą, strzelali z karabinów z krawędzi pokładu, gdy tylko dostrzegali na dachach w dole jedno z tych nieświętych dzieci. Ze względu na olbrzymią odległość, jak dotąd nie udało im się dobrać żadnemu z nich do skóry.

Arlandes im tego nie zabraniał. Jego uwagę pochłaniał list, który pisał. Nalegał w nim, z całym należnym szacunkiem i tak dalej, by hrabina wzięła pod uwagę to, że być może sytuacja wcale nie ulegnie poprawie, jej ludzie już jej nie pokochają, a wszystko bezpowrotnie obróciło się w ruinę, zostało zdruzgotane i skażone. Dlatego najlepszym wyjściem jest zaatakowanie z całą pozostałą mocą, bez względu na konsekwencje. Oczywiście nie wysłał tego listu, podobnie jak poprzednich wersji. Było mu jednak niedobrze na myśl, że tak potężna broń została pozbawiona siły; wszak stworzenie jej wymagało wielkiej ofiary.

* * *

Olimpia udała się razem z Hoxtonem w odwiedzinach do mężczyzny, którego poznała w rachubie hrabiny, a który w przeszłości stanowił dobre źródło plotek. Następnego dnia odwiedziła kobietę archiwizującą dokumenty dla dworu hrabiny i po otrzymaniu łapówki czasem dzielącą się ich treścią. Arjun nie mógł w żaden sposób pomóc, tkwił więc samotnie w pokoju na nabrzeżu, siedząc na podłodze ze skrzyżowanymi nogami i medytując nad

Głosem i jego pieśnią.

Jack wrócił trzy dni później; wszedł nad ranem do ich pokoju przez okno. Olimpia spała w swoim łóżku, a pozostali na kocach rozłożonych na podłodze. Jack obudził ich pukaniem w zardzewiałą ramę łóżka.

Olimpia poderwała się gwałtownie, ale stłumiła szok wywołany pojawieniem się chłopca. Potrzebujemy go, przypomniała sobie.

– Jack. Jack, wiem, gdzie go trzymają – powiedziała. – To tajna informacja, ale znam kogoś... ona pozwoliła mi zobaczyć rozkaz przeniesienia Holbacha do...

– Żelaznej Róży – przerwał jej Jack. – Wiem. Nie potrzebuję żadnych znajomości. Mogę w każdej chwili włamać się do ich archiwum.

– A więc to zrobisz? – spytał Arjun.

– To daleko na północy – odparł Jack. – A moi Gromowładni są zajęci białymi szatami. Musielibyśmy zaprzestać walki lub się rozdzielić. Oczywiście mogliby to robić beze mnie – dodał szybko.

– To najpotężniejsze więzienie w mieście – rzekł Arjun. – Przynajmniej w znanej nam części Ararat. A wy jeszcze go nie atakowaliście, prawda? Jeśli tak, to nic o tym nie słyszałem. Odpuścisz im?

– Powiedziałem, że to zrobię, i tak się stanie. Zawsze dotrzymuję obietnic. Wy nie? Jeśli chcecie, możecie udać się ze mną na północ.

– Tak – odrzekła Olimpia. – Pójdziemy.

– W takim razie wrócę wieczorem. Wyruszymy w

nocy.

* * *

Kiedy wrócił, czekali już na niego. Spakowali swój skromny dobytek – garść przedmiotów, które Olimpui i Hoxtonowi udało się zgarnąć ze swoich domów, kilka niezbędnych drobiazgów, które Arjun kupił na targowiskach na nabrzeżu, oraz trochę jedzenia i innych zapasów – opuścili pokój i ruszyli w drogę. Jack szedł z nimi, zakrywając jaskrawą koszulę kurtką.

Powędrowali na zachód i północ, przez Czwarty Okręg. Raz zatrzymał ich oddział żołnierzy i kazał im zawrócić z ulicy Pivena; toczyły się tam walki i dla rodziny takiej jak oni najbezpieczniej było trzymać się z daleka. Przecież są zwyczajną rodziną, prawda? Chyba nie szukają kłopotów? Arjun przeprosił żołnierzy za to, że marnują ich czas, po czym poprowadził całą grupę w przeciwną stronę. Wkrótce znaleźli inną drogę na zachód. Nad linią dachów, w odległości kilku ulic widzieli blask pożaru, a pod stopami chrzęściły im połamane cegły.

Jack wskazywał drogę – idąc na końcu procesji, zwawo, nerwowo i z entuzjazmem. Zupełnie jak pies pasterski, pomyślała Olimpia, przez chwilę czując do niego sympatię, zanim nie przypomniała sobie, że powinna być ostrożna. Po kilkugodzinnym marszu znaleźli się na wschodnim krańcu Czwartego Okręgu, na pustej ulicy otoczonej fabrykami, które pozamykano i

odgrodzono siatką.

– To tutaj – odezwał się Jack. – Zaczekajcie. Wrócę po was.

Odszedł pogrążoną w mroku ulicą i wspiał się na ogrodzenie.

– Myślicie, że możemy mu zaufać? – spytał Hoxton.

– Nie wydaje mi się, by to była pułapka, jeśli o to ci chodzi – odrzekła Olimpia. – Gdyby chciał nas okraść lub zabić, to miał już ku temu wiele okazji.

Hoxton parsknął z niedowierzaniem.

– On nam pomoże – rzekł Arjun. – Musi. Nie może postąpić inaczej.

Jack wrócił po około dwudziestu minutach. Towarzyszyło mu kilkanaścioro młodych ludzi. Byli chudzi i ubrani w brudnoszare stroje ozdobione jaskrawymi herbami. Kilkoro z nich było jeszcze dziećmi; większość, tak jak Jack, była już niemal młodymi mężczyznami. Była z nimi także jedna dziewczyna o kwadratowej szczęce. Przypatrywali się przybyszom podejrzliwie i z niechęcią.

– Nie potrzeba mi nikogo więcej – oznajmił Jack. – Jeśli chcecie, chodźcie z nami.

* * *

Obie grupki powędrowały z powrotem przez nabrzeże i przekroczyły Szczękę. Po drugiej stronie czekał inny świat. Na ulicach panował spokój i porządek. Już prawie

zapomnieli, jak wyglądają ulice wolne od przemocy. Okna nie były zabarykadowane. Nad ulicami wisały nienaruszone sznury z praniem. Świeciły latarnie.

Ruszyli na północ ulicą Cato. Jack i dorośli szli na przodzie, a Gromowładni podążali za nimi, kryjąc się w cieniach. Gdy wspięli się na wzgórze, w oddali ujrzeli czarną sylwetkę Żelaznej Róży wznoszącą się na tle szarych obłoków.

Żelazna Róża była jedną z najbardziej rozpoznawalnych budowli w mieście. Przynajmniej w tej jego części, którą znał Arjun – z pewnością istniały miejsca, w których o niej nie słyszano. Pewnego dnia, gdy poruszyły się skały pod miastem, pięć potężnych pradawnych wież z czarnego kamienia zaczęło się pochylać ku sobie, aż w końcu przewróciły się na siebie i, ku zaskoczeniu wszystkich, powstrzymały nawzajem swój upadek. Utworzyły krąg, koronę, różę. Późniejsze pokolenia zabezpieczyły powalonych olbrzymów za pomocą sieci żelaznych rozperek i dźwigarów. Wysoko nad ziemią zbudowano mosty i przejścia między wieżami, a je same poprzecinano labiryntem tuneli, które biegły pod dziwnymi kątami.

Przez pewien czas Żelazna Róża pełniła rolę fortecy, potem świątyni, aż w końcu stała się więzieniem. Była niezwykle obszerna, znacznie przewyższała potrzeby nawet najbardziej okrutnych miejskich władców. Nikt nie miał tylu wrogów. Dlatego szlachcice się nią podzielili. Za sprawą skomplikowanego traktatu uznano budowlę za

własność miasta. Jej przypominające labirynt wnętrze zostało podzielone na tysiąc stref, w których obowiązywały zasady wynikające z kodeksów prawnych różnych Kościołów i władców.

Powiadano, że możliwa jest ucieczka tunelami lub mostami z jednej strefy do drugiej, tak że osoba aresztowana z polecenia – przykładowo – władcy Czerwonego Kopca może zbiec przed jego okrutnym prawem pod skrzydła – również przykładowo – łagodniejszego, bardziej pobłażliwego i kapryśnego reżimu sal Lavilokana. Jeden z drukarzy przesiadujących w domu Holbacha twierdził, że tego dokonał.

Tak jak wszystko inne w Ararat, Różę kształtowali bogowie. Jej mroczne korytarze stanowiły teren zmagania dwóch sił. Klucz przemierzał więzienie, otwierając bramy i zrywając łańcuchy – jeśli potrafiło się go odnaleźć i za nim podążyć, mogło się uciec. Łańcuch był bóstwem zniewolenia i przymusu, którego należało unikać za wszelką cenę: zamykał drzwi, zmieniał przejścia, które mogły prowadzić do światła, w zamknięte pętle, jeszcze bardziej pogrążał więźniów w niewoli. Ścieżki obu tych sił wciąż się krzyżowały, na zmianę zamykając i otwierając mijane tunele.

Krażyły plotki, że twórcy Atlasu dysponowali mapą Róży, którą sporządził jeden z badaczy cudem przemycony do środka, ale nigdy jej nie opublikowali, gdyż bez wątpienia ściągnęłoby im to na kark srogi odwet. Arjun nie wiedział, czy to prawda. Zresztą w tej chwili nie

miało to znaczenia.

– Nie tędy – rzucił Jack, gdy dotarli do wielkiego złotego łuku, który prowadził na północ do Goshen Tor. – Zbyt wielu strażników.

Zeszli ze wzgórza na zachód, nad brzeg Rzeki, skąd Róża nie była widoczna. Poczuli ulgę. Jej sylwetka na horyzoncie napełniała ich niepokojem. Arjun bał się wejść do środka.

Powędrowali wzdłuż rzeki na północ, przedzierając się przez pustkowia zasypane złomem i porośnięte krzewami, pośpiesznie mijając strefy załadunku i mola, na których nocą panował spokój, i ostrożnie przemykając wzdłuż dzielnic wycieczkowych oraz pałaców. Jack krążył tam i z powrotem pomiędzy obiema grupami, omawiając plany z Gromowładnymi, a z grupą Arjuna wędrując w ciszy, nie licząc chwil, gdy musiał ustalić dalszy kurs z Hoxtonem, który dobrze znał Rzekę.

Arjun szedł obok Jacka, gdy pokonywali kamienną płaszczyznę, na której w dużych odstępach stały rzeźby kobiet odzianych w długie szaty, spacerujących nad rzeką z wyciągniętymi przed siebie rękami, jak gdyby przynosiły nad wodę jakąś ofiarę lub przyzywały coś z głębin. Chłopiec – był już prawie mężczyzną, ale miał w sobie coś nieuleczalnie niedorosłego: absurdalne ubranie, gorączkowy entuzjazm, wdzięk – jednocześnie fascynował i odpychał Arjuna. Widać było, że Jackiem kieruje obsesja. Dziwaczna osobista misja. Arjun zastanawiał się, czy on również wydaje się innym ludziom

tak dziwny. Musiał spytać.

– Jack. Posłuchaj mnie przez chwilę. Wiem, że się tutaj wychowałeś, w tym mieście. Macie tu wielu bogów. Kochacie ich i nienawidzicie zarazem, w sposób, którego nie jestem w stanie do końca zrozumieć. My mieliśmy tylko jednego boga, który był dla nas wszystkim. Chciałbym wiedzieć, czy potrafisz to zrozumieć. Dlaczego zrobiłem to, co zrobiłem.

Jack wysłuchał w ciszy historii Arjuna, która zaczęła się na równinach, gdzie Arjun po raz pierwszy usłyszał echa Głosu w piosence, którą Matka Abayla śpiewała mu, gdy był dzieckiem. Mówił szeptem: opowieść była przeznaczona tylko dla Jacka.

– Rozumiesz, dlaczego musiałem tutaj przybyć? Zrobiłbyś to samo?

Minęli jeden z posągów, przechodząc po obu jego stronach. Jack pokręcił głową i spojrzał na Arjuna lodowatym wzrokiem.

– To marnotrawstwo. Egoizm. Niczego nie robisz. Nikt o tym nie wie i nikt o to nie dba. Jesteś sam.

Arjun poczuł się dotknięty, ale chyba spodziewał się takiej odpowiedzi.

Po kilku minutach Jack odezwał się szeptem:

– Kiedy byłem mały, na Wrzosowisku grasował potwór. „Hiena”. A ja poszedłem jego śladem...

Arjun wysłuchał opowieści Jacka o niewoli w Domu Barbotina i ucieczce, powolnym odkrywaniu w sobie darów Ptaka, dyscyplinowaniu Gromowładnych i nadaniu

im tej nazwy, zadaniach, jakie im powierzał.

Na końcu Arjun mógł tylko powiedzieć:

– Przykro mi, ale nie rozumiem. Nie możesz nic zapewnić ludziom, których uwalniasz. W końcu i tak trafią z powrotem za kratki. W ten sposób nie zmienisz miasta. To nie potrwa wiecznie, a kiedy tylko skończysz, oni zaczną od nowa. Nie zmienisz tego. To bez sensu. Przykro mi.

Jack wzruszył ramionami.

– Nie spodziewałem się, że zrozumiesz. Ale to bez znaczenia.

– Tak. Myślę, że masz rację.

* * *

Na horyzoncie widzieli odległy czerwony blask. Nawet po tych wszystkich miesiącach spędzonych w mieście Arjun i tak przez chwilę myślał, że to światło świtu. Ale blask pojawił się na dalekiej północy: to był Tyber. Płomień. Wcale nie świtało. Był środek nocy, która wydawała się Arjunowi najciemniejsza i najdłuższa ze wszystkich, jakie dotąd przeżył.

Rzeka przypominała bardzo długi mroczny tunel prowadzący w czarną pustkę. Chociaż była letnia noc, Arjun czuł chłód wokół stóp. Szli przez pusty teren przemysłowy. Nad nimi wznosiły się zardzewiałe dźwigi; Arjunowi wydawało się, że znajduje się na dnie rzeki, a dźwigi to grube kołyszące się lodygi. Zupełnie jakby...

Rozpoznał objawy. W jego głowie pulsowały rany, w odpowiedzi na zbliżającą się obecność. Nadchodziła wzdłuż rzeki. Dlaczego był na tyle głupi, żeby się zbliżyć do wody? Czy po prostu nie chciał wyjść na tchórza przed chłopcem?

Nagle się zatrzymał i odwrócił w stronę Olimpii.

– Nadchodzi – powiedział. – Znowu. Musimy oddalić się od wody.

Pomachał do Jacka i idących z tyłu Gromowładnych. Jack podbiegł do niego (ależ szybko) i Arjun powiedział:

– Coś nadchodzi. Potwór. Rzeczne bóstwo. Zaraza. Znalazł nas. Proszę, nie dyskutuj. Musimy odsunąć się od wody, wejść wyżej.

– Możecie mu wierzyć – odezwała się Olimpia. – On potrafi go wyczuć.

W powietrzu pojawił się nieprzyjemny zatechły zapach. Jack pociągnął nosem i skrzywił się z niesmakiem. Gestem przywołał pozostałych chłopców.

– Musimy oddalić się od wody – oznajmił. – Nadchodzi coś niedobrego. Potem on wam wszystko wyjaśni. Szybko.

Chłopcy wyjęli spod ubrań noże i pistolety, po czym ruszyli drogą na wschód, na ugiętych kolanach i oddalając się od nabrzeża i dźwigów. Grupa Arjuna szła na przodzie. Po chwili dotarli do ogrodzenia. Jeden z chłopców miał bezwładną nogę, więc musieli go przenieść.

Brukowana droga prowadziła na wschód w górę

Wzgórza Kapturów. Otaczające ją budynki były pogrążone w ciemności. Kiedy je mijali, gasły kolejne światła i zamykały się okiennice, a Arjun zastanawiał się, czy robi to nadchodząca istota, czy raczej przestraszeni ludzie, którzy czują jej obecność i się ukrywają. Droga wydawała się bardzo stroma, a bruk był mokry. Przemieszczali się powoli, cały czas ześlizgując się z powrotem w stronę wygłodniałej wody.

* * *

Wszyscy wyczuli go w tej samej chwili, gdy znalazł się za ich plecami, i gwałtownie się odwrócili.

Za nimi panowała ciemność, na niebie nie było widać gwiazd. Czuli lodowate powietrze i straszliwe ciśnienie. Było bezwietrznie, ale gałęzie drzew rosnących wzdłuż ulicy trzęsły się, miotły i pękały.

Między kamieniami spływała brudna woda.

– Widzę to – odezwał się Jack.

Niektórzy chłopcy zaczęli płakać. Olimpia zatoczyła się do tyłu i poślizgnęła na mokrym bruku. Arjun stanął przed nią. Nie wiedział co robić. Poczuł nagłą szaloną potrzebę śpiewania. Muzyka może zranić potwora. A jeśli nie, to przynajmniej Arjun umrze, mając w uszach Głos. Miał jednak ściśnięte gardło.

– Jest olbrzymie – powiedział Jack. – I obrzydliwe. – Skupiał wzrok na jakimś niewidzialnym punkcie wysoko nad mroczną ulicą. Jego szeroko otwarte oczy szybko się

poruszały, jakby to, na co chłopak patrzył, skręcało się i wiło. – Bogowie, tylko na to spójrzcie. Jak bardzo cierpi.

Hoxton złapał Jacka za rękę.

– Co widzisz? – spytał.

Jack mu pokazał. Wtedy Hoxton mruknął i ruszył naprzód. Chwycił za kołnierz leżącego płaczącego chłopca, po czym na wpiół pchnął, a na wpiół rzucił go w stronę Arjuna. Następnie wyjął oba pistolety i wypalił w ciemność.

* * *

Zapadła długa cisza, która pochłonęła echa wystrzałów. Ciemność nie rozproszyła się ani nie pogłębiła. W dalszej części ulicy rozległ się odgłos pękającej szyby, a po nim kolejny, i jeszcze jeden.

Hoxton zaczął szukać kolejnych pocisków, lecz ich nie znalazł. Zaklął i odwrócił się do pozostałych.

– Uciekajcie, idioci! – krzyknął.

Jack drżał z gorączkowej fascynacji, niemal wspinając się na palce, by lepiej widzieć.

– Bogowie – jęknął – to nas widzi.

Nie byli już w stanie niczego dostrzec w ciemności. Ulica za nimi zmieniła się w cuchnącą otchłań.

* * *

Hoxton cisnął oba puste pistolety w ciemność,

wyrzucając do przodu najpierw prawą, a potem lewą rękę i wydając z siebie niezrozumiały ryk. Następnie wyjął z pochwy na plecach ciężki nóż i ponownie krzyknął:

– Uciekajcie!

Arjun i Olimpia oddalili się chwiejnym krokiem, potykając się w ciemności na śliskich omszałych kamieniach, na zmianę ciągnąc za sobą dzieci i pozwalając, by to one ich ciągnęły, oraz pomagając sobie nawzajem. Arjun ciągle oglądał się przez ramię, ale nie widział niczego poza ciemnością.

Hoxton również odwrócił się i zaczął uciekać przed czarnym obłokiem, zdążył jednak postawić tylko trzy kroki, gdy nagle stracił równowagę na śliskiej mazi, którą miał pod stopami. Obłok go otoczył. Arjunowi wydawało się, że Hoxton spada gdzieś daleko w pustą ciemność, choć nadal tam był, klęcząc na bruku i wyciągając ręce z prośbą o pomoc, przeraźliwie samotny.

Ciemność uniosła się pod niebo. Ulica była zachlapana łajnem i cuchnącą wodą. Zielsko i mokre liście wirowały i unosiły się w nieruchomym, bezwietrznym powietrzu. Pod nogami mieli rozkładające się szczątki, kawałki drewna, stare zniszczone cegły śliskie od mchu. Wydawało się, że ulica się rozpada. Gdy Arjun powoli i niepewnie się cofał, szyld pubu zerwał się z przerdzewiałych łańcuchów i spadł mu pod nogi. Przegniłe drewno rozpadło się na dwie części. Rozległy się krzyki: Olimpii, chłopców, ludzi w okolicznych budynkach, zapewne także jego.

Hoxton upadł w samym środku mrocznego obłoku. Wydawało się, że okryła go jeszcze głębsza ciemność, jakby został pochwycony przez powódź czarnego błota, które wypłynęło spod bruku. Ciemność zakryła jego usta. Zakrztusił się. Następnie zasłoniła mu oczy.

Hoxton utonął. Trwało to tylko kilka chwil, które jednak ciągnęły się w nieskończoność. (Wystarczająco długo, by wszyscy o tobie zapomnieli, pomyślał Arjun. Właśnie tak długo zabija ta istota).

Ktoś przepchnął się obok Arjuna. Wysoko ponad jego głową przemknął biały punkt, który pozostawił za sobą świetlisty ślad i zawisł przed atramentowoczną chmurą.

– Goń mnie, potworze! – wrzasnął Jack. – Goń mnie!

Rzucił w ciemność swój piękny kradziony nóż i obrócił się w powietrzu jak tropikalna ryba wirująca w wodzie, po czym pomknął ponad ciemnością, na zachód, na drugą stronę rzeki, ku gwiazdom. Noc popłynęła za nim.

* * *

Ulice znów opustoszały. Na niebie zabłysły gwiazdy i pojawiła się chłodna letnia bryza. Kilka osób wyglądało przez wybite okna. Wszędzie wałały się odpadki i szczątki. Na bruku spoczywało pokryte szlamem ciało Hoxtona. Olimpia podbiegła do niego, dotknęła jego piersi i zapłakała.

Gromowładni stali dookoła i zaszokowani spoglądali w niebo. Bez swojego przywódcy nie robili dobrego

wrażenia. Byli tylko niedożywionymi i wystraszonymi chłopcami. Muszę im szybko coś powiedzieć, pomyślał Arjun. Zanim wpadną w panikę. Usiłował nie pokazywać, jak bardzo wyprowadzają go z równowagi.

– Musimy iść dalej – rzekł. – Jack chciałby, żebyśmy to zrobili.

– Musimy na niego zaczekać – warknął chłopak z chorą nogą. – On wróci. Jeśli pójdziemy, to jak nas znajdzie?

– Nie wierzysz w niego? Znajdzie nas. Ucieknie tej istocie i nas znajdzie. Jeśli tutaj zostaniemy, to potwór może stracić zainteresowanie Jackiem, wrócić i nas pozabijać. Chcesz, żeby Jack został sam? Chcesz, żeby wrócił i odkrył, że wszyscy zginęliśmy? Wiem, czego by od was chciał. Pomyśl.

Popatrzyli na niego, mrużąc coś pod nosem.

– Jak masz na imię? – spytał Arjun chłopca, który się odezwał.

– Namdi.

– Namdi. Pomyśl o tym, jak on ryzykuje, odciągając od nas tę istotę. Teraz ty musisz podjąć ryzyko i ruszyć dalej bez niego. On nas znajdzie. Ale my nie możemy tutaj zostać.

Nie spodobało im się to, ale także nie mieli ochoty zostać. To miejsce zostało naznaczone przez potwora.

Na brudnej ulicy zauważyli jakiś błysk – nóż Jacka. Arjun go podniósł. Potem delikatnie pomógł wstać Olimpiii i w milczeniu ruszyli w dalszą drogę, prowadząc chłopców w górę wzgórza, na wschód, a potem ponownie

na północ, ku Żelaznej Róży.

Rozdział 38

Na wschód od Żelaznej Róży znajdował się niewielki park. W jego centrum, nad stawem, stała kawiarnia. Było to przygnębiające miejsce, które przez większość dnia kryło się w cieniu kompleksu więziennego.

Arjun i Olimpia spędzili cały poranek, popijając kawę przy stoliku z kutego żelaza w ogródku przed kawiarnią.

– Bardzo mi przykro z powodu Hoxtona... – zaczął Arjun.

– To nie twoja wina – przerwała mu Olimpia. – Nie, zaczekaj, raczej nie mamy pewności, że to twoja wina. Może potwór ścigał ciebie, a może nas wszystkich. Przecież zabił Nicolasa. Możliwe, że sobie nas upodobał. Być może obrażamy go swoją działalnością.

– Olimpio, nawet jeśli to mnie ściga potwór, ja się o to nie prosiłem. Próbuję wam pomóc. Mogę odejść, jeśli sądzisz, że narażam was na niebezpieczeństwo.

– Wiem. Przepraszam.

Zapaliła papierosa i głęboko się zaciągnęła, po czym wypuściła dym. W świetle poranka i w szarym cieniu wyglądała na bardzo zmęczoną.

– Czy wcześniej też się tak zachowywał? – spytała.

Wzruszył ramionami.

– Nie. Tak. Chyba z dnia na dzień robi się gorszy. Cierpi. Słyszałaś, co powiedział Jack. Będzie coraz bardziej wściekły. Widziałem go wcześniej i wtedy tylko

mnie obserwował. Tym razem wykonał ruch i... Uczy się zabijać.

– Pierdolony Shay. – Potarła skronie. – Głowa mi od tego pęka.

– Czekanie tutaj nie jest łatwe – zgodził się Arjun. – Znaleźliśmy się daleko od strefy wpływów hrabiny, ale i tak...

– Mniejsza z nią. Przewodniczący też będzie chciał nas zabić. Jeśli rzeczywiście wykorzystał nas, by ją sprowokować, to... cóż, stanowimy niedomknięty wątek. Będą nas szukali jego agenci. To ich najbardziej się boję.

Oboje nerwowo się rozejrzeli. Nie czuli się dobrze wystawiając się na widok publiczny, ale musieli czekać gdzieś, gdzie Jack mógł ich dojrzeć z powietrza. To samo robili Gromowładni, którzy zajęli miejsca na dachach wokół parku, eksponując swoje herby. Zapewnili Arjuna, że Jack ma sokoli wzrok.

– O tym nie pomyślałem. Olimpio, co zrobicie, jeśli uda nam się uwolnić Holbacha? Będziecie mogli nadal działać w mieście?

– Być może. Jeśli przeniesiemy się gdzieś dalej. Na zachód albo na wschód. Musielibyśmy zacząć od nowa. Sama nie wiem. Zobaczymy.

Ponownie zamówili kawę. Właścicielka lokalu przyglądała się im podejrzliwie.

– Nasz brat tam jest – skłamała Olimpia. – Przyszliśmy tutaj, żeby być blisko niego. Myślę, że może poczuć naszą obecność, nawet jeśli nas nie widzi. Zgodzisz się ze mną,

Simonie?

– Również mam taką nadzieję – przytaknął Arjun.

Zobaczyli Jacka dopiero wtedy, gdy wylądował obok nich i jednym łykiem wychylił kawę Olimpii. Otarł usta rękawem i się uśmiechnął.

– Wyprowadziłem to coś daleko stąd. Gdy świtało, uciekłem mu gdzieś na zachodzie. Nie było zbyt szybko. – Nagle czymś się zatroskał. – Przykro mi z powodu twojego ochroniarza. – Pochylił się nad stolikiem. – No więc, co to było? Przypominało boga, ale żaden bóg się w ten sposób nie zachowuje. Przede wszystkim, żaden bóg nie da się zgubić, a właśnie to z nim zrobiłem.

Arjun próbował wyjaśnić.

Jack pokręcił głową.

– Kurwa mać. Przyjrzałeś mu się?

– Nie.

– A ja tak. Mam dobry wzrok. Chcecie wiedzieć, jak wygląda?

– Raczej nie – odparła Olimpia.

– Jak wolicie. – Pozornie nie ruszając rękami, ukradł i zapalił jednego z papierosów Olimpii. – Teraz będzie tropił także mnie?

– Niewykluczone. Nie wiemy. Nie rozumiemy, w jaki sposób on myśli. Jeśli w ogóle myśli. Być może Holbach znajdzie jakiś sposób, by go powstrzymać. Dużo wie o takich rzeczach.

– Powinniście byli mnie uprzedzić.

– Chyba nie spędziliśmy ze sobą wystarczająco dużo

czasu, by ci zagrażał. Jest bardzo powolny. Nie czai się za każdym rogiem.

– Jest powolny, a ja jestem szybki. Ale i tak powinniście byli mnie uprzedzić.

– Przepraszamy – odrzekła Olimpia. – Jesteś nam potrzebny. Wierzę, że Holbach może go powstrzymać. Potwór staje się coraz silniejszy i znaleźlibyście się w niebezpieczeństwie nawet gdybyście nigdy nas nie spotkali. Ale to prawda, że przebywając z nami bardziej się narażacie. Nie chcemy wam tego robić, więc jak najszybciej wykonajcie zadanie, żebyśmy mogli się rozstać. Powinniśmy zacząć od razu.

Jack obdarzył Olimpię protekcyjnym spojrzeniem.

– Już zacząłem. Gromowładni właśnie zdobywają wszystko, czego będziemy potrzebować. Myśleliście, że was ze sobą zabiorę? Na nic mi się nie przydadacie. Jesteście za starzy i za powolni. Macie gdzie się zatrzymać, kiedy my będziemy pracować?

Arjun poklepał się po kieszeniach. Z kieszeni kurtki wyjął plik luźnych kartek i zaczął je przeglądać. Były tam arkusze z nutami, kartki zapisane odręcznie w obcych językach, wypełnione dziwnymi nieprzetłumaczonymi słowami oraz złożonymi deklinacjami i koniugacjami w tuwarskim, kaelskim i ghentiańskim, a także stare skrawki papieru, na których nerwowo zapisywał swoje dochody i wydatki. Olimpia uniosła brew, lecz on tylko wzruszył ramionami. Jack spokojnie przyglądał się jego poczynaniom; Arjun zastanawiał się, czy chłopak potrafi

czytać.

– Potrafisz czytać, Jack?

Chłopak skinął głową.

– To dobrze – powiedział Arjun.

Znalazł też starannie poskładane kartki, na których kiedyś rysował mapy. Podczas swoich wędrówek – to było tak dawno temu – usiłował stworzyć mapę Ararat. Teraz zastanawiał się, jak bardzo zmieniło się miasto od czasu, gdy w ten sposób marnował atrament. Rozpościerał kolejne kartki i odkładał je na bok. Olimpia podnosiła je i pobieżnie przeglądała. Połowę jednej ze stron zajmował plan Faugere. Arjun oddał drugą połówkę i zapisał na niej:

*Hotel MacLeod, ulica Botaniczna, pokój 11
na południe od Żelaznej Róży
na północ od Świątynnych Luster
na zachód od ulicy Mundyego
(poniżej trzech wysokich wiatraków,
powyżej Misji).*

Olimpia przechwyciła kartkę.

– Jeśli go z tym złapią, to po nas przyjdą.

– Nie złapią go. Prawda, Jack? Nie złapią cię, a ty o nas nie zapomnisz. – Arjun delikatnie wyjął kartkę z rąk Olimpii i podał Jackowi, który złożył ją i schował do kieszeni kurtki.

Jack skinął głową. Potem wstał z krzesła, odwrócił się,

przeskoczył nad płotkiem i zniknął w zaroślach. Po kilku chwilach usłyszeli odgłos stóp uderzających o dachówki.

* * *

Wysokie dźwigary z dziurawego i rdzewiejącego żelaza utrzymywały razem wieże i skrzydła Róży, jej osłonięte mostki i nieużywane przejścia. Grube żelazne elementy osiadły i pochyliły się z wiekiem. Kable przecinały niebo niczym takielunek, spinając skrzypiącą budowlę.

Czasami strażnicy wypychali tutaj jakiegoś więźnia i zamykali za nim drzwi, pozostawiając go ptakom. W kilku miejscach z iglic i dźwigarów zwieszały się przeżarte rdzą klatki; w środku zółciły się kości.

Namdi i Een siedzieli na jednym z dźwigarów, który sterczał z południowo-wschodniej wieży pod przedziwnym kątem, jak złamane żebro. Spędzili tam we dwóch cały poranek, odkąd Jack ich zostawił. Teraz, gdy już wrócił, czekali razem, aż gorące popołudnie ustąpi miejsca wieczorowi.

Wiele lat temu ktoś pomalował większą część dźwigara na czarno; teraz pozostały na nim tylko łuszczące się czarne płatki farby. Jack leniwie je skubał, odrywając od żelaza, i pozwalał im łagodnie opadać na dachy. Miał długie i brudne paznokcie, pod którymi widniały ślady rdzy. Było bezwietrznie i jego długie tłuste czarne włosy wisiały nieruchomo.

Namdi siedział po lewej stronie Jacka, opierając się

plecami o płataninę kabli i wyciągając chorą nogę wzdłuż dźwigara. Palił papierosa. Mały Een siedział ze skrzyżowanymi nogami po prawej stronie przywódcy, na kolanach trzymając karabin (absurdalnie wielki w zestawieniu z jego posturą).

Pod nimi – daleko w dole – znajdował się płaski dach zasypany żwirem. Z jego krawędzi opuszczały się pokryte dachówkami spadziste płaszczyzny, pod którymi – na granicy zasięgu strzału z karabinów Namdiego i Eena – w ścianach wieży tkwiły matowe lustrzane szyby.

W dole zazgrzytały otwierane drzwi i rozległ się brzęk łańcuchów. Trzej strażnicy uzbrojeni w pistolety i pałki wyprowadzili na dach grupkę bladych i kościstych mężczyzn. Więźniowie trzymali w rękach coś, co na pierwszy rzut oka również wyglądało na broń, ale okazało się miotłami. Przez godzinę zamiatali żwir. Żaden nie spojrzał w górę. Duszne i bezwietrzne popołudnie ciągnęło się bez końca.

Namdi osłonił oczy przed blaskiem zachodzącego słońca i przyjrzał się skazańcom na dachu.

– To chyba nie jest jeden z nich. Jak sądzicie?

– On jest grubszy. Znacznie grubszy.

– Mógł stracić na wadze.

– Racja. Ale nie tak dużo i nie tak szybko.

– Racja. Biedacy.

– No.

– Zaoszczędzilibyśmy sporo czasu. Moglibyśmy go capnąć i nikt nie musiałby się zapuszczać do środka. Tak

by było łatwiej.

– Czy my jesteśmy sklepikarzami? Szukamy okazji do łatwego zarobku? To ma być zabawa.

– Może dla ciebie. – Namdi przesunął sztywną nogę. – Dla mnie to długie wyczekiwanie.

– Przestań marudzić. Po to masz broń, żołnierzyku, żeby z niej strzelać. Co innego chciałbyś robić?

Namdi wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Masz rację. – Przez chwilę patrzył Jackowi w oczy; Jack znów był wściekły bez powodu. Po śmierci Fissa stał się nie do wytrzymania. – Czerwone mundury i tak by mnie teraz nie przyjęły. Tak jak mówisz, to będzie zabawa. Tylko spójrzcie na tego wielkiego czarnego żelaznego drania. – Gdy więźniowie wrócili do środka, popędzani kopniakami i okrzykami strażników, Namdi pstryknięciem zrzucił papierosa na dach. – Nawet jeśli nie wrócimy, to nie jest złe miejsce na śmierć.

Jack skrzywił się, a następnie uśmiechnął.

Kilka minut później wstał, balansując na żelaznej belce. Oślonił oczy i popatrzył na północno-wschodnią wieżę.

– Sprawdzę, jak sobie radzi grupa Beth. Namdi, Een, będziecie gotowi?

– Będziemy. Prawda, Een?

– Dobrze chłopaki.

Jack zeskoczył z dźwigara. Wylądował sześć metrów niżej i pobiegł po drżącym metalowym kablu, docierając do jego najwyższego punktu, gdzie wybił się w niebo. Namdi patrzył, jak Jack zmienia się w niewielką kropkę,

która znika wśród kabli i zardzewiałego żelaza.

Słońce przesunęło się za jedną z wież.

Namdi spojrzał w dół.

– No, to mamy przejebane, jeśli nie wróci.

– Wróci.

– Albo i nie.

Een nic nie odpowiedział, tylko przybrał wyraz twarzy świadczący o zdeterminowaniu i lojalności.

Namdi skręcił dwa papierosy i dał jednego koledze. Een rzucił mu jedną z bomb, a Namdi ją odrzucił; bawili się tak przez chwilę. Potem Namdi usiadł i zaczął turlać bombę tam i z powrotem po swoich kolanach, dopóki nie zaniepokoił się, że pot z jego dłoni przesiąknie przez papier i zamoczy proch.

Wciąż myślał o tej... rzeczy. Istocie, która wyszła z rzeki. Istocie, z którą walczył Jack. O chorobie, zarazie i utonięciach, które panoszyły się w mieście. Matka Namdiego zmarła na raka, który zmienił jej ciało w przegniłą, śmierdzącą skorupę i odebrał jej rozum. Śmiertelnie go to przerażało. Popatrzył na twarz Eena – okrągłą, drobną i brudną. Een był jeszcze małym chłopcem; być może o tym zapomniał lub przynajmniej do tego przywykł. Przyzwyczaił się do miasta, w którym kryło się to szaleństwo.

Może ten gruby uczoney Holbach potrafi to powstrzymać? Zapanował nad Ptakiem, aby stworzyć latający okręt, więc niewykluczone, że potrafi nakazać temu potworowi, by wrócił do rzeki. Ale na razie ta

rozwścieczona istota gdzieś się czai, a żadne miasto, w którym żyje coś takiego, nie ma sensu. Stanie się coś bardzo złego. Namdi miał nadzieję, że nie jemu, i przy odrobieniu szczęścia nie Eenowi, który nie jest złym chłopcem, a przede wszystkim nie Jackowi, którego kocha z całego serca. Niewątpliwie jednak ktoś gdzieś zginie.

O zachodzie słońca muszą być w pełnej gotowości. Pierwszy błysk i odległy grzmot z północno-zachodniej wieży będą sygnałem do działania. Namdi raz za razem sprawdzał karabin.

* * *

Arjun przywołał właściciela lokalu. Zamówił chleb, ser i wodę.

– I wino – dodała Olimpia. – Zamierzam się upić.

– Powinniśmy zachować czujność.

– Jesteśmy zbędni, Arjunie. Słyszałeś, co powiedział ten okropny chłopak. Możemy tylko czekać. – Właściciel postawił na stole dzbanek i dwa szorstkie gliniane kubki. Olimpia odprawiła go ruchem dłoni. – Za Holbacha! Na pewno chciałby, żebyśmy czekali na niego z jakimś napitkiem. – Napełniła swój kubek i wychyliła go jednym haustem, po czym się skrzywiła. – I za Hoxtona. To pewnie lepiej, że zginął. Gdyby wciąż żył, nie wytrzymałby takiego upokorzenia.

– Wolisz wziąć nóż i pistolet i sama zaatakować Różę?

– Wolę działać niż czekać.

– To mało perspektywiczny pomysł. Ja wolę czekać.

– Łatwo ci mówić. Może coś zaśpiewasz dla zabicia czasu?

Położył palec na ustach.

– Cicho. Powinniśmy nasłuchiwać i czekać.

– Dprowadzasz mnie do pasji.

Arjun przeglądał rozsypane kartki. Mapa północnej krawędzi Czwartego Okręgu – przebiegł palcem wzdłuż czarnej granicy wyznaczonej przez kanał. Wziął do ręki długi żółty pasek wydarty z „Ery”; na marginesie widniało kilkanaście możliwych tłumaczeń imienia „Czarny Byk”. Tuwarskie słowo „czarny”, mogło również oznaczać „płodny”, „bogaty” bądź „pradawny”. „Byk” mógł być „królem”, „ojcem” lub „nocą”; prawdę mówiąc, równie dobrze mogło chodzić o „konia” albo „wołu”. Nabazgrane notatki, które miały mu pomóc w rozwiązaniu mało istotnej łamigłówki. To były przyjemne miesiące.

– Ha! A widzisz? – odezwała się Olimpia. – Nie potrafisz zapomnieć o pewnych sprawach. Nie potrafisz zrezygnować. Masz obsesję. Profesor Almuth miał teorię na temat ludzi takich jak ty; twierdził, że to się zaczyna w dzieciństwie, od nauki korzystania z nocnika. Wydrukowaliśmy jego teorię w Atlasie, a pewien cenzor z Mass How dostał z jej powodu białej gorączki. To bardzo smutne widzieć dowód na jej prawdziwość.

Arjun uśmiechnął się, zwinął notatkę w kulkę i upuścił ją na swój talerz.

Olimpia pokiwała głową.

– Nie przerywaj. Koniecznie musisz się pozbyć kilku rzeczy.

Podarł kartkę z nutami i rozrzucił kawałki.

– Czynisz postępy! – zawołała.

– Ale nie tego oczekujesz. Chciałabyś, żebym zrezygnował z czegoś innego. To tylko puste gesty. Nie myl symboli z prawdziwym światem.

– Holbach lubił tak mawiać.

– Właśnie. – Arjun się napił. – Za Holbacha. I oczywiście za Hoxtona.

– Za Holbacha.

Napili się oboje.

– A co z tobą? – spytał Arjun. – Czym się zajmiesz, jeśli nie uda nam się go uwolnić?

– Pewnie czymś innym. Czymś nowym.

Skończyli butelkę. Olimpiii nie podobał się sposób, w jaki patrzył na nich właściciel – miał wyrachowane oczy donosiciela. Zmienili kawiarnię. Dwie godziny później ponownie się przenieśli. Gdy byli już na tyle pijani, by nie przejmować się szpiegami, Olimpia zaczęła opowiadać historie o Holbachu, potem o Nicolasie i Atlasie, o wrogach, których zyskali, i o cudownych kłopotach, jakie wywołali. Potem opowiadała o sobie. Gdy siedzieli przy balustradzie w świetle zachodzącego słońca, wyznała, że „Olimpia” nie jest jej prawdziwym imieniem. Zapożyczyła je z pewnego obrazu. Wtedy narodziła się na nowo i jeśli będzie musiała, zrobi to ponownie. Gdyby tylko mogła, spowodowałaby odrodzenie całego miasta.

Zanim Arjun zdążył ją nakłonić do zdradzenia prawdziwego imienia, zobaczył błysk w oddali – na północy, na wieżach Róży – i usłyszał grzmot, a po nim kolejny i jeszcze jeden, jak fajerwerki lub wystrzały.

Zerwał się z krzesła, by lepiej widzieć. Następne dwa czerwone błyski, tym razem ze wschodniej i zachodniej wieży. Po chwili ustały wybuchy, nadal jednak rozlegały się strzały: odległe, stłumione, tak ciche, że zapewne tylko on je słyszał.

Olimpia chwyciła go za rękę. Odwrócił się i spojrzał na południe. Za wzgórzami, za rzeką, za placami, kilka dni drogi na południe – jeśli się nie mylił: w okolicach doków, Shutlow, Okręgu Foyle'a i Wrzosowiska – niebo przybrało ogniecie czerwoną barwę.

Oboje szybko wytrzeźwieli.

* * *

Arlandes obudził się gwałtownie, przerażony. Miał wrażenie, że spada i z ogromną siłą uderza o ziemię. Jakiś straszliwy odgłos odbijał się echem w jego uszach.

Zasnął na czarnym skórzanym fotelu w swoim gabinecie. Kiedy nie był na „Gromowładnym”, przesypiał większość dnia. Cóż innego miał do roboty?

Na korytarzach rozlegało się nawoływanie. Arlandes powtórzył w myślach dźwięk, który go obudził, i doszedł do wniosku, że był to wybuch. Zupełnie jakby potwierdzał złowrogi czerwony blask bijący zza grubych zasłon.

Kiedy już rozbudził się na dobre, wstał, rozprostował obolałą szyję i podszedł do okna. Pomyślał z rozmarzeniem, że może ktoś ukradł „Gromowładnego” i zaatakował nim tłumy. Świetnie. Zamknij im gęby raz na zawsze, pomyślał.

Z korytarza dobiegały krzyki i tupot stóp. Arlandes rozpoznawał głosy Leodena i Gibsona. Czuł, że wkrótce ktoś zacznie się dobijać do jego drzwi.

Odchylił zasłonę i ujrzał ogień nad dachami, na północnym wschodzie. Od tygodni codziennie wybuchały pożary, ale ten był wyjątkowo potężny. Kłęby czarnego dymu przesłaniały zachodzące słońce. Jeśli Arlandes się nie mylił, płonął magazyn w koszarach na północy Shutlow. Za żelaznymi drzwiami tego przysadzistego ceglanego budynku znajdowały się półki wypełnione prochem, karabinami i pociskami artyleryjskimi. Zapewne właśnie one spowodowały wybuch, którego echo wciąż słyszał.

Obecnie Arlandes przebywał w koszarach w Okręgu Barbarii. Opuścił koszary na terenie posiadłości hrabiny, gdyż w świetle obrzydliwych oszczerstw, które pojawiały się w sztukach teatralnych i pamfletach – twórcy Atlasu posuwali się do paskudnych i podstępnych insynuacji dotyczących relacji Arlandesa z hrabiną – Ilona ze względów politycznych postanowiła trzymać go na dystans.

„Gromowładny” zacumował daleko od koszar i Arlandes nie postawił stopy na jego pokładzie od...

Dwóch dni? Trzech? Kolejne dni zlewały się ze sobą. Olbrzymi okręt unosił się na uwięzi w podniesionym suchym doku nad pałacem hrabiny na Wrzosowisku Chwały. Hrabina lubiła mawiać, że orbituje wokół słońca jej chwały.

Koszary w Okręgu Barbarii znajdowały się na zachodnim skraju dzielnicy, w sąsiedztwie zagród dla zwierząt. Mieszkało tutaj dwudziestu trzech żołnierzy. Nie było wśród nich najlepszych ludzi Arlandesa.

To niedobrze, jeśli buntownicy dostali się do magazynu. Stawali się ambitni. Najwyższy czas przywrócić porządek i skończyć z łagodnym traktowaniem. Jeśli chcą ognia, to powinni go dostać. Rano porozmawia z hrabiną. Zorganizuje oddział odwetowy. Puścił zasłonę i sięgnął po szablę, która stała oparta o biurko.

Na zewnątrz rozległa się kolejna eksplozja, tak bliska i głośna, że wybiła szybę za plecami Arlandesa i rozchyliła zasłony. Zatoczył się i przewrócił na biurko. Zatrzęsły się ściany, drzwi otworzyły się z hukiem, a półka z książkami stojąca przy oknie zachwiała się i runęła na podłogę. Do pokoju wtargnęły fala gorąca, oślepiające światło i smród prochu, po czym powietrze wypełniły kłęby ceglanego pyłu.

Magazyn koszar Okręgu Barbarii.

Niecałe dwadzieścia metrów od moich pierdolonych drzwi.

Leżąc na plecach na podłodze, Arlandes dotknął tyłu

głowy. Krwawił z miejsca, którym uderzył o biurko. Nagle poczuł się potwornie zmęczony.

* * *

Wszyscy Gromowładni mieli zegarki kieszonkowe lub zapinane na nadgarstku, modne w Suotine i Albermarle oraz innych północnych dzielnicach, bądź inne kradzione czasomierze, ale żaden z nich nie wskazywał tej samej godziny i nikt nie miał pojęcia, jak temu zaradzić. Atlay był pomocnikiem zegarmistrza, jednak dwa tygodnie temu zabrała go zaraza; owinęli jego ciało w koc, oblali je olejkami i spalili. Fiss znał się na zamkach i biżuterii i zawsze potrafił naprawić skradzione przedmioty przed oddaniem ich do pasera, tyle że on też umarł. Dlatego Jack zrezygnował z pomysłu koordynowania działań za pomocą zegarków i postanowił, że sygnałem stanie się zachód słońca za zachodnią wieżą Róży. Zresztą to rozwiązanie wydawało się odpowiedniejsze – lepsze i czystsze.

Zachodzące słońce zaplamiło wieżę na kolor płatków róży. Obok Jacka, na wysoko położonym żelaznym dźwigarze, siedzieli Beth, Caul, Wood, Kuyo i Dait. Na plecach zawiesili broń palną, ale w rękach trzymali noże; zgłosili się na ochotnika do walki na krótki dystans. Postanowili osobiście doprowadzić sprawę do końca, podczas gdy Namdi, Een, Taine i inni zasiedli w bezpiecznym miejscu, na kablach, skąd mieli rzucać

paczuszek z prochem i strzelać ze skradzionych karabinów, odwracając uwagę, rozpraszając – odgrywając rolę chóru.

Kiedy słońce schowało się za wieżą i zrobiło się ciemno, Jack wstał. Na południowo-wschodniej wieży coś błysnęło i rozległ się grzmot: Namdi. Kolejny błysk pojawił się obok południowo-zachodniej wieży: Simeon. Huknęły strzały. Kolejne błyski i grzmoty dotarły od strony wież północnej i wschodniej, potem seria się powtórzyła.

Kiedy Jack usłyszał odległe okrzyki, trzaskanie gwałtownie otwieranych drzwi i kroki spanikowanych strażników, zeskoczył z dźwigara. Beth, Caul, Wood, Kuyo i Dait opadli w ślad za nim, a ich jedwabne stroje zatrzepotały w nocnym powietrzu.

Pod nimi znajdował się czarny otwór komina, szeroki jak rzeka. Bezgłośnie opadli do środka.

* * *

– Panie kapitanie... Panie kapitanie?

Arlandes jęknął i zaklął. Smród krwi, który wypełniał mu nozdrza, niemal zagłuszał woń ognia i dymu docierającą z zewnątrz.

– Panie kapitanie? Jest pan tam?

Arlandes sięgnął po swój przewrócony fotel, podciągnął się i usiadł wsparty o biurko. Głos należał do podpułkownika Gibsona. Po chwili Gibson wyłonił się z za

krawędzi biurka. Był blady, nieogolony i zlany brudnym potem, ale miał na sobie czerwony mundur, a w ręku ścisnął rękojeść szabli.

Na zewnątrz rozległ się głuchy huk i trzask, a po nim kolejny. Pierwszy po stronie zachodniej, a drugi po wschodniej.

– Kapitanie? Zaatakowali magazyny. Wysadzili w powietrze nasze magazyny.

– Widzę, człowieku.

– Wysadzili jedną z rachub hrabiny. A także jedną z jej wież prochowych. Nie wiem co jeszcze, proszę pana. Na dole szaleje pożar. Pomogę panu wstać.

Gibson wyciągnął rękę, ale Arlandes kazał mu się cofnąć i zostawić go w spokoju. Wstał, opierając się o krawędź biurka i lekko chwiejąc. Nie wiedział, co ma dalej robić. Chciał ponownie opaść na fotel i poczekać, aż to wszystko się skończy, aż stanie się to, co ma się stać.

– Wszystko dzieje się równocześnie, panie kapitanie. Musimy się stąd wydostać. – Gibson podszedł bliżej i ponownie wyciągnął rękę w stronę Arlandesa.

W oczach podpułkownika kryło się coś niedobrego: chorobliwy strach i oczekiwanie ustąpiły miejsca chłodnej determinacji, a potem niepowstrzymanej chęci działania.

Gibson sięgnął lewą dłonią ku ręce Arlandesa, a prawą cofnął szablę i wykonał wściekle pchnięcie w brzuch kapitana. Arlandes błyskawicznie przewrócił się do tyłu i wykręcił, uciekając poza zasięg ciosu, tak że sztych jedynie przebił mu koszulę i zadrapał bok, ale nie zadał

poważniejszej rany. Przynajmniej taką miał nadzieję. Gibson zatoczył się do przodu, a Arlandes skoczył ku niemu, chwycił go za głowę przy uszach i z całej siły pociągnął w dół, z głośnym trzaskiem uderzając nią o blat biurka.

Gibson poleciał do tyłu, krwawiąc z nosa i czoła, próbując zadać cięcie szablą. Potykał się przy tym, poruszał bardzo powoli i wyglądał przekomicznie. Nie był szlachcicem i nigdy nie został należycie wyszkolony w posługiwaniu się szablą. Było w nim więcej ze stolarza niż z wojownika – trzymał broń jak młotek. Arlandes chwycił pierwszy z brzegu przedmiot leżący na biurku, którym okazał się srebrny nóż do otwierania listów, i wbił go Gibsonowi pod pachę, potem w gardło, a na koniec wykręcił nagle zwiotczały nadgarstek, posyłając szablę na podłogę. Ponownie dźgnął Gibsona, tym razem w brzuch, zanim przyszło mu do głowy, że powinien go przesłuchać.

Opuścił drżące ciało napastnika na fotel. Przytrzymał szczękę mężczyzny, by móc patrzeć mu w przerażone oczy.

– Kto cię kupił, Gibson? Kto ci zapłacił?

Krew popłynęła z ust i gardła Gibsona, plamiąc Arlandesowi rękawy koszuli. Mężczyzna zaskrzeczał i jęknął; wyglądało na to, że nie może mówić.

Arlandes rozpiął szarpnięciem górę munduru rannego i opróżnił jego kieszenie. Kieszonkowe wydanie *Ślubnego błogosławieństwa* z krzykliwym frontysem, przedstawiającym hrabinę opierającą kościste ciało na

sztywnych, zwierzęcych barkach Arlandesa w okrutnej parodii uwodzenia. Pamflet, w którym domagano się uwolnienia profesora Holbacha w imieniu Atlasu, miasta, przyszłości, postępu i innych podobnych bredni. Kawałek papieru z adresem na Hebanowych Polach i nazwiskiem „Olimpia Autun”. Za nim właśnie, o ile Arlandes dobrze pamiętał, kryła się ta chytra suka, która przez te wszystkie lata włóczyła się z tłuszczochem Holbachem. Arlandes parsknął, rozrzucił papiery i ponownie ścisnął szczękę Gibsona.

– Nie bądź śmieszny. To absurd. Masz mnie za głupca? Nie jesteś jednym z ludzi Holbacha. Magazyny w Shutlow i Okręgu Barbarii, rachuby i kto wie, co jeszcze, wszystko w jedną noc. Ludzie Holbacha nie mają tyle samozaparca. Oni tylko gadają. Piszą sztuki, na bogów. Nie brudzą sobie rąk. Zapłacił ci ktoś poważny. Kto? Kupcy ze Stross End? Władca Czerwonego Kopca? Mensonge? Cimenti i jego cholerni bankierzy? Czy kupiono cię za pieniądze bankierów, Gibson? A może to któryś z Kościołów? Zrobiłeś to dla jakiegoś boga? Byłeś pionkiem czy ofiarą?

Oczy Gibsona zmętniały, a krwawienie ustało. Arlandes puścił trupa i pozwolił jego głowie bezwładnie opaść. Potem chwycił swoją szablę i wybiegł na korytarz, wołając:

– Do mnie! Do mnie! Wstawać, czerwone mundury!

* * *

Wzdłuż korytarzy Żelaznej Róży znajdowały się żelazne cele i klatki. Większość była pusta lub trzymano w nich ślepych, szalonych, a czasem martwych jeńców, lecz co kilka metrów chłopcy mijali wyciągające się ku nim blade ręce i słyszeli błagania lub jęki.

Niektórzy z więźniów wiedzieli, kim jest Jack, i widząc jaskrawy jedwabny strój, wołali go po imieniu. Jack był rozgoryczony, że musi ich zostawić, lecz nie miał kluczy do cel. Zresztą wyglądało na to, że klatki nie mają zwykłych zamków, lecz otwiera je maszyna schowana w grubych ścianach, dźwignie i koła zębate ukryte gdzieś w sercu Róży. A może w ogóle nie dało się ich otworzyć? Jack, Beth i Kuyo chwyтали po drodze więźniów za kościste ręce i pytali: „Gdzie jest naczelnik? Którędy idzie się do serca tego miejsca?”.

Niektórzy z więźniów swobodnie wędrowali korytarzami – jeśli swobodą można nazwać zagubienie w pogrążonym w półmroku labiryncie Róży. Mieli na sobie odznaki, obroże lub łańcuchy; wielu zostało napiętnowanych. Wędrowali samotnie, najwyraźniej pogrążeni w szaleństwie, lub włóczyli się zbici w grupy. Jack w miarę możliwości starał się ich unikać. Podejrzewał, że zapłacili za swoją względną wolność obietnicami lojalności wobec strażników. Nie miał co do tego pewności; to miejsce było pozbawione sensu.

Nawet w Róży przebywały białe szaty, ubrane w stroje wycięte z szarawych koców, lecz łatwo rozpoznawalne za

sprawą ogolonych głów i śladów oparzeń. Krążyły w zdziczałych stadkach, warcząc na słabszych więźniów i znęcając się nad nimi niczym mali strażnicy. Jackowi poniekąd było ich szkoda, więc ich nie zaczepiał.

Natrafili na ciemny dół schowany za kratami, do którego wrzucano dziesiątki chorych. Z otworu wydobywał się potworny smród: mieszanina ludzkich i zwierzęcych zapachów, a przede wszystkim lodowaty, obcy, omszały smród czernicy płuc przyniesionej przez rzeczno boga. Gdy Jack to zobaczył, przestał dotykać rąk więźniów.

Wszystkie sufity były nieznośnie niskie i ciemne. Przypominało to Jackowi Dom Barbotina. Podczas długoletniej niewoli dowiedział się, jak funkcjonuje Dom, poznał jego tajniki na tyle dobrze, że zdołał się z niego wydostać, jednak każde więzienie jest inne. Miasto zawiera nieskończone bogactwo okrucieństwa.

Przez jakiś czas mieli ułatwione zadanie, gdyż spanikowani strażnicy uciekali korytarzami; rozniosła się wieść, że więzienie zostało zaatakowane ze wszystkich stron równocześnie, z góry, od wewnątrz, znikąd.

Jack ukrył się w cieniu u podnóża szerokich schodów prowadzących w dół przez górne kondygnacje. Beth opierała mu się na ramieniu i razem obserwowali dwie grupy mężczyzn w zbrojach, które spotkały się na skrzyżowaniu korytarzy oświetlonych lampami gazowymi. Żołnierze wołali: „Zaatakowano nas w północnej wieży!” oraz: „Do wschodniej wieży!” i niemal

potykali się nawzajem o swoje piki i bagnety, usiłując zdecydować, w którą stronę pójść.

Jednakże zanim Gromowładni zeszli głębiej, byli zmuszeni ubrudzić sobie ręce. Na szóstym poziomie od góry – a może siódmym; więzienie stanowiło prawdziwy labirynt; można było odnieść wrażenie, że podłogi i ściany zmieniają położenie – znajdował się duży wewnętrzny dziedziniec oświetlony blaskiem ognisk. Jack ukrył się na jednym z wysokich łuków z krwistoczerwonej cegły, biegnących ponad dziedzińcem, i obserwował grupę strażników, którzy, najwyraźniej oszołomieni paniką, chwycili za broń i otworzyli ogień do kłębowiska błagających o litość więźniów, wzięli ich bowiem za napastników. Jack i pozostali skoczyli w dół ze swojej kryjówki. Lecąc przez mroczny dziedziniec, dobyli noży. Wylądowali i w tej samej chwili zadali ciosy strażnikom, po czym wyszarpnęli ostrza z ich ciał i uderzyli ponownie. Kiedy pozostała już tylko garstka żywych wrogów, spytali: „Gdzie naczelnik? Gdzie wasz przywódca? Kto kieruje tym miejscem? Którędy dojdziemy do serca więzienia?”.

* * *

Arjun i Olimpia powędrowali na północny wschód ulicą Mundyego, a następnie na północ wzdłuż półkolistej ulicy Glabbera, aż znaleźli wzgórze, z którego mogli dokładniej przyjrzeć się Róży.

Na wzgórzu stały zrujnowane marmurowe kolumny pokryte graffiti, oraz posągi zmarłych władców na koniach. Niektórym rzeźbom utracono ręce, głowy i miecze. Znajdowały się tam także kamienne ławki, ale wszystkie były zajęte; wzgórze wypełniło się gapiami, którzy przekazywali sobie dzbany i butelki, przyglądając się płomieniom i eksplozjom i słuchając ech dalekich wystrzałów. Rozlegały się szepty: „Tak jest, spalić to kurestwo” oraz: „A co, jeśli oni ich wszystkich wypuszczą? Jeśli te szumowiny odzyskają wolność? Co się wtedy z nami stanie?”, a także: „Dokąd zmierza to miasto?”.

Od czasu do czasu docierały do nich błyski i grzmoty z południowej wieży. Północną wieżę trawił pożar.

Arjun i Olimpia patrzyli na to z mieszaniną fascynacji, przerażenia, upojenia, poczucia winy i wstydu.

– To okropne – powiedziała Olimpia. – Wplątaliśmy się w coś okropnego.

– Całe to miasto jest takie. Okrutne. Nawet ci, którzy próbują coś dla niego zrobić, brudzą sobie ręce.

– Jak myślisz, co się dzieje na południu?

– Podejrzewam, że to samo. Ogień, zamieszki i szaleństwo.

– Bogowie, może wreszcie zabiją tę sukę Ilonę. Może ona zabije Cimentiego. Albo pozabijają się nawzajem.

– To niczego nie rozwiąże. Ich miejsce zajmie ktoś inny. Albo coś innego. Istota z rzeki zgarnie resztki. Będzie coraz gorzej. Konflikty cały czas się nasilają, a

brzydota ich nie powstrzyma. Tylko cisza i spokój mogą to zrobić. Olimpio, czy opowiadałem ci już o Gromowładnym? Nie potrafię nazywać cię inaczej niż Olimpią. To imię do ciebie pasuje, nawet jeśli nie jest prawdziwe. A więc zastanawiam się, czy kiedykolwiek opowiadałem ci o Gromowładnym. Nie o okręcie, ale o tym, z czym on mi się kojarzy. W Chórze był człowiek zwany Ojcem Hari – wiele cykli pieśni przed moim narodzeniem – który miał pewną teorię dotyczącą Głosu. Uważał on, że istnieje przeciwieństwo Głosu albo po prostu jego *nieobecność*. Można powiedzieć, że samo istnienie Głosu wymaga istnienia jego nieobecności, która jest wszystkim tym, czym nie jest Głos: głośnym, brutalnym, bezmyślnym chaosem. To najpotworniejszy fałsz na świecie, wiecznie wybrzmiewający bez żadnego celu, a każdy, do kogo dociera, pogrąża się w szaleństwie. Dźwięk ten rozbija, niszczy i nadweręża zdrowie psychiczne wszystkich, którzy go słyszą. Hari nazywał go Grzmotem. Oczywiście była to tylko teoria. Tak naprawdę nie wierzył w jego istnienie w dosłownym sensie. Wydaje mi się, że Hari i Holbach znaleźliby wspólny język. Chociaż ten pierwszy nigdy nie spróbował powołać do istnienia źródła swojego lęku. Nie wiem, czy ci o tym opowiadałem.

Olimpia już wcześniej przestała słuchać, zresztą głos Arjuna dawno zmienił się w niezrozumiały szept. Spoglądała na północ i przygryzała paznokiec kciuka.

– Arjunie. Nie mogę już na to patrzeć. Biedne dzieci.

Okropne, bezwzględne dzieci. A co, jeśli to wszystko spłonie? Ci biedacy w Shutlow, Okręgu Foyle'a, Okręgu Barbarii i bogowie wiedzą, gdzie jeszcze. Czasami myślę, że wszystko zrobiliśmy źle, Arjunie.

* * *

– Kapitanie, co...

– Podpułkownik Gibson nie żyje. Był zdrajcą, a na rękach mam jego krew. Jeśli są tutaj inni zdrajcy, to sugeruję, by się ujawnili, a załatwimy to od razu.

Płakał, lecz powodował to dym, który wypełniał dziedziniec do musztry. Dym wdarł się Arlandesowi do płuc i kapitan zgiął się w pół, zanosząc się kaszlem. Nie był jedyny – wszyscy jego ludzie kaszleli i rżęzili, zakrywając usta szmatami i chustkami.

Koszary płonęły. Auterton, Lane i Kay zginęli – zostali uwięzieni w kuchni, która znajdowała się obok magazynu i spaliła się jako pierwsza, strawiona przez najgwałtowniejszy ogień.

Pułkownik Leoden dowodził grupą mężczyzn gaszących pożar za pomocą wiader napełnianych w studni na dziedzińcu. Było to działanie skazane na niepowodzenie, lecz godne podziwu. Teraz jednak czekały ich ważniejsze zadania.

– Ogień będzie się rozprzestrzeniał, kapitanie. Jeśli wiatr się zmieni, pożar przeniesie się na pozostałą część ulicy. Musimy go powstrzymać, bo...

Leoden był dobrym człowiekiem. Mimo to Arlandes uderzył go w twarz, chwycił za kołnierz i rzucił na ziemię przed pozostałymi żołnierzami.

– Zapomnijcie o pożarze – rozkazał. – Wróg ujawnił swoje plany. To nie przypadek. Dziś musimy ocalić naszą hrabinę. Ocalić „Gromowładnego”. Dziś się zemścimy. Naprawą zniszczeń zajmiemy się rano. Zrozumiano?

– Jaki wróg, kapitanie? – spytali. Nie potrafił odpowiedzieć, ale, oczywiście, nie miało to większego znaczenia.

Było ich dwudziestu. Utworzyli dwie kolumny, a Arlandes stanął na ich czele, gdy z karabinami w rękach pomaszerowali ulicami.

Na ulicy Sheppeya jakiś chłopiec rzucił w nich cegłą, po czym padł zastrzelony przez Arlandesa, gdy próbował zniknąć pomiędzy stertami śmieci w alejce.

Na ulicy Wystawowej ktoś spuścił na nich z górnego piętra butelkę ze szczynami, która pomknęła w dół, rozlewając swą brudną zawartość wśród sznurów na bieliznę i sprawiających osobliwe i absurdalne wrażenie podartych czerwonych flag. Rozbiła się tuż przed czarnymi butami Arlandesa. Zamieszki nauczyły poddanych hrabiny przynajmniej celności. Nie było czasu ścigać napastnika, więc Arlandes rozkazał go zignorować.

Skręcili w ulicę Sildena i zagłębili się w nienazwane uliczki rozciągające się jak lustrzane pęknięcia pomiędzy magazynami Okręgu Barbarii. W cieniu magazynów widzieli otaczające ich pożary. W głębokich wąwozach z

cegły, łupkowych płytek i wybrzuszonych drewna ledwie usłyszeli odległy grzmot towarzyszący wybuchowi w trzecim i ostatnim z magazynów hrabiny.

Pod mostami załadunkowymi przy magazynie spółki przewozowej Wielkie Zachodnie Promy natrafili na grupkę skulonych osób dotkniętych zarazą. Spółka trzy tygodnie temu zawiesiła działalność w Okręgu Barbarii i magazyn świecił pustkami. Chorzy – o czarnych oczach i wychudzonych ciałach – zebrali się wokół płonącej sterty krzeseł. Cuchnęli zielskiem i zgnilizną. Spoglądali pustym, nieprzychylnym wzrokiem na lśniący czarny strój Arlandesa, na jego połyskującą szablę, na jego ludzi ubranych w jaskrawoczerwone mundury. Leoden zaklął i splunął. Arlandes zatrzęsł się z przerażenia i przez chwilę wydawało mu się, że czarne oczy umierających na niego polują; zgnilizna płuc sprawiała wrażenie wrogiej, świadomie działającej siły. Kapitan zastanawiał się, czy wszystkie zapomniane i porzucone miejsca w mieście są wypełnione tym świństwem. Ogień i powódź, pomyślał bezsensownie. Rzeka wyrwała się z brzegów.

Wydał rozkaz i czerwone mundury otworzyły ogień – z bezpiecznej odległości, zakrywając usta chustkami lub szmatkami do czyszczenia broni – po czym przeładowały karabiny i wystrzeliły ponownie, skracając cierpienia tych upiornych stworzeń.

* * *

Naczelnik Żelaznej Róży był bardzo otyłym mężczyzną i nosił absurdalny kapelusz w kształcie zamkniętej skrzyni. Nakrycie głowy potoczyło się w róg pomieszczenia, a jego właściciel leżał martwy na biurku niczym gruba ryba na straganie. Jego pokój bardziej przypominał komnatę duchownego niż gabinet szefa straży. Kapelusz również był w kapłańskim stylu, a sam mężczyzna miał na sobie czarną szatę obwieszoną łańcuchami, niczym kapłan Łańcucha, którym zapewne był.

Błagał o darowanie życia. Kiedy Jack wpadł do jego siedziby, mężczyzna zaczął prosić i jęczeć. Przebiegł (sapiąc i kołysząc się jak kaczką) z pogrążonej w ciemności i polakierowanej na czarno strony pomieszczenia na stronę pomalowaną na biało, pełną szeroko otwartych okien. Tam otworzył na oścież szafę i pokazał Jackowi białe szaty obwieszane zerwanymi złotymi łańcuchami i złotymi kluczami. Zaczął bełkotać o Łańcuchu i Uciekinierze, o świętym cyklu Żelaznej Róży, o zamknięciu i uwolnieniu i zamknięciu i uwolnieniu...

Rodzice Beth umarli w Róży. Zostali aresztowani przez policję Parlamentu Mass How w związku z działaniami wywrotowymi, kiedy Beth była jeszcze malutka. A przynajmniej tak to zapamiętała; Jack podejrzewał, że chodziło o coś mniej bohaterskiego. Zapewne byli dłużnikami lub zrobili coś głupiego – to nie była jego sprawa. Jednak zostali zabrani i zamknięci, a cykl ich

życia dobiegł końca właśnie tutaj, więc Jack pozwolił, by to Beth zastrzeliła naczelnika.

– Jestem tylko sługą – jęczał. – Tylko sługą Róży. Tylko...

Później, kiedy Jack, Wood i Dait przeglądali rejestry naczelnika, Beth zwymiotowała za szafą. Nie po raz pierwszy kogoś zastrzeliła, ale i tak było jej niedobrze. Dait się roześmiał, a Jack trzepnął go w ucho.

Według ksiąg ci, którzy popełnili przestępstwa przeciwko hrabinie, byli trzymani siedem kondygnacji niżej. Dotyczące ich wpisy stanowiły tylko niewielką część rejestru. Ku zaskoczeniu Jacka, hrabina wcale nie była główną klientką Róży. Mimo to do jej dyspozycji pozostawał rozległy labirynt cel; Holbach znajdował się w jego sercu.

Siedem kondygnacji niżej. Na schodach roiło się od biegających strażników i spanikowanych więźniów, więc pierwsze trzy piętra pokonali opadając szybem wentylacyjnym.

* * *

Czerwone mundury Arlandesa opuściły boczne uliczki i przecięły ulicę Mewią, która zmieniła się w rwącą rzekę paniki. Wszystkie bary były zamknięte. Wozy kupców zatrzymały się na środku ulicy, a owoce i świeże mięso rzeźników rozsypały się po bruku, deptane i rozgniatane przez stopy spanikowanych ludzi.

Tłum rozstępował się przed czerwonymi mundurami.

Niektórzy z mieszkańców podbiegali do Arlandesa, prosząc i jęcząc: „Co się dzieje? Wszędzie jest ogień! Co się dzieje? Kto to robi?”. Jakaś siwa kobieta w zniszczonej szarej sukience, wlekąca za sobą czworo pulchnych dzieci, chwyciła kapitana za rękaw, wołając błagalnie: „Spalili moją ulicę. Dlaczego nam nie pomożecie?”.

Odepchnął ją. Teraz błagają go o pomoc! Po tygodniach oszczerstw i pomówień, zamieszek i buntów, teraz znów pragną jego ochrony. Kiedy na ulicach pojawił się obcy wróg, który czai się pośród tłumów. Kiedy zabawa w zamieszki zmieniła się w prawdziwą wojnę. Nienawidził ich.

Czy stoi za tym Mensonge? A może Cimenti? Przewodniczący to chytry drań, a wysługiwanie się pomagierami i stosowanie podstępów to działania w jego stylu. Z kolei Mensonge to degenerat, którego niewątpliwie stać na pomówienia, brudne zagrywki i wykorzystywanie emocji tłumu. Arlandes nie miał pewności i nie był w stanie jasno myśleć; na ulicach było zbyt gwaro.

Po drodze spotykał kolejne niewielkie grupki czerwonych mundurów, zagubione i pozbawione dowództwa, które zbierały się wokół niego i składały rozpaczliwe raporty. Sytuacja wyglądała źle w całym Shutlow, Okręgu Barbarii, Foyle'a i Czwartym Okręgu. W tajemniczych okolicznościach zniknęło kilku kapitanów, zapewne zostali zabici. Dzielnicami wstrząsały eksplozje;

płonęły koszary, magazyny, strażnice, rachuby i sądy. Ataki były zbyt dobrze skoordynowane, by można je było przypisać jedynie zamieszkom, jednak sprawcy pozostawali niewidoczni i nieuchwytni. Nie nosili mundurów, znikali bez śladu wśród rozwścieczonych i wystraszonych tłumów.

Przy ulicy Gissinga na ogrodzeniach wisiały świeże, jeszcze wilgotne plakaty: WYPUŚCIĆ HOLBACHA oraz UWOLNIĆ ATLAS, a także: ŻADNYCH BOGÓW, ŻADNYCH PANÓW, PRECZ ZE STARYMI MAPAMI. Idąc szybkim krokiem przez sterty mokrych liści zalegające na ulicy, Arlandes pomyślał o Holbachu. Czyżby ten stary gruby głupiec to wszystko zaplanował? Co prawda ludzie, którzy podkładali ogień w Shutlow, nie byli uczonymi, nie należeli do tej zdegenerowanej kliki dramatopisarzy i intelektualistów, jednak Holbach był bogaty, mógł ich wynająć. Być może sam był naiwniakiem, lecz otaczał się przebiegłymi ludźmi. Tamta kobieta, która uciekła przed aresztowaniem, z pewnością na taką wyglądała.

Czerwone mundury nie wiedziały, do kogo strzelać. Na ulicy Nabrzeżnej Arlandes minął grupę młodych mężczyzn, którzy zmierzali dokądś z podejrzaną determinacją, więc rozkazał ich rozstrzelać dla zasady. Szybkie przeszukanie nie zaowocowało znalezieniem niczego obciążającego. Leoden wyglądał, jakby zaraz miał zwymiotować.

– Rusz się – rozkazał Arlandes. – Rano hrabina wypłaci

odszkodowania ich rodzinom, jeśli wciąż będzie żyła.

Na ulicy Jarmarcznej minęli zmasakrowane ciało czarnowłosej kobiety, która leżała twarzą do dołu w brudzie. Ludzie mijali ją pośpiesznie, odwracając wzrok i obserwując pożary na horyzoncie, tak samo jak kiedyś mijali ciało Lucii, wpatrzeni w niebo i „Gromowładnego”. Arlandes powstrzymał łzy; udał, że to dym szczypie go w oczy.

Na ulicy Barytowej minęli grupę łobuzów w białych szatach, którzy właśnie podpalali pub. Arlandes nie potrafił odróżnić poszczególnych band buntowników i nie pamiętał ich nazw: ubrane na biało kreatury o ogolonych głowach i jazgotliwe bachory w jedwabnych strojach zlewały się w jego umyśle w jedną wirującą masę ścierwa. Kolejny zwiastun upadku miasta. Przez chwilę rozważał absurdalną myśl, że to tamte złe dzieciaki były jego ukrytymi wrogami; że nowe zmutowane pokolenie bękartów i wybryków natury powstaje, by odebrać miasto jemu i hrabinie. Leoden wystrzelił i chłopcy rozproszyli się jak gołębie. (Ich białe szaty trzepotały tak samo jak jej sukienka, gdy spadała).

Oddział Arlandesa rósł w siłę. Kiedy przechodził przez Targ Siedmiu Kół, liczył już dwudziestu pięciu żołnierzy. Wybuch bomby wywrócił Królicze Koło: olbrzymi kamienny krąg rozpadł się na dwie części, miażdżąc wozy i stragany. Arlandes przyłączył do swojego oddziału dwóch żołnierzy, którzy usiłowali gasić pożary. Spod Rymarskiego Koła zabrał szóstkę krążących bez celu

najemników w szarych mundurach. Uważał ich za bandytów i morderców, a samo ich istnienie było w jego oczach świadectwem rozkładu władzy, jednak tej nocy nie miał czasu na skrupuły. Trzydziestu dwóch ludzi. Za mało, zdecydowanie za mało. Byli zbyt nieliczni i po długich tygodniach patrolowania miasta i pilnowania porządku, a czasem niemal błagania o jego zachowanie, dysponowali skromnymi i rozproszonymi środkami. Arlandes cały czas rozmyślał: Jak do tego doszło? Którego boga obraziliśmy? Jak hrabina mogła nas tak bardzo zawieść?

Gdy Arlandes przechodził pod łukiem na ulicy Rubinowej – którego wrota jakiś przedsiębiorczy człowiek zdjął z zawiasów i zabrał, ze względu na żelazo, z którego były wykonane – miał już ze sobą czterdziestu ludzi, a zanim wszedł na Wrzosowisko Chwały, liczba ta wzrosła do czterdziestu dwóch.

Na wzgórzu, poza trawnikami i szpalerem drzew, płonęły posiadłości hrabiny.

Arlandes puścił się biegiem, a czerwone mundury ruszyły za nim.

Długie cienkie cienie pomknęły im na spotkanie przez trawniki Wrzosowiska, po czym zaczęły ich wymijać; mężczyźni i kobiety uciekający na łeb na szyję w dół wzgórza, podświetleni przez stojący w płomieniach pałac: służący, nielojalne szczury opuszczające płonący budynek, niosący całe naręczna ukradzionych srebrnych sztućców i elementów wystroju wnętrza. Ze wzgórza

pędziła dziewczyna w stroju pokojówki, dźwigając świec niczym stos drewna na opał. Wpadła na żołnierzy i rozsypała swoje brzemię. Mężczyzna w czarnym uniformie lokaja upadł na twarz, niemal robiąc gwiazdę na zboczu, przebił nogą obraz, który ukradł, przedstawiający siwobrodego dziadka hrabiny, i zmiażdżył ramę. Arlandes odepchnął go na bok nie zwalniając biegu.

Być może nie mieli prawdziwego wroga; być może była tylko zaraza. Może to ona wpędza miasto w szaleństwo, sprawiając, że zwraca się przeciw sobie. Ogień i powódź.

Przebiegli przez Wdowią Altanę, deptając ścieżki elegancko wysypane żwirem. Miażdżyli butami latarenki, które pospadały z drzew.

Wśród drzew na szczycie wzgórza wznoszącego się na południowy-wschód od pałacu wpadli na grupę mężczyzn, którzy pod ostrym kątem przecięli obrany przez nich kurs. Obie strony na moment straciły zimną krew, jednak już po chwili wyciągnęły broń białą oraz pistolety i rzuciły się na siebie. Intruzi, kimkolwiek byli, mieli na sobie eleganckie czarne stroje; walczyli skutecznie, spokojnie i brutalnie. Byli uzbrojeni w paskudne mosiężne rapiery o postrzępionych ostrzach; raz za razem wyprowadzali pchnięcia, celując w głowę Arlandesa jak wygłodniałe komary. Było ich mniej – pozostało po nich nie więcej niż tuzin ciał – i szybko zginęli. Nie było czasu przeszukać zwłok, by sprawdzić, komu służyli.

Arlandes przebiegł między drzewami i przedarł się przez zarośla, opuszczając teren Wdowiej Altany, po czym spojrzał w dół na posiadłość hrabiny.

* * *

Arjun i Olimpia nie mogli spać, więc bez celu krążyli po ulicach. Szli pod rękę; było zimno, a oni się bali.

Skreśli w ulicę, której nazwy nigdzie nie mogli dostrzec, ponieważ zobaczyli latarnie wśród drzew oraz światła w oknach kamienic, a także usłyszeli odgłosy rozmowy i śmiech dobiegające z jednego z okien.

– Nie mogę zostać – rzekł Arjun. – Już postanowiłem. Jeśli uwolnię Holbacha i razem odtworzycie Atlas, nie będę mógł wam towarzyszyć. Tak samo, jeśli go nie uwolnią, a ty postanowisz kontynuować wasze dzieło.

– Nicolas nie żyje. Liancourt nie żyje. Jeśli nie uwolnią Holbacha, Atlas będzie pogrzebany.

– Znajdziesz jakiś sposób. Nie będziesz sama, ty i Holbach macie przyjaciół. Nie wszystkich aresztowano, prawda? Nawet jeśli chwilowo się ukrywają, to gdzieś są, czyż nie? Zacziesz od początku. Rzeczy odchodzą, a potem wracają; tak działa to miasto. Nie uda ci się z tego zrezygnować, Olimpio.

– A tobie się uda?

– Nie po to tutaj przybyłem. – Wzruszył chudymi ramionami. – Nie zrozum mnie źle; czynisz coś lepszego i odważniejszego niż ja kiedykolwiek będę w stanie. Nawet

jeśli czasem wymaga to robienia i doświadczania straszliwych rzeczy. – Machnął ręką w kierunku Róży, a potem na południe, gdzie było Shutlow. – To wszystko minie. Ale ja nie mogę zostać. Nie mam w tym świecie nic do zrobienia. Być może brakuje mi odwagi.

Skręcili w węższą i słabiej oświetloną ulicę pozbawioną drzew. Arjun mocniej przycisnął do siebie Olimpię; przywarli do siebie. Pokręciła głową.

– Co więc zrobisz? W jaki sposób będziesz kontynuował poszukiwania? A co, jeśli potwór cię znajdzie? Jeśli Holbach go nie powstrzyma? Jeśli będzie dalej się pożywiał, aż wreszcie połknie całe miasto? Wtedy zrezygnujesz?

– Mam kilka pomysłów. Zastanawiałem się nad tym i doszedłem do wniosku, że źle się do tego zabrałem. Walczyłem z miastem, gdy powinienem mu ulegać, a ulegałem mu, gdy powinienem walczyć. Mam pewne plany co do swoich dalszych poczynań. Nikomu więcej nie stanie się krzywda. Albo prawie nikomu. Od jutra, jeśli tylko przetrwamy tę noc, koniec z okrucieństwem i przemocą. Przynajmniej w takim stopniu, w jakim jest to możliwe. Oczywiście nie osiągniemy perfekcji, ale możemy bardziej się starać. Zacznę od początku. Jeśli powiem ci, jaki mam plan, pomyślisz, że oszalałem.

Na rogu ulicy znajdował się zamknięty teatr, którego okna i drzwi zasłonięto na noc żaluzjami. Na przodzie nieoświetlonego biura sprzedaży biletów stał drewniany posąg przedstawiający małego chłopca, który sztywno i

ślepo trzymał przed sobą drewnianą tacę. Olimpia przeciągnęła dłonią po malowanej głowie, gdy skręcali w lewo w uliczkę, przy której mieściły się obskurne pasmanterie, knajpy i magazyny.

– I tak uważam cię za szaleńca – odparła. – Zapomniałeś? Ale to tylko lekkie szaleństwo. Może znajdzie się dla niego miejsce, gdy odbudujemy miasto. Niby dlaczego świat miałby wtedy być sensowny? Uczynimy go pięknym i wystarczająco dużym dla wszystkich. Masz rację, zaczniemy od początku i bardziej się postaramy. Nie zmiążdży nas hrabina, przewodniczący ani żaden inny drań. Jeśli nawet stracimy Atlas, to stworzymy coś innego, lepszego. W końcu to Ararat; kimże są hrabina lub Cimenti w ogólnym porządku rzeczy? Czym jest jakieś śmierdzące zapomniane rzeczne bóstwo? Istnieją tysiące rzek i tysiące bogów. A skoro już przy tym jesteśmy, to czym jest Atlas? Cały czas rodzą się tysiące ruchów i rewolucji. Wszędzie coś umiera i przychodzi na świat, na tysiące różnych sposobów. Liczy się tylko przyszłość. Może pójdziemy na północ. W Wysokim Parlamencie na Wzgórzu Deweya są ludzie przyjaźnie nastawieni do nowych idei.

Przystanąła i popatrzyła przed siebie. Gdy ulica skręciła na południowy zachód, a potem na południe, ich oczom ukazała się migocząca gazowa latarnia i mroczne postacie poruszające się w jej blasku.

– Może udamy się na wschód. Koresponduję z pewnym człowiekiem w Millom-Bry. To bankier i wynalazca,

który pisał do Atlasu o „Żywym srebrze”, „Nitrycie” i jeszcze o czymś. Jest bogaty; niewykluczone, że przyjmie nas pod swój dach.

Kiedy podeszli bliżej, zobaczyli, że gazową latarnię otacza krąg stołów, na których ułożono sterty jedzenia i koców. Po jednej stronie krzątała się niewielka grupa kobiet w długich szatach; po drugiej stała kolejka, procesja, powolny potok ludzi przestępujących z nogi na nogę, ubranych w łachmany. Były wśród nich kobiety i dzieci.

– A może zostaniemy tutaj. Ukryjemy się w spalonych budynkach jak te okropne dzieciaki; będziemy żyć jak dzikie zwierzęta i rozpieprzymy każdego, kto spróbuje nas powstrzymać.

Kiedy weszli w krąg światła, wszystko stało się jasne; czarne postacie zyskały twarze, pobrużdzone i zmęczone. Budynek na rogu ulicy ogłoszono Misją Nessene. Ludzie ubrani w szmaty, zgięci w pół, kaszlący i wzdychający, nosili w czarnych oczach i na lśniącej oślizgłej skórze piętno zgnilizny płuc. Cuchnęli.

Za stołami uwijały się służki Nessene, uzdrowicielki ubrane w błękitne szaty ozdobione złotymi szpilkami w kształcie trójzębu, które lśniły w świetle gazowej latarni. Nosiły maski z błękitnego materiału oraz amulety odpędzające chorobę. Drobne kobiety przypominały pracowite żuki. Nawet nie podniosły wzroku, gdy Olimpia i Arjun podeszli do stołów. Zaledwie cztery służki obsługiwały ogromną liczbę chorych.

– Dość gadania – odezwała się Olimpia. – Mam już dość tej czczej gadki. Skoro nie możemy spać, to przynajmniej na coś się przydamy. Siostry! – zawołała. – Czy możemy wam pomóc?!

* * *

Ze szczytu wzgórza Arlandes spoglądał na północny zachód, na pałac. Potem przeniósł wzrok na północ, na „Gromowładnego” i skomplikowaną drewnianą konstrukcję suchego doku. Pałac płonął, ale ogień oszczędził okręt. W blasku płomieni biegali wściekli i zdeterminowani ludzie, którzy z tej odległości przypominali mrówki. Wspięli się na suchy dok i rozproszyli po olinowaniu „Gromowładnego”.

Leoden stał u boku kapitana z szablą w dłoni.

– Kapitanie?

Arlandes uciszył go syknięciem.

Pożar szalał w zachodnim skrzydle pałacu, w oranżerii i części arboretum. Przy wschodnim skrzydle toczyły się walki. W oknach pojawiały się błyski wystrzałów, na trawnikach stały barykady. Arlandes patrzył, jak intruzi przeprowadzają szarżę, szybki wypad, pędząc wokół stawu z karpami i w górę ozdobnych schodów. Szarża zakończyła się fiaskiem. Mimo to południowe skrzydło częściowo wpadło w ręce atakujących, a jego lokatorzy zostali ustawieni na trawnikach i byli... przeszukiwani? Przekupywani? Może oskarżani, sądzeni i traceni? Ale

przez kogo?

Nagle Arlandes zdał sobie sprawę, że już kiedyś widział rapiery o postrzępionym ostrzu, w jakie byli uzbrojeni ludzie, których zabił we Wdowiej Altanie. Gdy pojedynkował się z przyrodnim bratem, siostrzeńcem czy też zarządcą przewodniczącego Cimentiego, jego przeciwnik wybrał właśnie taką broń. Czyżby więc tam na dole walczyli ludzie Cimentiego? Było ich tak wielu: czy przewodniczący zdołałby wystawić taką armię?

Leoden podszedł bliżej.

– Kapitanie? Hrabina, kapitanie, hrabina nas potrzebuje.

– Arlandes podniósł rękę, uciszając pułkownika.

Po pokładzie „Gromowładnego” snuło się co najmniej trzydziestu mężczyzn. Kolejni krążyli po suchym doku, a następni bez wątpienia znajdowali się pod pokładem. Najwyraźniej nie potrafili uruchomić okrętu. Nie byli więc idealni, kimkolwiek byli. Nie wiedzieli wszystkiego. Błądzili w takich samych ciemnościach jak Arlandes.

Kim byli? Mogli to być ludzie Cimentiego, ale równie dobrze tuzina innych szlachciców. Czerwony Kopiec był w stanie wystawić taką liczbę żołnierzy; tamtejszy władca lubił ogień. Jego ambicje terytorialne z pewnością nie sięgały tak daleko na południe, ale śmierć i chaos same w sobie stanowiłyby dla niego wystarczającą nagrodę.

Mógł za tym stać także Parlament Mass How; nie brakowało w nim wywrotowych elementów powiązanych z Atlasem.

Być może wreszcie to samo miasto zwracało się

przeciwko hrabinie i jej ludziom.

Arlandes wodził wzrokiem po polu bitwy. Obok drzwi prowadzących do południowego skrzydła zobaczył kobietę, którą ściągnięto ze schodów i rzucono na trawnik do gry w krokieta. Wydawało się, że ma złote ubranie i białą twarz, ale mogło to być złudzenie wywołane blaskiem płomieni. Była tak drobna i odległa. Leoden zrobił krok do przodu, lecz Arlandes złapał go za ramię i pociągnął do tyłu. Ludzie w czarnych strojach trzymali kobietę za ręce i jedną z nóg. Mogła to być hrabina albo jedna ze służących; mógł to być ktokolwiek. Zaroił się wokół niej tłum czarno odzianych mężczyzn, chwytając ją, ciągnąc w dół, zasłaniając.

Arlandes oklapł. Mocno przytrzymał się ramienia Leodena; poczuł nagłą słabość w nogach. Jeśli ona odeszła, ja będę następny, pomyślał, po czym wymówił te słowa szeptem:

– Jeśli ona odeszła, ja będę następny.

Leoden popatrzył na niego zaszokowany.

A gdyby ją ocalił – gdyby zaszarżował w dół zbocza, tnąc na lewo i prawo, wywlekl ją z centrum zamieszania i jakimś cudem udałooby im się uciec – to co potem? Oczywiście zaczęłaby od początku. Z białym, sztywnym i nieustępliwym obliczem, zaczęłaby od początku. Nastąpiłaby zemsta, byłyby kolejne ofiary i jeszcze więcej śmierci, a on nie mógłby tego znieść; nie potrafił nawet o tym myśleć. Jaki był sens tego wszystkiego? Nie pozostało nic wartego ocalenia. Jej potworna biała twarz z

czzerwonymi ustami, rozkazująca mu: „Zacznij od nowa. Buduj od nowa”. Zimna jak posąg i bezduszna jak bóg. A pod tą białą twarzą mógł się kryć każdy. Liczyła się tylko okrutna maska oraz rozkazy, które wydawała. Arlandes czuł, że na samą myśl o tym jego odwaga i resztki godności drżą i pękają.

Wyprostował się i dobył szabli, po czym wskazał nią na północ, poza pałac, na „Gromowładnego” i suchy dok oraz ludzi, którzy się tam kłębili.

– „Gromowładny”, panowie. Musimy zająć okręt. „Gromowładny” jest wszystkim. Naszą ostatnią i najlepszą bronią. Jeśli zaatakujemy pałac, to zrezygnujemy z okrętu i z jedynej drogi ucieczki. Ona chciałaby, żebyśmy najpierw ocalili „Gromowładnego”. Takie wydała rozkazy, panowie. – Nienawidził brzmienia własnego głosu, gdy tak błagał i jęczał jak sklepikarz, człowiek przeklęty, tchórz, dezertor. Jego ludzie niepewnie przestępowali z nogi na nogę.

– Jeśli przejmujemy „Gromowładnego”, będziemy mogli ją pomścić – skłamał. – Rozumiecie?

Czerwone mundury nawet zbytnio się nie sprzeciwiały. Arlandes był zażenowany.

* * *

Jack sprawdził numer piętra i celi Holbacha w rejestrze naczelnika, więc znalezienie więźnia nie powinno nastręczać kłopotów, a jednak właśnie tak się działo.

Prawdę mówiąc, wszyscy czuli się tak, jakby spędzili w Róży dziesięć, sto albo nawet tysiąc nocy. Schodzili coraz niżej, a więzienie rozwijało się pod nimi niczym płatki kwiatu z rdzy i żelaza, wśród okratowanych ścian i krwawych kolców oraz szurania łańcuchów o kamień.

Stawało im na drodze bardzo niewielu strażników – wydawało się, że wszyscy udali się na górne kondygnacje, zwabieni przez pozorowany atak. Gromowładni wytarli ostrza noży o posłanie w pustej celi i zatknęli broń z powrotem za paski. Nie został nikt, z kim mogliby walczyć. Jednakże sama Róża okazała się śmiertelna. Zgrzytając kołami zębatymi jak zębami, rozwierała pułapki i wilcze doły. Kręciła i trzęsła korytarzami jak żongler, który w zwolnionym tempie wyrzuca w górę noże. Łańcuchy ciągnęły się po podłodze, sufity groziły nagłym zawaleniem, ściany zagradzały drogę, a ostrza śmigwały w poprzek posadzek. Gromowładni tańczyli, skakali i przemykali ponad ostrzami, kolcami i łańcuchami. Gdyby nie dar Ptaka, każdy z nich już wielokrotnie zostałby nadziany jak na rożen. Czasami podłoga trzęsła się, jęczała i przesuwiała pod ich stopami, a po chwili odkrywali, że ponownie idą schodami, którymi szli już raz, dwa albo trzy razy. W pewnej chwili korytarz, którym biegli, przegrodziła żelazna kurtyna, odcinając Beth od reszty grupy. Dziewczyna odnalazła się dopiero po kilku godzinach i rzuciła Jackowi w ramiona, łkając z wielkiej ulgi. Kiedy to samo przytrafiło się Coitowi, długie poszukiwania okazały się bezskuteczne.

W niektórych przypadkach była to kwestia zmyślnej inżynierii – ściany przesuwaly się i ślizgały dzięki ukrytym naoliwionym kołom zębatym, jak dekoracje w teatrze. W jednym z niespodziewanie rozwartych dołów ujrzeli olbrzymi, powoli obracający się mechanizm złożony z łańcuchów, wałków zębatych, wałów korbowych i parowych tłoków; Jack zablokował go piką i maszyneria gwałtownie się zatrzymała przy wtórze głośnego zgrzytu. Napotykali rozciągnięte nad ziemią druty, płytki reagujące na nacisk oraz kolejne podobne maszyny. A jednak część z tego, co działo się w Róży, może nawet większość, nie miała nic wspólnego z ludzką pomysłowością – to bóg, Łańcuch, pędził poprzez swoje legowisko, zmieniając jego kształt. Kraty powstawały z niczego i przedzierały korytarze tuż przed ich nosem, bezczelnie zaprzeczając zdrowemu rozsądkowi. Gdy Jack ich dotykał, okazywały się twardo osadzone w miejscu za sprawą kilkusetletniej warstwy rdzy, kurzu, pajęczyn i zaschniętej krwi.

Korytarz, który prowadził pomiędzy celami 110 a 130 na terenie lenna Mensonge'a, bez końca zakręcał i zawracał, pozbawiony wyjść, okien i dróg ucieczki. Przeszli nim kilkanaście razy, stopniowo tracąc nadzieję. Biegali bezładnie w kółko, nie znajdując wyjścia, aż wreszcie podmuchy wywoływane coraz szybszym pędem zgasiły pochodnie i pogrążyli się w mroku, zdani na łaskę i niełaskę bóstwa. Caul i Wood krzyczeli i łkali. Nagle Caul zamilkł, gdy w ciemności wpadł na coś ostrego.

Pozostali nie przestawali biec, jak gdyby mogli uciec z bezrozumnego uścisku boga. To była szalona myśl; Jack zrozumiał to z lodowatą pewnością. Dysponował jedynie drobnym skrawkiem mocy Ptasiego Bóstwa, małą szmatką oderwaną z rąbka jego szaty, pojedynczą lśniąca monetą skradzioną z jego sakiewki. W starciu z prawdziwymi pradawnymi mocami miasta był niczym; nie powinien był przychodzić do źródła potęgi Łańcucha. Mimo to nie przestawał biec. Nagle natrafili na drzwi oraz piękny blask pochodni i zataczając się, wpadli do nowego korytarza, który się przed nimi otworzył. Nie byli pewni, czy zostali uwolnieni, czy raczej wtrąceni głębiej do niewoli; nie wiedzieli, który z bogów Róży stanął im na drodze – Łańcuch czy Klucz? Nie mieli jak się tego dowiedzieć, zresztą nie miało to większego znaczenia.

Wkrótce potem Wood usiadł i odmówił dalszego marszu, a także nie pozwolił ruszyć się z miejsca. Beth zaczęła płakać i spoliczkowała go, ale on nie chciał jej niczego wyjaśnić i w końcu musieli go zostawić.

Schodzili coraz głębiej i za każdym zakretem widzieli coraz dziwniejsze rzeczy. Więźniowie w celach znajdujących się w każdej ze ścian bełkotali i błagali w dziwnych językach, których Jack nigdy dotąd nie słyszał. Większość uwięzionych była ubrana w łachmany, jednak niektórzy mieli na sobie dziwne stroje o nieznanym kroju, uszyte z połyskujących materiałów, które bardziej przypominały metal niż tkaniny. Sami ludzie także bywali dziwaczni. Jack nie raz widywał

czarnoskórych. Byli nimi choćby Namdi i biedak Coit, a także ten zabawny człowieczek Arjun. Ararat było dużym i różnorodnym miastem. Jednakże tutaj pojawiały się dużo bardziej nietypowe odcienie skóry – miedziany, psiankowy lub błękitny. W jednym z rzędów cel siedzieli więźniowie o żółtych kocich oczach. Niektórzy więźniowie spacerowali na czworakach, i to najwyraźniej nie z powodu obłąkania, ale z przyzwyczajenia; mieli długie ręce, które przypominały odnóża pajaków, a ich nogi w porównaniu z rękami wydawały się krótkie. Gromowładni wędrowali coraz głębiej tunelami pozbawionymi okien, śmierdzącymi stęchlizną, gdzie ze ścian wychodziły poskręcane czerwone korzenie dorównujące grubością Jackowi w pasie, które wiły się i plątały pod nogami jak wnętrzności, zupełnie jakby wpełzli pod gigantyczne drzewo. To właśnie wtedy Jack musiał przyznać, że się zgubili, wybrali niewłaściwą drogę i kilkakrotnie źle skręcili. Beth chciała zawrócić, ale odparł, że muszą iść dalej, po czym pobiegł naprzód, ciągnąc ich za sobą przez korytarze z czarnego marmuru. Niektóre korytarze skrzypiały, kołysały się jak stary okręt i cuchnęły morską wodą oraz zgnilizną. Cały czas słyszeli odgłos ciężkich łańcuchów wleczonych po ziemi, czasem tuż nad głowami, ogłuszająco głośny, a czasem w oddali, dyskretny i złowrogi. Nieustannie rozlegało się także skrzypienie i trzaskanie drzwi. Pochodnie stopniowo ustąpiły miejsca gazowym lampom, które z kolei ustąpiły miejsca brzęczącym i szumiącym rurkom wypełniającym

białe korytarze zimnym trupim światłem. Kobieta w białym stroju i białym spiczastym kapeluszu wyłoniła się z białej celi, a gdy minęli ją w wielkim pędzie, głośno westchnęła zaszokowana i upuściła białą tackę z igłami i buteleczkami pełnymi pigulek, po czym zawołała w ślad za Gromowładnymi:

– Dzieci, dzieci, nie powinniście tu być. Tutaj są chorzy ludzie, nie wolno ich straszyć...

Zostawili ją w tyle, pędząc przez komnaty ze szkła i stale zmieniające się komnaty z cienkiej białej tektury. Jack myślał o ciężarze ponad ich głowami, o przerażającej mrocznej gęstości Róży; myślał o tym, jak świat i porządek rzeczy ulegają wypaczeniu pod wpływem tego ciśnienia. Myślał o miazdżonym węglu, który zmienia się w diament, o starych gęstych gwiazdach, które zapadają się i przekształcają w wirującą nienasyconą czerń. Gdy biegł, czarne gwiazdy wypełniały jego umysł, a on nie wiedział dlaczego ani co to oznacza; ta myśl nie należała do jego miasta. Nazwa Róży była myląca; więzienie było gwiazdą, a nie kwiatem. Nie, było raną, a nie gwiazdą – wielką zakażoną raną w boku miasta. Fioletową, czerwoną i pełną robaków. Gdy schodzili niżej, coraz bardziej wrzynali się w rozdarte ciało miasta, jego połamane i źle nastawione kości – rozkawałkowane i sterczące pod dziwnymi kątami – oraz napuchniętą i rozdętą tkankę. Wydobywali na powierzchnię zakopane dziwactwa, które przypominały wijące się robaki.

Dwa poziomy niżej natrafili na mężczyznę zamkniętego

w celi wyłożonej stalą, którego twarz i obnażone ramiona były poprzesywane i poprzepłatane srebrnymi drutami. Siedział ze skrzyżowanymi nogami przy kracie i wyciągał na zewnątrz rękę, błagalnie, ale zarazem z zaciekawieniem. Jego złociste oczy lśniły, a tęczęwki rozszerzały się i zwężały. Ciało wokół drutów wyglądało na zakażone. Same druty delikatnie świeciły. Mężczyzna odezwał się w języku, którego nikt z nich nie rozumiał. Zresztą nawet nie byli pewni, czy to była mowa, czy zwykły bełkot. Blask drutów rzucał na ściany witraże cieni, a po rękach i twarzy więźnia przebiegały tam i z powrotem barwne iskry. Spoglądał na nich cierpliwie i z wyczekiwaniem, jakby te światła stanowiły wiadomość, szyfr, który powinni zrozumieć. Jack wzruszył ramionami; mężczyzna zamknął złociste oczy. Nie potrafili otworzyć jego celi. Gdy zamilkł, pogrążony w rozpaczy, druty nadal szumiały i syczały.

Jack mógłby przysiąc, że w całym Ararat nie było drugiego takiego człowieka. Brzydził się nim i nie mógł nic na to poradzić. Zostawili go (mlaskającego, syczącego i mrugającego) i zeszli niżej, ale Jack nie był w stanie zapomnieć o tym biedaku. Czy w tym samym mieście, w którym znajdowali się Jack, Dom Barbotina, Pałac, Shutlow czy kryjówka w „Czarnym Księżycu”, mogło być miejsce dla takiej istoty? Wydawało się to niemożliwe. Czy kiedy uciekną z Róży, wrócą do tego samego miasta, w którym obudzili się rano?

Oddech Jacka stawał się coraz bardziej nierówny.

Chłopak potykał się o kable i łańcuchy. Przytłaczał go ogrom Róży i skala tego, co zawierała. Myślał o malejącej liczbie Gromowładnych, o tym, jacy byli zmęczeni, obdarci i żałośni, i jak wielkie było miasto. Wyobrażał sobie, że macha małutkimi skrzydłami pośród potężnej burzy, bez sensu i bez końca; jego daremne wysiłki niczego nie zmieniały. Zataczał się i szedł coraz wolniej. Miał ochotę usiąść tak jak Wood, po prostu się zatrzymać, gdy nagle Beth krzyknęła i złapała go za rękę.

Pokazała w głąb korytarza. Na końcu sklepionego przejścia wisiało coś znajomego, czego zawsze nienawidził: aroganckie czerwone flagi hrabiny. Uśmiechnął się szeroko i mocno uściskał Beth, wciągając w nozdrza cudownie ostry zapach jej potu.

– A więc jeszcze z nami nie koniec.

Rozdział 39

Wczesnym wieczorem następnego dnia obudziło ich pukanie do drzwi hotelowego pokoju. Olimpia zerwała się z łóżka, owinęła brudną kołdrą i podbiegła do wejścia. Arjun powoli się obudził i patrzył z posłania, jak kobieta otwiera drzwi, za którymi stał gruby kierownik hotelu z uniesioną pięścią.

– Ten chłopak mówi, że ma dla was wiadomość. Szczyl mnie obudził. Nie róbcie tego więcej.

Był to najmniejszy z Gromowładnych Jacka. Arjun przypomniał sobie, że chłopiec ma na imię Een.

– Ktoś chce się z wami zobaczyć – rzekł malec. – Chodźcie za mną.

Tak też zrobili. Chłopak szedł wyraźnie z przodu, czekając na nich na końcu każdej kolejnej alejki. Zaprowadził ich na ulicę, przy której stały imponujące biura, po czym wprowadził do domu oznaczonego częściowo rozebrany szyldek, informującym, że budynek stanowi opuszczoną placówkę handlowego imperium gerenta.

Hol w budynku zapewne kiedyś był okazały, jednak stalowe i marmurowe elementy zostały rozkradzione. Teraz wewnątrz było szare i zakurzone. Gromowładni stali pod ścianami, kryjąc się w cieniach. Na jednej z kamiennych ław siedział z opuszczoną głową pochylony przysadzisty mężczyzna. Pisał coś w notatniku

trzymanym na kolanach.

– Profesorze! – zawołała Olimpia i podbiegła do niego.

Jack zagroził jej drogę. Na jego obliczu malowały się ból i współczucie; wydawał się starszy. Niepewna mina świadczyła o tym, że stara się być uprzejmy.

– Znaleźliśmy go i wydostaliśmy. Nie było łatwo, ale się udało. Niestety bardzo go pokieraszowali. Uznaliśmy, że lepiej nie zabierać go do waszego hotelu. Zbyttno zwracałby na siebie uwagę. Chyba bardzo zdenerwował hrabinę. Przykro mi. Będziecie tego potrzebować. – Podał jej pusty notatnik. – Ta suka pozwoliła mu pisać, aby mógł pracować dla niej nad projektami naukowymi, ale obcięła mu język. Przykro mi.

Olimpia usiadła obok Holbacha. Kiedy Arjun podszedł bliżej, zobaczył, że cała twarz profesora jest fioletowa, posiniaczona i opuchnięta. Rana była dość świeża. Olimpia objęła Holbacha i ścisnęła jego dłoń. Wszyscy milczeli.

* * *

Odczekali jeszcze chwilę. Kiedy Holbach skończył pisać, Jack wziął notatnik i rzekł do Arjuna:

– Mam to, czego chciałem. To wspaniałe uczucie, wyciągnąć kogoś z tego miejsca. Kiedyś tam wrócimy i zrównamy je z ziemią. Przykro mi, że mu to zrobili. Chyba pozostaje mi tylko życzyć wam szczęścia.

– Dziękuję, Jacku. Czy było bardzo ciężko? Twoi

ludzie nie ucierpieli?

Nie odpowiedział.

– A co ze strażnikami w Róży?

– A jak myślisz?

– Rozumiem. Przepraszam, Jacku.

Wzruszył ramionami. Arjun uścisnął mu dłoń i Jack wyprowadził swoich chłopców na ulicę.

Holbach z trudem trzymał się na nogach. Nie były połamane, ale mocno posiniaczone przez kajdany. Wspólnie pomogli mu wyjść.

* * *

Olimpia dysponowała mieszkaniem niedaleko labiryntu rozciągającego się w pobliżu olbrzymich ścian Machii, na północ od Róży. Mieściło się ono w kanciastym kamiennym budynku otoczonym pustymi sklepami, w którym niegdyś była pompownia.

– Hoxton je wybrał – wyjaśniła. – Prowadził interesy w Machii. Nie do końca legalne. Trzymałam to mieszkanie na wypadek takiej sytuacji jak ta. Gdybym kiedyś musiała się ukrywać.

Nie odważyła się odwiedzić żadnego z banków, w których miała konta, ale miała pieniądze ukryte w kilku miejscach w mieście.

– Zawsze wiedziałam, że pewnego dnia możemy być zmuszeni zacząć od nowa.

Zabrali pieniądze pod osłoną ciemności.

Zanim zaczęła się ukrywać oraz wspólnie z Hoxtonem uratowała Arjuna z zamieszek na Wrzosowisku, zdołała pomóc kilku spośród twórców Atlasu w zejściu do podziemia. Teraz wędrowała po mieście i ich zbierała. Przeżyło paru badaczy, a także optyk Branken, prawnik Marchant, chirurg Mellarme i kilku innych. Wszyscy znaleźli mieszkania w okolicy.

Holbach był chory. Początkowo Arjun obawiał się, że profesor został dotknięty przez Tajfunę, ale zły stan zdrowia uczonego był wynikiem odniesionych ran i wyczerpania. Arjun dbał o Holbacha jak tylko potrafił, wykorzystując całą wiedzę medyczną, którą przyswoił w Chórze, dopóki Olimpia nie sprowadziła doktora Mellarme, by przejął opiekę nad chorym.

Niektórzy z twórców Atlasu odmówili dołączenia do Olimpii. Inni zaginęli: zostali zamordowani lub zeszli jeszcze głębiej do podziemia. Ci, którzy zostali, bardzo potrzebowali kogoś, kto by ich poprowadził. Nerwowo krążyli wokół Holbacha.

– Czy udało ci się dowiedzieć czegoś o Tajfunie? Wiesz, jak z nim walczyć? – spytał profesora Arjun.

Holbach uniósł ołówek słabą dłonią i napisał: „Nie. Potrzebuję książek, żeby się czegoś dowiedzieć. Tutaj nic nie zrobię”.

– Dowiedziałeś się czegoś o Głosie? Czegokolwiek, co mogłoby mi pomóc go odnaleźć?

„Nie. Przykro mi”.

Arjun uścisnął rękę chorego.

– To nic, profesorze. To nic.

* * *

Znajdowali się daleko na północ od terytoriów hrabiny, w bezpiecznej odległości od szalejących zamieszek. Powoli docierały do nich nowe wieści. Z zapalem słuchali plotek i przeglądali gazety, obawiając się, że ich najgorsze obawy się ziściły.

To był spokojny tydzień. „Gromowładny” beczynn timer tkwił w suchym doku. Szare mundury wycofały się i ukryły w cieniu. Ulice opustoszały. Na łamach gazet zaczęto spekulować, że przemoc już się wypaliła.

Ale wtedy pojawiły się doniesienia o kolejnych protestach, wybuchach na Targu Siedmiu Kół, wysypie zgonów spowodowanych zarazą i o nieznośnych wybrykach białych szat. Cokolwiek stanowiło przyczynę, chaos rozpętał się na nowo.

Tym razem było jeszcze gorzej, nawet biorąc poprawkę na przesadzony i historyczny ton gazetowych doniesień. Wszystkie strony konfliktu miały dostęp do broni palnej i materiałów wybuchowych i nie wahały się ich używać. Taka sytuacja była nie do zaakceptowania; nie mogła długo potrwać.

Po połączeniu informacji z kilku gazet można było wskazać konkretną noc, kiedy zamieszki wybuchły z nową siłą. Wyglądało na to, że tejże nocy buntownicy zaatakowali wszystkie koszary, stocznie, strażnice, wieże

i rachuby hrabiny. Jej wojsko miało trzy magazyny w Shutlow i Okręgu Barbarii, przysadziste budynki, w których za żelaznymi drzwiami kryły się półki wypełnione prochem, karabinami i pociskami artyleryjskimi. W ciągu jednej straszliwej godziny wszystkie wyleciały w powietrze, zasypując ulice fontannami ognia i ceglanego pyłu, wybijając każdą szybę w zasięgu kilku przecznic. Raporty dotyczące liczby ofiar były niejednoznaczne: niektórzy twierdzili, że ludzie mieszkający w sąsiedztwie magazynów zostali ostrzeżeni i bezpiecznie wymknęli się z domów, zabierając dzieci i dobytek tuż przed godziną ataku. Olimpia tylko pokręciła głową i stwierdziła: „Ludzie zawsze wygadują takie rzeczy”. Niektórzy uczeni usiłowali ustalić teologiczne znaczenie trójkąta ognia wyznaczonego przez eksplozję, ale nie otrzymali jednoznacznych wyników.

Według setki panicznych doniesień pałac hrabiny został splądrowany, spalony i wysadzony w powietrze. Podobno płomienie przez większość dnia były widoczne z każdego zakątka Wrzosowiska.

Setki osób utrzymywały, że na własne oczy widziały najgorsze walki. Thum zbiegłych kryminalistów – „Czy nie ostrzegaliśmy, że ten anarchista Jedwabny Jack sprowadzi do miasta zamieszki i zniszczenie? Podczas gdy nasi rywale w dziecinny sposób wysławiali anarchistów, czy my was nie ostrzegaliśmy?”, pytano na łamach „Wartownika” – zaatakował siedzibę hrabiny i suchy dok „Gromowładnego”, gdy większość pałacowej

straży była zajęta gdzieś indziej.

W końcu wojska hrabiny były zbyt rozproszone, by bronić którejkolwiek z jej fortec.

Zapanował krwawy chaos. Jedyne, czego wszyscy byli pewni, to fakt, że „Gromowładny” przetrwał, podobnie jak kapitan Arlandes. Powiadano, że Arlandesowi udało się wzbić okrętem w powietrze – zaledwie z połową załogi na pokładzie i bez amunicji do dział – a następnie uciec ponad Wrzosowiskiem i skryć się w wysokich budynkach na zachodzie.

Wciągu kolejnych tygodni „Gromowładnego” widywano (podobno) nad całym miastem, gdy wylatywał z wież i ponownie się w nich chował. Okręt był jak dziki zwierz w miejskiej dżungli. Nocami załoga (podobno) opuszczała się na linach, by kraść jedzenie i zapasy z wieżowców.

Przewodniczący wydał oświadczenie, w którym zakazał toczenia walk na terytorium hrabiny; uznał to za zagrożenie dla porządku w całym mieście. Za zgodą innych szlachciców wysłał w miejsce konfliktu siły pokojowe.

Rebeliantów pokonano niemal natychmiast, „jak armię, której odcięto dostawy”, napisano w „Erze”, być może niebezpiecznie zbliżając się do prawdy. Arjun i Olimpia nie mieli wątpliwości, że to przewodniczący uzbroił buntowników, podsycił ich pretensje, wykorzystał, a potem pozbawił pomocy, gdy przestali mu być potrzebni. Zastanawiali się, ilu ludzi o tym wie.

Nie było jasne, co się stało z hrabiną. Teraz Cimenti władał jej terytoriami (oczywiście dla dobra miasta). Sama Ilona wpadła w otchłań zapomnienia, tak samo jak gerent. Olimpia, wiedzioną pragnieniem zemsty, desperacko poszukiwała jakichkolwiek wieści o losie władczyni, ale na nic nie natrafiła. Do oczu napływały jej łzy frustracji.

Przewodniczący wydał kolejne oświadczenie, obiecując przywrócić pokój na obszarach ogarniętych zamieszkami oraz skończyć z pychą, która doprowadziła hrabinę do stworzenia „Gromowładnego” i zwalczania Atlasu (choć nie wycofał zakazu jego publikacji i wcale się z tym nie krył).

– Oto prawdziwe oblicze zła w tym mieście – orzekła Olimpia. – Prawdziwy współczesny potwór działa wyłącznie poprzez nieszczerze oświadczenia w prasie. Teraz zajmie się nierozwiązanymi wątkami. Czyli nami.

Jednakże wkrótce o przewodniczącym zaginął słuch. Według plotek – gazety nie odważyły się czegoś takiego opublikować – został zamordowany. Niektórzy powiadali, że Jedwabny Jack zakradł się nocą do okna jego sypialni i poderżnął mu gardło, by ukarać go za próby położenia kresu przemocy i anarchii, którymi karmili się Gromowładni. Inni twierdzili, że w działach latającego okrętu pozostał jeden pocisk, który Arlandes wystrzelił w wieżę Cimentiego. Większość ludzi wolała nie rozmawiać na ten temat.

Kiedy Holbach nabrał sił, przynieśli mu gazety.

Profesor i Olimpia spędzili długie godziny, usiłując ustalić, co się im przytrafiło, oraz zaplanować swój kolejny ruch. Arjun dyskretnie unikał udziału w tych rozmowach.

* * *

Tak naprawdę te rozmowy – które Arjun, idąc w milczeniu ulicami, wyobrażał sobie jako błyskotliwe lawiny planów, strategii i szalonych pomysłów – do niczego nie prowadziły.

– Ta, która ci to zrobiła, nie żyje – mówiła Olimpia. – Przetrwaleś ją. Pozwolisz, by teraz cię uciszyła?

Ołówek Holbacha zawisał nad kartką i czasem profesor zapisywał kilka słów, a następnie gwałtownie je wydrapywał, wydając przy tym ciche kocie jęki, najwyraźniej nie zdając sobie z tego sprawy. Czasami w ogóle nie był w stanie pisać. Wtedy Olimpia trzymała go za rękę, by powstrzymać jej drzenie.

Czasem zapominał, choć trudno było w to uwierzyć. Otwierał usta, pokazując zrujnowaną architekturę ich wnętrza – strzaskali mu zęby podczas operacji – i wydawał z siebie gruby, idiotyczny, pozbawiony słów wrzask. Czym prędzej zaciskał wtedy szczęki, ale za późno; na jego twarzy malował się nieznośny wstyd, a Olimpia musiała odwracać wzrok.

Zdarzało się także, że jego oczy wyrażały jedynie pustkę i beznadzieję oraz potworną samotność.

Czasami lekko chwytał Olimpię za rękę, przyciągał ją do biurka i pisał: „Powiedz mi, co mam robić”. Wciskał jej kartkę w dłoń, lecz ona nigdy nie umiała mu odpowiedzieć.

* * *

Arjun i Olimpia przespali się ze sobą po raz ostatni, wiedząc, że więcej tego nie zrobią i że nie ma sensu, by pozostawali razem. Nie byli jeszcze bezpieczni, ale przez jedną noc chcieli udawać, że tak jest. Jednakże kiedy nagle obudzili się w ciemności, leżąc w ciszy, zeszywniali i obolali na łóżku przesiąkniętym zatęchłym zapachem potu pozostałym po nocnych koszmarach, żadne z nich nie mogło się odezwać, poruszyć ani oddychać, jak gdyby nadal tonęli w koszmarze, którego nawet nie pamiętali. Coś się zmieniło w ciemności sypialni. Coś się zmieniło w ciemności miasta. Światło, które uznawali za pewnik, zniknęło.

Rozdział 40

„Cyprys” oczywiście zbankrutował, ale biorąc pod uwagę, jak nieprzyjemne, niespokojne i podłe były ostatnie tygodnie, Defour nie czuła żalu. Pensjonat zawsze stanowił kłopot, a teraz zmienił się w nieznośne brzemie.

Ostatnim lokatorem był Heady, lecz ten niegdyś sympatyczny człowiek stał się niezwykle uciążliwy za sprawą ciągłych wizyt jego nowych złowrogich przyjaciół. Aż w końcu pewnego wieczoru wrócił do domu spanikowany, spakował torby, wziął ostatnią kąpiel – zawsze był porządny, przynajmniej tyle można było o nim powiedzieć – i w jakiś sposób udało mu się podczas niej utopić, co zmusiło Defour do przeniesienia – bez niczyjej pomocy! – jego zimnego, rybio bladego ciała do jednej z uliczek, by tam mogło wzbudzić zainteresowanie władz. Defour została sama jak palec w tym olbrzymim, pełnym przeciągów starym budynku. Och, ponieważ...

(Obecnie Madame Defour siedziała na kamiennej ławce na skraju Placu Tybru, osłaniając oczy przed niesłabnącym czerwonym blaskiem Słupa Ognia, który wznosił się na środku rozległego pustego okręgu. Dochodziła północ, ale w olśniewającej obecności Tybru nigdy nie zapadał zmrok. U stóp Defour stały jej spakowane torby. Była daleko od domu. Obok niej na ławce siedziała otyła dziewczyna o włosach jak strąki i ponurym obliczu wyrażającym troskę i załamanie

własnym losem, Defour zaś tłumaczyła jej, że w tym wieku jeszcze nie ma pojęcia, czym są prawdziwe zmartwienia).

... ponieważ pojawiły się plotki, że „Cyprys” został przeklęty. Bogowie wiedzieli, że Defour często myślała o pensjonacie w kategoriach klątwy, odkąd Pająk skazał ją na prowadzenie go. Jednakże w ostatnich tygodniach zaraza zabrała tak wielu lokatorów – prawdę mówiąc niemal wszystkich – że ludzie zaczęli zwracać na to uwagę. Nikt nie chciał u niej mieszkać. Nikt nie chciał mieszkać w Shutlow, jeśli tylko miał jakiś wybór.

Poza tym w „Cyprysie” rzeczywiście działo się coś dziwnego. Defour wzdrygała się przed użyciem słowa „nawiedzony”, ale nic lepszego nie przychodziło jej do głowy. Przykładowo, piwnica została zalana, co nie zdarzyło się ani razu przez trzydzieści lat, i pozostawała w takim stanie, niezależnie od tego, jak wiele wiader czarnej błotnistej wody z niej usuwano, aż w końcu Defour oddała ją wodzie we władanie i zamknęła włącz na kłódkę; od tamtej pory z dołu wciąż dobiegało ciche skrzypienie i pojękiwanie. Nawet w środku chorobliwie upalnego lata w „Cyprysie” było zimno i szalały przeciągi. Unosiły się dziwne zapachy. No i oczywiście umierali ludzie. Czasami wydawało się, że w budynku jest więcej pokoi niż powinno, a wszystkie były puste i nieumeblowane, z zapleśniałymi i przegniłymi zasłonami i dywanami. Pojawiły się także długie mroczne korytarze, które prowadziły donikąd, oraz pokoje bez numerów, a...

– Właśnie tak to wyglądało – odezwała się gruba dziewczyna – kiedy umarli moi rodzice i...

– Przepraszam bardzo!

... a najdziwniejsze było to, że te nietypowe zjawiska wciąż się nasilały, najpierw powoli, a potem coraz szybciej, jak gdyby to, co je powodowało, stawało się coraz potężniejsze i pewne siebie, uczyło się nowych sztuczek. A kiedy już znalazło coś nieprzyjemnego, co mogło robić, na przykład sprawiać, że wszystkie szyby pękały i wpuszczały lodowaty wiatr, albo czarne chwasty wyrastały spomiędzy klepek podłogowych, ani na chwilę nie odpuszczało, działając z uporem i mało wyrefinowaną złośliwością, tak że w ciągu kilku tygodni „Cyprys” stał się miejscem nie z tej ziemi, a większość lokatorów chętnie by się z niego wyprowadziła, gdyby tylko lepiej się czuli. Umarł Norris, kilka tygodni później Clement; pod koniec kolejni lokatorzy padali trupem, jakby to była jakaś nowa moda. Smutek, gniew i zgorzknienie wisiąły w powietrzu jak lodowata czarna mgła, a zapalki nie chciały płonąć.

Defour odeszłaby już wiele tygodni temu, gdyby nie święta przysięga, którą złożyła Pająkowi i która wiele lat temu uczyniła ją szefową „Cyprysa”. Została i składała swojemu bogowi ofiary z much. Zrobiła na drutach pajęczynę, po czym rozwiesiła ją w sypialni, by Pająk dobrze się tam czuł i przybył ją chronić. Nie zrobił tego. Jego wyniosła i zagadkowa obojętność, która zawsze ją fascynowała i zachwycała, teraz sprawiała marne i

trywialne wrażenie w porównaniu z zachowaniem istoty, która ją obserwowała i jej nienawidziła. Aż pewnego dnia, wkrótce po śmierci Heady'ego, gdy robiła poranny makijaż, lustro na jej toalecie pękło, a w samotnych fragmentach swojego odbicia Defour ujrzała błagające, wrzeszczące i gnijące twarze topielców. „To tyle, jeśli chodzi o Pajaka”, powiedziała, po czym odeszła z „Cyprysa”, zostawiając niezamknięte drzwi – mogło przez nie wejść każde dziecko, będące na tyle głupie, by tam nocować.

Defour nie miała rodziny, u której mogłaby się zatrzymać. Udała się więc na północ ku odległemu Placowi, gdzie płonął Tyber. Resztkę swojej fortuny z lat scenicznej kariery wydała na powozy i riksze, więc niemal frunęła do celu. Podróżowała dniem i nocą prawie przez tydzień. Kazała kolejnym woźnicom i rikszarzom kierować się czerwonym blaskiem Płomienia widocznym na horyzoncie i jechać jak najprędzej. Uznała, że prześladowuje ją wodna istota, której domeną jest zimno, mrok i zgnilizna, więc być może boi się ognia i Defour będzie bezpieczna w pobliżu Tybru. Teraz siedziała na ławce na skraju Placu Płomienia, obserwując długie cienie mężczyzn i kobiet przemykające pod surowym spojrzeniem boga. Próbowwała wynająć pokój w okolicy, ale wszystkie były zajęte.

– No tak – rzekła otyła dziewczyna. – Właśnie po to wszyscy tutaj jesteśmy. – Wskazała brudną ręką Plac i ludzi, którzy siedzieli na kamiennych ławkach, spali

przytuleni na bruku lub klęczeli w sercu Placu, pogrążeni w pokucie, tak blisko Płomienia, że mogli oślepnąć.

– Niech pani już przestanie paplać o Pajaku – syknęła dziewczyna – i lepiej się ukloni. – Pochyliła tłustą głowę i złożyła ręce w geście uwielbienia. Wstrząśnięta Defour poszła w jej ślady.

Obok nich dumnie przemaszerowało sześcioro chłopców i dziewcząt o ogolonych głowach. Byli ubrani w białe szaty. Troje z nich niosło zapalone pochodnie, zupełnie zbędne w obecności płonącego Tybru. Przyjrzeni się Defour i otyłej dziewczynie i najwyraźniej nie znaleźli w nich niczego niewłaściwego, jednak kawalek dalej obudzili kopniakami mężczyznę, który spał z głową opartą na walizce, i zażądali wyjaśnień, dlaczego nie okazuje ani krzty pierdolonego szacunku pierdolonemu bogu w jego pierdolonym świętym miejscu, po czym odciągnęli go na bok i pobili.

Kiedy białe szaty się oddaliły, gruba dziewczyna splunęła.

– Tak to tutaj wygląda, proszę pani. Gówniarzom wydaje się, że to miejsce należy do nich. Lepiej ich nie drażnić.

– Tak, młoda damo, dziękuję, już kiedyś widziałam te kreatury. Ale to jest hańba! Czy nie mogą się ich pozbyć kapłani, milicjanci, strażnicy, ktokolwiek?

– Kapłani odpędzają ich przed poranną i nocną ceremonią. Poza tym dają im spokój. Białych szat jest zbyt wiele i to my musimy się nimi przejmować, a nie

Kościół.

– Hańba!

Gruba dziewczyna miała na imię Delia. Opowiedziała Defour swoją smutną historię i przedstawiła własną makabryczną wizję *Stwora*. Defour słuchała jej jednym uchem, obserwując, jak stada białych szat polują pośród tłumu.

Defour zdała sobie sprawę, że mamrocze pod nosem: „Ojej, ojej”. Płomień dawał ostre światło, ale żadnego ciepła, nie zapewniał poczucia bezpieczeństwa, a wszystkie sprawy w mieście przybrały przeraźliwie zły obrót. „Ojej, ojej”. Bardzo pragnęła komuś się wyżalić.

Delia toczyła ożywioną rozmowę z inną dziewczyną, równie brudną i zdesperowaną, której rodzice i brat wpłynęli swoją barką do ciemnego tunelu i nigdy nie wrócili. Dziewczyna zastanawiała się nad przyłączeniem do białych szat; w jaki inny sposób mogła się wyżywić? Z kolei Delia pogodziła się z wizją prostytutki; słyszała plotki o hojności niektórych kapłanów Tybru.

Wszystko jest przeraźliwie źle, pomyślała Defour. Miasto pęka tak jak lustro na jej toalecie. Ktoś powinien to powstrzymać, ale najwyraźniej nikt nie czuje się do tego zobowiązany. Wszyscy książęta, kapłani, burmistrzowie, radcy i żołnierze są równie odlegli jak Pająk i tak samo zimni i bezużyteczni jak Płomień.

Podjąwszy trudną decyzję, Defour nachyliła się i trzepnęła Delię w ucho.

– Dziewczęta, natychmiast skończcie te rozmowy –

powiedziała. – Nie patrz tak na mnie, młoda damo. Jeszcze nigdy nie słyszałam takich bredni. Czy wy nie macie żadnych zasad? Żal mi waszych rodziców. A teraz obie mnie posłuchajcie...

Jednak dziewczęta nie słuchały. Twarz Delii wykrzywił nagły grymas, który po chwili ustąpił miejsca zaskoczeniu i rosnącemu przerażeniu. Dziewczyna z barki pisnęła i wskazała palcem na przeciwległą stronę Placu. Defour obejrzała się, początkowo niczego nie dostrzegając. Jednak po chwili zauważyła, że na skraju Placu gromadzą się cienie. W obecności Tybru od tysięcy lat nie zapadała ciemność; od tysięcy lat Płomień wypalał mrok i odbijał się w marmurze i szkle budynków w promieniu mili. Lecz oto ciemność zbierała się wokół ognia, gęstniejąc, puchnąc i lodowato rozlewając się po bruku.

Napływała ze wszystkich stron i wyciekała spod ziemi. Pełzła głodnymi kosmykami ku miejscu, w którym w ciszy huczał Płomień. Kosmyki spalały się i zmieniały w brudną mgłę, wciąż jednak zastępowały je kolejne. Noc stała się przerażająco zimna.

Defour patrzyła, jak tłumy maruderów opuszczają środek Placu. Początkowo odwracali wzrok od ciemności, próbując udawać, że jej tam nie ma; potem, gdy ciemność ich otoczyła, zaczęli sztywno i nerwowo się od niej oddalać; teraz rozpaczliwie biegli, mijając Defour, Delię i dziewczynę z barki.

Płomień przygasł.

Zachwiał się i zamigotał, zupełnie jakby jakiś

niewyobrażalny wicher próbował w jednej chwili zdmuchnąć tysiąc lat historii. Na całym Placu tańczyły długie cienie.

Żółć podeszła Defour do gardła i kobieta popuściła.

Dziewczyna z barki już uciekała. Delia wpatrywała się w ciemność z idiotyczną miną na bladej twarzy.

– Głupia dziewucho – zaskrzeczała Defour i szarpnęła Delię za ucho, by skłonić ją do ucieczki.

Po chwili obie pędziły na złamanie karku po śliskich mokrych kamieniach, na których szalały cień i blask ognia, tocząc walkę, której Defour nie rozumiała i nie chciała rozumieć. Sama myśl o niej sprawiała, że robiło jej się niedobrze. Wydawało się, że potyczka trwa niezwykle długo, jednak zanim Defour zdążyła zrobić kilka chwiejnych kroków, cień wygrał i światło zniknęło; zostało połknięte.

Defour zatrzymała się i obejrzała dopiero, gdy dotarła do wlotu uliczki biegnącej pomiędzy świątynią a budynkiem sądu. Wtedy przypomniała sobie o porzuconych walizkach. Odwróciła głowę i zobaczyła, że Plac stał się olbrzymią pustą nieoświetloną przestrzenią, którą chłosta ostry nocny wiatr i w której sercu panuje ciemność.

Kilkoro młodych ludzi w białych szatach uciekło; jeden prawie zdeptał Defour przy wlocie uliczki. Jednakże większość pozostała na Placu. Defour widziała ich w świetle pochodni, które były drobnymi kulami słabego światła pośród rozległego cienia. Białe szaty powoli

podeszły do źródła mroku, który pochłonał ich boga. W ich postawie dało się zauważyć szacunek i podziw. Czyżby padali na kolana? Defour nie była pewna. Kolejno zgasili pochodnie i na dobre zniknęli jej z oczu.

– Kurwa mać! – zawołała Delia z drugiego końca uliczki, gdzie wciąż świeciły latarnie. – Chodź tutaj, głupia starucho! – Defour jej posłuchała, bo i tak nie miała dokąd pójść.

Rozdział 41

Arjun usiadł, odpychając śmierdzącą, przesiąkniętą potem kołdrę, po czym wstał z łóżka. Olimpia wychyliła się przez okno, spoglądając na północ.

Ciemność panująca w pokoju uległa subtelnej zmianie. Olimpia rozwiązała zagadkę tej dręczącej nieobecności.

– Płomień zgasł.

Ubrali się i wyszli na korytarz. W pokoju obok Branken i dwaj badacze obudzili się z tego samego koszmaru. Cała piątka wyszła w ciszy na nocną ulicę, dołączając do zbierającego się tłumu, który szeptał, pogrążony w szoku i smutku. Skoro wszyscy to wyśnili, musi to być prawda. Ale to niemożliwe. Nie pozwolono by na coś takiego.

Znajdowali się na południe od Urbomachii i jej wysokie mury przesłaniały im widok w kierunku północnym. Razem ruszyli po krętych schodach z drewna i kamienia wiodących na szczyt najbliższej ściany. Tłum stawał się coraz liczniejszy, gdy dołączali do niego zaspani mieszkańcy kamiennych domów wyrastających z muru. Po drodze wędrowcy mijali wiele miejsc, w których mogli odpocząć, ale nie mieli takiego zamiaru. Musieli się przekonać. W końcu dotarli na szczyt muru i stanęli pomiędzy parapetami. Znajdowali się wysoko nad miastem; nic nie zasłaniało im widoku na północ. Na dachach w dole roiło się od innych zdesperowanych obserwatorów. Po raz pierwszy w historii miasta ciemność

sięgała samej Góry Ar.

* * *

– Kiedy władała hrabina – odezwała się Olimpia – mogliśmy zostać i z nią walczyć albo przynajmniej mieć nadzieję, że pewnego dnia nam się to uda. Było tak nawet pod rządami Cimentiego, choć przyznaję, że ten uśmiechnięty drań mnie przerażał. Ale tego już za wiele. Teraz wygląda na to, że samo miasto zwraca się przeciwko nam. Nie chce nas. Rozumiecie? Bogowie to miasto, a miasto to my. Nawet tacy bluźniercy, libertyni, czy jakkolwiek nas nazywają. Rozumiecie?

Olimpia nie byłaby bardziej wściekła i zagubiona, gdyby pewnego dnia nie wzeszło słońce. Krążyła wokół zalękniona.

– Być może – odrzekł Arjun. – Kiedy Głos odszedł, niemal nas to zniszczyło. Nie wyobrażam sobie, co byśmy zrobili, gdyby Głos został, ale zwrócił się przeciwko nam i zaczął na nas polować.

– On nie tylko poluje na nas, ale wystawił przeciwko nam armię. Topi i pożera innych bogów, ich także zwracając przeciwko nam. Może wkrótce w mieście pozostanie tylko on. Mówiłam, że zaczniemy od początku, i rzeczywiście tak uważałam, ale... Mówiłam też, że wszystko może rozpocząć się na nowo, i w to także wierzyłam, teraz jednak sprawy wyglądają inaczej. Rozumiecie? Miasto już tak nie działa – przez tysiąclecia,

a może od zawsze, wszystko cyklicznie kończyło się i zaczynało, ale ten stan rzeczy uległ zmianie. Sądzę, że to już przeszłość. Wszystko się popsuło. Nie mogę tutaj zostać; nie mogę zostać, jeśli nie ma nadziei. Jeśli nie ma przyszłości.

Po tej nocy jednakowych snów gazety i uczeni przez kilka dni rozpaczliwie debatowali nad tym, co Tyber pragnie zakomunikować poprzez wycofanie swojego płomienia, a jego kapłani siedzieli na ulicach, bladzi i otępiali, pogrążeni w żałobie. Arjunowi było ich żal. Wśród ludzi popularność zyskała teoria, że Tyber okazał w ten sposób swoje niezadowolenie z ostatnich rozruchów.

Kilka dni później zaczęto opowiadać o zmianach w wyglądzie i zachowaniu białych szat. Ich oczy były teraz czarne, a skóra trupio blada. Już nie zapalali pochodni. Podobno dysponowali potworną siłą i spojrzeniem, które odbierało oddech i sprawiało, że skóra na twarzy zaczynała gnić. Żadna rana nie mogła ich zabić. Byli wszędzie, wędrowali w stadach. Na coś polowali. Zabijali tych, którzy weszli im w drogę.

To niedorzeczne, zapewniała wszystkich „Era”; ludzie zawsze odczuwali pokusę, by przypisywać nadludzkie moce tym zwyczajnym i żalonym młodocianym chuliganom, a nowe doniesienia zapewne były jedynie bezładnym rozwinięciem opowieści o Jedwabnym Jacku i Gromowładnych. I tak dalej, i tak dalej: ale plotki nie ucichły. Ludzie pamiętali koszmar i nie zamierzali

udawać, że jest inaczej.

Pięć dni po tamtej pamiętnej nocy Arjun zobaczył trzech chłopców w białych szatach. Szli ulicą przygarbieni i wężyli, wyciągając szyje. Mieli czarne, puste oczy. Cuchnęli śmiercią. Nosili w sobie zatrutego boga, którego zaprosili do swojego wnętrza. Arjun wiedział, że w kanałach żyją brzydkie, zębate, pozbawione oczu wężorze; widział na kartach Atlasu ich przekrojowe rysunki, które przyprawiły go o dreszcze. U białych szat zobaczył te same sugestywne i nienasycone wężowe ruchy. Ponownie zadrżał i ukrył się w bramie.

– Nie możemy z tym walczyć – rzekła Olimpia. – Rozerwą nas na strzępy. A kto wie, co zrobią potem? Nie twierdzę, że jestem gotowa opuścić miasto. Nie chcę zostawiać go na pastwę tego potwora. Ale przede wszystkim służę Atlasowi. Holbach już nie może nas prowadzić. Pozostali to marzyciele, a nie przywódcy. Muszę się zająć Holbachem i tym, co zostało z naszej grupy. Powinniśmy wyjechać z Ararat. Znaleźć bezpieczne miejsce. Może kiedyś uda nam się wrócić, albo zbudujemy coś nowego w innym miejscu.

– Rozumiem.

– Poproszę cię jeszcze raz. Chodź z nami. Tutaj zginiesz.

– Wiesz, że nie mogę.

– A jeśli jego tutaj nie ma? Jeśli się mylisz?

– Trudno. Ale to moja ostatnia i najlepsza szansa. Jeśli go tutaj nie ma, to nie ma go też nigdzie indziej. Nie mogę

odejść. Nie mam odwagi.

Przez chwilę stali przytuleni. Holbach uścisnął jego dłoń, a Branken bezceremonialnie klepnął go w ramię. Potem zarzucili bagaże na plecy (badacze pomogli uczonemu wiodącemu bardziej siedzący tryb życia) i wyszli z pompowni. W porcie zamierzali wsiąść na pierwszy lepszy statek.

Arjun kawałek ich odprowadził, ale nie chciał iść z nimi aż na nabrzeże.

– Beze mnie będziecie bezpieczniejsi – wyjaśnił. – Nie powinniśmy razem zbliżać się do wody.

– Boję się – wyznała cicho Olimpia po drodze. – Nigdy nie opuszczałam miasta. Tutaj jest wszystko, co znam.

– Nie będzie tak źle. W innych miejscach nie ma... aż tylu różnych rzeczy. Ale za to potrzeba tam uczonych, myślicieli i budowniczych. Pomyśl: możecie stworzyć mapę całego świata.

– Został nas zaledwie tuzin.

– Możecie chociaż zacząć. Albo kontynuować swoją dawną pracę; spisać ją i przemyścić z powrotem do miasta.

– Nikogo tutaj nie obchodzi nic, co pochodzi spoza miejskich murów. Powinieneś już to wiedzieć. – Uśmiechnęła się.

Od najbliższego postoju powozów dzieliła ich godzina marszu. Woleliby wybrać się na południe piechotą – w ten sposób mniej zwracaliby na siebie uwagę – ale Holbach wciąż był za słaby na tak daleką wędrówkę. Poczekali, aż pojawi się wystarczająca liczba powozów, by pomieścić

ich wszystkich. Nim zajęli miejsca, Arjun po raz ostatni uścisnął dłoń każdej z osób. Olimpia więcej go nie prosiła.

* * *

Patrzył, jak odjeżdżające powozy oddalają się i zanurzają w chaosie miasta, aż w końcu, gdy dotarły do zatłoczonego skrzyżowania, nie był już w stanie powiedzieć, którymi z widocznych w oddali pojazdów jechali Olimpia, biedak Holbach i inni twórcy Atlasu, a które stanowiły tylko nieistotne tło.

– Mam kilka pomysłów – powiedział sam do siebie. – Jeśli dopisze mi szczęście, być może miasto uda się ocalić. Ale będę potrzebował dużo szczęścia.

Rozdział 42

Urbomachia była kolejnym monstrualnym obiektem na północy miasta. Setki lat temu stykały się tam terytoria czterech władców, którzy walczyli ze sobą, wzniecając ogień w wysokich łukach ponad ziemią niczyją, za pomocą dział skonstruowanych według zapomnianych planów i bomb zrzuconych z balonów. Każdy z władców otoczył swoje armaty wysokimi murami i wystawił oddziały strzelców do walki z balonami. Na skutek tej rywalizacji mury urosły do potwornych rozmiarów. Budowano je z niezwykle wytrzymałego żółto-białego kamienia, o pochodzeniu którego również zapomniano.

Gdy wojenne przyływy i odpływy przelewały się ulicami, zwycięzcy budowali nowe mury, otaczając zdobywane terytoria, a przegrani byli zmuszeni wznosić mury obronne podczas odwrotów. Niektóre fragmenty ścian zawaliły się od uderzeń pocisków. Stare mury wzmocniano i rozbudowywano, dzieląc ulice pod niewygodnymi kątami. Wojujące dynastie były wyczerpane lub osłabione małżeństwami zawieranymi w obrębie rodziny. Z czasem także one popadły w zapomnienie. Pozostały tylko mury. U ich podnóża wyrosły, niczym chwasty, labirynty. Kamienne schody i drewniane drabiny prowadziły w górę ścian, przez wystające platformy, na których mieszkali ludzie. Najstarsze platformy, skonstruowane jeszcze przez armie

budowniczych murów, tworzyły najdroższą dzielnicę Machii. W odróżnieniu od późniejszych dodatków, nigdy się nie zapadały i często miały dostęp do bieżącej wody pompowanej przez stare maszyny. Nowsze półki zamieszkiwali ludzie biedni i zdesperowani; wisiały one nad labiryntami jak sępy siedzące na olinowaniu unieruchomionego okrętu.

Pomiędzy murami i platformami można było przechodzić po sznurowych mostkach lub, jeśli komuś nie brakowało odwagi, ręka za ręką po linach. Chłopcy, którzy tak robili, czasami dla żartu zrzucali różne przedmioty na przechodniów.

Było to kolejne z wielu miast wewnątrz miasta. Dobre miejsce, by się ukryć: miało tam swoje siedziby wiele przestępczych organizacji. Labirynty stanowiły gęstą, ciemną glebę. Były dobrym miejscem na rozpoczęcie czegoś nowego.

Arjun wynajął pokój na Siódmej Półce na Dziewiątym Murze. Była to jedna z platform skonstruowanych przez budowniczych murów. Wyżej znajdowały się tylko dwie półki, więc do pokoju docierało trochę światła. Olimpia zostawiła Arjunowi pieniądze, dlatego mógł sobie na to pozwolić. Czuł się bezpieczniej na wysokich murach. Młodzieńcy w białych szatach czasami zapuszczali się do labiryntów w dole, terroryzując ich mieszkańców – którzy nie dawali się łatwo sterroryzować – ale nigdy nie wspinali się po schodach. Byli teraz sługami Tajfuna, a on wolał głębinę.

Arjun mieszkał wysoko, więc nie potrzebował wiele czasu, by dostać się ze swojego pokoju na parapet Dziewiątego Muru. Stamtąd mógł spoglądać na miasto. Czasami wybierał się na spacer, zmagając się z lękiem przed polującymi na niego potworami, próbując usłyszeć gdzieś dźwięk Głosu, jednak przeważnie tylko obserwował miasto, czekając, aż dachy poczerwienieją od blasku zachodzącego słońca, a potem staną się błękitne i wreszcie czarne.

Raz wydawało mu się, że z parapetu widzi, jak „Gromowładny” znika za odległą wieżą, niczym jeleni dostrzeżony kątem oka za drzewami. „Spójrz”, powiedział do swojej sąsiadki, sympatycznej młodej kobiety, która miała zbyt wiele dzieci i za mało zębów, a ta podekscytowana klasnęła w dłonie, widząc, że okręt nadal tam jest, wciąż jest prawdziwy. Arjun wiedział, że bardzo pragnęła go zobaczyć. Będzie miała o czym opowiadać dzieciom. Ucieszył się, że może sprawić jej radość. Uprzejmie wysłuchała opowieści o jego poszukiwaniach i obiecała mu pomoc, jeśli tylko kiedykolwiek będzie miała taką możliwość.

W niektóre dni czuł, że zaczyna od nowa; że po wielu błędach i niewłaściwych decyzjach znalazł się znów na samym początku drogi, nieskrępowany i pełen nadziei. W inne dni czuł, że znalazł się u kresu wszystkiego, a nawet o krok dalej; że orkiestra już skończyła grać szybkie i hałaśliwe utwory, które wychodziły jej lepiej lub gorzej, a on jest tylko kodą, pojedynczą nutą, cicho i miarowo

powtarzaną, wyodrębnioną, która wkrótce miała ucichnąć.

W rozmowach z sąsiadami przedstawiał się jako Simon Nelson; było to dobre, typowe miejscowe nazwisko. Wiedział, że Tajfun nie będzie go szukał na podstawie nazwiska, hrabina zniknęła, a przewodniczący zapewne również stracił życie i mu nie zagraża, uznał jednak, że lepiej być ostrożnym. Sąsiedzi i tak założyli, że przedstawia się fałszywym nazwiskiem i przed czymś ukrywa; taka była natura tego miejsca.

W niektóre dni wychodził na spacer i słuchał muzyki. Czasem widział, jak potwory, w które zmieniły się białe szaty, szybkim krokiem przemierzają ulice. Ich ubrania poszarzały. Przypominali zdechłe psy porzucone w rynsztoku, poderwane za kark do nieumarłej egzystencji, a następnie wypuszczone na wolność, by wciągały innych za sobą w brud ulicy. Niczego się nie bali. Z własnej woli przyjęli najgorsze. Czyniło ich to smutnymi, a także przerażającymi.

Granie muzyki wymagało odwagi. Białe szaty zawsze jej nienawidziły, a teraz ich dziecinna, niedojrzała nienawiść połączyła się z bezgraniczną wrogością Tajfunu. Każdy, kto ośmielił się śpiewać lub grać na ulicy, musiał być gotowy do ucieczki.

A jednak miasta nie dało się uciszyć. Teatry zamykano, w salach koncertowych wygaszano światła, a ulica Harfowa opustoszała, lecz muzyka trwała. Kościoły nie rezygnowały ze śpiewania hymnów. Ulice były pełne muzyków, którzy zarabiali na życie, zabawiając tłumy;

dla nich cisza oznaczała głód i nie mieli innego wyjścia, jak tylko podjąć ryzyko.

Arjun słuchał ich muzyki, a kiedy potwory wyłaniały się z cieni i błota, uciekał. Nie był wyjątkiem, uciekali wszyscy. Jeśli białe szaty kogoś złapały, nie żałowały pałek. Krążyły plotki, że potrafią pożerać dusze, czemu Arjun nie do końca dawał wiarę. Powiadano także, że ich lodowaty oddech niesie zarazę, w co akurat wierzył. Choroba z pewnością nadal się rozprzestrzeniała. Szpitale wciąż były pełne, mimo że pacjenci szybko umierali. Dom Cere nie radził sobie z napływem zwłok.

Kilku miejskich władców próbowało uderzyć na białe szaty, ale szybko się przekonali, że pociski nie robią im krzywdy, a brutalne dzieci napełnione mocą otrzymaną od swojego boga potrafią rozedrzeć żołnierską kolczugę jak papier. Po kilku upokarzających porażkach, większość władców zaprzeczyła istnieniu białych szat, uznając je za kolejny sezonowy wymysł spanikowanej ludności.

Rzeka stała się śmiertelnie niebezpieczna; pochłaniała kolejne barki i łodzie. Dźwigi w strefach załadunku osiadły – ich drewniane elementy przegniły, a śruby zardzewiały – i przewróciły się do wody. Koła młyńskie stały, zablokowane przez roślinność i szlam. Pirsy i mola się rozpadały. Rzeka zalewała bruk, wyciągając palce ku ulicom i zatapiając piwnice brudną wodą. Miejski przemysł załamał się i zatonął. Władcy i kapitanowie próbowali rozwiązać problem za pomocą pieniędzy, posyłając kolejne łodzie obsadzone coraz bardziej

zdesperowanymi załogami, ale w końcu żadna suma nie była w stanie nakłonić barkarzy do wyruszenia na ciemne wody z ładunkiem węgla. Powiadano, że niektórzy przedsiębiorcy próbowali przywrócić zwyczaj składania rzece ofiar, ona jednak nie dała się udobruchać. Zamykali więc interesy i zabijali okna deskami, tak że mapę miasta coraz gęściej znaczyły opuszczone budynki, które mógł wypełnić wilgotny duch potwora. Ulice były zatłoczone bezdomnymi i głodnymi ludźmi, skazanymi na pożarcie przez zarazę.

Arjunowi wystarczyło znaleźć jedne drzwi, jedną ulicę, jedną słodką melodię, w której czekał na niego Głos, jednak Tajfun uparcie zatrząskiwał wszystkie drzwi, zatapiał ulice i uciszał muzykę. Arjun kiedyś znalazł się w umyśle boga i wiedział, jak wielkie cierpienie sprawiało mu uwięzienie w jednym miejscu i ciele. Teraz potwór wyrwał kraty swojego więzienia. Podróżując w chętnych ciałach białych szat, mógł być w tysiącu miejsc jednocześnie. Mógł polować. Pojawiły się miejsca, w które nie zapuszczał się nikt poza potworami. Mroczne zakątki, obszary wyrwane z mapy Ararat. Rany. Ropnie. Ciemność rozprzestrzeniająca się w mieście. Czas dobiegał końca.

* * *

Jednym z błędów Arjuna było szukanie wsparcia tylko w jednym miejscu. Całymi miesiącami czekał na pomoc

Holbacha, beznadziejnie wikłając się w jego misję. Więcej tego nie robi.

Zamiast tego zaczął korespondować z kilkunastoma uczonymi. Podpisywał się różnymi fałszywymi nazwiskami i wysyłał listy z trzech różnych skrytek pocztowych w urzędach działających na terytoriach trzech różnych władców, daleko od labiryntów.

Przedstawiał uczonym swoją misję jako intrygujący problem z dziedziny teologii stosowanej. Dawał im do zrozumienia, że Chór może ich nagrodzić. Jeśli to nie skutkowało, próbował wzbudzić ich zainteresowanie, sugerując, że posiada informacje na temat aktualnej wielkiej zagadki teologicznej: napełnienia białych szat mroczną mocą, a także na temat zarazy i ewentualnego związku Tajfunu z obiema sprawami. Początkowo usiłował ukrywać swoją wiedzę, targując się o zainteresowanie uczonych jego problemem, lecz wkrótce przeważyło w nim poczucie winy. Jeśli rzeczywiście mogli położyć kres temu horrorowi, to nie powinien ich spowalniać. Zaczął więc otwarcie dzielić się posiadaną wiedzą, w nadziei że oni postąpią tak samo, odrzucał jednak wszystkie propozycje spotkania.

Pierwsze odpowiedzi, jakie otrzymał, ograniczały się do propozycji przeczytania książek, które już znał, lub wędrowania ulicami, baczego nasłuchiwania i liczenia na łut szczęścia. Odpisywał, domagając się dalszych rad. Wiedział, że uczeni są bardzo zapracowani.

Zresztą nie polegał tylko na nich. Lubił ludzi nauki;

twórcy Atlasu go bawili, podobała mu się ich niestrudzona obsesyjna pogoń za wiedzą i był do nich i do ich kolegów dobrze usposobiony. Niestety nie był pewien, czy naprawdę rozumieją miasto. Jediną znaną mu osobą, która wykazywała takie zrozumienie, był Shay. Dlatego Arjun uznał, że powinien poprosić o pomoc także zboczeńców, kryminalistów i heretyków. Aby ich odszukać, musiał jedynie zejść po schodach do labiryntów.

Nasłuchiwał w kątach podejrzanych knajp, aż w końcu zidentyfikował magików, organizatorów i informatorów. Ostrożnie nawiązywał z nimi kontakty, dając im wystarczająco dużo czasu, by się zorientowali, że nie jest szpiegiem ani cenzorem i nie stanowi zagrożenia. Powiedział im, czego szuka. Nie Głosu; nie było sensu prosić takich ludzi o pomoc w znalezieniu boga. Szukał czegoś innego, kogoś, kogo z pewnością byli w stanie odszukać, jeśli tylko istniał. Obiecał, że zapłaci za każdą plotkę.

Po kilku długich tygodniach – lato wciąż wlekło się przez rozgrzane miasto – wrócił do swojego pokoju na półce i znalazł pod drzwiami liścik. „Mam go. Szczekacz. Spotkajmy się”.

Arjun zszedł do labiryntów, wpierw się uzbroiwszy. Co prawda uprzedził swoje kontakty, że jedynie reprezentuje anonimowego przełożonego, nie ma własnych pieniędzy i nie warto go okraść, wiedział jednak, że powinien zabrać broń. Ludzie, z którymi negocjował, właśnie tego

oczekiwali – w ten sposób pokazywał, że traktuje ich poważnie; brak broni stanowiłby obrazę.

Szczekacza można było znaleźć na tyłach Klubu Aleksander, w pobliżu sceny dla tancerek. Wyglądał jak chory pies, przedstawiciel rasy, na którą nie było zapotrzebowania. Zawsze siedział za stołem. Arjun pomyślał, że gdyby mężczyzna kiedyś był zmuszony wstać z krzesła, to być może musiałby się przemieszczać na czworakach.

Szczekacz przywołał do siebie Arjuna, gdy ten wszedł do baru.

– Nelson. Mam nadzieję, że dobrze mi za to zapłacisz. Wcale mi się to nie podoba. Mówiłem ci już? Wcale a wcale. Są granice.

Arjun usiadł naprzeciwko Szczekacza.

– Przykro mi, jeśli sprawia ci to kłopoty. Ale to bardzo ważne dla mojego pracodawcy.

– Nie zalewaj.

Arjun wzruszył ramionami. Nie kłamał.

– Co dla mnie masz?

– Wiem, że nie masz o mnie najlepszego zdania. Uważasz mnie za kryminalistę. Ze względu na moje powiązania i interesy. W porządku. Ale ja też jestem religijnym człowiekiem i wcale mi się to nie podoba. To przez takie sprawy miasto znalazło się w opłakanym stanie.

– Pewnie masz rację. Ale właśnie tego potrzebujemy. A więc znalazłeś człowieka, który sprzedaje to, czego

szukam?

– Najpierw zapłata. Tak jak się umówiliśmy. – Szczekacz zauważył w oczach Arjuna błysk podejrzliwości i splunął na podłogę. – Daruj sobie. Nie uwłaczaj mojej uczciwości jeszcze bardziej.

– Nie chciałem cię obrazić – odparł Arjun. – Po prostu jestem ostrożny.

Spojrzał na włochaty pysk Szczekacza i dostrzegł na nim szczery wstyd. Szczekacz nie zniżyłby się do oszustwa; wstyd świadczył o tym, że zamierza mu pomóc.

– Proszę – rzekł Arjun, rozwijając zwitek banknotów.

Szczekacz chciwie je złapał.

– Będę z tobą szczery, Nelson, ponieważ cię nie lubię i nie chcę, żebyś był moim przyjacielem, a także nie chcę nigdy więcej prowadzić z tobą interesów. Gdybyś trochę poczekał, mógłbyś się tego dowiedzieć za darmo. Wiem, że inni także szukają dla ciebie tej informacji. Za dzień lub dwa wszyscy ją poznają. Wkrótce dotarłyby do ciebie pierwsze plotki. Wyszedłeś na głupca. Ale ty nie potrafisz czekać, prawda? Widzę to w twoich oczach. A więc – ten człowiek. Wygląda na to, że tydzień temu otworzył interes. Na razie bada grunt, informuje ludzi. Mój znajomy ma znajomego, który pracuje w dokach i o nim słyszał. Facet jest daleko na południu, więc na wieści trzeba było czekać kilka dni. Poza tym mało kto chce się w to angażować.

– Twierdzi, że handluje bóstwami? Tak jak opisałem? Widmowymi światłami o wielkiej mocy, ukrytymi pod

szkłem?

– Gwałci je, kradnie, zamyka w klatkach, sprzedaje szumowinom takim jak twój szef. Nie znam szczegółów, tylko pogłoski. To odrażające.

– Jak się nazywa?

– Pan Lemuel.

– Gdzie można go znaleźć?

– Pracuje w Domu Cere. W szesnastej strefie, w pokoju tysiąc sto cztery. Na twoim miejscu bym się pośpieszył. Plotki szybko się rozchodzą; wkrótce dowie się o nim wystarczająco dużo ludzi i drań zawiśnie. Sam mógłbym go wykończyć, tak samo jak ciebie, gdyby nie zaszkodziło mi to w interesach. A teraz spieprzaj i więcej się tu nie pokazuj.

* * *

Dom Cere był oddalony o dzień jazdy powozem na południe.

Stał na Wzgórzu Domu Cere, na południowo-zachodnim skraju Wrzosowiska. Arjun wielokrotnie go mijał kilka miesięcy temu, wkrótce po przybyciu do miasta. Potem nie raz w nim bywał, odwiedzając grób Norrisa, a następnie groby kolejnych zmarłych z „Cyprysa”.

Wszystkie te zgony obciążały jego sumienie. Gdyby nie stłukł potwornych pojemników Shaya, Tajfun nie zmieniłby się w przerażającą, upadłą istotę, która zabiła

tylu ludzi. Zadrżał na myśl o tym, że zmierza na spotkanie z kolejnym człowiekiem z branży Shaya. Był podekscytowany – opierał się na przeczuciu, że skoro jeden człowiek odkrył technikę stosowaną przez Shaya, to w mieście tak dużym jak Ararat inni również mogli na nią wpaść, i cieszył się, że miał rację – ale był również wystraszony. Obiecał sobie nie popełnić w stosunku do Lemuela tych samych błędów, które popełnił podczas spotkania z Shayem. Zdobędzie to, czego potrzebuje, i postara się nie wyrządzić nikomu krzywdy.

Kiedy po raz pierwszy usłyszał o Domu Cere, błędnie zrozumiał jego naturę. Myślał, że pełni on funkcję kostnicy, nekropolii i miejsca ceremonii pogrzebowych dla całego miasta. Zastanawiał się, jak to możliwe, bo choć Dom był olbrzymi – jego osłonięte strefy pokrywały całe wzgórze, iglice wznosiły się w niebo, a krypty sięgały głęboko pod ziemię – to przecież nie mógł przyjąć wszystkich zmarłych z Ararat.

Oczywiście tak nie było. Dom Cere służył tylko niewielkiej części miasta. Machia stanowiła północną granicę jurysdykcji Domu, a nawet jej zmarli rzadko trafiali w jego mury. Zapewne w innych miejscach istniały podobne instytucje.

Ponadto Dom przyjmował tylko niektóre kategorie zmarłych. Kościoły same pozbywały się ciał swoich wiernych. Do Domu Cere trafiali niereligijni i samotni biedacy, na których czekał najprostszy pochówek, a także ludzie zbyt wybitni i potężni, by przywłaszczył ich sobie

którykolwiek Kościół, chowani z najwyższymi honorami podczas obsesyjnych i drobiazgowych ceremonii.

Mimo to Dom zrobił na Arjunie wspaniałe, dostojne wrażenie, gdy młodzieniec wysiadł z powozu u podnóża zbocza, gdzie zielony trawnik Wrzosowiska ustępował miejsca zewnętrznym strefom Domu wyłożonym szaro-białym łupkiem. Przez zakurzony woskowany materiał przebijały się zimne promienie słońca.

Żałobnicy wędrowali zwirowymi alejkami w stronę wewnętrznych stref, by odwiedzić swoich zmarłych. Arjun okłamał człowieka przy bramie, podając się za historyka, który chce zbadać grawerunki na grobowcu rodziny Champlain. (Wybrał nazwisko na chybił trafił, opierając się na niewyraźnych wspomnieniach rozmów z twórcami Atlasu).

Wkrótce zgubił się w Domu. Początkowo wewnątrz przypominało mu siedzibę Chóru, gdzie z cichym i jednomyślnym poświęceniem oddawano się świętym sprawom; jednak po chwili jeden z korytarzy doprowadził go do sali wyłożonej czaszkami, a później kładka powiodła go nad dziedzińcem, na którym żałobnicy Domu ćwiczyli zawodzenie, wydając z siebie dziki dźwięk, niemający nic wspólnego z miarową pieśnią Chóru.

W końcu spytał kogoś o drogę do siedziby pana Lemuela.

– Kim jest ten Lemuel?

– Wydaje mi się, że jest tutaj nowy. Chyba urzęduje w pokoju tysiąc sto cztery.

– Och. W takim razie... – Pytani ludzie nie poświęcali mu zbytnej uwagi; odwiedzający często gubili się w Domu.

Pokój tysiąc sto cztery, gabinet Lemuela, mieścił się za dębowymi drzwiami w jednym z niższych korytarzy. Unosiły się tam zapachy formaldehydu, śmierci i starego kamienia. Arjun zapukał do drzwi.

– Otwarte – usłyszał w odpowiedzi.

Arjun wszedł do pustego gabinetu. W jego tylnej części znajdowały się otwarte na oścież drzwi. Przeszedł dalej do szerokiego, mrocznego pomieszczenia wypełnionego stołami, na których leżały ciała przykryte białymi prześcieradłami. W pokoju piętrzyła się sterta przemieszanych rytualnych akcesoriów związanych z kilkunastoma różnymi kultami. W głębi jakiś mężczyzna malował kolistymi pociągnięciami pędzla wzór na klatce piersiowej trupa. Zatknął pędzel między ręką a tułowiem zwłok, po czym odwrócił się, by powitać Arjuna.

– Nazywam się Lemuel. Dzień dobry. Czym mogę służyć?

To był Shay. Zgolił bujną białą czuprynę, pozostawiając na głowie tylko drobny meszek, a brudny garnitur w prążki zamienił na szary fartuch służącego Domu Cere, ale bez wątplenia to był on. Nosił nawet takie same niewielkie okrągłe okulary.

– Jeśli przyszedł pan tutaj, by opłakiwać swoich zmarłych, to radzę poczekać gdzie indziej. Lepiej na nich nie patrzeć, dopóki ich nie upiększę. Umarli zasługują na

swoje rytuały. Czy o to panu chodzi? Słucham!

Arjun wpatrywał się rozpaczliwie w twarz mężczyzny, szukając blizny na ziemistej czaszce. Nie, to przecież absurd; rana, którą zadał Shayowi, nie mogła się wygoić. Shay jest martwy, to nie ulega wątpliwości. Ale to nie może być nikt inny.

– Cóż, po pana rozkojarzonej minie widzę, że raczej nie przybył pan tutaj w sprawie związanej z Domem Cere. Usłyszał pan, że zajmuję się także czymś innym, prawda? Czymś wyjątkowym?

Arjun odzyskał głos.

– Tak.

– Wolałbym, żebyście przychodzili po godzinach. Mam pracę do wykonania. Co prawda nie spodziewam się zbyt długo utrzymać tej posady, ale byłoby miło chociaż przez jakiś czas się nią cieszyć.

– Bardzo mi pan przypomina kogoś, kogo kiedyś poznałem.

– Cóż, to duże miasto, czyż nie? – Lemuel wycofał się w stronę kąta pokoju, gdzie stał stół przykryty grubą szarą plandeką, i zaczął odwiązywać mocujące ją supły.

– Zna pan niejakiego pana Shaya?

Lemuel drgnął.

– Czasami używałem tego nazwiska w różnych miejscach, ale nie przypominam sobie, żebym już kiedyś pana spotkał.

– Owszem, spotkał mnie pan. Nosił pan wtedy nazwisko Shay.

Lemuel ostrożnie ściągnął sztywną plandekę, zwijając ją pod pachą.

Pod spodem znajdowały się jego towary, oleiste, widmowe światła napierające na szklane ściany swoich klatek. Lemuel przykucnął obok nich i odezwał się scenicznym szeptem:

– No, moi mali. Nie podoba mi się wyraz twarzy tego faceta. Wygląda na to, że mnie nie lubi. Wielu klientów nie darzy mnie sympatią, ponieważ wstydzą się tego, po co do mnie przychodzą. Ale w tym człowieku nie ma wstydu. Poza tym on wie rzeczy, których nie powinien. A więc, moi mali, czy on chce mnie skrzywdzić?

Lemuel przystawił ucho do szkła, słuchając brzęczących i trzeszczących świateł. Arjun sięgnął po pistolet ukryty pod kurtką.

– Tak. Chce mnie skrzywdzić. Albo... nie, on już mnie skrzywdził. Chociaż chyba jeszcze go nie poznałem. Czyż to nie dziwne?

Lemuel wstał i popatrzył na Arjuna badawczo i z zaciekawieniem. Lewą ręką drapał się leniwie po głowie, tuż pod linią włosów. Czy to tam uderzyła kula?

– Nie pamięta mnie pan?

Lemuel usiadł i zapalił papierosa.

– Spotykam wielu ludzi – odparł. – Niech pan powie coś więcej.

– Czy to żart? Jakaś gra?

– Proszę spełnić moją zachciankę.

– Był pan w Obserwatorium Orfeusza. Na

Wrzosowisku Chwały. Razem ze swoimi... istotami. W sali pełnej fałszywych gwiazd, z jakąś starą maszyną, którą tylko pan rozumiał. Nie pamięta pan tego?

– Nie sędzę, bym kiedykolwiek tam był.

– Przyszedłem do pana z pytaniami. Na zewnątrz zebrał się wyjący tłum, który domagał się pana głowy...

– Ha! Takie życie. Przynajmniej moje. Wybrałem trudną drogę.

– Chciałem się dowiedzieć, jak pan to robi. Jak chwyta pan te... istoty. Szukałem boga, ducha. Głosu z mojego dzieciństwa. Sądziłem, że będzie pan potrafił go odnaleźć. Powiedział mi pan, że zna wiele sztuczek.

– Czy ten człowiek, który wyglądał jak ja, pomógł panu?

– Nie zdążył. Zbliżał się tłum. Nie wiem, czy w końcu by mi pan pomógł, czy nie. Nie miałem czym panu zapłacić. Wybuchła między nami... sprzeczka. Próbował pan zwrócić przeciwko mnie istoty w pojemnikach, odbicia, które pan skradł. – Arjun wyjął pistolet i położył go na stole przed sobą, nie puszczając rękojeści. – Znam twoje sztuczki. Więcej ich nie próbuj, Shay. To nie zadziała. Odsuń się od pojemników.

Lemuel z uśmiechem przewrócił oczami i odsunął się razem z krzesłem od stołu.

– Zwróciłeś je przeciwko mnie i próbowałeś mnie zabić. Postrzeliłem cię. W głowę. Umarłeś, Shay.

– Szczerze w to wątpię.

– Uwolniłem je. Twoje istoty. Jedna z nich... Śledziłem

jedną z nich i widziałem, jak uciekła do swojego źródła. Do Tajfuna. Wiesz co się dzieje w mieście, Shay? Wiesz, co uczyniłeś?

– Jestem tu od niedawna, ale zaglądałem do gazet.

– On pożera miasto, kawałek po kawałku. I poluje na mnie. To zaraza. Jest jedyny w swoim rodzaju. Nic nie może powstrzymać jego wzrostu. Wiedziałeś, że coś takiego może się stać, gdy uwolni się jedną z tych istot?

– Cóż, ze wszystkim wiąże się jakieś ryzyko, prawda? Ze wszystkim, czego pragną ludzie. Poza tym, z tego co mówisz wynika, że to nie ja rozbiłem pojemniki. To było bardzo głupie z twojej strony.

– Przestań się, kurwa, uśmiechać, Shay. Ile tych istot masz na sprzedaż? Skąd możesz wiedzieć, co ludzie z nimi robią?

– Ludzie, którzy kupują te istoty, cenią je i ich strzegą. Trzymają je blisko siebie i tulą w ciemności. Nie uwalniają ich.

– Nie masz pojęcia, co z nimi robią. Za to dobrze wiesz, że znajdziesz się wtedy w bezpiecznej odległości, prawda? W innym miejscu. Jesteś potworem, Shay. Najbardziej lekkomyślnym... To twoja wina...

– Wygląda na to, że coś ci się pomieszało, młody człowieku. To nie byłem ja. To duże miasto, większe niż się ludziom wydaje; zapewne mieszka w nim także ogromna liczba osób, które bardzo przypominają ciebie. Mężczyzna, którego spotkałeś, co najwyżej mógł być tym, kim mógłbym się stać, gdybym wędrował innymi ulicami.

Nigdy się nie spotkaliśmy, panie... ?

– To byłeś ty. To musiałeś być ty. W jakiś sposób przeżyłeś; poprosiłeś te ohydztwa z klatek, by cię ocaliły, albo... albo... powiedziałeś, że potrafisz wędrować po tajemnych miejscach, otwierać sekretne przejścia; znalazłeś jakiś sposób, by uciec przed śmiercią i wrócić cały i zdrowy.

Lemuel podrapał się w głowę.

– Nie wydaje mi się to zbyt prawdopodobne.

– Myślę, że właśnie tym jesteś. A zresztą nie dbam o to, czy jesteś innym człowiekiem. Działasz w tej samej brudnej branży.

– Przyszedłeś tutaj tylko po to, by wygadywać bzdury i mnie obrażać?

– Nie. Potrzebuję twojej pomocy. Tamten drugi nie chciał mi jej udzielić, ale ty to zrobisz. Mam dwa pytania, a ty odpowiesz na oba. Muszę się dowiedzieć, jak zniszczyć boga, który na mnie poluje, a także, jak odnaleźć boga, na którego to ja poluję. Muszę nakłonić miasto, by wyjawilo mi swoje tajemnice. Powiedz mi, jak to zrobić, albo... – Arjun podniósł pistolet ze stołu – ... znów cię zabiję, Shay. Skoro wróciłeś raz, to wrócisz ponownie. Możliwe, że jeśli rzeczywiście jest was dwóch, to istnieje też trzech, czterech, stu. Tak czy inaczej, będę zabijał, dopóki nie znajdę tego, który mi pomoże.

Lemuel odchylił się do tyłu, wydmuchnął dym kącikiem ust i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– W takim razie... – rzekł.

Widmowe światła zapulsowały, rozrzucając po pokoju oleistą sieć światła, która rozszerzyła się i pociemniała, załamując się pod nowymi dziwnymi kątami. Arjun pociągnął za spust. Chociaż był pewien, że celuje w stronę krzesła Lemuela, pocisk głucho uderzył w całun po przeciwległej stronie pokoju. Arjun nie widział, gdzie dokładnie jest Lemuel. Wydawało mu się, że pomiędzy nimi rozciąga się tysiąc możliwych ścieżek. Ślady widmowych światel oplatały podłogę i ściany, tworząc nową, zaskakującą przestrzeń. Lemuel wstał, a wtedy wstał także tuzin innych Lemuelów w różnych częściach pomieszczenia. Niektórzy podeszli do Arjuna; inni oddalili się w ciemność, podążając za śladami bladego światła. Silne dłonie sięgnęły zza pleców Arjuna i odebrały mu pistolet.

Arjun się zatoczył, chwytając się za głowę, gdy część Lemuelów usiadła na krzesłach, a kilku innych spokojnie przeładowało i odbezpieczyło broń.

Nagle każdy z nich wydał z głębi gardła odgłos młaśnięcia, a wtedy ślady światła cofnęły się do punktu wyjścia. Arjun upadł na podłogę. Odzyskał jasność umysłu. Pokój znieruchomiał. Pojedynczy Lemuel siedział przed nim, nonszalancko trzymając pistolet.

– To był dowód. Nie wiem, co się stało z Shayem, którego spotkałeś. Szczerze mówiąc, sprawia dość rozczarowujące wrażenie. Ale ze mną tak się nie stanie. To była jedna z moich sztuczek.

Wolną ręką wskazał pojemniki.

– Oto ci, którzy tkają miasto. A raczej, jak twierdzisz, ich odbicia, czyli coś niemal równie dobrego. Fragmenty ich mocy. Dzięki nim mogę tkać i rozplatać miejskie ścieżki. Nawet nie zdajesz sobie sprawy z tego, jak bardzo mogę poplątać twoje drogi. To, co przed chwilą zrobiłem, to jeszcze nic.

Arjun wpatrywał się w niego z podłogi, czując za oczami upokarzające pieczenie.

– Pewnie powinienem cię zabić. Ale tego nie zrobię. Wiesz dlaczego?

Arjun nie odpowiedział, nie będąc pewnym, czy nie zadrży mu głos.

– Założmy, że nie jestem tym samym człowiekiem, którego zabiłeś – ciągnął Lemuel. – Powiedzmy, że on był tylko moim cieniem. Powinienem być ci wdzięczny, że załatwiłeś łobuza. Nie potrzeba mi konkurencji. A już zwłaszcza ze strony kogoś, kto mnie przypomina. Sprytny ze mnie drań.

Uniósł palec.

– A teraz założmy, że to mnie zastrześliłeś. Cóż, jestem tutaj od dawna i znam wiele sztuczek. Być może zabiłeś mnie, a ja wróciłem lub wróciła jakaś część mnie, jakaś esencja, a ja tego nie pamiętam. To też coś: szansa na nowy początek.

– Nie wykorzystałeś jej. Jesteś wciąż taki sam.

– No tak, racja. Ale z drugiej strony, teraz lepiej znam samego siebie, swoje wnętrze, a samoświadomość to cenna rzecz. Tak czy inaczej, jestem twoim dłużnikiem.

Gdybyś mnie potraktował z odpowiednim szacunkiem, tobym ci pomógł.

– Nie wierzę ci, Shay. I wcale mnie to nie bawi.

– Ojej. A więc zamiast ci pomóc, spłacę dług, pozwalając ci żyć. No dalej, wstawaj. Usiądź jak cywilizowany człowiek.

Po drugiej stronie pokoju stał fotel. Arjun na nim usiadł.

– No dobrze. Może jednak ci pomogę, ale teraz, po tym całym nieprzyjemnym zamieszaniu, będziesz mi musiał zapłacić. Co możesz mi zaoferować?

Arjun przez chwilę się zastanawiał. Czy była to ta sama gra, czy też zasady uległy zmianie?

– Znam tajemnice „Gromowładnego”.

– To ten wielki i brzydki latający okręt? On mnie nie interesuje. Prowadzę interesy dyskretnie. Nie zależy mi na ogłaszaniu swojej obecności całemu miastu.

Czyli zasady się zmieniły, a Arjun miał słabe karty.

– Co powiesz na pieniądze? Mogę też obiecać ci służbę.

– Stać cię na coś lepszego. Czuję, że jest coś, czego nie chciałbyś mi zaproponować. Słucham.

– Znam twórców Atlasu. Najwybitniejszych uczonych w mieście. Mogę się z tobą podzielić ich sekretami.

– Nie mają niczego, na czym by mi zależało. To zacofana część miasta, przyjacielu, i zacofany czas. Sam zobacz, jak mało wiecie. Jak wiele zapomnieliście. Nie macie pojęcia, jak rozległe jest miasto. Czymkolwiek jest ten Atlas, wkrótce zostanie połknięty i zapomniany. Wiem

więcej niż jakakolwiek żalosna namiastka naukowca. Musisz bardziej się postarać.

Arjun zacisnął pięści. Pozostała mu tylko jedna możliwość. To potworne, ale nie ma wyjścia. Nie ze względu na Głos – ta propozycja wywołała tak straszliwy dysonans w jego duszy, że zapewne i tak straci szanse na odnalezienie go – ale z powodu Tajfuna. Poświęci wszystko, byle tylko się go pozbyć.

– Oto moja ostatnia oferta. Słyszałeś o Jedwabnym Jacku? Anarchiście, buntowniku, rozpruwaczu więzień? Chłopcu, który prawie rok temu został dotknięty przez Ptaka i nadal nosi w sobie jego moc? Ona cały czas w nim wzbiera. Jack potrafi ją przekazywać ludziom w swoim otoczeniu. Widziałem jak to robi. To coś niesamowitego. Sądzę, że mi ufa. Mogę ci go przyprowadzić. Nie chciałbyś się dowiedzieć, jak działa jego moc?

Jakaś część Arjuna miała nadzieję, że Lemuel odmówi, ale tego nie zrobił. Szeroko się uśmiechnął i odłożył pistolet.

– Chyba już tego nie potrzebuję, prawda? – Zapalił kolejnego papierosa. – To bardzo ciekawe. Dotarły do mnie plotki o tym chłopcu. – Podszedł do uwięzionych istot i coś do nich szepnął. W odpowiedzi zajaśniały nowym blaskiem. – Mówią, że nosisz w sobie piętno Ptaka, choć jest ono słabe. Jestem skłonny uwierzyć, że spotkałeś Jacka. Jeśli mnie oszukasz, będę cię ścigał w tym i wszystkich innych miastach, aż pożałujesz, że nie umarłeś. Dotknie cię moja klątwa. Zwrócę przeciwko

tobie każdą ścieżkę, którą kiedykolwiek będziesz wędrował. Nie wierzysz mi?

– Obiecuję, że cię nie oszukam, Lemuel, Shay, czy jakkolwiek się nazywasz.

– Zdajesz sobie sprawę z tego, że będę go musiał zatrzymać? Uczynić swoją własnością? Być może nie będę dobrze się z nim obchodził.

– Obiecuję. A teraz powiedz, jak mogę zniszczyć Tajfuną?

– Nie możesz. Ale możesz się przed nim ukryć. Uciec mu. Może przy okazji odnajdziesz także swój Głos. Nauczę cię, jak to zrobić.

Rozdział 43

Arjun nie wiedział, jak długo trwała jego nauka u Lemuela. Podążał śladami nauczyciela, a wokół nich noc zmieniała się w dzień, a dzień w noc, lecz nie następowało to według żadnego naturalnego porządku. Lemuel tkął swój własny wzór mroku i światła. Jego lodowaty zachrypnięty głos stale towarzyszył Arjunowi, rozbrzmiewając kpiąco bądź karcąco, gdy Arjun popełniał błędy. Czas można było odmierzać jedynie czynionymi postęпами.

Spali, gdy czuli zmęczenie. Lemuel skręcał w odpowiednią uliczkę lub przechodził pod odpowiednim łukiem i po chwili znajdowali się wśród śniadoskórych ludzi spacerujących bez koszul; wychodzili schodami przeciwpożarowymi na szeroki biały dach skąpany w słońcu leniwego tropikalnego lata, gdzie mogli spać pod gołym niebem, by rano obudzić się odświeżeni. Kiedy Lemuel potrzebował mroku, również potrafił go znaleźć; gdzieś zawsze panowała noc.

Jedli, gdy czuli głód. Poprzez labirynt uliczek i śmierdzący tunel, a następnie po otoczonym kablami moście dziwnego projektu dotarli do miejsca, w którym Lemuel był dobrze znany. Restauratorzy wybiegli spod markiz, by zaproponować mu talerze pełne jedzenia, uznając za zaszczyt to, że mogą mu usługiwać. Lemuel wyglądał na lekko zawstydzonego i niepewnego, jak

gdyby uznał, że pragnąc zaimponować Arjunowi, posunął się za daleko.

Po tamtym zdarzeniu przez jakiś czas zdobywali pożywienie w dzielnicy czystych ulic wysadzanych drzewami, które rodziły mięsiste owoce zrywane przez perłowowłose dzieci.

Kiedy Lemuel uznał, że Arjun poczuł się zbyt komfortowo, zaczęli się stołować w jadłodajniach dla ubogich, w piwnicach misji razem ze zrozpaczonymi zdemobilizowanymi marynarzami lub w brudnych przedsionkach kościołów razem ze zwolnionymi pracownikami fabryk. Czasem stawali w kolejce ludzkich wraków pośród kraterów i szkieletów budynków, czekając na skrawki chleba rozdawane przez żołnierzy ubranych w czarne pancerze i uzbrojonych w ciężkie stalowe karabiny.

Lemuel kierował się konkretnymi subtelnymi znakami, siłą woli rozplatając i na *nowo* tkając mapę miasta.

– Wcale nie chodzi o wolę – odezwał się ni stąd, ni zowąd, gdy wędrowali w poprzek zatoki, która była tak zapchana nieruchomymi statkami, że mogli iść po ich pokładach. – Choć być może tak ci powiedziałem. Owszem, można o tym myśleć w ten sposób; to pozwala poczuć się pewniej. Ale oczywiście jest to bzdura. Czymże jest wola jednego człowieka wobec miasta? Ono powstaje w nieskończoności czasu. Tak jak każdy znasz naturę bytów, które je tkają. Robią to we wszystkich kierunkach w czasie i przestrzeni. Wyobraź sobie

narzucanie im swojej woli. Równie dobrze możesz spróbować walczyć z elektrycznością lub zmagać się z mnożeniem. Nie, możemy jedynie podążać ich śladem. Uważnie wypatrywać ich znaków. Splotów w tkanym wzorze. Tworzą go niechlujnie, gdyż są niezdarnymi i dumnymi potworami; jest w nim wiele supłów i dziur. Równie wiele ile ulic, drzwi i ludzi. Należy dyskretnie się przez nie prześlizgiwać. Polegać na spryście, a nie sile woli. To sztuczka, a nie magia.

– A jednak sprawiłeś, że twój gabinet zmienił kształt. Lub przynajmniej wpłynąłeś na to, jak ja go postrzegałem. Jak tego dokonałeś?

Lemuel sprawiał wrażenie rozbawionego.

– Cóż, istnieją różne sztuczki. Pokażę ci takie, za które jesteś w stanie zapłacić. To na razie wystarczy. Więc zamknij się, idź za mną, przyglądaj się i słuchaj.

Przechodzili przez bardzo wiele miejsc. Lub też, jak mawiał Lemuel, oglądali miasto pod różnymi kątami. Wiele z tych perspektyw znacznie różniło się od miasta, które znał Arjun, a o którym zaczynał myśleć jako o mieście twórców Atlasu. Nie próbował porządkować tych wizji. Niektóre były umiejscowione w przyszłości Atlasu, inne w jego przeszłości. Czasem wystarczyło zmienić kąt, pod jakim przecinali ulicę.

– Liczy się sposób patrzenia – wyjaśnił Lemuel. – Jeśli poczekasz wystarczająco długo lub dotrzesz wystarczająco daleko, wrócisz do punktu wyjścia.

Pewnego słonecznego dnia wspięli się po krętych

schodach z siatki na szczyt lśniącej stalowej igły wieńczącej wzgórze. Dziwne czarne motyle wielkości dłoni muskały ich skrzydłami. Lemuel wskazał palcem w dal ponad stalowym miastem.

– Dorastałem w miejscu podobnym do twojej ojczyzny. Wciąż czuję się oszołomiony, gdy widzę ten cały błysk i blichtr. Niektóre punkty na linii czasu lśnią jaśniej od innych. Akurat ten jest trujący, więc szczelnie zakryj ciało. Czasem nawet mnie jest trudno uwierzyć, że te miejsca są prawdziwe, choć do nich przywykłem. Ale to prawda. Żadne nie jest mniej realne od innych. Ty o tym wiesz, ale oni nie. Dla nich prawdziwe są tylko ich własne życie i potrzeby. Prawdziwe i oczywiście lukratywne.

Miasto pozostawało jedyną stałą – miasto i olbrzymia Góra na północy. Napotykali nieskończoną różnorodność ludzi i bóstw. W niektórych miejscach mieszkańcy wyznawali tylko jednego boga, bezcielesnego i abstrakcyjnego; w innych bogowie przechadzali się po mieście w jeszcze bardziej otwarty sposób niż w Ararat twórców Atlasu.

– Dlaczego tak jest? – spytał Arjun. – Czy to obecność licznych bóstw otwiera ukryte ścieżki, czy może miasto zostało zbudowane z tak wielu sekretnych miejsc, że rodzi kolejnych bogów? A może...

– Gównu mnie to obchodzi. Patrz na ścieżkę. Tędy.

* * *

W jednym z miejsc mieszkańcy, bez wyjątku blade, drobni i nerwowi, podróżowali w lektykach noszonych przez wielkie małpy, tresowane i hodowane specjalnie do tego celu, ubierane w czapaki w barwach swoich panów. Stada małp wyrwały się na wolność, zrzuciły fragmenty niewygodnej zbroi i zaczęły walczyć oraz parzyć się w uliczkach. Lemuel wyjaśnił, że stanowiło to poważny problem, a mieszkańcy nie bardzo wiedzieli, jak go rozwiązać. Wyhodowali więc kolejne małpy, by broniły ich przed tymi, które uciekły. Lemuel uważał to za dość zabawne.

Zatrzymali się w pokoju hotelowym, którego okna zabezpieczono grubymi kratami przed wścibskimi zwierzętami. Lemuel wybrał łóżko przy drzwiach i zapadł w sen, chrapiąc zaskakująco głośno jak na kogoś tak niewielkiej postury. Arjun leżał na łóżku przy oknie i słuchał odgłosów dżungli dobiegających z ulicy. Miał zawroty głowy; przeżycia z ostatnich dni (tygodni? miesięcy?), które spędził jako uczeń Lemuela, błyskawicznie przemykały mu przed oczami. Nie mógł się pogodzić z tym, jak delikatne jest miasto; czuł, że w każdej chwili może zapaść się w jego głębsze i bardziej sekretne struktury. Nic nie było solidne ani prawdziwe.

Po chwili uświadomił sobie, że Lemuel siedzi w ciemności i go obserwuje. Mężczyzna z na wpół widocznym szyderczym uśmiechem patrzył, jak Arjun wierci się i kręci na posłaniu, oraz słuchał jego urywanego oddechu.

W umyśle Arjuna lęk szybko ustąpił miejsca palącej wściekłości. Usiadł i wbił wzrok w Lemuela.

– Kim ty naprawdę jesteś? Mam już dosyć tej gry. Wiesz, że kiedyś cię pokonałem, i boisz się do tego przyznać.

– Może wiem więcej niż ci powiedziałem, a może nie. Nie zapłaciłeś za te informacje. Chyba że możesz mi zaoferować coś więcej? Zdradzisz kogoś jeszcze? Kolejnych przyjaciół? Może przyjaciółkę? Brata? Och... chyba nie masz dzieci, prawda?

Arjun się odwrócił.

– Prześpij się, Shay. Jutro chcę to zakończyć.

Lemuel położył się na pościeli.

– Nie wyzywaj się na mnie z powodu swoich wyrzutów sumienia, chłopcze. Sam podjąłeś decyzję.

Arjun leżał bez ruchu. Lemuel mylił się co do jego sumienia. Błędnie rozumiał naturę jego wyboru. Arjun widział, jak Jack walczy. Wiedział, na co go stać. To nie Jacka zdradził za sprawą swojej obietnicy. Ponownie zamordował Shaya, tym razem nie w walce, lecz podstępem. Zmienił chłopca w broń, i to także nie dawało mu spokoju.

Po jakimś czasie cicho się odezwał:

– Shay? – Nie uzyskał odpowiedzi, ale czuł, że mężczyzna nie śpi i słucha. – Shay. Istnieje jeszcze jedna możliwość. Być może jesteś tym samym człowiekiem, którego zastrzeliłem, ale dopiero staniesz się nim w przyszłości. Mówiłeś, że czas się... komplikuje w tym

mieście, na tych ścieżkach.

Mężczyzna mruknął coś pod nosem.

– Możliwe.

– W takim razie może rzeczywiście cię zabiją. Czy to cię nie martwi?

– Kiedyś wszyscy umrzemy. Skoro pisane jest mi w taki sposób odejść, to trudno.

– Niech więc tak będzie. Nie potrafię ci wybaczyć, ale to nie do mnie należy ferowanie wyroków. W każdym razie przykro mi, jeśli istotnie cię zabiją.

Mężczyzna znów coś mruknął i przewrócił się na drugi bok. Wymuszone i nieszczerze przeprosiny nie uwolniły Arjuna od poczucia winy.

* * *

Na chwilę wrócili do miasta, znajomego Ararat, do którego Arjun przybył przez morze; zatrzymali się w Domu Cere, w gabinecie Lemuela.

– Czas jako taki nie ma większego znaczenia – tłumaczył Lemuel, metodycznie przeglądając kolejne klucze, które nosił nawleczone na ciężkie mosiężne kółko, niczym człowiek badający wnętrze skomplikowanego popsutego silnika. – Staram się tu wracać raz w tygodniu, w każdy pomostałek, ale codziennie gdzieś jest pomostałek, czyż nie? Choćbyśmy tak wędrowali do późnej starości, i tak moglibyśmy wrócić tego samego dnia, którego wyruszyliśmy. – Przesuwał w palcach

kolejne klucze ze stali, miedzi, kości słoniowej i żelaza, o zębach jak miniaturowe wieże wznoszące się i opadające nad mosiężnym kółkiem. – Ale najlepiej trzymać się jakiegoś rytuału. To ważne, by się nie zgubić ani nie zatracić w poszukiwaniach drogowskazów. Aha! – Znalazł kluczyk do swojej skrzynki pocztowej i uniósł go teatralnym gestem.

W skrzynce leżał list. Lemuel pośpiesznie go przeczytał, szepcząc pod nosem. Potem podarł kartkę i rozrzucił skrawki papieru.

– Mamy coś do zrobienia, paniczu Arjunie. Chodźmy.

Lemuel szybkim krokiem przemierzał korytarz, odliczając drzwi gwałtownymi ruchami kościstych palców: jeden, dwa, trzy, cztery, ach! Doskoczył do prostych drewnianych drzwi i przebiegł na drugą stronę. Arjun pomknął za nim i zdążył złapać drzwi nim się zatrzasnęły. Ruszył nieoświetlonym kamiennym korytarzem, a potem nocną ulicą, pod sznurami z praniem, które trzepotało w świetle księżyca niczym gigantyczne postrzępione ćmy, przez drzwi w jakiejś wieży, przez most wiodący ponad czarną oleistą rzeką – naprzód, wciąż naprzód, cały czas ledwie dotrzymując kroku niecierpliwie kroczącemu Lemuelowi – a w końcu biegiem przez wąski ceglany korytarz ku powoli zamykającym się drzwiom, zza których dobiegał zgrzytliwy i kpiący podniesiony głos Lemuela. Arjun złapał drzwi i chwiejnym krokiem przez nie przeszedł, słysząc, jak Lemuel mówi:

– ... nie byłem pewien, czy zatrzyma pan moją wizytówkę, kapitanie.

Lemuel krążył po surowym i chropowatym wnętrzu sześciennego pokoju z czerwonej cegły. Przez wysoko sklepione okna było widać sine niebo i smugi szarych chmur.

W kącie pomieszczenia, na jedynym fotelu, siedział mężczyzna ubrany w przypalony i pomięty czarny strój. Miał brudne czarne włosy, a twarz ukrył w dłoniach. O jego nogę opierała się szabla.

– Ja również nie byłem tego pewien, panie Lemuel – odpowiedział. – Myślałem raczej, że nigdy się z panem nie skontaktuję. Miałem dużo obowiązków. Ale teraz sprawy wyglądają inaczej.

– Obowiązków? Czyżby? Tak pan to nazywa? A więc co się zmieniło?

– Hrabina została pokonana. Ja sam jestem zrujnowany. Stałem się kimś niewiele lepszym od pirata. A raczej wcale nie lepszym. „Gromowładny” to najwspanialsza broń, jaką stworzono w tym mieście, a ja wykorzystuję ją do pirackich napadów, by wyżywić swoich ludzi. Uciekamy, ukrywamy się, kluczymy pośród wież jak piraci na skalistych ławicach. Czasami wydaje mi się, że powinniśmy porzucić okręt, czmychnąć jak szczury, ukryć się na ulicach. Zmienić się w bandytów i najemników. Sam już nie wiem. Ale widzę, co się dzieje na dole. Z pokładu okrętu widzę, co się dzieje z miastem. Plama się rozszerza, rzeka występuje z brzegów. Zgniły cień zarazy

się powiększa. Ogień zgaś; niemal go nie zauważałem, kiedy płonął, a teraz zniknął. Te dzikusy, te potworne dzieciaki, od których roi się na dachach, nie przestają zabijać. Chętnie ostrzelalibyśmy je z dział, ale już nie mamy pocisków. Czasami strzelamy do nich z karabinów, gdy wisimy nisko nad miastem, ale one się tym nie przejmują. Spoglądają na nas tymi czarnymi oczyma, jakby chciały powiedzieć: „Wkrótce po was przyjdziemy, nawet po was, nawet tam na niebie”. Zaraza niedługo do nas dotrze. Przepraszam, panie Lemuel, ostatnio źle sypiam. Wydaje mi się, że nie spałem od śmierci Lucii. Widzę, jak rzeczne bóstwo się objawia i rośnie w siłę; nie ma zamiaru odejść. To nie tak powinno działać miasto. Te istoty zawsze trzymały się określonych cykli zachowań, czyż nie? Nigdy nie zgłębiałem teologii, ale czyż nie tak to powinno funkcjonować? Ararat jest zepsute i zakazane. To miejsce – pokazał okno wieży – jest położone najniżej jak mam teraz odwagę zamieszkać. To bez sensu. Moja służba dobiegła końca. Chcę uciec. Chcę znów być z Lucią. Mówił pan, że istnieje jakaś część miasta, gdzie ona wciąż żyje. Chcę tam pójść. Chcę się udać do takiej części miasta, w której nie dosięgnie mnie potwór, i zostać tam do końca mojego i jej życia, to wszystko. Prosił mnie pan o „Gromowładnego”; okręt należy do pana. Jeśli ma pan ochotę, może nim polecieć aż do Góry, a nawet go tam roztrzaskać. Może pan zrobić, co tylko zechce.

Głos mężczyzny był głęboki i lodowaty, niczym

wycięty z najczystszeo arystokratycznego kryształu, ale gdy mówił, na kryształe pojawiały się nierówne pęknięcia, a przy słowach „należy do pana” kryształ pękł, a mężczyzna niemal zaszlochał. Przypominał teraz żebraka. Z jego krtani wydobył się jęk. Po raz pierwszy podniósł wzrok i zauważył Arjuna.

– Ja cię chyba skądś znam. Widziałem cię w pałacu hrabiny. Czy nie byłeś jednym ze zwierzątek Holbacha? Zgadza się, byłeś jednym z nich. Powiedz, czy to Holbach to wszystko ukartował? Czy to on zaplanował upadek hrabiny? Ten potwór, zatruty bóg wypuszczony na ulice miasta – czy to jego zemsta?

Arjun otworzył usta, ale Lemuel gestem nakazał mu milczeć.

– Jeszcze nie ustalono, kto jest winny, kapitanie. Lepiej nie wywołujmy wilka z lasu. Nie rozmawiajmy o tym więcej. Powiem tylko, kapitanie, że mnie pan rozczarował. Tylko tyle ma mi pan do zaoferowania?

– Przecież to pan pierwszy do mnie przyszedł. Chciał pan dobić targu. W zamian za „Gromowładnego” obiecał mi pan Lucię. Powiedział pan, że ona gdzieś tam jest. Dlaczego nie teraz, do cholery?

– To było dawno temu. Dla mnie upłynęło jeszcze więcej czasu niż dla pana, choć widzę, że straszliwie się pan postarzał, kapitanie. Mam teraz inne zainteresowania. A gdybym nawet pragnął poznać tajemnice pana okrętu, to ten młodzieniec – wskazał Arjuna kciukiem – może mi o nich opowiedzieć równie dobrze jak pan. Zresztą,

kapitanie, bądźmy szczerzy. Okręt i tak nie pozostanie długo w pana rękach. Niech pan tylko na siebie spojrzy; mówi się, że pana dni są policzone. Pana czas niemal dobiegł końca. Stanowi pan tylko niedomknięty wątek. Wkrótce się pana pozbędą i chyba nawet wiem jak. Domyślam się, kim będzie pana następcą, i śmiem twierdzić, że wkrótce ten młody człowiek stanie się moją własnością. Tak więc nikt już pana nie potrzebuje, kapitanie.

Arlandes sięgnął po szablę i wstał. Arjun wycofał się do kąta pokoju i schował za Lemuelem, który pozostał na miejscu, trzymając ręce założone za plecami.

Arlandes zamachnął się do cięcia, jednocześnie ustawiając stopy do wypadu. Na chwilę znieruchomiał w tej pozycji. Najwyraźniej patrzył Lemuelowi w oczy. Arjun opierał się o ścianę i nie widział, co kapitan w nich dostrzegł.

Po chwili Arlandes upuścił szablę z brzękiem na podłogę. Ponownie usiadł na fotelu, chowając twarz w dłoniach.

Lemuel klasnął.

– Co za strata czasu. Dobrze, że mamy go tak cholernie dużo. Żegnam, kapitanie. Chyba już się nie zobaczymy. Chodź, mały tchórze. – Wyszedł na korytarz.

Arjun szybko przeciął pokój i stanął przy fotelu kapitana.

– Panie kapitanie? – Położył dłoń na jego napiętym i naprężonym ramieniu. – Panie kapitanie? Mogę panu

zapropnować układ. Nie jestem w stanie zaoferować takich warunków, jak Lemuel. Nie wiem, jak odnaleźć Lucię. Sam jestem zagubiony. Ale mogę spróbować. Mam plan, dzięki któremu chcę uratować miasto przed powodzią. Przydadzą mi się pana okręt i szabla. Niech mi pan pomoże, a dam z siebie wszystko. Nie mogę niczego obiecać, ale daję panu nadzieję.

Ramię Arlandesa zadrżało. Wydawało się, że kapitan zapada się w sobie. Tak naprawdę wcale nie był potężnym mężczyzną, choć na pierwszy rzut oka sprawiał takie wrażenie.

Arjun odczekał tak długo, na ile wystarczyło mu odwagi, czyli dość krótko, po czym podążył słabnącym śladem Lemuela. Zostawił milczącego kapitana na fotelu w pustej wieży.

* * *

Lemuel prowadził interesy także z innymi klientami. Zajął górne pomieszczenie w zrujnowanej wieży strzelniczej nad brzegiem jeziora zapchanego mieszkalnymi barkami. Utrzymywał, że przysadziści, krzywonodzy mężczyźni o szarych obliczach, którzy przychodzą do niego pod osłoną nocy, to najbardziej znaczący kapitanowie z Jeziora.

– Denerwują się przez ciebie – powiedział Arjunowi. – Masz taki karcący purytański wyraz twarzy. Lepiej znajdź sobie jakieś zajęcie gdzie indziej.

Podczas wspinaczki po schodach prowadzących na szczyt wieży pod nogami chrzęściły pleśniejące fragmenty kości, pozostałości po jakimś dawnym ataku. Arjun bez entuzjazmu zabrał się za ich uprzątnięcie. Mijali go schodzący kapitanowie, którzy nieśli pod płaszcami swoje wstydlive zakupy. W końcu pojawił się także Lemuel.

– No chodź już, chodź – powiedział, grzechocząc zapchanym kółkiem do kluczy, po czym zamknął za nimi drzwi do wieży i ruszył w stronę Jeziora, ku jednemu z licznych gwarnych i jasno oświetlonych mol.

Arjun podążył za nim. Wkrótce molo zmieniło się w ruchliwą arterię w zupełnie innej części miasta.

Przez dwa dni Lemuel siedział w gabinecie na piętrze dużej stacji kolejowej i odpisywał na listy.

– Mogę ci bez obaw wręczyć nóż? – spytał Arjuna. – W porządku. Weź go i otwórz tamte koperty. Postaraj się nie zrobić sobie krzywdy.

Wszystko w gabinecie zostało pomalowane na szary lub ponury oliwkowy kolor, a dywan był poprzypalany papierosami. Na kominku stały cztery duże skomplikowane zegary. W trzech były zamknięte żywe ptaki; za szybką czwartego tkwił malutki ptasi szkielet. Zegary tykały i biły o przypadkowych godzinach, pióro Lemuela skrzypiało na papierze, a pod nimi głośno jęczały przejeżdżające pociągi.

Lemuel pracował przez całą noc; w tym czasie Arjun przespał się na kanapie. Kiedy się obudził, nie żył drugi

ptak. Pozostałe dwa wpatrywały się w niego z mocą i smutkiem.

– Czy masz swoje laboratorium? – spytał Arjun.

– Wypałeś się, co? Nie, nie mam. A ty?

– Czytałem kiedyś o niejakim panu Cuttle, który wyglądał tak samo jak ty. Miał laboratorium, a w nim trzymał dziwne światła, zwierzęta i ptaki, które prawie potrafiły mówić, ale nie do końca.

– Nic mi to nie mówi. Ale Cuttle to dobre nazwisko. Skuteczne. Poważne.

– Nie potrafię rozpoznać, kiedy kłamiesz. Chyba powinienem przestać cię o cokolwiek pytać. Twoje ptaki umierają z głodu.

– Nic im nie będzie.

– Ktoś powinien je nakarmić.

– To idź kupić nasiona. Może wciąż tu będę, kiedy wrócisz, a może nie.

Ptaszki przyglądały się Arjunowi z wyrzutem przez brudne szybki klatek i zapewne Arjun bez problemu zdążyłby kupić dla nich pokarm i wrócić, gdyż Lemuel pisał listy jeszcze przez kilka godzin. Nagle mężczyzna wstał.

– No chodź już, chodź – rzucił.

* * *

Jakiś czas później Arjun i Lemuel siedzieli w parku przy długim stole wykonanym z połowy przewróconego

dębu, otoczeni włochatymi czerwonoskórymi mężczyznami, pod słońcem, które trzymała opancerzona pięść. Zaciśnięte palce rzucały snopy cienia o szerokości wielu mil. W oddali olbrzymi czarny byk, wysoki jak góra, wbijał kopyta w materię miasta. Po każdym takim uderzeniu nad stołem przez długie sekundy rozbrzmiewał grzmot, mężczyźni wiwatowali i klaskali, a wieże i okna wokół parku drżały i zmieniały kształt.

– Podobają mi się ci ludzie – rzekł Lemuel. – Gdy sytuacja jest tak dramatyczna, koniecznie trzeba wiedzieć, na czym się stoi. Oni to wiedzą i nie tylko zaakceptowali swój los, nie popadając w szaleństwo, ale nauczyli się go kochać. To koszarne miejsce na handel, niczego nie da się im sprzedać, ale trzeba podziwiać ich entuzjazm. Ha! Tak! – Przyłączył się do klaszczących po wyjątkowo brutalnej przemianie.

Arjun słuchał rozmów ludzi przy stole. Ich podekscytowane trajkotanie od razu wydało mu się dziwnie znajome. Powoli zaczynał rozumieć poszczególne słowa. Był zafascynowany. Zatem taką melodię miały ich samogłoski, tak brzmiał klekoczący rytm spółgłosek. Wyobrażał sobie, że mowa Tuarów miała ponure brzmienie. Nie wiedział dlaczego. Tymczasem ten język wcale nie był smutny.

– Uważnie mi się przypatrywałeś? Jesteś pilnym uczniem, młody człowieku? Już zrozumiałeś, na czym polega sztuczka?

* * *

Przez chwilę się targowali przed opuszczeniem Domu Cere. Lemuel usiłował namówić Arjuna, by ten przyprowadził do niego Jacka jeszcze przed rozpoczęciem nauki.

– To nie wchodzi w grę – odparł Arjun. – W ten sposób nie dobijemy targu. Nie mogę ci zaufać, że dotrzymasz słowa. Ty byś to zrobił na moim miejscu? Jak mógłbym cię do czegokolwiek zmusić? Ale ty możesz mi zaufać, bo wiesz, że się ciebie boję i nie jestem w stanie ci uciec. Tylko tak możemy dojść do porozumienia.

Lemuel próbował przekonać Arjuna, ale młodzieniec był nieugięty, więc w końcu wzruszył ramionami i powiedział:

– Nawet mnie nie zawsze udaje się znaleźć wyjście. No dobrze. Chodź ze mną, a pokażę ci, jak to się robi.

Długo wędrowali ścieżkami Lemuela, zanim ten w końcu uznał, że Arjun jest gotów nauczyć się sztuczki. Lemuel wstał od długiego dębowego stołu i rzucił na blat kilka monet. Przeszedł pod sklepieniem z drzew, przemierzył kilka zwirowych alejek, pokonał mostek nad stawem, którego wcześniej tam nie było, wyszedł bramą, której nie było w parku, gdy do niego wchodzili, następnie pomaszerował ulicami do betonowej wieży mieszkalnej, a w środku, stawiając kroki ponad odurzonymi włóczęgami, wszedł do zardzewiałej skrzynki, która zawiozła ich w dół, trzęsąc się i

grzechocząc, do sterylnie czystego korytarza prowadzącego do drzwi, za którymi kryły się wypełnione kośćmi piwnice Domu Cere oraz gabinet Lemuela.

– Cierpliwość i cisza. Otwarcie na każdy, nawet najmniejszy znak. Spryt i śmiałość korzystania z okazji. To wymaga odpowiedniego stanu umysłu. Nie każdy może to robić. Jeśli po prostu zaczniesz krążyć na oślep, to zostaniesz tu, gdzie jesteś. Będziesz kręcił się w kółko. Aby znaleźć tajemne ścieżki, ukryte drzwi, prześlizgiwać się śladami bogów... no cóż, musisz opanować pewną sztuczkę. Nie pomogę ci w odnalezieniu twojego Głosu. Może jest gdzieś w mieście, a może nie. Nie istnieje żaden szczególny sposób tropienia tych istot. Nigdy nie istniał. A przynajmniej ja o niczym takim nie słyszałem podczas swoich podróży. Jeśli jesteś cierpliwy i przemierzasz rozległe obszary miasta, to czasem spotykasz bogów, a wtedy możesz zabrać im to, czego potrzebujesz. Mógłbym pokazać ci tę sztuczkę, ale nie o to ci chodzi, prawda? Mogę natomiast dać ci czas i przestrzeń. Otworzyć przed tobą miasto. Będziesz mógł się tam schować przed Tajfunem. A jeśli będziesz odpowiednio długo wędrował, być może odnajdziesz swój Głos.

Ponownie opuścili gabinet. Początkowo Arjun podążał za Lemuelem, potem, za jego zachętą, spróbował pójść przodem. Szło mu opornie. Musiał tak wiele zapamiętać i na tak wiele zwracać uwagę. Przypominało to metody naukowe, dzięki którym Holbach przewidywał ruchy i objawienia bogów, lecz podczas gdy Holbach miesiącami

prowadził badania i dokonywał obliczeń, by uzyskać odpowiedź, Lemuel jak strzała mknął między ulicami, natychmiast zauważając kolejne znaki, wołając: „Tędy! Szybko!” i wciąż ruszając nowymi ścieżkami.

– Musisz znaleźć znak, który coś dla ciebie znaczy. Jeśli chcesz utkać dla siebie ścieżkę z boskich śladów, to powinieneś opierać się na znakach, które do ciebie przemawiają. Spraw, by miasto należało do ciebie. Zabierz mu to, czego potrzebujesz.

Dla Lemuela tym znakiem była śmierć oraz związane z nią obiekty i przedmioty.

– Nie uważam się za miłośnika makabry – wyjaśnił. – Sądzę, że po prostu jestem uczciwy. Marność nad marnościami i wszystko marność, przecież wiesz. A może i nie wiesz. Cóż, każdy lubi coś innego. Ten Shay, którego spotykałeś w sali ze światłami w Obserwatorium, zapewne pasjonował się gwiazdami. Albo tajemniczymi zapomnianymi maszynami. Kto wie?

Wędrował ulicami z przekrzywioną głową, cały czas się rozglądając, wypatrując cmentarza, domu pogrzebowego, ławki z plakietką upamiętniającą ukochanego męża i ojca lub marmurowej kolumny postawionej ku czci ofiar jakiejś wojny, truchła szczura bądź psa, szkieletu na szubienicy lub zwłok wiszących na latarni albo uschniętego księżycowo-białego bezlistnego drzewa stojącego obok krawężnika. Natychmiast skręcał w ulicę, tunel czy drzwi opatrzone tym znakiem, a Arjun z trudem dotrzymywał mu kroku. Potem raz za razem powtarzał

cały proces i dzięki subtelnemu nagromadzeniu dziwaczności trafiał do nowego miasta.

Dla Arjuna znakiem była, oczywiście, muzyka. Nauczył się zmieniać ją w klucz, ścieżkę i mapę; nauczył się improwizować, intonować własną pieśń pośród i wokół melodii miasta.

– Opanowanie tej umiejętności powinno ci było zająć lata – zauważył Lemuel niechętnie. – Muszę przyznać, że masz do tego smykałkę. – Oczywiście, że miał. Ćwiczył to przez całe życie.

* * *

– No dalej – zachęcił Arjuna Lemuel, gdy wrócili do jego gabinetu. – Wyjdź do miasta. Sprawdź, dokąd cię ono zawiedzie. Rozwiń skrzydła! Ale zapamiętaj, którą idziesz, i wróć tą samą drogą, do tego miejsca i czasu. Będę tutaj czekał. Nie zawieź mojego zaufania.

Następnie Lemuel wziął pędzel, który zostawił zatknięty pod pachą trupa, zanurzył go w niebieskiej farbie, która jeszcze nie zaschła, i podjął przerwana pracę.

Arjun zagłębił się w korytarzach Domu Cere. Skręcił w lewo w najbliższe przejście i dotarł na dziedziniec, gdzie uczniowie żałobnicy ćwiczyli elegię na wiolonczelach z ciemnego drewna. Pojedynczy bieg schodów prowadził na szczyt muru, na którym trębacze wygrywali wojskowy hejnał ku czci zmarłego młodego księcia, a jego ciało ubrane w zbroję opuszczano do ognistego dołu. Drabina

wiodła w dół do wąskiego pokoju, w którym staruszka drżącym głosem śpiewała rymowaną nad grobem wnuczka.

Raz za razem skręcając w nowe korytarze, Arjun stopniowo wydostał się z Domu Cere. Wciąż uczył się tej sztuki. Właśnie: sztuki – nie nazywał tego sztuczką, gdyż nikogo w ten sposób nie oszukiwał. Shay i Lemuel opowiadali o tym jak o oszustwie lub kradzieży, ale miasto chętnie ukazywało swą niezwykłą obfitość tym, którzy poświęcali mu dość cierpliwości i uwagi. Arjun potrzebował dużo czasu, by znaleźć drogę wyjścia z Domu i jego niezliczonych odpowiedników w innych wersjach miasta. Przez pewien czas ścieżka prowadziła go przez Dom, który przyjmował żywe ofiary, wbrew ich woli. Szybko opuścił jego korytarze.

Na zarośniętym cmentarzu szedł przez gęstą trawę, prowadzony pieśnią konika polnego i znalazł się na Wrzosowisku lub czymś, co bardzo je przypominało, choć tutaj czuł się niezdarny i bezbarwny wśród pięknych, łabędzioszych młodych mężczyzn i kobiet, którzy wylegiwali się na łąkach. Po krótkiej wędrówce natrafił na zespół, grający przy białym mostku.

Większość miejsc, które odwiedzał, nie wyróżniała się niczym szczególnym. Przemierzył tuzin dzielnic przypominających Shutlow, gdzie ludzie wiedli zwyczajne i nudne życie, ale trafił także do miejsca, w którym wszyscy mieszkańcy nosili na ramionach szepczące do nich koty. Przyspieszył kroku – intuicja

podpowiadała mu, by nie biec – chcąc uciec przed ciekawskimi spojrzeniami. W innym miejscu olbrzymie ptasie bóstwo (czyżby to samo?) rozkładało nad miastem błyszczące skrzydła, których powolne bicie wyznaczało rytm dnia i nocy, a ludzie unosili się w powietrzu między wysokimi łukami budynków. Możliwe jednak, że dla nich samych takie życie również nie było niczym wyjątkowym.

Arjun pomyślał o Atlasie. Nawet gdyby miejskie bóstwa i władcy nie zwrócili się przeciwko nim, ich projekt i tak nie miałby szans powodzenia. Miasto było nieskończenie rozległe i nie dało się stworzyć jego mapy.

Jednakże, jeśli miasto było nieskończone, to mieszkała w nim nieskończona liczba ludzi, których twórcy Atlasu z czasem mogli zwerbować do swojego projektu. Nieograniczony czas i liczba pomocników, a z drugiej strony bezkresna przestrzeń – co by zwyciężyło? Idea Atlasu mogłaby rozprzestrzeniać się bez ograniczeń.

Podobnie jak to się działo z echem Głosu, które uwolnił w mieście. Arjun z radością zauważył, że wszędzie słyszy tę pieśń. Przesączała się przez szpary i przybierała nowe formy. Poprzedzała go, wytyczając jego ścieżkę.

Gdy szedł po moście linowym rozpiętym między wieżami, przyszło mu do głowy, że być może jedno z echem Głosu, które uwolnił, znalazło drogę do przeszłości miasta twórców Atlasu, dojrzało tam, wyrosło na prawdziwego boga i wyruszyło na południe. Było to mało prawdopodobne, lecz możliwe, ale nie miał jak tego

sprawdzić.

Echa Głosu doprowadziły go do kresu pierwszej wyprawy. Poszedł za grupą demonstrantów, którzy wyśpiewywali jego pieśń, po czym skręcił w uliczkę, gdzie tę samą melodię nuciła dziewczynka sprzedająca kwiaty, a następnie powędrował szeroką ulicą, a tam pieśń donośnie rozbrzmiewała w okazałym teatrze. Potem udał się jej śladem przez kolejne uliczki, aż jej brzmienie stało się szorstkie i odległe, jakby wyśpiewywał ją ktoś o fatalnym głosie, kto na dodatek dopiero uczył się śpiewać, wciąż bowiem zacinał się na tej samej nucie i musiał zaczynać od początku. Arjun przeszedł przez drzwi i znalazł się w pomieszczeniu, z którego dobiegała pieśń.

Dźwięk wydobywał się z urządzenia stojącego na oknie, wysoko nad miastem, i rozpływał w powietrzu. Urządzenie było czymś w rodzaju pozytywki. Arjun ostrożnie go dotknął i przestawił dźwignię; rozległ się zgrzyt i muzyka się urwała.

Zapadła cisza. Wnętrze pokoju było surowe i nieumeblowane. Arjun wyjrzał przez okno na ciche, opustoszałe ulice. Nigdy nie widział tak spokojnego miasta.

Wyszedł z pokoju i długimi, szerokimi, krętymi schodami wyostał się na zewnątrz. Ulica była pusta. W otaczających go wysokich oknach nikogo nie było. Urządzenie, które wyłączył, stanowiło jedyne źródło dźwięku. Przez jakiś czas szedł przed siebie, ale nikogo nie zobaczył ani nie usłyszał, nawet psa ani ptaka.

Nie znalazł śladów nagłej ucieczki: żadnych niedokończonych posiłków czy pustych pojazdów na ulicach. Tak naprawdę, nie licząc samych szarych budynków, dostrzegał tylko nieliczne oznaki ludzkiej obecności, wszystkie całkowicie przypadkowe. Przy ulicy stała pojedyncza zgaszona latarnia. Na jezdni leżał czarny but. Zajrzawszy przez jedno z okien, Arjun zobaczył pokój, w którym nie było niczego poza krzesłem ustawionym przodem do ściany. W kolejnym pokoju znajdował się pulpit z na wpół otwartą książką o pustych stronach. Na trzecim oknie namalowano słowo „Delikatesy”, używając kanciastej szarej czcionki, jednakże wewnątrz budynku również było puste. W szarych ścianach nawet nie było drzwi.

Było to najbardziej samotne miejsce, w jakim Arjun kiedykolwiek przebywał. Pozbawione życia i celu. Kojarzyło mu się z Tajfunem. Czy potwór doprowadzi miasto właśnie do takiej martwoty, pustki i brzydoty? Czyżby Arjun znalazł się w przyszłości miasta twórców Atlasu, po tym jak Tajfun pochłoniął w nim całe życie? Możliwe. Nie był w stanie tego sprawdzić. Tak czy inaczej, miasto przyprawiało go o dreszcze. Było nie do zniesienia.

Pozostało mu do zrobienia jeszcze jedno. Musiał zawrócić i doprowadzić sprawy do końca. Cofnął się do pokoju z grającym urządzeniem i zaczął przy nim manipulować, coraz bardziej nerwowo, aż wreszcie odkrył, w jaki sposób należy przestawić dźwignię i

umieścić igłę na obracającym się krążku, by znów zabrzmiała muzyka. Wykorzystując ją jako znak, przeszedł przez drzwi, ruszając w drogę powrotną.

Rozdział 44

Po powrocie do miasta twórców Atlasu Arjun opuścił Dom Cere i wyruszył powozem na drugi koniec Ararat.

– Nie przejadę przez Czwarty Okręg – uprzedził woźnica. – To zawsze było złe miejsce, ale teraz... podobno walczą o nie białe szaty i Gromowładni. Używają nadludzkiej mocy. Podobno niektórzy potrafią latać, a inni odbierają oddech samym spojrzeniem. Trzymam pod siedzeniem pistolet i pałkę, ale to jest dobre tylko na pijaków i rabusiów. W coś takiego się nie wpakuję.

Arjun wkroczył do Czwartego Okręgu piechotą. Obawy woźnicy okazały się przesadzone: dzielnica wcale nie przypominała pola bitwy. Była pełna brudnych, bezzębnych ludzi, którzy wzbudzali lęk, jeśli byli młodzi, i współczucie, jeśli byli starzy. Arjun patrzył na nich ze smutkiem, zdając sobie sprawę, że w innych miejscach ich życie mogłoby wyglądać zupełnie inaczej. Wiedział, że jeśli będzie szedł pewnym krokiem, trzymając rękę na broni, to nic mu nie grozi.

Po drugiej stronie ulicy, przed zamkniętą, oplecioną pajęczynami kuźnią snuła się banda białych szat. Przez przerażającą chwilę Arjunowi wydawało się, że młodzieńcy odwrócili w jego stronę ogolone głowy, ale udało mu się ukryć w łukowato sklepionej bramie, gdzie zaczekał aż sobie poszli.

Późnym popołudniem dotarł do ulicy fabryk, gdzie kiedyś przyprowadził go Jack. To tutaj spotkali Gromowładnych i razem z nimi przygotowywali się do wyprawy na północ do Żelaznej Róży. Kiedy to było? Najwyraźniej nie tak dawno, gdyż fabryki nadal stały puste, a ulicę odgradzała siatka. Przeskoczył przez nią i ruszył pomiędzy pustymi budynkami. Wtedy Jack kazał mu poczekać na końcu ulicy, więc Arjun nie wiedział, w której fabryce kryją się Gromowładni. Jeśli nadal tu są. Panowała cisza; słaby ciepły wiatr rozrzucał suche śmieci.

Jeśli zacznie przeszukiwać fabryki, może natknąć się na jednego z dzikich pułkowników Jacka, który zapewne poderżnie mu gardło, nawet nie przyjrząwszy się jego twarzy. Najbezpieczniej będzie poczekać. Jeśli Jack nadal tu przychodzi, to Arjun wkrótce go spotka. Usiadł ze skrzyżowanymi nogami na zakurzonej ulicy i uspokoił myśli.

* * *

Jack opuścił się z nieba w czerwonym blasku zachodzącego słońca. Żartobliwie przekrzywił głowę, jakby nasłuchując.

– A więc to tutaj śpiewa ten twój Głos? – rzekł. – A może jest jakiś inny powód tego, że siedzisz na środku mojej ulicy?

– Nie odnalazłem Głosu. Jak twoja walka?

– Dobrze. – Jack postął chwilę, po czym usiadł.

Swobodnie wyciągnął przed siebie nogi jak mały chłopiec, ale twarz miał pokrytą zmarszczkami i zatroskaną. – Nie, niezbyt dobrze. Nie robimy teraz niczego poza walką z białymi szatami. Od dawna nie zaatakowaliśmy żadnego więzienia. Jest ciężko. Zabili... zabrali kilkoro z nas. Nie dorównujemy im liczebnością i już nigdy nie będzie nas więcej. Oni mają w sobie jakąś nową przerażającą siłę. Wszyscy mieliśmy ten sam sen, w którym dowiedzieliśmy się, że to ten potwór, który za tobą podąża, daje im moc. Czy to prawda?

– Chyba tak. Ale znam sposób na zniszczenie go. Potrzebuję w tym celu twojej pomocy. Znalazłem człowieka, który może stanowić klucz do pokonania potwora. Chciałbym, żebyśmy się z nim spotkali.

* * *

Powędrowali z powrotem przez Czwarty Okręg. Nocą było tam najniebezpieczniej – białe szaty, bądź też istota, która je pochłonęła, najlepiej czuły się w ciemności – ale Jack znał pewne ścieżki. Po drodze wskazywał spalone budynki, miejsca spustoszone przez zarazę, puste czarne rany, którymi Tajfun i jego potwory naznaczyli mapę dzielnic.

– To musi zadziałać – powiedział. – Nie możemy z nim walczyć. On wszystko pograży w ciemności. To najgorszy strażnik więzienny w mieście.

Brama Domu Cere była zamknięta, ale niestrzeżona.

Jack przeniósł ich ponad murem, do wewnętrznych stref.

Korytarze Domu nie były opustoszałe: wiele z ceremonii odprawiano w nocy. Jednakże ludzie, których mijali, byli tak pochłonięci swoimi rytuałami, że ich nie zaczepiali. Jack zakrył swoją niesławną koszulę grubą szarą kurtką.

Drzwi gabinetu Lemuela były uchylone. Arjun zapukał i zawołał przez szparę:

– Panie Lemuel?! Wróciłem.

Z głębi kostnicy, która znajdowała się za gabinetem, dobiegła odpowiedź:

– No to wejź! Pokaż się!

Lemuel stał na środku pokoju. Miał na rękach długie zakrwawione rękawice i trzymał zakrwawiony nóż; wyglądało na to, że przed chwilą grzebał we wnętrznościach ciała, które leżało na stole obok. Jego oczy, ukryte za okularami w złotych oprawkach, rozbliły, gdy ujrzał Jacka.

– Arjun. Razem z kolegą. – Ściągnął rękawice. – Nie przejmuj się tym wszystkim, chłopcze. Widzisz, wyznawcy Ukteny – zaczął tłumaczyć ojcowskim tonem – wierzą, że nie przejdą do następnego życia, jeśli nie będą mieli w żołądku świeżego surowego mięsa. To ma świadczyć o ich sile. A że czasami nie mają okazji spożyć go przed śmiercią... cóż. To brudna robota, ale trzeba ją wykonać. Obecnie właśnie ja za to odpowiadam. Boisz się? Nie, nie sędzę. Taki odważny chłopak jak ty.

– Jacku, to pan Lemuel. Panie Lemuel, powiedziałem

Jackowi, że chce mu pan pomóc w zapanowaniu nad jego darem.

– Tak zrobiłeś? Owszem, Jacku, to prawda. Mogę cię wiele nauczyć. Możemy uczyć się od siebie nawzajem, prawda, chłopcze? Podejdź tutaj i pokaż, co potrafisz.

Jack spojrział na Arjuna.

– Wszystko w porządku – uspokoił go Arjun. – Masz moje słowo.

Jack wzruszył ramionami.

– Lepiej, żeby to było warte zachodu, panie Lemuel. Mam dużo pracy. – Trzymając ręce w kieszeniach, podszedł do Lemuela, który przysunął się do stołu z klatkami i zaczął odsuwać plandekę.

– Nie bój się ich, chłopcze. Czy twój kolega ci o nich opowiadał? To tylko światła. No, może ciut więcej. Mogę ci pomóc. Podejdź.

Jack zatrzymał się na środku pomieszczenia.

– Zostanę tutaj. Niech mi pan powie, co może dla mnie zrobić.

Lemuel pokręcił ze smutkiem głową, zdejmując i wycierając okulary.

– Nie powinien być taki podejrzliwy, prawda, moi mali? A więc zostań tam, gdzie jesteś, podejrzliwy chłopcze. Wszystkie miejsca i tak są dla mnie jednym. Zostań. Teraz należysz do mnie.

Klatki zapulsowały światłem. Arjun zobaczył, że Jack lekko się zatoczył i zaczął rozglądać się po pokoju, zagubiony i zaskoczony. Arjun również nie wiedział, co

się dzieje; widział sylwetki Lemuela i Jacka, ale gabinet zmienił się w mroczny labirynt, a obie postacie zaczęły krążyć wokół siebie pod dziwnymi kątami.

Lemuel podszedł do Jacka, który chwiejnie przesuwał się to wprzód, to w tył, to na boki, chwycił chłopca za włosy szponiastą dłonią i odchylił jego głowę do tyłu. Obaj warczeli jak psy.

Arjun sięgnął pod kurtkę i na wszelki wypadek położył dłoń na pistolecie. Ale to nie było konieczne. Gdy Lemuel pociągnął głowę Jacka, ten wyjął swój piękny nóż i pchnął w lewo, a następnie w prawo, szybciej niż było to w stanie zarejestrować oko. Zaczął błyskawicznie uderzać w przód oraz przez ramię, celując w każdy fragment wolnej przestrzeni, który pozostawiał Lemuel, tak że ospałym oczom Arjuna wydawało się, że chłopiec jest wszędzie, dzięki swojej szybkości uciekając z każdej pułapki, którą usiłował zastawić Lemuel, zmieniając się w rozmazaną burzę ostrzy, aż w końcu z pustego miejsca za jego plecami trysnął jaskrawy strumień krwi. Wtedy pojawił się tam Lemuel, który zatoczył się do tyłu, głośno wciągając powietrze i przyciskając do brzucha czerwieniejącą koszulę.

Pomieszczenie ponownie zmieniło się w duży sześcienny boks, część brudnego zakładu pogrzebowego. Lemuel zakrztusił się i upadł.

– Było tak jak powiedziałaś – odezwał się Jack. – Próbował dostać się do mojego umysłu. Atakował całymi setkami. Dlatego – przyklęknął, by wytrzeć ostrze o szary

fartuch Lemuela – musiałem trafić ich wszystkich. Mówiłem ci, że mi się uda.

– Nigdy w to nie wątpiłem. – Arjun uklęknął przy głowie pojękującego Lemuela. – On jest za szybki, Shay. Popełniłeś błąd, próbując zakuć go w łańcuchy.

* * *

Razem wyszli z Domu Cere. Arjun prowadził, kierując się znakami miejskiej muzyki. Melodie, które wskazywały mu drogę wcześniej, już nie rozbrzmiewały, ale pamiętał drogę i z ulgą stwierdził, że to wystarczy. Jack szedł za nim, deptając mu po piętach, gdy opuszczali miasto, które znał.

Koty zamieszkujące odwiedzone wcześniej dziwne miejsce przestały szeptać, uniosły płaskie głowy z ramion noszących je ludzi i zaczęły syczeć na Jacka, który prychnął w odpowiedzi. Patrzyły, jak wędrowcy skręcają w ulicę oznaczoną ich jazgotliwą kocią muzyką. Latający ludzie zachęcali Jacka, by do nich dołączył, lecz on pokręcił głową.

Kiedy zrobili to, co zaplanowali, wrócili tą samą drogą do mrocznego zakładu pogrzebowego.

– Zostało nam już tylko jedno do zrobienia – rzekł Arjun. Rozejrzał się po pomieszczeniu i zatrzymał wzrok na klatkach z bóstwami, które emanowały niepokojącym blaskiem. – Choć może raczej dwie rzeczy.

W kącie pokoju stały dwie czarne walizki Lemuela,

podobne do tych, jakie miał Shay. Jedna z nich była pusta. Drugą w połowie wypełniały przybory fotograficzne, które jednak trochę różniły się od tych używanych przez Shaya.

Zapakowali lśniąca szklane klatki do walizek. Zajęło im to sporo czasu. Musieli trzymać pojemniki jak najdalej od siebie i nawet wtedy czuli mrowienie w palcach, a ich żyłami płynęła skradziona chwała, wypełniając ich głowy gęstym światłem, tak że musieli przerywać pracę i na kilka minut siadać w kącie z głową schowaną między nogami, powoli oddychając.

Kiedy walizki były pełne, ciężkie i brzęczące, wzięli po jednej i wyszli z Domu Cere, tym razem nie uciekając się do sztuczek ani sztuki. Przemierzyli pogrążone w mroku Wrzosowisko, a następnie zeszli nad rzekę i weszli na molo. Jack słyszał, że właśnie z tego miejsca wzbił się w niebo „Gromowładny”. Wrzucili walizki do czarnej wody. Przez chwilę podskakiwały na powierzchni, po czym poszły na dno, gdy uciekło z nich powietrze.

– Wypląną – odezwał się Jack. – Albo ktoś je wyciągnie, wcześniej czy później.

– Tak. Być może gdzieś w mieście powróci też Shay lub ktoś podobny do niego. Ale to pozwoli nam na długo pozbyć się tych rzeczy i uwięzić je w jednym miejscu. Tyle musi nam wystarczyć.

– Co teraz?

Arjun oparł się o słupki molo, łapiąc oddech i słuchając rzeki obmywającej omszałą drewnianą konstrukcję.

– To już niedaleko. Chyba znam drogę.

* * *

Pozostawili za sobą Rzekę i powędrowali wzdłuż granicy cichego i wyczerpanego Shutlow, ku potężnym magazynom Okręgu Barbarii, po drodze mijając opustoszałe fabryki. Prześlizgnęli się pod ogrodzeniem z siatki, brudząc się błotem. W obrzydliwym świetle księżyca przemierzyli pusty plac zaśmiecony chwastami, psimi gównami i ogryzionymi kośćmi. Dotarli do olbrzymiego czarnego magazynu przecinającego bieg kanału. Dołem biegł mroczny tunel. Z kanału wydobywał się smród stęchlizny, mimo że płynęła nim woda o silnym nurcie.

Arjun zszedł na wilgotną, omszałą ścieżkę holowniczą i powoli zbliżył się do wlotu tunelu. Jack oparł się o ścianę i obserwował.

– Tutaj się narodziłeś – rzekł Arjun. – Pamiętasz?

W ciemności nic się nie poruszało.

– Tutaj cię stworzyłem. Przepraszam cię za to. Tutaj stworzyliśmy cię razem z Shayem.

Woda pędziła w głąb tunelu, sycząc na kamieniach. Jakiś odgłos odbił się cichym echem w otchłani.

– Byłem pierwszym, co ujrzałeś na tym świecie. Nic dziwnego, że mnie nienawidzisz.

Echa w tunelu stopniowo umilkły. Nurt osłabł, woda zaczęła płynąć coraz bardziej leniwie, aż wreszcie

znieruchomiała.

– Ty odrażająca istoto.

Arjun odwrócił się do Jacka.

– Stań blisko mnie. Nie będziemy musieli długo czekać.

* * *

Woda w kanale się nie poruszała. Nad jej powierzchnię uniosła się lodowata, cuchnąca mgła. Arjun i Jack rozpoznali zwiastuny przybycia potwora. Aby powstrzymać się przed ucieczką lub krzykiem, Arjun trzymał się słupka holowniczego przy wlocie tunelu, tak mocno, że w rękę czuł pulsujący i piekący ból.

Mgła uniosła się nad kanałem, odcinając ich od światła miasta, tak że nie otaczało ich nic poza wodą.

Pod dłonią Arjuna drewno słupka holowniczego stało się śliskie i popękane.

Z ciemności wyłoniła się niewielka biała postać, a po niej kolejna i jeszcze jedna – wszystkie powoli szły ścieżką holowniczą. Ich ogolone głowy były przekrzywione pod dziwnymi kątami. Zupełnie jakby słuchali jakiegoś tajemnego sygnału, pomyślał Arjun. Zupełnie jakby wisieli na niewidzialnych pętach, pomyślał Jack. Za nimi podążała ciemność. Każda z postaci stanowiła biały grzbiet na fali mroku, a ciemność wylewała się z ich otwartych ust i pustych oczu oraz wypełniała ślady ich stóp.

Białe szaty kolejno zatrzymywały się i stawały niedbale

wokół molo.

Jedna z istot o ziemistej skórze wciąż się zbliżała. Wreszcie samotnie stanęła przed nimi i jeszcze szerzej otworzyła usta, a z jej wnętrza wydobyła się lodowata cisza. Nie była większa od pozostałych, Arjun jednak miał wrażenie jakby patrzył na nią z bardzo daleka, tonąc w otchłani, podczas gdy ona górowała nad nim i siłą woli spychała go w dół.

– Widzę go – odezwał się Jack. – Jest za tym chłopcem. Uczepił się go. Bogowie, jest tak kurewsko brzydki. Tak kurewsko chory.

– Tak. – Arjun złapał Jacka za ramię. – To on. Na miłość Głosu, to on. Tajfun jest w tym chłopcu. Teraz.

Jack chwycił Arjuna za rękę i ruszył biegiem prosto na potwora. Arjun z trudem dotrzymywał mu kroku, aż w końcu stracił grunt pod nogami i upadł; i tak nie miało to znaczenia, gdyż po chwili obaj unieśli się w powietrze, mknąc tuż ponad błotnistą ścieżką holowniczą.

Jack rzucił w potwora nożem z niewiarygodną srebrzystą szybkością. Trafił go w skradzioną głowę, odrywając część szczęki. Stwór nawet nie drgnął.

Następnie Jack wzbił się w niebo, przeniósł Arjuna nad Tajfunem i razem poleciełi na zachód ponad płaskimi dachami przysadzistych magazynów Okręgu Barbarii, ponad kominami i zapadającymi się dachami Shutlow, aż w końcu śpiące miasto zniknęło im za plecami i znaleźli się nad Wrzosowiskiem. Wyjący potwór podążał za nimi.

Tajfun także potrafił poruszać się szybko, niczym

powódź. Wspinał się po ścianach domów jak pajak – jak pleśń, jak zgnilizna, jak pęknięcie gwałtownie rozchodzące się po szybie. Skakał z dachu na dach. Tam, gdzie lądował, pękały dachówki i osiadały sufity. Przemierzał Wrzosowisko potężnymi susami, a ziemia pękała i rozpadała się pod jego stopami. W tym pędzie kostki u nóg marionetki zostały strzaskane na miazgę, ale stwór nie zwalniał. Pozostawiał za sobą mroczny ślad.

Jack poniósł Arjuna na zachód, ponad łąkami, a następnie nad Wdowią Altaną. Gdy Tajfun dotarł do drzew, wyskoczył w górę i pomknął po ich czubkach, wyciągając w stronę Jacka długie ręce, których zasięg dodatkowo zwiększały wydostające się z nich kosmyki ciemności. Na ziemię posypał się deszcz połamanych gałęzi i zerwanych liści.

Dom Cere stał na zachodnim skraju Wrzosowiska, za Altaną. Jack obniżył lot i wylądowali na odsłoniętym dziedzińcu w wewnętrznych sferach Domu. Arjun obejrzał się i zobaczył, że wyjący potwór pędzi za nimi po dachach budynków, a jego sylwetka przesłania gwiazdy. Zeskoczył na ziemię po przeciwległej stronie dziedzińca i puścił się biegiem w ich stronę.

To był najniebezpieczniejszy moment; w tunelach Domu musieli poruszać się pieszo. Jeśli Tajfun ich dogoni, już mu się nie wymkną. Ale nie mieli innego wyjścia. Jack wbiegł do tuneli przez kamienne drzwi, ciągnąc za sobą Arjuna. Gdyby którykolwiek z nocnych stróżów był na posterunku, dostrzegłby tylko jaskrawą

smugę przelatującą mu przed oczami, a po chwili nadciągającą ciemność, po której nie zobaczyłby już nic więcej.

W głąb tuneli, w lewo, potem w prawo, pod zimnymi kamieniami, z powodzią deptającą im po piętach.

Ponownie w prawo, następnie w lewo. Arjun wskazywał kierunek zgodnie z zapamiętanymi znakami.

Po schodach w dół i przez piwnice. W górę wąskiego szybu, ignorując długą drabinę i wznosząc się dzięki mocy Jacka. Potwór ścigał ich, odbijając się od ścian, łamiąc palce na ceglach.

Przemierzyli zrujnowany cmentarz, na którym kiedyś drogę Arjunowi wskazała pieśń świerszcza. Znowu znaleźli się pod gołym niebem, jednak w innym mieście. Pomknęli szlakiem wytyczonym w trawie, a potem nad pięknym dziwnym miejscem, które tak bardzo przypominało Wrzosowisko Chwały.

* * *

Właśnie tam Tajfun wdrapał się na białą estradę, która pod jego stopami zapadała się i pokrywała plamami, po czym wyskoczył w nocne niebo, chwycił Jacka strzaskaną dłonią za piętę i ściągnął w dół.

Nie znajdowali się wysoko, więc upadek ich nie zabił. Jack jednak ciężko runął na ziemię i stracił oddech, a stwór od razu się na niego rzucił. Chłopak wykręcił szyję, by nie patrzeć potworowi w oczy, i próbował się spod

niego wyczołgać, ale Tajfun przygniótł go ciałem, zakrył mu usta dłonią, która zmieniła się w krwawą miazgę ze sterczącymi kośćmi, odciągnął jego głowę do tyłu i wbił w niego wzrok, a Jack poczuł się tak, jakby był pożerany żywcem.

Jack cicho jęknął, po czym zamilkł; zadrżał i znieruchomiał. Stwór powoli i cierpliwie zaczął wykręcać jego kończyny, aż były bliskie złamania. Arjun chwiejnie się podniósł i podbiegł do nich, wrzeszcząc coś niezrozumiałego, po czym wypalił z pistoletu. Pocisk rozdarł plecy potwora, rozbryzgując na wszystkie strony krew, ale nie wywołując żadnego efektu.

Zdesperowany Arjun zaczął śpiewać. Głos załamał mu się pod wpływem strachu i chłopak wydał z siebie wysoki drżący dźwięk. Było w nim bardzo niewiele z pieśni Głosu, ale wyglądało na to, że Tajfun i tak nie jest w stanie go wytrzymać – puścił Jacka i warknął, co zabrzmiało jak odgłos towarzyszący osiadaniu statku na mieliźnie. Zerwał się na nogi i skoczył w stronę Arjuna.

Arjun zaczął biec, ale wiedział, że nie ucieknie przed potworem. Gdy poczuł palce zaciskające się mu na ramieniu, wpadł w rozpacz, ale po chwili został uniesiony w powietrze, a gdy się obejrzał, stwierdził, że to Jack wyrwał go z objęć powodzi.

* * *

Od tamtej pory lecieli wyżej, a stwór żarłocznie ścigał

ich po ziemi. Starali się go nie zgubić, gdy skręcali w kolejne tajne przejścia, które wskazywał Arjun, aż dotarli do prostych drzwi, za którymi znajdował się szary pokój – pusty, jeśli nie liczyć trzeszczącego urządzenia do odtwarzania muzyki.

Stwór był tuż za nimi. Jack podbiegł do wysokiego okna i wyskoczył, pociągając za sobą Arjuna. Wylądowali lekko na szarej jezdni daleko w dole. Po chwili potwór ciężko opadł na ziemię obok nich. Niewiele pozostało z ciała, którego używał.

Ścigał ich opustoszałą ulicą. Skręcili w lewo, potem znów w lewo, po czym stanęli. Stwór ryknął i także się zatrzymał.

Na środku płaskiego betonowego kręgu, który otaczały prowadzące donikąd szare drogi, siedział Lemuel. Był przywiązany do krzesła. Przez bandaż na jego brzuchu zaczynała się przesączać krew. Jego bladą schorowaną twarz wykrzywiał gniew. Splunął, gdy zobaczył Arjuna.

– Ty oszukańczy, niegodziwy mały draniu! Jak śmiesz? Myślisz, że to mnie utrzyma? Zapłacisz mi... – Umilkł, gdy zobaczył potwora wkraczającego na dziedziniec w ślad za jego porywaczami.

Stwór zbliżył się, zaczął węszyć, po czym zawył. Całą jego uwagę pochłonął mężczyzna na krześle.

Kiedy Arjun to wszystko zaplanował i gdy razem z Jackiem opatrzyli ranę Lemuela, związali mu ręce, ponieśli go poprzez kolejne światy i umieścili tutaj jako przynętę, myślał, że będzie musiał wygłosić jakąś mowę.

Wyobrażał sobie, że powie: „Spójrz, wielki Tajfunie, to ten człowiek, a nie ja, porwał cię i dręczył. To on cię zatrął i stworzył. To jego nienawidzisz. Zabierz go i niech w ten sposób dokona się twoja zemsta”.

Ale nie było takiej potrzeby. Stwór wiedział. Od razu zapomniał o Arjunie i ruszył ku Lemuelowi.

Lemuel wydał ryk wściekłości i strachu, gdy zmasakrowane ciało zaczęło się do niego zbliżać, otoczone obłokiem ciemności i zimna. Nie, pomyślał Arjun, to raczej obłok się zbliża, ciągnąc za sobą drobne ciało. Pomyślał o tym, jak głupi jest potwór, jak prymitywne i ograniczone ma potrzeby. Wyrządził tyle krzywdy, a jest czymś tak żalnym.

Gdy obłok dotknął twarzy wrzeszczącego Lemuela, który wykręcał szyję, próbując odsunąć się tak daleko, na ile pozwalały krępujące go więzy, Arjun gwałtownie wyrwał się z zamyślenia. Stwór nie będzie usatysfakcjonowany tym posiłkiem; nic go nie zadowoli. Muszą odejść, od razu, dopóki jest zajęty. Zbyt zajęty, by wrócić ich śladem; taką przynajmniej Arjun miał nadzieję.

Polecieli z powrotem nad ulicą, podczas gdy Tajfun oddawał się zemście. Próbowali nie patrzeć i nie słuchać. Stwór się nie śpieszył; a oni mieli mnóstwo czasu na ucieczkę.

W pokoju, przez który weszli do opustoszałego miasta, Arjun rozbił grające urządzenie. Nie sądził, by to coś zmieniło – Tajfun raczej nie był w stanie odnaleźć drogi bez ich przewodnictwa – ale chciał mieć pewność.

W milczeniu wrócili poprzez liczne miasta.

* * *

– Wolałbym zabić Tajfuna – rzekł Jack, gdy znaleźli się w gabinecie Lemuela. – Spowodował wiele zła. Powinien umrzeć.

– On nie może umrzeć. Jest nie tylko potworem, ale i bogiem. Tam, gdzie go zostawiliśmy, nie wyrządzi już nikomu krzywdy. Został sam. Trochę mi go żal. Bardzo cierpi.

– Zasłużył na to.

– Być może.

Nie pozostało już nic do dodania. Arjun popatrzył na zboląłą i wymizerowaną twarz Jacka.

– Zrobił ci krzywdę? – spytał.

Jack pokręcił głową i zmusił się do uśmiechu. Razem wyszli na Wrzosowisko i pożegnali się sztywnym uściskiem dłoni. Obaj się uśmiechnęli. Potem Jack wzbił się w powietrze.

Rozdział 45

Namdi właśnie kuśtykał do drzwi fabryki, gdy zobaczył powracającego Jacka.

– Dokąd poszedłeś? Gdzie byłeś? – Nagle dostrzegł, jak bardzo wyczerpany jest Jack. – Wszystko w porządku?

Jack się rozejrzył. Byli sami, pozostali – ci, którzy przetrwali do tej chwili – zapewne spali. To dobrze; jeszcze nie był gotów, by z nimi wszystkimi porozmawiać. Objął Namdiego ramieniem i poprowadził go ulicą.

– Namdi, to koniec. To znaczy, po pierwsze, koniec z białymi szatami. Zniknęła moc, która w nich była, ich potworny bóg. Znów są zwykłymi dziećmi. Wkrótce popadną w zapomnienie. Ale z nami także koniec, Namdi.

– Mówiłeś, że będziemy trwać, dopóki stoi choć jedno więzienie.

– To było... mogłem tak powiedzieć, ponieważ Ptak dał mi swoją moc. Miałem potęgę, którą mogłem was wszystkich obdzielić. Ale to już przeszłość. Potwór mnie dotknął. Zanim go uwięziliśmy. Zmusił mnie, bym zajrzał do jego wnętrza. To boli. Namdi, czuję, jak moc ze mnie ucieka. Nie wystarczy mi jej na długo. Mamy czas na jeszcze jedną ucieczkę. Teraz powinniśmy zadbać o siebie. Mogę zabrać was wszystkich ze sobą. Obudź pozostałych, musimy działać szybko.

W fabryce było ich piętnaścioro. Kolejna dwunastka

przebywała w hangarze dla łodzi. Tyle pozostało z Gromowładnych. Jack opłakiwał Fissa i resztę zmarłych, a także Aidenę i innych, którzy odeszli. Teraz, kiedy wojna dobiegła końca, znalazł czas na żałobę.

Po raz ostatni wyszli na dachy i pod skrzydłami Jacka pobiegli na północ, stawiając długie kroki. O świcie obrali kurs na wschód. Jack leciał przodem, ponad nimi, wypatrując ofiary. Ujrzeni ją wieczorem, przeczesawszy wiele mil nieba nad miastem: „Gromowładny”, unoszący się wśród zrujnowanych wież Stross End.

– Brać go – rozkazał Jack.

W ślad za nim wznieśli się do burty okrętu. Serce Jacka ledwie wytrzymało ten wysiłek, ale roześmiał się, widząc jak wzbijają się w niebo.

Załoga „Gromowładnego” składała się z obszarpanych i wychudzonych marynarzy. Żołnierzy zmienionych w bandytów. Czyżby uważali, że pewnego dnia na nowo ustanowią władzę hrabiny? A może po prostu się ukrywali, uciekali, próbując przetrwać? Tak czy inaczej, było już dla nich za późno.

Jack poprowadził szarżę nad pokładem okrętu, zabierając szablę pierwszemu żołnierzowi, który na niego ruszył, i jednym cięciem posyłając go na ziemię. Zatęsknił za swoim nożem, który zgubił nad kanałem.

Arlandes ruszył mu na spotkanie. Nie dało się go pomylić z nikim innym; wśród żołnierzy w czerwonych mundurach była tylko jedna osoba w postrzępionym czarnym stroju. Prawdziwy szermierz; jego postawa była

idealna. Nie mógł jednak równać się z szybkością Ptaka i Jack szybko go zabił. Pozwolił kapitanowi wykonać dwa pchnięcia szablą, obok lewego i prawego ucha, patrząc mu w zaczerwienione, wyczerpane oczy. Mężczyzna ciął w dół po skosie, cofnął ostrze i uderzył przed siebie, ale Jacka już tam nie było. Ciosy zaczęły padać na oślep, jakby Arlandes zorientował się, że kontrola i umiejętności go nie ocalą i zawierzył ślepemu szczęściu. Nagle Jack poczuł do siebie obrzydzenie; poczuł, że bawi się z przeciwnikiem w okrutną i upokarzającą grę. Zrobił krok do przodu – widząc, jak ostrze opada ku niemu powoli i nieprzerwanie niczym zachodzące słońce – i wbił Arlandesowi szablę między żebra. Kapitan zasłużył sobie na to tym, co uczynił w Stross End, oraz przekształceniem pięknego okrętu w broń tyranii, ale jeśli dać wiarę krążącym opowieściom, była to także przysługa. Jack poszukał w przekrwionych oczach Arlandesa oznak ulgi, ale ujrzał tam tylko strach, a potem pustkę. Mimo to zasalutował kapitanowi. Gest ten podpatrzył na scenie teatru rewiowego, nie było jednak w nim kpiny. Choć kapitan już dawno stał się zgorzkniałym człowiekiem, był prawdziwą legendą i Jack to szanował. Obejrzał się, by sprawdzić, jak sobie radzą pozostali.

Walka nie trwała długo. Większość członków załogi zdezerterowała, widząc śmierć Arlandesa. Przerzucili liny nad krawędzią burty i ześlizgnęli się po nich na złamanie karku, po czym zaczęli uciekać po dachach. Jack pozwolił im odejść. Tylko kilku zostało, by dalej walczyć.

Kiedy się z nimi uporali, Jack wyjął spod kurtki notatki, które sporządził dla niego Holbach. Na zapisanych maczkiem stronach znajdowały się liczne zniechęcająco skomplikowane wykresy przedstawiające układ sterowniczy okrętu. Namdi czytał je ponad ramieniem Jacka i razem próbowali zrozumieć, w jaki sposób kontroluje się „Gromowładnego”.

– Wygląda jak nieślubne dziecko ołtarza i tuzina kołowrotek – rzekł Namdi. – Co my z tym, kurwa, mamy zrobić?

– Rozgryziemy go. Mamy czas.

* * *

Sterowanie „Gromowładnym” stanowiło złożoną sztukę. Minęło dużo czasu, zanim nauczyli się ostro skręcać, pikować i nurkować równie sprawnie, jak robił to Arlandes. Notatki Holbacha nie były zbyt przejrzyste, ale biorąc pod uwagę okoliczności, Jack nie miał do profesora pretensji. W końcu udało im się zrozumieć jego wskazówki na tyle dobrze, by wznieść się ponad wszystkie wieże, skierować na zachód i ruszyć przed siebie, ku krańcom miasta.

Jack wychylił się za burtę i patrzył, jak miasto w dole się zmienia. Czuł, że opuszcza go resztką mocy. Było mu przykro, że ją traci, ale nie był załamany. Wystarczyło mu jej na tę ostatnią ucieczkę.

Być może dotyk potwora zaraził jego płuca zgnilizną,

ale raczej w to wątpił. Był zmęczony, straszliwie zmęczony, ale nie umierający; a jeśli nawet, to był w stanie się z tym pogodzić, jeżeli tylko pozostało mu jeszcze trochę czasu.

Mogli polecieć na północ, ale obawiał się Góry. Mogli polecieć na południe i wkrótce znaleźć się nad Zatoką, a następnie ponad morzem, lecz Jack wiedział, że z miasta można się wydostać także tą drogą. Chciał zobaczyć, jak daleko Ararat rozciąga się na zachód i wschód. Musiał się upewnić, że nie jest bezkresne. Pragnął ujrzeć miejskie mury i się za nie przedostać.

„Gromowładny” mógł się wznieść dużo wyżej niż Jack. Z tak wysoka było widać, że miasto wciąż się zmienia. Jack był zdumiony, że nigdy wcześniej tego nie zauważył.

– Spójrzcie tam! – zawołał, a Gromowładni zgromadzili się wokół niego, by obserwować boga w postaci połyskującego złotego wiatru, który przemierzał miasto, po drodze zmieniając kształt ulic, aż w końcu skręcił w stronę Góry, wspiał się na jej zbocza i zniknął.

Wieczór ustąpił miejsca nocy, a miasto w dole zmieniło się w morze ciemności upstrzone plamkami ognia; potem spokojnie wstał nowy dzień. Znajdowali się nad obszarami miasta, których Jack nigdy nie widział. Przypomniawszy sobie, że jego własna moc słabła, gdy oddalał się od Zatoki, i modlił się, by „Gromowładny” nie spadł z nieba. Dzięki bogom tak się nie stało. W końcu słońce opuściło się nad zachodni horyzont. Żeglowali po czerwonym niebie.

Dostrzegli zachodni mur z odległości wielu mil. Był niewyobrażalnie wysoki, wyższy od każdej wieży. Przypominał górę. Potężną błyszczącą czarną linię przecinającą świat. Na jej szczycie stały straszliwe wielonogie gargulce, które z bliska okazały się złożonymi i potężnymi działami. Gdyby ostrzelały okręt, ten byłby bezbronny.

Wszyscy Gromowładni wychylili się z dziobu, wypatrując tego, co się kryje przed nimi. Nikt nie zaproponował powrotu.

Minęli mur bez żadnych problemów. Był bardzo gruby i przelecenie nad nim zajęło im dużo czasu. Na jego szerokim szczycie, w cieniu dział, stały prymitywne chatki kryte słomą, a wokół nich zgromadzili się ubrani w łachmany, przygarbieni prostaczkowie, którzy, widząc wielki okręt, padli plackiem na ziemię. Jack im pomachał.

Potem zostawili to wszystko za sobą, a przed dziobem „Gromowładnego” zobaczyli bezkresną równinę porośniętą falującą pszenicą, złocistoczerwoną w blasku zachodzącego słońca. Znajdowały się tam małe farmy. Było pięknie. Wolna przestrzeń, gdzie można zacząć od nowa. Jack obejrzał się na miasto; przypominało mu zerwane kajdany rzucone na podłogę. Z uśmiechem ponownie spojrzął przed siebie.

Rozdział 46

W pobliżu Domu Cere znajdował się sklep papierniczy. Arjun kupił tam papier, pióro i dwie koperty. Napisał:

Olimpio, profesorze, moi przyjaciele. Tajfun zniknął. Nie był na tyle potężny, by pochłonąć całe miasto; to ono go pochłonęło. Nie sądzę, by powrócił za naszego życia, choć oczywiście mogę się mylić. Jeśli postanowicie wrócić, już mnie tu nie zastaniecie. Życzę wam powodzenia.

Przed odejściem Olimpia dała mu adres miejsca, w którym zamierzała się zatrzymać, przynajmniej na początku. Był to dom, w którym mieszkał znajomy znajomego pewnego korespondenta pracującego dla doktora Brankena, po drugiej stronie Morza Spokojnego, w Ghencie. Arjun poszedł na nabrzeże i wręczył list kapitanowi wypływającego statku, dołączając resztę swoich pieniędzy oraz zapewniając, że Olimpia zapłaci więcej po odebraniu wiadomości. Pewnie jej nie otrzyma, ale nigdy nic nie wiadomo.

Zdał sobie sprawę, że zapomniał spytać Jacka, czy ten rzeczywiście zabił przewodniczącego. No cóż, trudno.

Dał kapitanowi kolejny list, zaadresowany do Chóru, w którym obiecywał: „Nadal szukam. Nie traćcie nadziei! Miasto jest znacznie większe niż podejrzewaliśmy. Wciąż

mamy czas i szansę". Wątpił, by list dotarł do celu.

Przez chwilę nasłuchiwał, po czym wyruszył śladem śpiewu fałszujących marynarzy, potem bicia w kościelne dzwony, a następnie samotnej pieśni zawodzącego pijaka leżącego w rynsztoku we własnych wymiocinach. Z każdą pokonywaną ulicą coraz głębiej zanurzał się w mieście.

Myślał o Tajfunie, którego pozostawił samego w tamtym opustoszałym miejscu. Pomimo tego, co napisał w liście do twórców Atlasu, był przekonany, że potwór nigdy nie odnajdzie drogi powrotnej. Była to prymitywna i głupia istota. Dlatego wszystko zależało od natury opustoszałego miejsca, w którym go zostawił. Czy było ono przyszłą wersją miasta twórców Atlasu? Jeśli tak, każdy kolejny dzień będzie prowadził Ararat ku oczekującej na nie zagładzie. Jeżeli to miejsce znajdowało się w przeszłości, każdy dzień będzie oddalał ich od ciemności. Być może to bez różnicy; być może, jak powiedział Lemuel, wszystko, co wydarzyło się w przeszłości miasta, będzie cyklicznie powracać, a każdy chwilowy wysiłek podejmowany przez mieszkańców jest zawieszony w mroku. Jeśli twórcy Atlasu postanowią wrócić, miał nadzieję, że im się powiedzie, niezależnie od tego, jak wiele czasu im pozostało.

Na rogu ulicy znajdowała się sala koncertowa, z której dobiegała warcząca muzyka. Na łuku nad drzwiami wisiał znak: „Wejście. Proszę trzymać się lewej strony w celu kontroli biletów". Poniżej, jeśli popatrzyło się w odpowiedni sposób, biegła długa srebrna ulica pod

arkadami. Arjun nią poszedł.

Skręcił pod łukiem, gdzie przycupnęła istota, która przypominała mu oglądane niegdyś rysunki aniołów, a także wizerunki banshee. Nuciała żałobną pieśń, która stanowiła dalekie echo świętej pieśni Głosu.

Arjun pomyślał o tym, co zrobił Shayowi, Lemuelowi, Cuttle'owi, jakkolwiek nazywał się ten człowiek. Nie bał się klątwy Lemuela – uważał ją za zwykłą fanfaronadę – ale żałował, że dopuścił się zdrady. Owszem, nie miał innego wyboru, a Lemuel był okropnym, lekkomyślnym i egoistycznym człowiekiem, ale zdrada pozostawała zdradą. Obawiał się, że może ona zburzyć w nim wewnętrzną harmonię, co nie pozwoli mu odnaleźć Głosu. Głos nie ujawni się, dopóki Arjun będzie nosił w sobie tę brzydotę. Jednak ma czas na to, by jego muzyka znów stała się czysta.

Całe miasto, jego przeszłość i przyszłość, stoi teraz przed nim otworem. Gdzieś istnieje to, czego szuka; był tego pewien i zamierzał to odnaleźć. Będzie zanurzał się coraz głębiej w tkanę miasta. Stanie się duchem ścigającym ducha. Znów jest samotny, tak jak po przybyciu do Ararat, i gotów do działania. Skręcił w lewo, potem znów w lewo i zszedł stromym zboczem złotego wzgórza, cały czas wędrując w głąb.